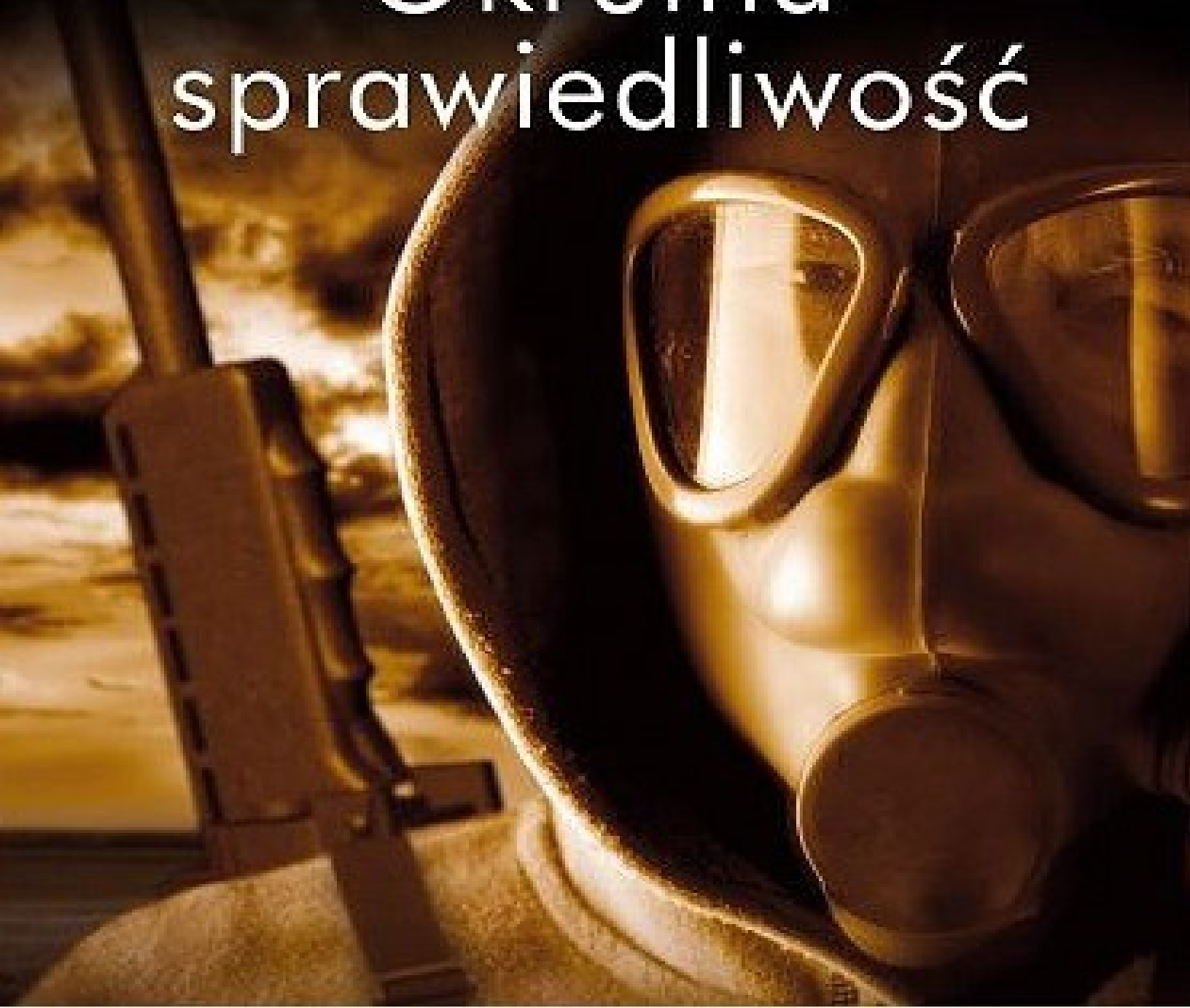


W I L B U R SMITH

Okrutna
sprawiedliwość



Wilbur Smith

**OKRUTNA
SPRAWIEDLIWOŚĆ**

Z angielskiego przełożyła
EWA JAGIELSKA-PSZCZEL



WARSZAWA 2007



Tytuł oryginału:
WILD JUSTICE

Copyright © Wilbur Smith 1979
Copyright © for the Polish edition
by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2001 & 2004
Copyright © for the Polish translation by Ewa Jagielska-Pszczel 1996

Redakcja: Ewa Jurczyszyn
Zdjęcie na okładce:
Roy Ooms/MasterFile Polska/East News
Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7359-240-7

Wyłączny dystrybutor
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa
tel. /fax (22)-631-4832, (22)-632-9155, (22)-535-0557
www.olesiejuk.pl/www.oramus.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS
ANDRZEJ KURYŁOWICZ
Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Wydanie IV (kieszonkowe - II)
Druk: B.M. Abedik S.A. Poznań

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)

Na lotnisku Victoria na wyspie Mahé, należącej do Republiki Wysp Seszelskich, tego dnia tylko piętnaście osób przygotowywało się do odlotu samolotem Brytyjskich Linii Lotniczych.

Wśród oczekujących na załatwienie formalności związanych z odlotem wyróżniała się czwórka młodych ludzi: dwóch mężczyzn i dwie dziewczyny. Wszyscy byli mocno opaleni i zachowywali się wesoło i beztrudnie jak ludzie, którzy dobrze wypoczęli na słońcu wśród dzikiej natury. Jedna z dziewczyn zwracała szczególną uwagę swoją niepospolitą urodą. Szczupła, wysoka i długonoga, z kształtną, dumnie osadzoną głową na smukłej szyi. Jej bujne, rozjaśnione przez słońce blond włosy były splecione w warkocz zwinięty w koronę na czubku głowy, opalona zaś na złoto skóra świadczyła o młodości i zdrowiu.

Poruszała się z wdziękiem drapieżnej kotki, na bosych stopach nosiła sandały, cienki materiał bawełnianej koszulki rozpychały duże, wyzywająco sterczące piersi, a okrągłe pośladki z trudem mieściły się w wyblakłych, obciętych powyżej kolan dżinsach.

Przód koszulki zdobił krzykliwy napis: „Jestem orzechem miłości”, poniżej był sugestywny rysunek.

Uśmiechnęła się promiennie do ciemnoskórego urzędnika imigracyjnego, położyła na biurku zielony paszport amerykański ze złotym orłem, jednocześnie rozmawiając płynnie po niemiecku z towarzyszącym jej mężczyzną. Odebrawszy paszport z rąk urzędnika, podeszła z kolei do dwóch przedstawicieli seszelskiej policji, poszukujących broni u podróżnych. Zdjęła z ramion torbę podróżną i zapytała:

- Panowie, chcecie może to sprawdzić?

Wszyscy głośno się roześmieli; torba zawierała dwa olbrzymie orzechy kokosowe. Te osobliwe owoce, każdy wielkości dwóch ludzkich głów, były najbardziej popularną pamiątką z wysp. Pozostała trójka młodych ludzi miała w swych torbach takie same trofea; nie zwracając więc na nie uwagi, policjant przejechał tylko pobieżnie detektorem metalu po brezencie innych bagaży podręcznych. W pewnym momencie detektor zabrzączał ostro; niosący torbę młody człowiek wyjął z niej mały aparat fotograficzny. Wszyscy ponownie wybuchnęli śmiechem, a oficer policji przepuścił całą czwórkę do poczekalni. Wypełniał ją tłum pasażerów, którzy podróż rozpoczęli już wcześniej, na wyspie Mauritius. Za oknami widać było potężny, jasno

oświetlony reflektorami korpus boeinga 747 jumbo, wokół którego krzątała się obsługa lotniska.

W poczekalni brakowało już wolnych miejsc siedzących, toteż czwórka stanęła kołem pod jednym z czynnych wentylatorów; noc była parna i duszna, a ciasne pomieszczenie wypełnione dymem tytoniowym i zapachem potu. Piękna blondynka trajkotała bez przerwy, często wybuchając głośnym śmiechem; była wyższa o kilkanaście centymetrów od swoich towarzyszy i o całą głowę od drugiej dziewczyny. Gromadka natychmiast skupiła na sobie uwagę wszystkich znajdujących się w poczekalni pasażerów. Jej zachowanie zmieniło się po przejściu kontroli, wyczuwało się w nim pewne odprężenie i niemal gorączkowe podniecenie. Zarówno mężczyźni, jak i dziewczyny ani przez chwilę nie stali spokojnie, przestępowali z nogi na nogę, manipulowali bez przerwy rękami to przy włosach, to przy odzieży, głośno rozmawiając i wybuchając śmiechem.

Trzymali się z dala od innych, mimo to jeden z pasażerów wstał ze swojego miejsca i zostawiając żonę, podszedł do nich.

- Czy ktoś z państwa mówi po angielsku?

Był to otyły mężczyzna po pięćdziesiątce z bujną strzechą stalowoszarych włosów. Oczy miał przysłonięte ciemnymi rogowymi okularami. Po swobodnym sposobie bycia rozpoznawało się w nim człowieka sukcesu.

Z wyraźną niechęcią czwórka rozstąpiła się, a wysoka blondynka odpowiedziała mu:

- Oczywiście. Jestem Amerykanką.

- Serio? - Mężczyzna zachichotał. - Nie przypuszczałem. - Przyglądał się jej z nieskrywanym podziwem. - Chciałem tylko zapytać, co to takiego - wskazał palcem na leżącą u jej stóp torbę.

- To są orzechy kokosowe - odpowiedziała blondynka.

- Ach tak, wiele o nich słyszałem.

- Nazywane są „orzechami miłości” - ciągnęła dziewczyna, pochylając się, żeby otworzyć ciężką torbę. - Może pan zobaczyć dlaczego. - Wyjęła owoc z torby.

Dwie połączone ze sobą półkule orzecha stanowiły dokładną replikę ludzkich pośladków.

- Tak to wygląda z tyłu - roześmiała się, pokazując piękne, białe jak porcelana zęby.

- A teraz z przodu. - Odwróciła orzech, prezentując doskonały *mons veneris* ze szparą pośrodku i kępką szorstkich kędziorków. Było oczywiste, że kokietowała i kpiła jednocześnie; zmieniła przyjętą pozycję, podając biodra do przodu, co sprowokowało rozmówcę do spojrzenia w dół na jej *mons*, wyraźnie widoczny pod obcisłymi spodniami trójkąt, przedzielony fałdą materiału.

Mężczyzna zarumienił się lekko, rozchylając mimo woli usta.

- Męskie drzewo kokosowe ma pęd gruby i długi jak pańskie ramię. - Patrzyła na

niego szeroko otwartymi oczami koloru niebieskich bratków, podczas gdy żona mężczyzny, wiedzioną kobiecą intuicją, podniosła się z miejsca i podeszła do nich. Była młodsza od męża. Brzuch uwypuklała zaawansowana ciąża.

- Seszelowie mówią, że przy pełni księżycy pyłki drzew uwalniają się z pręcików i wędrują, by połączyć się z osobnikami żeńskimi...

- Długie i grube jak pańskie ramię - śmiała się mała ciemnowłosa dziewczyna stojąca obok blondynki. Również i ona zachowywała się prowokująco: obie rozmyślnie utkwily wzrok w dolnej części ciała mężczyzny, a stojący obok dwaj młodzieńcy uśmiechali się, widząc jego zakłopotanie.

Żona pociągnęła go za rękę; na jej szyi wystąpiły, spowodowane tłumionym gniewem, czerwone plamy, a na górnej wardze - kropelki potu.

- Harry, czuję się niedobrze - powiedziała płaczącym głosem.

- Muszę już iść - wymamrotał z ulgą, biorąc żonę za rękę i oddalając się. Jego równowaga i pewność siebie uległy wyraźnemu zachwianiu.

- Poznałaś go? - Śmiejąc się, zapytała po niemiecku ciemnowłosa dziewczyna.

- To Harold McKevitt - blondynka odpowiedziała w tym samym języku. - Neurochirurg z Fort Worth. W niedzielę rano odczytał końcową uchwałę zjazdu - wyjaśniła. - Gruba ryba, bardzo gruba ryba - rzekła i jak kotka przesunęła koniuszkiem różowego języka po wargach.

Z ogólnej liczby czterystu jeden pasażerów tego poniedziałkowego wieczoru trzystu sześćdziesięciu to lekarze lub ich żony.

Lekarze, wśród nich najwybitniejsi w świecie, przybyli z Europy i Anglii, Stanów Zjednoczonych, Japonii, Ameryki Południowej oraz Azji na zjazd, który zakończył się dwadzieścia cztery godziny temu na wyspie Mauritius, osiemset kilometrów na południe od Mahé. Był to jeden z pierwszych rejsów po zakończeniu zjazdu i dlatego samolot był niemal całkowicie wypełniony.

- Pasażerowie samolotu Brytyjskich Linii Lotniczych BA zero siedem zero, lecącego do Nairobi i Londynu, proszeni są o udanie się na pokład głównymi drzwiami. - Ogłaszająca komunikat miała śpiewny, kreolski akcent. Wszyscy niemal jednocześnie ruszyli w kierunku wyjścia.

- Wieża kontroli lotów na lotnisku Victoria proszona jest o zezwolenie na start dla statku powietrznego zero siedem zero.

- Zero siedem zero, zgoda na start z pasa startowego zero jeden.

- Prosimy o naniesienie poprawki na plan naszego lotu do Nairobi. Liczba pasażerów wynosi czterystu jeden. Mamy wszystkie miejsca zajęte.

- Roger, statek powietrzny, twój plan jest skorygowany.

Potężny jumbo zwiększał ciągle wysokość, a napisy nakazujące zapięcie pasów i

wstrzymanie się od palenia wciąż były zapalone. Blondynka i jeden z jej znajomych zajęli miejsca obok siebie, tuż za przepierzeniem oddzielającym kabinę pilotów od kabiny pierwszej klasy. Miejsca te zostały zarezerwowane już wiele miesięcy temu.

Kobieta spojrzała porozumiewawczo na towarzysza, który pochylił się nieco do przodu, żeby zasłonić ją przed oczami pasażerów siedzących obok. Wyjęła z torby jeden z orzechów i położyła go przed sobą na kolanach.

Po dokładnym przyjrzeniu się można było zauważyć, że owoc już wcześniej został przecięty na połowy, a następnie starannie złożony i sklejonny. Teraz dziewczyna wbiła w złączenie mały metalowy przedmiot i przekręciła go energicznym ruchem. Z lekkim szcękaniem obie połówki odpadły od siebie jak skorupki wielkanocnego jajka. W obu częściach, w gniazdkach ze styropianu, leżały gładkie, szare, owalne przedmioty, każdy wielkości piłki baseballowej. Były to granaty produkcji wschodniemieckiej, przeznaczone dla wojsk Układu Warszawskiego. Zewnętrzną warstwę stanowił plastik, używany zwykle do pokrywania min terenowych. Tworzywo zapobiegało wykryciu broni przez detektory. Żółty pasek wokół obwodu wskazywał, że nie były to granaty rozpryskowe, lecz służące do wywoływania dużych eksplozji.

Dziewczyna wzięła granat w lewą dłoń, prawą odpięła pas bezpieczeństwa i wstała z miejsca. Siedzący za nią pasażerowie nie zwrócili uwagi na to, że w pewnym momencie prześliznęła się pod zasłoną do pomieszczeń załogi. Dwie stewardesy przywitały ją karcącymi spojrzeniami.

- Prosimy pozostać na swoim miejscu, dopóki kapitan nie zezwoli na odpięcie pasów - poleciła jedna z nich.

Dziewczyna podniosła do góry lewą dłoń, pokazując wypolerowane szare jajo.

- To jest granat specjalnego przeznaczenia, służy do niszczenia załóg czołgów bojowych - oświadczyła spokojnie. Może rozerwać kadłub samolotu jak papierową torbę, zabijając jednocześnie siłą wybuchu każdą żywą istotę w promieniu pięćdziesięciu metrów.

Na twarzach kobiet pojawił się wyraz przerażenia.

- Ty - zwróciła się do stewardesy - zaprowadzisz mnie do kabiny pilotów, ty zaś zostaniesz na miejscu. Nic nie mówić, nie ruszać się.

Gdy wtargnęła do ciasnego przedziału dla pilotów, z trudem mieszczącego członków załogi oraz masę przyrządów i elektronicznego wyposażenia, trzech mężczyźni odwrócili głowy zaskoczeni. Podniosła rękę z granatem.

Zrozumieli natychmiast.

- Przejmuję dowództwo tego samolotu - oświadczyła. Natychmiast przerwać wszelką łączność - zwróciła się do inżyniera pokładowego.

Inżynier spojrzał odruchowo na kapitana, a gdy ten skinął głową, zaczął wyłączać aparaturę.

- Również łączność satelitarną - rozkazała. Spojrzeli na dziewczynę, zdziwieni jej znajomością rzeczy. - I proszę nie dotykać „pluskwy”.

Inżynier w odpowiedzi zamrugał powiekami. Nikt, ale to zupełnie nikt, poza dowódcą samolotu nie powinien wiedzieć o specjalnym połączeniu uzyskiwanym za pomocą przycisku ulokowanego tuż obok jego kolana. Połączenie to stawiało w stan natychmiastowego alarmu lotnisko w Heathrow i umożliwiało podsłuch rozmów prowadzonych w kabinie pilotów.

- Proszę usunąć przewód „pluskowy”. - Ręką wskazała właściwą skrzynkę nad jego głową, on zaś ponownie spojrzał na kapitana.

- Rób natychmiast, co ci każe.

Ostrożnie usunął przewód, dziewczyna lekko odetchnęła.

- Przeczytaj mi swoją instrukcję dotyczącą lotu.

- Powinniśmy lecieć w kierunku Nairobi, na wysokości nie przekraczającej dwunastu tysięcy metrów.

- Kiedy przekazujesz następny *operations normal*?

Operations normal to rutynowy meldunek dla wieży kontroli lotów w Nairobi informujący, że lot odbywa się planowo.

- Za jedenaście minut i trzydzieści pięć sekund.

Inżynier pokładowy był młodym, przystojnym mężczyzną, o gładkim czole, jasnej cerze i szybkich, jakby wytrenowanych ruchach.

Dziewczyna zwróciła się w stronę kapitana. Patrzyli na siebie badawczo. Jego ciemne, gęsto pokryte siwizną włosy były obcięte krótko, tuż przy głowie. Miał gruby kark i czerstwą twarz farmera, stanowcze spojrzenie i spokojne, opanowane ruchy.

Jest człowiekiem, z którego nie należy spuszczać oka, pomyślała.

- Pragnę was zapewnić, że jestem całkowicie oddana sprawie, której służę, i że mogę bez wahania poświęcić dla niej życie - oznajmiła. Wytrzymała spojrzenie niebieskich oczu kapitana. Wyczytała w nich rosnący respekt. To dobrze, bardzo jej na tym zależało.

- Nie wątpię w to - rzekł, pochylając głowę.

- Pan odpowiada za życie i bezpieczeństwo czterystu siedemnastu znajdujących się w tym samolocie ludzi - ciągnęła dalej. - Nikomu włos z głowy nie spadnie, jeśli będzie pan wykonywał moje polecenia bez jakiegokolwiek sprzeciwu. To mogę przyrzec.

- Bardzo dobrze.

- Tutaj jest nowa trasa naszego lotu - wręczyła mu małą, wypełnioną maszynopisem kartkę. - Żądam przyjęcia nowego kursu z uwzględnieniem siły i kierunku wiatru oraz ustalenia terminu przylotu. Zmiany kursu należy dokonać natychmiast po przekazaniu meldunku do Nairobi. - Tu spojrzała na inżyniera.

- Zostało dziewięć minut i pięćdziesiąt osiem sekund zareagował natychmiast.

- Zmiana kierunku lotu powinna się odbyć w sposób łagodny, niedostrzegalny. Nie chcemy przecież, aby któremukolwiek z pasażerów wylał się szampan z kieliszka.

W ciągu zaledwie kilku minut obecności w kabinie pilotów zdążyła nawiązać

osobliwy kontakt z kapitanem. Była to mieszanina niechętnego respektu, otwartej wrogości i niezupełnie uświadomionego sobie przez nich podniecenia seksualnego. Jej ubiór, jakby specjalnie, eksponował kobiece kształty; sutki w momentach podekscytowania twardniały i ciemniały pod cienką bawełnianą koszulką, a piżmowy zapach ciała, potęgowany emocją, wypełniał pomieszczenie.

Przez dłuższą chwilę wszyscy milczeli, dopiero inżynier przerwał ciszę.

- Zostało trzydzieści sekund do meldunku.
- W porządku, włącz HF i nadawaj.
- Kontrola lotów w Nairobi, tu zero siedem zero.
- Słucham cię, zero siedem zero.
- *Operations normal* - powiedział inżynier do aparatu.
- Roger, zero siedem zero. Melduj ponownie po czterdziestu minutach.
- Zero siedem zero.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą.

- W porządku, wyłącz urządzenie - powiedziała. Następnie zwróciła się do kapitana: - Wyłącz automatycznego pilota i wykonaj zwrot ręcznie. Zobaczymy, czy potrafisz być delikatny.

Kapitan dał wspaniały popis swych umiejętności. W ciągu dwóch minut dokonał zmiany kursu o siedemdziesiąt sześć stopni, a wskazówka indykatora równowagi nie wychyliła się ani na włos od pionu. Po zakończeniu manewru dziewczyna uśmiechnęła się po raz pierwszy, pokazując piękne, śnieżnobiałe zęby.

- Doskonale - stwierdziła, uśmiechając się do kapitana. - Jak masz na imię?
- Cyryl - odpowiedział po chwili wahania.
- Możesz mi mówić Ingrid - zaproponowała.

Nie ustalono stałego rozkładu codziennych zajęć w antyterrorystycznym zespole Thor pod dowództwem Petera Stride'a. Wyjątkiem była obowiązkowa godzina ćwiczeń na strzelnicy. Żaden członek zespołu, nawet technicy, nie mógł opuścić codziennego strzelania.

Peter wypełniał resztę dnia niezaplanowanymi wcześniej zajęciami. Dzisiaj od samego rana zapoznawał się z nowymi elektronicznymi środkami łączności, w które został wyposażony samolot przydzielony dowódcy zespołu. Zajęło mu to sporo czasu, z trudem więc zdołał dołączyć do szturmowej grupy, odlatującej na ćwiczenia transportowym samolotem marki Herkules.

Peter wyskoczył z samolotu razem z pierwszą dziesiątką na wysokości stu pięćdziesięciu metrów; wydawało się, że spadochrony otwierały się nad nimi dosłownie w ostatniej chwili, przed samym zetknięciem z ziemią. Dmuchaający z boku wiatr okazał się wystarczająco silny, żeby ich nieco rozproszyć.

Pierwsze lądowanie nie było zbyt pomyślne. Chłopcy potrzebowali aż dwóch

minut i pięćdziesięciu ośmiu sekund na wykonanie skoku i spenetrowanie opuszczonego bloku administracyjnego, stojącego samotnie na terenie jednej z wojskowych stref, na równinie Salisbury.

- Gdyby przetrzymywano w nim zakładników, przybylibyśmy po to, żeby zmyć krew - powiedział ponuro Peter. Powtórzmy to!

Tym razem potrzebowali tylko minuty i pięćdziesięciu sekund. Spadali dokładnie na wyznaczone wokół budynku punkty, bijąc w ten sposób swój wcześniejszy rekord, osiągnięty pod dowództwem Colina Noble'a, zastępcy Petera, o całe dziesięć sekund.

Aby uczcić sukces, Peter zmusił swoich ludzi do jeszcze jednego wysiłku. W pełnym bojowym rynsztunku, z tobołami jedwabiu z zużytych spadochronów na plecach, biegli osiem kilometrów do prowizorycznego lądowiska, gdzie czekał herkules, aby ich zawieźć do bazy. Było już ciemno, kiedy wylądowali i dojechali do koszar, znajdujących się przy końcu głównego pasa startowego.

Tego wieczoru pokusa przekazania obowiązków Colinowi Noble'owi była dla Petera zbyt wielka. Jego kierowca mógł zabrać Melissę Jane ze stacji metra East-Croydon i zawieźć ją do nowej willi, znajdującej się niespełna kilometr od bazy.

Nie widział córki już sześć tygodni, od momentu, kiedy objął dowództwo Thoru. Przez cały ten czas nie znalazł ani chwili wytchnienia. Teraz gryzło go poczucie winy, że pozwala sobie na słabość, i dlatego po odprawie jeszcze przez kilka minut ociągał się z przekazaniem dowództwa Colinowi.

- Co masz zamiar zrobić w czasie weekendu? - Zapytał zmiennik.

- Ona chce, żebyśmy dziś wieczorem poszli na koncert zespołu *The Living Dead* - roześmiał się Peter. - Podobno dopóki tych zmarłych nie zobaczę, nie mam prawa mówić o życiu.

- Pozdrów i ucałuj ode mnie Melissę Jane - przykazał Colin.

Peter przywiązywał dużą wagę do prywatnego życia. Większość czasu spędził do tej pory w oficerskich kwaterach i kasynach, stale otoczony przez obcych ludzi. Nowe stanowisko dawało mu możliwość zmiany dotychczasowej sytuacji.

Aby pokonać odległość dzielącą bazę od willi, potrzebował zaledwie czterech i pół minuty. Wynajął dom umeblowany i z pełnym wyposażeniem. Otoczony wysokim żywopłotem z dzikich róż, położony przy spokojnej, cichej uliczce, wśród drzew i krzewów zaniedbanego nieco ogrodu, stanowił azyl Petera. Mógł wreszcie rozpakować swoje książki, które gromadził w ciągu dwudziestu minionych lat, bezskutecznie dotąd czekając na taką okazję. Czuł niezwykle komfort psychiczny, mogąc je rozłożyć w stosach wokół swojego biurka, na stołach i przy łóżku.

Melissa Jane musiała usłyszeć skrzypienie żwiru pod kołami samochodu, gdyż wybiegła frontowymi drzwiami na dziedziniec i natychmiast znalazła się w świetle reflektorów. Serce zabiło mu mocniej, gdy zobaczył jej wdzięczną sylwetkę.

Rzuciła mu się na szyję, oplatając go ramionami. Przyciskał córkę do piersi przez dłuższą chwilę, niezdolny przemówić ze wzruszenia. Była tak wiotka i krucha, a

jednocześnie ciepła i pełna życia. Postawił ją na ziemi, uniósł do góry jej bródkę i spojrzał badawczo w twarz. Duże fiołkowe oczy tonęły we łzach szczęścia, słychać było pociąganie nosem. Miała tę typową, porcelanową, angielską urodę. Nie było śladu po dawnych pryszczach. Świadczyło to o zakończeniu okresu dojrzewania.

Peter pocałował dziewczynkę z namaszczeniem w czoło.

- Kiedyś spowodujesz w ten sposób wypadek - strofował ją z serdeczną czułością.

- Zrzedzisz, tatku. - Chlipnęła, wspinając się na palce, i pocałowała go w usta.

Kolację zjedli we włoskiej restauracji w Croydon. Melissa Jane bez przerwy coś mówiła. Peter patrzył na nią i słuchał, rozkoszując się jej świeżością i młodością. Trudno było uwierzyć, że ma dopiero czternaście lat; fizycznie była rozwinięta ponad wiek. Pod białym golfem wyraźnie rysowały się piersi, zachowywała się jak kobieta o dziesięć lat starsza i tylko wesoły chichot oraz chętnie stosowany żargon szkolny wciąż jeszcze ukazywały jej dziecięcą naturę.

Po powrocie przygotowała herbatę, którą oboje pili, siedząc przy kominku i układając szczegółowy plan wspólnego weekendu. W rozmowie omijali starannie wszystko, co dotyczyło wzajemnych stosunków Petera i jej matki.

Przed pójściem do łóżka usiadła mu na kolanach, przesuwając delikatnie palcem po bruzdach na jego twarzy.

- Wiesz, tatku, kogo mi przypominasz?

- Bardzo jestem ciekaw.

- Garry'ego Coopera, oczywiście w młodszym wieku dodała pospiesznie.

- Oczywiście - roześmiał się Peter. - Gdzie widziałaś Garry'ego Coopera?

- W ostatnią niedzielę pokazano w telewizji „W samo południe”.

Ponownie pocałowała go. Jej usta miały smak cukru i herbaty, włosy pachniały przyjemnie czystością.

- Ile ty masz lat, tatku?

- Trzydzieści dziewięć.

- Jeszcze nie jesteś bardzo stary - pocieszała bez przekonania.

- Czasem czuję się stary jak dinozaur - powiedział. W tym momencie jego kieszonkowe radio zaczęło irytująco ostro brzęczeć, wywołując w nim niepokój.

Tylko nie teraz, pomyślał. Tylko nie dziś. Już tak dawno nie byliśmy razem.

Radio było wielkości pudełka papierosów, jego czerwone oczko świeciło równie uparcie jak sygnał dźwiękowy. Niechętnie wziął do ręki aparat i trzymając wciąż córkę na kolanach, nacisnął guzik.

- Thor jeden - zgłosił się.

Odpowiedź była słaba i niewyraźna, odbiór ledwo słyszalny.

- Generał Stride. Atlas zarządził stan gotowości *Alfa*.

Znowu jakiś fałszywy alarm, ze złością pomyślał Peter. W ciągu ostatniego miesiąca *Alfę* zarządzano chyba z tuzin razy, ale dlaczego właśnie dziś? *Alfa* oznaczała pierwszy stopień gotowości zespołu, jego przygotowanie do odlotu i

oczekiwanie na ogłoszenie następnego stopnia - *Bravo* oraz na rozkaz: *Go!*

- Przekaż Atlasowi, że potrzebujemy siedmiu minut na przygotowanie do *Bravo*.

Czterech i pół minuty potrzebuje, żeby dojechać do bazy. W ciągu tego czasu nieznanemu mu ludzi mogą stracić życie. Nagle decyzja o wynajęciu willi wydała mu się niebezpiecznym pobłażaniem samemu sobie.

- Kochanie. - Przycisnął do siebie Melissę Jane. - Przepraszam cię bardzo.

- Nic nie szkodzi, tatku. - Była wyraźnie urażona.

- Obiecuję, że wkrótce znów się spotkamy.

- Ty zawsze obiecujesz - szepnęła, ale zauważyła, że już jej nie słucha. Zsunął córkę z kolan i wstał z fotela. Miał mocno zaciśnięte szczęki i ściągnięte brwi, niemal stykające się ze sobą nad wąskim, prostym, arystokratycznym nosem.

- Zamknij drzwi po moim wyjściu, kochanie. Przyślę po ciebie kierowcę, jeśli to będzie *Bravo*. Zawiezie cię do Cambridge, a ja powiadomię matkę, żeby na ciebie czekała.

Wyszedł w cienkim ubraniu; przejął go dreszcz chłodu. Do uszu dziewczynki doszedł jeszcze zgrzyt zapalnego silnika, pisk opon na żwirze i coraz cichszy odgłos oddalającego się samochodu.

Kontroler na lotnisku w Nairobi, w piętnaście sekund po odebraniu meldunku z samolotu, wyraził zgodę na lądowanie.

Potem wywołał samolot jeszcze raz, drugi i trzeci, ale bezskutecznie. Wtedy włączył inne częstotliwości i na koniec częstotliwość alarmu, na którym 070 powinien stale czuwać.

Niestety i tutaj nie było żadnej odpowiedzi.

Upłynęło czterdzieści pięć sekund od chwili złożenia ostatniego meldunku *operations normal* przez statek powietrzny 070, gdy kontroler usunął żółtą kartkę z półki „przyłoty” i umieścił ją w szczelinie alarmowej „brak łączności”. Od tej chwili rozpoczęło się poszukiwanie zaginionego samolotu i przygotowania ratunkowe.

Upłynęły dwie i pół minuty od wspomnianego meldunku, gdy na biurku kontrolera w Heathrow Control wylądował teleks z odpowiednią informacją, a szesnaście sekund później o utracie łączności z samolotem został powiadomiony Atlas, który zarządził stan gotowości *Alfa* dla zespołu Thor.

Brakowało trzech dni do pełni księżyca, jego górna krawędź była tylko trochę przysłonięta przez cień Ziemi. Jednak na wysokości dziesięciu tysięcy metrów wydawał się tak wielki jak słońce, a jego srebrne światło było piękniejsze od słonecznego.

Lecący na zachód samolot szybko przemykał ponad szczytami chmur, niby monstrualnej wielkości czarny nietoperz. Pod lewym skrzydłem między chmurami

otwarła się nagle czarna otchłań, niby paszcza samego piekła, w głębi zamigotało słabe światełko przypominające umierającą gwiazdę.

- To Madagaskar - stwierdził kapitan, a jego głos zabrzmiał nienaturalnie głośno w panującej ciszy. - Jesteśmy na trasie.

Dziewczyna poruszyła się za jego plecami. Przełożywszy ostrożnie granat do drugiej ręki, odezwała się po raz pierwszy w ciągu minionej półgodziny.

- Część pasażerów chyba jeszcze nie śpi - zauważyła i spojrzała na zegarek. - Trzeba obudzić wszystkich pozostałych i oznajmić im dobrą nowinę. - Następnie zwróciła się do inżyniera pokładowego: - Proszę zapalić wszystkie światła w kabinach, włączyć napisy: „Zapiąć pasy bezpieczeństwa” i podać mi mikrofon.

Kapitan Cyryl Watkins jeszcze raz miał okazję przekonać się, jak dokładnie została przemyślana cała operacja. Jako porę ogłoszenia komunikatu wybrano godzinę drugą po północy.

Można było oczekiwać, że po nagłym przebudzeniu w środku nocy pasażerowie zareagują jedynie posępną rezygnacją.

- Światła kabin i napisy zostały włączone - oznajmił inżynier, wręczając mikrofon dziewczynie.

- Dzień dobry, panie i panowie. - Głos miała jasny, ciepły i czysty. - Proszę mi wybaczyć, że budzę was o tak niezwykłej porze. Mam jednak ważny komunikat i dlatego proszę o szczególną uwagę.

Przerwała na chwilę, a tymczasem w kabinach podniósł się szmer, głowy pasażerów unosiły się w górę, ręce przeczesywały zmierzwione w czasie snu włosy, oczy przyzwyczały się do światła.

- Proszę zwrócić uwagę, że należy zapiąć pasy bezpieczeństwa i sprawdzić, czy wasi sąsiedzi także to uczynili. Personel w kabinach jest proszony o dopilnowanie wypełnienia tego zalecenia. - Znowu przerwała; pasy bezpieczeństwa ograniczały nagły ruch i spontaniczną, wywołaną szokiem reakcję.

Ingrid odczekała sześćdziesiąt sekund, potem znów zaczęła mówić. - Pozwolą państwo, że się przedstawię. Nazywam się Ingrid i jestem starszym oficerem Akcji Komando, walczącej o ludzkie prawa.

Kapitan Watkins skrzywił drwiąco usta, słysząc ten pompatycznie brzmiący, samozwańczy tytuł, ale milczał, wpatrzony w gwiazdzistą, rozświetloną przez księżyc przestrzeń.

- Samolot jest obecnie pod moimi rozkazami - ciągnęła Ingrid. - Nikomu nie wolno opuszczać miejsca bez zezwolenia jednego z moich oficerów. Ostrzegam, że niepodporządkowanie się rozkazowi może spowodować zniszczenie samolotu i śmierć wszystkich znajdujących się na pokładzie osób.

Następnie powtórzyła ten sam komunikat płynnie po niemiecku, potem, nie tak już biegle, ale wystarczająco zrozumiale, po francusku. W końcu powróciła do języka angielskiego.

- Oficerowie Akcji Komando będą nosili czerwone koszule dla łatwego ich odróżnienia i będą uzbrojeni.

Tymczasem pozostała trójka porywaczy zerwała podwójne dna swoich brezentowych toreb. Zasłonięte nimi skrytki były na pięć centymetrów głębokie, na trzydzieści pięć - długie i dwadzieścia - szerokie. Ukryto w nich dwanaście pistoletów i dziesięć dysków z nabojami. Wykonane ze specjalnego plastiku lufy pistoletów miały trzydzieści pięć centymetrów długości; nie wytrzymałyby przelotu normalnej kuli, lecz przystosowano je do oddawania wielokrotnych strzałów przy niższych prędkościach kuli i przy użyciu bezdymnego prochu.

Zamek był również plastikowy, podobnie jak podwójne uchwyty pistoletów. Szpilka i niewielka sprężyna z metalu nie mogły zaniepokoić detektorów metalu podczas kontroli w porcie lotniczym w Mahé. Nawet zapakowane w torebki ze sztucznego tworzywa naboje miały plastikowe gilzy i tylko ich spłonki wykonane były z aluminiowej folii.

Broń była krótka, czarna i brzydka, podobnie jak konwencjonalny karabin wymagała ponownego ładowania po każdym strzale. Strzał powodował tak silny odrzut, że mógł złamać dłoń użytkownika, jeśli ten należycie mocno nie przyciskał jej uchwytu. Pocisk wystrzelony z odległości trzech i pół metra wrywał z człowieka wnętrzności, a z odległości niespełna dwóch metrów zrywał mu z karku głowę, nie mógł jednak przebić kadłuba dużego samolotu pasażerskiego. To była, mimo wszystko, doskonała broń ręczna. W ciągu zaledwie kilku sekund każdy z trzech pistoletów został złożony i nabity. Dwaj uzbrojeni mężczyźni zajęli wyznaczone stanowiska - jeden z tyłu kabiny pierwszej klasy, drugi z tyłu kabiny klasy turystycznej. Ostentacyjnie demonstrowali broń.

Smukła, ciemnowłosa niemiecka dziewczyna pozostała na miejscu nieco dłużej. Zręcznie i szybko otwierała pozostałe kokosy, przekładając ich zawartość do dwóch toreb. Te granaty różniły się od trzymanego w ręku przez Ingrid jedynie czerwonym paskiem na obwodzie. Oznaczało to, że są elektronicznie detonowane.

W obu kabinach pasażerskich znów rozległ się jasny i czysty głos Ingrid. Pasażerowie, już całkowicie rozbudzeni, siedzieli sztywno, w napięciu. Wszystkie twarze wyrażały szok i strach.

- W tej chwili oficer naszego komando rozmieszcza w kabinach granaty o dużej sile wybuchu. - W tym momencie ciemnowłosa dziewczyna podniosła się ze swego miejsca i przechodząc między rzędami siedzeń, otwierała co piętnastą półkę bagażową. Umieszczała w nich granaty. Pasażerowie śledzili te poczynania z milczącym przerażeniem. - Wybuch jednego z tych granatów jest w stanie zniszczyć samolot. W normalnych warunkach są przeznaczone do zabijania załóg czołgów bojowych, pokrytych pancerzem grubości piętnastu centymetrów. Mój oficer rozmieszcza czternaście sztuk tych granatów wzdłuż całego samolotu. Mogą zostać zdetonowane przeze mnie jednocześnie dzięki elektronicznemu nadajnikowi, który

noszę przy sobie. - Tu jej głos przybrał ton nieco figlarny, jakby żartobliwy. - I gdyby to się zdarzyło, wielkie BANG usłyszano by nawet na biegunie północnym.

Wśród pasażerów zapanowało poruszenie, jak wśród liści na drzewie przy nagłym podmuchu wiatru. Jakaś kobieta zaczęła płakać, nikt jednak nawet nie spojrzał w jej kierunku.

- Ale proszę się przedwcześnie nie martwić. Unikniemy tego, jeśli każdy będzie stosował się do naszych poleceń, a gdy wszystko się już zakończy, będziecie dumni z udziału w tej operacji. Jesteśmy uczestnikami wielkiej i szlachetnej misji, bojownikami walczącymi o wolność i godność człowieka. Dziś dokonujemy wielkiego kroku w kierunku stworzenia nowego świata, wolnego od niesprawiedliwości i ucisku, w imię szczęścia całej ludzkości.

Do przytłumionego szlochu kobiety dołączył się piskliwy głos dziecka.

Ciemnowłosa dziewczyna powróciła na swoje miejsce i wydobyla z torby aparat fotograficzny, który tak bardzo pobudził detektor metalu na lotnisku w Mahé. Zrzuciła pasek aparatu na szyję, zabrała dwa pozostałe pistolety i pasy z nabojami, po czym przeszła z tym wyposażeniem do kabiny pilotów, gdzie blondynka pocałowała ją serdecznie w usta.

- Karen, *Liebling*, jesteś wspaniała. - Wzięła od niej aparat i zawiesiła sobie na szyi. - Wbrew pozorom to nie jest aparat fotograficzny - wyjaśniła kapitanowi. - To jest właśnie detonator granatów umieszczonych na półkach bagażowych.

Skinął w milczeniu głową, a tymczasem Ingrid z widoczną ulgą rozbroiła trzymany granat, usuwając zapalnik. Rozbrojony przekazała Karen.

- Jak daleko jeszcze do wybrzeża? - Zapytała, gdy zapięła już pas z nabojami.

- Trzydzieści dwie minuty lotu - odpowiedział inżynier pokładowy. Ingrid tymczasem otworzyła zamek pistoletu, sprawdzając ładunek, po czym zatrzasnęła go z powrotem.

- Ty i Henri możecie teraz odpocząć - zwróciła się do Karen. - Spróbujcie się przespać.

Operacja mogła trwać jeszcze wiele dni i zmęczenie byłoby wówczas ich najgroźniejszym przeciwnikiem. Do tej pory wszyscy byli aktywni non stop, od tej jednak chwili dwoje z nich powinno, na zmianę, odpoczywać.

- Jak dotąd - odezwał się pilot, Cyryl Watkins - wykonujecie swoją robotę bez zarzutu.

- Dziękuję - roześmiała się Ingrid, kładąc mu dłoń na ramieniu w przyjaznym geście. - Ciężko dzisiaj pracowaliśmy.

Jadąc wzdłuż wąskiej alei prowadzącej prosto do bramy bazy, Peter Stride trzykrotnie zmienił światła. Dał w ten sposób znak wartownikowi, który otworzył mu bramę. Nie zatrzymując się ani na chwilę, samochód zmierzał wprost w stronę

hangaru.

Nigdzie nie paliły się światła, nie widać było żadnej krzątaniny, tylko cielska dwóch samolotów wypełniały ciemną o tej porze paszczę hangaru. Jednym z nich był samolot transportowy herkules, przystosowany do wspierania bombowców w czasie drugiej wojny światowej. Jego wysoki, pionowy statecznik sięgał niemal samego stropu hangaru. Stojący obok niego odrzutowiec, hawker siddeley HS 125, na tle potężnego sąsiada wydawał się filigranowy i kruchy.

Ledwo Peter zdążył wyłączyć silnik i światła samochodu, gdy obok niego pojawił się Colin Noble.

- Dobrze, że już jesteś, Peterze. - Mówił z zachodnioamerykańskim akcentem i wyglądał raczej na sprzedawcę samochodów niż na pułkownika marynarki wojennej USA. Miał na sobie niebieski kombinezon i beret z wyhaftowanym napisem: THOR COMMUNICATIONS.

Colin zajmował w zespole stanowisko zastępcy Petera. Znali się dopiero od sześciu tygodni, to jest od momentu objęcia przez Petera dowództwa Thoru. Jednak po krótkim czasie zawiązała się między nimi nieścisłość i sympatii. Colin był średniego wzrostu, lecz silnej postury. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że jest gruby. Na jego umięśnionym ciele nie było jednak ani grama tłuszczu. Kiedyś walczył jako bokser wagi ciężkiej, o czym świadczył złamany u nasady nos nad wciąż uśmiechniętymi szerokimi ustami. Zachowywał się hałaśliwie i prostodusznie, ale oczy koloru toffi wyrażały bystrość i inteligencję. Mimo że niełatwo było zdobyć respekt Petera, upartemu i sprytnemu Colinowi udało się to w ciągu sześciu tygodni.

Stał teraz między dwoma samolotami o barwach: niebieskiej, białej i złotej; na obydwu ogonach widoczny był wizerunek boga gromów, wzdłuż kadłubów zaś napis: THOR COMMUNICATIONS. Maszyny mogły lądować na każdym lotnisku świata, nie wywołując żadnych zbędnych komentarzy.

- Skąd to nagle zamieszanie, Colinie? - Zapytał Peter, zatrzasnąwszy drzwi rovera i spiesząc na spotkanie Amerykanina.

Przyzwyczajenie do sposobu wyrażania się zastępcy wymagało od niego nieco czasu i świadomego wysiłku. Nie sprawiło mu to jednak większych trudności, był przecież najmłodszym generałem w armii brytyjskiej.

- Zaginął samolot Brytyjskich Linii Lotniczych.

Równie dobrze mógłby zginąć pociąg lub transatlantyk, pomyślał Peter.

- Na Boga, uciekajmy z tego zimna. - Wiatr szarpał wściekle rękawami i nogawkami kombinezonu Colina.

- Gdzie?

- Na Oceanie Indyjskim.

- Jesteśmy gotowi do *Bravo!*

- Wszystko w porządku.

Wnętrze hawкера zostało przystosowane do spełniania roli kwatery głównej

dowódcy i ośrodka łączności jednocześnie.

W kabinie pilotów znajdowały się cztery wygodne fotele dla oficerów. Inżynierowie elektronicy zajmowali oddzielne pomieszczenie z tyłu, obok którego była mała toaleta i kuchenka.

Jeden z nich stał w drzwiach samolotu, gdy Peter wszedł do środka.

- Dobry wieczór, generale, mamy właśnie bezpośrednie połączenie z Atlassem.

- Daj je na ekran - rozkazał Peter i zagłębił się w obitym skórą fotelu.

Naprzeciwko Petera zainstalowany był niewielki, czternastocalowy ekran telewizyjny, a nad nim cztery mniejsze, sześciocalowe. Wszystkie służyły celom łączności. Główny ekran ożył. Pojawiła się na nim lwia grzywa, zdobiąca głowę dowódcy Atlasu.

- Dzień dobry, Peterze. - Uśmiech szefa był ciepły, ujmujący i charyzmatyczny.

- Dobry wieczór, sir.

Doktor Kingston Parker pochylił lekko głowę, uprzytomniwszy sobie różnicę czasu między Waszyngtonem i Anglią.

- W tej chwili poruszamy się w kompletnym mroku. Wiadomo nam tylko, że samolot Brytyjskich Linii Lotniczych, lot zero siedemdziesiąt, z czterystu jeden pasażerami na pokładzie, lecący z Mahé do Nairobi, zaginął. Od trzydziestu dwóch minut nie mamy z nim żadnej łączności.

Jako zwierzchnik Atlasu, Parker podlegał bezpośrednio prezydentowi USA, z którym łączyły go więzy przyjaźni. Obaj uczyli się w Annapolis, obaj ukończyli studia, mając dwadzieścia lat. Ale Parker, w odróżnieniu od prezydenta, trafił do administracji państwowej.

Parker był artystą, utalentowanym muzykiem, arcymistrzem szachowym, autorem czterech uczonych rozpraw z zakresu filozofii i polityki, człowiekiem o wspaniałej prezencji i wybitnej inteligencji. Unikał dziennikarzy i ukrywał swoje ambicje, w zasięgu których mogła być nawet prezydentura USA.

Peter Stride spotykał się z nim już kilkakrotnie od chwili objęcia dowództwa Thoru. Spędził nawet weekend w nowojorskim domu Parkera. Miał dla przełożonego ogromny szacunek. Zdawał sobie sprawę, że to doskonały kierownik dla takiej skomplikowanej jednostki jak Atlas, która potrzebowała łagodzącego wpływu filozofa, jego taktu i zręczności dyplomaty w kontaktach z głowami dwóch rządów oraz jego chłodnego intelektu, tak niezbędnego przy podejmowaniu ostatecznych decyzji, od których zależało życie setek tysięcy ludzi i które pociągały za sobą nieobliczalne polityczne konsekwencje.

Obecnie krótko i zwięźle przekazał Peterowi wszystko, co było wiadome o locie 070 i jakie kroki przedsięwzięto w celu odszukania samolotu.

- Nie chciałbym być złym prorokiem, ale ten samolot może być doskonałym celem dla porywaczy. Na jego pokładzie znajduje się większość lekarzy o światowej sławie, a termin zjazdu został podany do publicznej wiadomości półtora roku temu.

Zagrozenie bezpieczeństwa lekarzy może głęboko poruszyć opinię społeczną na świecie, tym bardziej, że są wśród nich przedstawiciele wielu krajów: Amerykanie, Brytyjczycy, Francuzi, Skandynawowie, Niemcy, Włosi. Przynajmniej trzy spośród tych krajów mają wiele kłopotów z terrorystami. Samolot jest brytyjski i jeśli rzeczywiście został uprowadzony, kierunek jego lotu z pewnością wybrano tak, żeby skomplikować całą sprawę i utrudnić ewentualną kontrakcję.

Parker przerwał na chwilę, jego gładkie czoło przecięły dwie zmarszczki świadczące o głębokim zatroskaniu.

- Także Merkurego postawiłem w stan gotowości *Alfa*. Jeśli mamy do czynienia z porwaniem, to kierunek lotu może prowadzić również na wschód.

Siła uderzeniowa Atlasu składała się z trzech jednostek. Thor mógł zostać użyty do akcji tylko w Europie i Afryce. Merkury usytuowany był w amerykańskiej bazie morskiej w Indonezji i miał w obszarze swojego działania Azję, Australię i Oceanie.

Wreszcie Dianę ulokowano w Waszyngtonie, w jej zasięgu pozostawały oba amerykańskie kontynenty.

- Mam w tej chwili na wizji Tannera z Merkurego. Za chwilę połączę się z tobą ponownie, Peterze - usprawiedliwił się Parker, przerywając łączność.

- W porządku, sir.

Obraz znikł z ekranu.

Nie było już nic do zrobienia, wszystko wcześniej zostało przygotowane i znajdowało się w stanie pełnej gotowości.

A może to tylko kolejny fałszywy alarm? Tymczasem w potężnym herkulesie każdy przedmiot jego wszechstronnego wyposażenia był gotów do natychmiastowego użycia. Trzydziestu doskonale wyszkolonych żołnierzy oczekiwało na rozkaz wylotu, a załogi obu samolotów trwały na swoich miejscach. Inżynierowie nawiązali łączność z satelitami i, za ich pośrednictwem, z komputerami wywiadów w Waszyngtonie i Londynie. Pozostawało tylko czekać. Każdy żołnierz większość swojego życia spędza na oczekiwaniu, ale Peter do tej pory nie uodpornił się jeszcze na tę uciążliwość i dlatego cieszył się z obecności Colina Noble'a.

Jako żołnierz, Peter przebywał najczęściej w towarzystwie mężczyzn. Ze względu na specyfikę służby wojskowej trudno było jednak nawiązać z nimi bliższe stosunki. Dopiero tutaj, w Thorze, w niewielkim zespole poznanie się i nawiązanie przyjaźni stało się prostsze.

Przez kwadrans Peter i Colin prowadzili luźną rozmowę, przeskakując z tematu na temat i nie ujawniając przed sobą niepokoju, który ich opanował. W pewnej chwili na ekranie ponownie pojawił się Kingston Parker. Poinformował, że dotychczasowe poszukiwania boeinga nie dały rezultatu i że zdjęcia, wykonane przez satelitę Big Bird na terenie ostatniej lokalizacji samolotu, nie będą gotowe do oceny w ciągu najbliższych czternastu godzin. Upłynęła już godzina i sześć minut od chwili przyjęcia ostatniego meldunku z samolotu. Nagle Peter przypomniał sobie o Melissie Jane.

Natychmiast poprosił telefonistkę o połączenie go z willą. Telefon milczał, więc kierowca musiał już ją zabrać. Odłożył słuchawkę i zadzwonił do Cyntii w Cambridge.

- Do licha, Peterze. To naprawdę niepoważne. - Zbudzona ze snu, nie kryła rozdrażnienia. - Melissa tak bardzo czekała na to spotkanie.

- Wiem, ja również czekałem.

- George i ja wszystko zorganizowaliśmy...

George, jej nowy mąż, był wykładowcą historii politycznej. Peter lubił go jako człowieka, zwłaszcza za dobroć okazywaną Melissie Jane.

- Służba nie drużba - uciął krótko Peter.

- Tyle razy to już słyszałam - w jej głosie pojawiła się nuta goryczy - i miałam nadzieję, że już więcej nie usłyszę.

Musiał przerwać, nie miał ochoty znowu tego wysłuchiwać.

- Chciałem cię powiadomić, że Melissa jest już w drodze...

Na dużym ekranie telewizyjnym pojawił się znowu Kingston Parker, jego oczy wyrażały żal i smutek.

- Muszę już kończyć rozmowę - powiedział Peter do kobiety, którą kiedyś kochał, i odłożył słuchawkę, pochylając się jednocześnie w stronę ekranu, żeby nie uronić niczego, co powie Parker.

- Obrona przeciwlotnicza Afryki Południowej zidentyfikowała samolot zbliżający się do jej przestrzeni powietrznej oznajmił Kingston Parker. - Jego szybkość i położenie odpowiadają danym dotyczącym boeinga. Wysłali myśliwce odrzutowe mirage, żeby go przechwyciły. Doszedłem do wniosku, że to jednak porwanie, wobec czego przechodzimy natychmiast do stanu gotowości *Bravo*, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Zgadząmy się z panem, sir.

Colin Noble zdjął nogi z biurka i postawił je na podłodze; cygaro pozostało między zębami.

Pilot przechwytyjącego myśliwca mirage FI nastawił komputer na „atak”. Wyposażenie bojowe myśliwca, rakiety i działą były gotowe do zadania ciosu. Komputer dał trzydzieści trzy sekundy na przechwycenie zbliżającego się obiektu.

Wstawał świt w rozległej, wręcz teatralnej scenerii. Lawiny srebrnych i różowych chmur spadały z nieba, a słońce, wciąż jeszcze schowane za horyzontem, rzucało długie włócznie złotego światła w poprzek nieba. Pilot pochylił się do przodu na tyle, na ile pozwalały mu rzemienie przytrzymujące ramiona.

Odzianą w rękawiczkę dłonią uniósł do góry przyłbicę kasku, wypatrując oczekiwanego celu. Jego wprawne oczy wnet ujrzwały ciemny punkt na tle poszarpanych chmur i słonecznej poświaty.

Jednocześnie wykonał niedostrzegalny ruch przyrządami sterującymi, żeby uniknąć czołowego zblżenia do celu.

Punkt powiększał się niepokojąco szybko na skutek połączonej prędkości obu pojazdów, wynoszącej łącznie około dwóch tysięcy czterystu kilometrów na godzinę. W momencie, gdy pilot był już pewny identyfikacji celu, poderwał maszynę w górę, niemal pionowo. Dzięki temu znalazł się około półtora tysiąca metrów nad wielkim statkiem powietrznym, a następnie przyjął ten sam kierunek lotu i tę samą szybkość.

- Cheetah, tu pilot Diamond, widzę go. To boeing siedemset czterdzieści siedem, ma oznakowania Brytyjskich Linii Lotniczych.

- Pilot Diamond, tu Cheetah, utrzymuj dotychczasową odległość i nie spuszczaaj go z oczu. Po sześćdziesięciu sekundach melduj ponownie.

Urządowy odrzutowiec generała-majora Petera Stride'a mknął na południe, pozostawiając w tyle przesuwającego się ociężałe jego śladem herkulesa. Z każdą minutą odległość między samolotami wzrastała, a zanim dotrą do celu, dzielić ich będzie półtora tysiąca, a może i więcej kilometrów.

Wielki herkules mimo małej szybkości stawał się niezastąpiony, gdy trzeba było ciężki ładunek (ludzi i wyposażenie) dostarczyć do najbardziej nawet niedostępnych zakątków ziemi, zwłaszcza do tropiku i na tereny górskie.

Misja hawkera to najszybciej dowieźć Petera Stride'a na scenę działania terrorystów. Zadaniem generała było tak długo manewrować, zwlekać i targować się, dopóki zespół Colina Noble'a nie dotrze na miejsce.

Obaj dowódcy pozostawali w stałym kontakcie: na małym ekranie telewizyjnym Petera ciągle widniał obraz wnętrza herkulesa. Ilekroć Peter uniósł głowę, miał przed oczami swój zespół: ubrani w kombinezony żołnierze przechadzali się lub też leżeli w niedbałych pozach. Byli to, tak jak on, ludzie doświadczeni w sztuce wyczekiwania. Na pierwszym planie, przy małym biurku, siedział Colin Noble przedzierający się przez długą listę zadań, które trzeba wykonać przy stanie gotowości *Charlie*, stanowiącym następnym etapem akcji.

Obserwując Colina Noble'a przy pracy, Peter Stride zastanawiał się nad olbrzymimi kosztami utrzymania Atlasu, w większości finansowanego z budżetu służb wywiadowczych USA, oraz nad przeszkodami, które pokonano przy powoływaniu go do życia. Ostateczną decyzję w tej kwestii należy zawdzięczać sukcesowi Izraelitów w Entebbe i Niemców w Mogadiszu. Jednakże i w USA, i w Wielkiej Brytanii wciąż istnieje silna opozycja przeciwko utrzymywaniu wspólnej kontruderzeniowej siły.

Po wstępnych sygnałach na dużym ekranie znów pojawił się obraz doktora Parkera.

- Sądzę, że istnieją już warunki do wprowadzenia stanu gotowości *Charlie* - powiedział miękko, a Peter poczuł, jak krew zaczęła mu szybciej krążyć w żyłach.

Było rzeczą naturalną, że żołnierz, który całe swoje życie spędzał na przygotowaniach do takiego momentu, z podnieceniem witał jego nadejście; Peter czuł jednak coś w rodzaju pogardy dla siebie za to uczucie. Rozumiał, iż żaden normalny człowiek nie powinien się cieszyć, gdy do głosu dochodzi siła, przemoc i gwałt.

- Południowoafrykańczycy przechwycili i zidentyfikowali zero siedemdziesiąt - ciągnął dalej Parker. - Od czterdziestu pięciu sekund znajduje się w ich przestrzeni powietrznej.

- Czy istnieje łączność radiowa z boeingiem?

- Nie ma - Parker pokręcił przecząco swoją wielką głową. - Należy sądzić, że samolot jest w rękach porywaczy. W związku z tym postanowiłem nie opuszczać stanowiska, dopóki sytuacja się nie wyjaśni. - Kingston Parker nie użył słowa „terroryści” i nie lubił, kiedy używali go jego podwładni.

„Nigdy nie kieruj się ślełą nienawiścią do przeciwnika powiedział kiedyś Peterowi. - Staraj się zrozumieć motywy postępowania, rozpoznaj i oceń jego siły, a wtedy będziesz lepiej przygotowany do spotkania”.

- Na jaką współpracę możemy liczyć? - Zapytał Peter.

- Wszystkie państwa afrykańskie, z którymi udało nam się nawiązać kontakt, oferują swoją współpracę, łącznie ze zgodą na przelot nad ich terytoriami, na lądowanie oraz możliwość zaopatrzenia w paliwo. Dotyczy to również Afryki Południowej. Przeprowadziłem rozmowę z południowoafrykańskim ministrem obrony, który zadeklarował gotowość do całkowitej współpracy. Oczywiście, odmawiają zgody na lądowanie zero siedemdziesiąt na ich terytorium, więc liczę się z możliwością lądowania samolotu w jednym z murzyńskich krajów, co jest chyba intencją porywaczy. Sądzę, że znasz mój stosunek do Afryki Południowej. Na razie jednak jestem zadowolony z kontaktów z nimi.

Parker zaczął nabijać tytoniem dużą fajkę z korzenia wrzosu. Dłonie miał duże, palce długie jak u pianisty, którym zresztą był. Peter pamiętał woń tytoniu Parkera; chociaż sam nie palił, ta woń go nie drażniła. Obaj mężczyźni milczeli zagłębieni w swoich myślach, Parker jakby skoncentrowany na fajce. Po chwili westchnął i podniósł oczy na Petera.

- To wszystko, co ci miałem do powiedzenia, Peterze. Teraz słucham ciebie.

Peter zaczął przerzucać poczynione przez siebie notatki.

- Przygotowałem cztery prawdopodobne scenariusze wypadków i propozycje naszej reakcji na każdy z nich. Najważniejszą sprawą jest jednak decyzja, czy rozstrzygnięcie ma być *à l'allemande*, czy też *à l'italienne*.

Parker skinął głową potakująco; problem, choć nieobcy, wymagał jednak ponownego rozpatrzenia w konkretnych warunkach. Rozstrzygnięcie na wzór włoski było łatwiejsze, wymagało po prostu gotówki. Natomiast wzór niemiecki przewidywał zwolnienie więźniów oraz zaspokojenie szeregu żądań natury społecznej i politycznej, co wykraczało poza ich kompetencje. Pracowali, dopóki znów im nie przerwano.

- Wielki Boże - w ten sposób Kingston Parker wyrażał swoje największe zaskoczenie. - Sytuacja uległa dalszej komplikacji.

Dopiero gdy 070 wszedł na wschodnią trasę i zaczął przygotowania do lądowania bez uzyskania zgody, dowództwo południowoafrykańskich sił powietrznych nagle uświadomiło sobie, co może się wydarzyć.

Natychmiast na wszystkie częstotliwości zastrzeżone dla lotnictwa nałożono obowiązek ciszy. Jednocześnie zbliżający się samolot nieustannie bombardowano poleceniami bezzwłocznego opuszczenia przestrzeni powietrznej państwa. Intruz jednak w ogóle nie reagował na polecenia, a w odległości trzystu kilometrów od Międzynarodowego Portu Lotniczego im. Jana Smutsa zaczął zwalniać i spokojnie schodzić w dół, aby w końcu wejść w kontrolowaną przestrzeń.

- Brytyjskie Linie Lotnicze zero siedemdziesiąt, tu kontrola na Janie Smutsie, nie ma zgody na lądowanie. Czy mnie słyszysz?

- Brytyjskie Linie Lotnicze zero siedemdziesiąt, tu dowództwo sił powietrznych. Ostrzegamy, że pogwałciliście naszą przestrzeń powietrzną. Macie natychmiast wznieść się na wysokość dziewięciu tysięcy metrów i przyjąć kurs na Nairobi.

Boeing znajdował się już w odległości stu osiemdziesięciu kilometrów, na wysokości około czterech i pół tysiąca metrów.

- Pilot Diamond, tu Cheetah. Przejmij cel pod swoje rozkazy i zmusz do odlotu.

Lśniący, zielonobrazowy myśliwiec mirage spadł nagle z nieba jak strzała, nurkując tuż pod ogonem boeinga, a następnie wzniósł się gwałtownie w górę przed czerwono-biało-niebieskim nosem. Pilot mirage'a umiejętnie ustawił swoją zwinną maszynę w odległości trzydziestu metrów przed boeingiem i ruchem skrzydeł przekazał komendę: *Follow me*.

Tymczasem boeing sunął spokojnie, jakby nic nie rozumiał. Pilot myśliwca przyhamował nieco i odległość między samolotami zmniejszyła się do piętnastu metrów. Znowu przekazał sygnał kołysaniem skrzydeł i zaczął stopniowo zawracać w kierunku nakazanym przez Cheetah.

Boeing trzymał niezmiennie kurs na lotnisko w Johannesburgu, zmuszając w końcu pilota mirage'a do zaniechania prób.

Z piętnastometrowej odległości, jaka dzieliła oba samoloty, widać było wnętrze kabiny pilotów boeinga.

- Cheetah, tu Diamond jeden. Widzę dobrzeabinę pilotów. Są w niej cztery osoby, w tym jedna kobieta uzbrojona w pistolet maszynowy.

Twarze obu pilotów boeinga szarzały jak popiół. Kobieta na lewym siedzeniu przechyliła się do tyłu i podniosła w górę broń w ironicznym pozdrowieniu. Śmiała się.

- Młoda kobieta, blondynka, *mooi, baie mooi* - meldował. - Ładna, bardzo ładna.

- Diamond jeden, tu Cheetah. Zajmij pozycję do czołowego ataku.

Mirage runął natychmiast w przód i wzbił się szybko w górę, a cztery inne

samoloty poszybowały za nim, by wysunąć się przed boeinga, utworzyć w końcu szyk *finger fire*.

- Cheetah. Zajmujemy pozycję do ataku.

- Diamond. Pozorować atak w linii wstecz, w odstępach pięciosekundowych. Jak najmniejsza odległość. Nie otwierać, powtarzam, nie otwierać ognia. To ma być atak pozorowany. Powtarzam, to atak pozorowany.

Mirage F1 wykonał obrót na skrzydle, a następnie zanurkował, przyspieszając i przebijając barierę dźwięku.

Cyryl Watkins zauważył go w odległości siedmiu mil przed sobą.

- Jezusie! - Zawołał - to naprawdę... - Rzucił się naprzód, żeby wyłączyć automatycznego pilota i przejąć ręczne sterowanie boeinga.

- Nie ruszaj go! - Ingrid po raz pierwszy podniosła głos.

- Nie ruszaj - powtórzyła, a następnie skierowała podwójny wylot pistoletu na inżyniera pokładowego. - Żadnych zmian w sterowaniu.

Kapitan zastygł nieruchomo, gdy tymczasem mirage był coraz głośniejszy i zbliżał się, wypełniając sobą całą szybę ochronną przed nimi. Dosłownie w ostatniej chwili uniósł lekko dziób w górę i przemknął w odległości nie większej niż trzydzieści centymetrów. Wywołana przelotem turbulencja wstrząsnęła boeingiem.

- Leci następny - zawołał Cyryl Watkins.

- Widzę - powiedziała Ingrid i przycisnęła lufę pistoletu do pleców inżyniera pokładowego tak mocno, że uderzył czołem o pudło komputera, rozcinając lekko skórę. Pojawiła się na niej kropla krwi.

Jeden za drugim uderzały w boeinga straszliwe podmuchy wywołane kolejnymi atakami mirage'y. Ingrid trzymała kurczowo oparcie fotela, a drugą ręką przyciskała pistolet do karku inżyniera. Za przegrodą oddzielającą ich od kabiny pasażerów słychać było krzyki przerażenia.

W końcu ostatni mirage przeleciał nad nimi i wstrząsany podmuchami boeing odzyskał równowagę.

- Chyba nie będą nas już więcej straszyć. - Ingrid zdjęła lufę pistoletu z karku inżyniera, pozwalając mu unieść do góry głowę i zetrzeć kroplę krwi z rękawa koszuli. Nie mogą już wrócić. Znajdujemy się w kontrolowanej przestrzeni powietrznej. - Pokazała ręką przed siebie. - Spójrzcie!

Boeing leciał na wysokości półtora tysiąca metrów, horyzont lekko zaciemniała mgielka smogu i letniego upału. Na prawo widoczne były smukłe sylwetki wież chłodniczych Kempton Park Power Station, a nieco bliżej - rozległy teren pokryty żółtymi hałdami kopalnianymi. Wokół hałd gęsto rozsiadły się ludzkie domostwa. Okna w porannym słońcu lśniły jak światła nawigacyjne.

Jeszcze bliżej widać było długą, prostą, błękitną wstęgę głównego pasa startowego.

- Siadaj na pasie startowym dwadzieścia jeden - rozkazała Ingrid Watkinsowi.

- Nie możemy...

- Siadaj - ucieła. - Kontrola lotów zezwoli nam na lądowanie. Nie mogą nam przeszkodzić.

- Niestety, mogą - odpowiedział pilot. - Proszę spojrzeć na pas startowy.

Byli już wystarczająco blisko, żeby dostrzec pięć cystern z oznakowaniem firmy Shell.

- Chcą zablokować pas startowy.

Oprócz cystern widać było pięć lśniących czerwienią wozów strażackich. Dwa duże białe ambulanse, stojące w odstępie pięciuset metrów, zaparkowane były wzdłuż pasa.

- Nie możemy lądować - stwierdził kapitan.

- Wyłącz automatycznego pilota i steruj ręcznie - głos dziewczyny był jakiś inny; twardy, okrutny.

Boeing wciąż zniżał lot, zbliżając się do pasa startowego dwadzieścia jeden, na którym migotały czerwone światła sygnalizacyjne wozów strażackich.

- Nie mogę przecież wylądować na nich - powiedział stanowczo Cyryl Watkins, w jego głosie nie słychać było już ani cienia wahania. - Mam zamiar je przeskoczyć i wydostać się stąd.

- Ląduj na trawniku! - Krzyczała dziewczyna. - Na lewo od pasa jest wolny trawnik, siadaj tam.

Ale Cyryl Watkins już pochylił się do przodu i nacisnął dźwignię. Silnik zawył i boeing poderwał się w górę.

Młody inżynier pokładowy obrócił się na stołku i patrzył przez szybę. Siedział wyprostowany, twarz miał napiętą, a plama krwi na czole stanowiła kontrast z bledością skóry. Prawą ręką uczeplił się kurczowo krawędzi znajdującego się przed nim pulpitu. Kostki palców białeły jak wypolerowane.

Bez słowa ostrzeżenia dziewczyna przycisnęła tę dłoń lufą swojego pistoletu. Nastąpił rozrywający błony w uszach huk. Broń odskoczyła, odrzucając do tyłu głowę dziewczyny, kabinę wypełnił śwąd spalonego prochu.

Jakby z niedowierzaniem inżynier patrzył na pulpit, na którym pojawiła się dziura średnicy filiżanki. Na obrzeżach otworu widoczny był błyszczący, wyszczerbiony metal.

Wystrzał odciął rękę dokładnie w nadgarstku. Oderwana dłoń upadła między fotele pilotów. Z okaleczonego ciała sterczała pogruchotana kość, palce kurczyły się jak członki rozgniecione owada.

- Ląduj - powiedziała dziewczyna do pilota. - Ląduj albo tym razem strzelę w jego głowę.

- Ty przeklęty potworze! - Zawołał Cyryl Watkins, patrząc na oderwaną rękę.

- Ląduj albo będziesz miał na sumieniu życie tego człowieka.

Inżynier przycisnął kurczowo kikut ramienia do brzucha i zgiął się w milczeniu. Twarz wykrzywił szok.

Cyryl Watkins oderwał oczy od odciętej ręki i spojrział przed siebie. Między pasem startowym a ścieżką dla pojazdów kołowych ciągnął się szeroki, pusty trawnik. Trawa na nim była systematycznie koszona, a grunt pod nią gładki i twardy.

Pociągnął dźwignię do tyłu i niemal natychmiast grzmot silników zamarł, a dziób samolotu znów pochylił się w przód.

Prowadził samolot wzdłuż głównego pasa startowego aż do końca świateł. Nie chciał przedwcześnie zdradzić swoich intencji kierowcom blokujących pojazdów. Mogliby próbować przeszkodzić mu w lądowaniu.

- Ty krwawa, przeklęta suko - powiedział półszepem. Ty wstrętna, podła suko.

Oddawszy całkowicie dopływ gazu do silników i uniósłszy nieco w górę dziób samolotu, osadził go powoli w trawie, aż do zetknięcia z ziemią. Potężna maszyna siadła, trzęsąc się i podrygując. Watkins starał się utrzymać równowagę, trzymając wciąż jeszcze koła dziobu w górze, a drugi pilot włączył wsteczny bieg i naciskał hamulce.

Samochody strażackie i cysterny migotały światłami. Zaskoczone twarze ich kierowców były zawzięte i blade. 070 był już nie do powstrzymania, jego szybkość malała, koła dziobu powoli opadły, wielka maszyna toczyła się wolno po nierównym podłożu.

O siódmej dwadzieścia pięć czasu lokalnego statek powietrzny 070 wylądował w Johannesburgu.

- Tak więc wylądowali - ze szczególnym naciskiem stwierdził Kingston Parker. - Rozumiesz chyba, dlaczego czyniono tyle wysiłków, żeby do tego nie dopuścić. Wybór miejsca lądowania przez porywaczy daje odpowiedź na jedno z twoich pytań, Peterze.

- A więc *à l'allemande* - powiedział Peter. - Sprawa ma wyraźnie charakter polityczny. Zgadzam się z panem, sir.

- To, co do tej pory było czystą teorią, stało się straszną rzeczywistością. - Mówiąc to, Parker czyścił szpikulcem otwór swojej fajki. - Mamy do czynienia z moralnie usprawiedliwioną przemocą.

- Tym razem nie zgadzam się z panem, sir - odparł szybko Peter. - Nie określiłbym tego w ten sposób.

- Czyżby? - Zapytał Parker, kręcąc głową. - A co powiesz o niemieckich oficerach zabijanych na ulicach Paryża przez francuski ruch oporu?

- To była wojna - odparł Peter.

- Prawdopodobnie grupa, która opanowała zero siedemdziesiąt, też jest przekonana, że bierze udział w wojnie...

- Której ofiarami są niewinni ludzie? - Odpalił Peter.

- Haganah także pochłonął niewinne ofiary, a jednak to, o co walczyli, było słuszne

i sprawiedliwe.

- Jestem Anglikiem, doktorze Parker, nie może pan ode mnie oczekiwać, bym usprawiedliwiał morderstwa popełnione na brytyjskich kobietach i dzieciach. - Peter wyprostował się na krześle.

- Masz rację - zgodził się Parker. - Wobec tego nie mówmy ani o Mau-Mau w Kenii, ani też o dzisiejszej Irlandii; co jednak sądzisz o francuskiej rewolucji albo o szerzeniu wiary katolickiej za pomocą prześladowań i tortur? Czy to przemoc moralnie usprawiedliwiona?

- Moim zdaniem przemoc w tamtych warunkach historycznych można zrozumieć, nie wolno jednak usprawiedliwić. Terroryzm, w żadnej postaci, nie może być moralnie usprawiedliwiony. - Prowokowany przez swego rozmówcę Peter celowo użył nie lubianego słowa i z satysfakcją zauważył, jak krzaczaste brwi Parkera uniosły się lekko w górę.

- Istnieje terroryzm z góry i terroryzm z dołu - Parker rozmyślnie podchwycił określenie. - Jeśli rozumieć terroryzm jako ekstremalny fizyczny lub psychiczny przymus, którego celem jest podporządkowanie sobie innych, to można również mówić o terrorze prawa, które grozi szubienicą, o terrorze religii, która straszy ogniem piekielnym, i o terrorze ojca, wymuszającego posłuszeństwo za pomocą kija. Czy wszystkie te postacie terroru są bardziej usprawiedliwione moralnie niż terror stosowany w obronie słabych, biednych i prześladowanych, bezsilnych ofiar niesprawiedliwego społeczeństwa? Czy ich krzyk protestu ma zostać zduszony...

Peter poruszył się niespokojnie na krześle.

- Protest poza prawem...

- Prawa stanowią ludzie, niemal z reguły potężni i bogaci. Są również zmieniane przez ludzi po akcjach buntu i protestu. Ruch sufrażystek, walka o prawa obywatelskie... - Parker przerwał nagle i odchrząknął. - Przepraszam cię, Peterze. Czasami sam płaczę się w tym wszystkim. Nieraz trudniej jest być liberałem niż tyranem. Tyran rzadko ma wątpliwości. Parker wyciągnął się w fotelu z wyrazem zniechęcenia na twarzy. - Zostawię cię w spokoju na godzinę lub dwie. Musisz przemyśleć plany, biorąc pod uwagę zaistniałą sytuację. Osobiście nie mam żadnych wątpliwości, że są to porywacze działający z pobudek politycznych, a nie zwykły gang kidnaperów. Zanim przystąpimy do działania, możemy zostać zmuszeni do zbadania własnego sumienia.

- Skręć teraz na prawo - powiedziała spokojnie Ingrid i boeing zjechał z trawnika na ścieżkę dla pojazdów kołowych. W trakcie lądowania nic nie zostało uszkodzone, ale teraz, gdy samolot już opuścił swój naturalny żywioł, stał się niezgrabny i ociężały.

Dziewczyna po raz pierwszy znalazła się w kabinie pilotów lądującego jumbo,

więc wysokość robiła na niej wrażenie. Dała jej poczucie wyzwolenia, oderwania od ziemi.

- Teraz znowu na lewo - komenderowała, a boeing posłusznie zawracał od głównych zabudowań lotniska w kierunku południowego końca pasa startowego.

Taras na dachu dworca lotniczego wypełniały setki ciekawych gapiów, za to na płycie lotniska życie całkowicie zamarło. Przy porzuconym sprzęcie i pojazdach nie widać było żywej duszy.

- Zatrzymaj się tutaj - wskazała otwarty teren, odległy o trzysta pięćdziesiąt metrów od najbliższego budynku, między dworcowymi zabudowaniami i hangarami a głównym składem paliwa. - Stań na skrzyżowaniu.

Milcząc ponuro, Cyryl Watkins wykonał polecenie, a następnie odwrócił się do dziewczyny.

- Muszę wezwać ambulans, żeby go zabrano.

Drugi pilot i stewardesa ułożyli rannego inżyniera w kuchni na podłodze i zabandażowali jego ramię lnianymi obrusami, starając się zatamować upływ krwi. W powietrzu wciąż wisiał swąd spalonego prochu, zmieszany teraz z zapachem krwi.

- Nikt nie opuści samolotu - dziewczyna pokręciła przecząco głową. - On zbyt wiele o nas wie.

- Mój Boże, kobieto. Przecież ten człowiek potrzebuje opieki lekarskiej.

- W samolocie mamy trzystu lekarzy - zauważyła obojętnie. - Najlepszych na świecie lekarzy. Niech dwóch spośród nich zajmie się nim.

Usiadła przy poplamionym krwią pulpicie inżyniera i postukała palcem w mikrofon. Mimo uczucia nienawiści, które go opanowało, Cyryl Watkins nie mógł nie zauważyć, iż bardzo szybko uczyła się posługiwania skomplikowanymi urządzeniami technicznymi. Niewątpliwie była pojętna i dobrze przeszkolona.

- Panie i panowie - przemówiła do mikrofonu. - Właśnie wylądowaliśmy w Johannesburgu. Będziemy tutaj dość długo może kilka dni, a nawet tygodni. Wszyscy musimy uzbroić się w cierpliwość. Trzeba zachować dyscyplinę, w związku z czym pragnę was ostrzec, że każdy przejaw nieposłuszeństwa będzie surowo karany. Mieliśmy tu już próbę oporu, na skutek której jeden z członków załogi został postrzelony i ciężko ranny.

Może umrzeć z powodu odniesionej rany. Nie chcielibyśmy, aby podobny incydent się powtórzył. Muszę was jednak uprzedzić, że ani ja, ani żaden z moich oficerów nie zawahamy się użyć broni, a nawet zdetonować znajdujących się w samolocie granatów, jeśli wyniknie taka konieczność.

Przerwała i przez chwilę przyglądała się, jak dwóch wybranych lekarzy uklękło przy inżynierze i zajęło się badaniem. Ranny trzął się jak w gorączce, jego biała koszula była zbryzgana krwią. Twarz dziewczyny nie wyrażała żadnych uczuć, najmniejszego nawet zatroskania, głos miała chłodny i opanowany.

- Obecnie dwóch moich oficerów przejdzie między rzędami i odbierze od

wszystkich paszporty. Proszę je przygotować.

Zamruwała niespokojnie, spostrzegłszy nieoczekiwany ruch na płycie lotniska. Spoza hangarów wyłoniły się cztery wozy pancerne, stanowiące południowoafrykańską wersję francuskich panhardów na wysokich ogumionych kołach, z wieżyczkami strzelniczymi i nieproporcjonalnie długimi lufami armatnimi wycelowanymi w samolot. Wozy ostrożnie otoczyły boeinga i zajęły stanowiska w odległości trzystu metrów w czterech punktach: naprzeciwko obu skrzydeł, ogona i dziobu.

Dziewczyna obserwowała to z wyraźnym lekceważeniem. W pewnym momencie podszedł do niej jeden z lekarzy. Był mały i puciołowaty, lecz wystarczająco odważny.

- Ranny musi być natychmiast zabrany do szpitala.

- To jest wykluczone.

- Nalegam. Jego życie jest w niebezpieczeństwie.

- Życie nas wszystkich, bez wyjątku, jest zagrożone, doktorze - odpowiedziała. - Proszę przygotować listę wszystkich niezbędnych lekarstw. Zobaczymy, może uda się je zdobyć.

- Wylądowali szesnaście godzin temu, a dopiero raz nawiązali z nami łączność, żeby poprosić o lekarstwa i o podłączenie do sieci elektrycznej. - Kingston Parker zdjął marynarkę i rozluźnił krawat, nie okazując żadnych innych oznak zdenerwowania.

Peter Stride skinął głową w stronę ekranu.

- Co sądzą twoi lekarze o zapotrzebowaniu na lekarstwa?

- To chyba jakiś wypadek z bronią. Krew grupy AB+ stanowi rzadkość, ale jeden z członków załogi ma właśnie tę grupę. Dziesięć litrów plazmy B, sprzęt do transfuzji krwi, strzykawki, morfina, penicylina i zastrzyk przeciwtężcowy; wszystko to razem stanowi wyposażenie do leczenia ciężkiego fizycznego urazu.

- Zostali podłączeni do zewnętrznej sieci elektrycznej? - Zapytał Peter.

- Tak, gdyż inaczej czterystu ludzi udusiłoby się bez wentylacji. Zarząd lotniska przeciągnął specjalny kabel, który podłączono do zewnętrznego gniazdka samolotu. W ten sposób system elektryczny samolotu, nawet kuchnia, funkcjonuje bez najmniejszych zakłóceń.

- To znaczy, że możemy w każdej chwili wyłączyć samolot z sieci - odnotował Peter. - Nie przedstawili dotąd żadnych żądań? Nie wzywali negocjatora?

- Nie, nic z tych rzeczy. Wydaje się, że mają pełną świadomość technicznej i przetargowej sytuacji, w odróżnieniu od naszych przyjaciół, gospodarzy. Obawiam się, że mentalność Wyatta Earpa przysporzy nam jeszcze wielu kłopotów. - Parker przerwał. - Przepraszam, Wyatt Earp był jednym z naszych frontowych marszałków...

- Widziałem film i czytałem o nim książkę - zauważył cierpko Peter.

- Naszych gospodarzy aż swędzi, żeby wziąć samolot szturmem. Obaj ambasadorzy, nasz i wasz, sporo się natrudzili, żeby ich odwieść od tego pomysłu. Wyobrażali sobie, że odbić samolot jest tak samo łatwo jak otworzyć kopniakiem drzwi salonu i wejść do środka z pistoletem w ręku. Chyba także często oglądają filmy.

Peterowi mrowie przeszło po plecach z przerażenia.

- Przecież to byłaby katastrofa! - Zawołał. - Ci ludzie są zdecydowani na wszystko.

- Nie musisz mnie o tym przekonywać - zgodził się Parker. - Ile czasu potrzebujesz, żeby dolecieć do Jana Smutsa?

- Siedem minut temu przelecieliśmy nad Zambezi. - Peter wyjrzał przez okno, ale ziemia była dokładnie przesłonięta mgłą i cumulusami. - Mamy przed sobą jeszcze dwie godziny i dziesięć minut lotu, ale herkules z ludźmi jest za nami o trzy godziny i czterdzieści minut.

- W porządku, Peterze. Teraz wrócę do gospodarzy. Rząd południowoafrykański zwołał plenarne posiedzenie gabinetu, na które zaproszono obu naszych ambasadorów w charakterze obserwatorów i doradców. Będę chyba musiał przypomnieć im o istnieniu Atlasu. - Na chwilę przerwał. - Uważam, że w tym przypadku użycie Atlasu byłoby całkowicie usprawiedliwione. Doborowa jednostka, działając szybko i zdecydowanie, może przeciąć wszystkie wątpliwości i sporne kwestie. Musisz wiedzieć, iż uzyskałem już zgodę naszego prezydenta i waszego premiera na ewentualne ogłoszenie stanu gotowości Delta.

Delta oznaczała zgodę na szturm.

- Chcę jednak zaznaczyć - ciągnął Parker - że decyzję o ataku podejmę tylko w ostateczności. Pragnę najpierw usłyszeć i rozważyć ich żądania. Jestem całkowicie otwarty na negocjacje...

Parker mówił bez przerwy. Peter poruszył się niecierpliwie, chowając twarz w dłonie, żeby ukryć irytację. Jego zwierzchnik wkroczył na teren co najmniej dyskusyjny i Peter musiał dać mu to do zrozumienia.

- Idąc na jakiegokolwiek ustępstwa wobec porywaczy zachęci ich pan do następnych aktów przemocy.

- Otrzymałem zgodę na *Deltę* - Parker powtórzył kwaśnym tonem - ale, gwoli jasności, zdecyduję się na takie rozwiązanie tylko po wyczerpaniu innych możliwości. Jesteśmy nie tylko szturmową jednostką, generale Stride. - Parker skinął w tym momencie na niewidocznego na ekranie asystenta. Obecnie łączę się z przedstawicielem rządu południowoafrykańskiego, żeby wyjaśnić mu rolę Atlasu.

Po tych słowach obraz Parkera znikł z ekranu.

Peter Stride wstał gwałtownie z miejsca, żeby się przejść między siedzeniami, ale uderzywszy głową o niski sufit, opadł z powrotem ciężko na siedzenie.

Kingston Parker wyłączył ekran i przeszedł do drugiego pokoju w swoim biurze, mieszczącym się w zachodnim skrzydle Pentagonu. Dwóch techników łączności ustąpiło mu z drogi, a osobista sekretarka otworzyła przed nim drzwi.

Jak na mężczyznę raczej ciężkiej postury poruszał się ze szczególną zręcznością. Ubrany był w dobrze skrojony, choć mocno już znoszony garnitur; kołnierzyk koszuli, lekko wystrzępiony, był rozpięty, włoskie trzewiki zdarte na czubkach. Swoją niedbałą strój nosił z nieuświadomioną sobie ostentacyjnością. Wyglądał o dziesięć lat młodziej, niż miał w rzeczywistości (liczył sobie pięćdziesiąt trzy lata). Bujną grzywę włosów srebrzyły nieliczne pasma siwizny.

Drugi pokój urządzono w sposób niemal spartański. Wszystko, co stanowiło własność rządu, było praktyczne i niegustowne. Tylko wypełniające liczne półki książki i fortepian należały do Parkera. Fortepian marki Bechstein był stanowczo za duży do tego pokoju. Przechodząc obok niego, przebiegł palcami po klawiaturze, po czym opadł na obrotowe krzesło przy biurku. Zaczął przekładać leżące na nim tekturowe teczki, które zawierały najnowsze dane komputerowe oraz oceny i charakterystyki wszystkich osób zaangażowanych w sprawę 070.

Teczki obu ambasadorów były różowe i miały klauzulę najwyższego stopnia tajności. W samym rogu u góry widniała adnotacja: „Tylko dla kierowników departamentów”. Cztery inne, zielone, to teczki osobistości rządu południowoafrykańskiego, podejmujących decyzje w sytuacjach nadzwyczajnych. Najgrubsza dotyczyła premiera. Przy okazji Parker jeszcze raz odnotował w pamięci, że był nim człowiek więziony w czasie drugiej wojny światowej przez ówczesny probrytyjski rząd jako aktywny przeciwnik udziału Afryki Południowej w wojnie. Parker zastanawiał się, czy przeszłość nie mogła wywrzeć wpływu na stosunek premiera do porywaczy.

Pozostałe zielone teczki dotyczyły ministra obrony, ministra sprawiedliwości oraz komendanta policji i jego zastępcy. Dwaj ostatni zostali mianowani pełnomocnikami rządu do sprawy porwania samolotu. Z całej piątki tylko premier miał wyróżniającą się osobowość: człowiek o twarzy buldoga, nie ulegał wpływom i niełatwo było rozwiązać jego wątpliwości. Kingston Parker instynktownie czuł, że w tej sprawie właśnie on będzie podejmował ostateczne decyzje.

Ze sterty teczek Parker wyjął jeszcze jedną, bardziej od innych wytartą. Zawarte w niej podstawowe informacje zostały zgromadzone jeszcze dwa lata temu, a potem były co kwartał aktualizowane. Na teczce widniał napis: STRIDE PETER CHARLES, a u góry była adnotacja: „Tylko do wiadomości kierownika Atlasu”.

Kingston Parker mógłby już chyba z pamięci recytować jej zawartość, jednakże rozwiązał tasiemkę i rozłożył teczkę na kolanach.

Pykając od czasu do czasu z fajki, przewracał po kolei luźne kartki. Można było z nich wyczytać całe *curriculum vitae* podwładnego. Urodził się w 1939 roku jako jeden z bliźniaków, w rodzinie wojskowego. Jego ojciec zginął trzy lata później, dowodząc

brygadą pancerną w walkach z Erwinem Rommlem w Afryce Północnej. Starszy brat bliźniak odziedziczył tytuł baroneta, a Peter poszedł utartym śladem przodków, kończąc najpierw szkołę w Harrow, a następnie szkołę oficerską w Sandhurst. Jego zdolności i zamiłowanie do nauki oraz niechęć do gier zespołowych wprawiały rodzinę w zakłopotanie, którego nie były w stanie zrównoważyć nawet sukcesy w grze w tenisa i biegach długodystansowych.

Kingston Parker zadumał się na chwilę. Niektóre cechy tego człowieka również i jego wprawiały w zakłopotanie. Miał dla wojska pogardę intelektualisty, a Stride nie pasował do jego obrazu żołnierza.

Kiedy młody Stride wstąpił do pułku swojego ojca, zdawało się, że w końcu jego wyjątkowa inteligencja zostanie skierowana w konwencjonalne kanały i że cechująca go skłonność do niezależności w myśleniu i działaniu będzie odtąd utrzymywana w ryzach. Tak można było sądzić do momentu wysyłki jego pułku na Cypr, w okresie szczytowych niepokojów na wyspie. W ciągu zaledwie jednego tygodnia Stride został przeniesiony, dzięki entuzjastycznemu niemal poparciu swojego zwierzchnika, do centrali wywiadu wojskowego. Prawdopodobnie dowódca już zdawał sobie sprawę z tego, jakie problemy mogą wyniknąć z obecności tego cudownego chłopca w murach tradycyjnych oficerskich koszar.

Trzeba stwierdzić, że przynajmniej raz wojsko dokonało logicznego, jeśli nawet nie wręcz znakomitego wyboru. Od tamtego momentu Stride w ciągu szesnastu lat nie popełnił ani jednego błędu z wyjątkiem związku małżeńskiego, który zakończył się rozwodem po dwóch latach pożycia. Gdyby pozostał w swoim pułku, fakt ten mógłby zaszkodzić jego karierze, ale od Cypru rozwój Stride'a był równie niekonwencjonalny jak jego sposób myślenia.

Wyznaczany do wykonania kolejnych trudnych zadań, wzbogacał swoją wiedzę i doskonalił umiejętności. Konsekwentnie występował przeciwko trendowi redukcji brytyjskich wydatków na siły zbrojne. Jeszcze przed ukończeniem trzydziestego roku życia został oficerem sztabowym.

Pracując w kwaterze głównej NATO, zdobył potężnych przyjaciół po obu stronach Atlantyku. Na zakończenie trzyletniego pobytu w Brukseli otrzymał stopień generała-majora, a następnie stanowisko szefa brytyjskiego wywiadu w Irlandii. Pracy na tym stanowisku oddał się z całym poświęceniem i zapałem, kładąc duże zasługi na polu zwalczania irlandzkiego terroryzmu. Jego badania nad miejską partyzantką i nad umysłowością terrorysty zdobyły uznanie wśród specjalistów.

Pomysł powołania do życia Atlasu został po raz pierwszy sformułowany właśnie przez Stride'a w rozprawie poświęconej tym zagadnieniom. Jego nazwisko znajdowało się też na czele listy proponowanych kierowników Atlasu. Było rzeczą niemal pewną, że właśnie on zostanie wyznaczony do pełnienia tej funkcji. Amerykanie byli pod dużym wrażeniem jego rozprawy, a przyjaciele z NATO też o nim pamiętali. Nominacja ta została już w zasadzie uzgodniona. Dosłownie w ostatniej chwili

pojawiła się nagła opozycja przeciwko wyznaczeniu zawodowego żołnierza na tak ważne politycznie stanowisko. Opozycja wyszła niemal jednocześnie ze strony Whitehallu i Waszyngtonu.

Kingston Parker wytrząsnął popiół z fajki, wziął teczkę z biurka, wstał i podszedł do fortepianu, a następnie usiadł przy nim, kładąc dokument na stojaku do nut. Spod palców płynęły lekkie tony muzyki Liszta, podczas gdy myśli wciąż krążyły wokół generała Stride'a.

Nie lubił go i uważał za niebezpiecznego, przede wszystkim z powodu dużych aspiracji i ambicji, jak również z powodu obcych mu motywów postępowania, którymi Stride się kierował. Wolał własnych faworytów, takich jak Tanner, który dowodził Merkurym, lub choćby Colin Noble, i oczekiwał, że Stride nie przyjmie propozycji objęcia stanowiska, będącego przecież poniżej jego predyspozycji i możliwości. Jednak Stride przyjął nominację i stanął na czele Thoru. Parker podejrzewał, że za tą decyzją kryła się jakaś niezwykła motywacja, i za wszelką cenę usiłował ją odkryć. Parokrotnie wzywał Stride'a do Waszyngtonu, prezentując przed nim całą siłę swojej osobowości. Zaprosił go też na dłuższy pobyt do swojego nowojorskiego domu. Prowadzili wielogodzinne dyskusje na najrozmaitsze tematy. Na podstawie tych rozmów nabrał umiarkowanego respektu dla umysłowości Petera, nie dochodząc jednak do żadnej konkretnej konkluzji co do przyszłości tego człowieka w Atlasie.

Parker odwrócił kolejną kartkę zawierającą ocenę charakteru Stride'a. Poszukiwanie słabych stron przeciwnika zaczynał zwykle od spraw seksu. Stride nie zdradzał jednak żadnych seksualnych dewiacji. Nie był homoseksualistą. Lubiał kobiety. Od rozwodu „zaliczył” chyba z tuzin znaczących związków z kobietami, wszystkie jednak dyskretne, nie budzące publicznych sensacji. Trzy spośród tych kobiet to mężatki, jednak żadna z nich nie była żoną podwładnego ani równorzędnego stopniem oficera, ani też człowieka, który miałby jakikolwiek wpływ na karierę Stride'a. Kobiety, które wybierał, łączyły pewne wspólne cechy. Wysokie, inteligentne, cieszyły się powodzeniem u mężczyzn. Jedna z nich była dziennikarką prowadzącą własną kolumnę w gazecie. Druga, z zawodu modelka, obecnie sama projektowała i sprzedawała stroje na prestiżowych rynkach w Londynie i na kontynencie. Trzecia wreszcie to aktorka, jedna z czołowych postaci w zespole Royal Shakespeare Company.

Parker niecierpliwie przerzucił kartkę. Nie miał ani sympatii, ani dość cierpliwości dla człowieka, który ulegał pokusom własnego ciała. On sam przestrzegał pełnej wstrzeźliwości seksualnej, kierując całą energię na pracę umysłu. Stride natomiast potrafił godzić jedno z drugim, co musiało denerwować człowieka pokroju Parkera.

Parker przeszedł do następnej „dziedziny słabości” - pieniędzy. Po rodzicach Stride odziedziczył niewiele, jednakże jego roczne dochody, mimo surowych brytyjskich podatków, wynosiły ponad dwadzieścia tysięcy funtów szterlingów. Do tego

dochodziła gaża generalska oraz różne przywileje. Mógł więc prowadzić życie na przyzwoitym poziomie, a nawet pozwolić sobie na ekstrawagancję, jaką było gromadzenie rzadkich książek, jak też - skonstatował kwaśno Parker - na „zaliczanie” nie mniej wyjątkowych pań.

Wywiad nie był w stanie natrafić na najmniejszy nawet ślad dokonywania przez Stride'a nielegalnych operacji finansowych. Nie wykryto żadnych kont w bankach szwajcarskich, żadnych depozytów złota, nieruchomości zagranicznych ani też udziałów w towarzystwach akcyjnych. Parker poszukiwał takich śladów niezmiernie pracowicie, gdyż mogłyby go naprowadzić na dowody wpływów Stride'a, uzyskiwanych, być może, z kas obcych rządów. Człowiek taki jak Stride miał wiele do sprzedania, sam mógł ustalać ceny. Jednak akta były czyste.

Stride nie palił. Parker wyjął z ust swoją starą, czarną fajkę i przyglądał się jej przez chwilę z wyraźnym sentymentem. To była jedna z jego ekstrawagancji, nieszkodliwa mimo odmiennego werdyktu lekarza. Wziął więc z powrotem cybuch fajki w zęby.

Stride, uważany za amatora dobrego wina, pił jednak w sposób bardzo umiarkowany. Od czasu do czasu grał na wyścigach konnych, raczej jednak dla przyjemności niż dla zysku. Po prostu stać go było na przegranie pięćdziesięciu funtów. Żadnego innego hazardu nigdy nie uprawiał. Nie polował ani nie strzelał. Nie brał udziału w tych tradycyjnych sportach angielskich dżentelmenów.

Chyba nie ze względu na jakiegokolwiek moralne opory wobec „krwawych” sportów, myślał Parker. Było to nieprawdopodobne, gdyż Stride był doskonałym strzelcem z karabinu, dubeltówki i z pistoletu. Reprezentował Wielką Brytanię na igrzyskach olimpijskich w Monachium. Zdobył złoty medal w strzelaniu z pistoletu z odległości pięćdziesięciu metrów.

Parker sięgnął po następną kartkę, zawierającą opis stanu zdrowia generała. Stride w wieku trzydziestu dziewięciu lat ważył o jeden funt mniej niż mając dwadzieścia jeden lat i był doskonale wysportowany. Parker odnotował, że w poprzednim miesiącu Stride wykonał szesnaście skoków ze spadochronem. Odkąd został dowódcą Thoru, nie miał okazji ani czasu na uprawianie gry w golfa, chociaż w okresie pracy w NATO oddawał się jej z dużym powodzeniem.

Parker zamknął teczkę, lecz nadal cicho grał, choć ani dźwięk chłodnych wypolerowanych klawiszy, ani też piękne tony muzyki nie rozwiały nurtującego go niepokoju. Zawartość teczki, aczkolwiek wyczerpująca, pozostawiała jednak niektóre kwestie bez odpowiedzi. Dlaczego Stride zgodził się objąć dowództwo Thora, choć oznaczało to degradację? Przecież nie nawykł postępować nierozważnie. Najbardziej jednak niepokoili go inne pytania. Jakie były granice niezależności w myśleniu i postępowaniu Stride'a? W jak dużym stopniu powodowała nim ambicja osobista? Czy taki człowiek nie stanowi zagrożenia dla dalszej ewolucji Atlasu w pożądanym kierunku?

Rozległo się stukanie do drzwi. Wszedł asystent Parkera.

- Doktorze, przekazano nam nowe dane z Johannesburga.

Parker westchnął cicho.

- Już idę - powiedział i wykonał jeszcze ostatnie pasaże na klawiaturze, zanim podniósł się z krzesła.

Hawker ześlizgnął się bezgłośnie w dół w kierunku lotniska.

Na wysokości półtora tysiąca metrów pilot zamknął dopływ paliwa do silników i rozpoczął lądowanie. Dotknął kołami pasa startowego jeden - pięć na samym początku i natychmiast włączył hamulce. Był to pas drugorzędny, o tak krótkiej drodze hamowania, że praktycznie lądowanie samolotu odbywało się za budynkami dworca lotniczego; niewidoczne z okien porwanego boeinga.

Pilot wykonał zwrot samolotem o trzysta sześćdziesiąt stopni i spokojnie kontynuował drogę wzdłuż pasa startowego, tocząc się wolno i wytracając powoli energię.

- Doskonałe wykonanie - stwierdził Peter, stojący za fotelem pilota. Był pewien, że nikt z boeinga nie mógł zauważyć ich przylotu. - Przygotowali dla nas kącik z podłączeniem do sieci elektrycznej - zauważył głośno, gdy dostrzegł oczekujących mężczyzn z wymachującym pałeczkami sygnalizacyjnymi dyżurnym ruchu lotniczego na czele. Trzech spośród nich miało bojowe mundury w ochronnych kolorach, czwarty - granatowy mundur, czapkę i złote odznaki starszego oficera południowoafrykańskiej policji.

Oficer w mundurze pierwszy powitał Petera, kiedy ten znalazł się już na ziemi.

- Prinsloo - potrząsnął jego ręką - generał-lejtnant.

Miał wyższy stopień niż Peter, ale w randze policyjnej, nie wojskowej. Był krępy, co najmniej pięćdziesięcioletnim mężczyzną z brzuszkiem. Nosił okulary w metalowej oprawie.

Takie mięsiste policzki i wargi Peter widywał często u belgijskich i holenderskich chłopów w czasie swoich wyjazdów z ramienia NATO. Typowy wieśniak, z jego uporem i konserwatyzmem.

- Pragnę przedstawić komendanta Boonzaiera. - Był to stopień wojskowy odpowiadający pułkownikowi. Należał do młodszego mężczyzny, z takim samym akcentem i o podobnych rysach, jednak znacznie wyższego, dorównującego wzrostem Peterowi. Obaj Afrykanie robili wrażenie podejrzliwych i czymś urażonych. Rychło wyjaśniło się czym.

- Polecono mi, abym odebrał od pana rozkazy, generale oznajmił generał policji, po czym nastąpiło małe przetasowanie.

Dwóch oficerów ustawiło się przed Peterem, spoglądając wzajemnie na siebie, a Peter uprzytomnił sobie nagle, że niechęć była skierowana nie tylko przeciwko niemu.

Między policją a wojskiem istniały wyraźne tarcia, toteż Atlas miał tu do odegrania również rolę koncyliacyjną.

Jeden ośrodek dowodzenia i indywidualna odpowiedzialność to elementarne warunki sukcesu, pomyślał Peter, któremu przypomniła się strzelanina na lotnisku w Larnace między egipskimi komandosami i cyprijską gwardią narodową. Porywacze samolotu wyszli bez szwanku, a płytę lotniska pokryły dziesiątki trupów Cypryjczyków i Egipcjan oraz płonące szczątki samolotu transportowego.

Podstawową zasadą strategii terrorystów było zawsze wykorzystanie tarć między ich przeciwnikami. Atlas rozstrzygał ten problem w sposób jednoznaczny.

- Dziękuję. - Peter przyjął dowodzenie bez krygowania się. - Reszta grupy wylądaje tu w ciągu najbliższych trzech godzin. Oczywiście, użyjemy siły tylko w ostateczności, lecz jeśli do tego dojdzie, wykorzystamy wyłącznie ludzi Atlasu. Chcę, żeby to było jasne już od samego początku. - Zauważył wyraz niezadowolenia na twarzy wojskowego.

- Moi ludzie to elita - stwierdził tamten.

- To brytyjski samolot, większość zakładników stanowią obywatele brytyjscy i amerykańscy, taka jest polityczna decyzja, pułkownika. Będę jednak wdzięczny za każdą inną pomoc Peter taktownie dał odprawę pułkownikowi. - Przede wszystkim chciałbym znaleźć odpowiednie miejsce dla mojego sprzętu służącego do obserwacji i inwigilacji, następnie oprowadzicie mnie po terenie.

Peter nie miał trudności z wyborem punktu obserwacyjnego. Z przestronnego, nieprzeładowanego sprzętami gabinetu dyrektora lotniska na trzecim piętrze dworca był doskonały widok na płytę lotniska, a w szczególności na południową część, gdzie stał boeing.

Okna gabinetu pozostawiono otwarte. Nie było potrzeby zmiany zewnętrznego wyglądu pomieszczenia. Balkon na następnym piętrze zaciemniał wnętrze gabinetu, wystarczająco głębokie, żeby w jasnym blasku słońca, nawet przez najpotężniejszy obiektyw, nie można go było spenetrować. Porywacze z pewnością oczekują, że obserwacja będzie prowadzona z dominującej nad lotniskiem szklanej wieży kontroli lotów. Każde zaś wprowadzenie w błąd przeciwnika, nawet błahe, było nie do pogardzenia.

Lekkie wyposażenie inwigilacyjne zajmowało niewiele miejsca. Żadna z kamer telewizyjnych nie przekraczała wielkości domowej kamery filmowej i jeden człowiek bez trudu mógł udźwignąć oba aluminiowe statywy. Jednak te niewielkie kamery mogły pracować na osiemdziesięcioośmiomilimetrowej ogniskowej i odtwarzać obraz na ekranach w kabinie dowódcy hawkera, zapisywany jednocześnie na taśmie wideo.

Wzmacniacz dźwięku, nieco większy, ale nie cięższy, wyposażono w czworonożną antenę w kształcie spodka z kolektorem dźwięku pośrodku. Teleskopowy celownik

mógł z dokładnością karabinu snajpera nacelować wzmacniacz na źródło dźwięku, ogniskując go na ustach osoby znajdującej się w odległości ośmiuset metrów, i dokładnie odtwarzać to, co ona mówi. Przekazywał dźwięk prosto do odbiornika w kabinie dowódcy, zapisując go jednocześnie na taśmie magnetofonowej.

Peter zainstalował w gabinecie swoje dwa zespoły łączności, zaopatrując je w dużą ilość kawy i pączków, a potem udał się w towarzystwie południowoafrykańskiego pułkownika i jego personelu na oględziny lotniska.

Z wieży kontroli ruchu widać było całą płytę lotniska i przyległe tereny z zabudowaniami pomocniczymi. Z platformy obserwacyjnej pod wieżą usunięto personel, z wyjątkiem wojskowych.

- Zarządziłem blokadę wszystkich głównych wjazdów i wejść na lotnisko. Tylko pasażerowie posiadający ważne bilety oraz potwierdzoną rezerwację mają wstęp. Nie wpuszczamy natomiast żadnych poszukiwaczy sensacji. Do bieżącego ruchu lotniczego używamy tylko północnej części dworca.

Peter skinął głową aprobująco i zwrócił się do starszego z kontrolerów:

- Jaka jest sytuacja w ruchu?

- Odmawiamy zgody na lądowanie wszystkim prywatnym samolotom. Planowe loty krajowe zostały przeniesione na lotniska Lanseria i Germinston. Tutaj lądują i startują tylko samoloty międzynarodowych linii lotniczych, a jednak opóźnienia w odlotach sięgają trzech godzin.

- W jaki sposób przestrzegacie separacji zero siedemdziesiąt?

- Na szczęście ruch międzynarodowy odbywa się w północnej, najbardziej oddalonej od zero siedemdziesiąt części lotniska. Nie używamy zupełnie płyty południowej ani ścieżek dla pojazdów kołowych. Jak pan widzi, oczyściliśmy cały teren z wyjątkiem tych trzech samolotów Południowoafrykańskich Linii Lotniczych, które obecnie przechodzą gruntowny remont. W promieniu kilometra nie ma żadnych innych samolotów.

- W przypadku eskalacji - wtrącił Peter - trzeba będzie zamrozić cały ruch.

- W porządku, sir.

- Możecie kontynuować dotychczasowe działania. - Peter podniósł do oczu lornetkę i jeszcze raz skierował wzrok na boeinga.

Stał w całkowitej izolacji, cichy i jakby porzucony przez ludzi. Jaskrawe, niemal krzykliwe oznakowanie miało karnawałowy charakter. Czerwone, niebieskie i białe barwy migotały w oślepiającym słonecznym blasku. Był ustawiony bokiem do wieży. Wszystkie drzwi i luki miał dokładnie pozamykane.

Peter przesunął powoli lornetkę wzdłuż okien samolotu, a następnie z powrotem wzdłuż kadłuba. Jednak wszystkie okna były szczelnie zasłonięte od wewnątrz, zmieniając samolot w olbrzymiego oślepego owada. Przeniósł wzrok na dziób

samolotu. Również i tutaj okna zostały dokładnie zasłonięte, uniemożliwiając wgląd do środka kabiny, jak również oddanie strzału w jej kierunku, aczkolwiek odległość samolotu od najbliższego rogu dworca wynosiła około czterystu metrów. Z takiej odległości każdy ze snajperów Thoru, za pomocą laserowego celownika, mógł wybierać, w które oko ludzkiej głowy chce trafić.

Wzdłuż asfaltowej, pustej obecnie ścieżki dla pojazdów kołowych leżał czarny kabel elektryczny, łączący samolot ze źródłem energii, niby długa, podatna na cios pępowina. Peter przyglądał mu się w zamyśleniu, zanim zwrócił uwagę na cztery opancerzone panhardy. Zmarszczył brwi z irytacją.

- Pułkowniku, proszę odesłać te pojazdy. - Starał się, żeby jego głos zabrzmiał naturalnie, bez cienia irytacji. W tym upale ich załogi upieką się, jak gęsi na stół wigilijny.

- Generale, wiem dobrze, co jest moim obowiązkiem zaczął Boonzaier, a Peter opuścił lornetkę i uśmiechnął się. Był to ujmujący, przyjazny uśmiech, który zaskoczył pułkownika, ale w oczach Petera nie było humoru.

- Pragnę jak najbardziej rozrzedzić atmosferę. - Konieczność wyjaśniania drażniła Petera, ale mimo to nie przestawał się uśmiechać. - Ktoś, w kogo wycelowano cztery wielkie działa, prędzej może podjąć błędną decyzję i przedwcześnie pociągnąć za cyngiel. Należy te wozy trzymać w pobliżu, ale proszę usunąć je na jakiś parking samochodowy i pozwolić ich załogom odpocząć.

Pułkownik z ociąganiem przekazał rozkaz przez radiotelefon i wozy pancerne zaczęły po chwili wycofywać się za linię hangarów.

- Ilu żołnierzy rozmieścił pan w pobliżu? - Peter wskazał na sylwetki żołnierzy rozstawionych wzdłuż balustrady balkonu obserwacyjnego wieży, a następnie na głowy w hełmach, rozsiane na tle błękitu afrykańskiego nieba ponad zarysami hangarów.

- Dwustu trzydziestu - padła odpowiedź.

- Proszę natychmiast ich stamtąd odesłać - polecił Peter - i pozwolić porywaczom zobaczyć, jak odchodzą.

- Wszystkich? - Zapytał z niedowierzaniem pułkownik.

- Wszystkich - potwierdził Peter z wilczym, tym razem, uśmiechem. - I to jak najprędzej, panie pułkowniku.

Ten okazał się pojętym uczniem i natychmiast podniósł miniaturowy radiotelefon do ust. Kilka minut trwało zamieszanie na balkonie obserwacyjnym, zanim żołnierze uformowali szereg i gęsiego odmaszerowali ze swoich stanowisk. Ich stalowe hełmy poruszające się jak kapelusze grzybów i lufy przewieszonych przez ramię automatów były dobrze widoczne dla obserwatora z boeinga.

- Jeśli pan zamierza traktować tych ludzi, te zwierzęta... Głos pułkownika dławił się od ukrytej pasji - jeśli pan zamierza traktować ich łagodnie...

Peter rozumiał doskonale, o co mu chodziło.

- A jeśli pan zamierza im wciąż wymachiwać bronią przed nosem, to będzie ich pan utrzymywał w stanie ciągłej gotowości, a na tym nam przecież nie zależy, pułkowniku. Trzeba pozwolić, by sobie usiedli, trochę odetchnęli, poczuli się pewniej - mówił, nie odejmując lornetki od oczu. Okiem żołnierza dokonywał wyboru stanowisk dla swoich czterech snajperów. Co prawda, szansa na ich wykorzystanie była niewielka. Musieliby unieszkodliwić wszystkich porywaczy jednocześnie, ale nawet bardzo odległa szansa może stać się realna. Postanowił więc jednego snajpera umieścić na dachu hangaru, skąd można było kontrolować lewą burtę samolotu, a dwóch innych w miejscu dogodnym do obserwacji przodu samolotu z kabiną pilotów.

Ciągnącym się wzdłuż głównego pasa startowego kanałem osuszającym można będzie przerzucić człowieka do małego baraku, w którym mieściły się urządzenia radarowe. Barak stał na tyłach przeciwnika, który nie mógł oczekiwać ognia z tamtej strony.

Punkt po punkcie Peter układał sobie w głowie plan dyspozycji, jednocześnie notując go starannie w swoim małym skórzanym notesie. Szczegółowo analizował plan sytuacyjny lotniska, zastanawiając się nad ewentualnymi polami ostrzału i kątami nachylenia ognia. Dokładnie wymierzał odległość i czas niezbędny do jej pokonania przez grupę szturmową, atakującą z najbardziej dogodnych punktów. Wielokrotnie powracał do przyjętych przez siebie już wcześniej rozwiązań, wciąż poszukując nowych możliwości. Starał się przewidzieć zachowanie nieznanego bliżej przeciwnika.

W ten sposób upłynęła Peterowi cała godzina na twardej, uporczywej pracy. Zadowolony był z osiągniętego efektu. Teraz mógł już przekazać gotowe decyzje Colinowi Noble'owi znajdującemu się jeszcze na pokładzie herkulesa. Oczekiwano go na miejscu w ciągu najbliższych kilku minut.

Peter wyprostował się znad rozłożonego przed nim planu i wsunął notes pod klapę umieszczonej na piersi kieszeni. Jeszcze raz prześledził każdy cal cichego, szczelnie zamkniętego samolotu. Tym razem dał upust nurtującym go uczuciom. Gdzieś w głębi, w samych trzewiach, wzbierał w nim gniew i nienawiść przeciwko ukrytemu w samolocie, jak w norze, wrogowi. Jeszcze raz stanął w obliczu tego wielogłowego monstrum. Przyczaiło się, oczekując na niego, podobnie jak już wielekroć przedtem.

Przypomniał sobie okruchy rozbitego szkła pokrywające bruk ulicy w Belfaście, połyskujące jak odłamki diamentów w świetle latarni ulicznych, zapach materiałów wybuchowych i krwi w powietrzu.

Pamiętał zwłoki młodej kobiety w wypalonym wnętrzu uczęszczanej londyńskiej restauracji. Jej powabne młode ciało zostało prawie całkowicie obnażone przez wybuch.

Pamiętał wciąż swąd zwęglonych zwłok całej rodziny: ojca, matki i trojga małych dzieci spalonych wewnątrz przyczepy campingowej, poczerniałych i skręconych w makabrycznym balecie nieludzkiego cierpienia.

Pamiętał także przerażone dziecięce oczy otoczone maską zakrzepłej krwi i leżącą obok ciała oderwaną rączkę z palcami zaciśniętymi na brudnej szmacianej lalce.

Te i inne obrazy połączone w sekwencje przepływały przed oczami jego wyobraźni, pobudzając w nim uczucie nienawiści. W końcu jednak poczuł dziwne klucie w oczach, opuścił więc lornetkę i wytarł je przegubem dłoni.

To był ten sam wróg, którego od dawna ścigał. Tym razem instynkt ostrzegał go, że nieprzyjaciel był silniejszy i bardziej nieludzki niż kiedykolwiek przedtem. Usiłował więc stłumić swoją nienawiść w obawie, by nie utracić trzeźwości sądu, by uczucia nie przeszkadzały mu działać w ciągu czekających go trudnych godzin i dni. Lecz były to uczucia przemożne, zbyt mocno w nim zakorzenione.

Zdawał sobie sprawę, że nienawiścią kieruje się wróg, że z niej bierze się jego pokrętna filozofia i monstualne w swoich efektach akcje. Zniżyć się do nienawiści znaczyło zejść do poziomu niegodnego człowieka, ale nie był w stanie przestać nienawidzić.

Peter Stride wiedział także, że jego uczucie bierze się nie tylko z pamięci o wypadkach okropnej śmierci i okaleczeń, których był świadkiem wielokrotnie. W jeszcze większym stopniu źródłem jego nienawiści był lęk przed zagrożeniem, jakie terroryzm stanowił dla całej ludzkości i dla rządów prawa. Jeśli terroryzm miałby zatriumfować na świecie, przyszłe prawa społeczeństw ustanawialiby obłąkani z nienawiści rewolucjoniści z pistoletem w ręku. Państwa byłyby rządzone nie przez budowniczych, ale przez burzycieli. To niebezpieczeństwo wydawało się Peterowi Stride'owi bardziej groźne niż gwałt i rozlew krwi, których nienawidził, tak jak każdy żołnierz stykający się z nimi w najbardziej brutalnej ich postaci.

Żołnierski instynkt podpowiadał mu natychmiastowe podjęcie walki z przyczajonym wrogiem, ale tkwiący w nim taktyk ostrzegał przed tym, nakazywał czekać na odpowiedni moment. Wysiłkiem woli utrzymywał w ryzach opanowującą go chęć działania. Miał pełną świadomość momentu konfrontacji ze złem. Od tych wydarzeń zależy dalszy rozwój jego kariery zawodowej.

Kiedy, zamiast wojskowego dowództwa, wyznaczono polityczne kierownictwo Atlasu, Peter powinien odrzucić ofertę objęcia niższego stanowiska. Miał przed sobą inne możliwości, chcąc jednak uczestniczyć w realizacji własnego projektu, zdecydował się pozostać w Atlasie na stanowisku dowódcy Thoru. Sądził, że nikt nie domyśli się, jak bardzo przeżył to niepowodzenie, a Bóg jeden wie najlepiej, że Kingston Parker nie miał nigdy powodu narzekać na niego. Nie było w Atlasie oficera, który by więcej pracował i był bardziej lojalny.

Jego czas nadszedł teraz. Wróg czekał na gorącym asfalcie pod afrykańskim słońcem. Nie na zielonej wyspie w łagodnym klimacie ani na brudnych ulicach zatłoczonego miasta. Ale to był ten sam, znany wróg.

Colin Noble był na wizji, gdy Peter wsunął się do kabiny hawкера, która stanowiła obecnie jego punkt dowodzenia. Opadł na fotel przed ekranami i spojrzał na nie uważnie. Na górnym, z prawej strony, widać było panoramę południowej części lotniska, na której przycupnął boeing, jak wysiadujący pisklęta orzeł. Drugi, sąsiedni ekran przedstawiał powiększony obraz okna kabiny pilotów boeinga, tak wyraźny, że Peter mógł przeczytać nazwę producenta zasłonek na przyszytej do nich metce. Na trzecim, małym ekranie był podgląd wnętrza wieży kontroli ruchu, z kontrolerami widocznymi na pierwszym planie. W białych koszulkach z zawiniętymi rękawami siedzieli nad przekaźnikami radarowymi. Przez sięgające od sufitu do podłogi szyby widać było dalszy plan. Wszystkie obrazy przekazywano przez kamery zainstalowane godzinę temu w głównym budynku dworca. Ostatni z małych ekranów pozostał ciemny, a główny, duży, wypełniała swojska i uśmiechnięta twarz Colina Noble'a.

- Gdyby to była kawaleria, a nie USA marines, to siedzielibyście tu już wczoraj - zauważył złośliwie Peter.

- Nie wiem, do czego tak ci się spieszy, stary. Nie wygląda na to, by party już się rozpoczęło. - Colin uśmiechnął się z ekranu i zsunął baseballową czapeczkę na tył głowy.

- Masz rację, do licha - zgodził się Peter. - Nawet nie wiemy, kto urządza to przyjęcie. Kiedy w końcu wylądujecie?

- Mamy w tej chwili dobry wiatr. Została nam jeszcze godzina i dwadzieścia dwie minuty lotu - odpowiedział Colin.

- W porządku, przejdźmy wobec tego do rzeczy. - Peter zaczął informować. Mówił, zaglądając często do notatek. Od czasu do czasu zwracał się do kamerzystów, a ci prezentowali na ekranie odpowiednie fragmenty lotniska i miejsca rozlokowania snajperów. Obraz przekazywany był do herkulesa, tak że ludzie wyznaczeni na określone pozycje mogli im się przyjrzeć i odpowiednio przygotować. Ten sam, choć trochę zniekształcony obraz trafiał za pośrednictwem satelity na drugą półkulę, do dowództwa Atlasu w zachodnim skrzydle Pentagonu.

Zagłębiając się w wygodnym fotelu Kingston Parker z uwagą śledził każde słowo informacji i dopiero gdy asystent przyniósł mu jakiś długi teleks, pogrążył się w jego lekturze. Po chwili wydał polecenie, aby jego własny obraz przekazano do hawкера w Johannesburgu.

- Bardzo przepraszam, że przerywam, Peterze, ale otrzymaliśmy interesujące dane dotyczące porywaczy. Zakładając, że porywacze wsiedli do samolotu w Mahé, zwróciliśmy się do policji na Seszelach z prośbą o sprawdzenie listy pasażerów. W sumie piętnastu, z tego dziesięciu to stali mieszkańcy Seszeli: miejscowy kupiec z żoną i ośmioro dzieci w wieku od dziesiątego do czternastego roku życia, wracających do szkół w Anglii.

Peter poczuł nagle chłód w sercu. Życie dziecka uważał zawsze za szczególnie cenne, zasługujące na specjalną ochronę. Ale Parker czytał dalej swój teleks,

trzymając skrawek papieru w lewej ręce, a prawą drapiąc cybuchem fajki kark.

- Ponadto do samolotu wsiadł angielski biznesmen, przedstawiciel Shell Oil Company, dobrze znany na wyspie, i czworo turystów. Obywatelka USA, Francuz i dwoje Niemców. Ta czwórka podróżowała razem. Urzędnicy imigracyjni i służba bezpieczeństwa pamiętają ich dobrze. Dwie młode kobiety i dwóch równie młodych mężczyzn. A oto ich nazwiska: Sally Anna Taylor, lat dwadzieścia pięć, Amerykanka, Heidi Hottschauer, lat dwadzieścia cztery, i Gunther Retz, lat dwadzieścia pięć - Niemcy, oraz Henri Larousse, lat dwadzieścia sześć, Francuz. Sprawdzono, co robili na wyspie. Okazało się, iż dwa tygodnie mieszkali w Reef Hotel poza stolicą, kobiety w dwuosobowym pokoju, a mężczyźni w drugim. Większość czasu poświęcali na pływanie i opalanie się, dopóki do Victorii nie przyplłynął mały transoceaniczny jacht, płynący samotnie wokół świata. Kierowany był przez Amerykanina. Nasza czwórka spędziła na pokładzie kilka dni, aż do chwili jego odpłynięcia na dwadzieścia cztery godziny przed odlotem zero siedemdziesiąt.

Jeśli jacht dostarczył im broń i amunicję, to operacja ta musiała być zaplanowana dużo wcześniej, myślał Peter. I to diabelnie dobrze zaplanowana.

Poczuł mrowienie wywołane przyspieszonym krążeniem krwi. Wróg przybierał określone kształty, zarysy bestii stawały się bardziej wyraźne.

- Czy znalazł pan te nazwiska w komputerze? - Zapytał.

- Nie, nie znalazłem - odpowiedział Parker. - Albo nie ma ich w komputerze, albo nazwiska i paszporty są fałszywe...

Przerwał, gdyż na ekranie pokazującym wnętrze wieży kontroli ruchu coś zaczęło się dziać. Jakiś głos zahuczał z drugiego głośnika. Jego siła była źle ustawiona, więc technicy szybko ją uregulowali. Zabrzmiał głos kobiecy, świeży, czysty, w języku angielskim, z zaśpiewem i modulacją charakterystyczną dla mieszkańców Zachodniego Wybrzeża Stanów Zjednoczonych.

- Tu dowódca grupy operacyjnej Akcji Komando, walczącej o prawa ludzkie, kontrolującej statek powietrzny zero siedemdziesiąt. Prosimy przyjąć komunikat.

- Kontakt! - Zawołał Peter. - Nareszcie mamy kontakt!

Na małym ekranie Colin Noble uśmiechnął się i zręcznie przesunął swoje cygaro z jednej strony ust na drugą.

- Party się rozpoczęło - stwierdził żartobliwie, lecz w jego głosie można było wyczuć ostrość brzytwy.

Trzyosobowa załoga została usunięta z kabiny pilotów i umieszczona na miejscach zajmowanych przedtem przez porywaczy. Ingrid uczyniła z kabiny pilotów swoją kwaterę główną, gdzie obecnie pracowała, szybko wertując stosy paszportów i wpisując nazwisko oraz obywatelstwo każdego pasażera do planu miejsc w samolocie.

Drzwi do kuchni były otwarte; z wyjątkiem szumu wentylatorów w samolocie

panowała cisza. Zabroniono prowadzenia rozmów w kabinach, a przejścia między siedzeniami wciąż patrolowali porywacze, egzekwujący przestrzeganie zakazu. Wprowadzono także zasadę, że zanim któryś z pasażerów uda się do toalety, poprzedni musi zdążyć wrócić na swoje miejsce. Drzwi do toalety cały czas pozostawały otwarte, tak żeby można było w każdej chwili sprawdzić, co robi przebywający w niej człowiek.

Mimo ciszy atmosfera w kabinach była napięta. Tylko niewielu pasażerów, głównie dzieci, spało. Pozostali siedzieli wyprostowani, śledząc porywaczy z mieszaniną nienawiści i strachu. Na twarzach malowało się zmęczenie i zdenerwowanie.

Francuz Henri wśliznął się do kabiny pilotów.

- Wycofują wozy pancerne - powiedział. Był szczupły, z bardzo młodzieńczą twarzą i marzącymi oczami poety. Wyhodował sobie długie, opadające ku dołowi wąsy rewolwerowca, ale uzyskał efekt raczej mizerny.

Ingrid spojrzała na niego.

- Jesteś taki nerwowy, *chéri*. - Pokręciła głową - Wszystko skończy się dobrze.

- Nie jestem nerwowy - odpowiedział przyduszonym głosem.

Uśmiechnęła się i czule wyciągnęła ręce do jego twarzy.

- Nie chciałam cię urazić. - Przyciągnęła go i pocałowała, wsuwając język głęboko w jego usta. - Już przecież wielokrotnie dowiodłeś swojej odwagi - szepnęła.

Z łoskotem położył pistolet na pulpicie. Trzy górne guziki jej bawełnianej bluzki były odpięte. Wsunął do środka rękę i chwycił jej piersi. Były ciężkie i twarde. Podniecony głaskał jej sutki, oddychając nierówno. Wolną ręką sięgnął niżej, usiłując rozpiąć suwak jej szortów, ale odepchnęła go gwałtownie.

- Później - rzekła szorstko - kiedy to wszystko już się skończy. A teraz wracaj do kabiny, do pasażerów.

Pochyliła się do przodu i uniosła nieco róg zasłonki zakrywającej okno. Słońce świeciło oślepiająco, ale gdy oczy przyzwyczyły się do jaskrawego światła, dostrzegła szereg głów w hełmach, poruszających się nad balustradą balkonu wieży kontroli lotów. A więc wycofywali również oddziały żołnierzy. Nadchodził odpowiedni czas na podjęcie rozmów, ale spieszyć się nie trzeba. Niech jeszcze trochę poczekają.

Wyprostowała się, zapięła bluzkę i poprawiła wiszący na szyi aparat. Przeszła do kuchni, gdzie zatrzymała się na chwilę, żeby poprawić zwichrzone włosy. Następnie udała się do kabiny pasażerów, idąc wolno przejściem między fotelami. Na chwilę przystanąła, żeby poprawić koczek na śpiącym dziecku i wysłuchać uważnie skarg ciężarnej żony neurochirurga z Teksasu.

- Opuścisz ten samolot ze swoimi dziećmi jako pierwsza, obiecuję ci.

Kiedy dotarła do leżącego bezwładnie inżyniera, uklękła przy nim.

- Jak on się czuje? - Zapytała lekarza.

- Teraz śpi. Dałem mu zastrzyk z morfiny - odburknął mały, gruby doktor, nie patrząc na nią. Nie mogła dostrzec ukrytej w jego oczach nienawiści. Okaleczone ramię uniesiono do góry, w celu zahamowania upływu krwi. Sterczało owinięte w kokon bandażu, dziwnie skrócone, z jaskrawymi wyciekami krwi na rękawie.

- Dziękuję ci za to, co zrobiłeś dla niego. - Delikatnie dotknęła ramienia doktora, a gdy spojrzał na nią zdziwiony, obdarzyła go tak promiennym i słodkim uśmiechem, że zmiękł.

- Czy to twoja żona? - Zniżyła głos, a kiedy skinął głową, popatrzyła na siedzącą obok małą, pulchną Żydówkę. - Opuści ten samolot jako jedna z pierwszych - obiecała.

Był wyraźnie wzruszony tym, co usłyszał. Wstała i poszła do końca kabiny.

U przysłoniętego kotarą wejścia do drugiej kuchni stał Niemiec w czerwonej koszuli. Miał mocno rzeźbione rysy religijnego fanatyka, ciemne, płonące oczy, długie, spadające na ramiona włosy i białą bliznę na wardze. Przydawała jego ustom wyraz ciągłego uśmiechu.

- Czy wszystko jest w porządku, Kurt? - Zapytała po niemiecku.

- Skarżą się, że są głodni.

- Damy im jeść za jakieś dwie godziny, ale nie tyle, na ile liczą. - Pogardliwym spojrzeniem obiegła kabinę. - To wszystko są tłuste burżuazyjne świnię. - Przeszła na drugą stronę kotary do kuchni, spoglądając na niego zachęcająco.

Poszedł jej śladem, zaciągając za sobą szczelnie zasłonę.

- Gdzie jest Karen? - Zapytała, podczas gdy odpinał pasek u spodni. Ogarnęło ją podniecenie, czuła gorąco krwi w żyłach.

- Odpoczywa w końcu kabiny.

Odpięła guzik podtrzymujący jej szorty i pociągnęła w dół suwak.

- Weź mnie, Kurt - szepnęła zachrypniętym głosem, ale szybko, bardzo szybko.

Ingrid siedziała na miejscu inżyniera pokładowego, obok niej stała ciemnowłosa Karen z przerzuconym przez ramię pasem z nabojami i dużym, niezgrabnym pistoletem u pasa.

Ingrid jedną ręką trzymała przy ustach mikrofon, drugą zaś przeczesywała włosy.

- Stu dziewięćdziesięciu ośmiu brytyjskich obywateli, stu czterdziestu sześciu amerykańskich - czytała listę zakładników. - Na pokładzie samolotu znajdują się sto dwadzieścia dwie kobiety i dwadzieścia sześcioro dzieci. - Mówiła już prawie pięć minut i teraz przerwała na chwilę, przesuwając nieco swój fotel i zwracając przez ramię uśmiechniętą twarz do Karen. Ciemnowłosa dziewczyna odpowiedziała uśmiechem i szczupłą ręką zaczęła gładzić włosy przyjaciółki.

- Zanotowaliśmy wszystko, co pani powiedziała.

- Proszę nazywać mnie Ingrid - rzuciła ze złośliwym uśmiechem do mikrofonu. Nastąpiła chwila ciszy, podczas której rozmówca starał się ochłonać z szoku wywołanego tą propozycją.

- Jestem Roger, Ingrid. Czy masz coś jeszcze do przekazania?

- Tak jest, Rogerze. Ponieważ jest to brytyjski samolot i ponieważ aż trzystu czterdziestu czterech pasażerów jest obywatelami brytyjskimi lub amerykańskimi, chcę rozmawiać z kimś, kto reprezentowałby ambasady tych państw. Chcę z nimi rozmawiać za dwie godziny. Przedstawię warunki uwolnienia pasażerów.

- Załatwione, Ingrid. Nawiążemy z tobą kontakt natychmiast po porozumieniu się z ambasadorami.

- Nie próbuj robić ze mnie durnia. Oboje wiemy doskonale, że w tej chwili stoją tuż obok ciebie. Powiedz im, że chcę widzieć tutaj ich człowieka w ciągu dwóch godzin, w przeciwnym razie zlikwiduję pierwszego zakładnika.

Peter Stride miał na sobie tylko kąpielówki i trampki. Ingrid nalegała na spotkanie w cztery oczy, a on nie omieszkał skorzystać z okazji.

- Będziemy cię ubezpieczali cały czas, tam i z powrotem powiedział Colin Noble, krzątając się wokół Petera, jak trener wokół boksera przed wyjściem na ring. - Osobiście dopilnuję strzelców.

Snajperzy byli uzbrojeni w specjalne, wykonane na zamówienie karabiny, wyposażone w dwojakiego rodzaju celowniki; teleskopowe i laserowe, funkcjonujące wymiennie. Również amunicję wykonano ręcznie; małe, świetlne kule osiągały olbrzymią prędkość i wielką siłę uderzenia, nawet w granicach siedmiuset metrów. Niezwykła precyzja tej doskonałej broni ograniczała niebezpieczeństwo dla osób postronnych i dla zakładników. Pocisk z takiego karabinu uderzał w człowieka z niesamowitą siłą i rozrywał się w jego ciele, nie przebijając go.

- Niepotrzebnie tak się niepokoisz - mruknął Peter. Oni chcą rozmawiać, a nie strzelać. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Kobiety to specjalny gatunek ludzi - ostrzegął Colin. A ta to prawdziwa trucizna.

- Ważniejsze niż karabiny są kamery i sprzęt do nagrań dźwiękowych.

- Już zdążyłem „podkręcić” naszych techników. Będziesz miał zdjęcia, za które dostaniesz Oscara. Gwarantuję ci. - Colin rzucił okiem na zegarek. - Czas już na ciebie. Nie pozwól kobiecie czekać. - Poklepał Petera po ramieniu. - Połam nogi - rzucił mu na odchodne.

Peter wyszedł na zewnątrz z podniesionymi do góry rękami i rozsuniętymi palcami. Cisza była przygniatająca, upał nieznośny. Wcześniej Peter nakazał zamrożenie całego ruchu w powietrzu oraz wyłączenie wszystkich maszyn na terenie lotniska, by nic nie zakłóciło pracy sprzętu nagrywającego.

Jedynym dźwiękiem, jaki słyszał, był odgłos jego kroków. Szedł energicznie i zdecydowanie, lecz przemierzał chyba najdłuższą drogę w życiu. Im mniejszy dystans dzielił go od samolotu, tym bardziej przytłaczał go jego ogrom. Miał świadomość, że w żądaniu, aby przyszedł rozebrany, niemal nagi, chodziło nie tylko o to, żeby nie mógł zabrać z sobą broni, lecz również o to, aby postawić go w niekorzystnej sytuacji. Żeby poczuł się słaby, skrępowany i zakłopotany. To stary chwyt. Gestapo zawsze rozbierało swoje ofiary podczas przesłuchań. Starał się więc iść wyprostowany, z uniesioną głową. Czuł w tej chwili wielką satysfakcję, że jest tak dobrze zbudowany, umięśniony i wysportowany. O ile gorsze miałyby teraz samopoczucie, gdyby dźwigał przed sobą brzuch i tłuste, zwisające piersi.

Przeszedł już pół drogi, gdy przednie drzwi samolotu uchyliły się i kilka postaci pojawiło się w otworze. Wyteżył wzrok; dojrzał trzy osoby w mundurach Brytyjskich Linii Lotniczych, dwóch pilotów i stewardesę. Stali obok siebie, ciasno, ramię przy ramieniu. Za ich plecami dostrzegł jeszcze jedną, jasną głowę, ale kąt widzenia i jaskrawe światło słoneczne utrudniały widzenie.

Z prawej strony stał starszy pilot. Krótko ostrzyżone włosy, czerstwa okrągła twarz, to chyba Watkins, dowódca. Peter zaznajomił się wcześniej z jego służbową teczką personalną. Drugi pilot i stewardesa nie interesowali go w tej chwili, całą swoją uwagę skupił na stojącej za nimi postaci. Dopiero kiedy stanął na wprost wejścia do samolotu, zobaczył całą twarz.

Był zaskoczony niezwykłą urodą dziewczyny, a zwłaszcza niewinnym wyrazem szeroko otwartych szmaragdowych oczu, wprost wierzyć mu się nie chciało, że to porywaczka.

- Jestem Ingrid - odezwała się.

Niektóre, bardzo trujące kwiaty należą do najpiękniejszych, pomyślał.

- Zostałem negocjatorem wyznaczonym z ramienia rządu Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych - odpowiedział i przesunął wzrok na miętistą czerwoną twarz Watkinsa. - Ilu członków Komanda znajduje się na pokładzie?

- Żadnych pytań! - Ingrid ucięła wściekle, a Cyryl Watkins położył cztery palce prawej ręki na swoim udzie, nie zmieniając przy tym wyrazu twarzy.

Stanowiło to bardzo ważne potwierdzenie tego, czego Peter już się domyślał. Poczul więc przyływ wdzięczności dla pilota.

- Zanim przedyskutujemy wasze warunki - zaczął znowu Peter - ze względów humanitarnych chciałbym się upewnić, że zakładnicy dobrze się czują i nic nie zagraża ich życiu.

- Mają dobrą opiekę.

- Czy nie potrzebujecie żywności lub wody pitnej?

Dziewczyna odrzuciła do tyłu głowę i uśmiechnęła się czarująco.

- Chcielibyście dodać do nich środków przeczyszczających i rzucić nas na kolana w gówno? Załatwić nas smrodem, he?

Peter zaniechał tego tematu. Pamiętał, że jego doktor już wcześniej przygotował w tym celu środki odurzające.

- Czy na pokładzie są ranni?

- Nikt nie jest ranny - gładko skłamała dziewczyna, ale Watkins znów uczynił potwierdzający znak kciukiem i palcem wskazującym, a jednocześnie Peter zauważył plamki krwi na rękawach jego koszuli.

- No, już dosyć tego - ostrzegła Petera Ingrid. - Jeszcze jedno pytanie i przerwiemy...

- W porządku - Peter zgodził się natychmiast. - Nie mam już żadnych pytań.

- Celem naszego Komanda jest ostateczny upadek brutalnego, faszystowskiego, nieludzkiego, neoimperialistycznego reżimu, który utrzymuje ten kraj w stanie niewolnictwa i nędzy, odmawiając olbrzymiej większości robotników podstawowych praw ludzkich.

I jest to, myślał Peter z goryczą, niestety prawda, choć zostało ubrane w okropny, lewicowy żargon. Słyszac to, setki milionów ludzi na całym świecie natychmiast poczułyby sympatię do porywaczy, co niezmiernie utrudniłoby zadanie Petera. Porywacze wybrali niewątpliwie odpowiedni cel.

Dziewczyna mówiła z rosnącym wciąż, niemal religijnym ferworem. Słuchając jej, Peter coraz bardziej upewniał się, że ma do czynienia z fanatyczką, którą od szaleństwa dzieli tylko cienka nitka. Jej głos stał się chrapliwy i skrzeczący, gdy wyrażała swoją nienawiść i potępienie. Kiedy wreszcie skończyła, miał już pewność, że była zdolna do wszystkiego, do każdego okrucieństwa, do każdej niegodziwości. Wiedział, że stać ją nawet na desperacki akt samobójstwa, na zniszczenie boeinga razem z pasażerami i porywaczami; być może powitałaby z radością możliwość męczeńskiej śmierci. Mrowie przeszło mu po plecach.

Teraz oboje milczeli, mierząc się wzajemnie wzrokiem. Z jej twarzy zniknął powoli wyraz obłądnego fanatyzmu, stopniowo odzyskiwała oddech, a Peter czekał, aż się zupełnie uspokoi.

- Pierwszym naszym żądaniem jest... - Dziewczyna odzyskała w końcu równowagę i patrzyła teraz przenikliwie na Petera. - Naszym pierwszym żądaniem jest, aby to, co przed chwilą wygłosiłam, mogło zostać odczytane i transmitowane przez wszystkie główne ośrodki telewizyjne w Anglii i USA, a także tutaj, w Afryce Południowej.

Peter czuł wstręt do tego straszego małego pudełka ujawniania emocji, jakim była telewizja. Nienawidził tego przyrzędu do zamrażania, paczkowania i rozpowszechniania opinii i informacji.

- To oświadczenie winno zostać odczytane o siódmej wieczorem w Los Angeles, Nowym Jorku, Londynie i Johannesburgu.

Doskonali wybór czasu, myślał Peter. Oczywiście środki masowego przekazu pochłoną to natychmiast chciwie, przecież to jest dla nich wspaniały żer, pornografia gwałtu!

Wysoko nad nim dziewczyna wymachiwała grubą kopertą.

- Tutaj jest kopia oświadczenia dla telewizji. Zawiera również listę nazwisk. Sto dwadzieścia nazwisk osób uwięzionych lub wypędzonych i wyjętych spod prawa przez policyjny reżim. Wymienione na tej liście osoby są prawdziwymi przywódcami Afryki Południowej. - Rzuciła kopertę, która wylądowała u stóp Petera. - Dalej. Żądamy, aby wszystkie znajdujące się na liście osoby mogły opuścić ten kraj samolotem dostarczoną przez rząd Afryki Południowej. Ponadto tutejsze władze winny dostarczyć milion złotych monet, krugerandów. Samolot odleci do kraju wybranego przez uwolnionych przywódców politycznych. Złoto zostanie użyte na potrzeby powołanego na wygnaniu rządu, który powróci do kraju jako jego prawowita władza, gdy nadejdzie dzień zwycięstwa prawdy i sprawiedliwości.

Peter schylił się i podniósł kopertę, dokonując jednocześnie w myślach obliczenia. Jeden krugerand wart był co najmniej sto siedemdziesiąt dolarów, wobec tego okup wynosiłby sto siedemdziesiąt milionów dolarów.

I jeszcze jedno obliczenie.

- Milion krugerandów waży przeszło czterdzieści ton powiedział głośno. - W jaki sposób samolot udźwignie ten ciężar?

Dziewczyna zawahała się, a Peter z satysfakcją mógł stwierdzić, że nie wszystko zostało dokładnie przemyślane przez porywaczy. Jeśli popełnili jeden błąd, mogli popełnić ich więcej.

- Rząd powinien zapewnić wystarczającą liczbę samolotów do przetransportowania wszystkich więźniów i całego złota - ostro oświadczyła dziewczyna. Jej wahanie było tylko chwilowe.

- Czy to wszystko? - Zapytał Peter. Słońce parzyło go w ramiona, a kropla potu lechtała w pachwinie.

- Albo samolot odleci jutro przed południem, albo rozpocznie się egzekucja zakładników. - To zakrawało na horror. Słowo „egzekucja” zostało zaczerpnięte ze słownika legalizmu. Peter w tym momencie zdał sobie sprawę, że dziewczyna wykona

swoją groźbę.

- Kiedy samolot z więźniami przybędzie do miejsca przeznaczenia, zostanie nam przekazany ustalony wcześniej sygnał i wtedy wszystkie znajdujące się na pokładzie boeinga kobiety i dzieci zostaną uwolnione.

- A co z mężczyznami? - Zapytał Peter.

- Szóstego, w poniedziałek, a więc za trzy dni, na posiedzeniu Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku zostanie przedłożona rezolucja wzywająca do zastosowania natychmiastowych sankcji ekonomicznych przeciwko Afryce Południowej. Rezolucja przewiduje wycofanie kapitału zagranicznego z Afryki Południowej, nałożenie embarga na dostawy ropy naftowej i na handel, zerwanie wszystkich komunikacyjnych i transportowych połączeń, blokadę portów i granic powietrznych oraz przygotowanie, a następnie przeprowadzenie wolnych i powszechnych wyborów pod nadzorem inspektorów ONZ.

Peter z trudem usiłował zrozumieć sens żądań porywaczki. Oczywiście, znał złożony przez Sri Lankę i Tanzanię w ONZ wniosek, który z całą pewnością natknąłby się na weto w Radzie Bezpieczeństwa. To było więcej niż pewne, ale określone przez dziewczynę terminy nasuwały przerażające skojarzenia. Bestia przybrała nową postać. To, co przed chwilą usłyszał, przyprawiło go wręcz o wściekłość. Z pewnością nie było przypadkiem, że rezolucja miała być rozpatrywana za trzy dni. Wynikające stąd skojarzenia były straszne, gdyż sugerowały współdziałanie przywódców świata i rządów państw w strategii terroru.

- Jeśli któryś z członków Rady Bezpieczeństwa - Ameryka, Wielka Brytania lub Francja - zastosuje weto, żeby zablokować rezolucję Zgromadzenia Ogólnego, samolot zostanie wysadzony w powietrze razem z pozostającymi na jego pokładzie ludźmi.

Peter zaniemówił na chwilę. Stał, patrząc w milczeniu na to ładne blond dziecko. Robiła wrażenie, że jest jeszcze dzieckiem, tak bardzo była młoda i świeża.

Kiedy wreszcie odzyskał głos, był zachrypnięty.

- Nie wierzę, że moglibyście wykonać swoją groźbę i zdetonować samolot - oświadczył.

Blondynka zwróciła się do kogoś wewnątrz samolotu i po chwili rzuciła mu jakiś ciemny, okrągły przedmiot.

- Chwytaj! - Zawołała.

Zaskoczył go ciężar przedmiotu. Natychmiast go rozpoznał.

- Elektronicznie detonowany! - Dorzuciła ze śmiechem. Mamy ich tak wiele, że jeden możemy ci sprezentować.

W tym momencie pilot, Cyryl Watkins, usiłował mu coś przekazać, dotykając najpierw swojej szyi, a następnie spoglądając na dziewczynę. Na jej szyi zawieszony był mały aparat fotograficzny. Chyba coś łączy ten aparat z granatem. Czy to właśnie pilot chciał powiedzieć?

- Przekaż ten prezent swoim panom - mówiła dalej dziewczyna - i powiedz im, niech drżą. Gniew ludu wisi nad ich głowami. Rewolucja jest tuż-tuż. - W tym momencie zamknęła drzwi luku. Słysząc było szcęk zamka.

Peter zawrócił i szedł, niosąc w jednej ręce kopertę, w drugiej granat, a w sobie odrazę.

Potężna sylwetka Colina Noble'a wypełniała niemal całkowicie luk hawкера; na twarzy mężczyzny malowała się śmiertelna powaga, nie widać było śladu uśmiechu w jego oczach ani też w kącikach szerokich, zwykle roześmianych ust.

- Doktor Parker jest na ekranie - oznajmił. Powitał Petera, który spiesząc się, zapinał kombinezon. - Zapisywaliśmy każde słowo i wtedy on się podłączył.

- Chryste, jest niedobrze, Colinie - mruknął Peter.

- To jeszcze niezła wiadomość - powiedział Colin. Mam dla ciebie znacznie gorszą.

- Dziękuję ci, przyjacielu - Peter wcisnął się do kabiny i opadł na skórzany fotel.

Na ekranie widać było Kingstona Parkera pochylonego nad zapisem rozmowy między Peterem a Ingrid. Ścisnął zębami pustą fajkę. Z zamyślenia wyrwał go głos asystenta.

- Generał Stride, sir. - Parker spojrział na ekran.

- Słuchaj, Peterze. Jesteśmy w tej chwili sami. Poleciałem wyłączyć nas z obiegu. Czekam na rozmowę z sir Williamem i Constablem, chciałbym najpierw poznać twoją opinię.

Sir William Davis był ambasadorem brytyjskim, a Kelly Constable amerykańskim w Pretorii.

- Chcę znać twoją pierwszą reakcję.

- Sprawa jest bardzo poważna, sir - powiedział Peter, a Parker potwierdził skinieniem głowy.

- Jak oceniasz możliwości porywaczy?

- Otrzymałem granat przekażę specjalistom, nie mam jednak najmniejszych wątpliwości, że są w stanie zniszczyć samolot wraz ze wszystkimi ludźmi na pokładzie.

- A co sądzisz o ich morale?

- Moim zdaniem dziewczyna jest dzieckiem Bakunina i Jeana Paula Sartre'a jednocześnie.

Parker znowu skinął głową.

- Zgodnie z anarchistyczną filozofią zniszczenie jest jedynym prawdziwym aktem twórczym, w którym człowiek odtwarza siebie. Wie pan, Sartre powiedział kiedyś, że gdy rewolucjonista zabija, ginie tyran, a rodzi się wolny człowiek ciągnął Peter.

- Czy ta dziewczyna jest gotowa na wszystko? - Dopytywał się Parker.

- Tak, sir - odpowiedział Peter bez wahania - jeśli zostanie przyciśnięta do muru. Pan zna ich sposób myślenia: jeśli destrukcja jest piękna, to samozniszczenie daje

nieśmiertelność. Moim zdaniem nie cofnie się przed niczym.

Parker westchnął i postukał cybuchem fajki o swoje duże białe zęby.

- Tak, to się chyba zgadza z tym, co o niej wiemy.

- Czy pan coś o niej wie? - Niecierpliwł się Peter.

- Mamy zapis jej głosu i komputerową odbitkę rysów twarzy.

- Kim jest? - Przerwał Peter. Nie interesował go zapis głosu ani komputerowy obraz twarzy w momencie, gdy była mowa o jej żądaniach.

- Rodowe nazwisko brzmi Becker, Hilda Becker. Jest Amerykanką niemieckiego pochodzenia. Ojciec był dentystą, owdowiał w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku. Dziewczyna ma trzydzieści jeden lat.

Peter sądził, że jest młodsza, zwiodła go jej młoda, świeża cera.

- Współczynnik inteligencji sto trzydzieści osiem. Studiowała na Uniwersytecie Kolumbijskim w latach tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt pięć - tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt osiem, jest magistrem współczesnej historii politycznej. Należy do SDS, Związku Studentów dla Demokracji.

- Tak - wtrącił Peter. - Wiem.

- Aktywistka ruchu protestacyjnego przeciwko wojnie w Wietnamie. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku aresztowana za posiadanie marihuany, nie skazana. Powiązana z ruchem ekologicznym. W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym była jednym z przywódców studenckiego buntu na uniwersytecie. Aresztowana za rzucenie bomby na Uniwersytecie im. Butlera, a następnie zwolniona. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku wyjechała z Ameryki w celu kontynuowania studiów w Düsseldorfie. Zrobiła doktorat z ekonomii politycznej w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku. Znane są jej powiązania z Gudrun Ensslin i Horstem Mahlerem z grupy Baader - Meinhof. Od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku ukrywa się w związku z podejrzeniem o udział w zamordowaniu Heinricha Kohlera, znanego przemysłowca zachodniemieckiego.

Typowa droga rozwoju współczesnego rewolucjonisty, gorzko myślał Peter. W ten sposób wyrasta bestia.

- Przypuszczalnie przeszła intensywny trening w jednym z obozów szkoleniowych OWP w Syrii w latach tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt sześć - tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt siedem. Od tamtej pory brak jakichkolwiek zapisów. Używa zwykle narkotyków wyprodukowanych z konopi indyjskich, przejawia dużą aktywność seksualną z przedstawicielami obu płci. - Parker podniósł głowę znad kartki. - To wszystko, co mamy - stwierdził.

- Tak - miękko powtórzył Peter. - Ona jest gotowa na wszystko.

- Czy masz coś jeszcze do powiedzenia w tej sprawie?

- Przypuszczam, że cała ta operacja została zorganizowana na wysokim szczeblu, prawdopodobnie rządowym...

- Dowody! - Rzucił sucho Parker.

- Wskazuje na to koordynacja akcji z propozycjami Narodów Zjednoczonych, popieranymi przez kraje niezaangażowane.

- W porządku! Co dalej?

- Po raz pierwszy mamy do czynienia z doskonale przygotowanym i zorganizowanym aktem terroru, który nie stawia sobie mętnych, partykularnych celów. Przedstawiono nam żądania, o których sto milionów Amerykanów i pięćdziesiąt milionów Europejczyków może w każdej chwili powiedzieć: te żądania są słuszne.

- Co dalej?

- Porywacze wybrali sobie „miękki” cel, trafili w bolące miejsce zachodniej cywilizacji. Przyjęcie rezolucji przez ONZ jest pewne; miliony Amerykanów i Anglików postawią sobie pytanie, czy warto ryzykować życie czterystu wybitnych obywateli w imię ochrony interesów rządu, do którego polityki rasowej czują wstręt.

- Tak? - Parker pochylił się do przodu, żeby spojrzeć na ekran. - Czy sądzisz, że porywacze pójną na ugodę?

- Porywacze? Możliwe. - Peter przerwał na chwilę, a potem dodał: - Pan zna moje poglądy, sir. Jestem absolutnie przeciwny pertraktowaniu z tymi ludźmi.

- Nawet w tych okolicznościach?

- Szczególnie teraz. Moje poglądy na politykę tego kraju są takie same jak pańskie, doktorze. Nie możemy jednak za żadną cenę zaaprobować tego, co się dzieje. Jeśli ci ludzie osiągną cel, będzie to zwycięstwo pistoletu, zagrażające całej ludzkości.

- Jak oceniasz szanse skutecznego kontruderzenia? - Zapytał nagle Parker, a Peter, choć oczekiwał tego pytania, wahał się przez chwilę, zanim odpowiedział.

- Pół godziny temu stawiałbym dziesięć przeciwko jednemu, że wezmę samolot szturmem, bez ofiar wśród zakładników.

- A w tej chwili?

- W tej chwili wiem już, że to nie tylko zauroczeni fanatycy. Są prawdopodobnie bardzo dobrze wyszkoleni i wyposażeni nie gorzej od nas. I mieli bardzo dużo czasu na przygotowanie tej akcji.

- Twoje prognozy? - Naciskał Parker.

- Mamy cztery szanse na jedną, że przeprowadzimy akcję, nie powodując więcej niż dziesięć ofiar.

- Czy istnieje inna możliwość odbicia samolotu?

- Sądzę, że nie istnieje. Jeśli nam się nie uda, stracimy samolot i zginą wszyscy, nie wyłączając załogi Thoru.

- To już wszystko, Peterze. - Parker przechylił się do tyłu w fotelu, dając do zrozumienia, że rozmowa została skończona. - Mam zamiar przeprowadzić rozmowę z prezydentem i premierem. Właśnie usiłują mnie z nimi połączyć. Następnie będę rozmawiał z ambasadorami, a po godzinie znów wrócę do ciebie.

Jego obraz rozpląnął się na ekranie, a Peter nagle uświadomił sobie, że nurtująca go nienawiść gdzieś się ulotniła. Czuł w sobie chłód i spokój chirurga przed operacją. Był gotów wykonać stojące przed nim zadanie, do którego przygotowywał się długo i starannie.

Nacisnął przycisk dzwonka. Natychmiast wszedł Colin, który czekał za dźwiękoszczelnymi drzwiami kabiny.

- Chłopcy rozebrali ten granat. To jest „dandy”. Materiał wybuchowy produkcji radzieckiej, zapalnik produkcji fabrycznej. To dobra robota, bardzo skuteczny, i to jeszcze jak bardzo!

Peter nie potrzebował tego potwierdzenia, lecz Colin ciągnął dalej, rozsiadłszy się niedbale na krześle.

- Nadaliśmy listę nazwisk i tekst oświadczenia porywaczy do Waszyngtonu. - Pochylił się do przodu i powiedział do interkomu: - Puść tę taśmę, najpierw bez dźwięku. - Potem ponuro do Petera: - To właśnie ta zła wiadomość.

Na głównym ekranie pojawił się obraz boeinga. Było to ujęcie z okien wychodzących na teren zaplecza lotniska. Obraz samolotu spłaszczyła powiększająca soczewka. Falował od gorąca asfaltu pokrywającego główny pas startowy. Na pierwszym planie ukazały się nagie plecy i ramiona Petera zmierzającego w kierunku samolotu. Obraz został ponownie spłaszczony do tego stopnia, że Peter zdawał się stać w miejscu. Nagle przedni luk boeinga zmienił kształt, otworzyły się drzwi. Kamerzysta przybliżył obraz. W otworze pojawiło się dwóch pilotów i stewardesa, a następnie z wnętrza wyłoniła się złota główka dziewczyny. Widać było ruch jej warg wypowiadających jakieś słowa, w końcu ukazała się cała twarz.

- W porządku - powiedział Colin do interkomu. - Powtórz to jeszcze raz, tym razem włącz dźwięk.

Na ekranie następuje powtórzenie całej sekwencji: otwierają się drzwi samolotu, pojawia się troje zakładników, głowa dziewczyny powoli odwraca się do kamery i słychać wypowiedziane przez nią słowa: *Let's slide*.

- Ślizgajmy się? - Zdziwił się Peter.

- Powtórz to jeszcze raz, wzmacniając dźwięk - polecił Colin.

Znowu te same obrazy na ekranie i na końcu dziewczyna odwracająca się w stronę kamery.

- *It's slide* - Peter wciąż nie rozumiał.

- Okay - Colin zwrócił się znów do technika. - Włącz teraz jeszcze filtr dźwięku i rezonans modulacji.

Jeszcze raz to samo, dziewczyna i rozchylone usta mówiące do kogoś, kto znajduje się wewnątrz samolotu. Tym razem bardzo wyraźnie, bez najmniejszej wątpliwości słychać było: *It's Stride*.

Peter miał wrażenie, że otrzymał niespodziewany cios w żołądek.

- Rozpoznała cię - powiedział Colin. - Nie, do diabła, przecież ona na ciebie

czekała!

Obaj mężczyźni wymienili spojrzenia. Na twarzy Petera rysowała się konsternacja. Wszystko, co dotyczyło Atlasu, stanowiło ścisłą tajemnicę państwową. Tylko około dwudziestu osób spoza Atlasu było wtajemniczonych w jego sprawy, między innymi prezydent USA i premier rządu brytyjskiego. Z pewnością nie więcej niż cztery, pięć osób wiedziało, kto był dowódcą Thoru. Tymczasem, bez cienia wątpliwości, przed chwilą jego nazwisko padło z ust dziewczyny.

- Powtórz to jeszcze raz - rozkazał szorstko Peter.

Znów czekali w napięciu na te trzy słowa wypowiedziane młodym, śpiewnym głosem.

- *It's Stride* - powiedziała Ingrid, po czym ekran zmatowiał.

Peter przecierał powoli dłońią oczy. Dopiero teraz uprzytomnił sobie, że nie spał już niemal czterdzieści osiem godzin, ale to nie fizyczne znużenie nagle go dopadło, lecz obezwładniająca świadomość oczywistej zdrady.

- Ktoś wymierzył cios Atlasowi - powiedział cicho Colin. - I ten drań wciąż jeszcze żyje i oddycha. Będą teraz na nas czekali na każdym zakręcie.

Peter opuścił rękę i otworzył oczy.

- Muszę znowu rozmawiać z Parkerem.

Kiedy Parker ponownie pojawił się na ekranie, widać było, że jest zdenerwowany i niezadowolony.

- Przerwałeś mi rozmowę z prezydentem - oświadczył.

- Doktorze Parker - szybko mówił Peter. - Warunki uległy zmianie. Moim zdaniem szanse na sukces *Delty* spadły.

Właściwie nie mamy żadnej szansy.

- Rozumiem - stwierdził z gniewem Parker. - To bardzo ważne. Poinformuję o tym prezydenta.

Wszystkie toalety w samolocie były nieczynne, kosze ze śmieciami przepelnione, we wszystkich kabinach, mimo wentylacji, panował niezmierny zaduch. W rezultacie racjonowania posiłków i wody większość pasażerów znajdowała się w stanie otępienia spowodowanego głodem, a dzieci rozdrażnione i skore do płaczu.

Długotrwałe napięcie zaczęło się również odbijać na samopoczuciu porywaczy. Po czterech godzinach przerywanego wypoczynku nastąpiły długie godziny nieustannej czujności i aktywności. Ich czerwone koszule były wymięte i prze pocone pod pachami, oczy przekrwione z niewyspania; byli w kapryśnych humorach.

Na krótko przed zapadnięciem zmroku Karen straciła nad sobą panowanie. Jakiś pasażer w podeszłym wieku z ociąganiem reagował na rozkaz powrotu na miejsce po skorzystaniu z toalety. Dziewczyna wpadła we wściekłość i kilkakrotnie uderzyła go w twarz lufą pistoletu, rozcinając policzek aż do kości. Tylko Ingrid była w stanie ją

uspokoić, odprowadziła dziewczynę do kuchni i tam przytuliła do siebie, głaszcząc po głowie.

- Wszystko będzie dobrze, *Liebchen*. Jeszcze tylko trochę cierpliwości. Jesteś przecież taka silna. Za kilka godzin wszyscy przyjmujemy pigułki. Już niedługo.

Po kilku minutach Karen opanowała gwałtowne drżenie rąk i choć jeszcze blada, powróciła na swoje stanowisko w tyle klasy turystycznej. Natomiast siły samej Ingrid wydawały się niewyczerpane. Nocą przechodziła co pewien czas między siedzeniami, zatrzymując się co chwila, żeby zamienić kilka słów z cierpiącymi na bezsenność pasażerami, uspokajając ich obietnicą rychłego uwolnienia.

- Jutro otrzymamy odpowiedź na nasze żądania, po czym uwolnimy kobiety i dzieci. Wszystko będzie dobrze, jeszcze trochę cierpliwości.

Krótko po północy mały, gruby doktor odszukał ją w kabinie pilotów.

- Inżynier jest ciężko chory - oznajmił. - Jeśli nie zostanie natychmiast zabrany do szpitala, umrze.

Ingrid udała się z nim do chorego. Był rozpalony, skórę miał suchą, oddech chrapliwy i świszczący.

- To nerki - powiedział doktor, pochylając się nad rannym. - W rezultacie przeżytego szoku nastąpiło załamanie ich funkcji. Nie możemy go tutaj leczyć. Musi być zabrany do szpitala.

Ingrid dotknęła okaleczonego ramienia.

- Przykro mi, ale to niemożliwe.

- Czy pani nie ma serca? - Zapytał z wyrzutem lekarz.

- Współczuję mu, podobnie jak współczuję całej ludzkości - odpowiedziała spokojnie. - Ale on jest tylko jeden, a innych są miliony.

Wysokie, o spłaszczonym wierzchołku wzgórze oświetlono jaskrawymi reflektorami. Był to szczyt sezonu wakacyjnego, więc najpiękniejszy na świecie przylądek podziwiała dziesiątki tysięcy turystów i urlopowiczów.

Na ostatnim piętrze wysokiego budynku, w dużej sali, już od wielu godzin trwało nadzwyczajne posiedzenie rządu z udziałem doradców. Na samym końcu długiego stołu, niby jedno z granitowych wzgórz stepowych, sterczała potężna sylwetka premiera z twarzą buldoga. Wyraźnie dominował nad wszystkimi w tym obszernym, wykładanym boazerią pomieszczeniu, choć sam mówił niewiele, a tylko zachęcał innych do mówienia, czy to skinieniem głowy, czy też kilkoma burkliwymi słowami.

Przy drugim końcu stołu siedziało obok siebie dwóch ambasadorów, jakby podkreślając w ten sposób wzajemną solidarność. Stojące przed nimi aparaty telefoniczne od czasu do czasu dzwoniły, a oni wysłuchiwali albo ostatnich raportów ze swoich ambasad, albo też instrukcji przekazywanych im przez własne rządy.

Po prawej stronie premiera zajmował miejsce minister spraw zagranicznych,

przystojny mężczyzna z wąsem, wyróżniający się wielkim urokiem osobistym oraz ceniony za umiar i zdrowy rozsądek. Teraz jednak jego twarz wyrażała głębokie zatroskanie i surowość.

- To przecież właśnie oba wasze rządy były zawsze rzecznikami niepodjęcia żadnych rozmów z terrorystami, odrzucania wszystkich ich żądań; dlaczego wobec tego teraz nalegacie na przyjęcie łagodnej linii postępowania?

- My nie nalegamy, panie ministrze, my po prostu zwracamy uwagę na wielkie zainteresowanie opinii społecznej tą sprawą zarówno w Zjednoczonym Królestwie, jak i w moim kraju. - Kelly Constable był szczupłym, przystojnym mężczyzną, inteligentnym i wymownym dyplomatą reprezentującym od niedawna nową, demokratyczną administrację amerykańską. - Taka linia postępowania leży w interesie waszego rządu, gdyż daje szansę bezkrwawego załatwienia sprawy. Po prostu sugerujemy, że pewne ustępstwa wobec żądań porywaczy stwarzają taką szansę.

- Dowódca Atlasu ocenia szanse siłowego rozwiązania sprawy na pięćdziesiąt procent. Dla mojego rządu tak wysoki stopień ryzyka jest nie do przyjęcia. - Sir William Davies był zawodowym dyplomatą, zbliżającym się już do wieku emerytalnego. Miał zwiędłą, pomarszczoną twarz, siwe włosy i wysoki, gderliwy głos, a na nosie okulary w złotej oprawie.

- Moi ludzie są przekonani, że potrafiliby lepiej wykonać to zadanie - oświadczył minister obrony. Także nosił okulary, mówił z twardym akcentem rodowitego Afrykanina.

- Atlas jest w tej chwili prawdopodobnie najlepiej wyszkoloną i najlepiej wyposażoną jednostką antyterrorystyczną na świecie - powiedział Kelly Constable.

- Na tym etapie, panowie, proszę ograniczać się do poszukiwania pokojowego rozwiązania - szorstko zwrócił uwagę premier.

- Ma pan rację, panie premierze - przytaknął sir William. - Jednak sądzę, iż trudno nie zauważyć, że większość żądań terrorystów nie odbiega od stanowiska rządu Stanów Zjednoczonych...

- Czyżby pan deklarował sympatię dla tych żądań? - Zapytał premier z pozorną obojętnością.

- Chcę panom jedynie uprzytomnić, że mogą się one spotkać z życzliwym oddźwiękiem opinii społecznej w moim kraju i że mojemu rządowi łatwiej będzie zastosować weto w głosowaniu nad wnioskiem Zgromadzenia Ogólnego w najbliższy poniedziałek, jeśli dzisiaj poczynimy pewne ustępstwa w kierunku ich uwzględnienia.

- Czy to groźba, sir? - Zapytał premier, łagodząc uśmiechem ostrze postawionego pytania.

- Nie, panie premierze, chodzi mi tylko o zdrowy rozsądek. Przyjęty i wykonany wniosek ONZ oznacza ruinę gospodarczą kraju, który pograży się w anarchii i chaosie. Będzie stanowił podatny grunt dla sowieckiej infiltracji. Tego, oczywiście, mój rząd sobie nie życzy. Nie życzy sobie jednak również, aby życie jego czterystu

obywateli zostało narażone - Kelly Constable roześmiał się. - Sądzę, że powinniśmy znaleźć jakieś wyjście z tego wspólnego kłopotu.

- Mój minister obrony już zasugerował wyjście.

- Panie premierze, muszę oświadczyć, że jeśli wasze jednostki zaatakują samolot bez zgody rządów brytyjskiego i amerykańskiego, w Radzie Bezpieczeństwa nie będzie weta i wniosek większości zostanie przyjęty.

- Nawet jeśli atak zakończy się sukcesem?

- Nawet w tym wypadku. Akcję militarną mogą wykonać tylko jednostki Atlasu. - Constable oświadczył to uroczyście i stanowczo; następnie dodał bardziej już pogodnie. - Zastanówmy się więc razem nad minimum ustępstw, które wasz rząd gotów byłby uczynić. Im dłużej uda się nam przeciągnąć negocjacje z terrorystami, tym większe są szanse na pokojowe rozwiązanie sprawy. Czy możemy zaproponować spełnienie choćby jednego z listy ich żądań?

Ingrid osobiście nadzorowała przydział porannego posiłku. Każdy pasażer otrzymał jeden kawałek chleba, biszkopt i filiżankę mocno słodzonej kawy. Pochłonawszy chciwie skromne porcje, zmęczeni i wygłodzeni ludzie zachowywali się apatycznie i obojętnie, nie stawiając najmniejszego oporu.

Ingrid chodziła między nimi, rozdając papierosy. Uśmiechała się łagodnie, rozmawiała z dziećmi i ich matkami. Pasażerowie nazywali ją „tą miłą”. Następnie przeszła do kuchni pierwszej klasy, dokąd zwołała pozostałą trójkę porywaczy i gdzie wspólnie zjedli obfite śniadanie, na które złożyły się jajka, śledzie oraz bułki z masłem. Ingrid chciała, by wszyscy byli wciąż tak silni i sprawni, jak tylko ciężkie warunki na to pozwolą. Dopiero w południe zamierzała zezwolić na zażycie narkotyków, których działanie dawało pożądane efekty w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin. Po tym czasie osoby będące pod ich wpływem stają się mało odpowiedzialne za swoje decyzje i poczynania.

Głosowanie nad sankcjami w Radzie Bezpieczeństwa miało się odbyć w Nowym Jorku w najbliższy poniedziałek w południe, czyli o siódmej wieczorem tutejszego czasu. Do tej pory Ingrid chciała utrzymać swoich oficerów w stanie pełnej gotowości, dlatego nie mogła ryzykować przedwczesnego załamania ich sił fizycznych i psychicznych. Tymczasem z niepokojem spostrzegła, że brak snu i stan ciągłego napięcia poważnie podkopały jej własne rezerwy psychiczne; stała się kapryśna i nerwowa, a kiedy przyjrzała się swojej twarzy, zauważyła cienie pod oczami i pierwsze zmarszczki w kącikach ust i oczu. To ją szczególnie zdenerwowało. Nigdy przedtem nie dopuszczała do siebie myśli o starzeniu się, a teraz czuła wyraźnie zapach swojego niemytego ciała.

Niemiec Kurt mocno spał w fotelu pilota, chrapiąc lekko, z pistoletem na kolanach i czerwoną koszulą rozpiętą do pasa, pod którą zarośnięta pierś podnosiła się i opadała

miarowo. Był nieogolony, a proste czarne włosy zakrywały mu oczy. Czują jego pot i to ją podniecało, przyglądała mu się więc bacznie. Dostrzegła w nim coś brutalnego i okrutnego, wyglądał na prawdziwego rewolucjonistę. To ją szczególnie pociągało, być może pod wpływem dawnych, lewicowych skłonności. Nagle poczuła pożądanie. Kiedy go jednak obudziła, trzymając rękę przyciśniętą do przodu jego cienkich lnianych spodni, miał mętny wzrok i cuchnący oddech. Nawet zręczne pieszczoty nie podnieciły go. Odwróciła się z uczuciem niesmaku.

Czując potrzebę rozładowania narastającego w niej napięcia, podniosła mikrofon i włączyła głośniki w kabinie pasażerów. Wiedziała, że postępuje irracjonalnie, ale zaczęła mówić.

- Niech wszyscy teraz uważnie słuchają, gdyż mam coś ważnego do powiedzenia. - Nagle ogarnęła ją złość. To oni wymyślili i zaprowadzili ten, tak bardzo niesprawiedliwy, porządek społeczny, przeciwko któremu się zbuntowała. Oni są tłustymi, zadowolonymi z siebie burzujami. Nienawidzi ich tak samo, jak nienawidziła swojego ojca. W pewnym momencie uświadomiła sobie, że chyba nawet nie rozumie języka, którym mówi, języka nowego porządku politycznego. To jeszcze bardziej zwiększyło jej gniew i frustrację. Krzyczała więc nieprzytomnie do mikrofonu, nie kontrolując już własnych myśli, dopóki w jakiejś chwili nie dobiegł do niej, jakby z oddali, jej własny pisk. Wtedy nagle urwała.

Czują zawroty głowy, gdy podniosła się z miejsca. Musiała chwycić za pulpit, serce biło gwałtownie. Brakowało jej tchu, jak po długim biegu. Potrzebowała dłuższej chwili na opanowanie się. Kiedy wreszcie przemówiła, znów nie potrafiła powstrzymać krzyku.

- Jest teraz godzina dziewiąta - oznajmiła. - Jeśli w ciągu trzech godzin tyrani nie udzielą nam odpowiedzi, będę zmuszona rozpocząć egzekucję zakładników. - Trzy godziny powtórzyła złowieszczco. - Tylko trzy godziny.

Zacząła się miotać po samolocie, jak wielki drapieźnik zamknięty w żelaznej klatce.

- Dwie godziny - powiedziała, przebiegając między siedzeniami, a pasażerowie odruchowo odsuwali się na bok, gdy ich mijała. - Już tylko godzina. - W jej głosie można było wyczuć ton sadyzmu. - Zaraz dokonamy wyboru pierwszych zakładników.

- Przecież pani obiecała - błagał gruby, mały doktor, gdy ściągnęła z siedzenia jego żonę, a Francuz popędził ją w kierunku kabiny pilotów.

Ingrid nie zwróciła na niego żadnej uwagi, natomiast zawołała Karen.

- Wybierz dwójkę dzieci, chłopca i dziewczynkę. O tak, weź tę ciężarną. Niech zobaczą jej brzuch. Chyba zrobi na nich wrażenie.

Karen spędziła wybranych zakładników do przedniej kuchni i wymachując pistoletem, poleciła im usiąść. Przez otwarte drzwi z kabiny pilotów dochodził, zupełnie wyraźnie, głos Ingrid, wyjaśniającej w języku angielskim Francuzowi

Henry'emu:

- Jest rzeczą niezmierniej wagi, żebyśmy stanowczo zareagowali na przekroczenie wyznaczonego terminu odpowiedzi, inaczej sami zniszczymy naszą wiarygodność. Dlatego musimy im okazać nasze zdecydowanie, a oni muszą sobie uprzytomnić, że terminy są nieodwołalne, nie podlegają żadnej dyskusji...

Dziewczynka w kuchni zaczęła płakać. Miała trzynaście lat i rozumiała grożące jej niebezpieczeństwo. Żona doktora objęła ją ramieniem i delikatnie przytuliła do siebie.

- Zero siedem zero - nagle zaskrzypiało radio - mamy wiadomość dla Ingrid.

- Słucham cię, tu Ingrid - zerwała się z miejsca, biorąc do ręki mikrofon i zatrzasnąwszy drzwi kabiny.

- Negocjator z ramienia rządów brytyjskiego i amerykańskiego chce przekazać propozycje do rozważenia. Czy jesteś gotowa do notowania?

- Nie będę nic notowała. - Ton odpowiedzi Ingrid był stanowczy i dobitny. - Powtarzam, nie będę nic notowała. Powiedz negocjatorowi, że mogę z nim rozmawiać tylko twarzą w twarz i że zostało mu tylko czterdzieści minut do wyznaczonego terminu. Lepiej więc zrobi, jeśli się pośpieszy - ostrzegła. Powiesiła mikrofon. - W porządku. Teraz bierzemy pigułki, gdyż zaczyna się najtrudniejsze - ponownie zwróciła się do Francuza.

Nadszedł kolejny bezchmurny dzień. Metalowe części samolotu rzucały oślepiające odbłaski słonecznego światła. Żar palił nagie plecy Petera i parzył stopy nawet przez podeszwy obuwia.

Tak jak poprzednio, przedni luk otworzył się, gdy Peter był dopiero w połowie drogi. Tym razem nikt nie pojawił się w otworze, który pozostał ciemnym prostokątem. Najwyraźniej ponaglany, Peter kroczył z godnością, z podniesioną głową i mocno zaciśniętymi szczękami.

Był w odległości pięćdziesięciu metrów od samolotu, gdy w otworze ukazała się Ingrid. Stała nie bez pewnej gracji, opierając ciężar ciała na jednej nodze, podczas gdy drugą lekko zgięła w kolanie. Nogi miała długie i opalone. U jednego boku nosiła pistolet, a zapięty na biodrach pas z nabojami podkreślał smukłość jej sylwetki.

Obserwowała Petera z półuśmiechem na ustach. Nagle na jej piersi zabłysnął mały medalion światła, oślepiająca plamka podobna do świecącego owada. Spojrzała nań lekceważąco.

- To prowokacja! - Zawołała. A więc wiedziała, że plamka była efektem promieni rzuconych przez laserowy celownik jednego ze snajperów ulokowanych w głównym budynku portu lotniczego. Wystarczyło, by snajper nieco mocniej nacisnął cyngiel, a kula trafiłaby precyzyjnie w ten właśnie punkt, rozrywając jej serce i płuca na strzępy.

Peter poczuł przyływ gniewu na snajpera, który uruchomił swój celownik bez rozkazu, a jednocześnie mimowolny podziw dla odwagi, którą przejawiała

dziewczyna, szydząc z niebezpieczeństwa. Przeciął prawą ręką powietrze i niemal w tej samej chwili tajemnicze światełko zniknęło z piersi dziewczyny. To snajper wyłączył laserowy celownik.

- Tak lepiej - powiedziała dziewczyna, uśmiechając się i taksując wzrokiem fizyczne walory Petera. - Prezentujesz się całkiem nieźle - stwierdziła, co wywołało w nim ponowny przypływ gniewu. - Płaski, twardy brzuch - powiedziała mocne nogi, wysportowana sylwetka. Myślę, że nie spędzasz wiele czasu, siedząc przy biurku. - Zacisnęła usta, jakby zastanawiając się nad czymś. - Wiesz, co ja o tobie myślę? Że jesteś albo policjantem, albo żołnierzem. Myślę, że jesteś jedną z tych przeklętych świń. - Jej głos utracił swoją poprzednią czystość, stał się chrapliwy, a twarz jakby się postarzała.

Stał wystarczająco blisko, żeby poznać ten charakterystyczny blask w oczach, napięcie, które dręczyło jej ciało, i nieskoordynowane, niespokojne ruchy rąk i gesty. Najwidoczniej była pod wpływem narkotyku. Miał do czynienia z polityczną fanatyczką, w której reszta ludzkich odruchów została obecnie przytłumiona. Zdawał sobie sprawę z tego, że jest w tej chwili bardziej niebezpieczna niż ranne dzikie zwierzę. Nie odpowiadał więc, ale wytrzymał spokojnie spojrzenie. Czekał, aż zacznie znów mówić. Tymczasem działający w krwi narkotyk nie pozwalał jej stać spokojnie. To przekładała pistolet z ręki do ręki, to znów podnosiła prawą rękę do wiszącego na szyi aparatu. Cyryl Watkins pragnął najwyraźniej coś mu o tym aparacie powiedzieć. Nagle Peter uprzytomnił sobie, o co Watkinsowi chodziło. A więc to jest ten cyngiel do zapalników? - Pomyślał. Tak, to na pewno detonator. Dlatego nigdy się z nim nie rozstaje.

Zauważyła jego spojrzenie i natychmiast opuściła rękę, czym jednak upewniła go tylko, że się nie myli.

- Czy więźniowie są już gotowi do odlotu? - Zapytała. - Czy złoto już zostało załadowane? Czy oświadczenie jest już gotowe do transmisji?

- Rząd Republiki Afryki Południowej uwzględnił prośbę władz brytyjskich i amerykańskich...

- Pięknie. - Skinęła głową.

- ...I ze względów humanitarnych zgodził się uwolnić wszystkich więźniów, których nazwiska są na waszej liście...

- Tak.

- Mogą odlecieć do dowolnie wybranego przez siebie kraju.

- A co ze złotem?

- Rząd Republiki Południowej Afryki stanowczo sprzeciwił się finansowaniu czy też wspieraniu w jakikolwiek inny sposób niekonstytucyjnej, posiadającej swoją siedzibę za granicą opozycji. Odmówił dostarczenia funduszy uwolnionym osobom.

- A transmisja telewizyjna?

- Rząd Republiki Południowej Afryki uważa, że treść oświadczenia nie odpowiada

prawdzie i stanowi faktycznemu, w związku z czym transmisja telewizyjna mogłaby zaszkodzić porządkowi prawnemu w kraju. Odmawia zgody na tę transmisję.

- Tak więc wyrażono zgodę na spełnienie tylko jednego z naszych żądań. - Głos dziewczyny stał się piskliwy, ramiona drgały w niekontrolowanym spazmie.

- Zwolnienie więźniów politycznych uzależnione jednak zostało od spełnienia jednego warunku - ciągnął szybko Peter.

- Co to za warunek? - Zapytała dziewczyna, a na jej policzkach pojawiły się wypieki.

- W zamian za zwolnienie więźniów tutejsze władze domagają się wypuszczenia na wolność wszystkich zakładników znajdujących się na pokładzie samolotu, nie tylko kobiet i dzieci, gwarantując wam jednocześnie możliwość bezpiecznego opuszczenia kraju razem z uwolnionymi więźniami politycznymi.

Dziewczyna odrzuciła do tyłu głowę, bujne złote włosy oplótły twarz. Zanosila się śmiechem, dzikim, niemal maniakalnym. W jej oczach nie było wesołości, lecz wściekłość. Nagle przestała się śmiać, jej głos stał się opanowany i kategoryczny.

- A więc oni sądzą, że mogą stawiać własne żądania? Sądzą, że są w stanie wyrwać zęby propozycjom ONZ? Sądzą, że zdejmując z siebie odpowiedzialność za zakładników, faszystowskie rządy Brytanii i Ameryki mogą bezkarnie zastosować weto?

Peter milczał.

- Odpowiadaj! - Wrzasnęła. - Czy oni myślą, że nie jesteśmy poważni?

- Jestem tylko pośrednikiem - powiedział.

- Nieprawda! - Wrzasnęła ponownie. - Jesteś dobrze wytrenowanym mordercą! Jesteś świnią! - Podniosła pistolet i trzymając go oburącz, celowała w twarz Petera.

- Jaką odpowiedź mam przekazać? - Zapytał, nie zwracając uwagi na groźbę.

- Odpowiedź będzie - powiedziała, zniżając głos. Oczywiście, należy się odpowiedź. - Opuściła pistolet i spojrzała na zegarek. - Jest trzy minuty po dwunastej, trzy minuty po wyznaczonym terminie, i wobec tego należy się im odpowiedź, oczywiście. - Była jakby zakłopotana, rozglądała się wokoło.

To są uboczne efekty przyjętego narkotyku, myślał Peter. Chyba przyjęła zbyt dużą dawkę, nie wzięła pod uwagę wcześniejszych bezsennych, pełnych napięcia godzin.

- Chodzi o odpowiedź - przypomniał łagodnie, nie chcąc sprowokować kolejnego wybuchu.

- Tak. Poczekaj - powiedziała i nagle zniknęła we wnętrzu samolotu.

W kuchni zakładników pilnowała Karen. Spojrzała pytającym wzrokiem na wchodzącą Ingrid. Gdy ta kiwnęła lekko głową, zwróciła się do więźniów.

- Chodźmy - powiedziała łagodnie - za chwilę odzyskacie wolność. - Z pieczołowitością pomogła ciężarnej kobiecie wstać.

Ingrid przeszła szybko do tylnej kabiny. Skinęła na oczekującego tam Kurta, a ten jednym ruchem odrzucił spadające mu na czoło czarne włosy i zatknął pistolet za pas. Z szafki nad głową wyjął dwa plastikowe granaty. Trzymając w każdej ręce jeden, zębami wyciągnął szpilki, które zawiesił na małych palcach.

Z rozkrzyżowanymi ramionami wbiegł do kabiny pasażerów.

- Te granaty są uzbrojone. Niech nikt się nie rusza i nie opuszcza swojego miejsca, bez względu na to, co się będzie działo. Wszyscy siedzą na swoich miejscach.

To samo powtórzył za nim Francuz Henri, trzymając nad głową granaty.

- Niech nikt się nie rusza. Żadnych rozmów. Absolutna cisza! - Zawołał najpierw po niemiecku, a potem powtórzył po francusku. Pod wyraźnym wpływem narkotyku oczy płonęły mu chorobliwie.

Ingrid wróciła do kabiny pilotów.

- Chodź, kochanie - objęła ramieniem dziewczynkę, popychając ją w kierunku otwartego luku, ale ta ze strachem odsunęła się.

- Nie dotykaj mnie - wyszeptwała, a oczy wyrażały ogromne przerażenie.

Chłopiec był młodszy, bardziej ufny. Wziął Ingrid za rękę bez wahania. Miał bujne, wijące się ciemne włosy i oczy koloru miodu.

- Czy tutaj jest mój tata?

- Tak, kochanie. - Pogładziła jego rękę. - Bądź tylko grzeczny, a za chwilę zobaczysz tatę.

Podprowadziła go do otwartego luku.

- Stój tutaj - powiedziała.

Peter Stride nie był pewien, czego ma oczekiwać, gdy w otwartym luku nad nim pojawił się chłopiec. Tuż obok niego stanęła pulchna kobieta w średnim wieku. Starannie ufryzowane włosy opadały na uszy, ale twarz zachowała dobrotliwy wyraz. Opiekuńczo otoczyła ramieniem chłopca.

Obok tej pary w luku ukazała się kobieta znacznie młodsza, wyższa, o bladej cerze; powieki i nos miała zaczerwienione od płaczu lub uczulenia, na szyi i gołych ramionach widoczne były liczne potówki. Pod luźną bawełnianą sukienką groteskowo sterczał duży brzuch, który wyraźnie utrudniał jej utrzymywanie równowagi. Stała więc niezgrabnie na cienkich białych nogach, oślepiona blaskiem słońca.

Czwartą i ostatnią osobą, która wynurzyła się z wnętrza samolotu, była kilkunastoletnia dziewczynka. Na jej widok Peter przeżył wstrząs, gdyż nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to Melissa Jane. Serce zabiło mu mocniej i trzeba było dłuższej chwili, żeby uprzytomnił sobie, że to nieprawda. Dziewczynka miała taką samą słodką, wiktoriańską twarzyczkę, typową angielską cerę o kolorze płatków róży, zgrabną sylwetkę dojrzewającej już kobiety z pączkującymi piersiami, wąskimi chłopięcymi biodrami i długimi chudymi nogami. W jej wielkich oczach Peter dostrzegł bezgraniczne przerażenie. Chyba natychmiast uprzytomniła sobie, że jedyna szansa ocalenia jest w jego rękach. Skierowała ku niemu błagalne spojrzenie.

- Proszę - szeptała - proszę nie pozwolić nas skrzywdzić. - Mówiła tak cicho, że Peter z trudem rozróżniał słowa. - Proszę, sir. Proszę nam pomóc.

Ale oto rozległ się piskliwy głos Ingrid.

- Trzeba, żebyście wiedzieli, że my dotrzymujemy słowa.

Wy i wasi diabelscy kapitalistyczni panowie musicie pojąć, że każde przekroczenie ustalonego terminu będzie was kosztowało życie ludzkie. Rewolucja nie zna litości. Musicie zrozumieć. Nasze żądania nie podlegają dyskusji, wszystkie muszą zostać spełnione. Pokażemy wam, jaką cenę płaci się za przekroczenie terminu. - Przerwała na chwilę. - Następny termin mija dziś o północy. Jeśli do tego czasu nie zostaną spełnione wszystkie nasze żądania, zapłacicie za to tak samo. - Znowu przerwała, a następnie jej głos przeszedł w histeryczny wrzask. - To jest ta cena! - Po czym cofnęła się w głąb kabiny.

Przerażony i bezradny Peter Stride zastanawiał się, jak przeszkodzić zbrodni, którą przeczynał.

- Skacz! - Zawołał, wyciągając ręce do dziewczynki. Szybko, skacz! Schwycę cię!

Ale dziewczynka wahała się, gdyż wysokość wynosiła około dziewięciu metrów, przestępowała więc tylko z nogi na nogę.

Za plecami czwórki zakładników ciemnowłosa Karen i jasnowłosa Ingrid niemal jednocześnie podniosły oburącz krótkie, wielkokalibrowe, naładowane ołowiem pistolety, mierząc w plecy swoich ofiar.

- Skacz! - Głos Petera słyszeć było wyraźnie w kabinie, a usta Ingrid skrzywiły się konwulsyjnie w straszliwej parodii uśmiechu.

- Teraz! - Zawołała i obie dziewczyny wypaliły jednocześnie. Dwa wystrzały złąły się w jeden ogłuszający grzmot, niebieski dym popłynął z luf obu pistoletów, a odgłos, jaki wydał ołów, uderzając w żywe ludzkie ciało, można by było przyrównać do dźwięku wydanego przez rzucane o ścianę pestki arbuza.

Dwa następne wystrzały rozległy się już kolejno w krótkich odstępach czasu, gdyż Ingrid nieco wyprzedziła swoją kompankę. W straszliwej ciszy, która nastąpiła, dał się słyszeć dziki wrzask mężczyzn, biegających wzdłuż kabin.

- Niech nikt się nie rusza! Nie ruszać się!

To, co się stało, trwało zaledwie kilka sekund, lecz Peter Stride miał uczucie upływu długich koszmarnych godzin. Jak w zwolnionym filmie, przed jego oczami płynęły aż groteskowe w swej potworności obrazy. Chyba nigdy ich nie zapomni, zawsze będzie w stanie odtworzyć je w pamięci w najdrobniejszych nawet szczegółach.

Ciężarna kobieta została trafiona jednym z pierwszych strzałów. Pocisk rozerwał jej ciało jak dojrzały owoc. Nagle utracił swój zwykły ludzki kształt, przekoziółkowało w powietrzu i upadło na asfalt, przedstawiając sobą ostatecznie

pozbawioną życia, tragiczną plątaninę bezwładnych białych kończyn.

Pulchna kobieta na huk wystrzałów przywarła do stojącego obok niej chłopca i spleciona z nim wśród otaczającego ich dymu prochowego, usiłowała utrzymać równowagę. Nagle na przyklejonej do ciała, jedwabnej beżowej sukni pojawiły się dziesiątki drobnych małych ran, powstałych jakby od ukłucia ostrym narzędziem. Takie same drobne ranki ukazały się na białej szkolnej koszuli chłopca. Już po małej chwili zaczęły zamieniać się w duże szkarłatne kwiaty krwi. Żadne z nich nie wydało z siebie ani jednego dźwięku, na twarzach zaś malowało się zdziwienie i jakby zaskoczenie. Następne strzały zmiotły ich z wejścia do samolotu. Spleceni wciąż ze sobą, stoczyli się bezwładnie w dół. Spadanie zdawało się trwać niezmiernie długo, aż wreszcie upadli wprost na zwłoki ciężarnej dziewczyny.

Peter podbiegł do przodu, żeby uchronić dziewczynkę przed uderzeniem o twardej asfalt. Pod jej ciężarem ukląkł na chwilę, szybko jednak zerwał się z powrotem. Biegł, trzymając ją na rękach jak śpiące dziecko. Główna kołysała się na jego ramieniu, a jedwabiste włosy oplótły mu twarz.

- Nie umieraj - szeptał - błagam cię, nie umieraj. Jednocześnie jednak czuł wyraźnie, jak krew sączy się wzdłuż jego brzucha i nóg.

Przy wejściu do głównego budynku Colin Noble wybiegł mu naprzeciw i próbował odebrać dziecko, ale Peter w swoim zapamiętaniu nie zgodził się oddać mu go. Złożył kruche, zupełnie bezwładne ciało przed lekarzem Thoru i stał nad nim bez słowa z kamienną twarzą, podczas gdy ten badał dziecko. Usta miał mocno zaciśnięte. Lekarz w końcu podniósł oczy.

- Obawiam się, że ona już nie żyje, sir - powiedział.

Peter skinął głową i odwrócił się. Jego obcasy stuknęły głucho po marmurowej posadzce obszernego pustego holu. Colin Noble ruszył za nim powoli. Również i jego twarz była zamknięta i bez wyrazu, gdy obaj wspinali się po schodkach do swojej kabiny w hawkerze.

- Sir Williamie, pan nam zarzuca przetrzymywanie w więzieniach wrogów państwa bez procesu. - Minister spraw zagranicznych Afryki Południowej pochylił się w stronę swojego oskarżyciela. - Ale przecież to wy złamaliście obywatelskie prawo *habeos corpus*, uchwalając ustawę o zwalczaniu terroryzmu, a na Cyprze i w Palestynie przetrzymywaliście więźniów bez procesu na długo przed nami. Czy to, co robicie w Ulsterze, jest czymś lepszym?

Brytyjski ambasador, sir William, był oburzony takim atakiem, lecz milczał, zbierając myśli.

Kelly Constable próbował załagodzić atmosferę.

- Panowie, wszystkim nam przecież chodzi o znalezienie wyjścia z tej sytuacji. Dajmy spokój jałowemu sporom. Wchodzi w grę życie setek ludzi...

W sali rozległ się nagle ostry sygnał telefonu. Sir William podniósł słuchawkę do ucha z nieukrywaną ulgą, lecz w miarę jak słuchał, krew odpływała mu z twarzy, która w końcu stała się szara jak popiół.

- Rozumiem - odezwał się do słuchawki, a po chwili dodał: - W porządku, dziękuję. - Następnie spojrzął na siedzącego w przeciwległym końcu długiego stołu premiera. Panie premierze - głos drżał mu przy tym nieco - z przykrością muszę pana powiadomić, że terroryści odrzucili kompromisowe propozycje pańskiego rządu i że dziesięć minut temu zamordowali czworo zakładników...

Przez salę przeszedł szmer wywołany zaskoczeniem.

- Zabite zostały dwie kobiety i dwoje dzieci. Chłopiec i dziewczynka. Otrzymali strzały w plecy i wyrzucono ich z samolotu. Porywacze wyznaczyli nowy termin spełnienia warunków, który upływa dziś o północy. W razie niespełnienia ich żądań zamordują kolejnych zakładników.

Śmiertelna cisza w sali trwała niemal minutę. Powoli spojrzenia wszystkich obecnych skierowały się na przygarbioną sylwetkę człowieka siedzącego u szczytu stołu.

- Apeluje do pana w imieniu ludzkości, przez wzgląd na człowieczeństwo - pierwszy przerwał ciszę Kelly Constable. - Musimy ocalić przynajmniej kobiety i dzieci. Jeśli wszyscy zostaną wymordowani, świat nam tego nigdy nie wybaczy.

- Wobec tego uwolnimy zakładników siłą - stwierdził, cedząc wolno słowa, premier.

Ale amerykański ambasador pokręcił głową.

- Mój rząd, podobnie jak rząd mojego brytyjskiego kolegi, jest przeciwny takiemu rozwiązaniu sprawy. - Tu spojrzął na sir Williama, który przytaknął mu skinieniem głowy. - Nie możemy ryzykować masakry. Jeśli nastąpi atak na samolot, nasze rządy nic nie uczynią, żeby zmiekczyć warunki określone w propozycjach Narodów Zjednoczonych, ani też nie zastosują weta w Radzie Bezpieczeństwa.

- Jeśli ustąpimy przed żądaniem tych... Tych bestii - ostatnie słowa zostały wypowiedziane z wściekłością - narazimy nasz naród na ogromne niebezpieczeństwo.

- Panie premierze, zostało nam tylko kilka godzin na znalezienie rozwiązania. Jeśli upłyną bezowocnie, będziemy mieli kolejne ofiary.

- Ty sam oceniałeś bardzo nisko szanse na sukces *Delty* argumentował Kingston Parker, mierząc Petera Stride'a posępnym spojrzeniem. - Ani ja, ani prezydent nie możemy wyrazić na to zgody.

- Doktorze Parker, oni tam na płycie lotniska mordują kobiety i dzieci - Peter starał się mówić spokojnie.

- Na rząd południowoafrykański wywierany jest nacisk, aby przyjął warunki uwolnienia kobiet i dzieci.

- Nie wierzę w jego skuteczność - Peter nie potrafił się pohamować. - Dziś o północy sytuacja może się powtórzyć.

- Jeśli uda nam się uwolnić kobiety i dzieci, zmniejszy się liczba zakładników i tym samym nasze ryzyko. Za czterdzieści godzin okoliczności mogą ulec zmianie, chodzi więc o to, żeby zyskać na czasie, nawet jeśli przyjdzie zapłacić za to wysoką cenę.

- A jeśli Południowoafrykańczycy się nie zgodzą? Jeśli nadejdzie północ i nie zostanie osiągnięte porozumienie z porywaczami, co wtedy, doktorze Parker?

- Trudno mi w tej chwili mówić o tym, co może się wtedy stać. - Tu Parker rozłożył szeroko swoje długie ręce w pełnym wdzięku geście rezygnacji. - Może się zdarzyć, że zginą kolejni zakładnicy, ale z pewnością unikniemy masakry czterystu ludzi. Sądzę jednak, że Południowoafrykańczycy ustąpią i uczynią wszystko, żeby ocalić kobiety i dzieci.

Peter nie wierzył własnym uszom. Znajdował się w stanie najwyższego napięcia i potrzebował kilku sekund, żeby się uspokoić, zanim coś powie. Opuścił wzrok na swoje splecione palcami dłonie. Pod paznokciami miał czarne półksiężycy ślady krwi zabitego dziecka, które niedawno trzymał w ramionach. Nagle zdjął ręce z pulpitu i schował je do kieszeni kombinezonu. Nabrał w piersi powietrza i wolno wycedził:

- Ciężko mi to powiedzieć, doktorze Parker, ale łatwiej jest słuchać niż oglądać.

- Dobrze rozumiem, co czujesz, Peterze.

- Obawiam się, że jednak pan mnie nie rozumie, sir. Peter pokręcił głową.

- Jesteś żołnierzem...

- ...A tylko żołnierz potrafi naprawdę nienawidzić wszelkiej przemocy - Peter skończył za niego.

- Nasze osobiste uczucia nie mają tu nic do rzeczy ostrym tonem stwierdził Kingston Parker. - Pragnę ci przypomnieć, że decyzją prezydenta i twojego premiera atak *Delta* może nastąpić tylko na mój wyraźny rozkaz. Czy zrozumiałeś to, generale?

- Zrozumiałem, doktorze Parker - obojętnym tonem odrzekł Peter. - I mam nadzieję, że rychło będę mógł panu przesłać taśmy wideo ze zdjęciami kolejnych morderstw. Będzie pan miał możliwość wzbogacić nimi swoje osobiste zbiory.

Inny boeing 747 wylądował na lotnisku Jana Smutsa w celu dokonania niezbędnych napraw, już po ogłoszeniu stanu alarmowego. Został zaparkowany w odległości zaledwie kilometra od miejsca, gdzie stał 070, lecz przesłonięty hangarami i innymi zabudowaniami był całkowicie niewidoczny dla porwaczy.

Choć miał pomarańczowo-niebieskie oznakowania Południowoafrykańskich Linii Lotniczych, a na ogonie rysunek biegnącej gazeli, niczym więcej nie różnił się od opanowanego przez porwaczy statku powietrznego. Nawet układ kabin miał niemal identyczny, o czym Peter Stride mógł się przekonać po otrzymaniu planu 070. Był to

bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności, którego Colin Noble nie omieszkał natychmiast wykorzystać, organizując w celach ćwiczebnych siedem pozorowanych ataków swoich komandosów na pusty kadłub samolotu.

- A teraz, chłopcy, spróbujcie przełączyć wasze ciężkie tyłki na wyższy bieg. Czternaście sekund na penetrację samolotu od sygnału „atak” to wciąż jeszcze o wiele za dużo - pouczał ich, podczas gdy rozsiadłszy się wprost na ziemi, w odpowiedzi na jego uwagi przewracali komicznie oczami. Przechodził nad tym do porządku dziennego. - Tym razem powinno wam wystarczyć tylko dziewięć sekund, łobuzy - zakończył.

Grupa szturmowa składała się z szesnastu żołnierzy, siedemnastym był dowódca Peter Stride. Ponadto w skład Thoru wchodziło: specjaliści elektronicy i łącznościowcy, czterej snajperzy, kwatermistrz do spraw uzbrojenia, sierżant dysponujący środkami wybuchowymi, trzech wojskowi mechanicy, lekarz, kucharz, piloci i obsługa samolotów. Stanowili duży zespół, w którym każdy członek był niezbędny i niezastąpiony.

Żołnierze grupy szturmowej nosili jednoczęściowe, czarne i obcisłe uniformy z nylonu - były mało widoczne w nocy. Zawieszane na szyjach maski gazowe nadawały się do natychmiastowego użycia. Obuwie mieli również czarne, sznurowane, na miękkiej gumowej podeszwie. Każdy szturmista nosił broń i specjalne wyposażenie albo na plecach, albo też zawieszane przy pasie-taśmie. Żadnych krępujących ruchy kuloodpornych kamizelek, żadnych stalowych hełmów, których przypadkowe stuknięcie mogłoby zaalarmować przeciwnika.

Do grupy należeli niemal wyłącznie młodzi mężczyźni, którzy niedawno ukończyli dwadzieścia lat. Specjalnie dobrani spośród żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej i brytyjskich komandosów, wszyscy byli doskonale wyszkoleni i sprawni fizycznie.

Colin Noble przyglądał im się badawczo, gdy zajmowali stanowiska wyjściowe zaznaczone przez niego kredą na płycie lotniska, a stanowiące wyloty zabudowań położonych najbliżej porwanego boeinga. Na ich twarzach nie mógł dostrzec najmniejszego śladu zmęczenia lub zniechęcenia.

- W porządku, nie dziewięć, lecz dziesięć sekund. Za chwilę podam sygnał: ogień.

Atak *Delta* zaczynał się od rzucenia przed dziobem samolotu fosforowych ogni, które powoli spływały na małych spadochronach na ziemię, skupiając na sobie uwagę terrorystów, usiłujących wyjaśnić przyczynę fajerwerku. Dodatkowym zadaniem ogni było oślepienie terrorystów.

- Ogień! - Zawołał Colin i grupa szturmowa weszła do akcji. Dwóch żołnierzy skoczyło natychmiast pod potężny ogon opuszczonego samolotu. Każdy z nich niósł na plecach cylinder z gazem, do którego przymocowany był długi wąż metalowy. Pierwszy miał ponadto pojemnik ze sprężonym pod ciśnieniem dwustu pięćdziesięciu atmosfer powietrzem i podłączonym metalowym węzłem, zakończonym diamentowym

wiertłem. Ukląkł pod brzuchem samolotu w miejscu wcześniej dokładnie ustalonym, gdzie powłoka metalowa była najcieńsza i sąsiadowała z wnętrzem kabiny.

Pisk pracującego wiertła był zagłuszany przez szum silników samolotu stojącego w południowej części lotniska. Wystarczyły trzy sekundy, aby powłoka została przebita i miejsce pierwszego żołnierza mógł zająć drugi, zanurzając koniec węża w wydrążonym otworze.

- Wyłączyć energię - polecił Colin; w tym momencie dopływ energii zasilającej urządzenia klimatyzacyjne samolotu powinien zostać przerwany.

Drugi żołnierz pozorował tymczasem czynność uwalniania z cylindra gazu, który powinien dopłynąć do kabin w samolocie. Gaz ten, o zapachu świeżo wykopanych truflí, określano po prostu jako factor V. Jego pięcioprocentowa koncentracja w powietrzu w czasie dziesięciu sekund częściowo paraliżuje człowieka, który traci kontrolę nad swoimi mięśniami, zaczyna się poruszać w sposób nieskoordynowany, niewyraźnie mówi i widzi zniekształcony obraz. Oddychanie tym samym powietrzem przez dwadzieścia sekund grozi całkowitym paraliżem, przez trzydzieści sekund - utratą przytomności; oddychanie nim zaś powyżej dwóch minut powoduje uduszenie i śmierć. Skutecznym środkiem przeciwdziałającym jest świeże powietrze, a w jeszcze większym stopniu - czysty tlen, przy czym powrót do sił jest bardzo szybki. Zatrucie nie wywołuje żadnych ubocznych skutków.

Reszta szturmowej grupy podzielona na cztery zespoły czekała w napięciu, przykucnąwszy pod skrzydłami samolotu, w maskach, z bronią i sprzętem gotowym do natychmiastowego użycia.

Colin spoglądał na stoper. Nie mógł pozwolić na dłuższe niż dziesięciosekundowe działanie gazu. Wśród pasażerów są ludzie starzy, niemowlęta, osoby cierpiące na astmę; zatem gdy tylko upłynęło dziesięć sekund, wyłączył stoper.

- Włączyć energię.

Natychmiast wznowiły działanie urządzenia klimatyzacyjne, usuwając gaz z kabin. Jednocześnie padł rozkaz:

- Atak!

. Dwa zespoły wspięły się błyskawicznie po aluminiowych drabinach na skrzydła, skąd przedostały się przez awaryjne wejścia do środka. Pozostałe zaś pozorowały wyłamanie głównych wejść za pomocą specjalnych młotów; ze zrozumiałych względów nie zdetonowano granatów.

- Penetracja! - Zastępujący Petera Stride'a dowódca grupy zasygnalizował obecność wszystkich wewnątrz samolotu, a Colin zatrzymał stoper.

- Jaki czas? - Usłyszał za swoimi plecami. Pochłonięty ćwiczeniami nie zauważył nadejścia Petera Stride'a.

- Jedenaście sekund, sir. - Ta kurtuazyjna forma odpowiedzi najlepiej świadczyła o zaskoczeniu pułkownika Colina Noble'a. - Nieźle, ale, do diabła, wciąż nie dość dobrze.

Powtórzmy atak jeszcze raz.

- Proszę dać im już spokój - rozkazał Peter. - Chciałbym porozmawiać z tobą chwilę.

Stanęli przy otwartych na oścież oknach południowej ściany wieży kontroli ruchu, obserwując już po raz setny czerwono-biało-niebieski samolot.

Po upalnym dniu na niebie pojawiły się olbrzymie, sięgające wysoko, purpurowo-srebrzyste grzyby chmur burzowych. Na horyzoncie rozpostarła się niemal teatralna kurtyna ulewnego deszczu, podczas gdy słońce rzucało długie złote miecze jaskrawego światła.

- Pozostało nam sześć godzin - mruknął Colin i sięgnął po swoje pachnące cygaro.

- Czy nasi gospodarze zdecydowali się na jakieś ustępstwa?

- Nie. I chyba nie mają zamiaru tego uczynić.

- Dopóki nie będzie kolejnych ofiar. - Colin odgryzł nerwowo koniec cygara i wypluł go ze złością w kąt. - Dwa lata przerabiam tę samą lekcję, żeby teraz czekać ze związanymi rękami.

- Gdybyśmy otrzymali zgodę na *Deltę*, kiedy byłbyś gotowy do skoku?

- Gdy tylko się ściemni - odpowiedział Colin bez wahania.

- Nie. W tej chwili są pod znacznym wpływem narkotyków - sprzeciwił się Peter. - Musimy poczekać, aż ich działanie zacznie spadać. Sądzę, że nową dawkę mają zamiar przyjąć tuż przed upływem terminu. Powinniśmy uderzyć nieco wcześniej - przerwał, żeby obliczyć. - Zaatakowałbym ich za piętnaście jedenasta, siedemdziesiąt pięć minut wcześniej.

- Jeśli będzie zgoda na *Deltę* - mruknął Colin.

- Jeśli będzie zgoda na *Deltę* - powtórzył Peter, po czym obaj stali przez chwilę w milczeniu. - Słuchaj, Colinie, ta sprawa mnie męczy. Jeśli znają moje nazwisko, to czy nie wiedzą o nas jeszcze więcej? Na przykład: jaka jest kolejność naszych działań w czasie szturmu?

- Szczerze mówiąc, nie myślałem o tym.

- Szukam możliwości jakiejś zmiany w modelu naszej akcji, czegoś, co byłoby zaskoczeniem.

- Ten model został opracowany w szczególności w ciągu ubiegłych dwóch lat - stwierdził Colin nieprzekonany. - Nie sądzę, żeby można było coś zmienić.

- A ogień? - Zapytał Peter. - Jeśli zrezygnujemy z ognia, zaskoczenie powinno być całkowite.

- Dranie będą rozproszeni po kabinach, zmieszani z pasażerami i załogą...

- Ingrid nosi czerwoną koszulkę. Zdaje się, że cała czwórka je nosi dla wywarcia większego wrażenia na zakładnikach. Możemy wszystkich naszych ludzi ubrać na czerwono. Jeśli się jednak mylę, możemy zastosować metodę izraelską.

Metoda izraelska polegała na wydaniu komendy: „Kłąć się” i strzelaniu do każdego, kto nie posłucha rozkazu lub usiłuje stawiać opór.

- Najważniejsza jest dziewczyna z aparatem. Czy twoi chłopcy obejrzel ją na taśmach wideo?

- Znają jej twarz lepiej niż twarz Fawcett Major - mruknął Colin, a następnie dodał:
- Ta suka jest diabelnie ładna. Trzykrotnie im ją pokazałem, dwukrotnie zwalniając obraz, żeby wyzbyli się resztek rycerskości. Każdemu mężczyźnie niełatwo się zdobyć na zabicie ładnej dziewczyny, a moment wahania w zetknięciu z tak wytrenowaną fanatyczką może okazać się zgubny. Zwróciłem także ich uwagę na tę drugą, małą, zanim wpakują ją do kosza i wyniosą do kostnicy. Są w odpowiednim nastroju. - Tu Colin wzruszył ramionami. Co z tego jednak, jeśli Atlas nie ma zamiaru zgodzić się na *Deltę*. Tracimy tylko czas.

- A gdybyśmy tak zabawili się w przygotowanie do prawdziwego ataku? - Zapytał Peter i dodał, nie czekając na odpowiedź: - Załóżmy, że mamy już zgodę na *Deltę*. Chciałbym, żebyś przygotował wszystko do ataku dziś na godzinę dziesiątą czterdzieści pięć. W najdrobniejszych szczegółach, jakby chodziło o rzeczywisty atak.

Colin odwrócił się powoli, spojrzał badawczo na szefa, ale ten patrzył spokojnie, a jego twarz nie wyrażała żadnych ukrytych emocji.

- Jakby chodziło o rzeczywisty atak? - Pytająco powtórzył Colin.

- Właśnie tak - odpowiedział niecierpliwie Peter, a Colin wzruszył ramionami.

- Ostatecznie, jestem tutaj po to tylko, żeby słuchać stwierdził i oddalił się.

Peter podniósł do oczu lornetkę i powoli wędrował wzrokiem wzdłuż całego korpusu olbrzymiego metalowego ptaka, nie dostrzegł jednak nigdzie najmniejszego znaku życia. Wszystkie okna i otwory były szczelnie pozamykane i zasłonięte. Kiedy dotarł wzrokiem do stosu wciąż nieusuniętych zwłok zabitych zakładników, opuścił rękę z lornetką.

Poza podłączeniem boeinga do zewnętrznych źródeł energii i dostarczeniem środków medycznych oraz dwiema wyprawami Petera w charakterze negocjatora nie było dotąd żadnych innych kontaktów z samolotem. Żadnego uzupełniania paliwa, zaopatrzenia w żywność czy usuwania nieczystości. Nie pozwolono nawet zabrać zwłok. Porywacze nie zapomnieli lekcji, jaką otrzymali w Mogadiszu, gdzie w śmieciach z samolotu przeszmyglano istotne informacje. A w Lod grupa szturmowa podeszła do samolotu w przebraniu personelu zakładu gastronomicznego, który przybył z żywnością.

Peter znów popatrzył przez lornetkę i chociaż przyzwyczajony był do widoku śmierci w jej najbardziej drastycznych nawet postaciach, te zwłoki raniły jego poczucie człowieczeństwa szczególnie głęboko. To, co widział przed sobą, stanowiło okrutną drwinę z najgłębiej zakorzenionych w społeczeństwie zasad współżycia. W tej chwili Peter zaaprobował decyzję południowoafrykańskiej policji, aby odmówić telewizji i fotografom zgody na robienie zdjęć porwanego samolotu. Wiedział, że gwałt i przemoc stanowią doskonały żer dla środków masowego przekazu, stąd ich gwałtowne protesty przeciwko każdemu ograniczeniu prawa do przekazywania

najbardziej nawet straszliwych obrazów śmierci i okaleczeń.

Bez tego entuzjastycznego, kronikarskiego zapisu przestępstw międzynarodowy terrorizm straciłby wiele ze swego impetu, a praca Petera i jemu podobnych ludzi byłaby o wiele łatwiejsza.

Chryste!, pomyślał Peter. Chyba zwariuję!

Podszedł do kontrolera ruchu.

- Chciałbym jeszcze raz spróbować - powiedział i wziął z jego ręki mikrofon. - Zero siedem zero, tu wieża. Czy słyszysz mnie, Ingrid? Chcę z tobą mówić.

W ciągu ostatnich kilku godzin próbował już wielokrotnie nawiązać kontakt, lecz porywacze wciąż milczeli.

- Ingrid, proszę cię, podejdź. - Peter ciągle nie rezygnował i nagle usłyszał czysty, świeży głos.

- Tu Ingrid. O co chodzi?

- Potrzebujemy twojej zgody na usunięcie zwłok przez ambulans - oznajmił.

- Odmawiam. Powtarzam, odmawiam na to zgody. Nikomu nie wolno zbliżać się do samolotu. - Przerwała na chwilę. Zgodzimy się na usunięcie zwłok, gdy będzie ich już przynajmniej tuzin. - Roześmiała się głośno, była najwyraźniej wciąż pod wpływem narkotyku. - Poczekajmy do północy, wtedy dopiero będzie o czym mówić.

- W radiu rozległ się lekki trzask i zapanowała głucha cisza.

- Zachwilę wszyscy dostaną obiad - oznajmiła wesoło Ingrid, a przez kabinę przebiegł szmer podniecenia. - Dzisiaj są moje urodziny, będzie więc także szampan. Czy to nie wspaniale?

W tym momencie mały, gruby doktor podniósł się nagle z miejsca. Na jego głowie śmiesznie sterczały kosmyki rzadkich siwych włosów, a przeorana cierpieniem twarz skurczyła się, niby topniejąca woskowa świeca. Robił wrażenie, jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, co mówi ani co się dzieje wokół niego:

- Nie miałaś prawa jej zabijać. - Jego głos przypominał głos starca. - Była bardzo dobrym człowiekiem, nigdy nikogo nie skrzywdziła. - Spojrzał wokół siebie niepewnym, rozbieganym wzrokiem i palcami prawej ręki przygładził włosy. Nie powinnaś jej zabijać - powtórzył.

- Była winna - odpowiedziała Ingrid. - Wszyscy jesteście winni, jesteście posłusznymi narzędziami międzynarodowego kapitalizmu. - Jej piękną twarz wykrzywił spazm nienawiści. - Wszyscy zawiniliście i zasłużyliście na śmierć. Przerwała na chwilę, usiłując odzyskać nad sobą kontrolę. W końcu uśmiechnęła się z widocznym wysiłkiem i podeszła do małego doktora, obejmując go ramieniem. - Usiądź już powiedziała niemal czule. - Wiem, co teraz czujesz, i uwierz mi, wołałabym, żeby to nie musiało się stać.

Opadł wolno na siedzenie. Oczy przepelniał wyraz bólu.

- Siedź tutaj spokojnie - powiedziała delikatnie Ingrid. Zaraz przyniosę ci kieliszek szampana.

- Panie premierze - głos Kelly'ego Constable'a był nieco zachrypnięty po dwóch dniach i nocach nieprzerwanego napięcia nerwowego - jest już godzina dziesiąta. Najwyższy czas, żebyśmy podjęli jakąś decyzję.

Premier uniósł w górę rękę, uciszając salę.

- Ma pan rację, wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę.

Specjalny samolot dostarczył kopię wideotaśmy z odległego o tysiąc mil Johannesburga, dzięki czemu cała rada ministrów i ambasadorzy mogli obejrzeć zarejestrowane szczegóły zbrodni. Na każdego z nich czekały w domu dzieci. Nawet najbardziej zatwardziali przedstawiciele prawicy mieli niewyraźne miny, a niski, jowialny minister policji opuścił oczy, gdy napotkał wzrok ambasadora.

- Wiemy, że kompromis nie jest możliwy, że musimy spełnić wszystkie żądania.

- Panie ambasadorze - premier przerwał w końcu milczenie - jeśli zgodzimy się przyjąć narzucone nam warunki, będzie to z naszej strony wyłącznie akt humanitaryzmu. Musimy zapłacić wysoką cenę za życie waszych obywateli. Jeśli jednak zgodzimy się ją zapłacić, czy możemy być absolutnie pewni waszego poparcia, zarówno Wielkiej Brytanii, jak i Stanów Zjednoczonych, podczas głosowania w Radzie Bezpieczeństwa w dniu jutrzejszym?

- Prezydent Stanów Zjednoczonych upoważnił mnie do przyjęcia odpowiedniego zobowiązania w zamian za waszą gotowość do współpracy - odpowiedział Kelly Constable.

- Brytyjski rząd Jej Królewskiej Mości polecił mi złożyć takie samo zapewnienie - oświadczył sir William. - Ponadto nasze rządy zgodziły się wypłacić żadaną przez porywaczy sumę stu siedemdziesięciu milionów dolarów.

- Mimo to nie mogę podjąć decyzji na własną odpowiedzialność, jej następstwa są zbyt poważne - westchnął premier. - Chcę zwrócić się do wszystkich moich ministrów ruchem głowy wskazał na napięte, posępne twarze siedzących przy stole konferencyjnym - aby ją przegłosowali. W związku z tym proszę panów, abyście opuścili salę na kilka minut.

Obaj ambasadorzy powstali ze swoich miejsc i skłoniwszy się nachmurzonemu i zatroskanemu premierowi, wyszli z sali.

- Gdzie jest pułkownik Noble? - Zapytał Kingston Parker.

- Czeka na decyzje. - Peter ruchem głowy wskazał dźwiękoszczelne drzwi kabiny.

- Chcę, żeby był obecny przy naszej rozmowie - oznajmił z ekranu Parker, wobec czego Peter nacisnął guzik dzwonka.

Natychmiast pojawił się Colin Noble, stąpając ostrożnie z pochyloną pod niskim

sufitem głową. Na oczy nasunął niebieską czapkę Thoru.

- Dobry wieczór, sir - powiedział do szefa i opadł na siedzenie obok Petera.

- Cieszę się, że pułkownik Noble jest tutaj - głos Petera był szorstki i rzeczowy. - Jestem przekonany, że on potwierdzi moją opinię, iż szanse na sukces *Delty* są ogromne, jeśli zaatakujemy nie później niż za dziesięć jedenasta. - Podwinął mankiet swojego rękawa i spojrzął na zegarek. - To znaczy za czterdzieści minut. Możemy zaskoczyć porywaczy w momencie, gdy pobudzające działanie narkotyku będzie się kończyło i zanim zdążą zażyć następne pigułki. Wierzę, że jeśli właśnie w tym momencie ich zaatakujemy, ryzyko będzie niewielkie...

- Dziękuję panu, generale Stride - przerwał mu Parker. Zależało mi na tym, aby pułkownik Noble był obecny przy naszej rozmowie dla uniknięcia jakichkolwiek nieporozumień między nami. - W tym momencie Parker przeniósł spojrzenie na Colina Noble'a. - Dowódca Thoru - ciągnął - zażądał ode mnie zgody na natychmiastowe zaatakowanie porywaczy. W pańskiej obecności, pułkowniku, odmawiam takiej zgody. Negocjacje z rządem Afryki Południowej są już bardzo zaawansowane i pod żadnym warunkiem niedopuszczalne jest jakiegokolwiek działanie, jawne czy tajne, przeciwko porywaczom. Sądzę, że wyraziłem się wystarczająco jasno.

- Tak jest, sir. - Twarz Colina Noble'a pozostała bez wyrazu.

- Generale Stride?

- Zrozumiałem pana, sir.

- To bardzo dobrze. Chcę, żebyście utrzymywali stan gotowości. Za chwilę rozpocznę rozmowę z ambasadorem. Gdy będę miał dla was jakieś nowe wskazówki, połączę się z wami ponownie.

Obraz znikł nagle z ekranu. Pułkownik Colin Noble odwrócił się powoli do Petera Stride'a, a jego twarz zmieniła nieco wyraz. Szybkim ruchem wyłączył urządzenia nagrywające, zarówno obraz, jak głos. Teraz mógł rozmawiać szczerze z Peterem.

- Słuchaj, przyjacielu, wszyscy wiemy o tym, że masz kontakty w NATO, a dla nich nie ma nic niemożliwego. Połącz się z nimi, jeśli tak bardzo zależy ci na załatwieniu sprawy.

Peter nic nie odpowiedział, tylko spojrzął jeszcze raz na zegarek. Było już siedemnaście po dziesiątej.

- Zastanów się, Peterze, na miłość boską, zastanów się dobrze, zanim coś uczynisz. Żeby zostać tym, kim jesteś, potrzebowałeś dwudziestu lat ciężkiej pracy. Oni ci nigdy tego nie wybaczą, wiesz o tym lepiej niż ja. Złamię twoją karierę, złamię cię samego. Nie rób tego, Peterze. Nie rób tego. Szkoda mi ciebie. Pomyśl jeszcze chwilę.

- Ciągle myślę - odpowiedział Peter. - Nie przestaję myśleć i wciąż dochodzę do tej samej konkluzji: jeśli pozwolę im umrzeć, będę tak samo winien tych śmierci, jak kobieta, która pociągnęła za cyngiel.

- Nie powinienes obwiniać się za nie swoje czyny. Ktoś inny podejmował

decyzje...

- Można i w ten sposób rozumować - uciął Peter - ale to nie ocali niewinnych ludzi.

Colin pochylił się nieco, położył swoją dużą, włochatą dłoń na ramieniu Petera i uściśnął go lekko.

- Rozumiem cię dobrze, ale nie mogę się pogodzić z tym, że niszczysz własną karierę. A ja cię cenię bardzo wysoko, bracie. - Po raz pierwszy uczynił takie wyznanie. Peter poczuł się trochę wzruszony.

- Nie musisz w tym uczestniczyć i narażać swojej kariery, Colinie.

- Nie lubię stosować uników. - Colin opuścił rękę. Wezmę udział w ataku...

- Pozwól jednak, że zarejestruję twój sprzeciw na taśmie. Nie ma sensu, abyśmy obaj zostali spaleni - stwierdził Peter i włączył sprzęt nagrywający.

- Pułkownik Noble - powiedział wyraźnie - zarządzam przygotowania do natychmiastowego szturmu na zero siedemdziesiąt.

Colin odwrócił twarz w stronę kamery.

- Generale Stride, muszę zaprotestować przeciwko temu rozkazowi, wydanemu bez zgody dowództwa Atlasu.

- Pułkownik Noble, przyjąłem pański protest do wiadomości - odpowiedział poważnie Peter, a Colin Noble wyłączył sprzęt nagrywający i kamerę.

- Okay, dość już tej zabawy na dzisiaj. - Zerwał się na nogi. - Chodźmy załatwić tych drani.

Ingrid siedziała przy pulpicie inżyniera pokładowego. Mikrofon trzymała na wysokości ust. Jej opalenizna poszarzała, pod oczami pojawiły się zmarszczki, a ręka, w której trzymała mikrofon, lekko drżała. Były to wyraźne symptomy przedawkowania narkotyku. Teraz żałowała, że przekroczyła ilość określoną na etykiecie fiolki, ale chodziło jej o osiągnięcie większej odporności psychicznej przy wykonywaniu pierwszej egzekucji. Obecnie, wraz ze swoimi oficerami, płaciła tego cenę. Lecz za dwadzieścia minut rozda następne pigułki. Tym razem każdy otrzyma tylko bezpieczną dawkę. Już w tej chwili cieszyła się na myśl o przyplywie nowych sił, energii i optymizmu, a szczególnie o poczuciu absolutnej władzy nad życiem i śmiercią. To ostatnie zwłaszcza było dla niej najwspanialszym przeżyciem. Sartre i Bakunin odkryli chyba jedną z największych prawd życia, gdy ustalili, że akt zniszczenia (totalnego zniszczenia) jest swojego rodzaju aktem twórczym, w którym duch ludzki przechodzi katharsis i odradza się na nowo. Mimo zmęczenia i bólu wywołanego przez spadek działania narkotyku potrafiła rozbudzić w sobie stan oczekiwania na kolejne egzekucje.

- Moi drodzy przyjaciele - mówiła do mikrofonu - tyrani nie odpowiedzieli dotąd na nasze żądania. Brak jakiegokolwiek troski o wasze życie jest charakterystyczny dla faszystowskiego imperializmu. Oni nie troszczą się o bezpieczeństwo ludu, chociaż

żyją z jego potu i krwi...

Na zewnątrz samolotu panowała czarna, głęboka noc. Chmury burzowe pokryły część nieba, a błyskawice co chwila rozdzierały ciemności. Od zachodu słońca wściekła ulewa już dwukrotnie zabębniła w kadłub boeinga. Teraz płyta lotniska połyskiwała mokrym asfaltem.

- Musimy okazać tyranom naszą niezłomną odwagę i żelazną konsekwencję. Nie stać nas nawet na najmniejszą chwilę wahania. Musimy dokonać wyboru czwórki kolejnych zakładników. Zrobimy to z maksymalną bezstronnością. Pragnęłabym, żebyśmy przystąpili do tego z pełną świadomością naszego udziału w wielkim akcie rewolucji i z uczuciem dumy...

Za oknami samolotu rozbłysło nagle oślepiające światło błyskawicy, które załało migotliwym srebrem całą płytę lotniska i najbliższą okolicę. Niemal jednocześnie rozległ się suchy trzask pioruna. Karen mimowolnie poderwała się z siedzenia i przyłgnęła do Ingrid. Miała głęboko podkrążone ze zmęczenia oczy i drżała gwałtownie. Ingrid przytuliła ją jak przestraszone kociątko, nie przestając mówić do mikrofonu:

- ...Musimy nauczyć się stawić czoło śmierci i z godnością płacić tę daninę na rzecz wielkiej sprawy odrodzenia ludzkości.

Na zewnątrz znów rozbłysło jaskrawe światło błyskawicy, lecz Ingrid nie przestawała mówić. Rzeka pozbawionych sensu słów płynęła nieprzerwanie, a słuchający ich pasażerowie pogrążali się stopniowo w letargicznym niemal śnie, niezdolni do poruszania się, do wydania z siebie głosu, do myślenia.

- Wylosowałam czterech następnych męczenników naszej rewolucji. Za chwilę podam numery miejsc, na których siedzą, a moi oficerowie przyprowadzą ich do kuchni pierwszej klasy.

Proszę wszystkich o współpracę, abyśmy mogli szybko załatwić sprawę. - Nastąpiła krótka przerwa, po której głos Ingrid rozległ się ponownie. - Numer sześćdziesiąt trzy b. Proszę o wstanie z miejsca.

Niemiec z blizną zmuszony był siłą wyciągnąć z fotela szczupłego mężczyznę w średnim wieku. Wykręcił mu ręce do tyłu. Miał wymiętą białą koszulę, wąskie, staromodne spodnie nosił na elastycznych szelkach.

- Nie pozwólcie im mnie zabrać - błagał mężczyzna, zwracając się do siedzących obok niego pasażerów, gdy tymczasem Henri popychał go do przodu. - Nie pozwólcie im mnie zabić.

Wszyscy siedzieli nieruchomo, milcząc, ze spuszczonej oczami.

- Miejsce czterdzieści trzy f. - Tym razem padło na przystojną ciemnowłosą kobietę po trzydziestce. W miarę jak odczytywała numer nad swoim siedzeniem, twarz jej pokrywało przerażenie, a usta otworzyły się jakby do krzyku. Nagle siedzący po przeciwnej stronie przejścia starszy mężczyzna ze wspaniałą grzywą siwych włosów poderwał się ze swojego miejsca, odpiąwszy pas bezpieczeństwa.

- Czy pani nie zamieniłaby się ze mną miejscami, madame? - Zapytał miękkim głosem z typowym angielskim akcentem i ruszył na swoich cienkich i długich nogach w stronę kuchni, mijając pogardliwie wąsatego Francuza, który wyszedł mu naprzeciw, żeby go eskortować. Z ramionami odchylonymi lekko do tyłu, z podniesioną głową nie odwróciwszy się ani na chwilę, zniknął za kotarą oddzielającą kabinę od pomieszczeń służbowych.

Boeing miał „ślepe” miejsce, niewidoczne z wnętrza samolotu, ciągnące się pod kątem dwudziestu stopni od okien kabiny pilotów do ogona. Peter był przekonany, że porywacze tak dobrze wyposażeni i przygotowani do akcji nie widzieli potrzeby nadzorowania tego właśnie odcinka.

Stał teraz razem z Colinem Noble'em u narożnika głównego hangaru, kolejny raz przyglądając się sylwetce samolotu i omawiając szczegóły ataku. Od obserwowanego obiektu dzieliło ich czterysta metrów, z czego połowa była zarośnięta wysoką po kolana trawą, połowa zaś pokryta asfaltem. Cały teren oświetlały jedynie światła wyznaczające pas jezdni dla pojazdów i okna zabudowań.

Peter rozważał możliwość przyćmienia wszystkich świateł lotniska, ale szybko ją odrzucił. Z pewnością zaalarmowałoby to porywaczy i pozbawiło szturmujących możliwości zaskoczenia.

- Nic nie widać - mruknął Colin.

- Masz rację - zgodził się Peter i obaj oddali niepotrzebne już noktowizory stojącemu obok sierżantowi. Cała grupa szturmowa miała przy sobie tylko to, co niezbędne.

Peter wziął jedynie mały i lekki sprzęt radiowy, dla utrzymania łączności z pozostałą w głównym budynku lotniska częścią zespołu, oraz przymocowany do pasa pistolet automatyczny walter P 38.

Każdy członek grupy zabrał broń, która mu najbardziej odpowiadała. Tylko Colin Noble nie mógł się zdecydować na wybór między browningiem (lubił go ze względu na trzynastostrzałowy magazynek) a coltem commander, który mu odpowiadał z powodu lekkości i dużej siły rażenia. Peter wolał waltera ze względu na jego dokładność i lekkość odrzutu.

Jednego przestrzegali ze szczególną surowością: każda broń mogła być załadowana wyłącznie kulami super velex, uderzającymi w cel z potrójną siłą i rozrywającymi się w ludzkim ciele, eliminując w ten sposób niebezpieczeństwo przelotu kuli przez cel i trafienia osoby postronnej. Peter nigdy nie pozwalał zapomnieć swoim chłopcom, że podczas ataku mają do czynienia z terrorystami wmieszanymi między zakładników.

Stojący obok Colin zdjął z szyi złoty łańcuszek z zawieszoną na nim małą gwiazdą Dawida, iskrzącą się na włochatej piersi, a następnie schował go do kieszeni, zapinając ją starannie.

- Tak więc, mój drogi - zwrócił się do Petera - czy nie czas już na przechadzkę?

Peter spojrzął na zegarek. Wskazywał za szesnaście jedenastą.

W tym momencie następuje koniec mojej kariery, pomyślał ponuro i jednocześnie podniósł do góry zaciśniętą prawą pięść, następnie dwukrotnym pompującym ruchem dał stary kawaleryjski sygnał do ataku.

Natychmiast dwóch jego ludzi wyskoczyło do przodu, biegnąc cicho na gumowych podszewkach i niosąc nad głowami metalowe węże, aby uniknąć ewentualnego uderzenia nimi o płytę lotniska lub o kadłub samolotu. Do pleców mieli przymocowane cylindry z gazem.

Peter liczył wolno do pięciu, czując, jak stopniowo narasta w nim napięcie. Jednocześnie przypomniał sobie własne słowa skierowane do Parkera, brzmiące teraz w uszach jak ponure proroctwo: „Jeśli nam się nie uda, ofiary mogą wynieść nawet sto procent, stracimy samolot i zginą wszyscy, nie wyłączając personelu Thoru”.

Odpędził od siebie nurtującą myśl i powtórzył sygnał do ataku. Dwoma zwartymi łańcuchami wybiegły równolegle na płytę lotniska dwa zespoły. Trzech ludzi niosło aluminiowe drabiny, czterech - torby z ogłuszającymi granatami, inni młoty do rozbijania zamków w drzwiach. Wszyscy byli uzbrojeni w pistolety dużego kalibru, gdyż Peter Stride nie ufał automatycznej broni w zatłoczonym wnętrzu samolotu. Każdy członek grupy szturmowej musiał przede wszystkim doskonale strzelać z pistoletu, który umożliwiał osiągnięcie poruszającego się celu bez narażenia osób postronnych.

Biegli naprzód w absolutnej niemal ciszy; najgłośniejszym dźwiękiem, który dochodził do uszu Petera, był jego własny oddech. Wciąż nie opuszczała go myśl o tym, że w grze, którą rozpoczął (bez względu na wynik ataku), nie mógł zostać zwycięzcą. Jednak w tej chwili nie wolno mu było zastanawiać się nad tym. Porzucając więc natrętne myśli, biegł dalej.

Przed nim, w świetle głównego budynku, widoczne były ciemne sylwetki jego dwóch ludzi pod srebrnym brzuchem samolotu. Nagle olbrzymia błyskawica rozdarła mroczne niebo, oświetlając całe lotnisko wraz z dwiema kolumnami czarno ubranych ludzi na tle pożółkłej trawy. Gdyby w tej chwili ktoś z samolotu ich zauważył, mogłoby się stać to, czego Peter najbardziej się obawiał. Dlatego grzmot pioruna wstrząsnął jego napiętymi do granic wytrzymałości nerwami.

Potem znów wszystko pogrążyło się w ciemnościach. Peter poczuł, że trawa pod stopami skończyła się, ustępując miejsca twardej płycie. Po chwili obie kolumny żołnierzy znalazły się pod kadłubem boeinga, jak kurczęta pod opiekuńczymi skrzydłami kwoki. Tu podzielili się na cztery mniejsze, oddzielne grupy. Jak na rozkaz wszyscy uklękli jednocześnie i nałożyli na twarze maski gazowe.

Peter obrzucił spojrzeniem swoich ludzi, a następnie nacisnął guzik aparatu radiowego. Od tej pory nie wolno mu było powiedzieć ani słowa, istniała bowiem możliwość podsłuchania go przez porywaczy. Cichy trzask włączonego guzika był

sygnałem dla członków zespołu pozostawionych w głównym budynku. Niemal natychmiast dał się słyszeć głośny szum uruchomionych silników samolotu odrzutowego, zaparkowanego w północnej części lotniska. Po chwili przyłączyły się do nich silniki pięciu innych statków powietrznych, kursujących na liniach międzynarodowych. Mimo znacznej odległości od porwanego boeinga połączony huk sześciu potężnych maszyn był ogłuszający i Peter mógł spokojnie dać sygnał do uruchomienia wiertła. W ten sposób zarówno świst sprężonego powietrza, które uruchamiało wiertło, jak i zgrzyt samego wiertła zostały całkowicie zagłuszone. Gdy ostrze przebiło stalową powłokę kadłuba samolotu, natychmiast do wywierconego otworu podłączono koniec metalowego węża z gazem. Na dany przez Petera znak strumień gazu trysnął do środka kabiny, gdy tymczasem on śledził uważnie wskazówki zegarka.

W pewnym momencie nacisnął dwukrotnie guzik radia. Niemal w tej samej chwili w samolocie pogasły, na skutek odłączenia od źródła energii, wszystkie światła. Jednocześnie przestały także pracować urządzenia klimatyzacyjne.

Połączony ryk silników odrzutowych trwał wciąż jeszcze, gdy Peter dał ręką sygnał przeznaczony dla ludzi z drabinami. Cicho i delikatnie obite gumą wierzchołki drabin zostały zaczepione o występy skrzydeł i progi wejść do samolotu przez groteskowe czarne postacie w maskach, pracujące z niezwykłą sprawnością i szybkością.

Upłynęło dziesięć sekund od momentu podłączenia węża z gazem. Peter trzykrotnie nacisnął guzik swojego radia i światła boeinga ponownie zapłonęły, a urządzenia klimatyzacyjne zaczęły oczyszczać kabiny z gazu. Nabrał powietrza głęboko w płuca i klepnął Colina w ramię. Obaj jednocześnie podeszli do drabin i zaczęli się po nich wspinać do góry. Ich śladem ruszyli pozostali.

- Jest już za dziewięć jedenasta - powiedziała Ingrid do Karen. Gdzieś, wśród nocy, huczały silniki odrzutowe, musiała więc mówić głośno, żeby być słyszaną. Bolało ją gardło, w ustach jej zaschło, w kącie oka czuła drganie nerwu. Miała uczucie, jakby głowę coraz mocniej uciskała obejmująca ją twarda lina. - Zdaje się, że Kalif się przeliczył - zauważyła. - Południowoafrykańczycy nie mają zamiaru ustąpić.

W tym momencie spojrzała przez otwarte drzwi kabiny na siedzącą pod ścianą czwórkę zakładników. Pałący długie cygaro srebrnowłosej Anglik odpowiedział jej spojrzeniem, które wyrażało najwyższą pogardę i lekceważenie, co wywołało w niej rozdrażnienie. Umyślnie więc powiedziała głośno, żeby i on mógł ją usłyszeć:

- Trzeba będzie zlikwidować tę czwórkę.

- Kalif nigdy dotąd się nie mylił. - Karen pokręciła głową porywczo. - Została jeszcze cała godzina do upływu terminu... - W tym właśnie momencie światła w samolocie pogasły.

Ponieważ wszystkie okna były szczelnie zasłonięte, zapanowała niemal absolutna ciemność. Jednocześnie ucichły urządzenia klimatyzacyjne. Przez kabiny przebiegł szmer zaskoczenia.

W ciemnościach Ingrid przełączyła kabinę pilotów na zasilanie z własnych baterii samolotu. W słabym, czerwonym świetle zapalonych żarówek na jej twarzy można było dostrzec wyraz napięcia i zaniepokojenia.

- Odłączyli nas od źródeł energii! - Zawołała. - Urządzenia klimatyzacyjne nie działają. To może być *Delta*!

- Nie! - Głos Karen przeszedł w pisk. - Przecież nie widać ognia!

- To może być... - Zaczęła Ingrid, lecz nagle poczuła, iż nie potrafi mówić wyraźnie, gdyż spuchnięty język wypełnił jej całe usta. Spojrzała, że obraz stojącej przed nią Karen rozmazuje się.

- Karen - powiedziała i w tej samej chwili zupełnie wyraźnie poczuła zapach trufli, a na języku smak surowych grzybów. - Chryste! - Wrzasnęła przeraźliwie i rzuciła się do uchwytu, aby otworzyć skrytki z maskami tlenowymi. - Kurt! Henri! - Krzyczała do kabinowego interkomu. - Tlen! Zakładajcie maski tlenowe! To *Delta*! Zaraz nastąpi atak!

Chwyciła jedną z masek i wdychała tlen głęboko w płuca, usiłując je oczyścić z paralizującego gazu. Obok, w kuchni, jeden z zakładników osunął się nieprzytomny na podłogę, drugi zaś opadł na bok, opierając się o ścianę.

Nie odejmując maski od twarzy, Ingrid zdjęła aparat z szyi. Przyglądająca się jej Karen zerwała nagle maskę ze swojej twarzy, żeby zapytać:

- Chyba nie masz zamiaru wysadzić nas w powietrze, Ingrid?

Ingrid nie odpowiedziała. Zamiast tego krzyczała do mikrofonu:

- Kurt! Henri! Zaatakują nas, gdy tylko włączą ponownie światła. Zakryjcie oczy i uszy przed granatami, obserwujcie drzwi i okna przy skrzydłach. - Nasunęła ponownie maskę na usta i szybko oddychała.

- Nie wysadzaj nas w powietrze, Ingrid - błagała spod maski Karen. - Jeśli się poddamy, Kalif uwolni nas w ciągu miesiąca. Nie powinniśmy umierać.

W tej samej chwili światła w kabinie ponownie zapłonęły, jednocześnie rozległ się szum urządzeń klimatyzacyjnych. Ingrid nabrała tlenu w płuca i pobiegła do kabiny pierwszej klasy, przeskakując przez ciała nieprzytomnych zakładników i dwóch stewardes. Po drodze chwyciła jeszcze jedną maskę tlenową i spojrzała wzdłuż kabiny.

Kurt i Henri posłuchali rozkazów. Niemiec czuwał przy oknach nad skrzydłami, a Henri przy tylnym wejściu. Obaj mieli na głowach żółte maski, nie mogła więc zobaczyć wyrazu ich twarzy.

Tylko niektórzy spośród pasażerów założyli maski i nie stracili przytomności. Większość osunęła się nieprzytomna w fotelach. Nad głowami kołysały się umocowane na pasach maski, tworząc krajobraz przypominający las splątanych ze

sobą lian.

Ingrid trzymała w jednej ręce aparat, drugą zaś przyciskała do ust i nosa maskę. Zdawała sobie sprawę z tego, że upłynie wiele minut, zanim urządzenia klimatyzacyjne oczyszczą powietrze z resztek gazu.

Obok stała, nie odstępując jej ani na krok, Karen z pistoletem w jednej ręce, z maską tlenową w drugiej.

- Wracaj i pilnuj przedniego wejścia - rzuciła w jej kierunku Ingrid. - Zaraz tu będą...

- Ingrid, my nie musimy umierać - błagała ją Karen, gdy nagle rozległ się trzask wyłamywanego okna i w tym samym momencie przez ciemny otwór do kabiny wpadły dwa małe ciemne przedmioty.

- Ogłuszające granaty! - Zawołała Ingrid. - Kłąć się!

Peter Stride czuł się świeżo i lekko jak orzeł w locie. Zdawało się, że ledwie dotyka rękami i nogami szczebli drabiny. W gorączce akcji, która pochłonęła go bez reszty, zapomniał o wszystkich wątpliwościach i wahaniach, jeszcze przed chwilą go przesładujących. Ich miejsce zajęło uczucie ogromnej ulgi.

Błyskawicznie wdrapał się na gładką powierzchnię skrzydła. Wyprostowany zaczął bezszelestnie przesuwając się po błyszczącej ścieżce. Krople deszczu migotały jak diamenty pod jego stopami, a silny wiatr szarpał włosy. Dotarł do kadłuba samolotu, opadł na kolana tuż obok awaryjnego wyjścia. Naprzeciwko, po drugiej stronie otworu, przykłąkł idący jego śladem żołnierz. Granatnicy ustawili się na wprost wyjścia, balansując jak akrobaci na śliskiej powierzchni olbrzymiego skrzydła.

Poniżej sześciu sekund, Peter usiłował określić czas trwania akcji od sygnału „Atak!”. Wszystko odbywało się znacznie szybciej i sprawniej niż podczas treningów, gdyż całemu zespołowi towarzyszyła świadomość tego, co za chwilę miało nastąpić.

Ściana wypełniająca otwór awaryjny ustąpiła pod naporem połączonych sił Petera i towarzyszącego mu żołnierza i natychmiast do środka wrzucone zostały ogłuszające granaty. Czwórka żołnierzy wraz z Peterem pochylili się jednocześnie w głębokim pokłonie, przypominającym modły muzułmańskich pielgrzymów w Mekce, zakrywając starannie oczy i uszy.

Grzmot, który nastąpił, był tak przerażający, że mimo zakrycia oczu i uszu zdawało się, iż uderzył w mózg jak obuchem. Jednocześnie oślepiający błysk płonącego fosforu przeniknął do oczu poprzez palce dłoni. Wybuchowi towarzyszyły krzyki granatników:

- Kłąć się! Wszyscy na podłogę!

Ogłuszony przez wybuch Peter był o ułamek sekundy wolniejszy. Ściskając w dłoni kolbę waltera, skoczył w otwór.

Przerzucił na drugą stronę najpierw nogi, potem resztę ciała. Był jeszcze w

powietrzu, gdy dostrzegł biegnącą dziewczynę w czerwonej bluzce. Potrząsała trzymanym w rękę aparatem i krzyczała coś bez sensu. Dotknął stopami podłogi i strzelił, trafiając ją w usta. Pocisk uderzył z taką siłą, że słychać było, jak trzasnęły delikatne kości jej karku.

Ingrid uniosła w górę oba ramiona, usiłując zasłonić oczy i uszy przed lawiną światła i przerażającego grzmotu. Z trudem utrzymywała się na nogach, usiłując wyczuć moment ataku. Dopóki napastnicy byli na zewnątrz, mieli szansę uniknięcia zamierzonej przez nią detonacji. Czekala na chwilę, gdy cała grupa szturmowa znajdzie się w środku. Pragnęła spowodować jak najwięcej ofiar. Trzymała aparat w obu rękach wysoko nad głową.

- Wchodźcie, zapraszamy!

Ale kabinę wypełniały kłęby białego, gryzącego dymu ograniczającego widoczność. Usłyszała huk wystrzału z pistoletu, ktoś krzyczał przeraźliwie, rozległy się nawoływania:

- Kłaść się! Wszyscy na podłogę!

Mimo dymu, huk i ogólnego zamieszania stała wpatrzona w ciemny otwór awaryjnego wyjścia, oczekując, z palcem na detonatorze, pierwszego napastnika. I nagle w otworze pojawiła się czarna sylwetka mężczyzny w masce, a jednocześnie tuż obok siebie usłyszała krzyk Karen:

- Nie zabijaj nas! - W tej samej chwili ciemnowłosa dziewczyna wyrwała jej z rąk aparat i zaczęła uciekać wzdłuż przejścia między siedzeniami. - Nie zabijaj nas! - Trzymała przed sobą w wyciągniętych rękach aparat jak ofertę pokoju. Kalif powiedział, że nie zginiemy! - Biegła, krzycząc jak opętana. - Kalif... - Gdy nagle czarna, zamaskowana postać skoczyła sprężysto z góry w sam środek przejścia. Widać było odrzut pistoletu w jego rękę po wystrale, choć huk nie było słychać, gdyż nie przycichł jeszcze grzmot wybuchu ogłuszających granatów.

Karen biegła wprost na niego, krzycząc i potrząsając aparatem, gdy kula trafiła ją w usta i odrzuciła głowę do tyłu z nieprawdopodobną siłą. W jeden huk zlały się dwa następne wystrzały, oddane z tak bliskiej odległości, że kule przeszły ciało na wylot i rozerwały bluzkę na plecach, nasycając ją ciemnym, wilgotnym szkarłatem krwi. Tymczasem aparat przeleciał wysoko ponad głowami siedzących osób, by w końcu wylądować na kolanach nieprzytomnego pasażera.

Usuwanie się z linii ognia, Ingrid z szybkością dzikiej kotki skoczyła na rozpostarty w przejściu dywan i zasłonięta przez opadający powoli dym, usiłowała doczołgać się do aparatu. Miała do pokonania odległość około sześciu metrów, ale poruszała się z szybkością węża. Wiedziała, że na razie jest pod osłoną dymu, lecz zdawała sobie również sprawę z tego, że aby dotrzeć do detonatora, będzie musiała podnieść się z podłogi i sięgnąć ręką ponad dwoma nieprzytomnymi pasażerami.

Peter wylądował na dywanie w przejściu między siedzeniami, zastrzelił ciemnowłosą dziewczynę i natychmiast usunął się na bok, robiąc miejsce dla kolegi.

Gdy ten skoczył obok Petera, z dymu wyłonił się Niemiec w czerwonej koszulce i z bliskiej odległości strzelił mu prosto w plecy. Pocisk niemal rozerwał żołnierza na dwie części. Złamał się w pasie, jak składany scyzoryk, i powoli osunął się pod nogi Petera.

Ten odwrócił się natychmiast w stronę napastnika szamoczącego się ze swoim pistoletem, który zaciął się na skutek silnego odrzutu po oddanym strzale. Pod rozpiętą aż po pępek czerwoną koszulką widoczne było muskularne, opalone na brąz ciało, pokryte gęstym czarnym owłosieniem. Spod opadających na czoło włosów spoglądały obłąkańczo błyszczące oczy. Do przeciętych blizną ust przylgnął grymas wściekłości.

Peter strzelił w nagą pierś, nie dając porywaczowi żadnej szansy, a gdy ten cofnął się, usiłując podnieść do góry rękę z pistoletem, strzelił po raz drugi, mierząc w skroń tuż nad lewym uchem. Widział, jak powieki zacisnęły się na dzikich oczach, jak stężała twarz, upodabniając się do gumowej maski. Niemiec powoli osuwał się na podłogę.

To już drugi, uprzytomnił sobie Peter. Jak zwykle w dramatycznych chwilach, działał z zimną krwią i skutecznie. Strzelał z taką samą przemyślaną dokładnością jak w czasie rutynowych ćwiczeń. Policzył w myślach oddane strzały. W magazynku pozostały mu jeszcze cztery naboje.

O dwa za dużo, pomyślał.

Dym wciąż był tak gęsty, że widać było zaledwie na odległość kilku metrów. Widoczność dodatkowo utrudniały wiszące nad głowami pasażerów maski tlenowe. Peter przeskoczył nad ciałem martwego kolegi, przez chwilę czuł krew pod gumową podeszwą buta i nagle, na drugim końcu kabiny, zamajaczyła przed nim krępa, czarna sylwetka Colina Noble'a, który atakował samolot od strony prawego skrzydła. W kłębach dymu wyglądał jak demon z piekła, odrażający i groźny w swojej masce. Przykucnął, przyjmując pozycję snajpera, i wypalił z dużego, trzymanego oburącz browninga. Huk wystrzału zagrzmiał w kabinach samolotu, jak dźwięk wielkiego dzwonu z brązu w katedrze Notre Dame.

Strzelił do młodego mężczyzny z okrągłą, chłopięcą twarzą i opadającymi w dół wąsami, ledwo widocznego wśród dymu. Pociski velex rozerwały porywacza na strzępy, niby kły dzikiego drapieżnika. Osunął się na ścianę kabiny i został na niej, jakby przybity, ze zmiażdżoną pierśią i czaszką.

To już trzeci, pomyślał Peter. Pozostała jeszcze tylko jedna dziewczyna. Ale gdzie jest aparat?

Widział go w rękach dziewczyny, którą zabił. Spostrzegł, jak go wypuściła z rąk, i uprzytomnił sobie, że musi uczynić wszystko, żeby nie wpadł w ręce tej drugiej, blondynki, chyba najgroźniejszej z nich.

Upłynęły nie więcej niż cztery sekundy od momentu, gdy wdarł się do kabiny. Były jak wieczność. Słyszał uderzenia młotów rozbijających zamki w drzwiach samolotu, za chwilę cała grupa szturmowa znajdzie się w środku, a tymczasem on nie wie, co się stało z najniebezpieczniejszą porywaczką.

- Kłąć się! Wszyscy na podłogę! - Wołali granatnicy, podczas gdy Peter rzucił się w kierunku kabiny pilotów, gdzie spodziewał się znaleźć blondynkę.

Przed nim, w przejściu, leżała zabita przez niego dziewczyna. Jej bladą twarz, z zastygłym wyrazem przerażenia, otaczały długie, czarne, zmoczone we krwi włosy. Ciemny otwór w ustach, gdzie przedtem były białe zęby, sprawiał, że wyglądała jak stara kobieta. Bezwładne ciało blokowało całkowicie przejście.

Przedni luk samolotu został otwarty z trzaskiem, ale przed Peterem wciąż wisiała kurtyna gęstego dymu. W momencie gdy chciał przeskoczyć przez zwłoki dziewczyny, z dymu wyłoniła się nagle blondynka, niby piękne, choć szatańskie zjawisko. Dziewczyna wykonała rzut ciałem na dzielących ją od aparatu nieprzytomnych pasażerów, podczas gdy Peter, zaskoczony nagłym widokiem, usiłował odzyskać niezbędną dla oddania strzału równowagę. Szybko przerzucił broń z prawej ręki do lewej (strzelał z obu jednakowo celnie), ale w ten sposób stracił dziesiątą część sekundy. Dziewczyna już trzymała pasek aparatu i ciągnęła go z całych sił ku sobie - musiał się o coś zahaczyć, gdyż stawiał Opór. Peter celował w głowę, a ponieważ odległość do celu wynosiła nie więcej niż dziesięć kroków, był pewien trafienia. W tym samym jednak momencie zerwał się na nogi jeden z niewielu przytomnych pasażerów i, nie zważając na okrzyki: „Siadać!”, „Nie ruszać się!”, zaczął histerycznie krzyczeć.

-Nie strzelać! Wypuście mnie stąd! Nie strzelać! Pasażer stanął w prostej linii między dziewczyną a Peterem, któremu w ostatniej chwili udało się skierować kulę w sufit. Wypuście mnie! Chcę stąd wyjść!

Pasażer rzucił się na Petera, krępując swobodę jego ruchów. Ten usiłował desperacko uwolnić rękę z pistoletem, gdyż spostrzegł, że dziewczynie udało się już zerwać pasek aparatu i przyciągnąć do siebie czarne pudełko. Tymczasem pasażer wciąż nie puszczał Petera, potrząsając nim, płacząc i krzycząc.

I wtedy strzelił Colin Noble. Jego pierwszy strzał chybił, musnął tylko jej włosy, ale dziewczyna odruchowo cofnęła głowę i zrobiła krok wstecz. Nie wypuściła jednak z rąk aparatu, gorączkowo poszukując palcami detonatora.

Peter schwycił histeryzującego pasażera za gardło i siłą posadził na miejscu, a następnie starał się naprowadzić lufę swojego pistoletu na głowę dziewczyny. Zdawał sobie sprawę z tego, że tylko trafienie w mózg może natychmiast uspokoić jej palce.

O jedną setną sekundy wcześniej wystrzelił ponownie Colin. Kula z jego pistoletu

trafiła dziewczynę w prawe ramię, tuż przy złączeniu łopatki i kości barkowej. Uderzenie było tak silne, że głowa dziewczyny odskoczyła do tyłu, unikając w ten sposób roztrzaskania kulą z pistoletu Petera, a ramię podskoczyło ponad głowę, jak w groteskowej parodii komunistycznego pozdrowienia, po czym ciało uderzyło o podłogę, jakby zostało obalone przez pędzący samochód.

Peter przygotował się do decydującego strzału w głowę dziewczyny, oczekując na moment, kiedy ta zacznie się podnosić. Nagle w kabinie zaroilo się od czarnych sylwetek, które przygniotły dziewczynę do podłogi, unieruchomiły ręce i nogi, zdusiły jej krzyk. Cały zespół Thoru wtargnął przez przedni luk w samą porę, żeby ocalić jej życie. Peter wsunął swojego walera do pochwy i pochylił się, żeby podnieść porzucony aparat.

- Mamy wszystkich! - Zawołał. - Przerwać ogień. To już koniec. - Następnie podniósł do ust mikrofon aparatu radiowego.

- *Touch down! Touch down!* - Podał sygnał oznaczający całkowite powodzenie ataku. Trzech jego ludzi trzymało dziewczynę, która, mimo krwawiącej obficie rany, rzucała się jak lamparcica w pułapce.

- Spuścić awaryjne zjeżdźalnie - rozkazał Peter i natychmiast ze wszystkich wyjść spuszczone długie, plastikowe, nadmuchiwane zjeżdźalnie, a żołnierze zaczęli wyprowadzać przytomnych pasażerów, pomagając im ześlizgiwać się na ziemię.

Z wyciem syren od strony głównego budynku nadjeżdżały ambulanse. W świetle reflektorów, wiwatując radośnie, nadbiegali członkowie personelu pomocniczego Thoru.

- *Touch down! Touch down!* - Rozlegały się głosy. Podobne do prehistorycznych potworów, podjeżdżały ociężałe do boeinga mechaniczne schody.

Peter podszedł do leżącej dziewczyny, trzymając wciąż w rękach pudełko aparatu. Napięcie, które nie opuszczało go podczas szturm, trwało nadal. Myślał wciąż chłodno i jasno, wszystkie zmysły miał wyostrzone.

Dziewczyna przestała się szamotać i patrzyła na niego. Wyglądała jak schwytyany drapieżnik. Peter nigdy u nikogo nie widział takiej wściekłości i takiej nienawiści w oczach. W pewnym momencie cofnęła nieco głowę jak kobra, która szykuje się do ukąszenia, i plunęła na niego. Biała, spieniona ślina spryskała mu obuwie.

Stojący obok Colin Noble zdjął z twarzy maskę i odezwał się:

- Przepraszam cię, Peterze, ale celowałem w serce.

- Nigdy nie będziecie mnie mieć! - Wrzasnęła nagle. Ani się nie obejrzyście, gdy będę znów wolna!

Peter zdawał sobie sprawę z tego, że mówiła prawdę. Kara, którą zaślepione społeczeństwo wymierzało zwykle porywaczom, nie przekraczała kilku miesięcy więzienia, i to często w zawieszeniu. Tymczasem nie mógł zapomnieć umierającego w jego ramionach dziecka i strumyka ciepłej krwi na swoim brzuchu i nogach.

- Mój lud upomni się o mnie. - Dziewczyna plunęła ponownie, tym razem w twarz

jednego z trzymających ją żołnierzy. - Nie wsadzicie mnie do więzienia. Lud zmusi was do zwrócenia mi wolności.

I znów miała rację. Schwytanie jej żywej otwierało bramę dla kolejnych zbrodni, koło zemsty i kary zostało puszczone w ruch. Za życie tego wściekłego drapieżnika setki ludzi zapłaci cierpieniami, a dziesiątki - własnym życiem.

Teraz, gdy opadła gorączka walki, gdy nastąpiła chwila refleksji, Peter poczuł przypływ nudności. Czy warto było przekreślać wszystko, co dotąd osiągnął w życiu, dla chwilowego zwycięstwa? Wygrał jedną bitwę ze złem, ale nie zwyciężył. Ono przegrupuje siły po porażce i znowu zaatakuje, jeszcze mocniej i celniej. Ta kobieta będzie jego narzędziem.

- Jesteśmy ramieniem rewolucji! - Wołała dziewczyna, podnosząc w górę zdrowe ramię z zaciśniętą pięścią. - Jesteśmy potęgą. Nic i nikt nie jest w stanie nas powstrzymać.

Dziewczyna groziła zaciśniętą pięścią Peterowi.

- To jest tylko początek, nowa era się zaczęła.

W jej głosie słyszał jednocześnie szyderstwo i groźbę. Groźbę, zdawał sobie z tego sprawę doskonale, nie bezpodstawną. Na świecie rozpętały się nowe, niebezpieczne dla ludzkości siły. Ujarzmienie ich nie przyjdzie łatwo. Nie miał najmniejszych nawet złudzeń, że jego małe zwycięstwo jest w stanie je zahamować. Zraniona bestia powróci silniejsza niż dotąd, jeszcze bardziej przebiegła i niebezpieczna. Na myśl o tym Petera opanował nastrój zwątpienia i pesymizmu. To, czego dziś dokonał, nie miało żadnego sensu.

- Nigdy nie zwyciężycie! - Urągała zboczona własną krwią dziewczyna, nie przejawiając trwogi ani też skruchy.

Czytała chyba w jego myślach.

- A my nigdy nie przegrywamy! - Krzyczała.

- Panowie - mówił południowoafrykański premier, z trudem powściągając drżenie w głosie. - Zarówno cały mój rząd, jak i ja zgadzamy się co do tego, że przystać na warunki terrorystów znaczy to samo, co wsiąść na grzbiet tygrysa, z którego nie można będzie już zejść. - Przerwał, zwiesił na chwilę głowę, a potem spojrzął na obu ambasadorów. - Jednak poczuwając się do obowiązku wobec ludzkości, jak również z szacunku dla życia ludzkiego oraz wobec nacisku ze strony dwóch wielkich narodów, podjęliśmy jednomyślną decyzję przyjęcia wszystkich warunków uwolnienia kobiet i dzieci...

Stojący przed amerykańskim ambasadorem aparat telefoniczny nagle przenikliwie zadzwonił. Premier zmarszczył brwi i przerwał na chwilę.

- Jednak pokładamy całkowicie zaufanie w krokach podjętych przez wasze rządy - znowu przerwał, gdyż aparat wciąż dzwonił uparcie. - Najlepiej będzie, jeśli pan

podniesie słuchawkę i odbierze ten telefon - zwrócił się do Kelly'ego Constable'a.

- Przepraszam pana, panie premierze - Amerykanin podniósł słuchawkę do ucha, a w miarę jak słuchał, jego twarz zmieniała swój wyraz. Początkowe niedowierzanie ustępowało zaskoczeniu i zdumieniu. - Proszę się nie rozłączać - powiedział do słuchawki, a następnie, zakrywając ją ręką, spojrział wokół. - Panie premierze, mam przyjemność powiadomić pana, że trzy minuty temu grupa szturmowa Thor opanowała samolot, zabijając troje terrorystów i raniąc czwartego. Wśród pasażerów nie ma żadnych ofiar. Wszyscy są zdrowi i bezpieczni.

Rosły, tęgi mężczyzna w fotelu premiera odetchnął głęboko. Uśmiechnął się z ulgą podczas gdy wokół niego podniósł się radosny gwar głosów. Uśmiech ten całkiem odmienił jego twarz, czyniąc ją miłą i przyjazną.

- Dziękuję panu - powiedział do ambasadora. - Dziękuję panu bardzo.

- Jest pan winien rażącego niedopełnienia swoich obowiązków, generale Stride - oświadczył surowo Kingston Parker.

- Czuję się odpowiedzialny za życie zakładników i respektowanie podstawowych praw moralnych - odpowiedział spokojnie Peter.

Nie upłynęło nawet piętnaście minut od uwolnienia samolotu z rąk terrorystów. Wciąż jeszcze drżał, nadal czuł nudności.

- Pan świadomie nie podporządkował się moim rozkazom. - Z bujną grzywą srebrnych, jakby najeżonych włosów Parker przypominał w tej chwili rozwścieczonego lwa, patrzącego groźnie z ekranu na Petera. - Zawsze miałem poważne zastrzeżenia co do pańskiej przydatności na tym wysokim stanowisku, które zostało panu powierzone. Chcę pana poinformować, że zastrzeżenia te, sformułowane na piśmie, przekazałem już pańskim zwierzchnikom.

- Rozumiem, że zostałem usunięty ze stanowiska dowódcy Thoru - uciął szorstko Peter, w którym zaczął wzbierać gniew, a Parker przytaknął skinieniem głowy.

Peter zdawał sobie sprawę, że Kingston Parker nie jest w stanie zniszczyć od razu bohatera zakończony sukcesem szturm. Na to potrzeba więcej czasu, być może dni, a nawet tygodni. Jednakże jego los został już przesądzony, co do tego nie miał najmniejszych nawet wątpliwości.

- Będzie pan nadal sprawował dowództwo pod moim osobistym nadzorem, informując mnie natychmiast o każdej podjętej decyzji. Czy pan mnie zrozumiał, generale?

Peter nie miał ochoty odpowiadać, czuł w sobie nieprzewyciężone pragnienie wolności i niezależności. Po raz pierwszy w swojej karierze z pełną świadomością nie wykonał rozkazu zwierzchnika. Na jego szczęście, czy też nieszczęście, efekt nieposłuszeństwa okazał się znakomity.

- Pańskim pierwszym obowiązkiem jest teraz wycofać jak najszybciej wszystkie

jednostki Thoru. Schwytaną porywaczkę proszę wysłać do Londynu, gdzie zostanie przesłuchana i postawiona przed sądem.

- Tutaj dopuściła się przestępstwa i tutaj powinna być sądzona za popełnione morderstwa. Władze lokalne przekazały mi już żądania...

- W tej sprawie prowadzone są rozmowy z władzami Afryki Południowej. - Parker z trudem panował nad rozdrażnieniem. - Ona uda się do Wielkiej Brytanii pańskim samolotem, pod opieką lekarza Thoru.

Peter pamiętał dobrze, co się stało z terrorystką Leilą Khaled, schwytaną przez izraelskich agentów bezpieczeństwa w samolocie El Al. Jako gość brytyjskiej policji spędziła sześć dni w odosobnieniu, a następnie została wypuszczona na wolność, uzyskawszy wcześniej rozgłos Joanny d'Arc terroru. Stała się prawdziwą bohaterką środków masowego przekazu. Podarowano jej wolność chyba tylko po to, żeby mogła kontynuować swoje dzieło zniszczenia i śmierci wielu niewinnych ofiar, dzieło podkopywania fundamentów cywilizacji i prawa.

- Życzę sobie, aby ta kobieta znalazła się w Londynie w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Ma być dobrze strzeżona przed ewentualnymi próbami samosądu. Nie możemy sobie pozwolić na jeszcze jedną krwawą jatkę.

Peter Stride z podniesioną głową przechodził przez obszerny, wsparty na marmurowych kolumnach hol krajowego dworca lotniczego. Towarzyszyły mu głosy uznania napotykanych po drodze żołnierzy i personelu Thoru.

- To była dobra robota, sir.

- Wielki wyczyn, generale.

- Niewiarygodny sukces...

Nieśli pomoc uwolnionym pasażerom, gromadzili swój rozrzucony sprzęt, demontowali urządzenia służące bezpieczeństwu i łączności. Pakowali to wszystko. Za godzinę z pewnością będą już gotowi do odlotu, ale tymczasem gromadzili się wokół niego, żeby uścisnąć mu dłoń.

Również pasażerowie, którzy zorientowali się, że on właśnie jest architektem ich ocalenia, pozdrawiali go i wiwatowali na jego cześć. Z uśmiechem przyjmował wyrazy ich wdzięczności. Jakaś stara kobieta zatrzymała go i objęła ramionami.

- Niech cię Bóg błogosławi, mój chłopcze. Niech cię Bóg błogosławi. - Czuł drżenie jej ciała. Odsunął ją delikatnie i poszedł dalej z ciężkim sercem, choć na ustach zachował uśmiech.

Na półpiętrze budynku, gdzie mieściły się główne biura dworcowe, stali wartownicy Thoru uzbrojeni w ręczne karabiny maszynowe. Na widok Petera cofnęli się natychmiast z przejścia.

Colin Noble wciąż jeszcze był w czarnym, przylegającym do ciała stroju, w którym brał udział w szturmie. Na kolanach miał dużego kolta, a w zaciśniętych zębach trzymał cygaro.

- Spójrz tylko na to wszystko - zwrócił się do Petera. Na stole, przy którym

siedział, leżało dużo ręcznej broni i materiałów wybuchowych. - Większość pochodzi z za żelaznej kurtyny, ale sam Bóg raczy wiedzieć, skąd to wzięli. - Wskazał na dwulufowe pistolety. - Jeśli zostały wykonane na specjalne zamówienie, to sporo ich kosztowały.

- Mieli z czego płacić - odpowiedział sucho Peter. Okup za ministrów OPEC wynosił sto pięćdziesiąt milionów dolarów, za braci Braun dwadzieścia pięć milionów, za barona Altmanna następne dwadzieścia milionów. Razem stanowi to sumę równą budżetowi resortu obrony w przeciętnym państwie. - Wziął do ręki jeden z pistoletów i otworzył jego zamek, był pusty. - Czy to nie z tego zabijano zakładników?

Colin wzruszył ramionami.

- Być może, gdyż z obu jego luf już strzelano. - Miał rację, wewnątrz nosiło ślady spalonego prochu.

Peter załadował pistolet wziętymi ze stołu nabojami i przeszedł wzdłuż długiego pomieszczenia biurowego zastawionego biurkami i maszynami do pisania oraz udekorowanego plakatami reklamującymi podróże lotnicze. Pod jedną ze ścian leżały w plastikowych przezroczystych workach zwłoki porywaczy. Wszystkie znalezione przy nich przedmioty, łącznie z osobistą biżuterią, zostały również zapakowane do plastikowych torebek.

Zwłoki żołnierza także były w worku. Peter pochylił się nad nim, poprzez przezroczyste tworzywo widział twarz zabitego. Oczy miał szeroko otwarte, szczeka opadła nisko.

Śmierć nigdy nie wygląda godnie, pomyślał Peter i wyprostował się.

Trzymając wciąż pistolet w rękę, przeszedł do następnego pomieszczenia. Jego śladem poszedł Colin Noble. Tutaj, na noszach, leżała dziewczyna. Zawieszono nad nią kroplówkę z plazmą, krzątał się przy niej lekarz Thoru i dwie sanitariuszki.

Gdy Peter popchnął drzwi wejściowe, lekarz spojrzał w jego kierunku z wyrazem irytacji na twarzy, lecz gdy rozpoznał dowódcę, natychmiast rozchmurzył się.

- Generale, jeśli chcemy ocalić ramię tej dziewczyny, musimy jak najszybciej zawieźć ją do szpitala. Staw barkowy jest zgruchotany.

Dziewczyna odwróciła piękną główkę do Petera. Duży pukiel złotych włosów przesiąknięty był krwią, również na policzku miała rozmazaną krew. Pobladła twarz przypominała teraz głowę anioła wyrzeźbionego w białym marmurze. Woskowo blada skóra była niemal przezroczysta i tylko oczy paliły się wciąż nieprzytłumionym przez środki znieczulające ogniem.

- Zwróciłem się do tutejszych władz z prośbą o pomoc ciągnął dalej doktor. - Mają dwóch doskonałych chirurgów ortopedów. Zgodzili się przerzucić ją helikopterem do Centralnego Szpitala w Edenvale.

A więc już jest traktowana, nawet przez lekarza Thoru, jak wybitna osobistość. A to dopiero pierwszy krok na usłanej różami drodze do sławy. Peter mógł sobie

wyobrazić, jak środki masowego przekazu na całym świecie będą wynosiły pod niebo jej nieprzeciętną urodę. Poczul w sobie nagły przyływ ślepej wściekłości.

- Proszę stąd wyjść - zwrócił się do lekarza.

- Nie rozumiem - doktor był wyraźnie zaskoczony.

- Proszę, aby wszyscy stąd wyszli - powiedział stanowczo Peter. Czekał, aż drzwi zamkną się za ostatnim z wychodzących, a potem zwrócił się do dziewczyny:

- Zmusiłaś mnie do tego, żebym zdradził własne zasady i zniżył się do twojego poziomu.

Dziewczyna spojrzała na niego niepewnie, następnie przeniosła niespokojny wzrok na pistolet w jego rękę.

- Zmusiłaś mnie, zawodowego żołnierza, do niepodporządkowania się swojemu zwierzchnikowi. - Przerwał na chwilę. - Zawsze uważałem siebie za człowieka honoru, ale po tym, co mam zamiar teraz uczynić, nie będę miał więcej do tego prawa.

- Żądam widzenia się z amerykańskim ambasadorem powiedziała lekko zachrypniętym głosem, nie spuszczając oka z pistoletu. - Jestem obywatelką Stanów Zjednoczonych. Żądam opieki...

Peter przerwał jej, zaczął mówić szybko, nie dopuszczając do głosu.

- To, co uczynię, nie będzie zemstą. Jestem zbyt stary i doświadczony, żeby nie wiedzieć, jak gorzki ma smak.

- Nie wolno ci tego uczynić - głos dziewczyny stał się piskliwy, czuć w nim było narastający strach. - To byłby twój koniec.

Peter ciągnął, jakby nie słysząc jej.

- To nie będzie zemsta - powtórzył. - Chodzi mi o coś zupełnie innego. Dopóki istnieje, jesteś niebezpieczna dla ludzi. Dopóki żyjesz, inni muszą umierać, odarci ze swej godności jako ofiary gwałtu i terroru, tak jak zginęli...

- Jestem kobietą. Jestem ranna. Jestem jeńcem! - Krzyczała dziewczyna, usiłując podnieść się z noszy.

- To stare zasady - powiedział Peter. - Sama je podeptałaś i ustaliłaś nowe. Stosuję się do twoich zasad, zniżam do twojego poziomu.

- Nie możesz mnie zabić - w jej głosie było przerażenie. - Ja jeszcze...

- Colinie - Peter zwrócił się do Amerykanina, nie patrząc na niego. - Będzie lepiej, jeśli stąd wyjdiesz.

Colin Noble wahał się, trzymając rękę wspartą na kolbie swojego browninga. Dziewczyna spojrzała na niego błagalnie.

- Pan nie pozwoli mu tego uczynić.

- Peterze - odezwał się Colin.

- Miałaś rację, Colinie. Ta dziewczynka była bardzo podobna do Melissa Jane.

Colin Noble zdjął rękę z pistoletu i skierował się ku drzwiom. Przeraźliwym głosem, pełnym panicznego strachu i nienawiści, dziewczyna miotała przekleństwa i groźby.

Colin delikatnie zamknął za sobą drzwi i stanął za nimi odwrócony tyłem. Rozległ się huk pojedynczego wystrzału i potok przekleństw nagle został przerwany. Ciszka, która zapanowała, była bardziej przerażająca niż to, co ją poprzedziło. Colin nie poruszył się. Minęło cztery, pięć sekund, zanim drzwi się otworzyły i wyszedł Peter Stride. Wręczył pistolet Colinowi, jedna z luf była gorąca.

Piękna, o arystokratycznych rysach twarz Petera wyglądała, jakby jej właściciel przeżył długą, ciężką chorobę, była to twarz człowieka, który wykonał skok w przepaść.

Peter Stride pozostawił za sobą otwarte drzwi i szedł, nie oglądając się za siebie. Mimo wyrazu desperacji na twarzy zachował żołnierską postawę i twardy żołnierski krok.

Colin Noble nie rzucił nawet okiem przez otwarte drzwi.

- W porządku - powiedział do doktora. - Reszta należy do pana. - Ruszył śladem Petera Stride'a po szerokich schodach.

Koń galopował przez obszerne pastwisko otoczone płotem, z jedną tylko bramą. Melissa Jane siedziała mocno w siodle na swojej gniadej klaczy, którą dostała w prezencie gwiazdkowym od stryja Stevena. Podobnie jak wiele innych dorastających dziewcząt, przeżywała właśnie okres pasjonowania się jazdą konną. Trzeba przyznać, że prezentowała się na koniu doskonale. Chłodne powietrze zarumieniło jej policzki, a warkocz koloru miedzi wesoło podskakiwał w czasie jazdy. W ciągu minionych kilku tygodni, które upłynęły od dnia, kiedy Peter widział ją po raz ostatni, wyraźnie rozwinęła się i rozkwitła. Z niejaką obawą, lecz również i nie bez dumy zauważył, że przeistaczała się w prawdziwą piękność.

Peter jechał na jednym z koni Stevena, dużym, roslim wałachu, z trudem nadszając za śmigającą na młodej klaczy dziewczyną.

Zlekceważwszy istnienie bramy, Melissa Jane ściągnęła lejce klaczy tuż przed płotem i spięła ją do skoku. Wdzięczna sylwetka pochyliła się do przodu, a mały okrągły tyłeczek uniósł się nad siodłem, gdy klacz przelatywała nad przeszkodą, wyrzucając spod kopyt grudki ziemi.

Natychmiast po pokonaniu przeszkody odwróciła głowę w kierunku ojca, który zrozumiał to jako wyzwanie. Za płotem, wysokim na miarę człowieka, była lekka pochyłość. Peter już od dwóch lat nie jeździł na koniu, a na tym wałachu siedział po raz pierwszy. Koń skoczył śmiało, lecz lekko potracił przeszkodę i potknął się przy lądowaniu. Na krótką chwilę Peter znalazł się na jego szyi, z dużym trudem udało mu się odzyskać równowagę i uniknąć kompromitacji w oczach córki.

- To było wspaniałe! - Zawołała ze śmiechem Melissa Jane, która tymczasem zatrzymała się na wzniesieniu pod cisem. Zsiadła z konia i czekała na ojca.

- Kiedyś nasza ziemia sięgała aż do kościoła - Peter wskazał ręką w kierunku

odległej, strzelającej w niebo wieży kościelnej - i aż do samego końca wzniesienia. - Tym razem pokazał w przeciwnym kierunku.

- Wiem. - Melissa Jane wzięła go pod rękę. - Kiedy dziadek umarł, rodzina musiała sprzedać część ziemi. I to było słuszne. Jedna rodzina nie powinna posiadać tak wiele.

Peter spojrzał na nią zaskoczony.

- Boże, mamy komunistkę w rodzinie. Wykarmiliśmy żmiję.

Pogłaskała go po ramieniu.

- Nie martw się, drogi tatusiu. To przecież nie ty, lecz stryjek Steven jest tym spasionym plutokrata. Ty nie jesteś kapitalistą, nawet jesteś teraz bezrobotny. - Nagle przestała się śmiać i spojrzała na niego ze smutkiem. - To nie jest pretensja, możesz mi wierzyć.

Minął już miesiąc od przyjęcia przez Ministerstwo Obrony rezygnacji Petera, ale skandal wokół sprawy nie ucichł jeszcze całkowicie. Peany na cześć sukcesu Thoru trwały zaledwie kilka dni. Pochwalne artykuły i informacje na pierwszych stronach gazet i czasopism, pełne uznania i entuzjazmu dla niezwykłego wyczynu ludzi Petera Stride'a komentarze w radiu i telewizji wnet zostały wyparte przez zalew wiadomości i komentarzy nieprzychylnych im. Świat się rychło dowiedział, że rasistowski rząd wyraził zgodę na uwolnienie więźniów politycznych jeszcze przed szturmem na samolot, że jedna z porywaczek została wzięta żywcem i zmarła dopiero w wyniku ran odniesionych na dworcu lotniczym. Jeden z uwolnionych zakładników, powracający ze zjazdu lekarzy na Mauritiusie niezależny dziennikarz, opublikował w prasie sprawozdanie naocznego świadka, według którego na dworcu, bezpośrednio przed śmiercią porywaczki, słyszano jej krzyk i błagania o litość. Potwierdziło to zresztą wielu innych pasażerów.

Fala oburzenia i potępienia ze strony lewicy przelała się przez westminsterski parlament i odbiła głośnym echem w amerykańskim Kongresie wśród demokratów. Wzięto pod lupę działalność Thoru i jego dowództwa. Nie oszczędzono im słów najostrzejszej krytyki. Na ulicach protestowali komuniści francuscy i włoscy, a w tłum ludzi opuszczających stadion w Parc des Princes w Paryżu rzucono granat, skradziony przez bandę Baader-Meinhof w bazie amerykańskiej w Metz. Zabito jedną osobę i raniono dwadzieścia trzy. Anonimowy telefon do redakcji „France Soir” poinformował, że była to zemsta za zamordowanie przez imperialistyczny pluton egzekucyjny czworga porywaczy.

Żądanie dymisji Petera wyszło początkowo z Pentagonu i nie było najmniejszej wątpliwości, że inicjatorem był dr Kingston Parker. Prasa, radio i telewizja zaczęły domagać się szczegółowego śledztwa w sprawie Thoru. „I jeśli śledztwo wykazałoby istnienie nieprawidłowości o charakterze przestępczym w przeprowadzeniu całej operacji, osoby, które się ich dopuściły, powinny zostać pociągnięte do odpowiedzialności przed sądem wojskowym lub cywilnym”.

Na szczęście środkiem masowego przekazu nie udało się odkryć wszystkich

sekretów Atlasu i tylko Thor znalazł się pod pręgierzem. Istnienia pozostałych zespołów: Merkurego i Diany, nawet nie podejrzewano.

W Ministerstwie Obrony, jak również w rządach brytyjskim i amerykańskim, żywiono wiele sympatii i życzliwości dla Petera Stride'a, który ułatwił sytuację przyjaciółom, zgłaszając rezygnację. Mimo że została przyjęta, nie uspokoiło to lewicy, która domagała się krwi. Krwi Petera Stride'a.

Wielkie fiołkowe oczy Melissy Jane wypełniły się łzami zawstydzenia.

- Ja naprawdę nie miałam na myśli tamtych spraw.

- Jest pewna korzyść z tego, że nie mam pracy. Mogę teraz więcej czasu poświęcać mojej drogiej córeczce. - Uśmiechnął się do niej serdecznie, ale ona wciąż była niespokojna.

- Nie wierzę w te wszystkie straszne rzeczy, które mówią o tobie. Wiem dobrze, że jesteś człowiekiem honoru, tatusiu.

- Dziękuję ci. - Miał mieszane uczucia winy i żalu. Przez chwilę milczeli oboje, stojąc wciąż obok siebie, w końcu pierwszy odezwał się Peter. - Masz zamiar zostać paleontologiem - zauważył.

- Nie. Tak sądziłam jeszcze w ubiegłym miesiącu. Ale teraz już zmieniłam zdanie. Stare kości przestały mnie interesować. Chcę zostać lekarzem pediatrą.

- Bardzo pięknie. - Peter skinął głową poważnie. - Ale wróćmy na chwilę do starych kości. Do epoki wielkich jaszczurów. Dlaczego wymarły dinozaury?

- Nie potrafiły przystosować się do zmian zachodzących w środowisku - szybko odparła Melissa Jane jak na egzaminie.

- To tak jak z pojęciem honoru - mruknął Peter. Chyba nie pasuje już do dzisiejszego świata? - W jej oczach dostrzegł zakłopotanie. Poczul, że oboje wkroczyli na niebezpieczny grunt. Córka żywiła uczucie miłości do wszystkiego, co żyje, szczególnie do rodzaju ludzkiego. Miała już swoje poglądy polityczne i społeczne, nacechowane skrajnym idealizmem i głęboką wiarą w piękno i dobroć ludzką. Minie wiele lat, zanim utraci swoje iluzje. Określenie „człowiek honoru” stanowiło dla niej najwyższą nobilitację. Nieważne, czy to określenie przystawało do jej obecnych idoli: księcia Walii, młodzieżowego wykonawcy popularnych piosenek, którego nazwiska nie pamiętał, Virginii Wade, byłej mistrzyni Wimbledonu, czy też nauczyciela, który rozbudził w niej zainteresowanie medycyną.

Peter czuł, iż po prostu powinien się cieszyć z tego, że jego córka lokuje go w tak doborowym, z jej punktu widzenia, towarzystwie.

- Będę się starał zasłużyć na tę doskonałą opinię, jaką masz o mnie. - Pochylił się nad nią i pocałował w czoło, sam zaskoczony głębokością uczucia do tego dziecka-kobiety. A teraz chodźmy już stąd. Jest za zimno, żeby stać tutaj dłużej. Poza tym Pat nie wybaczyłaby nam, gdybyśmy spóźnili się na lunch.

Przejechali stępą przez wybrukowany dziedziniec i zatrzymali się przed stajnią. Zanim zsiadł z konia, Peter obrzucił spojrzeniem dom. Nadal był dla niego rodzinnym

domem, mimo że już do niego nie należał. Stanowił własność jego brata, Stevena. Steven był starszy o całe trzy godziny, w związku z czym został spadkobiercą siedziby rodzinnej i tytułu barona.

Dom, zbudowany z czerwonej cegły, miał wprost nieprawdopodobnie powyginany pod wieloma kątami dach. Był baśniowo uroczy, choć niewiele brakowało, aby stał się szkaradny. Peter nie mógł nigdy zrozumieć niemal obsesyjnego upodobania Stevena do rozłazących się budowli.

Dzięki wysiłkom Stevena stara rezydencja Stride'ów wciąż jeszcze głosiła chwałę rodu, otoczona wspaniałym ogrodem, a on sam mógł prowadzić życie w stylu barona. Jednakże jego zobowiązania podatkowe tak skomplikowano, że każdy inny podatnik brytyjski już dawno poczułby się zniechęcony. Pewnego razu Peter zagadnął o to brata, na co otrzymał spokojną odpowiedź:

- Jeśli jakieś prawo jest w tak oczywisty sposób niesprawiedliwe jak nasze prawo podatkowe, to obowiązkiem każdego uczciwego człowieka jest jego podważanie.

Wychowanemu w szacunku do prawa Peterowi tego rodzaju logika wydała się naduzyciem, jednak puścił uwagę mimo uszu.

Stosunki między braćmi już od samego początku układały się dziwnie. Peter zawsze uchodził w rodzinie za bardzo zdolnego, był jej dumą, podczas gdy o Stevenie mówiono najczęściej „biedny Steven”. Toteż nikt się nie zdziwił, kiedy opuścił szkołę oficerską w Sandhurst przed jej ukończeniem. Ale dwa lata później Steven był już milionerem, a jego brat zaledwie skromnym podporucznikiem armii brytyjskiej. Peter uśmiechnął się do wspomnień bez uczucia gorzkości. Zawsze darzył Stevena gorącym braterskim uczuciem.

W tej chwili tok jego myśli został zakłócony, gdyż nagle na dziedzińcu zauważył błyszczącą, srebrną limuzynę. Był to długi mercedes benz, ulubiony samochód gwiazd muzyki pop, arabskich królów ropy naftowej i przywódców państw. Ubrany w granatowy uniform kierowca zajęty był pucowaniem maski samochodu. Nawet Steven nie korzystał z samochodów tej klasy, toteż Peter poczuł się nieco zaintrygowany. Goście w Abbots Yew zawsze budzili sensację, gdyż Steven rzadko kiedy zapraszał osoby nie posiadające władzy, pieniędzy lub wielkiego talentu. Obok mercedesa 600 był zaparkowany czarny, mniejszy wóz, wewnątrz którego siedziało dwóch mężczyzn o kamiennych, zamkniętych twarzach osobistej obstawy.

Melissa Jane spojrzała pogardliwie na limuzynę.

- Jeszcze jeden opasły plutokrata - mruknęła. Za pomocą określenia „opasły plutokrata” wyrażała teraz najczęściej swoją dezaprobatę w stosunku do ludzi. Peter pomógł jej zsiąść, a następnie rozsiodłał i wytarł oba konie. Gdy już skończył, poszli oboje, rozmawiając i śmiejąc się, wysadzoną różami ścieżką w kierunku głównego wejścia.

- Peterze, staruchu! - Steven wyszedł bratu naprzeciw.

Był równie wysoki, a dawniej tak samo szczupły, lecz dostatnie życie dodało mu

tuszy, a kłopoty w interesach posrebrzyły mu skronie. Twarz miał nieco bardziej mięsistą i rumianą niż Peter, mimo to bliźniacze podobieństwo było widoczne.

- A już sądziłem, że skręciłeś swój cholerny kark! - Pod jowialnym sposobem bycia prowincjonalnego właściciela ziemskiego Steven starał się ukryć przenikliwość i inteligencję.

Następnie zwrócił się do Melissy Jane i uścisnął ją z widoczną przyjemnością.

- Jak się sprawuje Florence Nightingale?

- Jest wspaniała, stryju Stevenie. Jestem ci za nią bardzo wdzięczna.

- Peterze, chcę cię zapoznać z uroczą kobietą...

Rozmawiała właśnie z Patrycją Stride, żoną Stevena, gdy odwróciła się w jego stronę. Wpadające przez okno promienie zimowego słońca otoczyły ją łagodną, romantyczną aurą.

Peter miał wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod nóg, a serce zamarło nagle w piersi.

Wielokrotnie oglądał jej zdjęcia włączone do oficjalnych akt sprawy porwania, a następnie zamordowania jej męża. Na pewnym etapie śledztwa wydawało się, że porywacze wywieźli swoją ofiarę z Francji przez kanał i Thor został postawiony w stan gotowości na okres całego tygodnia. W tym czasie Peter uważnie przestudiował wszystkie związane ze sprawą fotografie gromadzone z najrozmaitszych źródeł, ale nawet efektowne kolorowe zdjęcia z „Vogue” i „Jours de France” nie były w stanie oddać w pełni wspaniałej urody kobiety.

Ku swojemu zaskoczeniu zauważył, że i ona go poznała. Mimo iż wyraz jej twarzy pozostał niezmieniony, w oczach zapalił się na chwilę ogień, który nie pozostawiał cienia wątpliwości w umyśle Petera. Gdy zbliżył się do niej, uprzytomnił sobie, że jest wysoka, aczkolwiek doskonałe proporcje ciała utrudniały dokonanie tego spostrzeżenia. Otulająca figurę spódnica z pięknej wełnianej krepy uwydatniała zgrabne i długie jak u tancerki nogi.

- Czy mogę pani przedstawić mojego brata, generała Stride'a, baronowo?

- Jak się pan miewa, generale? - Mówiła po angielsku niemal doskonale, niskim, zachrypniętym głosem. Jego rangę wymówiła jakby oddzielnymi sylabami.

- Peterze, to jest baronowa Altmann.

Bujne, czarne, zaczesane do tyłu włosy odsłaniały gładkie czoło, podkreślając jednocześnie wydatne, słowiańskie kości policzkowe i nieskazitelną gładkość skóry. Za to szczęka była nieco za mocna, a usta zbyt aroganckie.

Jest wspaniała, ale nie piękna, pomyślał, a jednak czuł się zafascynowany jej urodą. Takiego uczucia nie zaznał już od dwudziestu z górą lat. Była ucieleśnieniem wszystkiego, co zwykł podziwiać w kobiecie. Miała wysportowaną sylwetkę. Pod jedwabną bluzką w kolorze perłowym kryły się delikatnie rzeźbione ramiona, wąska talia i małe piersi, których kształt uwydatniał cienki materiał. Gładka, lekko opalona skóra świadczyła o dobrym zdrowiu i troskliwej pielęgnacji. Wszystko to nie uszło

uwagi Petera.

Jej osobisty urok nie ograniczał się jednak do walorów zewnętrznych. Była niewątpliwie kobietą o dużej sile charakteru, która odniosła wielki sukces życiowy. Nosiła się z godnością królowej lub bogini. Wszystkie hołdy przyjmowała z chłodnym, protekcyjnym uśmiechem, jako należną sobie dań. Peter przypomniał sobie szybko wszystko, co o niej wiedział.

Barona poznała, gdy została jego prywatną sekretarką. Szybko stała się dla niego kimś nie do zastąpienia. Rychło zorientował się, jak wiele potrafi, i mianował ją członkiem zarządu kompanii. Gdy w związku z zachorowaniem na raka siły barona zaczęły gwałtownie opadać, przyjęła na siebie większość obowiązków. Należy przyznać, że prowadziła interesy wielkiego imperium przemysłowego, składającego się z potężnych korporacji przemysłu ciężkiego, elektronicznego i zbrojeniowego, nie gorzej, niż mógłby to robić jego syn, gdyby go miał. Ożenił się z nią mając pięćdziesiąt osiem lat i był od niej niemal o trzydzieści lat starszy. Mimo różnicy wieku okazała się doskonałą żoną i nie mniej doskonałą partnerką w interesach.

Wbrew sugestiom francuskiej policji zgromadziła i osobiście dostarczyła zabójcom barona, nie korzystając z żadnej ochrony osobistej, olbrzymi okup. Gdy zwrócili jego okaleczone zwłoki, zorganizowała pogrzeb, a następnie kontynuowała prowadzenie odziedziczonego po nim imperium z wyjątkową energią i wyobraźnią.

Miała dwadzieścia dziewięć lat. Nie, przecież upłynęły już dwa lata od tamtego dramatycznego wydarzenia, uprzytomnił sobie, pochylając się nad jej ręką i dotykając lekko ustami chłodnych palców. Miała już trzydzieści jeden lat. Na wskazującym palcu nosiła pierścionek ślubny z diamentowym oczkiem. Diament nie był duży, najwyżej sześciokaratowy, lecz wyróżniał się wyjątkową siłą blasku, obdarzającą go jakby własnym życiem. Kobieta, do której należał, musiała być bardzo bogata i posiadać wielką klasę.

Peter wyprostował się i z przyjemnością zauważył, że również on był starannie oszacowany. Zdawać się mogło, że przed spojrzeniem tych skośnych, szmaragdowych oczu nic nie jest w stanie się ukryć. Wytrzymał jednak to spojrzenie, zaintrygowany jedynie jej zainteresowaniem swoją osobą.

- Ostatnio wiele było słyhać o panu - powiedziała, jakby tłumacząc się.

Przy stole siedziało szesnaście osób, z trojgiem dzieci Stevena i Patrycji oraz z Melissą Jane łącznie. Atmosfera przy posiłku była pogodna, niestety baronowa siedziała dość daleko od Petera, co uniemożliwiało jakkolwiek konwersację między nimi. Do jego uszu dochodziły tylko strzępy jej rozmowy ze Stevenem oraz z wydawcą jednego z dzienników. Poza tym Peter był pochłonięty nieustanną szermierką słowną z ładną choć trzpiotowatą sąsiadką z lewej strony. Była to jakaś gwiazdka, która bardzo dobrze wyszła za mąż, a następnie jeszcze lepiej się rozwiodła. Szwagierka Petera była niestrudzona w swoich wysiłkach swatania go. Nie potrafiły jej zniechęcić dotychczasowe, liczne niepowodzenia.

Peter zdołał jednak zauważyć, że aczkolwiek baronowa raz czy dwa podniosła do ust kielich z winem, to wina w kielichu nie ubywało, podobnie zresztą jak i potraw na talerzach.

Choć ciągle spoglądał ukradkiem w kierunku baronowej, jednak ani razu nie odwzajemniła tego. Dopiero kiedy wszyscy przechodzili do sąsiedniego pokoju na kawę, podeszła i w sposób naturalny zajęła przy nim miejsce.

- Steven mówił mi, że na terenie posiadłości znajdują się ruiny z czasów Rzymian.
- Chętnie je pani pokażę. Będziemy mieli okazję do krótkiego spaceru.
- Dziękuję panu. Muszę przedtem jeszcze porozmawiać ze Stevenem o interesach.

Czy możemy, wobec tego, umówić się na trzecią?

Zdażyła przebrać się w luźną spódnicę z tweedu i w żakiet, a na nogi włożyła wysokie botki. Wszystko w kolorze lawendy z brązowym odcieniem. Pod żakiem miała golf z kaszmiru, a szyję owinęła szalem z tej samej wełny. Nasunięty głęboko na oczy kapelusz z szerokim rondem i jasnym piórkiem uzupełniał strój.

Szła w milczeniu, z rękami w głębokich kieszeniach żakietu, nie próbując nawet chronić kosztownych botków przed błotem, cierniami i suchymi badyłami. Poruszała się płynnie, z gracją, kołysząc się lekko w biodrach.

Gdyby nie była jedną z czołowych przedstawicielek światowej finansjery i przemysłu, pomyślał, mogłaby z powodzeniem zostać świetną modelką.

Szli przez ciemny, wilgotny las, pachnący gnijącymi liśćmi i zimnym deszczem, między pokrytymi mchem dębami, wznoszącymi ku purpurowo-szaremu niebu nagie, artretycznie powyginane konary. Przez cały czas Peter nie przerywał milczenia, starając się dotrzymać kroku partnerce.

Nie zatrzymując się ani na chwilę, wyszli na otwarty, nieco wyżej położony teren, aczkolwiek grunt pod nogami był wciąż wilgotny i miękki. Oddychała głęboko, lecz równo. Jej policzki zarumieniły się lekko. Pomyślał, że jest w doskonałej kondycji fizycznej.

- To już tutaj - powiedział Peter, wskazując na ledwo dostrzegalny pod trawą rów otaczający wierzchołek wzgórza. Niestety, nie uprzedziłem pani wcześniej, że nie wygląda to bynajmniej interesująco.

Uśmiechnęła się lekko.

- Byłam tu już kiedyś - odpowiedziała swoim intrygującym, nieco ochryplym głosem.

- Piękny początek. Już przy pierwszym spotkaniu oszukaliśmy się nawzajem - roześmiał się Peter.

- Przyjechałam prosto z Paryża - wyjaśniła. - Sprawę, którą miałam do Stevena, mogłam z nim omówić telefonicznie w ciągu pięciu minut. To, o czym chciałam rozmawiać z panem, mogę omawiać tylko twarz przy twarzy. Twarzą w twarz poprawiła się natychmiast. Była to pomyłka bardzo rzadka. Steven nieprzypadkowo tak nalegał na jego przyjazd do Abbots Yew. Chyba wiedział, o co chodzi.

- Bardzo mi pochlebia zainteresowanie tak pięknej kobiety...

Zmarszczyła brwi i przerwała gestem wyrażającym zniecierpliwienie.

- Niedawno temu zwróciła się do pana firma Seddler Steel, należąca do korporacji Narmco, z propozycją objęcia kierownictwa działu sprzedaży - powiedziała, a Peter przytaknął skinieniem głowy. Od momentu przyjęcia jego rezygnacji przez Ministerstwo Obrony otrzymał już wiele ofert pracy. - Zaproponowano panu niezwykle korzystne warunki.

- To prawda.

- A panu z pewnością bardziej odpowiada klasztorny tryb życia naukowca, nieprawdaż? - Zapytała, a Peter poczuł się nagle wytracony z równowagi. Skąd mogła wiedzieć o propozycji jednego z liczących się uniwersytetów amerykańskich, aby objął katedrę nowożytnej historii wojskowości?

- Jest trochę książek, które chciałbym przeczytać, i takich, które chciałbym napisać - odrzekł.

- Książki. Zgromadził pan ich już wiele, a te, które pan napisał, zdążyłam już przeczytać. W panu tkwi interesująca sprzeczność, generale. Jest pan człowiekiem czynu, a jednocześnie zgłębia pan tajniki myśli politycznej i społecznej.

- Czasem sam się nad sobą zastanawiam - roześmiał się Peter. - Czy więc, zdaniem pani, można mnie zrozumieć?

- To, co pan napisał - odpowiedziała z powagą - w większości jest zgodne z moimi przekonaniem. Jeśli zaś chodzi o pańskie postępowanie, to będąc na pana miejscu, postępowałabym tak samo.

Peter zeszywniał na moment, dopatrując się w jej słowach aluzji do odbicia szturmem boeinga, lecz ona rozwiała jego domysły.

- Mam na myśli całą pańską karierę, generale. Od Cypru do Johannesburga, włączając Irlandię.

Odetchnął uspokojony.

- Dlaczego pan odrzucił ofertę Narmco? - Zaciekawiała się.

- Dlatego, że przedstawiono ją jako propozycję nie do odrzucenia. Zaoferowano mi tak korzystne warunki, iż budziły nieufność. Wreszcie obawiałem się, iż oczekiwano by ode mnie spełniania obowiązków zgodnie z reputacją, jaka mi towarzyszy od szturmu na boeinga.

- O jakiej reputacji pan mówi? - Lekko pochyliła się w jego stronę, ale to wystarczyło, żeby poczuł specyficzny zapach, bijący od jej ciała rozgrzanego wysiłkiem przy wchodzeniu na wzgórze. Pachniała delikatną wonią zgniecionego kwiatu cytryny i zdrowej, dojrzałej kobiety jednocześnie. Był lekko podniecony i miał wielką ochotę wziąć ją w ramiona, poczuć ciepło ciała i gładkość skóry.

- O reputacji człowieka, który jest skłonny pójść na kompromis - odpowiedział.

- I jak pan sądzi, czego by od pana oczekiwano?

Wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie tego, że będę w stanie przekupić swoich starych znajomych w dowództwie NATO i przekonać ich do produktów Narmco.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Byłem kiedyś w NATO oficerem, który podejmował ważne decyzje.

Odwróciła się od niego i objęła wzrokiem specyficzny, zimowy angielski krajobraz, rozpościerające się przed nią pola i pastwiska, ciemne kliny i geometryczne kształty lasów i zagajników.

- Czy pan wie o tym, że poprzez Altmann Industries i inne kompanie ja kontroluję większość udziałów w Seddler Steel i oczywiście w Narmco?

- Nie miałem pojęcia - przyznał Peter - ale nie mogę stwierdzić, że jestem tą informacją zaskoczony.

- A czy pan wiedział, że oferta Narmco pochodziła ode mnie osobiście?

Tym razem nie odrzekł nic.

- Ma pan oczywiście rację, sądząc, że pańskie znajomości w NATO oraz w dowództwie brytyjskim i amerykańskim warte są zaproponowanego uposażenia. Jeśli chodzi o łapówki... W tym momencie na pięknej twarzy rozkwitł uśmiech, który całkowicie ją odmienił, jakby odmłodził o wiele lat, ciepły, choć jednocześnie nieco przekorny. - Oboje żyjemy w społeczeństwie kapitalistycznym, generale. Dlatego wolałabym mówić nie o łapówkach, ale o prowizjach i kosztach reklamy.

Spostrzegł nagle, że również się uśmiecha, ale nie z powodu słów, które przed chwilą usłyszał, lecz po prostu dlatego, że jej uśmiech był zaraźliwy.

- Mogę jednak zapewnić uroczyście, że nikt nie oczekuje od pana spełniania takiej roli. Od czasów afery z niedyskrecją w Lockheed wiele się zmieniło. Nic, co by przynosiło ujmę reputacji Narmco, nie zdarzyło się i nie powinno się zdarzyć.

- Zdaje się jednak, że nasza dyskusja w tej chwili jest jałowa - zauważył Peter - gdyż odrzuciłem złożoną mi propozycję.

- Nie zgadzam się z panem, generale. - Rondo kapelusza zakryło jej oczy, gdy spojrzała w dół. - Mam nadzieję, że biorąc pod uwagę to, co powiedziałam, ponownie rozważy pan sprawę. Popełniłam błąd, usiłując pana pozyskać przy pomocy pośredników, ale sądziłam, że hojność oferty załatwi sprawę. Zazwyczaj nie myślę się w ocenie ludzi.

Podniosła oczy, uśmiechnęła się, kładąc dłoń na jego ramieniu. Miała długie, szczupłe palce z paznokciami polakierowanymi na cielisty kolor. Mówiła dalej, nie zdejmując ręki z jego ramienia.

- Mój mąż był nadzwyczajnym człowiekiem. Człowiekiem szerokich horyzontów, wewnętrznej siły i wielkiego serca. Dlatego go torturowali, a w końcu zamordowali. - Głos przeszedł w ochryply szept. - Zamordowali go w najbardziej podły sposób - przerwała, a jej oczy wypełniły się łzami. Nie odwróciła jednak głowy, żeby je ukryć. Nawet nie mrugnęła, patrząc na Petera, który w końcu pierwszy odwrócił wzrok. Zsunęła rękę z jego ramienia, zbliżając się jednocześnie. Niemal dotykała go biodrem,

ujmując go pod ramię. - Zaraz będzie padało - zauważyła całkowicie spokojnie. - Powinniśmy już wracać.

W powrotnej drodze ciągnęła dalej swoje rozważania.

- Zbrodniarze winni śmierci Aarona odeszli wolni na oczach bezradnego społeczeństwa, które samo systematycznie się obezwładniało. Ameryka dosłownie zlikwidowała swój wywiad. To, co po nim zostało, tak skrupowano i ubezwłasnowolniono, że stał się bezsilny. Pański kraj jest zaabsorbowany wyłącznie własnymi sprawami, podobnie jak i reszta Europy. Brak więc międzynarodowej koordynacji w sprawie, która ma międzynarodowy wymiar. Atlas jest niewątpliwie pięknym pomysłem, ale ograniczonym do roli środka odwetowego, stosowanego wyłącznie w szczególnych okolicznościach. A przecież, gdyby lewica naszych społeczeństw podejrzewała jego istnienie, rozerwałaby go na strzępy jak stado hien. - Poglądziła lekko jego ramię, spoglądając jednocześnie z wyrazem troski w szmaragdowych oczach. - Tak, generale, ja wiem o istnieniu Atlasu, ale nie pytaj mnie skąd.

Peter nic nie odpowiedział. Właśnie weszli do lasu, stąpając ostrożnie, gdyż ścieżka stała się stroma i śliska.

- Po śmierci męża wiele rozmyślałam nad tym, w jaki sposób można chronić świat w ramach obowiązującego porządku prawnego. Wraz z olbrzymim majątkiem odziedziczyłam po Altmannie odpowiedni system gromadzenia informacji w skali międzynarodowej, dostosowany oczywiście do potrzeb działalności handlowej i przemysłowej. - Mówiła niskim, sugestywnym głosem, opisując w dalszym ciągu własne starania i wysiłki, mające na celu mobilizację opinii społecznej na świecie przeciwko przejawom gwałtu i terroru. - Nie byłam skrupowana przez samobójcze prawo, które zabrania Interpolowi zajmować się przestępstwami. Jednakże zawsze natrafiałam na barierę nie do przewyciężenia w postaci tego, co określa się zwykle jako demokrację i wolność osobistą, a co paraliżuje wszelkie skuteczne działanie przeciwko terroryzmowi. Dwukrotnie ostrzegałam władze o zamierzanych aktach przemocy. W odpowiedzi jednak słyszałam, że intencje nie stanowią jeszcze żadnego przestępstwa, wobec czego spokojnie eskortowano terrorystów do granicy i wypuszczano na wolność. Chyba tylko po to, żeby im umożliwić przygotowanie kolejnego przestępstwa. A tymczasem bezradny świat oczekuje z trwogą na kolejny cios. Kiedy w końcu atak następuje, wszyscy, zamiast szybko działać, zaczynają dyskutować o narodowej odpowiedzialności za ludzkie życie i o konieczności unikania przemocy.

Nagle baronowa przerwała swój długi wywód.

- Ależ dlaczego o tym mówię! Przecież pan to wszystko doskonale wie! Opisał pan to wszystko w szczegółach.

- Z przyjemnością słyszę, że ktoś myśli tak samo.

- Zaraz przejdę do najciekawszej sprawy. Zdaje się, że jesteśmy już niemal w

domu.

- Chodźmy więc - powiedział Peter i poprowadził ją za stajniami do pawilonu z basenem. Powierzchnia podgrzewanej wody lekko parowała, a bujna tropikalna roślinność dziwnie kontrastowała z zimowym pejzażem za szklanymi ścianami pawilonu.

Usiedli obok w fotelach na biegunach, rozmawiając ściszymi głosami. Baronowa zdjęła kapelusz, szal i żakiet i rzuciła je na stojące obok wyplatane trzcina krzesło. Z ulgą zagłębiła się w poduszkach fotela.

- Słyszałam od sir Stevena, że chciałby zatrudnić pana w banku - spojrzała na niego pytająco.

- Sądzę, że brak mi, właściwego Stevenowi, zamiłowania do pieniędzy.

- Tego można się łatwo nauczyć, generale Stride - zapewniła go. - To może nawet stać się nałogiem.

W tym momencie do pawilonu wpadły dzieci obu braci Stride'ow, krzycząc i śmiejąc się głośno. Nieco jednak przycichły, gdy dostrzegły Petera i baronową. Najmłodszy syn Stevena, gruby blondynek w obcisłym kostiumie kąpielowym, zwrócił się głośnym szeptem do Melissy Jane, przewracając znacząco oczami.

- *Je t'aime, ma chérie*. Mdlej! Mdlej! - Miał przerażająco zły akcent i natychmiast usłyszał upomnienie poparte mocnym pchnięciem w plecy, które wtrąciło go do wody.

Baronowa roześmiała się.

- Pańska córka potrafi skarcić. - Spojrzała badawczo w twarz Petera. - A może to po prostu zazdrość?

Nie czekając odpowiedzi, rzuciła następne pytanie. W pierwszej chwili Peter sądził, że się przesłyszał.

- Co pani powiedziała? - Zapytał ostrożnie, przybierając obojętny wyraz twarzy.

- Czy nazwisko Kalif nic panu nie mówi? - Powtórzyła.

Peter zmarszczył brwi, sprawiał wrażenie, że się zastanawia. W rzeczywistości oczyma wyobraźni ponownie widział scenę walki na śmierć i życie, toczącej się wśród strzelaniny, ognia i dymu, i tę ciemnowłosą dziewczynę w czerwonej bluzce, krzyczącą rozpaczliwie: „Nie zabijaj nas! Kalif powiedział, że nie zginiemy! Kalif... „. I wtedy kule zmusiły ją do milczenia, trafiając prosto w usta. Od tamtej pory słowo to nie dawało mu spokoju. Tłumaczył je sobie na tysiąc sposobów, ostatecznie jednak doszedł do wniosku, że musiał się przesłyszeć. W tej chwili nie miał już najmniejszej wątpliwości.

- Kalif? - Zapytał, postanawiając, nie wiadomo dlaczego, zachować w tajemnicy tamten incydent. - To tytuł muzułmański. Sądzę, iż oznacza następcę Mahometa, spadkobiercę proroka.

- Tak - skinęła niecierpliwie głową. - Jest to tytuł przysługujący przywódcy cywilnemu i religijnemu w świecie muzułmańskim, ale czy pan słyszał o kimś, kto miałby taki pseudonim?

- Nie. Bardzo mi przykro, ale nie. Czy to ma jakieś znaczenie?

- Nie jestem pewna, gdyż wszystko, co wiem na ten temat, jest niejasne i mętne. - Westchnęła i odtąd oboje w milczeniu obserwowali Melissę Jane.

Dziewczynka czekała właśnie na ten moment. Natychmiast wybiegła na skocznię i frunęła w dół jak jaskółka, wykonując piękne salto i zagłębiając się niemal bez pluśnięcia w wodę, a następnie szybko się wynurzyła z pasmem mokrych włosów na twarzy. Pytająco spojrzała na ojca.

- Miłe z niej dziecko - pochwaliła baronowa. - Ja nie mam, niestety, dzieci. Aaron pragnął mieć syna, ale się nie doczekał. - W jej zielonych oczach błysnął na chwilę płomyk szczerego żalu.

Tymczasem Melissa Jane wyszła z wody i szybko owinęła się ręcznikiem, zakrywając dosyć rozwinięte, jak na jej wiek, piersi. Stanowiły teraz przedmiot stałego zakłopotania i wstydlivej dumy jednocześnie.

- Kalif. - Peter przypomniał baronowej temat rozmowy.

Ponownie odwróciła się do niego.

- Po raz pierwszy usłyszałam to nazwisko dwa lata temu w okolicznościach, których nigdy nie zapomnę - mówiła z wahaniem. - Czy wolno mi założyć, że pan zna wszystkie fakty towarzyszące porwaniu i zamordowaniu mojego męża? Nie chciałabym powtarzać tej bardzo dla mnie przykrew historii.

- Znam ją dobrze - zapewnił Peter.

- Wie pan również, że doręczyłam okup porywaczom osobiście.

- Tak jest.

- *Rendez-vous* odbyło się na opuszczonym lotnisku, w pobliżu granicy ze wschodnimi Niemcami. Czekali na mnie w dwumotorowym samolocie wywiadowczym produkcji rosyjskiej, z zamalowanymi znakami rozpoznawczymi.

Peter przypomniał sobie skrupulatne przygotowanie i specjalne wyposażenie porywaczy boeinga. Wszystko zostało dokładnie przemyślane.

- Było ich czterech, wszyscy zamaskowani. Rozmawiali po rosyjsku, a raczej dwóch z nich mówiło po rosyjsku. Dwaj pozostali nie odzywali się w ogóle. To była kiepska ruszczyzna.

Peter uprzytomnił sobie, że baronowa zna rosyjski i jeszcze pięć innych obcych języków. Żałował, że nie przestudiował jej teczki personalnej bardziej gruntownie. Ojciec uciekł z nią z Polski, gdzie przyszła na świat.

- Z całą pewnością domniemani Rosjanie usiłowali ukryć swoją prawdziwą narodowość - rozmyślała głośno. - Rozmowa trwała bardzo krótko. Dostarczyłam im czterdzieści pięć milionów franków szwajcarskich. Pieniądze te, nawet w banknotach o dużym nominale, stanowiły spory i ciężki bagaż. Po kilku minutach, kiedy już nabrali pewności, że przyjechałam bez policyjnej eskorty, wyraźnie się odprężyli i zaczęli nawet żartować podczas załadunku. Słowo Kalif wymawiali po angielsku w rosyjskim kontekście: „On znów miał rację” i „Kalif ma zawsze rację”. Zapamiętałam

bardzo dobrze. - Znów przerwała, a zielone oczy wyrażały bezgraniczny smutek.

- Czy powiadomiła pani policję? - Zapytał ostrożnie Peter.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie. Właściwie nie wiem nawet dlaczego. Byłam wściekła, przygnębiona i zdezorientowana. Postanowiłam działać sama, bez pomocy policji.

- Czy tylko wtedy słyszała pani to nazwisko? - Zapytał, lecz nie doczekał się od razu odpowiedzi. Oboje przyglądali się zabawie dzieci.

Gdy wreszcie baronowa przerwała milczenie, wydawało się, że zapomniała o jego pytaniu.

- Mieliśmy pewną przerwę w aktach międzynarodowego terroru. Było to efektem sukcesów odniesionych w walce z terroryzmem. Amerykanie podpisali z Kubą porozumienie o zwalczaniu porwaczy samolotów. Powodzenie osiągnął również pan w walce z IRA, pomyślnie zakończył się izraelski rajd w Entebbe i niemiecka akcja w Mogadiszu. Wszystkie te wydarzenia opinia społeczna powitała jako przełom w walce z terroryzmem, składano sobie wzajemnie gratulacje z tego powodu. Arabowie byli zajęci wojną w Libanie i wewnętrzną walką między rywalizującymi ugrupowaniami. Ale to są przejściowe zwycięstwa. - Pokręciła głową. - Terroryzm stał się obecnie dziedziną biznesu, w której ryzyko porażki jest mniejsze niż przy finansowaniu, na przykład, produkcji pełnometrażowego filmu. Szanse na sukces wynoszą co najmniej sześćdziesiąt siedem procent, nakłady kapitałowe są minimalne, a perspektywy na ogromne zyski - bardzo dobre. Do tego dochodzi rozgłos i wpływ na życie polityczne. Nawet w wypadku kompletnej porażki uczestnicy aktu terrorystycznego mają więcej niż pięćdziesiąt procent szans na przeżycie. - Znowu się uśmiechnęła, tym razem jednak był to smutny uśmiech. Każdy biznesmen przyzna, że to się bardziej opłaca niż handel towarami.

- Kłopot w tym, że tym biznesem kierują amatorzy zauważył Peter - lub też zawodowcy opanowani nienawiścią czy też ograniczeni przez lokalne interesy.

Odwróciła się nagle od niego, podkurczając pod siebie długie nogi w charakterystyczny dla kobiet sposób.

- Jesteś ode mnie starszy, Peterze - zastrzegła się. Przepraszam cię bardzo, ale „generał Stride” brzmi oficjalnie, a ja mam wrażenie, jakbym znała cię już od dawna. - Uśmiechnęła się ciepło, choć przelotnie. - Mam na imię Magda, nazywaj mnie tak.

- Dziękuję ci, Magdo.

- Tak więc - podjęła przerwany przed chwilą wątek rozmowy - ten biznes znalazł się w rękach amatorów. Jest to jednak zbyt dobry interes, żeby tak było nadal.

- Pojawia się więc Kalif - domyślił się.

- Akurat to nazwisko wpadło mi w ucho. Nie pamiętam gdzie, w Atenach, w Amsterdamie, we wschodnim Berlinie czy też w Adenie; gdzieś jeszcze raz je słyszałam. Jeśli on rzeczywiście istnieje, jest z pewnością jednym z najbogatszych ludzi na świecie, a wkrótce będzie również jednym z bardziej potężnych.

- Jeden człowiek? - Zapytał Peter.

- Nie wiem. Być może jest to grupa ludzi, a nawet jakiś rząd, Rosji, Kuby, jakiegoś kraju arabskiego. Któż to wie?

- Jaki mają cel?

- Przede wszystkim pieniądze. Za pomocą pieniędzy można osiągać cele polityczne, a ostatecznie władzę, czystą władzę. Przerwała na chwilę, wykonując jednocześnie gest dezaprobaty pod własnym adresem. - To są tylko moje domysły wysnute na podstawie zaistniałych faktów. Mają w tej chwili pieniądze, otrzymane od OPEC i, między innymi, ode mnie. Nastąpiła więc pora, żeby podjąć próbę realizacji celów politycznych. Na początek wybrali Afrykę Południową, państwo rządzone przez rasistowski rząd, pozbawione opieki potężnych sojuszników. W wypadku powodzenia, za cenę życia kilkunastu osób, mogli pozyskać cały kraj bardzo bogaty w surowce. Gdyby nawet nie udało się osiągnąć głównego celu, pozostawała nagroda pocieszenia w postaci czterdziestu ton czystego złota. To był dobry interes, Peterze. To powinno było się udać. I udało się. Kraje zachodnie wywierają obecnie nacisk na ofiary, żeby przyjęły warunki zawarte w rezolucji.

- Boję się - powiedział Peter cicho - boję się tak jak nigdy dotąd w moim życiu.

- Rozumiem cię. Ja też się boję od momentu, kiedy w nocy odebrałam telefon powiadamiający mnie o porwaniu Aarona. Im więcej wiem, tym bardziej się boję.

- Jak sądzisz, co będzie dalej?

- Nie mam pojęcia, ale pseudonim, który sobie wybrał, świadczy o megalomanii Kalifa, o jego dążeniu do posiadania podobnej Bogu władzy. - Położyła dłoń z płonącym białym ogniem brylantem na kolanie, rozkładając palce. - Nie jesteśmy w stanie przeniknąć umysłu człowieka, który przyjąłby taki kierunek działania. Być może jest on przekonany, że wszystko, co robi, robi dla dobra ludzkości. Być może chce zniszczyć bogatych przez nagromadzenie olbrzymich bogactw, obalić tyrana, wprowadzając tyranie absolutną, uwolnić ludzkość, zniewalając ją za pomocą terroru. A może próbuje naprawić świat, posługując się złem i niesprawiedliwością.

Ponownie ujęła go za ramię. Tym razem zaskoczyła go siła jej palców.

- Musisz mi pomóc go odnaleźć, Peterze. Wszystko, co posiadam, cały mój majątek i moje wpływy będą, bez jakichkolwiek ograniczeń, do twojej dyspozycji.

- Wybrałaś mnie, gdyż jesteś przekonana, że zamordowałam ranną, uwięzioną kobietę? - Zapytał. - Czy traktujesz to jako moje listy polecające?

Odsunęła się od niego i patrzyła szeroko otwartymi, lekko skośnymi oczami.

- W porządku, wzięłam i to pod uwagę, ale tylko w niewielkim stopniu. Wiesz przecież, że przeczytałam wszystko, co napisałeś. Powinieneś także wiedzieć, że zgromadziłam wszystkie dostępne informacje o tobie. Uznałam, że jesteś najbardziej odpowiednim człowiekiem do tego celu. Dowiodłeś przecież czynem swojego pełnego zaangażowania. Wiem, że dysponujesz odpowiednimi siłami, umiejętnościami i uporem, niezbędnymi dla odszukania i zniszczenia Kalifa, zanim on zdąży zniszczyć

nas i cały ten świat.

Peter zamyślił się na chwilę. Wiedział, że bestia ma tysiąc głów, a w miejsce każdej uciętej odrasta tysiąc następnych. Ale dopiero teraz, po raz pierwszy, wyobraził ją sobie, ukrytą gdzieś w zasadzce. Dostrzegł zarys jednej z jej głów. Być może jest to głowa śmiertelna?

- Czy nie odmówisz mi pomocy, Peterze?

- Wiesz dobrze, że możesz na mnie liczyć - odparł spokojnie. - Nie mam wyboru.

Magda mknęła przez zalane oślepiającym blaskiem słońca śnieżne pole, biorąc kolejne zakręty z płynną elegancją ruchów i rzeźbiąc w kruchym śniegu faliste koleiny. Była zespolona całkowicie ze swoimi nartami w skomplikowanym balecie pokonywania białej płaszczyzny górskiego zbocza.

Miała dopasowany do figury, szaroperłowy strój narciarski z czarnymi ściągaczami wokół szyi i nadgarstków. Na nogach błyszczały czarne buty, do których przypięła długie, wąskie narty doskonałej marki Rossignol.

Peter usiłował dotrzymać jej kroku. Przychodziło mu to jednak niełatwo, gdyż jego sprzęt, choć solidny, nie był nawet w części tak szybki. Kiedy dotarli do lasu, dzieliło ich już około stu metrów.

Ścieżka była poprzecinana cieniami sosen, a twardy jak stłuczone szkło lód skrzypiał pod nartami. Magda śmigiała między drzewami jak srebrnoszary duch. Do Petera dolatywał wyraźnie jej wesoły śmiech. Sztuki jazdy na nartach musiała się nauczyć chyba jeszcze w dzieciństwie. Zdając sobie z tego sprawę, z trudem jednak hamował urazę, jaką wywołało w nim zdeklasowanie przez kobietę.

Pokonał kolejny ostry zakręt i mając po prawej stronie wysoką na cztery i pół metra ścianę śniegu, a po lewej wierzchołki sosen, zjechał po łagodnym zboczu w dolinę.

Mignęły znaki ostrzegające o lodzie i przed nim pojawił się drewniany mostek pokryty zielonkawym, opalizującym w słońcu lodem. Nagle poczuł pod nartami twardą jak żelazo, wypolerowaną powierzchnię. Mostek przecinał głęboki, ciemny wąwóz z zamarznętym wodospadem przyczepionym do czarnej skały ostrymi soplami niby gwoździami. Próba przejechania przez mostek w dotychczasowym szalonym tempie czy też przyhamowania groziła nieszczęściem. W dramatycznej sytuacji Peter podjął ryzykowną decyzję; tuż przed samym mostkiem skoczył, szybując nad nim. Gdy znalazł się po drugiej stronie niebezpiecznej przeszkody i opadło z niego chwilowe napięcie, wybuchnął głośnym śmiechem radości, mimo iż serce tłukło mu się wciąż w piersi jak oszalałe, a jego oddech współzawodniczył ze świstem wiatru.

Czekała na niego u zakrętu ścieżki. Okulary ochronne zsunęła na czoło, zdjęła z rąk rękawice, a kijki wetknęła w śnieg.

- Nie masz nawet pojęcia, jak bardzo tego potrzebowałam. - Przyleciała do Zurychu własnym samolotem. Peter zaś z Brukseli, samolotem Szwajcarskich Linii Lotniczych. Wiesz, czego najbardziej pragnę?

- Słucham.

- Chciałabym przez cały miesiąc, przez trzydzieści wspaniałych dni, robić tylko to, na co mam ochotę. Być zwykłą, przeciętną kobietą i nie mieć z tego powodu najmniejszego poczucia winy.

Widział się z nią tylko trzykrotnie w ciągu sześciu tygodni, które upłynęły od momentu, gdy zostali sobie przedstawieni w Abbots Yew. Te trzy krótkie spotkania pozostawiły w Peterze uczucie niedosytu.

Pierwsze miało miejsce w jego nowym biurze, w głównej kwaterze Narmco w Brukseli. Następne odbyło się w La Pierre Bénite, jej wiejskiej rezydencji niedaleko Paryża, ale tam w obiedzie uczestniczyło dwadzieścia innych osób. Po raz trzeci był jej gościem w prywatnym samolocie, w czasie przelotu z Brukseli do Londynu.

Do tej pory nie zrobili większego postępu w poszukiwaniach Kalifa. Na razie Peter nawiązał odpowiednie kontakty, tu i ówdzie zarzucił przynęty i spokojnie czekał.

Podczas trzeciego spotkania z Magdą przekonał ją o potrzebie reorganizacji systemu osobistej ochrony. Dotychczasową obstawę zastąpił ludźmi wynajętymi w tajnej szwajcarskiej agencji. Jej dyrektorem był stary przyjaciel, którego Peter darzył zaufaniem.

Teraz miał sposobność zrelacjonować Magdzie swoje dalsze poczynania, jednak pokusa spędzenia razem czasu na nartach okazała się zbyt silna.

- Do zmierzchu zostały jeszcze dwie godziny. - Peter spojrzał w kierunku widocznego stąd wiejskiego kościoła. Zegar na wieży wskazywał kilka minut po drugiej. - Czy masz ochotę jechać jeszcze do Rheinhorn?

Tylko na krótki moment zawahała się.

- Jestem pewna, że przez ten czas świat nam nie ucieknie. - Uśmiechnęła się, obnażając bardzo białe zęby.

Peter miał możliwość przekonać się, że pracowała bardzo dużo. Zaczynała swój dzień pracy, gdy reszta świata była jeszcze pogrążona we śnie, a kończyła, gdy wszystkie biura, z wyjątkiem jej gabinetu, Altmann Industries przy bulwarze Kapucynów, świeciły już pustką. Nawet w czasie lotu z Zurychu przeglądała korespondencję i dyktowała coś sekretarzowi. Wiedział też o tym, że w domku wypoczynkowym po drugiej stronie doliny dwaj sekretarze czekali ze stosem teleksów, aż zapozna się z ich treścią i udzieli na nie odpowiedzi.

- Istnieje wiele lepszych sposobów na rozstanie się ze światem niż zapracowanie się na śmierć. - Nagle stracił cierpliwość do jej jednostronnego nastawienia do życia. Zarumienioną twarz kobiety rozjaśnił uśmiech, a w zielonych oczach pojawiły się na chwilę wesołe iskielki.

- Masz rację, Peterze. Powinnam cię mieć częściej przy sobie.

- Po raz pierwszy od sześciu tygodni słyszę od ciebie coś sensownego - powiedział, robiąc aluzję do uporu, który przejawiała w sprawach osobistego bezpieczeństwa. Próbował ją przekonać do zmiany trybu życia, ale przyjmowała to z uśmiechem na ustach, podczas gdy oczy zachowywały niezmierną powagę.

- Mój mąż pozostawił mi zadanie - powiedziała, posmutniawszy nagle - które muszę wykonać. Pewnego dnia wytłumaczę ci wszystko, ale w tej chwili zostały nam tylko dwie godziny.

Śnieg zaczął lekko prószyć, a słońce skryło się już za wierzchołkami gór i chmurami, gdy szli przez wioskę. W oknach dobrze zaopatrzonych sklepów paliły się światła, ulicą płynął barwny potok ludzi, ciężko stąpających po oblodzonym chodniku i z ożywieniem rozmawiających o sprawach dnia codziennego.

- Doskonale się czuję bez nadzoru moich „wilków” oświadczyła Magda, chwytając go za rękę, gdyż pośliznęła się nagle. Mimo odzyskania równowagi nie cofnęła już ręki.

Mówiąc o „wilkach”, miała na myśli swoich strażników, milczących, czujnych mężczyzn, którzy nie spuszczała z niej oka, zarówno wtedy, gdy szła pieszo, jak i wtedy, gdy jechała samochodem. Stali przed biurem, gdy pracowała; strzegli domu, gdy spała.

- Ponieważ dziś mam zapewnione towarzystwo złotego medalisty olimpijskiego w strzelaniu, nie będę potrzebowała swoich „wilków” - oznajmiła tego ranka Peterowi.

Narmco sprzedawało własną wersję dziewięćmilimetrowego, wielostrzałowego pistoletu. Nazwano go „kobrą”. Po bliższym zapoznaniu się z nim w podziemnej strzelnicy Peter polubił go. Był lżejszy i bardziej płaski niż walter, do którego był przyzwyczajony, łatwiejszy do noszenia i do ukrycia. Peter nie miał najmniejszych trudności z uzyskaniem pozwolenia na noszenie egzemplarza reklamowego.

Początkowo, nosząc tę broń wciąż przy sobie, czuł się trochę jak postać teatralna i melodramatyczna, ale po głębszym namyśle doszedł do wniosku, że tropienie Kalifa bez broni to ograniczenie własnych szans w tym pojedynku. Teraz przyzwyczał się już, że zawsze pod pachą czuł znajomy kształt.

- Po prostu umieram z pragnienia - w pewnym momencie oznajmiła Magda. Postawili narty pod ścianą i weszli do jednej z buchających ciepłem kafejek na głównej ulicy.

Znaleźli dwa miejsca przy stole, który wcześniej obsiadła już grupa młodzieży, i zamówili dwie szklanki parującego, grzanego wina. Gdy czteroosobowa orkiestra zagrała popularną melodię taneczną, ich młodzi sąsiedzi poderwali się od stołu i zmieszali z tłumem par na parkiecie.

Peter spojrzał pytająco na Magdę, unosząc w górę brwi.

- Czy już kiedyś tańczyłaś w narciarkach? - Zapytała z rozbawieniem.

- Wszystko robi się kiedyś po raz pierwszy.

Tańczyła z przyjemnością i dużym przejęciem, podczas gdy on przyciskał do

siebie jej sprężyste ciało.

Było już zupełnie ciemno, gdy wąską ścieżką dotarli z wioski do niewielkiego budynku. Zawsze unikała eleganckich domów, jej willa nie różniła się z zewnątrz niczym od kilkudziesięciu innych, stojących w tym samym lesie.

Gdy pojawiła się w drzwiach, widać było ogólne odprężenie wśród oczekujących pracowników i służby, chociaż ta ostentacyjnie demonstrowana troska wyraźnie ją niecierpliwiła. Nie przebierając się nawet, od razu udała się z dwoma sekretarzami do biura na pierwszym piętrze.

„Z mężczyznami pracuje mi się najlepiej” - wyjaśniła kiedyś Peterowi.

Tymczasem on wzięł gorący prysznic i przebrał się w luźne spodnie, blezer i jedwabny golf. Odpoczywając w fotelu, słyszał nieprzerwaną pracę teleksu znajdującego się piętro niżej. Dopiero po godzinie Magda zadzwoniła, zapraszając go do siebie na górę.

Jej prywatne mieszkanie mieściło się na ostatnim piętrze willi. Gdy wszedł, stała przy oknie, spoglądając na gęsto prószący śnieg, przez który z trudem przebijały się światła. Była ubrana w luźne, zielone, elastyczne spodnie, bluzę tego samego koloru i także botki. Całość podkreślała znakomicie kolor jej oczu. Spostrzegłszy Petera, nacisnęła ukryty przycisk i zasłony zsunęły się cicho, zakrywając okno.

- Napijesz się czegoś? - Zwróciła się do niego.

- Nie, jeśli mamy rozmawiać.

- Porozmawiamy więc. - Wskazała miękki, obity skórą fotel stojący naprzeciw kominka. Sama oparła się o tradycyjny, szwajcarski zegar z kukułką, ustawiony pod ścianą wyłożoną boazerią z sosnowych, sękatych desek. Na podłodze leżał puszysty dywan wiltonowski, meble były nowoczesne, lecz wygodne, na ścianach wisiały obrazy współczesnych malarzy. Uśmiechnęła się. - Nie miałam pojęcia, że znalazłam aż tak bardzo utalentowanego dyrektora handlowego dla Narmco. Jestem naprawdę pod wrażeniem tego, co zrobiłeś w tak krótkim czasie.

- Staralem się przedstawić obiektywne sprawozdanie odpowiedział. - Jestem żołnierzem i interesuje mnie tylko praca.

- Ach, wy Anglicy! - Udała zniecierpliwienie. - Zawsze tacy skromni. - Sama nie usiadła, lecz krążyła po pokoju. Nie robiła jednak wrażenia zdenerwowanej. - Otrzymałam informację, że po prawie dwuletniej zwłoce NATO przeprowadzi ostatecznie próbę z kestrem.

Była to wyprodukowana przez Narmco przenośna rakietka średniego zasięgu, typu ziemia-ziemia.

- Wiadomo mi także, że decyzję o próbie podjęto po twoim spotkaniu z byłymi kolegami z NATO.

- Wszystko można załatwić, gdy ma się dobre znajomości - roześmiał się Peter - wiesz chyba o tym dobrze.

- Masz równie dobre znajomości wśród Irańczyków? - Zapytała kpiąco.

- Pięć lat temu byłem na przeszkoleniu z ich nowym doradcą wojskowym.

- Znowu szczęście - uśmiechnęła się. - Czy to nie dziwne, że szczęście sprzyja zwykle ludziom zdolnym, zaangażowanym i szybkim w działaniu?

- Niestety, mam mniej szczęścia w innych dziedzinach stwierdził Peter. Z jej ust i oczu natychmiast zniknął uśmiech, lecz on mówił dalej. - Na przykład nie powiodła mi się próba nawiązania kontaktu, o którym rozmawialiśmy podczas naszego ostatniego spotkania...

Oboje rozważali wtedy możliwość podłączenia się do sieci komputerowej Atlasu, w celu uzyskania kopii hasła „Kalif” z centralnego banku informacji, jeśli ono tam się znajduje.

- Mówiłem ci już, że mam niewielką szansę na dostęp do tej informacji za pośrednictwem przyjaciela. Niestety, nie był w stanie mi pomóc. Jest przekonany, że jeśli nawet taka informacja istnieje, to została przez kogoś zablokowana, a nawet podłączona do alarmu. To drugie oznacza, że gdy ktoś nieupoważniony zgłosi zapotrzebowanie na nią, w komórce kontroli natychmiast odezwie się sygnał dźwiękowy. Próbując to zrobić, postawilibyśmy cały Atlas na nogi.

- Nie podałeś mu nazwiska? - Zapytała ostro.

- Nie. Nie wymieniałem żadnych nazwisk. Prowadziliśmy tylko ogólną dyskusję przy obiedzie, biorąc jednak pod uwagę wszystkie możliwe konsekwencje.

- Czy znasz jeszcze jakiś inny sposób dotarcia do Kalifa?

- Sądzę, że tak. Znam jeszcze jeden, ale to ostateczność odrzekł. - Zanim jednak przejdę do szczegółów, powiedz mi, czy udało ci się uzyskać jakieś informacje z twoich źródeł.

- Jeśli chodzi o moje źródła - Magda nigdy nie lubiła dokładnie ich określać, a Peter instynktownie nigdy nie nalegał - to niestety, niewiele się z nich dowiedziałam. Napad na holenderską ambasadę w Bonn nie miał nic wspólnego z Kalifem. Tak jak przypuszczano, był dziełem molukańskich ekstremistów. Porywacze samolotów Cathay Airlains i Transit Airlains, jeśli sądzić po metodach działania i wynikach, byli raczej amatorami. - Ze sceptycznym uśmiechem na ustach podeszła do wiszącego na ścianie kolażu Hundewassera i typowo kobiecym gestem poprawiła nieco ramę. - Tylko jeden napad został niedawno dokonany w stylu Kalifa...

- Zabójstwo księcia Hassyda Abdel Hayeka? - Domyślił się Peter, a Magda odwróciła się nagle do niego. Jedną rękę wsparła na biodrze. Polakierowane na czerwono paznokcie odcinały się ostro od zieleni stroju, a diament na palcu połyskiwał jasnym blaskiem.

- Co sądzisz o tej sprawie? - Zapytała. - Księżę został zastrzelony podczas snu w swoim pokoju w domu studenckim w Cambridge. Oddano trzy strzały z pistoletu kaliber dwadzieścia dwa w tył głowy. Dziewiętnastoletni wnuk króla Arabii Saudyjskiej, Chalida, nie był jego ulubieńcem. Poświęcił się nauce i trzymał się z dala od polityki i królewskiego pałacu. Nie było prób uprowadzenia księcia, żadnych

śladów walki czy rabunku. Książę nie miał bliskich przyjaciół ani też jawnych wrogów.

- Brak jakichkolwiek wyraźnych motywów zbrodni przyznał Peter. - Właśnie dlatego podejrzewam Kalifa.

- Kalif nie pozostawia nigdy wyraźnych śladów - stwierdziła Magda i odwróciła się, ciągle przemierzając pokój.

Cienki, elastyczny materiał opinał ciasno jej pośladki, wciskając się głęboko między dwie idealnie okrągłe półkule. Po raz pierwszy Peter spostrzegł, że jej stopy są równie wąskie i długie jak dłonie.

- Muszę zwrócić twoją uwagę na fakt, iż Arabia Saudyjska tydzień temu oznajmiła pozostałym członkom OPEC, że nie ma zamiaru popierać podwyżki cen ropy naftowej, co więcej, będzie domagała się obniżenia ceny światowej o pięć procent.

Peter wyprostował się w fotelu.

- ...I że Iran popiera tę propozycję. Co na to powiesz?

- Król ma wielu innych, bliższych jego sercu wnuków, a także synów, braci i bratanków.

- Około siedmiuset - zgodziła się Magda, kontynuując swoje rozważania. - Ale król jest przede wszystkim Arabem. Znasz stosunek mahometan do synów i wnuków. - Stała przy nim tak blisko, że czuł ciepło i zapach jej ciała, które niepokoiły go, lecz jednocześnie wyostrzały uwagę. - Niewątpliwie król Chalid przypomniał sobie o zasadach moralnych.

- Zgoda. - Jak zwykle w momentach szczególnego skupienia Peter zmarszczył czoło i przygarbił się. - Co sugerujesz? Że Kalif znów uderzył w słaby punkt? W człowieka, który ma wpływ na sytuację gospodarczą świata zachodniego? Który podejmuje decyzje i nie jest odpowiedzialny przed nikim?

- W człowieka, który z tych właśnie powodów stanowił dobry cel dla terrorystów i jest podatny na ich naciski uzupełniła Magda. - Stare prawdy nie tracą na aktualności. „Z koroną na głowie niewygodnie się leży”. Królowi nigdy nie i było obce prawo noża, zdążył się już z nim zżyć.

- Do diabła, przebiegle to zostało pomyślane. - Peter pokręcił głową z uznaniem. - Nie ma potrzeby brać i przetrzymywać zakładników. Nie ma potrzeby narażać się. Wystarczy zabić jednego z członków królewskiej rodziny i zagrozić, że za nim pójda inni, coraz bliżsi królowi.

- Król ma wielką rodzinę. Wystarczy wpaść na kilka godzin do Dorchester, żeby w którymś z publicznych lokali spotkać jednego z królewskich synów lub wnuków. Wszyscy stanowią dogodne cele dla światowego terroryzmu. Jeśli dwaj lub trzej książęta padną ofiarą, świat się tym nie przejmie. Nikt, prócz najbliższych, nie będzie po nich płakał.

Czoło Petera powoli się wygładziło, a jego usta wykrzywił nieco kwaśny uśmiech.

- Skądinąd autorowi tej zbrodni należy się nawet wdzięczność pewnych kół

gospodarczych i politycznych. Przecież oczywistym skutkiem będzie zahamowanie inflacji i zwiększenie równowagi w światowym handlu.

Na twarzy Magdy pojawił się wyraz takiej wściekłości, jakiej Peter nigdy dotąd u niej nie widział.

- To jest pułapka, Peterze. Nie można patrzeć tylko na końcowy efekt, nie dostrzegając środków, które do niego prowadzą. To zasadzka, którą zastawił Kalif, porywając zero siedemdziesiąt. Jego żądania współgrały z postulatami zachodnich mocarstw, które wywierały dodatkową presję na ofiarę terroru. Jeśli Kalif usiłuje zmusić dyktatorów ceny ropy naftowej do utemperowania żądań, to jakiego poparcia w tej sprawie może oczekiwać ze strony zachodnich mocarstw kapitalistycznych?

- Ty też jesteś kapitalistką - wtrącił Peter. - Jeśli Kalifowi uda się osiągnąć cel, również i ty będziesz miała z tego korzyści.

- Tak, jestem kapitalistką. Ale przede wszystkim jestem człowiekiem, istotą myślącą. Czy sądzisz, że jeśli Kalifowi powiedzie się tym razem, to już o nim więcej nie usłyszymy?

- Oczywiście, że tak nie myślę. - Peter rozłożył ręce zrezygnowany. - Przeciwnie, jestem przekonany, że jego żądania będą coraz większe. Każdy kolejny sukces dodaje mu śmiałości.

- Powinniśmy się czegoś napić - zaproponowała Magda i podeszła do niewielkiego stolika.

Pod jej dotykiem czarny onyksowy blat odsunął się, odsłaniając szeregi butelek i kieliszków.

- Czego się napijemy, może whisky? - Zapytała i napełniła szklanę. Gdy mu ją podawała, ich palce zetknęły się. Był zdumiony, jak bardzo chłodną i suchą miała skórę. Następnie naląła wina do połowy kryształowego kielicha, dopełniając go wodą mineralną. Gdy odstawiła butelkę do kubelka z lodem, Peter odczytał naklejkę. Był to Montrachet, podobno najlepszy na świecie gatunek białego wina. Poczul się wstrząśnięty obojętnym traktowaniem doskonałego trunku przez Magdę.

- Aleksander Dumas powiedział, że należy go pić tylko na kolanach i z odkrytą głową.

- Zapomniał o wodzie mineralnej - mruknęła Magda, śmiejąc się gardłowo. - W każdym razie nie można wierzyć człowiekowi, który zatrudniał innych, żeby pisali za niego książki. - Wzięła kielich z rozcieńczonym winem. - Już dawno temu postanowiłam przeżyć życie według własnego uznania. Do diabła z Dumasem i Kalifem!

- Może powinniśmy wypić taki toast? - Zapytał Peter.

Patrzyli na siebie ponad wzniesionymi do góry kielichami. Gdy Magda odstawiła swój, zauważył, że wina w nim nie ubyło. Teraz stanęła w rogu pokoju przy stoliku z kryształowym wazonem i poprawiała bukiet tulipanów.

- Jeśli mamy rację i jeśli to zabójstwo obciąża Kalifa ciszę przerwał Peter - to jego

obraz, który stworzyłem sobie w wyobraźni, będzie wymagał zmiany.

- Jakiej? - Zapytała, nie odrywając oczu od kwiatów.

- Kalif to słowo arabskie. Tymczasem zaatakował on jednego z przywódców świata arabskiego.

- Na tym polega jego przebiegłość. Być może wybrał sobie ten pseudonim, żeby wprowadzić w błąd ścigających. Możliwe również, że jego żądania nie ograniczają się do cen ropy naftowej i, na przykład, domaga się od Chalida większego poparcia dla Palestyńczyków lub innego arabskiego ugrupowania ekstremistycznego. Nie wiemy, czego więcej Kalif oczekuje od Arabii Saudyjskiej.

- Ale przecież niższa cena ropy naftowej leży w interesie Zachodu. Poza tym przyjęła się opinia, że terroryzm jest narzędziem lewicowego ekstremizmu - zastanawiał się głośno Peter. - Porwanie zero siedemdziesiąt, a nawet porwanie twojego męża to akty terrorystyczne dokonane w imię walki ze społeczeństwem kapitalistycznym.

- Aarona porwali wyłącznie dla pieniędzy, a potem go zabili, żeby uniemożliwić zidentyfikowanie zbrodniarzy. Moim zdaniem zarówno atak na rząd Afryki Południowej, jak i atak na kartele naftowe oraz wybór pseudonimu świadczą o jego manii wielkości. - W nagłym przypiływie gniewu Magda zerwała główkę jednego z tulipanów i zgmiotła ją w rękę, a następnie wrzuciła płatki do onyksowej popielniczki.

- Czuję się taka bezradna, Peterze. Mam wrażenie, jakbyśmy kręcili się w kółko bez celu. - Stał przy zasłoniętym oknie, gdy podeszła do niego. - Powiedziałaś, że znasz jeden sposób na wywabienie Kalifa z jego kryjówki?

- Tak - skinął głową

- Co to za sposób?

- To jest metoda stosowana przez hinduskich myśliwych. Gdy są już zmęczeni ściganiem tygrysa, którego stracili z oczu, przywiązują do pnia w dżungli kozła i czekają.

- Kozła?

- Urodziłem się pod znakiem Koziorożca, kozła. - Uśmiechnął się lekko.

- Nie rozumiem.

- Trzeba tylko rozgłosić, że ścigam Kalifa. - Ponownie uśmiechnął się. - Kalif mnie zna. Porywaczka wymieniła moje nazwisko bardzo wyraźnie, musiała zostać ostrzeżona. Jestem przekonany, że Kalif potraktuje sprawę wystarczająco poważnie i zgłosi się po mnie.

Spostrzegł, jak krew odpłynęła nagle z jej twarzy, a w oczach pojawił się głęboki cień.

- Peterze...

- To jedyny sposób, żebym mógł się z nim spotkać.

- Peterze... - Położyła dłoń na jego ramieniu, lecz nie była w stanie mówić dalej. Patrzyła w milczeniu. Zielone oczy wyrażały bezbrzeżny smutek. Wargi rozchyliły

się, jakby chciała coś powiedzieć. Zwilżyła je różowym koniuszkiem języka. Zamknęła w końcu usta, milcząc, a jednocześnie mocniej ścisnęła jego ramię. Głowę odrzuciła lekko do tyłu, podając biodra naprzód.

- Byłam tak bardzo samotna - wyszeptała. - Bardzo długo, bardzo samotna. Dopiero dziś to sobie uświadomiłam.

Peter poczuł dławienie w gardle. Krew uderzyła mu do głowy.

- Już nigdy więcej nie chcę być sama.

Pozwoliła, aby fala włosów opadła jej na pierś, jak zasłona zaciągnięta na jarzące się światła. Biała linia czoła rozdzielała włosy, które jak dwa wielkie, czarne skrzydła otaczały twarz rozświetloną dużymi, bezbronnymi oczami dziecka. Podchodziła wolno do leżącego Petera. Przy każdym kroku spod omiatającego dywan, długiego szlafroka wyłaniały się nagie, zgrabne stopy, zakończone polakierowanymi na cielisto paznokciami. Szerokie rękawy przypominały skrzydła nietoperza, kołnierzyk miała zapięty wysoko pod szyją.

Tuż przy łóżku zatrzymała się. Jakby nagle straciła odwagę. Opuściła ramiona i splótłszy przed sobą palce rąk, odezwała się:

- Peterze, obawiam się, że nie jestem w tym najlepsza. - Gardłowy szept był ledwo dosłyszalny, wargi lekko drżały z przejęcia. - A tak bardzo chciałabym...

W milczeniu wyciągnął rękę. Pościel zakrywała go do pasa. Pierś i ramiona miał nagie, lekko opalone i zarośnięte czarnymi, kręconymi włosami. Gdy sięgnął po nią, pod skórą zagrały mięśnie. Był szczupły, sprężysty i silny, emanowała z niego męskość, która ją oszołamiała. Odsunął na bok dzielące ich prześcieradło i szepnął:

- Chodź.

Zaczęła odpinać guziki długiego, wyszywanego szlafroka. Zsunęła go z ramion, zatrzymując jednak na wysokości łokci. Gładkie, białe ciało przeświecało przez zasłonę czarnych włosów. Robiła w tej chwili wrażenie nurka, który gromadzi siły przed wykonaniem skoku w nieznaną głębinę. Wreszcie pozwoliła szlafrokowi opaść z szelestem wzdłuż ciała. Utworzył wokół stóp barwny wieniec.

Usłyszała głośnie „ach” Petera. Jednym ruchem głowy odrzuciła włosy, które sięgały teraz do bioder, do miejsca, gdzie zaczynały się jej okrągłe i gładkie pośladki; w miarę jak je podziwiał i pieścił wzrokiem, dostrzegał różową gęsią skórę, która wzbudziła w nim uczucie tkliwości. Miał nieprzepartą ochotę zerwać się, wziąć ją w ramiona i przytulić, lecz instynkt ostrzegł go przed pośpiechem. Leżał więc oparty na łokciu i czekał, choć całe ciało płonęło niecierpliwym pragnieniem zespolenia się z Magdą.

Pochyliła się, żeby podnieść z dywanu szlafrok. Na chwilę długie nogi zgięły się niezgrabnie, a półkola pośladków utraciły swoje doskonałe proporcje. Lekko rozchylone, uformowały wraz z udami kremową niszę, w której pojawiła się nagle,

zapierająca dech w piersiach, kępka gęstych włosów. Gdy się ponownie wyprostowała, rzuciła szlafrok na stojącą obok kanapę i odwróciła się twarzą do Petera.

Chłonał każdy fragment jej ciała; piersi drobne jak u dojrzewającej dopiero dziewczynki, ale sutki zdumiewająco duże, koloru i kształtu dojrzałych malin, sterczące i twarde jak żołędzie; białą płaszczyznę brzucha z wgłębieniem pępka pośrodku i porośnięty czarnymi włosami wzgórek łonowy, wciśnięty między uda niby jakieś żywe, szukające schronienia przed napastnikiem, małe stworzonko; twarz przyciśniętą do jego piersi i szybki niepokojący oddech oraz niemal bolesny uścisk szczupłych, lecz silnych, oplatających go ramion; smak rozchylonych ust i najpierw niepewny, a potem coraz bardziej śmiały trzepot aksamitnego języka.

Rytm jej oddechu współbrzmiał w uszach z pulsowaniem jego krwi. Zapach łączył w sobie piżmową woń podniecenia, pomarańczowy aromat perfum i dojrzałego ciała kobiety.

Odczuwał jej fizyczną obecność całą powierzchnią swej skóry; jej ciepło i miękkość, mięśnie i włosy, uścisk ud i szorstkość łona, kryjącego w sobie ostateczną tajemnicę.

A gdy już osiągnęli ciszę i spokój, który całkowicie nimi zawładnął, Magda wyszeptała:

- Wiedziałam, że byłam samotna, ale nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo. - I objęła go mocnym uściskiem ramion, jakby nie miała zamiaru już nigdy go uwolnić.

Magda obudziła Petera, gdy było jeszcze zupełnie ciemno, na trzy godziny przed świtem. Opuścili willę limuzyną. Jadący za nimi mercedes z „wilkami” omiatał swoimi światłami wnętrze ich wozu na każdym zakręcie prowadzącej w dół szosy.

Z Zurychu wylecieli lear-jetem, samolotem Magdy, która sama prowadziła potężną maszynę ze spokojem i flegmą doświadczonego lotnika. Jej osobisty pilot, siwy, milczący Francuz, odgrywający teraz rolę drugiego pilota, nie ukrywał, że ceni wysoko jej umiejętności. Obserwował kobietę z ojcowską niemal dumą i aprobatą, gdy startowała z lotniska w Zurychu. Wyprowadziła samolot na odpowiednią wysokość i przyjęła kierunek na lotnisko Orly w Paryżu. Następnie zostawiła go, aby nadzorował funkcjonowanie pilota automatycznego. Mimo iż usiadła obok Petera w czarnym, pokrytym cielecą skórą fotelu, jej zachowanie nacechowane było oficjalną grzecznością i rezerwą. Chwilami zastanawiał się, czy cudowna noc, którą z nią spędził, była rzeczywistością czy tylko snem.

Pracowała z siedzącymi naprzeciwko, ubranymi w ciemne garnitury sekretarzami, rozmawiając z nimi płynnie po francusku, z tym samym lekkim przyśpiewem, który charakteryzował jej angielską wymowę. Od chwili gdy Peter zaczął pracować dla Narmco, poczuł się zmuszony do poprawienia swojej znajomości języka francuskiego.

Teraz był już w stanie uczestniczyć w dyskusjach dotyczących spraw technicznych i finansowych, prowadzonych w tym języku. Jego wypowiedzi, choć nie zawsze bardzo płynne, świadczyły o kompetencji. Również w trakcie tej rozmowy Magda zwróciła się do niego raz czy dwa z prośbą o komentarz lub opinię, jednak wyraz jej oczu był poważny i rzeczowy. Peter zrozumiał, że w obecności innych pracowników powinni zachować oficjalny charakter stosunków.

Rychło przekonał się o swojej omyłce.

Pilot zwrócił się do niej przez głośnik:

- Za cztery minuty znajdziemy się nad lotniskiem Orly, baronowo.

Odwróciła się do Petera i pocałowała go w policzek, wciąż mówiąc po francusku.

- *Pardon, chéri*. Zajmę się teraz lądowaniem. Chcę to odnotować w dzienniku pokładowym.

Posadziła samolot gładko na pasie startowym, jakby chodziło o posmarowanie bułki masłem. Ledwo zdążyli zaparkować w prywatnym hangarze, gdy pojawili się urzędnik imigracyjny i celnik, powiadomieni wcześniej drogą radiową przez drugiego pilota. Zasalutowali Magdzie z szacunkiem, a następnie, jakby mimochodem, rzucili okiem na czerwony paszport dyplomatyczny. Nieco więcej czasu potrzebowali na zapoznanie się z niebiesko-złotym, brytyjskim paszportem Petera, w związku z czym Magda szepnęła do niego z uśmiechem:

- Muszę również dla ciebie załatwić czerwony Łatwiej się z nim poruszać. - Z kolei zwróciła się do urzędników: Mamy dziś chłodny ranek, panowie. Sądzę, że wypijecie po kieliszku.

Dwaj stewardzi w białych żakietach natychmiast zakrzętnęli się koło nich. Już po chwili obaj Francuzi zdejmowali swoje kepi i pasy, sadowili się w wygodnych skórzanych fotelach, żeby dokonać degustacji cygar i koniaków, które podsuwali stewardzi.

Na Magdę i Petera oraz na towarzyszące im osoby czekały trzy samochody z szoferami i ochroną. Peter skrzywił się, gdy zobaczył maserati.

- Mówiłem ci już, żebyś tym nie jeździła - burknął niezadowolony. - To tak jakbyś chodziła z nazwiskiem wypisanym na czole.

Spierali się wciąż o ten wóz, odkąd Peter zajął się organizacją systemu jej bezpieczeństwa. Maserati był szarosrebrzysty i wyglądał efektownie, jak błyszcząca metalowa strzała. Magda oparła się całym ciężarem o ramię Petera.

- Jak to dobrze czuć, że ktoś się o mnie troszczy. Wtedy przynajmniej wiem, że jestem kobietą - zauważyła lekko ochryplym głosem.

- Mam inne sposoby na to, żebyś poczuła się kobietą.

- Nie wątpię - odpowiedziała z błyskiem humoru w zielonych oczach. - I chyba lepsze, ale tymczasem, proszę cię, siadaj! Co sobie pomyśli mój personel! - Zmieniła ton głosu na poważny. - Ty pojedziesz tym samochodem, zamówiłam go dla ciebie. Chyba będzie wygodny. Nie spóźnij się dziś wieczorem. Bądź w La Pierre Bénite o

ósmej.

Zanim Peter został zmuszony do zwolnienia tempa jazdy przy wjeździe do Paryża na Point Neully, zdążył się już przyzwyczaić do szybkości i przyspieszenia maserati. Jazda zaczęła mu sprawiać przyjemność. Nawet w zwariowanym paryskim ruchu doskonała maszyna umożliwiały wykonywanie najtrudniejszych manewrów i dawała kierowcy poczucie siły i bezpieczeństwa.

Teraz już wiedział, dlaczego Magda tak bardzo była przywiązana do tego auta. Gdy w końcu zaparkował w podziemnym garażu przy Polach Elizejskich, uśmiechnął się do siebie w lusterku.

- Przeklęty kowboju! - Mruknął i spojrzął na zegarek. Do pierwszego spotkania została mu jeszcze cała godzina. Nagle przypomniał sobie o „kobrze”. Odpiął futerał z pistoletem i schował go w skrytce samochodu. Na samą myśl o tym, że mógł się pojawić uzbrojony w kwaterze głównej francuskiej marynarki wojennej, uśmiechnął się z rozbawieniem.

Deszcz przestał siąpić, gdy Polami Elizejskimi, na których drzewa kasztanowe pokryły się już pierwszą zielenią, dotarł do Place de la Concorde. Z budki telefonicznej na stacji metra zadzwonił do ambasady brytyjskiej. Rozmawiał z attaché wojskowym tylko przez dwie minuty, ale odkładając słuchawkę, miał już pewność, że gra się rozpoczęła. Jeśli Kalif był w stanie spenetrować dowództwo Atlasu, to z pewnością nie będzie potrzebował wiele czasu na uzyskanie informacji, że były dowódca Thoru jest na jego tropie. Wojskowy attaché ma bez wątpienia dużo innych poważnych obowiązków o tajnym charakterze oprócz całowania rąbek pań na dyplomatycznych koktajlach.

Peter dotarł do głównego wejścia kwatery głównej marynarki o kilka minut za wcześnie, ale przy wejściu, tuż pod trójkolorową flagą, już czekał na niego urzędnik. Przeprowadził go między wartownikami i towarzyszył mu na trzecie piętro, gdzie w pokoju z widokiem na Sekwanę i połączane łuki Pont Neuf mieściło się biuro komitetu do spraw uzbrojenia. Dwaj asystenci Petera z Narmco byli już na miejscu, a na gładkim stole z drewna orzechowego leżały rozłożone teczki.

Gorąco, w sposób typowy dla Galla powitał Petera francuski kapitan okrętu admirałskiego. Kiedyś, w Brukseli, spędzili wspólny wieczór na włóczędztwo po burdelach tego miasta, przy czym kapitan pełnił rolę przewodnika. Z tego też chyba tytułu zwracał się do Petera *per tu* i *toi*, co wszyscy uznali za dobrą wróżbę dla tego spotkania.

Dokładnie w południe francuski kapitan zaproponował przeniesienie spotkania na drugą stronę ulicy, na pierwsze piętro „Maxima”, w błogim przekonaniu, że rachunek zapłaci Narmco. Podczas dalszej, prowadzonej już u „Maxima”, coraz bardziej ożywionej dyskusji Peter zauważył, że jego myśli krążą wokół zielonych oczu i małych, lecz twardych piersi Magdy.

Od „Maxima” uczestnicy spotkania wrócili znów do kwatery marynarki, gdzie

zakończyły się oficjalne rozmowy, po czym sytuacja zmusiła Petera do wzniesienia się na szczyty dyplomatycznych umiejętności, gdy kapitan, gładząc wąsy, puścił do niego oko.

- Niedaleko stąd jest mały, czarujący klub, w którym można się dobrze zabawić - zaproponował.

Dopiero około szóstej Peterowi udało się uwolnić od natrętnego Francuza, po uprzednim złożeniu uroczystej deklaracji o przyjaźni i obietnicy następnego spotkania w ciągu najbliższych dziesięciu dni. Godzinę później Peter zostawił swoich asystentów w hotelu Maurice. Doszli uprzednio do zgodnej konkluzji, że aczkolwiek początek został zrobiony, jednak do zakończenia sprawy jest jeszcze daleko.

Wracał do garażu wzdłuż Rivoli. Mimo znużenia całodziennymi rozmowami toczonymi w obcym języku oraz lekkiego bólu głowy po wypitym alkoholu i wdychaniu dymu papierosowego był podniecony myślą o czekającym go spotkaniu z Magdą. Szedł więc rażnym i energicznym krokiem. Gdy zatrzymał się na skrzyżowaniu, czekając na zielone światła, spostrzegł mimochodem własne odbicie w oknie wystawowym. Uśmiechnął się, nie zdając sobie z tego sprawy.

Kiedy już siedział w samochodzie i ustawił się w kolejce do zapłacenia za garaż, spojrzął, jak zwykle, w lusterko. Lubił zawsze wiedzieć, co dzieje się z tyłu. Było to jego zawodowe przyzwyczajenie. Zwrócił uwagę na czarnego citroena, który stał na trzecim miejscu za nim. Na zielonym świetle przy Polach Elizejskich znów zauważył ten sam samochód niedaleko za sobą. Przechylił nieco głowę, żeby dostrzec jego kierowcę. W tym samym jednak momencie światła zmieniły się i musiał ruszyć.

Jadąc wokół Étoile, stracił go z oczu w mokrym, szarym jesiennym zmierzchu i dopiero na Avenue de la Grande Armée dostrzegł ponownie, jak zmienia pas ruchu, a następnie skręca w lewo i znika w labiryncie bocznych uliczek. Od tej pory Peter mógł się skoncentrować wyłącznie na prowadzeniu maserati, aczkolwiek wciąż nie potrafił się wyzbyć niedobrego przeczucia. Już po przejechaniu skomplikowanego skrzyżowania dróg i wydostaniu się na drogę prowadzącą do Wersalu i Chartre od czasu do czasu zmieniał pas jazdy i zwalniał tylko po to, żeby sprawdzić w lusterku, co się dzieje za nim. Dopiero kiedy minął Wersal i znalazł się na prostej drodze prowadzącej do Rambouillet, przekonał się, że daleko w tyle nie widać żadnego pojazdu. Wtedy uspokojony zaczął się przygotowywać do ostatniego skrętu na drogę, która prowadziła do La Pierre Bénite.

Czarna, błyszcząca w deszczu wstęga szosy ciągnęła się przed nim na rozległej równinie, by blisko horyzontu wspiąć się na duże wzniesienie. Peter osiągnął prędkość stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, zaczął więc stopniowo przyhamowywać w obawie przed poślizgiem. W pewnej chwili dostrzegł przed sobą żandarma w białym, mokrym od deszczu, plastikowym okryciu, wymachującego latarką z czerwonym światłem. Na jezdni stały trójkąty odblaskowe, a w rowie leżał peugeot z reflektorami skierowanymi w niebo. Granatowe kombi policyjne blokowało częściowo drogę, a w

jego światłach widać było dwa leżące na ziemi ciała. Wszystko razem tworzyło typową scenerię wypadku drogowego.

Peter zwalniał, zmieniając biegi. Otworzył boczne okno, wpuszczając do środka chłodne, wilgotne powietrze, i powoli skierował samochód w stronę wskazaną przez żandarma, w lukę między policyjnym kombi a żywopłotem na poboczu jezdni. Nagle spostrzegł, że jedna z leżących postaci poruszyła się. Było to lekkie wygięcie pleców, typowe przy podnoszeniu się z ziemi osób leżących na twarzy, oraz niewielkie uniesienie ręki. To wystarczyło, żeby Peter uprzytomnił sobie, że człowiek ten usiłował ukryć starannie przedmiot, w którym można było jednak rozpoznać składany pistolet maszynowy.

Mózg zaczął pracować z piorunującą szybkością.

To maserati! Myśl jak błyskawica przeszła umysł. Chodzi im o Magdę.

Żandarm chciał obejść samochód, żeby zbliżyć się do kierowcy. Prawą rękę trzymał pod plastikowym okryciem, na wysokości pasa z pistoletem.

Peter wcisnął pedał gazu aż do oporu, maserati ryknął, jak byk trafiony w serce. Koła z piskiem oderwały się od mokrej jezdni, a maszyna, za lekkim ruchem kierownicy, jak srebrzysta kosa wykonała półobrót w stronę żandarma, który w ostatniej chwili uskoczył na bok, w żywopłot. Peter zauważył jeszcze, że wyjął spod białego okrycia pistolet, lecz nie miał dość czasu, żeby go użyć.

Tymczasem maserati ledwo dotknął żywopłotu, a już za następnym ruchem kierownicy wykonał obrót w przeciwną stronę. W momencie gdy auto stanęło przodem do kierunku jazdy, Peter ponownie nacisnął na gaz. Maszyna zawyła, spod tylnych kół wydobył się niebieski dym, i runęła przed siebie. Kierowca policyjnego kombi usiłował jeszcze zablokować drogę, lecz nie zdążył i pojazdy zderzyły się bokami. Rozległ się trzask i zgrzyt metalu, lecz Peter nie przejął się tym. Jego uwagę przyciągnęły domniemane ciała, które zmieniły już pozycje. Jeden z osobników klęczał na kolanie i mocował się ze swoim składanym pistoletem maszynowym, chyba czeskim skorpionem lub niemieckim VP 70, zasłaniając pole ostrzału drugiemu, który przykucnął z pistoletem przyciśniętym do biodra. Wsparł broń na przedramieniu i na palcu wskazującym, gdy tymczasem drugi palec był gotów do pociągnięcia za cyngiel.

Tak powinna zawsze wyglądać właściwa postawa, pomyślał Peter z uznaniem profesjonalisty. Nie mógł się powstrzymać od zawodowego uznania, mimo iż sytuacja temu nie sprzyjała.

Zdjął nogę z gazu i wykonał gwałtowny obrót kierownicą w prawo, zmuszając tył samochodu do wykonanego z piskiem opon ślizgu w lewo, wprost na dwie postacie na jezdni. Jednocześnie pochylił się mocno, chcąc uzyskać osłonę silnika i karoserii. Prawie natychmiast do jego uszu doszedł znajomy dźwięk, przypominający darcie grubego płótna. Była to seria z automatycznego pistoletu. Kule zadźwięczały na metalu, a nad głową Petera nastąpiła eksplozja szkła, które posypało się jak kryształki lodu, formując we włosach coś, co mogło przypominać diamentową tiarę.

Ktokolwiek strzelał, z pewnością zdążył opróżnić cały magazynek w ciągu kilku sekund. Peter wyprostował się więc na siedzeniu, przymrużając jednak oczy w obawie przed unoszącym się w powietrzu szklanym pyłem. Pierwsze, co zobaczył, to wylaniające się przed nim widmo ciemnego żywopłotu, odruchowo więc przekręcił kierownicę. Samochód dokonał zwrotu na granicy równowagi, a w polu widzenia Petera znaleźli się obaj napastnicy z bronią staczający się w popłochu do wypełnionego wodą rowu. W tym samym momencie tylne koło wozu uderzyło o krawężnik, a pas bezpieczeństwa ścisnął Petera z taką siłą, że zabrakło mu tchu w piersiach.

Za wszelką cenę usiłował odzyskać panowanie nad samochodem, manipulując przekładnią biegów, hamulcem i kierownicą. W deszczu i mgle migają światła, biegnące i padające postacie ludzkie, a w końcu pojawiła się otwarta, prosta droga.

Ruszył więc do przodu z wyciem silnika, nie spuszczać oka z lusterka. W blasku reflektorów zobaczył kłęby niebieskiego dymu wydobywające się spod opon jego samochodu, a dalej, z tyłu, ukrytą do połowy w rowie sylwetkę napastnika z pistoletem maszynowym przy piersi. Z lufy pistoletu wykwitł nagle ogień.

Słyszał, jak pierwsza seria trafiła maserati, ale tym razem nie mógł się pochylić, gdyż zbliżał się z niezwykłą szybkością do zakrętu, z zaciśniętymi zębami czekał więc na następną serię.

Druga spadła jak grad na cienki dach, Peter poczuł nagle tępe uderzenie i szarpnięcie w górnej części ciała.

Trafiony!, pomyślał. Nie miał wątpliwości, gdyż kiedyś, dawno temu, był już postrzelony w zasadzce zastawionej przez EOKA na Cyprze. Ze zdziwieniem stwierdził, że nie stracił władzy w rękach, a wszystkie zmysły funkcjonują normalnie. Albo musiał to być rykoszet, albo uderzenie kuli zostało w znacznym stopniu zamortyzowane przez tylną szybę i oparcie siedzenia.

Tymczasem dojechał do zakrętu i tutaj dopiero zauważył, że silnik zaczął się jąkać i dławić. Zapach benzyny wypełnił wnętrze samochodu.

Wyciek paliwa, pomyślał i w tym samym momencie poczuł ciepłe, nieprzyjemne sączenie krwi na plecach i boku. Kula trafiła go w lewy bark, nisko. Jeśli przebiła go i dosięgnęła płuc, za chwilę poczuje krew w gardle.

Silnik ponownie się zająknął, jakby prosząc o paliwo. Pierwsza seria z automatu musiała podziurawić bak z benzyną. Peter uśmiechnął się mimo woli na myśl o tym, że w podobnej sytuacji w filmie auto musiałyby natychmiast wybuchnąć, dając pirotechniczne widowisko niby miniaturowy Wezuwiusz. W rzeczywistości nic podobnego się nie stało, gdyż benzyna z uszkodzonego zbiornika pozalewała wszystkie styki.

Przed zakrętem Peter spojrzał jeszcze raz do tyłu i zobaczył trzech mężczyzn biegnących do samochodu. Zaraz go dogonią, gdyż pozbawiony dopływu paliwa silnik uczynił jeszcze jeden, ostatni tym razem, wysiłek i zamilkł.

W niewielkiej odległości, w zasięgu świateł swojego samochodu, Peter dostrzegł białą bramę La Pierre Bénite. Zastawili pułapkę w miejscu, w którym łatwo było „odsiać” inne samochody i zgarnąć w sieć właśnie srebrnego maserati.

Szybko przypomniał sobie topografię terenu za bramą posiadłości. Był tutaj tylko jeden raz, i to w dodatku w nocy, ale wyszkolone oko żołnierza utrwaliło w pamięci gęsty las po obu stronach drogi i mostek nad wąskim, lecz bystrym strumieniem o urwistych brzegach. Dalej droga wspinała się w górę aż do rezydencji. Dom stał w odległości pół mili od bramy, co stanowiło zbyt duży dystans dla rannego, ściganego przez czterech uzbrojonych mężczyzn, i nie dawało mu żadnej gwarancji bezpieczeństwa.

Samochód toczył się siłą rozpędu w kierunku bramy, zwalniając stopniowo. Czuć było zapach oleju i palącej się gumi. Lakier na masce zaczął się pokrywać pęcherzykami i tracić barwę. Peter wyłączył zapłon, żeby przerwać dopływ paliwa do płonącego silnika, a następnie wsunął rękę pod marynarkę.

Rana była tam, gdzie się tego spodziewał. Nisko, po lewej stronie. Zaczęła już boleć, szybko więc wyciągnął rękę z powrotem; lepila się od krwi. Wytarł ją starannie o spodnie.

W oddali widać było jarzące się światła samochodu. W każdej i chwili mogli minąć zakręt, trzeba było się śpieszyć. Peter otworzył skrytkę i wyjął z niej pistolet, który wsunął za pas. Nie miał zapasowego magazynka, dysponował więc tylko dziewięcioma nabojami.

Małe języki płomieni wydobywały się już spod maski samochodu na zewnątrz. Peter odpiął pas bezpieczeństwa, przytrzymał otwarte drzwi jedną ręką, a drugą skierował wóz na skraj drogi, która w tym miejscu zbiegała ostro w dół. Z kolei wykonał obrót kierownicą w przeciwnym kierunku i podczas kiedy samochód zawracał ku środkowi drogi, wyskoczył. Wylądował jak przy skoku ze spadochronem. Przycisnął do siebie stopy i kolana w celu zamortyzowania siły uderzenia. Poczul piekielny, palący ból w barku, jakby coś go rozrywało. Podniósł się i w zgiętej pozycji zaczął biec w kierunku lasu. Tymczasem płonący samochód oświetlał pobliskie drzewa drgającym pomarańczowym blaskiem.

Czuł, że palce lewej ręki ma nabrzmiałe i zdrętwiałe, gdy wprowadzał pierwszy nabój do lufy swojego pistoletu.. Nagle zza zakrętu błysnęły reflektory. Peter odniósł wrażenie, że znalazł się na oświetlonej scenie teatralnej. Natychmiast upadł na rozmiękłą od deszczu ziemię i pokonując ból, zaczął się czołgać w kierunku zbawczego lasu.

Warkot policyjnego samochodu przybliżał się. Peter przywarł twarzą do ziemi, która pachniała wonią gnijących liści i grzybów. Samochód minął leżącego i pojechał do przodu.

Trzysta metrów dalej płonął maserati z dwoma kołami na drodze i dwoma pozostałymi zawieszonymi nad nasypem. Policyjny samochód zatrzymał się w

bezpiecznej odległości w obawie przed eksplozją. Z pojazdu wysiadł żandarm, podbiegł nieco bliżej do płonącego auta i zajrzał do wnętrza, a następnie zawołał coś do kompanów. Odległość była zbyt duża, żeby Peter mógł usłyszeć, co mówią.

Zatoczyli półkole i wolno ruszyli z powrotem. Po obu stronach drogi jak psy gończe biegly dwie domniemane „ofiary” wypadku, z pistoletami w rękach i wzrokiem wbitym w ziemię w poszukiwaniu śladów uciekiniera. Jadący samochodem żandarm od czasu do czasu głośno przekazywał im wskazówki i słowa zachęty.

Peter podniósł się i, pochylony, usiłował dotrzeć do lasu. W pewnym momencie wpadł na ogrodzenie z drutu kolczastego. Przewrócił się, czując, jak stał rozrywa mu spodnie.

Sto siedemnaście gwinei, pomyślał gorzko o garniturze uszytym za tę właśnie sumę w Savile Row. Czołgał się między zwojami drutu kolczastego, słysząc za sobą nawoływania. Najwyraźniej wpadli już na jego ślad. Gdy wyprostował się nieco, żeby przeskoczyć kilkumetrowy odcinek otwartego terenu, spostrzegli go, o czym świadczyły okrzyki zadowolenia. Korzystając z tego, że był dobrze widoczny w świetle płomieni buchających z maserati, otworzyli do niego ogień z broni automatycznej, nieskutecznej z tak dużej odległości. Do uszu Petera, który właśnie dopadł pierwszych drzew lasu, doszedł tylko świst kul, przypominający szelest skrzydeł nietoperza.

Oddychał głęboko, ale równo. Rana nie przeszkadzała mu w ucieczce. Myślał, jak zwykle w czasie walki, jasno i przytomnie. Odległość do drutu kolczastego wynosiła, jak sądził, około pięćdziesięciu metrów, a to był właśnie jego ulubiony dystans w strzelaniu. Zatrzymał się i ujął pistolet oburącz, pozwalając swoim prześladowcom wpaść najpierw w pułapkę z drutu. Podobnie jak on wcześniej, dwóch spośród nich upadło na ziemię, głośno przeklinając w języku francuskim. Gdy się podnieśli, byli dokładnie widoczni w świetle płomieni. Peter wziął na cel jednego z nich.

Kula z pistoletu o kalibrze dziewięć milimetrów uderza w żywy cel ze straszliwą siłą zwalając go po prostu z nóg. Tak też stało się z trafionym przez Petera przeciwnikiem. Gdy próbował wziąć na cel następnego, spostrzegł, że pozostali jego prześladowcy nagle zniknęli. Na huk pistoletu zareagowali błyskawicznie, padając na ziemię. Peter zaś nie miał ochoty marnować amunicji, strzelając na oślep.

Jeden z napastników posłał serię z automatu. Kule zastukały w korę drzew i zaszeleściły wśród liści. Peter natychmiast strzelił ostrzegawczo w jego kierunku, a następnie, pochylony, skoczył z powrotem między drzewa. Był przekonany, że zarówno ogrodzenie z drutu kolczastego, jak i obawa przed kulami zatrzymają ścigających na dwie-trzy minuty. On tymczasem zdąży się od nich oderwać.

Widoczny między drzewami blask płonącego samochodu ułatwiał orientację w terenie. Ranny biegł teraz szybko w kierunku rzeki. Nie przebiegł jednak daleko, gdy zaczął się gwałtownie trząść z zimna. Jego garnitur przemókł całkowicie na deszczu i pod prysznicem wody z potrąconych krzewów. Na nogach miał lekkie półbuty z

cielecej skóry, które zupełnie rozmokły w błocie, kałużach i mokrej trawie. Czuł, że ochłodzone mięśnie sztywnieją, a mdłości ogarniają trzewia. Co pięćdziesiąt metrów przystawał i nasłuchiwał, czy nie jest ścigany. Od strony drogi doleciał do niego warkot przejeżdżającego samochodu. Ciekaw był reakcji kierowcy na porzucony wóz policyjny i płonący wrak. Gdyby nawet zameldował o tym na najbliższym posterunku policji, upłynie sporo czasu, zanim zjawi się patrol.

Zaczął się zastanawiać, dlaczego nikt go nie ściga. Rozejrzawszy się, dostrzegł dogodnie miejsce, z którego, sam ukryty, mógł obserwować otoczenie. Był to stary przewrócony dąb; i pod jego pniem znalazł doskonałą kryjówkę. W razie potrzeby mógł wycofać się stąd bez trudu, mógł także śledzić swoich prześladowców. Razem z kierowcą zostało ich trzech, ale miał jeszcze siedem naboju w magazynku. Gdyby nie przejmujący chłód i ostry ból w barku, czułby się nawet w miarę spokojny i bezpieczny, chociaż tkwił w nim strach, podobny do strachu ściganego zwierzęcia.

Leżał nieruchomo około pięciu minut, ściskając oburącz wyciągnięty przed siebie pistolet. Był gotów do natychmiastowego odparcia ataku ze strony niewidocznego przeciwnika. Wokół panowała absolutna cisza, w której wyraźnie słychać było spadanie kropeł wody z liści.

Minęło kolejnych dziesięć minut, zanim uprzytomnił sobie, że przecież jego prześladowcy musieli zauważyć swoją pomyłkę. W zastawioną przez nich sieć wpadła nie ta zwierzyna, której się spodziewali. Czekali na Magdę Altmann, a w maserati znaleźli mężczyznę, i to w dodatku uzbrojonego. Zastanawiał się nad ich możliwą reakcją. Z całą pewnością powinni się wycofać, jeśli jeszcze tego dotąd nie uczynili.

Zamiast wielkiej damy, za którą otrzymaliby dwadzieścia lub nawet trzydzieści milionów dolarów okupu, znaleźli jej podwładnego, prawdopodobnie goryla, który jechał w charakterze przynęty lub kierowcy zatrudnionego w zaopatrzeniu. Tak, zdecydował Peter, na pewno wycofają się. Zabiorą zwłoki kolegi i znikną bez śladu. Był pewien, że nie pozostawią żadnych śladów, na podstawie których można by ich zidentyfikować. Chętnie by skorzystał z możliwości przesłuchania jednego z nich, pomyślał i skrzywił się z bólu, który przeszył jego plecy.

Leżał jeszcze dziesięć minut, czujny i napięty, wstrząsany przez dreszcze i szczękający zębami z zimna. W końcu wstał i ruszył w kierunku rzeki. Maserati musiał już całkowicie się wypalić, gdyż niebo było ciemne. Mógł więc polegać wyłącznie na własnym zmyśle orientacji. Chociaż był przekonany o tym, że jest sam, jednak przystawał co pewien czas i nasłuchiwał. Wreszcie usłyszał przed sobą szum rzeki. Była już gdzieś blisko. Przyspieszył kroku i omal nie spadł z brzegu do wody. Na krótką chwilę przystanął, żeby nieco odpocząć. Coraz bardziej dokuczał mu ból w plecach, a przejmujące zimno wyczerpało go całkowicie.

Perspektywa przebycia rzeki w bród nie była zachęcająca. Deszcz padał bez przerwy już od wielu dni. Woda przybrała, stała się z pewnością głęboka i lodowato zimna. Most powinien być gdzieś niedaleko, kilkaset metrów w dół rzeki. Peter

ponownie ruszył wzdłuż brzegu.

Zimno i ból osłabiły jego czujność i uwagę. Wysiłał się, żeby zachować przytomność umysłu. Ostrożnie stawiał kroki, cały czas trzymając w pogotowiu broń w prawej dłoni i penetrując wzrokiem najbliższe otoczenie. Nagle poczuł znajomy zapach, który zaalarmował wszystkie jego zmysły. Wstrętny zapach zestarzałego tureckiego tytoniu zawsze go drażnił. Teraz więc bez trudności wyłowił z otoczenia nawet niewielki jego powiew.

Peter zastygł w miejscu, a jednocześnie jego umysł zaczął intensywnie pracować. Jeszcze przed chwilą był niemal pewien, że jest tutaj sam. Teraz uprzytomnił sobie, iż ludzie, którzy upozorowali wypadek drogowy, zdobyli samochód i uniform policyjny, niewątpliwie zapoznali się także wcześniej z terenem między miejscem zasadzki a ostatecznym celem podróży swojej ofiary. Z pewnością lepiej niż on znali topografię posiadłości i natychmiast po stracie jednego człowieka uświadomili sobie bezcelowość pościgu w ciemnościach. O wiele rozsądniej było czekać nad brzegiem rzeki lub na samym moście.

Najwięcej jednak dawał Peterowi do myślenia ich upór w kontynuowaniu pościgu. Musieli chyba wiedzieć wcześniej, że to nie była Magda Altmann. Przypomniał sobie citroena, który jechał za nim na Polach Elizejskich. Kto był właściwym celem zastawionej zasadzki?

Stał w miejscu, nieruchomo nasłuchując odgłosów nocy, ale słychać było tylko monotony szum rzeki. Wciąż jednak czekał. Jeśli nie zabraknie mu cierpliwości, to przeciwnik w końcu się poruszy. Trwał więc w oczekiwaniu, choć chłód przenikał go do szpiku kości, a deszcz spływał ciurkiem po policzkach i karku. Wreszcie osobnik poruszył się. Peter wyraźnie usłyszał chlupnięcie błota pod jego nogami i szelest poruszonego krzewu, po czym znów nastąpiła cisza. Był bardzo blisko, w odległości może dziesięciu kroków, jednak absolutna ciemność nie pozwalała nic dojrzeć. Stary sposób w takiej sytuacji polegał na oddaniu pierwszego strzału, aby w jego błysku dostrzec przeciwnika, a zaraz potem drugiego do właściwego celu. Peter pamiętał, że w ciemnościach kryło się trzech prześladowców, wołał więc nie czynić nic.

Od strony drogi doleciał go znów warkot zbliżającego się samochodu. Natychmiast gdzieś w okolicy mostu rozległ się cichy świst, stanowiący niewątpliwie umówiony sygnał. W pobliżu trzasnęły drzwi innego pojazdu, potem dał się słyszeć hałas zapalnego silnika, a wreszcie zabłysły światła uruchamianego samochodu. W ich blasku Peter zobaczył całą rozgrywającą się przed nim, jakby na deskach teatru, scenę.

W odległości około stu metrów rzekę przecinał most, pod którym błyszczała czarna jak węgiel tafla wody. U wjazdu nań stał policyjny samochód. W tym momencie właśnie ruszał z miejsca. Prawdopodobnie został zaalarmowany przez zbliżający się od strony La Pierre Bénite warkot innego wozu. Kierowca zmierzał w kierunku głównej drogi. Fałszywy żandarm usiłował się wdrapać do jadącego auta, a tuż obok Petera rozległ się alarmujący krzyk.

- *Attendez!* - Ten trzeci nie miał najmniejszego zamiaru pozostać, rzucił się więc w kierunku odjeżdżających, zaniechawszy jakiegokolwiek ostrożności. Był teraz odwrócony tyłem do Petera, doskonale widoczny na tle świateł samochodu. Odległość wynosiła nie więcej niż dziesięć kroków. Gdyby Peter strzelił teraz w jego plecy, byłby to strzał śmiertelny. Doświadczenie wyniesione z walki z terroryzmem dawno już wyleczyło go z przestrzegania zasad rycerskości w bezpośrednim starciu z przeciwnikiem. Nie nacisnął na cyngiel tylko dlatego, że chciał wiedzieć. Chciał wiedzieć, kim byli ci ludzie, kto ich posłał i w jakim celu.

Peter dostrzegł nagle szansę dla siebie. Role się odmieniły. Teraz sam rzucił się w pogoń, przełożywszy pistolet do lewej ręki. Już po kilku metrach dogonił biegnącego i niezauważony zarzucił mu prawe ramię na szyję jak przy półnelsonie, by następnie przyłożyć mu pistolet do skroni.

Mężczyzna okazał się szybki jak kot. Coś go najwyraźniej ostrzegło, być może usłyszał kroki goniącego. Wbił z całej siły podbródek w pierś, napiął mięśnie i zaczął odwracać się twarzą do napastnika. W ten sposób Peter, zamiast szyi, otoczył głowę mężczyzny na wysokości ust. Gdyby miał zdrowe ramię, z pewnością ograniczyłby jego ruchy. Teraz jednak przeciwnik zaczął powoli wydobywać się z uścisku Petera, który tracił uzyskaną przewagę. Zdawał sobie sprawę z tego, że wróg, stanąwszy do niego przodem, użyje pistoletu, którego seria rozerwie go na strzępy. Biorąc to pod uwagę, zmienił swój pierwotny zamiar i całą siłą ramienia próbował wykręcić głowę przeciwnika. Obaj obrócili się wokół wspólnej osi jak para taneczna. Peter cały czas miał świadomość, że gdyby tamten choć na chwilę oderwał się od niego, natychmiast użyłby broni. Rzeka stanowiła dla Petera jedyną szansę i zanim nieprzyjacielowi udało się przejąć inicjatywę w tym zmaganiu, cofał się w jej kierunku, nie zwalniając uścisku.

W pewnym momencie obaj stoczyli się w ciemną otchłań, trzymając się wzajemnie. Gdy wpadli do wody, Peter znalazł się pod spodem. Gdyby przypadkiem trafił na skały, miałyby niechybnie pogruchotane kości.

Mrożące zimno ciemnej, rwącej toni podziało na Petera jak uderzenie maczugi. Odruchowo wypuścił powietrze z płuc, które skurczyły się z chłodu. Również jego przeciwnik był zszokowany, co Peter natychmiast wykorzystał, wbijając mu łokieć w podbródek. Tamten zaczął rzucać się w wodzie konwulsyjnie, chwytając ustami powietrze i wypuszczając broń z ręki. Peter starał się za wszelką cenę utrzymać jego głowę pod wodą. Poczł palce broniącego się w swoich oczach, a następnie w ustach. Z całej siły zacisnął na nich zęby, czując smak krwi. Desperacko zaciskał na ciele przeciwnika ramiona i zęby, powoli jednak słabnąc. Również wypuścił do wody swoją broń. Tamten walczył ze zwierzęcą wprost siłą i zaciekłością, próbując wyrwać okaleczone palce z zębów Petera, który w końcu zaczął się krztusić jego krwią.

W pewnej chwili obaj wypłynęli na powierzchnię. Przez zalewające oczy strumienie wody Peter dostrzegł wznoszący się nad nimi most. Granatowy samochód

policyjny już zniknął, zamiast niego na moście stała limuzyna Magdy Altmann, a nad balustradą pochylali się jej dwaj goryle. Peter przestraszył się, że zaczną strzelać. W tej samej jednak chwili obaj walczący uderzyli w betonowy słup mostu tak gwałtownie, że wypuścili się ze śmiertelnego uścisku.

Silny wir za mostem skierował obu ku brzegowi. Z trudem chwytając powietrze w płuca i trzęsąc się z zimna i bólu, Peter szukał oparcia dla nóg. Jego przeciwnik stał już na twardym gruncie i potykając się, zmierzał ku brzegowi. W świetle reflektorów Peter zauważył, że obaj goryle biegną przez most, żeby przeciąć drogę uciekającemu. Zdawał sobie sprawę, że tylko oni są w stanie zatrzymać napastnika.

- Carl! - Zawołał głośno. - Zatrzymaj go! Nie pozwól mu uciec!

Goryl jak kot przeskoczył z ręcznej balustrady, trzymając oburącz przed sobą pistolet. Niżej, tuż przy brzegu, zanurzony po pas w wodzie, gramolił się napastnik. Dopiero w tym momencie Peter uświadomił sobie, co stanie się za chwilę.

- Nie!!! - Zachłusnął się wodą i krwią. - Bierz go żywcem! Nie zabijaj go, Carl!

Goryl albo nie usłyszał, albo nie zrozumiał. Rozległ się huk i pomarańczowoczerwona wstęga ognia połączyła się z ludzką sylwetką. Kule przecięły ją w pół, jak siekiera w ręku drwala ścina drzewo.

- Nie! - Krzyknął rozpaczliwie Peter. - Jezu, tylko nie to!

Rzucił się gwałtownie do przodu i schwycił ciało, zanim zdążyło pogrążyć się w wodzie. Przyciągnął je do brzegu. Twarz miała idiotyczny wyraz, strumyk rozpuszczonej w wodzie krwi przecinał policzek.

Peter był tak bardzo zmęczony i wyczerpany, że dopiero przy pomocy Carla wy dostał się na brzeg. Ukląkł na ziemi, wciąż plując wodą i krwią, czuł nudności.

- Peterze! - Usłyszał przejęty głos Magdy. Spojrzał w górę i wytarł usta przedramieniem. Wysiadła z limuzyny i biegła przez most z pobladałą twarzą i z wyrazem głębokiej troski w oczach.

Peter dźwignął się i stał w miejscu, chwiejąc się lekko. Podbiegła do niego i podtrzymała, obejmując ramieniem.

- Ten przystojniak i kilku jego przyjaciół chcieli cię zabrać na przejażdżkę, ale pomylili adres.

Spojrzała na zwłoki. Wyglądały okropnie. Carl użył magnum 357, ciało zostało pokiereszowane. Odwróciła głowę.

- Piękna robota, nie ma co - Peter zwrócił się do goryla z przekąsem. - Chyba nic nam już nie powie.

- Pan kazał go zatrzymać - mruknął Carl, rozładowując broń.

- Ciekaw jestem, co byś zrobił, gdybym ci kazał go zarębać. - Odwrócił się z niesmakiem i jęknął z bólu.

- Jesteś ranny - zaniepokoiła się Magda. - Weź go pod drugie ramię - poleciała Carlowi i oboje poprowadzili Petera do limuzyny.

Ściągnął z siebie resztki przemoczonego ubrania, a Magda, po obejrzeniu rany,

zawinęła go w wełniany pled.

Kula zrobiła w skórze maleńki, niebieski otwór, otoczony teraz zaczerwienionym kołem, i utkwiała między żebrami. Widać było wyraźnie jej zarys, wielkości żołądka, w otoczce spuchniętego i zaognionego ciała.

- Dzięki Bogu - wyszeptała i zdjęła ze swojej szyi szal, którym owinęła starannie ranę. - Zabieramy cię prosto do szpitala w Wersalu. Jedź szybko, Carl.

Otworzyła mały barek i naląła z kryształowej karafki pół kubka whisky. Wypity alkohol rozchodził się błogim ciepłem po ciele przemarzniętego Petera.

- W jaki sposób znalazłeś się tu o tej porze? - Zapytał nieco zachrypniętym od alkoholu głosem; nie dawała mu spokoju zagadka nieoczekiwanego pojawienia się Magdy.

- Policja w Rambouillet otrzymała meldunek o wypadku drogowym. Znali dobrze mój samochód, więc inspektor natychmiast zadzwonił do La Pierre Bénite. Pomyślałam, że mogło się wydarzyć coś złego.

Dotarli do bramy posiadłości przy głównej drodze. Resztki maserati tliły się jeszcze na poboczu szosy, a wokół nich, jak skauci wokół ogniska, stało pół tuzina żandarmów w białych plastikowych okryciach i przypominających okrągłe pudełka kepi. Nie wiedzieli, co mają dalej robić.

Carl zwolnił nieco, a Magda zamieniła z sierżantem kilka słów przez otwarte okno samochodu. Traktował ją z najwyższym szacunkiem.

- *Oui, madame la Baronne, d'accord. Tout à fait vrai.*

Pożegnała go skinieniem głowy, a pozostali żandarmi salutowali odjeżdżającej limuzynie.

- Znajdą zwłoki przy moście...

- Jeszcze jeden leży chyba na skraju lasu...

- Byłeś dziś bardzo dzielny, prawda? - Spojrzała na niego z ukosa.

- Naprawdę dzielni nie pozwalają się trafić - odpowiedział i uśmiechnął się do niej.

Whisky rozgrzała go i pozwoliła zapomnieć o ranie.

A jednak dobrze jest żyć, pomyślał. W tej chwili doceniał urok życia.

- Miałeś rację, jeśli chodzi o maserati, właśnie na niego czekali.

- Dlatego go spaliłem - zażartował, ale nie odpowiedziała uśmiechem.

- Och, Peterze, nie masz nawet pojęcia, jak okropnie się czułam. Policja poinformowała mnie, że maserati spłonął razem z kierowcą. Myślałam... - Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Nie chciałam tu przyjechać, nie chciałam tego widzieć. Zamierzałam wysłać tylko swoich ludzi, ale potem zmieniłam zdanie. Gdy znaleźliśmy się na moście, Carl dostrzegł cię w wodzie. Powiedział, że to jesteś z pewnością ty, ale nie mogłam uwierzyć. - Przerwała, gdyż znowu przeszedł ją dreszcz.

- Opowiedz mi, co się stało, opowiedz wszystko dokładnie - domagała się, nalewając do kubka whisky.

Peter sam nie był pewien, dlaczego nie wspomniał jej o śledzącym go Citroenie.

Tłumaczył sobie, że to tylko przypadek. Gdyby kierowca był rzeczywiście jednym z nich, na pewno uprzedziłby telefonicznie kompanów, że baronowej Magdy Altmann nie ma w maserati. Jeśli tak się nie stało, to znaczy, że pułapka została zastawiona nie na Magdę, ale na niego. Lecz to przecież on sam, siadając do maserati, wystawił siebie na przynętę. Postanowił przerwać tę zwariowaną karuzelę myśli, rezultat przeżytego szoku i wypitej whisky. Będzie dość czasu, żeby wszystko przemyśleć dokładnie. Teraz powinien po prostu wierzyć, że tamci czekali na Magdę, a on zamiast niej wpadł w zastawioną sieć. Opowiedział jej wszystko, zaczynając od momentu, gdy zauważył stojący na drodze policyjny samochód. Słuchała z napiętą uwagą utkwivszy wzrok w jego twarzy i dotykając go od czasu do czasu, jakby chcąc się upewnić o jego obecności.

Gdy wreszcie Carl zatrzymał się przed wejściem do szpitala, okazało się, że policja zdążyła już powiadomić kierownictwo o wypadku i na rannego czekał lekarz i dwie pielęgniarki.

Zanim Peter opuścił limuzynę, Magda przechyliła się i pocałowała go.

- Tak bardzo się cieszę, że cię odzyskałam - wyszeptała. - To był znów Kalif, nieprawdaż?

Wzruszył ramionami i skrzywił się z bólu, który go nagle przeszył.

- Nie przypuszczam, aby ktokolwiek inny mógł przygotować akcję z taką profesjonalną znajomością rzeczy.

Magda szła za jego wózkiem aż do wejścia na salę operacyjną. Siedziała przy jego łóżku, gdy wracał do przytomności po dokonanym zabiegu.

Francuski chirurg przyniósł ponury prezent w postaci zakrwawionej kuli.

- Nie musiałem nawet pana krajać - powiedział z dumą. - Kula straciła wiele impetu, przebijając karoserię. Miał pan dużo szczęścia - ciągnął. - Jest pan w doskonałej kondycji fizycznej, a mięśnie ma pan jak u konia wyścigowego. One zahamowały bieg kuli. Wkrótce będzie pan zdrow jak ryba.

- Obiecałam, że będę cię pielęgnować, wobec czego doktor zgodził się na twój powrót do domu - wtrąciła Magda. Czyż nie tak, doktorze?

- Będzie pan miał jedną z ładniejszych pielęgniarek oświadczył lekarz, kłaniając się z galanterią

Doktor miał rację. Rana sprawiała mniej kłopotu i bólu niż zadrapania na udach zostawione przez drut kolczasty. Magda Altmann traktowała jednak dolegliwości Petera jak poważną chorobę. Następnego dnia aż trzykrotnie dzwoniła ze swojego biura przy bulwarze Kapucynów, żeby po prostu upewnić się, że Peter żyje, i zapytać go o rozmiar butów i ubrania, które nosi. Jeszcze przed zapadnięciem zmroku wróciła do La Pierre Bénite kawalkada samochodów, wioząca ją i jej straż przyboczną.

- Jak widzę, nie przestrzegasz godzin pracy - zauważył z wyrzutem, gdy weszła do jego pokoju niemal wprost z samochodu.

- Wiem dobrze, że mnie potrzebowałeś - tłumaczyła się, a następnie zaczęła zrzędzić. - Roberto powiedział, że wychodziłeś na deszcz, choć doktor kazał ci leżeć w łóżku. Jutro zostanę w domu, żeby się tobą zająć.

- Czy to ma być groźba? - Uśmiechnął się. - Dla takiej kary jestem gotów pozwolić Kalifowi jeszcze raz się przedziurawić.

Szybko położyła palec na jego ustach.

- Peter, *chéri*, proszę, nie żartuj w ten sposób - powiedziała poważnie, a w jej oczach na chwilę pojawił się cień. Zaraz jednak uśmiechnęła się. - Zobacz, co kupiłam.

Walizka z rzeczami Petera spłonęła w maserati, kupiła mu więc nową, z krokodylej czarnej skóry. Żeby ją wypełnić, odwiedziła kilka domów towarowych od Faubourg St. Honore poczynając, a na Place Vendôme kończąc.

- Już zapomniałam, jak wiele przyjemności sprawia kupowanie prezentów dla kogoś, kto... - Nie skończyła rozpoczętej myśli, natomiast wyjęła z walizki jedwabny szlafrok. Wszyscy w St. Laurent wiedzieli, o czym myślałam, gdy to wybierałam.

O niczym nie zapomniała. Wśród zakupionych przez nią rzeczy były przyrządy do golenia, jedwabne chusteczki do nosa, bielizna, granatowa bluza, skarpetki i buty od Gucciego, a nawet spinki ze złota, z małymi szafirami.

- Masz takie niebieskie oczy - tłumaczyła. - Teraz pójde przebrać się i przygotować do obiadu. Powiedziałam Robertowi, że zjemy tutaj, gdyż dziś nie będziemy mieli gości.

Zmieniła brązowy, oficjalny kostium na luźną suknię z cienkiego jedwabiu, włosy opuściła na piersi.

- Otworzę butelkę szampana - powiedziała. - Do tego potrzeba dwóch rąk.

Peter założył nowy szlafrok, rękę wciąż jeszcze nosił na temblaku. Z napełnionymi szampanem kielichami w rękach patrzyli na siebie.

- Miałam rację - skinęła głową. - Twoim kolorem jest niebieski. Powinieneś ubierać się w tym kolorze.

Uśmiechnął się, słysząc ten osobliwy komplement, i stuknął lekko swoim

kielichem w jej kielich. Kryształowe szkło wydało melodyjny dźwięk, wymienili życzenia i wypili. Odstawiła puste naczynie.

- Rozmawiałam z przyjaciółmi w Sûreté. Są zdania, że to była próba porwania mnie. Obiecali poczekać z przesłuchaniem ciebie do momentu, kiedy poczujesz się już lepiej. Powiedziałam, żeby jutro przysłali człowieka na rozmowę. Nie było żadnego śladu po tym drugim, którego trafiłeś na skraju lasu.

Odszedł albo został zabrany przez kompanów.

- A ten zabity przy moście? - Zapytał Peter.

- Tego znają dobrze. Brał udział w rewolcie w Algierii. Wymownie rozłożyła rękę.

- Moi przyjaciele bardzo się zdziwili, że nie udało mu się ciebie zabić. Oczywiście, nic nie wspominałam o twojej przeszłości. Chyba miałam rację?

- Na pewno - zgodził się Peter.

- Kiedy z tobą rozmawiam, zapominam, że również jesteś bardzo niebezpiecznym osobnikiem. - Przerwała i spojrzała na niego badawczo. - Może to dlatego, że masz taki - szukała właściwego określenia - zniewalający sposób bycia? Jesteś taki subtelny, masz łagodny głos i... - Wzruszyła ramionami. - Ale czasem jest coś niepokojącego w twoim uśmiechu, a spojrzenie bywa twarde i okrutne. Wtedy uprzytamniam sobie, że zabiłeś już wielu ludzi. Sądzisz, że może właśnie to mnie zniewala?

- Mam nadzieję, że nie.

- Niektóre kobiety podnieca widok krwi i przemoc. Na walkach byków i pojedynkach bokserskich zawsze można spotkać wiele kobiet. Często obserwowałam ich twarze i zastanawiałam się, czy jestem do nich podobna. Nie sądzę, choć imponują mi silni, władczy mężczyźni. Aaron właśnie był taki. Niewielu podobnych mu ludzi spotkałam w swoim życiu.

- Okrucieństwo a siła to nie to samo - stwierdził Peter.

- Masz rację, naprawdę silny mężczyzna potrafi być delikatny i uczuciowy. Jesteś taki mocny, a przecież niezwykle subtelny w miłości, choć wiem, że mężczyzna potrafi ukryć przed kobietą swoje okrucieństwo.

Przeszła w drugi koniec pokoju, aby pociągnąć haftowaną taśmę dzwonka, zwisającą z sufitu pokrytego malowidłami. Przedstawiały sceny pasterskie w stylu ulubionym przez Marię Antoninę. Peter wiedział dobrze, że wiele mebli stanowiących ozdobę La Pierre Bénite zakupiono na aukcjach, na których komitet rewolucyjny roztrwonił kiedyś skarby domu Bourbonów. Pośród innych ozdób były tutaj kwiaty. Magda Altmann zawsze otaczała się kwiatami.

Wróciła do niego, gdy pojawił się Roberto z obiadem na wózku. Napełnił kielichy winem, trzymając butelkę w dłoniach odzianych w białe rękawiczki, tak jakby stanowiła jakąś świętość. Z kolei zabrał się do podawania dań, ale ruchem ręki został odprawiony przez Magdę. Skłonił się i odszedł w milczeniu.

Peter spostrzegł obok swojego nakrycia niewielką paczkę starannie owiniętą w

bibułę i przewiazaną czerwoną wstążką. Spojrzał pytająco na Magdę, która nalewała zupę do delikatnych, porcelanowych misek.

- Gdy już zaczęłam kupować prezenty, nie mogłam się powstrzymać przed kupieniem tego - wyjaśniała. - Poza tym pomyślałam, że ta kula mogła przecież znaleźć się w moich plecach. - Wreszcie zniecierpliwiała się. - Czy nie masz zamiaru jej otworzyć?

Rozwiązał ostrożnie wstążkę i rozwinął bibułę, po czym zapadło milczenie.

- Przecież Afryka jest twoją specjalnością, nieprawda? - Zapytała wyczekująco. - Dziewiętnastowieczna Afryka?

Skinął twierdząco głową i delikatnie uniósł okładkę rozwiniętego z bibuły tomu. Był oprawiony w brązową skórę, doskonale zachowany, tylko odręcznie napisana dedykacja na pierwszej stronie nieco wyblakła.

- Skąd, na Boga, to wzięłaś? - Dopytywał się. - Brałem udział w licytacji tej książki w Sotheby w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku. Odpadłem przy pięciu tysiącach funtów.

- Nie miałaś przecież jeszcze pierwszego wydania Cornwalisa Harrisa? - Pytała niespokojnie. Odpowiedział przeczącym ruchem głowy, przyglądając się doskonale zachowanej kolorowej rycinie, przedstawiającej afrykańską faunę.

- Nie, nie miałem. Ale skąd o tym wiedziałaś?

- Och, wiem o tobie nie mniej niż ty sam - roześmiała się. - Podoba ci się?

- Wspaniała rzecz, brak mi słów. - Prezent był bardzo kosztowny, nawet jak dla kogoś tak bogatego jak Magda. Czuł się zakłopotany, przypomniała mu się historia męża, który nieoczekiwanie wrócił z kwiatami i natychmiast został przez żonę zaatakowany: „Czy masz aby czyste sumienie?”

- Naprawdę ci się podoba? O książkach wiem raczej niewiele.

- To jest właśnie wydanie, którego mi brakowało do kompletu - odparł. - I to prawdopodobnie najlepszy egzemplarz poza tym, który jest w zbiorach Muzeum Brytyjskiego.

- Cieszę się bardzo - odetchnęła z prawdziwą ulgą. Niepokoiliam się trochę. - Odłożyła srebrną łyżkę wazową, którą nalewała zupę, i otworzyła ramiona, żeby przyjąć jego uścisk.

Podczas posiłku była wesoła i rozmowna. Dopiero kiedy Roberto wyprowadził wózek i gdy usiedli obok siebie na kanapie przed płonącym kominkiem, jej nastrój uległ zmianie.

- Peterze, ja nie potrafię myśleć dziś o niczym innym, tylko o jednej sprawie, dotyczącej ciebie, mnie i Kalifa. Bałam się i wciąż się boję. Myślę o tym, co zrobili z Aaronem, co mogło stać się z tobą.

Milczeli oboje, patrząc w płomienie i sącząc czarną kawę z filiżanek. Nagle zmieniła temat rozmowy. Peter zaczął się już do tych nieoczekiwanych zmian przyzwyczajać.

- Mam wyspę, nie jedną wyspę, lecz dziewięć małych wysepek, między którymi rozciąga się laguna szeroka na dziewięć kilometrów. Woda jest tam tak czysta, że widać ryby na głębokości piętnastu metrów. To niecałe dwie godziny lotu od Tahiti. Na głównym atolu jest pas startowy dla samolotów. Nikt nas nie znajdzie, jeśli tam wyjedziemy. Możemy cały dzień kąpać się w morzu, spacerować po piasku, kochać się pod gwiazdami. Będiesz królem tych wysp, a ja twoją królową. Dość już mam interesów Altmann Industries. Znajdę kogoś, kto się nimi zajmie nie gorzej ode mnie. Dość mam ciągłych niebezpieczeństw, dość życia w strachu. Dość Kalifa, dość... - Nagle urwała, jakby poczuła, że zapędziła się za daleko. Jedźmy tam, Peterze. Zapomnijmy o wszystkim. Uciekajmy stąd. Tam będziemy szczęśliwi na zawsze - dodała szybko.

- To jest nawet piękny pomysł - powiedział z głębokim, prawdziwym żalem.

- Na pewno nam się uda. Musi się udać.

Nie odpowiadał, patrząc w jej oczy, póki sama nie odwróciła spojrzenia i westchnęła.

- Nie. - Wszelki entuzjazm opadł z niej całkowicie, pozostał tylko żal. - Masz rację. Nie możemy ustąpić. Musimy skończyć to, co zaczęliśmy. Peterze, wierz mi, ja tak bardzo się boję. Boję się tego, czego jeszcze o mnie nie wiesz i czego nie mogę ci powiedzieć. Ale masz rację, nie możemy rezygnować. Musimy znaleźć Kalifa i zniszczyć go. Modlę się, żebyśmy nie stracili tego, co udało się nam znaleźć. Modlę się, abyśmy zdołali to zachować.

- Najlepszy sposób na spowodowanie klęski uczuć to mówić o niej jak najwięcej.

- W porządku, zabawmy się wobec tego w rozwiązywanie zagadek. Ja zacznę. Jakie przeżycie jest najbardziej przykre dla kobiety?

- Nie mam pojęcia, poddaję się.

- Samotność zimową nocą.

- W naszej sytuacji nie ma takiego problemu.

- Ale co z twoim biednym barkiem?

- Jeśli połączymy nasze wielkie umiejętności, jestem pewien, że jakoś sobie poradzimy.

- Sądzę, że masz rację - mruknęła i przytuliła się do niego jak miętka, jedwabista kotka.

Kupowaniu bielizny dla pięknej kobiety towarzyszy zawsze atmosfera pewnej dwuznaczności. Peter był rozbawiony, przyglądając się minie sprzedawczyni, która najwyraźniej fałszywie oceniła więź łączącą go z Melissą Jane. Chytrze podsunęła dziewczynie pudełko wypełnione koronkowymi i jedwabnymi szmatkami za nieprzyzwoicie wysokie ceny.

- Tak - oświadczyła podekscytowana Melissa Jane. - Właśnie o coś takiego mi

chodziło. - Przytuliła jedną ze szmatek do policzka, podczas gdy zadowolona ze swej przenikliwości sprzedawczyni patrzyła na nią z uśmiechem. Peter z przykrością myślał o tym, że będzie ją musiał rozczarować, odwlekał więc ten moment, grając wciąż rolę podstarzałego lowelasa przy Melissie Jane. Zresztą co innego absorbowało w tej chwili jego uwagę. W lustrze za plecami sprzedawczyni dostrzegł znów swój „ogon”, człowieka w szarym płaszczu, podziwiającego wystawę damskich biustonoszy z zainteresowaniem godnym babki klozetowej.

- Nie sądzę, żeby mama zaaprobowwała twój wybór, kochanie - odezwał się Peter, a sprzedawczyni spojrzała na niego zaskoczona.

- Och, proszę cię, tatku. W przyszłym miesiącu kończę czternaście lat.

„Ogon” towarzyszył Peterowi już od Heathrow, dokąd przyleciał wczoraj po południu. Zastanawiał się, komu może zależeć na śledzeniu go, i żałował, że nie zabrał ze sobą pistoletu.

- Sądzę, że lepiej będzie, jeśli dokonasz wyboru, nie robiąc sobie złudzeń - powiedział Peter do zbitej z tropu Melissy Jane.

- Żadnych spodenek! - Jęknęła. - Żadnych elastików!

- Zgoda - oznajmił Peter. - Żadnych elastików, ale również żadnych koronek. Na razie musisz poprzestać na malowaniu paznokci.

- Tatku, ty jesteś naprawdę bardzo zacofany!

Peter spojrzał ponownie w lustro i zauważył zmianę. Jego „ogon”, mężczyzna w szarym wytartym płaszczu i wełnianym szaliku w kratkę, zniknął w jednej z wind w obszernym handlowym holu. Ustalenie jego zmiennika będzie chyba wymagało nieco czasu, ale nie, Peter uśmiechnął się do siebie. Już go ma.

Właśnie zbliża się do niego, ubrany w marynarkę z tweedu w jodełkę i spodnie w szkocką kratę, z przyklejonym do ust dobrodusznym uśmiechem.

- Co tutaj robisz, draniu? Ale niespodzianka! - Otwartą dłoń uderzył w plecy Petera, który skrzywił się lekko z bólu.

A więc zagadka została wyjaśniona.

- Colin. - Zdjął z pleców masywną, pokrytą czarnymi włosami dłoń. - Rzeczywiście, to duża niespodzianka. Już od wczoraj usiłuję zgubić twoich ludzi.

- Niedolegi - stwierdził Colin Noble. - Same niedolegi! - A następnie zwrócił się do Melissy Jane: - Jesteś naprawdę piękna. - Pocałował ją z zachwytem chyba nie tylko jowialnego wujaszka.

- Wujku Colinie, spadłeś mi chyba z nieba. - Melissa Jane wyrwała się z jego objęć, aby pokazać mu przezroczyście majteczki. - Co o tym sądzisz?

- Są w sam raz dla ciebie. Powinnaś mieć takie.

- Powiedz to mojemu tatce.

Colin rozejrzał się dokładnie po luksusowym apartamencie hotelowym Petera i

znacząco chrząknął.

- To rozumiem. Czegoś takiego nawet byś nie oglądał, służąc w armii.

- Tatko staje się prawdziwym opasłym plutokrata, prawie takim samym jak stryj Steven - stwierdziła Melissa Jane.

- Zauważyłem, że ty i Vanessa, i wszystkie twoje koleżanki nosicie koronkowe majtki - kontratakował Peter.

- To co innego - broniła się córka, przyciskając zielone pudełko z zakupem od Harrodsa. - Można mieć świadomość społeczną nie ubierając się jak chłopka.

- Brzmi rozsądnie - stwierdził Peter, rzucając płaszcz na kanapę, po czym podszedł do barku. - Co pijemy, bourbona?

- Chętnie - odpowiedział Colin.

- A czy jest może słodkie sherry? - Zapytała Melissa Jane.

- Dla ciebie jest cola - odrzekł Peter. - Możesz ją zabrać i wynieść się do swojego pokoju, młoda damo.

- Och, tatku, tak dawno nie widziałam wujka Colina.

- Zmykaj stąd - ponaglił Peter, a gdy wyszła, dorzucił: Słodkiego sherry jej się zachciewa.

- Cóż chcesz, dziewczyna ci dorasta - skomentował Colin. Wziął od Petera kielich i zagrzechotał kostkami lodu, sadowiąc się w fotelu. - Czy nie masz ochoty mi pogratulować?

- Z przyjemnością. - Peter wzniosł własny kielich i stanął przy oknie, za którym widać było nagie gałęzie drzew i szare zachmurzone niebo nad Hyde Parkiem. - Tylko z jakiej okazji?

- No, zgadnij, proszę! Z okazji awansu na stanowisko dowódcy Thoru, po twoim odejściu.

- Po tym, jak mnie wyrzucono.

- Po twoim odejściu - powtórzył z naciskiem Colin. Wypił łyk bourbona, przy okazji płucząc głośno gardło. - Wielu rzeczy nie rozumiemy, ale, jak to powiedział Szekspir, naszą sprawą nie jest pytać, naszą sprawą jest umierać.

Jak zwykle błaznował, ale jego oczy były szczerze i przejrzyste jak miód u misia pod choinką. Teraz zataczał w powietrzu kręgi trzymanym w rękę kielichem.

- To wspaniałe. To naprawdę jest wspaniałe. Przecież marnowałeś się w Thorze, wszyscy o tym wiedzieli. Więcej umiesz niż szefowie razem wzięci.

- Głowę dam za to, że już oglądałeś kserokopię mojego kontraktu z Narmco.

- Narmco! - Colin zagwizdał. - Dla nich teraz pracujesz? Nie bujaj, Peterze, przecież to okropne!

Peter, chcąc nie chcąc, musiał się śmiać. Usiadł naprzeciwko Colina.

- Kto cię do mnie przysłał, Colinie? - Zapytał.

- Co za wszawe pytanie!

- Odpowiedź na nie wyjaśnia wszystko.

- Czy ktoś musiał mnie posyłać? Czy nie mogę mieć chętki na rozmowę ze starym druhem?

- Przysłał cię, gdyż doszedł do wniosku, że poza Thorem mogę komuś nadepnąć na odcisk.

- Może i tak, ale przecież wszyscy wiedzą, że kochamy się jak bracia.

- Co masz mi do powiedzenia, Colinie?

- Gratulacje, Peterze. Mam ci przekazać wiadomość, że wygrałeś bilet do Nowego Jorku i z powrotem. - Położył prawą dłoń na sercu i zaczął śpiewać ciepłym barytonem: „Nowy Jork, Nowy Jork, to cudowne miasto”.

Peter siedział, patrząc beznamiętnie na Colina, jednocześnie myślał szybko. Wiedział, że musi tam pojechać. Coś zaczęło się pojawiać na powierzchni mętnych wód, fragmenty jakiejś całości zaczynały pasować do siebie. Rzucił więc tylko krótkie pytanie:

- Kiedy?

- Na lotnisku w Croydon czeka już wojskowy odrzutowiec.

- A co z Melissą Jane?

- Mój kierowca odwiezie ją do domu.

- Gotowa cię za to znienawidzić.

- Taki jest już mój los - westchnął Colin. - Tylko psy mnie kochają.

Podczas lotu nad Atlantykiem niemal bez przerwy grali w szachy i pili czarną kawę. Prawie cały czas gadał, gryząc cygaro w zębach, Colin Noble. Mówił o sprawach Thoru, o ćwiczeniach, opowiadał plotki o ludziach i sprawach, które obaj dobrze znali. Nie próbował nawet pytać Petera o jego pracę dla Narmco. Napomknął jedynie, że dowiezie go na czas do Londynu, aby mógł uczestniczyć w serii spotkań, które zaplanował na najbliższy poniedziałek. W ten sposób, rozmyślnie, choć nie bardzo subtelnie, dał Peterowi do zrozumienia, jak dobrze Atlas jest poinformowany o jego nowej działalności.

Tuż po północy wylądowali na lotnisku Kennedy'ego, gdzie czekał już kierowca, żeby ich zabrać do hotelu na krótki nocleg.

Po kilku godzinach snu, niewyspany, Peter z niedowierzaniem patrzył na Colina, który dosłownie pożerał amerykańskie śniadanie złożone ze słodkich wafli, klonowego syropu, parówek, bekonu, jajek, słodkich ciastek i bułeczek, dużych ilości soku owocowego i kawy. Po spałaszowaniu wszystkiego Colin zapalił swoje pierwsze tego dnia cygaro i oświadczył:

- Do diabła, teraz zrozumiałem, co znaczy być u siebie w domu. Przez dwa lata pobytu za granicą systematycznie opadałem z sił z niedożywienia.

Ten sam wojskowy kierowca czekał na nich u wejścia do hotelu. Cadillac był wykładnikiem wysokiego statusu w hierarchii wojskowej. Z okna luksusowego

samochodu Peter obojętnie przyglądał się nędznym ulicom i placom Harlemu. Po przecięciu skrzyżowania Piątej Ulicy, Sto Pierwszej i Jedenastej jechali wzdłuż parku, obok Metropolitan Art Museum, wśród narastającego wciąż ruchu ulicznego, by w końcu zagłębić się w olbrzymiej paszczy garażu, zbudowanego pod jedną z licznych w Nowym Jorku, monolitycznych i sięgających szarego nieba budowli.

Nad wjazdem do garażu widniał napis: „Tylko dla mieszkańców”, ale strażnik natychmiast podniósł uruchamianą elektronicznie kratę i ruchem ręki nakazał im wjazd do środka. Colin poprowadził Petera do windy. Po krótkiej chwili światelka nad drzwiami zasygnalizowały, że dojechali na sam szczyt budynku. Po wyjściu z windy znaleźli się na terenie recepcyjnym; uzbrojony tylko w kordzik strażnik w mundurze wojskowej żandarmerii sprawdził przez kratę dokument Colina wystawiony przez dowództwo Atlasu i dopiero potem pozwolił im przejść dalej.

Apartament, do którego weszli, zajmował całe piętro budynku; za dużymi, ruchomymi szybami widać było budzące podziw wiszące ogrody oraz głębokie kaniony ulic i sąsiednie drapacze chmur.

Dekorację wewnątrz wykonano w stylu orientalnym. Kilka ze zgromadzonych tutaj dzieł sztuki wschodniej, które Peter poznał już w czasie swojej poprzedniej wizyty, przedstawiało bezcenną wartość, na przykład japońskie malowidła na jedwabiu, rzeźby w jadeicie i kości słoniowej. W atrium zaś, przez które przechodzili, można było obejrzyć miniaturowy las drzew bonsai w płytkich ceramicznych misach. Powykręcane w przeróżne kształty pnie i gałęzie stanowiły świadectwo ich starości.

Te niezwykle, stylowe wnętrza wypełniały, niedostosowane do nich zupełnie, dźwięki *Eroiki* Beethovena, w wykonaniu Orkiestry Berlińskiej Filharmonii pod batutą von Karajana.

Po przejściu atrium stanęli przed gładkimi drzwiami z białego dębu, które otworzyły się natychmiast, gdy tylko Colin Noble nacisnął widoczny przy nich dzwonek. Weszli do obszernego pokoju, którego podłoga była pokryta dywanem, a sufit wyłożony dźwiękochłonnymi płytkami. Oprócz wielu półek z książkami i dużego biurka stał tam koncertowy fortepian, a pod przeciwległą ścianą okazały zestaw aparatury muzycznej hi-fi i głośników niby w studiu nagrań.

Kingston Parker stał obok fortepianu. Wysoki, z głową zwieszoną na piersi, zamkniętymi oczami i wyrazem niemal religijnej ekstazy na twarzy. Muzyka poruszyła go do głębi, tak jak burza potrafi rozkołysać potężny las. Peter i Colin przystanęli w drzwiach, gdyż nagle poczuli się intruzami. On jednak zauważył ich obecność niemal natychmiast i podniósł głowę. Wyglądało to, jakby otrząsnął z siebie dźwięki płynącej muzyki, tak jak spaniel otrząsa krople wody po przepłynięciu rzeki. Podniósł igłę adaptera z czarnego, błyszczącego dysku płyty.

Po wielkich, grzmiących akordach cisza zdawała się dzwonić w uszach.

- A, generał Stride - powitał Petera Kingston Parker. Czy wolno mi jeszcze zwracać się do pana po prostu: Peter?

- Stride brzmi całkiem przyjemnie - odpowiedział Peter, na co Parker zareagował wymownym rozłożeniem rąk, po czym, nie wyciągając już dłoni do uścisku, wskazał wygodną skórzaną kanapę.

- Wreszcie pan się u mnie zjawił - powiedział, gdy Peter usadowił się wygodnie.

- Jak zwykle powodowała mną niezdrowa ciekawość.

- Liczyłem na to - roześmiał się Kingston Parker. - Czy panowie jedli już śniadanie?

- Przekąśliśmy coś niecoś - wtrącił Colin, a Peter skinął głową.

- Wobec tego zamówimy kawę - stwierdził Parker i przekazał zlecenie przez interkom, następnie zwrócił się do gości. Od czego by tu zacząć? - Zastanawiał się, przeczesując bezskutecznie swoje bujne, siwiejące włosy.

- Zaczniemy od początku, jak to powiedział Król Serc do Alicji - zaproponował Peter.

- Od początku. - Parker uśmiechnął się łagodnie. W porządku, zaczniemy od momentu, kiedy zaoponowałem przeciwko pańskiemu zaangażowaniu do Atlasu.

- Wiem o tym.

- Nie spodziewałem się, że pan przyjmie propozycję objęcia stanowiska dowódcy Thoru, bo przecież oznaczało to krok wstecz w pańskiej karierze. Przyjmując ją, zaskoczył mnie pan, nie po raz pierwszy zresztą.

Służący, Chińczyk w białym zakiecie z mosiężnymi guzikami, wszedł z tacą. W milczeniu postawił przed każdym filiżankę z kawą i wyszedł. Parker ciągnął dalej.

- W tym czasie oceniałem pana, generale, mimo pańskiego znakomitego życiorysu i wspaniałych osiągnięć, jako oficera o sztywnym, staromodnym sposobie myślenia. Mentalność pułkownika Blimpa wystarcza do prowadzenia wojny z okopów na froncie, jest natomiast zupełnie nieodpowiednia do prowadzenia wojny sekretnej, którą dziś prowadzimy i którą będziemy zmuszeni prowadzić w przyszłości.

Potrząsnął wspaniałą grzywą włosów i odruchowo pogładził palcami chłodną klawiaturę fortepianu, po czym usiadł na stołku przy instrumencie.

- Widzi pan, generale Stride, zawsze byłem przekonany, że Atlas winien spełniać rolę, do której został powołany. Nie byłby w stanie tego czynić, gdyby stał się tylko ramieniem odwetu, gdyby każde jego działanie musiał poprzedzić jakiś wrogi nam akt. Dlatego potrzebowałem oficerów nie tylko znakomicie wyszkolonych, ale przede wszystkim potrafiących nieschematycznie myśleć i działać. Mimo iż przestudiowałem pańską charakterystykę bardzo dokładnie, nie odkryłem w panu tych cech i dlatego nie mogłem obdarzyć pana zaufaniem.

Szczupłe, długie palce Parkera wykonały pasaż na klawiaturze, co zdawało się podkreślać wagę jego słów. Przez chwilę milczał, jakby oczarowany własną grą po czym znowu uniósł głowę.

- Przeprowadzona przez pana ryzykowna operacja przeciwko porywaczom boeinga zmusiła mnie do rewizji sądu o panu, generale, co nie przyszło mi łatwo. Ujawniając

cechy, których, jak mylnie sądziłem, panu brakowało, całkowicie obalił pan poprzednią ocenę pańskich możliwości. Zanim jednak zdążyłem dojść do tej konkluzji, pan już pospieszył się ze złożeniem rezygnacji, co, moim zdaniem, nosiło znamiona pewnej prowokacji...

- Pragnę przypomnieć, że rezygnację złożyłem właśnie na pańskie ręce, doktorze Parker, i że pan osobiście wyraził zgodę - chłodno zauważył Peter, tłumiąc narastające w nim rozdrażnienie.

Parker skinął głową twierdząco.

- Tak jest, ma pan rację.

- Wobec tego niepotrzebnie tracimy czas na tę rozmowę oświadczył, wstając z miejsca, Peter. Usta miał mocno zaciśnięte, skóra na policzkach i nozdrzach była napięta i porcelanowo blada.

- Proszę pozwolić mi najpierw wyjaśnić sprawę do końca, generale Stride. - Parker wyciągnął do niego rękę, jakby chcąc przeszkodzić mu wyjść, wyraz twarzy miał poważny, nakazujący.

Peter usiadł z powrotem na kanapie. Widać było, że czyni to niechętnie.

- Muszę się nieco cofnąć, żeby uporządkować swój wywód. - Parker wstał od fortepianu i podszedł do małego stojaka z fajkami. Wybrał jedną z nich, zrobioną z pianki morskiej, lecz barwą przypominającą bursztyn. Przedmuchał starannie i wrócił do Petera, nie siadając, lecz ciągnąc dalej w pozycji stojącej. Kilka miesięcy przed porwaniem zero siedemdziesiąt, dokładnie sześć miesięcy wcześniej, zacząłem otrzymywać sygnały, z których wynikało, że wchodzimy w nową fazę międzynarodowego terroryzmu. Początkowo były to tylko sygnały, później jednak znalazły potwierdzenie w faktach. - Parker napychał fajkę tytoniem ze skórzanego woreczka, który następnie zamknął na suwak i rzucił na fortepian. - Chodziło o konsolidację sił terroryzmu pod pewnego rodzaju scentralizowaną kontrolą, aczkolwiek nie mieliśmy wciąż jeszcze pojęcia, jaką formę przyjmuje ta kontrola. - Przerwał na chwilę, żeby obserwować reakcję Petera. Widocznie źle odczytał jego wyraz twarzy, gdyż pokręcił głową i zaakcentował: - Tak jest, to może brzmi naiwnie, ale mogę pokazać panu akta. Są dowody na to, że odbyły się spotkania najbardziej znaczących przedstawicieli tego ruchu z udziałem jakichś tajemniczych osobistości, chyba reprezentujących któryś ze wschodnioeuropejskich rządów. Co do tego nie mieliśmy całkowitej pewności wtedy, nie mamy jej również teraz. Natychmiast potem nastąpiła zmiana w prowadzeniu i motywowaniu działalności terrorystycznej. Nie muszę chyba podawać panu szczegółów. Najpierw dokonano akumulacji olbrzymich środków finansowych, organizując starannie przygotowane napady na liczące się postacie życia politycznego i finansowego; ministrów OPEC, wybitnych przemysłowców i bankierów. - Parker zapalił fajkę i pachnący dym otoczył jego głowę. - Potem porwano zero siedemdziesiąt. Nie miałem okazji rozmawiać z panem o tym wcześniej, a kiedy był pan w drodze do Johannesburga, było już na to za późno.

Nie mogłem uczynić nic więcej oprócz tego, że kontrolowałem pańskie działania. Nie miałem możliwości wyjaśnić panu, że to porwanie znalazło się na fali nowego terroryzmu, o którym chcieliśmy dowiedzieć się jak najwięcej. Była to straszliwa gra, która mogła kosztować niejedno życie ludzkie. Wtedy pan podjął kroki, których się po panu nie spodziewałem. - Parker wyjął z ust fajkę i uśmiechnął się tak ujmująco, że trudno było nie uwierzyć we wszystko, co przed chwilą powiedział. - Przyznaję, generale Stride, że najpierw ogarnęła mnie ślepa wściekłość. Myślałem tylko o jak najsurowszej karze dla pana. Potem jednak zacząłem się spokojnie zastanawiać. Zrozumiałem, iż pan właśnie dowiódł, że jest człowiekiem, którego mi potrzeba, żołnierzem zdolnym do niekonwencjonalnego sposobu myślenia i działania. Jeśli zatem zostałby pan zdyskredytowany i usunięty, powstałaby szansa, że nowe kierownictwo ruchu terrorystycznego zainteresuje się właśnie tymi pańskimi walorami, które zmuszony zostałem docenić. Jeśli doprowadziłbym, myślałem, do zniszczenia pańskiej kariery, stałby się pan wyrzutkiem, człowiekiem zgorzkniałym, lecz jednocześnie dysponującym nieprzeciętnymi zdolnościami i ogromną wiedzą, potrafiącym działać w sposób zdecydowany...

Parker przerwał w tym miejscu i wykonał wymowny gest.

- Przepraszam pana, generale Stride, ale musiałem przyznać obiektywnie, że stałby się pan osobą bardzo atrakcyjną dla... Machnął niecierpliwie ręką. - Nie mam dla nich właściwego określenia, nazwijmy ich więc po prostu „wrogiem”. Musiałem więc stwierdzić, że byłby pan człowiekiem niezwykle interesującym dla wroga. Postanowiłem więc zaakceptować pańską rezygnację. - Skinął posępnie głową. - Tak, podpisałem pańską rezygnację i w ten sposób, mimowolnie, został pan agentem Atlasu. Powstała wymarzona sytuacja. Nie musiał pan grać żadnej roli, pan był głęboko przekonany, że został wyrzucony, skrzywdzony i zdyskredytowany. Stał się pan doskonałym obiektem dla dywersyjnej działalności wroga.

- Nie wierzę w to - głucho powiedział Peter.

Wtedy Parker podszedł do biurka i wzięwszy z porcelanowej japońskiej tacy kopertę, podał mu ją.

Bez najmniejszego trudu Peter uprzytomnił sobie, że ma przed sobą potwierdzenia z banku Credit Suisse w Genewie. Na jego rachunek w tym banku wpłynęło wiele sum. Żadnych wypłat, same wpływy. Wszystkie tej samej wielkości; uposażenie netto generała-majora armii brytyjskiej.

- Widzi pan - śmiał się Parker - wciąż pan otrzymuje pensję z Atlasu. Wciąż jest pan jednym z nas. Bardzo mi przykro, że był pan manipulowany, ale sądzę, że było warto.

Peter spojrział na niego niezupełnie przekonany, ale już bez poprzedniego wyrazu wrogości oczach.

- Co pan przez to rozumie, doktorze Parker?

- Sądzę, że pan znowu bierze udział w grze.

- Jestem dyrektorem handlowym Northern Armament Company - odpowiedział stanowczo Peter.

- Tak, wiem o tym oczywiście. Narmco to część imperium przemysłowego pani Altmann. Baron Altmann i jego piękna żona stanowili nadzwyczaj interesującą parę. Czy pan wiedział na przykład o tym, że Altmann był jednym z najważniejszych agentów Mossadu w Europie?

- To niemożliwe - Peter pokręcił głową z irytacją. - Był wyznania rzymskokatolickiego, a wywiad izraelski nie miał zwyczaju werbowania agentów wśród katolików.

- Tak - przyznał Parker. - Jego dziadek nawrócił się na katolicyzm i zmienił nazwę domu rodzinnego na La Pierre Bénite. Zrobił to jednak ze względów materialnych. W dziewiętnastowiecznej Francji Żydom nie wiodło się najlepiej. Jednak młody Altmann od dzieciństwa pozostawał pod wpływem babki i matki. Od wczesnych lat był syjonistą i aż do momentu zamordowania go wspierał syjonizm materialnie i moralnie. Robił to bardzo zręcznie, mało kto posądzał go o tego rodzaju powiązania. Nigdy nie popełnił błędu nawrócenia się na religię swoich przodków, wiedząc, że może skuteczniej pomóc sprawie Żydów jako praktykujący chrześcijanin.

Peter myślał szybko. Jeśli to była prawda, zmienia to całkowicie postać rzeczy. Zmieniłaby się także rola Magdy w życiu Altmanna.

- Czy baronowa o tym wiedziała? - Zapytał.

- Ach, baronowa! - Kingston Parker wyjął fajkę i uśmiechnął się z powściąganym wyraznie podziwem. - Co za niezwykła kobieta! Wiemy o niej niewiele więcej prócz tego, że jest bardzo piękna i utalentowana. Urodziła się w Warszawie. Jej ojciec był profesorem medycyny na Uniwersytecie Warszawskim. Uciekł na Zachód, kiedy była jeszcze dzieckiem. Kilka lat później zginął w wypadku ulicznym w Paryżu, potrącony przez samochód, gdy wychodził ze swojej katedry na Sorbonie. Okoliczności wypadku nigdy nie zostały do końca wyjaśnione. Po jego śmierci dziecko przechodziło z rąk do rąk wśród dalekich krewnych i przyjaciół ojca. Już wtedy przejawiała pewne predyspozycje do nauki i muzyki, a mając trzynaście lat była obiecującą młodą szachistką. Potem mamy lukę w zgromadzonych o niej informacjach, zniknęła ze sceny całkowicie. Jest jedynie wzmianka jednej z jej opiekunek, obecnie bardzo zaawansowanej w latach damy, która miała wyraźne kłopoty z pamięcią: „Byłam pewna, że wróciła do domu, powiedziała mi, że wraca do domu”.

Parker rozłożył ręce.

- Do domu? Do jakiego domu? W Warszawie? W Izraelu? Gdzieś na Wschodzie?

- Zgromadziliście o niej dużo interesujących informacji oświadczył Peter. To, co przed chwilą usłyszał, wzbudziło w nim uczucie zażenowania.

- Oczywiście, zbadaliśmy także wszystkie inne pańskie kontakty po opuszczeniu przez pana Atlasu. Nie zaniedbaliśmy niczego, ale baronowa szczególnie nas

interesowała. Jest fascynująca, pan zresztą wie o tym najlepiej.

Peter skinął głową i czekał. Nie chciał pytać o nic więcej. Wydawało mu się, że byłoby to nielojalne w stosunku do Magdy. Jednakże wciąż czekał, a Parker ciągnął spokojnie dalej:

- Mając dziewiętnaście lat, wróciła do Paryża. Została prywatną sekretarką barona Aarona Altmanna. Zawsze piękna, elegancka, posługująca się biegle pięcioma językami, otoczona wpływowymi, bogatymi i potężnymi wielbicielami, wśród których nie zabrakło jej pracodawcy. - Parker zamilkł, oczekując wyraźnie na pytania ze strony Petera.

- Czy ona również pracuje dla Mossadu?

- Tego nie wiemy. Jest to możliwe, ale trzeba przyznać, że maskuje się doskonale. Mamy nadzieję, że pan wyjaśni tę sprawę.

- Rozumiem.

- Musiała wiedzieć, że jej mąż był syjonistą. Musiała podejrzewać, że jego porwanie i zamordowanie mogło mieć z tym coś wspólnego. Poza tym mamy do czynienia z luką w jej życiorysie od trzynastego roku życia do lat dziewiętnastu. Chcielibyśmy wiedzieć, co się z nią działo w tym okresie.

- Czy ona jest również Żydówką?

- Sądzymy, że tak, aczkolwiek jej ojciec nie zdradzał zainteresowania religią i nie wypełnił odpowiedniej rubryki w swoim wniosku o zatrudnienie na Sorbonie. Również jego córka wykazywała brak uczuć religijnych. Wiemy tylko, że ślub z baronem odbył się w kościele katolickim, po czym młoda para wzięła jeszcze ślub cywilny w Rambouillet.

- Odeszliśmy daleko od międzynarodowego terroryzmu zauważył Peter.

- Nie sądzę - Kingston Parker pokręcił przecząco głową. - Baron był jego ofiarą i, podobnie jak pan, jednym z ekspertów w sprawach terroryzmu i partyzantki miejskiej, a pan jest ponadto zamieszany w próbę zabójstwa czy też porwania baronowej.

Petera nie zaskoczyła wiedza Parkera o wydarzeniach na drodze do La Pierre Bénite. Minęło zaledwie kilka dni od chwili, gdy przestał nosić rękę na temblaku.

- Powiedz mi, Peterze: co naprawdę sądzisz o tej historii? Przeczytałem fragment twojego oświadczenia złożonego dla policji. Czy mógłbyś coś do tego dodać?

Peter miał żywo w pamięci Citroëna, który go śledził w Paryżu, oraz rozdzierającą ciszę nocy serię z pistoletu automatycznego.

- To był napad na baronową - odpowiedział stanowczo.

- A ty prowadziłeś wóz?

- Tak.

- Znajdowałeś się w tamtym miejscu w porze, w której zwykle przejeżdżała baronowa.

- Tak.

- Kto doszedł do takiej konkluzji? Ty?

- Mówiłem jej, że ten samochód zwraca uwagę.

- Wobec tego zaproponowałeś, że to ty pojedziesz nim do La Pierre Bénite tego wieczoru?

- Tak. - Peter sam nie rozumiał, dlaczego nie powiedział prawdy.

- Czy był jeszcze ktoś, kto mógł wiedzieć, że baronowa nie pojedzie tym samochodem?

- Nie było nikogo.

Z wyjątkiem jej goryli i dwóch szoferów, którzy przyjechali odebrać ją z lotniska Orly, pomyślał.

- Jesteś tego pewien? - Nalegał Parker.

- Tak - uciął Peter. - Nikogo.

Z wyjątkiem Magdy, tylko Magdy. Odepchnął od siebie tę myśl zniecierpliwiony.

- W porządku, wobec tego musimy przyjąć, że to baronowa była celem napaści, ale czy to była próba zabójstwa, czy też uprowadzenia? To bardzo ważne. Jeśli to miało być zabójstwo, może tu chodziło o eliminację agenta strony przeciwnej, na przykład Mossadu, którym mogłaby być baronowa. Z drugiej strony, ewentualna próba uprowadzenia świadczyłaby o finansowym celu napaści. Co o tym sądzisz, Peterze?

- Zablokowali mi drogę. - W tej chwili nie przypominał sobie wszystkich szczegółów. - Domniemany policjant nakazał mi zatrzymanie lub też przyhamowanie, umożliwiające im otwarcie ognia do celu. Nie strzelali, dopóki nie spostrzegli, że nie mam zamiaru się zatrzymać.

A jednak byli gotowi strzelać natychmiast, gdy tylko podjął decyzję przebicia się przez blokadę, myślał. Intencje obu napastników z pistoletami maszynowymi nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

- Jestem zdania, że chcieli dostać baronową żywą.

- W porządku - skinął głową Parker. - Przyjmijmy na razie tę tezę. - Spojrzał na Colina. - Czy ma pan jakieś pytania, pułkowniku Noble?

- Bardzo dziękuję, doktorze. Nie usłyszeliśmy dotąd, w jaki sposób Narmco trafiło do Petera. Jak doszło do nawiązania pierwszego kontaktu?

- Zgłosiła się do mnie londyńska firma zajmująca się pośrednictwem w zatrudnianiu na kierowniczych stanowiskach. Złożyli mi ofertę zarządu Narmco.

Którą odrzuciłem bez dłuższego namysłu, pomyślał. Decydujące było spotkanie w Abbots Yew.

- Rozumiem. - Colin zmarszczył brwi, najwidoczniej niezadowolony z odpowiedzi.

- Czy była między wami mowa o ewentualnym spotkaniu z baronową?

- Nie na tym etapie.

- Zaproponowano ci dział sprzedaży, bez jakiegokolwiek wzmianki o innych obowiązkach, o sprawach bezpieczeństwa, przemysłowym wywiadzie...

- Nie wtedy.

- A później?

- Tak. Kiedy spotkałem się z baronową doszedłem do wniosku, że jej bezpieczeństwo nie było zadowalające. Dokonałem zmian w tym zakresie.

- Nigdy nie rozmawialiście o zabójstwie jej męża?

- Mówiliśmy o tym.

- I co?

- I nic. - Peterowi sprawiało trudność improwizowanie odpowiedzi, przyjął więc starą zasadę mówienia tylko tyle prawdy, ile uznał za celowe.

- Czy baronowa nie wspominała nic o ewentualnym pościgu za mordercami męża? Czy nie proszono cię o pomoc w dokonaniu wendety?

Peter musiał podjąć szybką decyzję. Parker chyba znał treść jego rozmowy z brytyjskim attaché wojskowym w Paryżu, która powinna była zwrócić uwagę Kalifa. Oczywiście, był przecież szefem Atlasu i miał dostęp do komputera Centralnej Agencji Wywiadowczej. Odpowiedź Petera nie mogła więc być przecząca.

- Tak, baronowa prosiła mnie o zdobycie dla niej informacji, które pomogłyby w ustaleniu morderców jej męża. W związku z tym zwróciłem się do G dwa z prośbą o przekazanie mi wszystkich danych, które posiada na ten temat. Niestety, nie mógł mi pomóc.

Parker chrząknął.

- Rzeczywiście, G dwa sporządził w związku z tym rutynowy meldunek. Sądzę, że prośba baronowej była czymś naturalnym. - Podeszedł do biurka, żeby rzucić okiem na kartkę, na której coś pospiesznie nabazgrano. - Wiemy o tym, że baronową przed ślubem łączyły intymne stosunki osobiste z ośmioma bogatymi i wpływowymi mężczyznami. Sześciu z nich było żonatych...

W Peterze wezbrał nagle gniew z siłą, która go samego zaskoczyła. Nienawidził w tej chwili Parkera. Ogromnym wysiłkiem woli zachował obojętny wyraz twarzy, choć miał wielką ochotę wymierzyć mu policzek.

- ...Wszystkie te miłosne afery otoczone były zawsze największą dyskrecją. Jako mężatka raczej nie utrzymywała pozamałżeńskich kontaktów. Po śmierci barona było trzech innych: minister w rządzie francuskim, amerykański biznesmen, szef drugiego co do wielkości w świecie towarzystwa naftowego i... - Urwał, rzucił z powrotem na biurko kartkę i odwrócił się do Petera. - I niedawno pojawił się ktoś nowy - dodał, patrząc przenikliwie na Petera. - Wygląda na to, że dama lubi łączyć interesy z przyjemnością. Sądzę, że i ostatni wybór partnera potwierdzi tę zasadę.

Colin Noble chrząknął z zakłopotaniem i poruszył się na krześle, ale Peter nie zwracał na niego uwagi, patrząc prosto w oczy Kingstona Parkera. Ani on, ani też Magda nie robili żadnej tajemnicy z tego, co ich łączyło. Mimo to czuł niesmak z powodu takiej rozmowy.

- Sądzę, że masz teraz możliwość dostarczać nam niezwykle cennych informacji, że dotarłeś do samego centrum tego bezimiennego i nieformalnego wpływu. Nie można nawet wykluczyć twojego bezpośredniego zetknięcia się z wrogiem, czy też

zbrojnej potyczki z nim. Jediną otwartą kwestią jest tylko sprawa, czy będziesz w stanie wykonać swój obowiązek, niezależnie od jakichkolwiek względów natury emocjonalnej lub też innego rodzaju.

- Zawsze oddzielałem moje życie prywatne od służbowych obowiązków, doktorze - Peter zauważył spokojnie.

- Rzeczywiście - zgodził się Parker. - To prawda. I jestem przekonany, że teraz, gdy wiesz już nieco więcej o baronowej Altmann, zdajesz sobie sprawę z tego, jak bardzo nam zależy na informacjach o niej.

- Oczywiście, że tak. - Peter całkowicie panował nad sobą. - Rozumiem, że mam wykorzystać uprzywilejowaną sytuację do szpiegowania. Czy o to właśnie chodzi?

- Nie powinieneś wątpić, że również ona ją wykorzystuje do swoich własnych celów - Parker przeciął rozmowę, która zaczęła przyjmować niebezpieczny kierunek. - Mam nadzieję, że moja szczerość nie była dla ciebie zbyt brutalna, Peterze, i że nie zburzyłem żadnej twojej iluzji. - Ton Parkera wskazywał na to, że uważał rozmowę za skończoną.

- W moim wieku, doktorze, mężczyzna nie ma już żadnych iluzji - odpowiedział Peter, wstając z miejsca. - Czy mam przekazywać moje informacje bezpośrednio panu?

- Pułkownik Noble jest odpowiedzialny za funkcjonowanie łączności między nami. - Kingston Parker wyciągnął rękę na pożegnanie. Peter bez wahania uścisnął ją. Była chłodna i sucha, emanowała z niej siła.

- Zrozumiałem, sir - powiedział niemal słuźbiście, gdy tymczasem w duchu pomyślał, że zrozumiał więcej, niż tego Parker oczekiwał.

Podczas powrotnego lotu Peter nie miał ochoty grać w szachy, wytłumaczył się więc zmęczeniem. Wolał udawać drzemkę i myśleć o tym, co usłyszał od Parkera. Z zamkniętymi oczami usiłował uporządkować myśli, bezskutecznie. Miał wrażenie, że nie jest nawet pewien szczerości swoich uczuć do Magdy. Za każdym razem, ilekroć próbował je analizować, dochodził do innych konkluzji. W końcu poddał się żywiołowemu napływowi myśli.

„Intymne stosunki osobiste”. Jakież to dziwne i sztuczne określenie, użyte przez Parkera; właściwie nie wie, dlaczego tak bardzo go zdenerwowało. Osiem intymnych znajomości przed zamążpójściem, w tym sześć z żonatymi mężczyznami, dwie - z niezonatymi, ale wszystkie z bogatymi i mającymi wpływy. Usiłował ożywić tę suchą statystykę i wyobrazić sobie, nie bez głębokiej przykrości, męskie bezimienne sylwetki obok smukłego ciała Magdy. Poczul się zdradzony, choć natychmiast wysmiał sam siebie za tę, godną smarkacza, niepoważną reakcję.

Były przecież inne, ważniejsze kwestie poruszone przez Kingstona Parkera, na które Peter nie znajdował odpowiedzi. Na przykład jej przypuszczalne powiązania z

Mossadem, czy też sześćoletnia luka w życiorysie. Dręczyło go pytanie: czy naprawdę wszystko, co usłyszał od Magdy, było tylko wyrafinowanym oszustwem? A jeśli tak, to czy rzeczywiście udało się jej rozkochać go w sobie po to, żeby nim manipulować?

Czym było właściwie jego uczucie do niej? Przynajmniej na to jedno pytanie powinien udzielić sobie odpowiedzi. Nie znalazł jej, a po wylądowaniu ogarnęła Petera niezwykła radość na myśl, iż niedługo ujrzy Magdę. Podejrzenie, że mogła go wykorzystywać do swoich celów, gdzieś zniknęło. Pojawił się natomiast strach przed tym, czego miał poszukiwać, czego chciał się dowiedzieć. Nagle przypomniał sobie jej propozycję ucieczki na wyspę i uprzytomnił sobie, że ona również była ofiarą tych samych obaw i bojaźni.

W hotelu dowiedział się, że dzwoniła już trzykrotnie, każdorazowo zostawiając numer w Rambouillet. Wykręcił go i natychmiast uzyskał połączenie.

- Och, Peterze. Tak się martwiłam! Co się z tobą działo?

Trudno było uwierzyć, żeby zatroskanie mogło być tylko udawane, a jeszcze trudniej nie odczuć wielkiej przyjemności, gdy następnego dnia w południe sama przyjechała po niego na lotnisko, zamiast wysłać szofera.

- Musiałam wyjść z biura choć na godzinę - wyjaśniła, a gdy wziął ją pod rękę, przycisnęła się do niego i zachichotała szczęśliwa. - Oczywiście, to nieprawda, po prostu już nie mogłam się na ciebie doczekać. Jak ja się zachowuję? Co ty sobie o mnie pomyślisz?

Tego wieczoru wzięli udział w małym przyjęciu, zjedli kolację w Le Doyen, a potem poszli do teatru w Palais de Chaillot. Ponieważ francuszczyzna Petera nie dorównywała jeszcze wymaganiom stawianym przez Moliera, często zamiast na scenę spoglądał ukradkiem na Magdę, pozbywając się, na kilka przynajmniej godzin, wszystkich dręczących go wcześniej wątpliwości. Dopiero po przedstawieniu, około północy, w drodze do La Pierre Bénite dokonał następnego posunięcia w skomplikowanej grze.

- Nie mogłem ci powiedzieć w rozmowie telefonicznej odezwał się wśród intymnej ciemności panującej w limuzynie - że miałem spotkanie z szefem Atlasu. Wezwał mnie do siebie do Nowego Jorku. Dlatego nie dodzwoniłaś się do mnie. Oni również szukają Kalifa.

Westchnęła i położyła rękę na jego dłoni.

- Czekałam, aż mi to powiesz, Peterze - rzekła i ponownie westchnęła. - Wiedziałam o twoim wyjeździe do Ameryki i strasznie się bałam, że możesz mnie okłamywać.

Poczuł wyrzuty sumienia, lecz jednocześnie zaintrygowało go, skąd dowiedziała się o jego podróży do Nowego Jorku. Potem przypomniał sobie o jej „źródłach”.

- Opowiedz mi o tym spotkaniu - poprosiła, a on zrelacjonował wszystko, pomijając jednak to, co najbardziej nie dawało mu spokoju: lukę w jej życiorysie,

powiązania barona z Mossadem i tych dziesięciu mężczyzn.

- Zdaje się, że oni nie znają pseudonimu Kalifa - stwierdził. - Natomiast wiedzą, że ty go ścigasz i że w tym celu mnie wynajęłaś.

Rozmawiali o wszystkim spokojnie, najpierw podczas jazdy samochodem, a potem w jego pokoju. Leżeli, obejmując się ramionami. Peter był zdumiony, jak szybko wyparowały z niego wszelkie wątpliwości i jak bardzo naturalnie się zachowuje.

- Kingston Parker uważa mnie wciąż za członka Atlasu wyjaśnił Magdzie. - A ja nie zaprzeczyłem ani nie zaprotestowałem. Chcemy schwytać Kalifa, a status pracownika Atlasu może być bardzo pomocny.

- Masz rację. Atlas może nam pomóc, zwłaszcza teraz, gdy wiedzą już, że Kalif nie jest czczym wymysłem.

Dopiero o brzasku rozstali się, nasyciwszy się sobą wzajemnie. Godzinę później spotkali się ponownie przy śniadaniu. Nalała mu kawy do filiżanki i wskazała małą paczuszkę obok jego talerza.

- Widocznie nie jesteśmy tak bardzo dyskretni, jak nam się zdaje - zachichotała. - Ktoś jednak wie, gdzie spędzasz wieczory.

Wziął paczuszkę do ręki. Wyglądała jak rolka filmu owinięta w brązowy papier i opieczętowana czerwonym lakiem.

- Wczoraj wieczorem dostarczono ją poleconą pocztą. Wzięła z talerza kawałek kruchego rogalika, uśmiechając się i obdarzając go ciepłym spojrzeniem zielonych oczu.

Adres został napisany na maszynie, na oddzielnej karteczce naklejonej na opakowaniu, znaczki były brytyjskie, przesyłkę nadano poprzedniego dnia rano w południowym Londynie.

Nagle Petera tknęło straszne przecucie, miał wrażenie, że cały pokój wypełnia obecność wszechpotężnego zła.

- Co się stało, Peterze? - Zapytała zaniepokojona.

- Nic, nic - odpowiedział. - Nic się nie stało.

- Strasznie pobladłeś. Czy czujesz się niedobrze?

- Nic mi nie jest.

Wziął ze stołu nóż, żeby podważyć lakową pieczętkę, i rozwinął brązowy papier. W środku była buteleczka wypełniona przezroczystym płynem.

Jakiś środek konserwujący, pomyślał, spirytus lub aldehyd mrówkowy.

W płynie zanurzony był miękki, biały przedmiot.

- Co to takiego? - Zapytała Magda.

Peter poczuł, że ogarniają go mdłości.

Przedmiot przemieszczał się powoli w płynie. Dostrzegł błysk jaskrawej czerwieni.

„Czy matka pozwala ci już lakierować paznokcie, Melisso Jane?”. Miał wciąż jeszcze w uszach pytanie skierowane do córki i widział, jak ona przebiera palcami zakończonymi polakierowanymi paznokciami. Taki sam czerwony lakier.

„O tak, choć, oczywiście, nie do szkoły. Nie zapominaj, tatku, że mam już prawie czternaście lat”.

Pływający w cieczy przedmiot był ludzkim palcem. Został odcięty tuż przy pierwszym zgięciu. Ciecz wybieliła ciało w miejscu przecięcia. Skóra na palcu pomarszczyła się i pofałdowała jak u topielca i tylko polakierowany paznokieć zachował swój poprzedni wygląd.

Nudności podeszły Peterowi do samego gardła, nie potrafił dłużej patrzeć na małą buteleczkę.

Aparat telefoniczny zadzwonił trzykrotnie, zanim podniesiono słuchawkę.

- Cyntia Barrow. - Peter natychmiast rozpoznał głos swojej byłej żony, aczkolwiek tym razem był nieco zachrypnięty ze zdenerwowania. - Cyntio, to ja, Peter.

- Dzięki Bogu, Peterze, że cię słyszę. Już od dwóch dni usiłuję się dodzwonić.

- O co chodzi?

- Czy Melissa Jane jest może u ciebie?

- Nie. - Poczuł, że ziemia usuwa się mu spod nóg.

- Wyszła z domu dwa dni temu i do tej pory nie wróciła.

Odchodzę wprost od zmysłów ze zmartwienia.

- Powiadomiłaś policję?

- Tak, oczywiście. - Po jej głosie sądzić można było, że z trudem panuje nad nerwami.

- Nie ruszaj się z domu - powiedział Peter. - Natychmiast lecę do Anglii. Gdybyś miała jakąś wiadomość, daj mi znać. Odłożył słuchawkę, gdyż czuł, że Cyntia lada chwila się załamie.

Za biurkiem z okresu Ludwika XIV siedziała Magda, blada, z wyrazem napięcia na twarzy. Nie zadawała żadnych pytań, ale jej wielkie oczy krzyczały ze smutku i obawy.

Po chwili namysłu Peter raptownym ruchem ponownie podniósł słuchawkę, wykręcił numer i czekał, nie spuszczać wzroku z makabrycznego trofeum stojącego pośrodku biurka.

- Chcę mówić z pułkownikiem Noble'em - rzucił ostro do słuchawki. - Proszę mu powiedzieć, że dzwoni generał Stride w bardzo pilnej sprawie.

Colin podszedł do aparatu w ciągu minuty.

- To ty, Peterze? - Zapytał.

- Oni porwali Melissę Jane.

- Co takiego? Nie rozumiem.

- Wróg. Porwali ją.

- Chryste Panie! Jesteś pewien?

- Tak, jestem tego pewien. Przysłali mi jej odcięty palec.

Colin milczał przez chwilę, a potem odezwał się przytłumionym głosem:

- To przecież jest obłąd, Chryste, to czysty obłąd.

- Idź na policję. Niech nie wtrącają się do sprawy, niech siedzą spokojnie. Nie chcę zbędnego rozgłosu. Sam wezmę udział w polowaniu na te bestie. Postaraj się wciągnąć Thor do sprawy. Jeszcze dziś wylatuję, dam ci znać, którym samolotem.

- Będę czekał na sygnał - obiecał Colin. - I wyślę po ciebie samochód. - Colin wahał się chwilę. - Peterze, jest mi bardzo przykro, wiesz dobrze.

- Tak, wiem.

- Cały czas będziemy z tobą, pamiętaj.

Peter odłożył słuchawkę. Zza biurka podniosła się energicznie Magda.

- Lecę z tobą do Londynu - oświadczyła. W odpowiedzi Peter ujął ją za rękę.

- Nie - powiedział łagodnie. - Dziękuję bardzo, ale nie.

Nie miałabyś tam nic do roboty.

- Peterze, pragnę być z tobą przez cały ten okropny czas.

Czuję, że to się stało z mojej winy.

- To nieprawda.

- To takie miłe dziecko.

- Więcej mi możesz pomóc tutaj - powiedział stanowczo. - Sięgnij do swoich źródeł, ważny jest każdy strzęp informacji.

- Dobrze, w porządku. - Nie spierała się z nim dłużej, przyjęła jego decyzję. - Gdzie będę mogła cię znaleźć, jeśli czegoś się dowiem?

Dał jej prywatny numer Colina Noble'a w Thorze, nabazgrany na kartce.

- Albo tam, albo w hotelu - powiedział.

- Pozwól, że przynajmniej odwiozę cię do Paryża - poprosiła.

Tymczasem wiadomość o uprowadzeniu pojawiła się w prasie, zanim Peter wylądował na Heathrow. W drodze z lotniska do Londynu znalazł na pierwszej stronie „Evening Standard” następującą notatkę:

„Ofiara została uprowadzona sprzed wejścia do domu przy Leaden Street w Cambridge w czwartek o godzinie jedenastej. Jedna z sąsiadek widziała ją o tej porze rozmawiającą z pasażerami brązowej limuzyny marki Triumph. Po krótkiej rozmowie dziewczynka wsiadła do samochodu, który natychmiast się oddalił.

- Zdaje się, że w samochodzie znajdowały się tylko dwie osoby - powiedziała naszemu korespondentowi sąsiadka, pani Shirley Callon, lat 32. Melissa Jane zaś zachowywała się zupełnie spokojnie. Wsiadła bez najmniejszego oporu. Wiem, że jej ojciec, który jest wojskowym wysokiej rangi, często przysyłał po nią samochód. Sądziłam, że i tym razem jest tak samo.

Matka złożyła na policji meldunek o zniknięciu córki po upływie dwudziestu czterech godzin, gdyż wcześniej sądziła, że przebywa ona u ojca. Dopiero gdy mimo starań nie udało się jej nawiązać kontaktu z generałem-majorem Stride'em, ojcem dziewczynki, udała się na policję. Policja znalazła brązowego triumpha, porzuconego

na dworcu kolejowym w Cambridge. Okazało się, że został skradziony poprzedniego dnia w Londynie. Wszczęto poszukiwania dziewczynki i jej porywaczy na terenie całego kraju.

Sledztwo w tej sprawie prowadzone jest pod kierunkiem głównego inspektora policji Alana Richardsa i każdy, kto jest w stanie dostarczyć jakąkolwiek informację na ten temat, proszony jest o telefon pod numer... „„

W dalszym ciągu notatki podany był numer telefonu w Londynie i szczegółowy opis Melissy Jane oraz jej ubioru w dniu zniknięcia.

Peter zmiął gazetę i rzucił ją na siedzenie obok. Siedział wyprostowany i wpatrzony przed siebie.

Inspektor Alan Richards był małym, żyłastym mężczyzną, bardziej przypominającym dżokeja niż policjanta. Miał przedwcześnie pomarszczoną twarz i zaawansowaną łysinę, którą starannie ukrywał pod zaczesywanymi włosami, lecz spojrzenie bystre i inteligentne, sposób bycia bezpośredni, a ruchy zdecydowane.

Uściskał dłoń Petera, którego przedstawił mu Colin Noble.

- Z góry pragnę zaznaczyć, generale, że ta sprawa należy do policji. Jednakże, biorąc pod uwagę szczególne okoliczności, gotów jestem do ścisłej współpracy z wojskiem.

Richards szybko zrelacjonował, jakie kroki już przedsięwzięto. Kierował śledztwem w dwóch biurowych pokojach na trzecim piętrze Scotland Yardu. Otrzymał do dyspozycji dwie młode policjantki, dyżurujące przy aparatach telefonicznych.

- Dotychczas odebrały czterysta telefonów. Są wśród nich sygnały poważne, są również historie zupełnie idiotyczne, wszystkie jednak badamy skrupulatnie. - W tym momencie wyraz jego twarzy złagodniał nieco. - Znosi się na długie, żmudne śledztwo, generale, ale prowadzimy je, oczywiście, również w kilku innych kierunkach. A teraz proszę przejść do następnego pokoju.

Drugi pokój był wyposażony w solidne, lecz bezstylowe meble. Uwagę Petera zwrócił przede wszystkim kociołek z gotującą się wodą. Richards zaprosił gości na herbatę, a potem ciągnął dalej:

- Trzej moi ludzie rozebrali na części samochód wykorzystany przez porywaczy. Nie ulega wątpliwości, że to właśnie ten samochód. Pańska była żona poznała portmonetkę znaną na podłodze. Należała do pańskiej córki. Pobraliśmy ponad sześćset odcisków palców i wciąż pobieramy nowe. Wyodrębnienie i identyfikacja nieznanymi odcisków wymagać będą sporo czasu. Jednak już teraz udało się stwierdzić, że dwa z nich odpowiadają odciskom zdjętym w pokoju pańskiej córki. (Może cukru? Albo mleczka?). Sąsiadka pańskiej żony, pani Galion, która była świadkiem porwania, pracuje nad portretem pamięciowym kierowcy samochodu. Niestety, nie przyjrzała mu się dobrze. To raczej trudna sprawa. - Wypił kilka łyków

herbaty. - Mamy jednak zamiar zaprezentować ten portret w telewizji z nadzieją, że naprowadzi nas na jakiś ślad. Obawiam się, że w podobnej jak ta sprawie nic więcej uczynić się nie da. Trzeba czekać cierpliwie na jakiś sygnał, na kontakt z porywaczami. Nie spodziewamy się, żeby szukali kontaktu z matką, ale na wszelki wypadek zainstalowaliśmy podsłuch jej telefonu i zorganizowaliśmy stałą obserwację mieszkania. - Richards rozłożył szeroko ręce. - To wszystko, generale Stride, teraz pańska kolej. Co pan ma nam do powiedzenia? Kto mógł być zainteresowany w porwaniu pańskiej córki?

Peter wymienił spojrzenie z Colinem Noble'em, lecz milczał, zbierając myśli. Tymczasem inspektor Richards nalegał:

- Wiem, że pan nie jest bogatym człowiekiem, generale, ale pański brat?

Peter stanowczo odrzucił sugestię inspektora.

- Mój brat ma własne dzieci. Gdyby chodziło o jego pieniądze, raczej któreś z nich by porwano.

- A więc zemsta? Był pan bardzo aktywny w Irlandii, dowodził pan grupą, która odbiła boeinga w Johannesburgu.

- Zemsta? To bardzo możliwe.

- O ile mi wiadomo, zerwał pan już z czynną służbą w wojsku.

Peter nie miał ochoty być dalej przesłuchiwany.

- Nie sądzę, żeby tego rodzaju zgadywanie cokolwiek dało. Motywy porywaczy poznamy z chwilą, gdy przedstawią nam swoje żądania.

- To prawda. - Richards odsunął pustą filiżankę nerwowym ruchem. - Mogli panu nie wysłać jej... - Przerwał, gdy spostrzegł nagłą zmianę wyrazu twarzy Petera. - Bardzo pana przepraszam, generale. To, co powiem, zabrzmie okropnie, ale nadesłanie panu palca córki jest dowodem na to, że ona żyje i że właśnie z panem porywacze zamierzają nawiązać kontakt. Jest to deklaracja ich zamiarów i jednocześnie groźba...

Rozległ się ostry dzwonek telefonu, Richards podniósł słuchawkę.

- Richards! - Szczeknął do słuchawki, a potem długo i uważnie słuchał, od czasu do czasu zachęcając chrząknięciem swojego rozmówcę do dalszych wyjaśnień. Gdy się rozłączył, przez chwilę nic nie mówił, lecz podsunął Peterowi wymiętą paczkę papierosów. Kiedy ten odmówił, dziękując, sam zapalił papierosa i odezwał się niepewnym głosem:

- To było laboratorium. Pańska córka była dawcą białych ciałek, prawda?

Peter potwierdził skinieniem głowy. Melissa Jane w ten sposób demonstrowała społeczne zaangażowanie. Gdyby jej nie wyperswadowano, dawałaby także krew i szpik kostny.

- Dokładne wyniki otrzymamy ze szpitala w Cambridge, ale już w tej chwili możemy powiedzieć, że próbka z nadesłanego palca odpowiada grupie krwi pańskiej córki. Obawiam się, że palec należał do niej. Nie wyobrażam sobie, aby porywacze byli w stanie nadesłać nam inny palec o identycznej grupie krwi.

Peter w głębi ducha wciąż żywił nadzieję, że miał do czynienia z mistyfikacją, że palec odcięto trupowi, ofierze jakiegoś wypadku, lub że stanowił jakaś medyczną próbkę. Teraz, kiedy mu odebrano tę nadzieję, poczuł przyływ rozpacz.

Milczeli chwilę i dopiero Colin Noble przerwał ciszę.

- Mam nadzieję, inspektorze, że pan wie, czym jest Thor.

- Tak, oczywiście. Wiele się mówiło i pisało o Thorze w związku z porwaniem samolotu w Johannesburgu. To jest antyterrorystyczna jednostka wojskowa.

- Są wśród nas najwybitniejsi w świecie specjaliści do walki z terroryzmem.

- Wiem, co pan chce powiedzieć, pułkowniku - sucho burknął Richards. - Najpierw jednak odszukajmy tych terrorystów, a potem wszelkie próby ratowania ofiary odbywać się będą pod pełną kontrolą komisarza policji.

Była trzecia po północy, gdy Peter Stride pojawił się w recepcji hotelu Dorchester przy Park Lane.

- Pokój dla pana zarezerwowano już wczoraj od południa, generale.

- Przepraszam. - Peter zauważył, że wskutek wyczerpania i napięcia nerwowego wymawia niewyraźnie poszczególne wyrazy. Dopiero co opuścił Główną Kwaterę Policji. Przekonał się, że zrobiono już wszystko, co było do zrobienia, i że może całkowicie polegać na głównym inspektorze Richardsie i jego zespole. Ponadto otrzymał od Richardsa solenne zapewnienie, iż bez względu na porę dnia i nocy będzie informowany o postępach śledztwa.

Podpisał rejestr hotelowy, spoglądając na recepcjonistkę zaczerwienionymi od niewyspania, podpuchniętymi oczami.

- Mam tutaj informacje i pocztę dla pana, generale.

- Dziękuję pani, dobranoc.

W windzie zainteresował się otrzymaną pocztą.

Na pierwszej kartce była notatka: „Baronowa Altmann prosi o telefon do Paryża lub do Rambouillet”.

Treść notatki na drugiej kartce była podobna: „Dzwoniła pani Cyntia Barrow. Prosi o telefon do Cambridge pod numer 699-313”.

I wreszcie opieczętowana koperta, z dobrej jakości papieru, bez nadawcy. Nazwisko adresata zostało napisane dużymi, drukowanymi literami, staromodnym kaligraficznym pismem. Ani śladu znaczka, widocznie list doręczono przez posłańca.

Peter otworzył kopertę i wyjął z niej kartkę zwykłego papieru do pisania, jakiego nie brakuje we wszystkich sklepach papierniczych w Zjednoczonym Królestwie. Podobnie jak na kopercie pismo było regularne, prawdopodobnie wykonane za pomocą plastikowego szablonu, jaki również nietrudno nabyć w każdym sklepie papierniczym i w sklepach z zabawkami. Użycie takiego szablonu skutecznie uniemożliwiało zidentyfikowanie charakteru pisma.

Palec już otrzymałeś, potem otrzymasz rękę, potem drugą, dalej, po kolei, obie stopy i, na koniec, głowę.

Następną przesyłkę otrzymasz 20 kwietnia, a w odstępach siedmiodniowych kolejne paczki.

Jeśli nie chcesz do tego dopuścić, musisz dać życie za życie.

W dniu, w którym umrze dr Kingston Parker, twoja córka wróci do ciebie żywa i zdrowa.

Zniszcz ten list i nie wspominaj o nim nikomu, inaczej otrzymasz jej głowę natychmiast.

List został podpisany imieniem, które tak mocno zaznaczyło się w życiu Petera: KALIF.

Zaskoczenie, jakiego doznał po przeczytaniu listu, dotknęło najgłębszych warstw jego duszy. Widział to imię napisane. Otrzymał potwierdzenie życia bestii, której istnienie dotąd tylko podejrzewał. Ujrzał niejako jej własnoręczny podpis.

Szok spowodowany listem był tym większy, że treść, nieludzka i bezwzględna, sięgała najdalszych granic okrucieństwa.

Spostrzegł, że kartka, którą trzyma w ręku, drży, i dopiero wtedy uprzytomnił sobie ze zdumieniem, że cały się trzęsie, jak chory w gorączce. Chłopiec hotelowy niosący jego walizkę patrzył na niego z zaciekawieniem. Z największym więc trudem opanował drżenie rąk i całego ciała, schował kartkę do kieszeni.

Do momentu zatrzymania się windy stał sztywno wyprostowany, a następnie krokiem marszowym ruszył korytarzem za chłopcem hotelowym w kierunku swojego pokoju. Wręczył mu jakiś banknot, nawet nie rzuciwszy na niego okiem, i gdy tylko drzwi się zatrzasnęły, wyjął ponownie list z kieszeni. Stojąc na środku pokoju patrzył na niego dopóty, dopóki poszczególne jego wyrazy nie zaczęły zlewać mu się w oczach w nieczytelne, pozbawione jakiegokolwiek znaczenia rzędkie liter.

Po raz pierwszy w życiu ogarnęła go panika, stracił nad sobą kontrolę i zdolność podejmowania decyzji. Nabrał powietrza w płuca i zamknąwszy oczy, zaczął w myśli liczyć do stu, a następnie rozkazał sam sobie:

- Masz myśleć!

Tak więc Kalif zna każdy jego ruch, wszystkie jego zamiary. Wiedział nawet, że Peter dziś będzie w tym hotelu. Kto o tym wiedział oprócz niego? Cyntia, Colin Noble, Magda Altmann, sekretarz w Rambouillet, który dokonywał rezerwacji pokoju, sekretarz Colina w Thorze, personel hotelowy i każdy, kto zadał sobie choć niewielki wysiłek, żeby zorientować się, że zwykle zatrzymuje się tutaj. Ten trop prowadzi więc donikąd.

- Masz myśleć!

Kalif śledził go, obserwował, znał jego wady, zalety i możliwości. Wiedział, że Peter spotykał się z ludźmi zajmującymi wysokie stanowiska, że mógł, na przykład, bez trudu dostać się do zwierzchnika Atlasu, po prostu prosząc go o audiencję. Co

więcej, był w stanie dotrzeć nawet do głowy państwa, jeśliby bardzo sobie tego życzył.

Po raz pierwszy w życiu Peter poczuł potrzebę napicia się alkoholu. Szybko podszedł do szafki i przekręcił klucz. Z wiszącego nad nią lustro w złoconych ramach patrzyła obca twarz. Błada, wynędzniała, z bruzdami wokół ust. Głębokie cienie zmęczenia pod oczami, wychudłe policzki i błękitne oczy z błyskiem obłędu. Odwrócił oczy od odbicia, które tylko potęgowało w nim poczucie nierzeczywistości.

Nalał pół szklanki szkockiej whisky i od razu wypił połowę alkoholu. Zakrztusił się nieco, kropla potoczyła się w dół po podbródku. Wytarł usta i brodę zewnętrzną stroną dłoni, a następnie wrócił do kartki. Była wymięta, więc ją starannie wygładził.

- Masz myśleć!

W taki sposób właśnie działał Kalif. Nigdy nie ujawniając się, zawsze działając z ukrycia, starannie dokonując wyboru ludzi, którymi się posługiwał. Fanatycznych, jak ta młoda dziewczyna Ingrid, która dokonała porwania samolotu. Wyszkolonych morderców, jak ten mężczyzna, którego Carl zabił w rzece koło La Pierre Bénite. Wybitnych ekspertów, takich jak generał Peter Stride. Obserwował, oceniał możliwości i w końcu ustalał cenę.

Peter nigdy nie podzielał opinii, że każdy człowiek ma swoją cenę. Sądził, iż jego ta zasada nie dotyczy. Teraz już wiedział, że się mylił, i świadomość tego przyprawiła go o ból głowy. Kalif określił jego cenę w sposób bezbłędny.

Peter miał żywo w pamięci obraz Melissy Jane na koniu, w momencie gdy odwróciła się do niego i ze śmiechem zawołała: „To było wspaniałe!”.

Wzdrygnął się i mimo woli zmiażdżył papier w kulkę.

Przed sobą widział czekającą go drogę. Nagle uświadomił sobie, że już wcześniej wszedł na nią. Miało to miejsce wtedy, gdy na dworcu lotniczym w Johannesburgu zabił dziewczynę, uzurpując sobie rolę sędziego i wykonawcy wyroku jednocześnie.

Kalif był odpowiedzialny za tamten pierwszy fałszywy krok, a teraz ten sam Kalif popychał go dalej, w tym samym kierunku, na drogę przestępstwa.

Peter zdawał sobie doskonale sprawę, że śmierć Kingstona Parkera nie położy kresu jego zależności od Kalifa. Wystarczy raz wykonać jego polecenie, żeby uzależnić się od niego na zawsze, chyba że jeden z nich zniszczy wcześniej drugiego.

Wypił resztę whisky z kubka.

Tak, to Melissa Jane stanowi jego cenę. Kalif trafnie określił stawkę. Za żadną inną cenę nie można było go kupić.

Peter wziął do ręki pudełko z zapalnikami i jak lunatyk skierował się do łazienki. Tutaj zwinął kartkę w rulonik i zapalił jeden jego koniec, trzymając drugi nad miską klozetową tak długo, dopóki ogień nie zaczął przypiekać mu palców. Dopiero wtedy rzucił go i spuścił wodę. Potem wrócił do pokoju i ponownie napełnił szklankę szkocką. Przysunął do okna fotel i usiadł w nim wygodnie. Uprzytomnił sobie, jak bardzo jest zmęczony. Nogi mu się trzęsły, oddychał szybko.

Myślał o Kingstonie Parkerze. Człowiek tego kalibru znaczył bardzo wiele dla ludzkości. Zamach na niego będzie zamachem na samego siebie. On sam będzie niezamierzoną ofiarą.

Bomba, pomyślał. Nienawidził bomb. Były dla niego symbolem bezsensownej przemocy. Często używano ich w Irlandii i w Londynie. Powodowały nie dającą się przewidzieć, nedorzeczną śmierć przypadkowych osób i bezcelowe zniszczenia.

To właśnie będzie bomba, postanowił, i ze zdziwieniem zauważył, że jego nienawiść znalazła nowy cel. Po raz pierwszy w życiu poczuł, że nienawidzi samego siebie za to, co zamierza uczynić.

Kalif zwyciężył. Wiedział, że nie ma najmniejszej szansy na ustalenie miejsca ukrycia Melissy Jane. Kalif zwyciężył i dlatego Peter Stride spędził resztę nocy, planując jeden z tych czynów, walce z którymi poświęcił całe dotychczasowe życie.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego do tej pory nie nawiązali żadnego kontaktu. - Inspektor Richards przyczesał bezskutecznie dłonią nieliczne pasma włosów przykrywających jego łysinę. - Minęło już pięć dni, a wciąż nie znamy ich żądań.

- Wiedzą dobrze, gdzie szukać Petera - stwierdził Colin Noble. - W wywiadzie telewizyjnym mówił również o tym.

Peter Stride wystąpił w programie telewizyjnym BBC z apelem skierowanym do porywaczy, aby zaniechali dalszego okaleczania jego córki, oraz do społeczeństwa z prośbą o dostarczanie każdej informacji, która może okazać się pomocna. W tym samym programie zaprezentowano portret pamięciowy kierowcy brązowego triumpfa, wykonany na podstawie relacji przypadkowego świadka porwania.

Reakcja społeczeństwa była przygniatająca. Telefon do biura inspektora Richardsa był wciąż zablokowany, napływały setki listów.

Jakąś czternastoletnią uciekinierkę z domu policja nakryła w apartamencie hotelowym w Bournemouth z trzydziestodwuletnim kochankiem w łóżku. Powróciła, gorzko płacząc, na łono rodziny. Na krótko; po dwudziestu czterech godzinach zniknęła ponownie.

W północnej Szkocji policja dokonała najazdu na ustronny domek wynajęty przez czarnowłosego, gładko uczesanego mężczyznę, podobnego do portretu. Jak się okazało, zajmował się chałupniczą produkcją LSD; zanim nieruchawi i opieszali szkoccy policjanci zorientowali się w sytuacji, pechowy producent narkotyku zdążył się ulotnić wraz z czwórką pomocników, wśród których znajdowała się również młoda dziewczyna, przypominająca Melissę Jane tylko tym, że była tej samej płci i miała blond włosy.

Peter Stride był wściekły.

- Gdyby to była Melissa Jane, porywacze mieliby dość czasu, żeby ją zmusić do milczenia na zawsze! - Krzyczał do Richardsa. - Następnym razem należy włączyć

Thor do akcji.

Korzystając ze środków łączności Thoru, przeprowadził na ten temat bezpośrednią rozmowę z Kingstonem Parkerem.

- Użyję całego swojego wpływu, żeby to załatwić zapewnił go Parker, a następnie dodał z wyrazem głębokiego współczucia w oczach: - Peterze, moje myśli są cały czas przy tobie. To ja cię wmanewrowałem w tę okropną sytuację. Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, że twoja córka może się stać celem ataku. Możesz liczyć na każdą pomoc z mojej strony.

- Dziękuję panu, sir - powiedział Peter, czując, że jego postanowienie o śmierci tego człowieka nagle osłabło. W ciągu najbliższych dziesięciu dni powinien go zabić. Chwilę słabości przezwyciężył, przypominając sobie małą buteleczkę z pływającym w środku pomarszczonym, wyblakłym palcem.

Wpływ Kingstona Parkera okazał się bardzo skuteczny. W ciągu sześciu godzin nadeszła decyzja z Downing Street za pośrednictwem Głównej Kwatery Policji, że następna akcja winna być przeprowadzona przez dowództwo Thoru. Królewskie siły powietrzne oddały do dyspozycji oddziału dwa helikoptery na okres trwania operacji, a zespół Thoru rozpoczął intensywny trening, przygotowujący do działań w warunkach miejskich. Razem z innymi ćwiczył Peter, który szybko odnowił współpracę z Colinem Noble'em.

W czasie wolnym od ćwiczeń z helikopterami Peter chętnie przebywał na zakrytej strzelnicy, usiłując zagłuszyć niepokój hukiem pistoletowych wystrzałów. Dni płynęły szybko, a z wyjątkiem fałszywych alarmów i wprowadzających w błąd informacji nic się nie zmieniało.

Każdego wieczoru Peter spoglądał w lustro nad szafką z alkoholem, z którego patrzyła na niego coraz bardziej wychudła, twarz o śmiertelnie zmęczonych, niebieskich oczach.

Do wyznaczonego przez porywaczy terminu pozostało tylko sześć dni. Peter wyszedł z hotelu jeszcze przed śniadaniem, wsiadł do metra na stacji Green Park i wysiadł na Finsbury Park. W sklepie ogrodniczym obok stacji kupił dwudziestofuntową torbę azotanu amonowego, służącego ogrodnikom jako nawóz. Swoją niezwykły zakup przyniósł do hotelu i schował go w walizce, którą z kolei ukrył w szafce.

Tego wieczoru rozmawiał z Magdą Altmann. Ponownie nalegała na przyjazd do Londynu.

- Peterze, wiem, że mogę być ci pomocna. Nawet jeśli bym tylko miała stać obok ciebie i trzymać cię za rękę.

- Nie. To zupełnie zbędne. - Dostrzegając brutalną nutę w swoim głosie, ale nie potrafił się powstrzymać właśnie przed brutalnością. Zdawał sobie sprawę z tego, że jest już u granic wytrzymałości psychicznej. - Czy dowiedziałaś się czegoś?

- Bardzo mi przykro, Peterze, ale niczego, absolutnie niczego. Chociaż moi ludzie

robią wszystko, co mogą.

Peter kupił pięć litrów oleju napędowego od krostowatego podrostka w brudnym kombinezonie. Chłopak nie wykazywał żadnego zainteresowania transakcją, ostatecznie jednak Peter wrócił do hotelu z pełną plastikową bańką. W hotelowej łazience wyprodukował z oleju napędowego i azotanu dwadzieścia jeden funtów materiału wybuchowego, eksplodującego dopiero pod działaniem zapłonu. Taki zapłon skonstruował również własnoręcznie.

Za pomocą tego materiału można było całkowicie zniszczyć mieszkanie złożone z trzech pokoi. Peterowi chodziło szczególnie o to, żeby zniszczenia ograniczyły się wyłącznie do trzech pokoi. Nie powinno być rzeczą trudną zwabienie Kingstona Parkera do takiego mieszkania, pod pozorem przekazania pilnej informacji o Kalifie, informacji tak wielkiej wagi, że mogła być przekazana tylko osobiście i w prywatnym mieszkaniu.

Tego wieczoru twarz w lustrze nad szafką z alkoholem była twarzą człowieka w ostatnim stadium ciężkiej choroby. Butelka whisky okazała się już pusta. Peter odpieczętował więc nową, usprawiedliwiając się przed sobą, że po wypiciu lepiej będzie spał.

Ostry, zimny wiatr dął od strony Morza Irlandzkiego z niezwykłą siłą, ciężkie ołowiane chmury płynęły ponad wierzchołkami wzgórz Wicklow. Od czasu do czasu, poprzez niewielkie szczeliny w chmurach, przedzierały się słabe o tej porze roku i mdłe promienie słoneczne, rozlewając się szybko po zielonych, zalesionych szczytach wzgórz. Rychło jednak znikwały ponownie za chmurami i lodowaty drobny deszcz zaczynał siąpić od nowa.

Opustoszałą ulicą wioski szedł mężczyzna. Aczkolwiek turyści nie rozpoczęli jeszcze swojego dorocznego najazdu na okolicę, to jednak ogłoszenia: „Nocleg i śniadanie” wisiały już, tu i ówdzie, przed domami.

Mężczyzna minął obojętnie pub szokujący swoim różowym wystrojem i zatrzymał się dopiero na chwilę, żeby przeczytać napis, wiszący nad wjazdem na pusty o tej porze parking: „Czarne jest piękne - pij więc piwo marki Guinness”. Jednak nie skwitował go nawet uśmiechem, tylko zwiesiwszy głowę powlókł się dalej przez dzielący wioskę na dwoje mostek.

Na jego kamiennych balustradach nocny artysta namalował aerozolem polityczne slogany. Po lewej stronie widniał napis: „Precz z Brytyjczykami”, po prawej: „Zaprzestać tortur”. Tym razem mężczyzna uśmiechnął się kwaśno.

Niżej, pod mostem, szarostalowa woda pieniała się wokół kamiennych falochronów, by następnie z szumem rzucić się w kierunku morza.

Mężczyzna miał na sobie plastikową pelerynę, jaką zwykle noszą cykliści, a na głowie kaszkiet z tweedu naciągnięty głęboko na oczy. Dmący wiatr szarpał poły

peleryny, chłuszcząc nimi długie buty nieznajomego, który kulił się pod jego podmuchami, lecz chociaż zgarbiony, opierał się skutecznie wściekłym podmuchom i wciąż posuwał się naprzód. Mijał rzadko usytuowane domy. Ulica była pusta, ale mężczyzna zdawał sobie sprawę z tego, że był obserwowany spoza zasłon i firanek.

Wioska rozpościerała się na zboczach wzgórz Wicklow, około pięćdziesięciu kilometrów od Dublina. To nie on wybrał ją na miejsce ukrycia. Tutaj, w tej odizolowanej od świata wsi, obcy zawsze byli podejrzani. Lepiej było ukryć się w mieście, gdzie łatwiej można zachować anonimowość. Niestety, nie uwzględniono jego opinii.

Od momentu przyjazdu dopiero po raz trzeci wyszedł z domu. Każdorazowo w celu uzupełnienia zaopatrzenia. Przy odrobinie zapobiegliwości ze strony osoby, która przygotowała dla nich ten stary dom, można było tego uniknąć. Trudno jednak polegać na człowieku nie stroniącym od kieliszka, którego wybrano znów bez jakiegokolwiek konsultacji.

Przybysz był niezadowolony i rozdrażniony tym, co zastał. Niemal cały czas padało, a centralne nie działało. Dwa duże pokoje ogrzewano wyłącznie paląc w kominku torfem. Wysokie i przestronne pomieszczenia, z małą ilością mebli, nie były łatwe do ogrzania. Dom był ponury, wszędzie panował charakterystyczny zapach wilgoci. Tkwił tu skazany na wyłączne niemal towarzystwo narzekającego bez przerwy alkoholika. W tej sytuacji z niecierpliwością czekał na zmianę, która przerwałaby tę przygniatającą monotonię. Na razie musiał spełniać rolę chłopca na posyłki i służącego, rolę, która mu nie odpowiadała pod żadnym względem. Szedł więc ponury, ze zwieszoną głową, w kierunku wiejskiego sklepu.

Gdy wyglądający przez okno sklepikarz dostrzegł go, zawołał żonę z zaplecza sklepu.

- Idzie ten z Old Manse.

Podeszła, wycierając ręce o fartuch. Była tęgą, małą kobietą o jasnych oczach i ruchliwym języku.

- Ci miastowi ludzie są bez pojęcia, żeby w taką pogodę...

- Słusznie, do tego zabrakło mi właśnie płatków kukurydzianych i Jamieson whisky.

Plotki o nowym lokatorze Old Manse stały się główną sensacją w wiosce. Od miejscowej telefonistki dowiedziano się, że dwukrotnie rozmawiał z zagranicą od listonosza, że nie otrzymywał listów, od śmieciarza, że wśród śmieci z Old Manse przeważały tekturowe pudełka po płatkach kukurydzianych i butelki po Jamieson whisky.

- Myślę, że przybył do nas z północy - stwierdziła żona sklepikarza. - Wygląda na człowieka z Ulsteru.

- Pst, kobieto - ostrzegł ją mąż. - Językiem możesz na nas ściągnąć biedę. Wracaj lepiej do kuchni.

W drzwiach pojawił się mężczyzna, zdejmując z głowy kaszkiet i strząsając wodę z peleryny. Miał gładko uczesane, czarne, nierówno obcięte nad czołem włosy, ciemną twarz Irlandczyka i płonące oczy, jak u sokoła, któremu po raz pierwszy założono skórzaną obrozę.

- Dzień dobry panu, panie Barry - sklepikarz powitał serdecznie klienta. - Będzie tak chyba padało, dopóki się nie rozjaśni.

Mężczyzna nazwany panem Barrym chrząknął, nic nie odpowiadając, następnie ściągnął z ramion przeciwdeszczowe okrycie i wsunął się do ciasnego, zagraconego wnętrza sklepu, penetrując wzrokiem jego półki. Miał na sobie marynarkę z grubego tweedu i brązowe sztruksowe spodnie z nogawkami wepchniętymi w długie buty.

- Czy pan już skończył pisanie swojej książki? - Zapytał sklepikarz. Barry powiedział kiedyś roznosicielowi mleka, że pracuje nad książką o Irlandii. Wzgórza Wicklow stanowiły prawdziwą twierdzę dla literatów, których około tuzina mieszkało w promieniu dwudziestu mil. Korzystali ze specjalnych ulg podatkowych zapewnianych przez władze irlandzkie pisarzom i artystom.

- Jeszcze nie - mruknął Barry i przeszedł między półkami w pobliże kasy sklepowej. Wybrał kilka różnych przedmiotów i położył je na odrapanej ladzie.

- Kiedy książka zostanie już napisana i wydrukowana, poproszę w bibliotece o jeden egzemplarz do przeczytania oznajmił sklepikarz tak, jakby jego rozmówcy o to właśnie chodziło, a następnie uruchomił kasę rejestrującą ceny towarów.

Górna warga Barry'ego była nienaturalnie gładka i bledsza niż reszta twarzy. Bezpośrednio przed przybyciem do wioski zgolił długie, opadające na dół wąsy i skrócił grzywkę, sięgającą przedtem niemal do oczu.

Sklepikarz wziął do ręki jeden z zakupów i spojrzał pytająco na Barry'ego, ale gdy ten nie reagował, milcząc opuścił wzrok na kasę i kontynuował sumowanie cen.

- Trzy funty i dwadzieścia pensów - oświadczył, przyjął należność i zatrzasnął szufladkę kasy. Barry narzucił pelerynę na ramiona i założył kaszkiet na głowę. - Z Bogiem, panie Barry - pożegnał klienta sklepikarz.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi; jeszcze przez chwilę odprowadzał go wzrokiem, po czym znów zawołał żonę.

- On na pewno jest jednym z nich, jestem przekonana.

- Ma z sobą przyjaciółkę - sklepikarz aż płonął z niecierpliwości, żeby podzielić się z żoną nieoczekiwanym odkryciem.

- Skąd wiesz?

- Przed chwilą kupował kobiece rzeczy, rozumiesz? Zrobił oko do żony.

- Nie wiem, o co chodzi.

- Kobieta potrzebuje tego, gdy ma miesięczkę.

Twarz żony rozjaśniła się w nagłym olśnieniu; natychmiast zaczęła odwiązywać fartuch.

- Jesteś tego pewien? - Zapytała jeszcze.

- Czy usłyszałaś kiedyś ode mnie nieprawdę?
- Wiesz, pójde chyba do Mollie na filiżankę herbaty powiedziała. Usłyszana nowina najwyraźniej nie dawała jej spokoju.

Tymczasem mężczyzna znany jako Barry zbliżał się do Old Manse. Jedyne z powodu obszernej peleryny i ciężkich butów poruszał się niezgrabnie i ociężale, był bowiem szczupły, wysportowany i w doskonałej kondycji fizycznej. Spod daszka kaszkietu spoglądał bystrymi i ruchliwymi oczami myśliwego.

Mur otaczający posesję był na trzy i pół metra wysoki, miejscami pokryty srebrzystoszarymi porostami i choć tu i ówdzie już popękany i przechylony, wciąż jednak wyglądał na wystarczająco solidny, żeby zapewnić bezpieczeństwo i spokój.

Barry podszedł do znajdujących się w murze dwuskrzydłowych drzwi do garażu. Były na wpół zbutwiałe, lecz najwidoczniej niedawno wyposażono je w nowy mosiężny zamek yale, a wszystkie szpary i otwory starannie uszczelniono, aby uniemożliwić zaglądnienie z zewnątrz. Otworzył zamek i wszedł do środka, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Naprzeciwko wejścia stał granatowy austin, gotów w każdej chwili do wyjazdu. Został skradziony dwa tygodnie temu w Ulsterze, następnie przemalowany i wyposażony w bagażnik na dachu, co całkowicie zmieniło jego wygląd. Dokonano przeglądu silnika i wyrobiono nową kartę rejestracyjną. Barry zapłacił za niego dwa razy tyle, ile wynosiła cena rynkowa.

Teraz usiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk. Silnik zapalił natychmiast. Chrząknął z zadowoleniem. W jego sytuacji sekundy decydowały często o sukcesie, a porażka mogła oznaczać śmierć. Przez chwilę przysłuchiwał się pracy silnika, sprawdzając ciśnienie oleju i wskaźnik paliwa, po czym zgasił go i wyszedł przez tylne drzwi garażu na dziedziniec.

Stary dom otaczała smutna aura opustoszenia i rozkładu. Nieliczne drzewa owocowe w małym sadzie porosły pasożytami, wokoło rozpleniły się bujnie chwasty. Słomiany dach pokrył zielony mech, a niewielkie okna wyglądały niczym oczy ślepeca.

Barry wszedł z dziedzińca do kuchni, zrzucił na podłogę mokrą pelerynę i kaszkiet, a torbę z zakupami postawił na stole. Następnie wysunął ze stołu szufladę na sztucce i wyjął ukryty w niej pistolet. Była to brytyjska, oficerska broń, zdobyta trzy lata temu podczas napadu na arsenał wojskowy w Ulsterze. Ze znanstwem eksperta sprawdził jej funkcjonowanie, a następnie wsunął za pas. Bez broni nigdy nie czuł się bezpieczny, ale w wiosce wolał nie pokazywać się z pistoletem.

Nalewał właśnie wodę z kranu do kociołka, gdy usłyszał głos z sąsiedniego pokoju.

- To ty, Barry?

- A któż by inny - odpowiedział opryskliwie. Rozmówca pojawił się w drzwiach.

Był to chudy, przygarbiony mężczyzna po pięćdziesiątce, z napuchniętą, czerwoną twarzą nałogowego alkoholika.

- Czy masz to, o co prosiłem? - Głos miał ochrypliwy od alkoholu, twarz pokrytą brunatnymi plamami, nieogoloną już od kilku dni. Robił wrażenie śmiertelnie znużonego człowieka.

Barry wskazał ręką na stojącą na stole torbę z zakupami.

- Jest wszystko, doktorze.

- Proszę nie nazywać mnie doktorem, już nim nie jestem powiedział z irytacją.

- Och, jesteś nawet cholernie dobrym lekarzem. Wiedzą coś o tym dziewczyny, którym pomogłeś pozbyć się brzucha.

- Zostaw mnie, do diabła, w spokoju.

Tak, był kiedyś dobrym lekarzem. Dawno temu, kiedy nie pił jeszcze tyle whisky. Teraz pozostały mu tylko aborcje, leczenie ran postrzałowych i takie nieczyste sprawy jak ta. Nie lubił nawet o nich myśleć. Podeszedł do stołu i zajrzał do torby.

- Prosiłem cię o plaster.

- Nie było. Kupiłem bandaż.

- Nie mogę... - Zaczął doktor, ale Barry przerwał mu nagle z wyrazem wściekłości na twarzy.

- Mam już dość tego twojego skomlenia. Powinieneś sam postarać się o to, czego potrzebujesz, a nie wyręczać się mną.

- Nie myślałem, że rana...

- Ty w ogóle o niczym innym nie myślisz, tylko o kieliszku. Nie ma plastra. A teraz zabierz to ze sobą i zabandażuj rękę tej suce.

Stary człowiek zabrał torbę i wyniósł się pospiesznie do sąsiedniego pokoju.

Barry zaparzył herbatę, nalał ją do grubego kubka, wsypał cztery łyżeczki cukru i zaczął wolno mieszać, wyglądając jednocześnie przez okno. Znowu pada. Ten deszcz i ciągle wyczekiwanie doprowadzały go do szaleństwa.

Doktor wszedł ponownie do kuchni, niosąc przesiąknięty krwią i ropą zwój płótna.

- Jest chora - powiedział. - Potrzebuje lekarstw, antybiotyków. Palec...

- Nie chcę nawet słuchać o tym - z niecierpliwością odpowiedział Barry. Dobiegło ich przeciągłe kwilenie, a następnie chaotyczne mamrotanie mającej w gorączce dziewczynki.

- Jeśli nie zapewnimy jej właściwej opieki lekarskiej i odpowiednich warunków leczenia, wszystko może się źle skończyć. Nie biorę na siebie żadnej odpowiedzialności.

- Odpowiadasz za nią - oświadczył twardo Barry. Dopilnuję tego.

Doktor wrzucił zwój do zlewu i otworzył kran z wodą, spłukując zabrudzone płótno.

- Czy nie mógłbym teraz się napić? - Zapytał.

Barry spojrzał na zegarek z sadystycznym uśmiechem na ustach.

- Nie. Jeszcze nie - postanowił.

Doktor nasypał do zlewu płatków mydlanych.

- Chyba nie będę w stanie amputować ręki - szepnął, kręcąc głową. - Palec to głupstwo, ale całą rękę...

- Jeśli trzeba będzie, utniesz i rękę - oświadczył Barry. Słyszysz mnie dobrze, ty stary wraku? Utniesz również rękę i w ogóle zrobisz wszystko, co ci każę.

Sir Steven Stride ogłosił nagrodę wysokości pięćdziesięciu tysięcy funtów za dostarczenie informacji, która pomogłaby w uwolnieniu jego bratanicy. Ogłoszenie łącznie z portretami pamięciowymi porywaczy pojawiło się w telewizji i prasie. Spowodowało to wzrost zainteresowania sprawą wśród społeczeństwa.

Inspektor Richards, który w ostatnich dniach ograniczył dyżur przy aparacie telefonicznym do jednej osoby, zmuszony był ponownie zatrudnić drugą dziewczynę do odbierania telefonów, jak również dwóch sierżantów do opracowywania napływających tą drogą informacji.

- Mam tutaj kolejne oskarżenie o odpowiedzialność za uprowadzenie - zwrócił się z przekazem do Petera. - Demokratyczna Partia Wyzwolenia Hongkongu. Czy słyszał pan kiedyś o takiej?

- Nie, sir - starszy sierżant uniósł głowę znad stosu papierów. - To już będzie sto czterdzieste ósme oskarżenie o odpowiedzialność.

- Pół godziny temu znowu zgłaszał się do nas „Henryk Ósmy” - oznajmiła z uśmiechem jedna z dziewcząt siedzących przy tablicy rozdzielczej. - Robi to samo każdego dnia.

- „Henryk Ósmy” jest sześćdziesięcioośmioletnim emerytem, zamieszkującym w municypalnym domu w południowym Londynie - wyjaśniał Richards. - Jego hobby polega na tym, że przyznaje się do wszystkich głośnych przestępstw, zaczynając od gwałtu, a na obrabowaniu banku kończąc. Dzwoni regularnie co dzień rano. „Przychodźcie i zabierzcie mnie” - mówi każdorazowo. - „Ale ostrzegam was, że nie dam się wziąć jak baranek”. Gdy pewnego razu miejscowy konstabl złożył mu kurtuazyjną wizytę, już na samym wstępie oznajmił mu: „Henryk Ósmy spakował już swoją walizkę i gotów jest iść”. Jego rozczarowanie nie miało granic, gdy *bobby* grzecznie mu wyjaśnił, że nie ma najmniejszego zamiaru go aresztować, i dopiero gdy zapewnił, że policja uważa go za bardzo niebezpiecznego człowieka i trzyma pod ciągłą obserwacją rozchmurzył się i zaprosił nawet konstabla na herbatę. - Kłopot polega na tym, że naszym obowiązkiem jest sprawdzenie każdego, nawet ewidentnego wariata - westchnął Richards, zapraszając Petera do sąsiedniego pokoju. - Wciąż nic? - Zapytał. Było to właściwie zbędne pytanie, gdyż telefon Petera był na policyjnym podsłuchu zarówno w hotelu, jak i w kwaterze Thoru.

- Niestety, nic - skłamał Peter, ale teraz kłamstwo przychodziło mu już bez trudu. Akceptował wszystko, co mogło się przysłużyć uwolnieniu Melissy Jane.

- Nie podoba mi się to, generale. Naprawdę nie podoba mi się, że do tej pory nie próbowano nawiązać z panem kontaktu. Nie chciałbym być złym prorokiem, ale każdy dzień milczenia potwierdza moje obawy, że jest to akt zemsty. - Richards przerwał, żeby zapalając papierosa, ukryć swoje zakłopotanie. - Wczoraj dzwonił do

mnie zastępca pełnomocnika rządu. Pytał mnie, jak długo jeszcze będziemy potrzebowali tej specjalnej jednostki.

- I co pan odpowiedział? - Zapytał Peter.

- Oświadczyłem, że jeśli w ciągu najbliższych dziesięciu dni nie natrafimy na żaden ślad ani też nie otrzymamy żadnych żądań od porywaczy, trzeba będzie pogodzić się z myślą, że pańska córka nie żyje.

- Rozumiem. - Peter czuł w sobie fatalistyczny spokój. On jeden wiedział, że córka żyje. Jednak zostały już tylko cztery dni do wyznaczonego przez Kalifa terminu. Jutro poprosi Kingstona Parkera o pilne spotkanie. Do rozmowy powinno dojść w ciągu dwunastu godzin. Powód będzie dla Parkera zbyt ważny, żeby zwlekał. Powinien przyjść. Na wypadek jednak, gdyby nie przyjął zaproszenia, Peterowi pozostaną jeszcze trzy dni na wykonanie alternatywnego planu. Wtedy sam poszuka Kingstona Parkera. Pierwszy wariant był lepszy, pewniejszy. Jeśli jednak się nie uda, Peter gotów był podjąć każde ryzyko.

Nagle uświadomił sobie, że stoi pośrodku pokoju w biurze Richardsa ze wzrokiem utkwionym w ścianie ponad głową małego inspektora, który przyglądał mu się z mieszaniną współczucia i z troskania.

- Przepraszam pana, generale. Zdaję sobie sprawę z tego, co pan teraz czuje, ale nie mogę trzymać tej jednostki bez końca. Obecnie brakuje nam ludzi...

- Rozumiem. - Peter skinął głową energicznie i otarł twarz wierzchem dłoni. Był to gest człowieka wyczerpanego i zrezygnowanego.

- Generale, myślę, że powinien pan udać się do lekarza. Naprawdę. - Głos Richardsa był dziwnie delikatny.

- To nie jest konieczne, jestem tylko po prostu zmęczony.

- Odporność psychiczna każdego człowieka ma swoje granice - zauważył Richards.

- Myślę, że te dranie na to właśnie liczą - zgodził się Peter. - Ale ja wszystko wytrzymam.

Niemal bez przerwy z sąsiedniego pokoju dochodziły do ich uszu dzwonki telefonów i głosy dyżurujących dziewczyn, które rozmawiały ze zgłaszającymi się informatorami. Obaj przyzwyczaili się już do tych odgłosów, stanowiących stałe tło rozmów. Nic więc dziwnego, że kiedy w końcu zgłosił się ten właściwy, tak długo przez nich oczekiwany informator, obaj początkowo nie zdawali sobie z tego sprawy.

Dwie dziewczyny siedziały obok siebie na obrotowych krzesłach przed tablicą rozdzielczą. Jedną z nich była blondynka, lat dwadzieścia parę, ładna i zuchwała, o dużych, rozpychających mundur policyjny piersiach. Blond włosy miała spięte z tyłu w kok odsłaniający uszy; w słuchawkach wyglądała na starszą niż w rzeczywistości.

Gdy zabrzączał dzwonek i zapaliło się przed nią światelko na tablicy rozdzielczej, włączyła przewód i odezwała się:

- Dzień dobry. Tu specjalna policyjna jednostka informacyjna. - Miała przyjemny głos, ale mówiąc, nie potrafiła ukryć znużenia. Robiła to samo już od dwunastu dni. W

słuchawce rozległ się charakterystyczny dźwięk towarzyszący wpadaniu monety do automatu.

- Czy pani mnie słyszy? - Rozmówca miał obcy akcent.

- Tak, proszę pana.

- Proszę uważnie słuchać. Dziewczynkę przetrzymuje Gilly O'Shaughnessy. - Nie, ten akcent był tylko próbą wprowadzenia w błąd. Nazwisko zostało wymówione poprawnie.

- Gilly O'Shaughnessy - powtórzyła policjantka.

- Tak jest. Przetrzymuje ją w Laragh.

- Proszę przesyłabizować. - Nazwa znów została przesyłabizowana poprawną angielszczyzną. - A gdzie to jest, proszę pana?

- W hrabstwie Wicklow, w Irlandii.

- Dziękuję. Jak brzmi pańskie nazwisko?

W odpowiedzi rozległ się trzask odłożonej słuchawki, po czym dało się słyszeć charakterystyczne buczenie sygnalizujące zerwanie łączności. Dziewczyna wzruszyła ramionami, zapisała informację na leżącym przed nią bloku papierowym i spojrzała na zegarek.

- Zostało jeszcze tylko siedem minut do przerwy na herbatę - stwierdziła. Wyrwała z bloku zapisaną kartkę i podała ją przez ramię siedzącemu za nią krępemu, kędzierzawemu sierżantowi.

- Kupię ci słodką bułeczkę z rodzynkami - obiecał.

- Jestem na diecie - westchnęła.

- To idiotyzm, nie jesteś wcale gruba - powiedział i nagle urwał. - Gilly O'Shaughnessy. Skąd ja znam to nazwisko?

Starszy sierżant spojrzał na niego zaciekawiony.

- Gilly O'Shaughnessy? - Zapytał. - Pokaż no to! Wyrwał mu kartkę i przebiegł ją szybko oczami, poruszając ustami w miarę czytania, po czym spojrzał ponownie na kolegę.

- Znasz to nazwisko, gdyż widziałeś je na plakatach gończych i słyszałeś w telewizji. Gilly O'Shaughnessy rzucił bombę w Red Lion w Leicester i zastrzelił szefa policji w Belfaście.

Kędzierzawy policjant zagwizdał cicho.

- To mi wygląda na podejrzaną historię. Bardzo podejrzaną.

Tymczasem jego kolega, nawet nie pukając, wpadł do sąsiedniego pokoju, gdzie siedzieli Richards i Peter.

W ciągu siedmiu minut Richards otrzymał połączenie z Dublinem.

- Proszę zaznaczyć, żeby nie podejmowali samodzielnie żadnej próby - niepokoił się Peter, oczekując na połączenie, ale Richards zareagował stanowczo.

- W porządku, generale. Proszę zostawić mnie tę sprawę. Wiem dobrze, co powinno być zrobione. - W tym momencie zgłosił się Dublin i Richards został szybko

połączony z zastępcą szefa irlandzkiej policji. Rozmawiał przez kilka minut spokojnie i rzeczowo, po czym odłożył słuchawkę.

- Żeby nie tracić czasu, posłużą się miejscową policją z Wicklow. Obiecali, że po zlokalizowaniu podejrzanego nie podejmą próby zatrzymania go.

Peter skinął głową z podziękowaniem.

- Laragh - powiedział. Nigdy dotąd nie słyszał o takiej miejscowości. - Chyba nie ma więcej niż kilkuset mieszkańców.

- Posłałem po mapę - powiedział Richards.

Gdy ją w końcu otrzymali, zaczęli razem studiować.

- Musimy poczekać na telefon z Dublina - zauważył Richards.

- Nie. - Peter pokręcił głową. - Chciałbym, żeby pan ponownie zadzwonił do Dublina i poprosił o połączenie z generalnym inspektorem policji. On musi mieć dokładne plany wioski, plan ulic, zdjęcia lotnicze. Proszę powiedzieć, żeby mi je przysłali na lotnisko Enniskerry.

- Czy na to nie za wcześnie? A jeśli wszystko okaże się jeszcze jednym fałszywym alarmem?

- Będzie ich to kosztowało galon benzyny i stracony czas kierowcy. - Widać było wyraźnie, że Peter nie jest już w stanie dłużej siedzieć. Wstał z krzesła i zaczął chodzić w tę i z powrotem po pokoju, który nagle stał się dla niego za ciasny. Ale nie sądzę, żeby tym razem alarm był fałszywy. Czuję to. Czuję zapach bestii.

Richards spojrział na niego zdziwiony, a on tłumaczył z uśmiechem:

- To tylko taki mój sposób wyrażania myśli. - Nagle coś przyszło mu do głowy. - Helikoptery są tak diabelnie wolne, nie pokonają całego dystansu jednym skokiem, będą musiały po drodze ponownie zaopatrzyć się w paliwo! - Widocznie podjął jakąś decyzję, bo pochyliwszy się nad biurkiem Richardsa, podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer Colina Noble'a w Thorze. - Słuchaj, Colinie. - Mówił zwięźle, z widocznym napięciem. - Złapaliśmy kontakt. Jeszcze niepotwierdzony, ale chyba właściwy.

- Gdzie? - Przerwał mu gwałtownie Colin.

- Irlandia.

- Piekielny kawał drogi.

- Ile czasu potrzebują helikoptery, żeby dolecieć do Enniskerry?

- Poczekaj. - W słuchawce słychać było, że rozmawia z kimś obok. Za moment odezwał się ponownie.

- Muszą po drodze wziąć paliwo.

- Tak? - Niecierpliwił się Peter.

- Cztery i pół godziny - obliczył Colin.

W tej chwili jest dwadzieścia po dziesiątej, do Enniskerry dotrą więc dopiero koło trzeciej. Przy tej pogodzie ściemni się już przed piątą. Umysł Petera pracował w szalonym tempie. Jeśli wyślą grupę Thoru fałszywym tropem, a właściwy prowadzi,

na przykład, do Szkocji lub Holandii, lub też...

- Czuję jednak, że jestem na dobrym tropie. Nie może być inaczej - powiedział do siebie i nabrał powietrza w płuca.

Niestety, nie mógł rozkazać Colinowi, żeby ogłosił stan gotowości *Bravo*. Nie był już dowódcą Thoru.

- Słuchaj, Colinie. Jestem przekonany, że to właściwy trop. Jeśli będziemy czekali jeszcze pół godziny, nie dostaniemy ich przed zapadnięciem zmroku. - W słuchawce nastąpiła długa cisza przerywana tylko szybkim oddechem Colina.

- Do diabła, to może mnie drogo kosztować, mogę stracić robotę - odezwał się na koniec. - Okay, Peterze, przechodzę na *Bravo*. Za pięć minut będziemy gotowi do wylotu, a za piętnaście zabierzemy cię z lądowiska.

Niebo nad nimi przecierało się. Ale wiatr był wciąż ostry i dokuczliwy. Przewiewał niemiłosiernie przez płaszcze i ubrania. W oczekiwaniu na pojawienie się helikopterów Peter i Richards spoglądali zażawionymi od wiatru oczami na pofałdowaną powierzchnię Tamizy.

- A jeśli otrzymamy potwierdzenie z Dublina przed waszym przylotem do Enniskerry?

- Złapiesz nas na częstotliwości RAF-u, poprzez Biggin Hill.

- Mam nadzieję, że nie będą to złe wiadomości. - Richards przytrzymał ręką kapelusz, wiatr szarpał wściekle poły jego płaszcza, a twarz od chłodu pokryła się czerwonymi plamami.

Dwa niezgrabne statki powietrzne nadlatywały z hałasem nisko nad dachami domów, by w końcu zawisnąć na wirujących srebrzystych śmigłach swoich rotorów. W otwartych drzwiach kadłuba Peter rozpoznał krępą sylwetkę Colina Noble'a.

- Pomyślnych łowów! - Zawołał Richards, usiłując przekrzyczeć hałas. - Chętnie poleciałbym z wami.

Peter podbiegł lekko i skoczył do góry, zanim helikopter dotknął betonowej nawierzchni. Colin chwycił go za ramię i pomógł mu wdrapać się na pokład, nie wyjmując ani na chwilę cygara z zębów.

- Witaj na pokładzie, druhu. A więc lecimy na przedstawienie - powiedział, podciągając nieco w górę swój duży, zawieszony u biodra pistolet.

- **Ona nie chce nic jeść** - doktor wszedł do kuchni i wyrzucił z talerza resztki jedzenia do stojącego pod zlewem kosza. - Martwię się o nią. Bardzo się martwię.

W odpowiedzi Gilly O'Shaughnessy tylko chrząknął, nie podnosząc nawet oczu znad talerza. Ułamał kawałek chleba i wytarł nim starannie ketchup. Następnie wtłoczył chleb do ust, popił gorącą herbatą i dopiero wtedy uniósł w górę głowę i żując, patrzył na doktora. Ten był już chyba na krawędzi załamania. Prawdopodobnie nie wytrzyma nawet tygodnia. Gilly widywał już ludzi w stanie mniejszego napięcia,

którzy nie wytrzymywali.

W tej chwili uprzytomnił sobie, że jego własne nerwy są naskraju wyczerpania. Chodziło nie tylko o to, że deszcz padał bez przerwy, a oni wciąż musieli czekać. Rzecz w tym, że przez całe swoje życie czuł się jak lis goniony przez myśliwych. Zrodził się w nim instynkt ściganego zwierzęcia. Potrafił wyczuć bliskość niebezpieczeństwa i obecność swoich prześladowców nawet wtedy, gdy na pozór nic mu jeszcze nie zagrażało. Stawał się niespokojny, gdy zatrzymywał się gdzieś na dłużej, szczególnie gdy miał wykonać jakieś zadanie. Tutaj siedział już dwanaście dni, o wiele za długo. Im więcej myślał o tym wszystkim, tym bardziej był niespokojny. Dlaczego tak nalegano, żeby dziewczynkę wywieźć do tej zapadłej i przez to podejrzanej dziury? Tylko jedna droga prowadziła do wsi i ze wsi, tylko jedną drogą można było uciekać. Dlaczego żądano, żeby on tu siedział i czekał? Wolałby być w ciągłym ruchu. Gdyby to od niego zależało, kupiłby używaną przyczepę i jeździł od jednego parkingu do drugiego.

Zapalił papierosa i wyglądał przez zamazane deszczem szyby, nie zwracając uwagi na skargi i żale kompana. Jego zdaniem należało obciąć wszystkie palce dziewczynki, zakonserwować je w butelce i wysłać kolejno ojcu w pewnych odstępach czasu, a jej samej przycisnąć głowę poduszką i pogrzebać w warzywnym ogródku lub też przywiązać ciężarki do zwłok i wrzucić do morza. Wtedy nie potrzeba by było ani doktora, ani pielęgniarki. Poza tym wszystko zostało wykonane z profesjonalną znajomością rzeczy, zaczynając od nawiązania z nim pierwszego kontaktu w Rio de Janeiro, gdzie żył w lichej jednoizbowej chacie razem z Metyską za swoje ostatnie pięćdziesiąt funtów.

Ta sprawa pozwoliła mu wystartować na nowo. Sądził, że udało mu się dokładnie zatrzeć za sobą wszystkie stare ślady. Dostarczyli mu nowy paszport i dokumenty podróży na nazwisko Barry. Nie wyglądały na podrabiane, znał się przecież na tym dobrze.

Wszystko odbyło się zgodnie z planem. Tysiąc funtów dostał jeszcze w Rio, pięć tysięcy - po porwaniu dziewczynki, a dodatkowe dziesięć miał otrzymać po zakończeniu sprawy. To było lepsze niż angielskie więzienie - „Srebrne Miasto”, jak Brytyjczycy nazywali swój obóz koncentracyjny na Maze. Kalif mu obiecał odsiadkę w przypadku, gdyby nie wykonał zadania.

Kalif to idiotyczne nazwisko, pomyślał chyba już po raz pięćdziesiąty, wrzucając niedopałek papierosa do kubka po herbacie. Rzeczywiście idiotyczne, ale jednocześnie mrozące krew w żyłach. W tym momencie poczuł dreszcz, chyba nie tylko z powodu zimna. Wstał z krzesła i podszedł do okna. Zadanie rzeczywiście zostało dokładnie przemyślane i wykonane zgodnie z planem, szybko i konsekwentnie. Drobnym nawet błędem mógł pociągnąć za sobą nieobliczalne skutki.

Wzjął z krzesła swoją pelerynę i tweedowy kaszkiet.

- Dokąd znów idziesz? - Zapytał z niepokojem doktor.

- Mam ochotę się przejść - odburknął Gilly i naciągnął czapkę na oczy.
- Ty wciąż na coś polujesz - zaprotestował doktor. Denerwuje mnie to. Irlandczyk wyciągnął pistolet spod marynarki i sprawdził, czy jest nabity.
- Idź i baw się dalej w pielęgniarkę - odpowiedział szorstko. - Męską robotę pozostaw mnie.

Mały czarny austin sunął wolno ulicą przez wieś, nie zważając na ulewny deszcz, który bębnił w dach i w maskę samochodu i pokrywał strumieniami wody szyby, za którymi trudno było rozpoznać siedzących w środku pasażerów. Dopiero kiedy zatrzymał się przed sklepem i gdy wysiadło z niego dwóch policjantów, ciekawość gapiów została zaspokojona.

Obaj policjanci nosili granatowe mundury z nieco ciemniejszymi epoletami na ramionach. Deszcz upstrzył mokrymi plamkami skórzane daszki ich czapek, gdy przebiegali z samochodu do sklepu.

- Dzień dobry, Maeve, moja stara miłości - pozdrowił sierżant stojącą za kontuarem pulchną damę o czerwonej twarzy.

- Kogo ja widzę, Owen O'Neill - zachichotała, rozpoznawszy sierżanta. - Co was sprowadza do nas z wielkiego miasta?

Wielkim miastem nazywano tutaj odległy o piętnaście mil nadmorski kurort Wicklow.

- Tęsknota za twoim czarującym uśmiechem.

Gawędzili w ten sposób jak dobrzy znajomi przez dziesięć minut. Z sąsiedniego pomieszczenia wyjrzał jej mąż.

- Tak więc, co nowego słyhać w Laragh? - Zapytał w końcu sierżant. - Pojawił się może u was ktoś nowy?

- Nie, nic się w Laragh nie zmieniło, dzięki niech będą Bogu - pokręcił głową sklepikarz. - Nie, rzeczywiście nic.

Może z wyjątkiem gościa, który zamieszkał w Old Manse wraz ze swoją przyjaciółką - tu przymrużył znacząco oko - ale ponieważ to jest zupełnie ktoś obcy w tych stronach, nie bierzemy go nawet pod uwagę.

Sierżant wyciągnął z kieszeni notes, otworzył go i wyjął ze środka fotografię. Było to zwykle policyjne zdjęcie en face i z profilu. Pokazując je, przykrył starannie palcem nazwisko.

- Nie - kobieta pokręciła stanowczo głową. - Ten z Old Manse jest chyba o dziesięć lat starszy i bez wąsów.

- To zdjęcie zostało wykonane dziesięć lat temu - oświadczył sierżant.

- To co innego, trzeba było tak od razu - skinęła głową. Tak, to będzie ten sam. Żeby być dokładną, to jest pan Barry.

- Mówicie, że w Old Manse - sierżanta najwidoczniej podekscytowała wiadomość,

którą usłyszał. - Czy mogę skorzystać z telefonu?

- A dokąd pan chce dzwonić? - Zapytała podejrzliwie sklepikarka.

- Do Dublina - odpowiedział sierżant. - To policyjna sprawa.

- Musi pan zapłacić za rozmowę - uprzedził sklepikarz.

- No i widzisz, że miałam rację - stwierdziła żona, gdy oboje obserwowali sierżanta rozmawiającego z telefonistką w wiejskiej centrali - mówiąc, że ten z Old Manse wygląda na podejrzanego. Gdy tylko spojrzałam na niego, od razu wiedziałam, że jest z północy i że będą z nim kłopoty.

Gilly O'Shaughnessy trzymał się blisko kamiennego muru, chroniąc się w ten sposób przed zacinającym deszczem i wścibskim wzrokiem ewentualnego obserwatora. Poruszał się ostrożnie i cicho jak kocur o północy, badając uważnie teren w miejscu, gdzie mur się wykruszył i można go było przeskoczyć, oraz przyglądając się mokrym chwastom, na których ktoś nieproszony mógłby pozostawić ślady.

W najdalszym kącie sadu wspiał się po pochylonym pniu starej jabłoni, żeby wyrzeć za porośnięte mchem kamienne ogrodzenie, ale tak, aby nie być jednocześnie widzianym z drugiej strony. Patrzył i czekał około dwudziestu minut z cierpliwością drapieznika, po czym zeskoczył na ziemię i poszedł wzdłuż muru, cały czas czujny, niepomny na chłód i intensywny deszcz.

Nic nie dawało najmniejszego powodu do niepokoju, nigdzie żadnego śladu niebezpieczeństwa. A jednak wyszukał jeszcze jeden punkt dogodny do obserwacji, przy żelaznej bramie, skąd miał widok na biegnącą przez most drogę. Osłoniwszy dłońmi płonąca zapałkę, zapalił papierosa i przylgnął okiem do szpary między murem a bramą. I znów zastygł w nieruchomej pozycji, nie zważając na niepogodę.

Nie po raz pierwszy zastanawiał się nad wprowadzonym przez Kalifa niezwykłym systemem wymiany sygnałów i przesyłek. Pierwszą wypłatę otrzymał pocztą na swój adres w Rio, drugą na poste restante w Londynie. On przekazał Kalifowi jedną tylko przesyłkę, butelkę z niezwykłą zawartością, oraz wykonał dwa telefony. Paczkę nadał w ciągu dwóch godzin od momentu porwania dziewczynki, gdy była jeszcze pod wpływem zaaplikowanego jej narkotyku. Doktor, doktor Jamieson, jak Gilly przywykł go nazywać, dokonał operacji natychmiast po przeniesieniu dziecka pod osłoną zapadającego zmierzchu do drugiego samochodu: małej, zielonej furgonetki marki Ford, czekającej na nich na parkingu tuż obok stacji kolejowej. Zaparkowali nieopodal przydrożnej kawiarni na trasie A1 i tam został wykonany zabieg. Wszystkie instrumenty chirurgiczne przygotowano wcześniej i zostawiono w furgonetce, ale doktor, któremu ze strachu trzęsły się ręce, najwyraźniej spartaczył. Dziewczynka obficie krwawiła, a teraz dołączyła się infekcja. Gilly czuł w sobie narastającą irytację, gdy myślał o doktorze. Psuł wszystko, czego tylko się dotknął.

Po zabiegu dostarczyli butelkę do pikapa, który czekał w ustalonym miejscu i dał

umówiony znak, przełączając światła. Gilly podjechał i prawie nie zatrzymując samochodu podał ją przez okno, a następnie dodał gazu i ruszył na zachód. Zdążyli jeszcze na poranny prom do Irlandii, zanim wszczęto poszukiwania dziecka.

Potem te dwa bardzo intrygujące i osobliwe kontakty telefoniczne. Pierwszy telefon wykonał natychmiast po przybyciu do Laragh; była to rozmowa międzynarodowa ograniczająca się do jednego zdania: „Przybyliśmy bezpiecznie”. Tydzień później znowu zadzwonił pod ten sam numer i znowu powiedział tylko jedno zdanie: „Czujemy się dobrze”.

Gilly przypomniał sobie, że dziewczyna z miejscowej centrali dzwoniła do niego, żeby zapytać, czy łączność była dobra. Wyczuwał w jej głosie wyraźne zaniepokojenie.

Nie podobał mu się taki sposób załatwiania sprawy przez Kalifa. To, jego zdaniem, było pozostawianie śladów za sobą i zaprotestowałby, gdyby miał możliwość kontaktu z mocodawcą.

Rozmyślając tak przy bramie, postanowił, że nie zatelefonuje już więcej. Według planu miał to uczynić za cztery dni. Uświadomił sobie, że właśnie wtedy należało amputować rękę dziewczynki, i z pewnością otrzymałby polecenie przesłania kończyny. Przestało mu się to wszystko podobać. Na dobitkę przypomniał sobie pewien incydent z przeszłości. Mieli przekazać fałszywe informacje Anglikom - szczegóły zamierzonej operacji, faktycznie zaplanowanej gdzie indziej i w innym terminie. Powierzono je młodemu i niepewnemu *provo*^[1], o którym wiadano, że będzie sypał podczas przesłuchania. *Provo* został wzięty przez Anglików z meliny przy Shankill Road.

Gilly'ego przeszedł dreszcz strachu. Rzadko przeżywał to uczucie. Rzucił okiem na swój tani, japoński zegarek. Dochodziła czwarta, wieczór już zapadał nad wioską i okolicznymi zielonymi wzgórzami. Gdy ponownie uniósł głowę, zauważył jakiś ruch na drodze. Ze szczytu wzniesienia w kierunku mostu, pokonując zakręt, zjeżdżał samochód. Była to mała czarna limuzyna, która na chwilę zniknęła mu z oczu za ogrodzeniem. Gilly przyglądał się jej bez szczególnego zainteresowania, wciąż zaprzątnięty myślami o rozmowach telefonicznych z Kalifem, których sensu nie bardzo potrafił zrozumieć. Tymczasem mały czarny austin wjechał na most i zmierzał prosto w kierunku Old Manse. Z powodu zapadającego zmierzchu Gilly nie mógł dostrzec sylwetek pasażerów.

Samochód zaczął stopniowo zwalniać i w końcu posuwał się z szybkością nie większą niż piechur. Gilly instynktownie wyprostował się, napięty i czujny. Za szybą samochodu widoczne były tylko dwie niewyraźne plamy twarzy pasażerów. W pewnym momencie pojazd niemal stanął w miejscu, jednocześnie uchyliła się jego boczna szyba. Jeden rzut oka wystarczył Gilly'emu, by spostrzec policyjne czapki z błyszczącymi odznakami. Zimny pot wystąpił mu na czoło, a oddech zaczął palić gardło.

Po chwili mały czarny austin zniknął za rogiem muru. Słyszał tylko, jak

przyspieszył. Gilly obrócił się w miejscu i pobiegł do domu. Myślał chłodno i trzeźwo jak zwykle, gdy podejmował jakieś działanie.

Kuchnia była pusta. Przemierzył więc ją szybko dużymi krokami i otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju. Zajęty właśnie swoją pacjentką doktor uniósł głowę zdenerwowany.

- Prosiłem cię, żebyś pukał, wchodząc.

Już wcześniej się o to sprzeczali. Doktor zachował jeszcze jakieś dziwne resztki etyki zawodowej. Z jednej strony stać go było na chirurgiczne okaleczenie dziecka dla pieniędzy, z drugiej zaś wściekał się, gdy Gilly podglądał w drzwiach rozebraną w celach leczniczych lub pielęgnacyjnych dziewczynkę. Początkowo Irlandczyk próbował opierać się doktorowi, kiedy jednak napotkał zadziwiającą stanowczość z jego strony, zrezygnował z przyjemności wzrokowych i pojawiał się w pokoju dziewczynki tylko na wezwanie.

Teraz leżała na poplamionym prześcieradle, zwrócona twarzą do poduszki. Jasne włosy miała splątane i posklejane w tłuste kosmyki. Najwidoczniej starania doktora o czystość były tak samo nieskuteczne i wątpliwe jak jego umiejętności chirurgiczne. Zakażenie i narkotyki wyniszczyły młode, delikatne ciało. Każda kostka grzbietu była doskonale widoczna, a nagie pośladki skurczyły się i zwiotczały.

Doktor naciągnął na dziewczynkę brudne prześcieradło i odwrócił się, stojąc przy niej w pozycji na wpół obronnej. Jego gest wydawał się śmieszny i absurdalny, zwłaszcza gdy spojrzało się na brudny i poplamiony, owinięty wokół jej lewej ręki bandaż.

Gilly warknął wściekły:

- Wyjeżdżamy.

- Ona nie może się stąd ruszyć - zaprotestował doktor. Jest poważnie chora.

- Jak uważasz - posępnie zgodził się Gilly. - Wobec tego zostawimy ją. - Sięgnął ręką pod pelerynę i wyjął pistolet, następnie odwiódł kurek i podszedł do łóżka. Doktor chwycił go za rękę, ale ten odepchnął go z łatwością na ścianę.

- Masz rację, będzie nam tylko przeszkadzała - powiedział i przyłożył lufę pistoletu do główki dziecka.

- Nie! - Krzyknął doktor. - Nie rób tego! Zabierzemy ją ze sobą.

- Wyjedziemy, gdy tylko się ściemni - oświadczył Gilly, cofnąwszy się i zabezpieczywszy pistolet. - Pamiętaj, żebyś był gotów na czas.

Dwa helikoptery leciały tuż obok siebie. Ten z numerem drugim nieco z tyłu i trochę wyżej niż pierwszy. Pod nimi rozciągało się Morze Irlandzkie, jak ołowiane prześcieradło upstrzone białym pierzem spienionej wody.

W paliwo zaopatrzyli się w Caernarvon; od momentu opuszczenia Walii mieli sprzyjający wiatr, lecz zmierzch już zaczynał ich doganiać. Peter denerwował się i co

chwila spoglądał na zegarek. Mieli jeszcze do pokonania sto pięćdziesiąt kilometrów przestrzeni nad otwartym morzem, ale dla niego to był cały Atlantyk. Colin usiadł obok niego na ławce ze zgaszonym, przez szacunek dla napisu: „Nie palić” na ścianie, ogarkiem cygara w kącie ust. Reszta zespołu Thoru rozlokowała się, gdzie kto mógł, przyjmując jak najwygodniejsze pozycje. Jedni rozciągnęli się na podłodze, używając ekwipunku jako poduszek pod głowę, inni pokładli się na ławkach.

Jeden tylko Peter Stride trwał w ciągłym napięciu, tak jakby bez przerwy kipiała w nim krew. Wstał któryś już raz z rzędu, żeby wyrzucić przez okno i sprawdzić, jak daleko jeszcze do zmroku.

- Nie denerwuj się tak - uspokajał go Colin. - Dostaniesz wrzodów na żołądku.

- Colinie, musimy się zastanowić, jakie priorytety przyjmujemy w tym ataku.

- Nie przyjmujemy żadnych priorytetów. Mamy tylko jeden cel. Uwolnić Melissę Jane i bezpiecznie wrócić.

- Nie mamy zamiaru przesłuchiwać więźniów?

- Peterze, drogi chłopie, mamy zamiar zadać cios wszystkiemu, co będzie się znajdowało w obrębie celu, cios jak najsilniejszy.

Peter skinął głową z aprobatą.

- To będą tylko wynajęte zbiry, możesz być pewien, że ich mocodawcy pozostaną nieznanymi. A jeśli Kingston Parker zażąda więźniów?

- Kingston Parker? - Colin wyjął ogarek cygara z ust. Nie słyszałem o takim, a tutaj na razie decyzje podejmuje wuj Colin. - Powiedziawszy to, uśmiechnął się do Petera nieco skrzywionym, lecz przyjaznym uśmiechem. W tym momencie do kabiny wszedł mechanik pokładowy.

- Przed nami brzeg Irlandii, za siedem minut wylądujemy na Enniskerry.

Kontrola ruchu lotniczego na Enniskerry była powiadomiona o sprawie. Wstrzymano ruch na określonej wysokości i natychmiast zezwolono na lądowanie helikopterów.

Z głośnym hałasem silników wynurzyły się nagle z deszczowych chmur nad lotniskiem i siadły na przedpolu hangaru. Jeszcze nie zdążyły umilknąć rotory, gdy już dwóch irlandzkich policjantów, z przedstawicielem głównego urzędu policji w Dublinie na czele, wdrapywało się do kabiny helikoptera.

- Stride - krótko przedstawił się Peter. Był teraz ubrany w czarny kombinezon i miękkie obuwie członka zespołu Thor, a u prawego boku na pasie-taśmie miał umocowany pistolet.

- Generale, otrzymaliśmy potwierdzenie - oznajmił inspektor policji, ściskając mu dłoń. - Mieszkańcy wioski zidentyfikowali O'Shaughnessy'ego na podstawie zdjęcia policyjnego. Rzeczywiście przebywa w tym rejonie.

- Czy stwierdzono dokładnie gdzie? - Dopytywał się Peter.

- Tak jest, sir. W starym budynku na skraju wsi. - Stojący obok inspektor policji w okularach otworzył przyciskaną dotąd do piersi teczkę papierową i wyjął z niej plany, fotografie i inne dokumenty. Rozłożono je wprost na podłodze helikoptera. Colin wezwał pozostałych członków zespołu z drugiej maszyny i wszyscy razem stłoczyli się wokół planów. - To właśnie ten budynek. - Inspektor zakreślił kółko niebieskim ołówkiem.

- W porządku - stwierdził Colin. - Mamy więc dobre punkty orientacyjne. Lecimy wzdłuż rzeki lub drogi aż do mostu i kościoła. Cel znajduje się między nimi.

- Czy jest powiększone zdjęcie budynku i plan wnętrza? - Zapytał jeden z członków zespołu.

- Przepraszamy, ale na ich wykonanie zabrakło czasu odpowiedział inspektor. - Kilka minut temu miejscowy posterunek policji złożył meldunek radiowy. Dom jest otoczony wysokim kamiennym murem, nie dostrzeżono śladów obecności ludzi.

- Mam nadzieję, że nie zbliżali się do niego - niepokoił się Peter. - Było wyraźne polecenie, żeby nie zbliżać się do podejrzanego obiektu.

- Po prostu przejechali obok publiczną drogą - inspektor był nieco speszony. - Chcieli się upewnić, że...

- Jeśli to jest O'Shaughnessy, to raz tylko pociągnie nosem i poczuje, co się wokół niego dzieje - twarz Petera pozostała nieruchoma, ale w jego oczach iskrzył się gniew.

- Dlaczego ci ludzie nie zachowali się tak, jak polecono? - Odwrócił się do stojącego obok pilota w żółtej kamizelce ratunkowej i w hełmie wyposażonym w mikrofon i słuchawki. - Czy możemy już lecieć?

Pilot nie od razu odpowiedział, spojrzał w okno; po szybie płynęły wciąż strumienie deszczu.

- Najdalej za dziesięć minut będzie już ciemno, pułap chmur jest bardzo nisko, wylądowaliśmy tylko dzięki światłom lotniska - pilot był wyraźnie niezdecydowany. - Nie mamy nikogo na pokładzie, kto rozpoznałby cel. Do diabła, doprawdy nie wiem, najlepiej byłoby poczekać do rana.

- Musimy polecieć jeszcze dzisiaj, i to zaraz.

- Jeśli miejscowa policja zaznaczy cel światłem lub pochodniami.

- Nie ma takiej możliwości. Musimy lecieć w ciemno i im dłużej zwlekamy, tym mniejsze są nasze szanse. Czy nie wykona pan dziś swojego popisowego lotu? - Ton głosu Petera był niemal błagalny, gdyż decyzji lotu nie można na pilocie wymusić. Nawet kontrola ruchu nie może zmusić pilota do działania niezgodnego z jego przekonaniem.

- Moglibyśmy spróbować, utrzymując cały czas kontakt z ziemią ale warunki są bardzo niekorzystne. Nierówny teren i pogarszająca się wciąż pogoda.

- Spróbujmy jednak - nalegał Peter. - Bardzo proszę.

Pilot wahał się jeszcze pięć sekund.

- Lećmy więc - oświadczył nagle. Zrobił się ścisk przy wyjściu, gdyż załoga

drugiego helikoptera szybko wracała do siebie. Pokład opuszczali tylko goście, upewniwszy się przedtem, że nie ma dla nich miejsca.

Podmuchy wiatru miotały helikopterem, jak ciosy zadawane przez boksera wagi ciężkiej. Maszyna chwiała się i zataczała.

Ziemia umykała pod nimi do tyłu, pogrążając się coraz bardziej w ciemnościach nocy. Od czasu do czasu na jakiejś drodze pojawiały się światła pojazdu, gdzie indziej - rozsypane światła wioski, zwykle układające się w prostokąt. Resztę stanowiły czarne plamy lasów i ciemne pola poprzecinane nitkami płotów i kamiennych murów. Co kilka minut nadciągała nowa nawałnica chmur i deszczu, i wtedy pilot koncentrował się wyłącznie na przyrządach nawigacyjnych, które miał przed sobą. Za każdym razem, gdy wynurzali się z chmur, widoczność była coraz mniejsza, a ziemia coraz bardziej niewyraźna.

Peter siedział wciśnięty między dwóch policjantów, mając Colina tuż za plecami. Wszyscy patrzyli w dół, w milczeniu, z napiętą do maksimum uwagą podczas gdy niezgrabna maszyna pełzła nisko nad ziemią w poszukiwaniu linii brzegowej. W końcu, jakieś piętnaście metrów pod nimi, pojawiła się biała fosforyzująca linia, wyznaczona przez spienione przybrzeżne fale. Pilot skręcił natychmiast na południe i po kilku sekundach ujrzeli pod sobą kolejne, tym razem jaśniejsze pole światła.

- Wicklow - odezwał się pilot, a prowadzący helikopter drugi pilot przyjął kierunek na Laragh.

Lecieli wzdłuż drogi.

- Cztery minuty do celu! - Zawołał drugi pilot, wskazując przed siebie palcem. Peter nie usiłował nawet mu odpowiedzieć ze względu na hałas, a tylko sięgnął ręką do pasa; jego walter sam wsunął mu się do ręki.

Gilly O'Shaughnessy wrzucił kilka swoich rzeczy osobistych do brezentowej torby lotniczej, w tym zmianę bielizny i przyrządy do golenia. Następnie odsunął żelazne łóżko od ściany, podniósł ruchomą deskę w podłodze i wyjąwszy spod niej cegłę, otworzył skrytkę.

Tutaj ukrył nowe papiery i paszporty. Kalif przygotował nawet paszport dla dziewczynki, Heleny Barry - jego córki. Pomyślał o wszystkim: razem z papierami przysłał sześćset funtów szterlingów w czekach podróжных i paczkę zapasowej amunicji do pistoletu. Jedno i drugie Gilly wcisnął do kieszeni marynarki i na koniec jeszcze raz ogarnął spojrzeniem pusty i nieprzytulny pokój. Był pewien, że nie zostawił po sobie nic godnego uwagi. Nigdy nie zabierał niczego, co mogłoby naprowadzić prześladowców na jego trop i posłużyć do zidentyfikowania go. Miał obsesję na punkcie zacierania wszelkich śladów. Już dawno przestał myśleć o sobie jako o Gilym O'Shaughnessym; nie miał żadnego nazwiska, miał natomiast cel,

którym było zniszczenie. To jego wspinała pasja, której poświęcił całe życie. Mógł z pamięci cytować całe fragmenty „Katechizmu rewolucjonisty” Bakunina, szczególnie definicję prawdziwego rewolucjonisty. Według Bakunina „...To człowiek stracony, który nic nie posiada, żadnych zewnętrznych potrzeb, żadnych więzi osobistych ani nawet imienia. Opanowany jest tylko przez jedną ideę i pasję - ideę rewolucji. To człowiek, który zerwał ze społeczeństwem, jego prawami i konwencjami, pogardza opinią innych i jest przygotowany na śmierć i tortury w każdej chwili. Twardy i bezwzględny dla siebie, musi być również bezwzględny dla innych - w jego sercu nie ma miejsca na miłość, przyjaźń, wdzięczność, a nawet na honor”.

Stojąc pośrodku pustego pokoju, w momencie nagłego olśnienia ujrzał siebie takim, jakim chciał być: prawdziwym rewolucjonistą. Mimowolnie spojrzął w lustro zawieszona na odartej z tapety ścianie. Ujrzał ciemną i chłodną twarz straconego człowieka i poczuł się dumny ze swojej przynależności do elity społeczeństwa, dumny z tego, że został jego mieczem.

Wziął do ręki torbę i wszedł do kuchni.

- Jesteś gotowy! - Zawołał.

- Pomóż mi - usłyszał odpowiedź.

Postawił torbę na podłodze i podszedł do okna. Resztki światła dziennego topniały szybko, tylko na zachodzie przebijała przez chmury różowa poświata. Ciężkie, brzemienne chmurami niebo wisiało, zdawać by się mogło, tuż-tuż nad ziemią, w zasięgu ręki. Pełzająca ciemność stopniowo pochłaniała otaczające dom drzewa owocowe.

- Sam nie daję rady jej udźwignąć - jęczał doktor. Gilly odsunął się od okna. Już był najwyższy czas, żeby stąd uciekać. Całe życie upływało mu na ciągłym przenoszeniu się z miejsca na miejsce... Za nim, jak psy myśliwskie, szli jego prześladowcy. Teraz znowu trzeba było uciekać jak lis przed nagonką.

Wszedł do sąsiedniego pokoju. Doktor owinął dziewczynkę w szary wełniany pled i usiłował dźwignąć ją z łóżka, lecz na próżno. Wysunęła mu się z rąk na podłogę.

- Pomóż mi - powtórzył doktor.

- Odejdź. - Gilly odepchnął go i pochylił się nad dzieckiem; na chwilę ich twarze znalazły się blisko.

Oczy miała szeroko otwarte, półprzytomne, z rozszerzonymi pod wpływem narkotyku źrenicami. Powieki były zaczerwienione, w kącikach oczu zgromadził się żółty śluz. Wyschnięte do białości usta pękały.

- Proszę, powiedz mojemu tatce - wyszeptwała - powiedz mu, że tu jestem.

Jego nozdrza rozszerzyły się, gdy poczuł niezdrowy, kwaśny zapach jej ciała, ale uniósł ją lekko na rękach, przeszedł z nią przez kuchnię, kopnięciem pchnął drzwi prowadzące na zewnątrz. Zamknęły się za nim z trzaskiem.

Szybko szedł ze swoim ciężarem przez dziedziniec do garażu. Za nim, słaniając się i przeklinając deszcz i chłód, podążał doktor przyciskający do piersi wypełniony

lekarstwami i opatrunkami karton.

Gilly cisnął dziewczynkę na tylne siedzenie samochodu z taką siłą, że cicho zapłakała. Nie zwracając na to uwagi, podszedł do drzwi garażu i otworzył je szeroko.

- Dokąd jedziemy? - Jęknął doktor.

- Jeszcze nie wiem - padła szorstka odpowiedź. - Znam bezpieczny dom na północy. Możemy także wrócić do Anglii...

Pomyślał znowu, że przydałaby się przyczepa samochodowa.

- Ale dlaczego wyjeżdżamy tak nagle?

Nie odpowiedział, tylko wybiegł z garażu i wrócił do kuchni. Miał obsesję zacierania za sobą wszelkich śladów, nie chciał pozostawić prześladowcom żadnego znaku.

Choć niewiele tutaj przywiózł i wszystko z sobą zabierał, jednak zdawał sobie sprawę, że w tym starym domu coś po nim pozostawało. Choćby tylko odciski palców. Ogarnęło go nagle nieprzewyciężone pragnienie niszczenia. Wyrwał drewniane drzwi kredensu i rozbił je obcasem na szczapy, które ułożył w stertę na podłodze. Zmiał leżące na stole gazety i rzucił na stos, a potem połamał stół i krzesła. Podpalił gazety. Gdy stertę ogarnęły płomienie, wyprostował się i pootwierał okna i drzwi. Na koniec chwycił torbę i wyszedł w czarną noc, noc wietrzną i deszczową.

Był skulony z zimna, lecz nagle wyprostował się i zaczął nadśluchować. Wiatr od morza przyniósł charakterystyczny dźwięk. Mógłby to być warkot jadącego pod górę samochodu ciężarowego, ale na szum silnika wyraźnie nakładał się osobliwy świst. Poza tym oba dźwięki narastały zbyt szybko jak na samochód. Po chwili wypełniły już całą przestrzeń nad głową Gilly'ego, jakby spływając z nisko wiszących chmur.

Stał z twarzą uniesioną ku srebrzystej mżawce, wpatrzony w zasłonięte chmurami niebo, dopóki nie spostrzegł pulsującego regularnie błysku. Natychmiast rozpoznał światło helikoptera i ostry świst jego śmigieł.

W obliczu zbliżającej się śmierci i w przekonaniu, że został zdradzony, głośno zawołał:

- Dlaczego? Wielki Boże, dlaczego? - Zapomniał o tym, że wzywał Boga, którego istnienia tak długo nie uznawał. Rzucił się do ucieczki.

- Nie jest dobrze! - Zawołał pilot, ani na chwilę nie spuszczał wzroku z urządzeń sterowniczych, dzięki którym niezgrabna maszyna utrzymywała wciąż właściwy kurs i pożądaną wysokość.

Utracili kontakt z drugim helikopterem.

- Nie można latać na ślepo - stwierdził pilot. Helikopter nurzał się w białej mgle jak w mleku. - Chyba wejdę na większą wysokość i zawrócę do Enniskerry, zanim zderzymy się z tamtymi.

Ryzyko kolizji było rzeczywiście bardzo prawdopodobne. Nad nimi pulsowało

światelko ostrzegawcze, ale w gęstych warstwach chmur było niewidoczne dla pilota prowadzącego drugą maszynę.

- Poczekajmy jeszcze. Jeszcze tylko minutę! - Zawołał Peter. W słabym świetle jego wykrzywiona napięciem twarz sprawiała wrażenie twarzy torturowanego człowieka. Powodzenie całej operacji było zagrożone. Wszystko mogło zakończyć się fiaskiem, a nawet tragedią.

- Nie jest dobrze - powtórzył pilot i nagle krzyknął z przerażenia, rzucając maszyną w bok w ostatniej, dosłownie, chwili. Helikopter zatrząsł się i przechylił, jakby wpadł na jakąś przeszkodę, a następnie poderwał się do góry, osiągając wysokość trzydziestu metrów.

Iglica wieży kościoła wyskoczyła na nich z chmury, jak drapieznik z zasadzki, zamigotała tuż obok i po chwili zniknęła we mgle.

- To kościół! - Krzyknął Peter. - To tutaj! Zawracaj!

Pilot zawrócił maszynę, kręcąc się w chaosie deszczu i chmur.

- Kompletnie nic nie widzę! - Krzyczał.

- Mamy pięćdziesiąt jeden metrów na wysokościomierzu! - Zawołał drugi pilot. Mimo to nic pod sobą nie widzieli.

- Zejdźmy niżej. Na miłość boską, zejdźmy niżej! - Błagał Peter.

- To niemożliwe! Nie mamy najmniejszego pojęcia, co się znajduje pod nami.

W skąpym oświetleniu kabiny twarz pilota miała chorobliwy, pomarańczowy kolor, a oczy przypominały oczodoły w czaszce.

- Nabieram wysokości i zawracam - oświadczył.

Peter sięgnął do pasa. Kolba waltera niby żywa istota wskoczyła do jego dłoni. Byłby w stanie zabić jednego pilota, a drugiego zmusić do lądowania. W tym samym jednak momencie pod helikopterem pojawiła się dziura w chmurze, wystarczająco duża, żeby rozpoznać teren.

- Mamy widoczność! - Zawołał Peter. - Mamy widoczność, schodzimy w dół!

Helikopter szybko zanurzył się w odkrytą przestrzeń.

- Rzeka - Peter dostrzegł w dole błysk wody. - I most!

- A tam widać cmentarz! - Ochoczo ryknął Colin. A tutaj mamy nasz cel.

Widać było czarny prostokąt krytego słomą dachu, okna z jednej strony domu rzucały światło na otaczający go mur.

Pilot zakręcił i zanurkował w stronę budynku.

Colin Noble, krzyząc, postawił na nogi swój zespół.

- *Delta!* Przechodzimy na *Deltę!* - Mechanik pokładowy otworzył właz; kabinę natychmiast wypełniła napędzana przez rotory mgła z deszczem. Zespół Thoru po obu stronach luku uformował szyk z Colinem na czele.

Ziemia leciała na spotkanie z nimi. Colin wypluł z ust ogarek cygara i szykował się do skoku.

- Strzelajcie do wszystkiego, co się rusza! - Wrzeszczał. - Tylko, na rany Boga,

uważajcie na dziecko! Ruszamy, panowie banda! Ruszamy!

Tymczasem Peter tkwił wtłoczony w siedzenie wskutek gwałtownego obniżenia wysokości przez helikopter, tracąc cenne sekundy. Ani na moment jednak nie odrywał wzroku od dobrze w tej chwili widocznego budynku. Spostrzegł, że światło w jego oknach nienaturalnie falowało. Uświadomił sobie, że to mógł być tylko pożar. To na pewno były płomienie. Nie miał jednak czasu na analizę sytuacji. Zauważył, że na oświetlonym ogniem dziedzińcu coś się porusza. Tak, to z całą pewnością biegnący człowiek, który po chwili zniknął mu z pola widzenia.

Peter zwał się z trudem z siedzenia, pokonując siłę ciężenia, i podszedł do wjazdu. Helikopter zawisł w powietrzu trzy metry nad ziemią, a czarne postacie wysypały się z niego, skacząc lekko na nogi, i natychmiast, jakby w cudowny sposób, zniknęły w drzwiach i oknach budynku. Nawet w tym pełnym napięcia momencie Peter poczuł przypływ dumy ze sposobu wykonania zadania.

Opuszczał pokład helikoptera jako ostatni. Gdy stanął w otwartym luku, jeszcze raz, przed wykonaniem skoku, spojrzął w dół na płonący dom. Nagle spostrzegł światła jadącego wzdłuż muru samochodu, który po chwili oderwał się od zabudowań, zmierzając w stronę głównej drogi. Peter był już przygotowany do skoku, huśtając się właśnie w otworze wjazdu. Odzyskał natychmiast równowagę, chwytając za nylonową linę nad wejściem. Złapał za ramię mechanika, potrząsnął nim gwałtownie i wskazując oddalający się pojazd, krzyknął mu do ucha:

- Nie pozwól mu uciec!

Mechanik zareagował natychmiast. Przez mikrofon wydał dyspozycje pilotowi i helikopter posłusznie zawrócił za uciekinierem. Silniki zagrały, śmigła dźwignęły maszynę w górę. Ruszyli w pościg za światłami reflektorów. Peter zawisł w otwartym luku, wpatrzony w samochód. Wiatr świstał mu w uszach i szarpał kombinezon, a tymczasem śmigłowiec szybko dogonił pojazd, mknący w stronę wybrzeża wąską, wijącą się drogą.

Lecieli nisko, tuż nad ciemnymi wierzchołkami drzew, w niewielkiej odległości od uciekiniera. Wystarczająco blisko, żeby zauważyć, że był to raczej niewielki samochód, z całą pewnością nie kombi, gdyż jego kierowca bez trudu pokonywał ostre zakręty, a tych na drodze nie brakowało.

Helikopter bez przerwy podążał za samochodem, którego światła systematycznie wydobywały z ciemności płataninę przydrożnych płotów i kamiennych murów.

- Powiedz mu, żeby wyłączył światło ostrzegawcze! Peter krzyknął w ucho mechanikowi, wskazując na pilota.

Chodziło o to, żeby zniknąć z oczu kierowcy, ale w tym właśnie momencie, gdy mechanik podniósł mikrofon do ust, światła samochodu zgasły. Kierowca uprzedził ich decyzję i odtąd lecieli wśród niczym niezakłóconej ciemności, która całkowicie pochłonęła ścigany pojazd.

Peter poczuł, jak helikopter się zachwiał. Nagła zmiana sytuacji zaskoczyła pilota.

Zgubiliśmy ich, pomyślał z przerażeniem. Zdawał sobie sprawę z tego, że lot w całkowitym mroku, tuż nad wierzchołkami drzew, był samobójstwem. Jednak pilot wyrównał ruch maszyny i włączył światła lądowania, które rozdarły panującą ciemność. Helikopter miał dwa takie reflektory, po jednym z każdej strony kadłuba, skierowane przede wszystkim w dół, nieco do przodu. Uciekający samochód znalazł się w kręgu światła, jak aktor na scenie teatralnej.

Helikopter obniżył lot, trzymając się trasy, którą wyznaczały biegnące wzdłuż drogi słupy telegraficzne i drzewa. Teraz Peter już bez trudu mógł ustalić, że ściganym był granatowy austin z bagażnikiem na dachu. Właśnie ten bagażnik skłonił go do podjęcia decyzji. Nie odważyłby się bowiem skoczyć na gładki, obły dach kołyszącego się samochodu.

Siedzący na tylnym siedzeniu austina doktor pierwszy spostrzegł ścigający ich helikopter. Hałas silnika i zawrodożenie wiatru zagłuszały świst rotorów i Gilly początkowo był zadowolony z siebie w przekonaniu, że ucieczka się udała. Umyślnie zaczął, aż wszyscy komandosi znajdą się na ziemi, i dopiero wtedy włączył reflektory i wyjechał z garażu.

Był pewien, że upłynie sporo czasu, zanim szturmująca dom grupa stwierdzi, że jest pusty, i zanim będą w stanie kontynuować pościg. Tymczasem on ucieknie daleko. Cztery lata temu znał bezpieczny dom w Dublinie. Jeżeli tamtej kryjówki już nie ma, musi pozbyć się i dziewczynki, i doktora. Wystarczy strzelić po jednej kuli w tył głowy, a następnie utopić austina razem z nimi w morzu.

Na myśl o tym, że wreszcie skończyło się długie oczekiwanie, ogarnęło go jakieś dzikie podniecenie. Znowu był lisem ściganym przez psy gończe, znowu wisiało nad nim niebezpieczeństwo, znowu czuł na plecach oddech śmierci. Prawą nogą przyciskał gaz niemal do oporu. Samochód mknął niby strzała w otchłań nocy.

Dziewczynka popłakiwała na tylnym siedzeniu z bólu i ze strachu, doktor próbował ją uspokoić, a Gilly śmiał się głośno. Opony wściekle piszczwały na zakrętach, trzaskały łamane przez karoserię gałązki żywopłotu.

- Ścigają nas - lamentował doktor. Gilly odwrócił głowę, ale nic nie mógł dostrzec przez tylne okno.

- Co takiego?

- Helikopter...

Gilly uchylił boczną szybę i wytknął na zewnątrz głowę, trzymając prawą dłoń na kierownicy. Światło helikoptera wisiało nad nimi w niewielkiej odległości. Upewniwszy się więc, że droga biegnie prosto, wyłączył reflektory. W absolutnych ciemnościach nie ograniczył szybkości. W jego śmiechu słychać było zuchwalstwo.

- Oszalałeś! - Krzyczał doktor. - Wszystkich nas pozabijasz!

- Racja, doktorze! - Widoczność jednak nieco się poprawiła, zdążył więc w porę

odrobinę skrócić, żeby nie wjechać na kamienny mur z lewej strony. W tym samym niemal momencie wyszarpnął pistolet spod peleryny i położył go obok siebie. - Nic się nie... - Zaczął i nagle urwał, gdyż nad nimi wybuchł oślepiający blask. To helikopter włączył światła lądowania, zalewając nimi drogę. Z piskiem opon Gilly wziął kolejny zakręt.

- Zatrzymaj się! - Błagał doktor, z trudem utrzymując dziewczynkę na kołyszącym się siedzeniu. - Poddajmy się, zanim nas zabiją.

- Nie mają na pokładzie żołnierzy - zapewnił Gilly. Nic nam nie mogą zrobić.

- Poddajmy się - nie przestawał jęczeć doktor. - Najważniejsze to zachować życie.

- W odpowiedzi Gilly odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się głośno.

- Mam trzy kule w pistolecie, doktorze, po jednej dla każdego z nas! - Zawołał.

- Są w tej chwili prosto nad nami.

Gilly złapał z siedzenia pistolet i ponownie wysunął głowę oraz prawą rękę z bronią, wypatrując przeciwnika w górze. Rażące wzrok światła płonęły wprost nad nim, niewysoko. To było wszystko, co mógł dojrzeć, strzelił więc prosto w nie. Huk wystrzałów został zagłuszony przez świst rotorów i warkot silników w górze i na ziemi.

Stojąc cały czas w otwartym luku, Peter mógł policzyć jasnopomarańczowe pręgi wystrzałów. Były trzy, nie usłyszał natomiast świstu przelatujących pocisków ani też charakterystycznych, głuchych uderzeń kul.

- Zejdź niżej! - Krzyknął do mechanika, wzmacniając wymowę swojego rozkazu energicznymi ruchami rąk. Wielka maszyna posłusznie zmniejszyła do niezbędnego minimum odległość dzielącą ją od pędzącego samochodu.

Peter zebrał siły, czekając na odpowiedni moment do wykonania skoku, a kiedy ten nadszedł - skoczył w dół. Lecąc, miał uczucie, jakby wszystkie wnętrzości podeszły mu do gardła.

Upadł, mając wszystkie kończyny szeroko rozstawione. Przez chwilę sądził, że się przeliczył i że spadnie za austinem na jezdnię, gdzie zostanie zgnieciony i poszarpany przez impet lecącego tuż nad ziemią helikoptera. W ostatnim jednak momencie samochód jakby nieco zboczył, dzięki czemu Peter runął prosto na jego dach z niezwykłą siłą. Czuł, że lewy bok zdrętwiał mu całkowicie od uderzenia, usiłował więc za wszelką cenę uchwycić się czegoś prawą ręką. Darł paznokciami lakier i kopał nogami w powietrzu, lecz mimo to wciąż ześlizgiwał się ku krawędzi. W ostatniej niemal chwili udało mu się zaczepić palcami za ramę bagażnika i zawisnąć na niej.

Tymczasem kierowca austina potrzebował tylko ułamka sekundy, żeby uprzytomnić sobie, iż ma pasażera na dachu. Zaczął zataczać samochodem łuki z jednej strony drogi na drugą biorąc przy tym ostre zakręty, tak że chwilami pojazd

przechylał się na bok, jadąc na dwóch tylko kołach. Opony głośno piszczały, a Peterem miało brutalnie to w przód, to w tył. Mięśnie i ścięgna prawej ręki miał napięte do granic wytrzymałości. Na szczęście wracało mu czucie w lewym boku.

Działał błyskawicznie, gdyż mógł nie przeżyć następnego zakrętu. Sprężył się, wykonał rzut ciałem i uchwycił ramę bagażnika również drugą ręką. Jednocześnie czubkami miękkich butów udało mu się zahaczyć o jedną z jego podpórek. Przyłgnąwszy teraz całym ciałem do tańczącego samochodu, poczuł się nieco bardziej bezpieczny.

Austin uspokoił się trochę i odzyskał równowagę. Przed nimi pojawił się stromy zakręt, a za nim - długa, spadająca gwałtownie w dół, kręta, wiodąca ku wybrzeżu droga.

Peter uniósł się nieco na rękach i miał właśnie posunąć się do przodu, gdy tuż przed nim nastąpiła eksplozja. W uszach miał huk wystrzału, twarz pożądliły mu strzępy metalu, a w dachu pojawiła się okrągła dziura. Kierowca austina strzelał na ślepo przez karoserię i chybił tylko o centymetry. Peter przerzucił się natychmiast na drugą stronę dachu, omal nie puszczając bagażnika. W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą leżał, następna kula przedziurawiła blachę. Gdyby go trafiła, poszarpałaby mu wnętrzności. Desperacko rzucił się teraz w przeciwną stronę, usiłując odgadnąć, w którym miejscu kula tym razem przedziurawi karoserię. Jeszcze raz usłyszał huk wystrzału i jeszcze raz w blasze dachu pojawił się niewielki, nieco postrzępiony na obrzeżu otwór, błyszczący świeżością odartego z lakieru metalu. Również i tym razem Peter zostałby trafiony, gdyby wcześniej nie zmienił pozycji.

Znów przetoczył się na drugą stronę dachu, oczekując w najwyższym napięciu kolejnego wystrzału, którego jednak nie było. Wtedy uprzytomnił sobie, że przecież kierowca już wcześniej strzelał bezskutecznie do helikoptera. Opróżnił zatem całkowicie magazynek, a na wymianę nie miał czasu. Jednocześnie do uszu Petera dotarł nowy odgłos, bardzo słaby na tle wycia wiatru i szumu silnika, ale tak dobrze mu znany. Był to płacz dziewczynki. Zelektryzował go, tak jak nic przedtem, nawet groźba śmierci. Uniósł się więc na palcach nóg i rąk jak kot i przesunął do przodu na prawo, aż znalazł się dokładnie nad kierowcą.

Dziewczynka znowu zapłakała, teraz Peter nie miał już najmniejszych wątpliwości. To był płacz Melissy Jane. Wyjął waltera, odwodząc cyngiel, i spojrzał przed siebie. Zbliżali się do kolejnego ostrego zakrętu. Pomyślał, że kierowca musi się posłużyć obiema rękami, żeby należycie kontrolować przechyl małego samochodu.

Teraz! - Powiedział sobie i opadł do przodu na wprost kierowcy, od którego twarzy dzieliło go nie więcej niż pół metra. W błyskawicznym odruchu pamięci rozpoznał tę twarz, ciemne, wilcze rysy i zimne, bezlitosne oczy zawodowego zabójcy. Ścigał go przez wiele lat i często przyglądał się jego fotografii.

Gilly O'Shaughnessy trzymał kierownicę obiema rękami, w jednej z nich miał ponadto pistolet z otwartym zamkiem, przygotowany do wymiany magazynka. Na

widok Petera warknął, jak zwierz zamknięty w klatce. Wtedy Peter strzelił, przykładając pistolet do samej szyby.

Szkoło popękało na mnóstwo maleńkich kryształków, stało się białe i nieprzezroczyste, a następnie pod parciem wiatru wpadło do środka samochodu, wypełniając wewnątrz gradem iskrzących się okruchów.

Gilly uniósł obie ręce do twarzy. Między jego palcami pojawiła się krew, która cienkimi strużkami popłynęła na pierś.

Wciąż wisząc nad miejscem kierowcy, Peter wsunął waltera do środka i dotykając lufą piersi Gilly'ego, strzelił jeszcze dwukrotnie. Gdy zabijał, miał jeszcze nadal w uszach płacz Melissy Jane. Robił to z zimną krwią, bez jakiegokolwiek satysfakcji, jak weterynarz zabija wściekłego psa. Kule odrzuciły Gilly'ego na oparcie siedzenia, głowa bezwładnie opadała mu to na jedną, to na drugą stronę. Peter czekał teraz, aż silnik zgaśnie, gdy noga kierowcy spadnie z pedału gazu. To jednak nie nastąpiło. Ciało Gilly'ego opadło do przodu, blokując stopę, która wciąż naciskała pedał. Samochód mknął dalej po pochyłości terenu, między kamiennymi ścianami, przypominającymi ściany tunelu prowadzącego gdzieś w głąb ziemi.

Peter przesunął się na brzuchu i uchwycił pozbawioną jakiegokolwiek kontroli kierownicę. Udało mu się wyprowadzić na środek drogi pędzący jak oszalały samochód. Wydawało się, że opanowanie jego szybkości jest niemożliwe. Peter wysunął się do przodu, trzymając się bagażnika kolanami i palcami nóg.

Usiłował manipulować kierownicą, podczas gdy resztki szkła tkwiące w ramie okiennej kaleczyły mu ręce i ramiona, a wiatr chłostał go i szarpał.

Ciało Gilly'ego leżało na kierownicy. Peter musiał użyć jednej z rąk, żeby go odsunąć, gdy tymczasem austin otarł się bokiem o mur. Rozległ się pisk i zgrzyt rozdzieranego metalu, trysnął snop pomarańczowych iskier. Wprawdzie Peterowi udało się skręcić w przeciwną stronę, ale auto wpadło w serię niekontrolowanych skrętów, zjeżdżając to na jeden, to na drugi kraniec jezdni i uderzając przy tym w mur to lewym, to prawym bokiem.

Peter zdawał sobie sprawę z tego, że to koniec. Za chwilę może zostać zmiażdżony przez pędzący samochód. Powinien teraz wykorzystać ostatnią szansę i zeskoczyć z niego. Ale w środku była przecież Melissa Jane, nie mógł więc tego uczynić.

Samochód kolejny raz odbił się od przydrożnego muru. W tym momencie Peter dostrzegł w przeciwległej ścianie zamkniętą, drewnianą bramę. Niemal odruchowo skierował na nią samochód, który z całym impetem uderzył w deski, rozbijając je. Drewniana belka przeleciała tuż nad głową Petera, obłok gorącej pary z rozbitej chłodnicy oparzył mu twarz i ręce, a samochód nagle znalazł się na otwartej przestrzeni, podskakując i zataczając się na nierównym podłożu. Stopniowo zwalniał na ciężkiej błotnistej glebie, by w końcu utknąć przednimi kołami w rowie.

Peter ześliznął się z samochodu i stanął. Jednym szarpnięciem otworzył tylne drzwi, przez które wyleciał jakiś mężczyzna. Upadł na kolana w błoto, bełkocząc coś

bez sensu. Peter wymierzył mu cios kolaniem w twarz; chrupnęły głośno kości, trzasnęły łamane zęby. Zamilkł natychmiast, lecz otrzymał jeszcze uderzenie krawędzią dłoni w kark, uderzenie unieruchamiające, choć nie śmiertelne. Gdy nieprzytomny upadł na ziemię, Peter rzucił się do wnętrza samochodu, skąd wyniósł na rękach córkę. Była niezmiernie lekka. Czuł, że trawiła ją chorobliwa gorączka. Miał ochotę przycisnąć ją z całej siły do piersi, jednak niósł ją na rękach ostrożnie, jakby była z bardzo kruchej i cennej substancji. Stąpił uważnie po skalistym gruncie w kierunku helikoptera, który właśnie wylądował na drodze.

Lekarz Thoru był na pokładzie. Zeskoczył, zanim helikopter dotknął ziemi, i podbiegł do Petera przemawiającego do córki.

- Już wszystko jest dobrze, kochanie. Już się skończyło. Już wszystko się skończyło, moje dziecko. Jestem przy tobie, moja mała.

Nagle Peter zauważył, że to nie pot spływa mu po policzkach. Zastanawiał się, kiedy płakał po raz ostatni. Nie mógł sobie przypomnieć. Wydało mu się to mało ważne, przynajmniej teraz, kiedy trzymał na rękach córkę.

W związku z tym, że Cyntia przyjechała do Londynu, Peter na nowo przeżył niektóre ze swoich małżeńskich horrorów.

- Wszyscy muszą cierpieć przy tobie, Peterze. Teraz przyszła kolej na Melissę Jane.

Ponieważ ani na krok nie odstępowała Melissy Jane, nie mógł uniknąć widoku jej cierpiętniczego wyrazu twarzy. Słuchając nieustannych oskarżeń, zastanawiał się, czy była kiedykolwiek wesółą, młodą i ładną. Choć młodsza od niego o dwa lata, wyglądała na starszą o dwadzieścia lat, gdyż jej figura już dawno utraciła smukłość.

Organizm Melissy Jane zareagował niemal cudownie na działanie antybiotyków i mimo że wciąż jeszcze była słaba i blada, doktor uznał ją za zdrową już po trzech dniach kuracji. Położyła kres niezręcznej sytuacji między Peterem i Cyntią.

- Mamo, ja ciągle jeszcze tak się boję. Czy mogłabym wyjechać z tatkiem na kilka dni?

Ostatecznie Cyntia przystała, aczkolwiek z wyraźną niechęcią, na takie rozwiązanie. W drodze do Abbots Yew, dokąd Steven zaprosił Petera z córką na tak długo, jak będzie tego wymagała rekonwalescencja, dziewczynka siedziała spokojnie obok ojca. Rękę miała nadal na temblaku, a dłoń owiniętą bandażem. Zaczęła mówić dopiero wtedy, gdy minęli zakręt przy Heathrow.

- Cały czas wiedziałam, że przyjedziesz po mnie. Nie pamiętam wiele. Zawsze było ciemno i kręciło mi się w głowie, wciąż zmieniał się wszystko. Widziałam twarz, która następnie zniknęła, a potem byliśmy znów gdzie indziej...

- To dlatego, że wstrzykiwano ci narkotyk - wyjaśnił Peter.

- Tak, wiem. Pamiętam ukłucia igły - mimo woli potarła ramię i przeszedł ją

dreszcz - ale nawet wtedy byłam pewna, że przyjedziesz po mnie. Pamiętam, leżałam w ciemności i nadśluchiwałam, czy nie usłyszę twojego głosu.

Peter czuł pokusę, aby powiedzieć jej, że to wszystko nigdy się nie zdarzyło, że to był koszmarny sen. Rozumiał jednak jej potrzebę mówienia.

- Czy nie chciałabyś opowiedzieć mi wszystkiego? - Zapytał ostrożnie, zdając sobie sprawę, jak bardzo jest to ważne dla powrotu dziewczynki do zdrowia.

Słuchał uważnie, jak snuła przed nim swoje wspomnienia-majaczenia, odtwarzała strzępy słyszanych rozmów, swoje wrażenia. Słysząc było strach w jej głosie, gdy mówiła o człowieku, który ją najbardziej przerażał.

- Czasem patrzył na mnie. Pamiętam, jak na mnie patrzył.

Również Peter pamiętał zimne oczy zabójcy.

- On już nie żyje, kochanie.

- Wiem, powiedziałaś mi to. - Chwilę milczała, a potem ciągnęła: - Był zupełnie inny niż ten z siwymi włosami.

Lubiłam go, tego starego. Nazywał się doktor Jamieson.

- Skąd wiesz? - Zapytał Peter.

- Tak nazywał go ten drugi, czarny. - Uśmiechnęła się. Pamiętam, że doktor Jamieson zawsze pachniał jak lekarstwo na kaszel i lubiłam go.

Człowieka, który wykonał amputację palca i gotów był uciąć jej również rękę, myślał ponuro Peter.

- Nigdy natomiast nie widziałam trzeciego. Wiedziałam, że był, ale nigdy go nie widziałam.

- Trzeciego? - Zdziwił się Peter. - O kim mówisz, kochanie?

- Był jeszcze jeden. Nawet ten czarny bał się go. Wiem, że wszyscy się bali.

- Nigdy go nie widziałas?

- Nie, ale wciąż o nim mówili, sprzeczali się między sobą, co on by zrobił.

- Może pamiętasz, jak się nazywał? - Zapytał Peter, a Melissa Jane zmarszczyła czoło, wyęzając pamięć.

- Czy miał nazwisko? - Ponaglił ją Peter.

- Zwykle mówili o nim „on” - tak, teraz sobie przypominam, ten czarny mówił o nim „Kasper”.

- Kasper?

- Nie, nie tak, nie Kasper, już nie pamiętam - powiedziała płaczliwym głosem, w którym wciąż słysząc było nutę strachu.

- Nie przejmuj się - próbował ją pocieszyć, ale nie mogła się uspokoić.

- Nie Kasper, ale podobnie. Wiem, że to właśnie on chciał mnie skrzywdzić. Tamci robili tylko to, co im kazał. Jego najbardziej się bałam - zakończyła niemal ze szlochem.

- To wszystko już za tobą, kochanie. - Peter skrzywił w tym momencie na pobocze drogi i zatrzymał samochód. Objął ją ale pozostawała sztywna w jego ramionach, a

pod dotykiem zaczęła się trząść. Peter przeraził się i przycisnął ją do piersi.

- Kalif! - Wyszepiała na koniec. - Tak się nazywa. Kalif.

Dopiero teraz odprężyła się i westchnęła. Uspokoila się w widoczny sposób, przestała drzeć. Peter wciąż trzymał ją w ramionach, usiłując opanować ogarniający go gniew. Po chwili jednak zauważył, że Melissa Jane zasnęła.

Wyglądało na to, że ujawnienie nazwiska przestępcy stanowiło jakby katharsis dziecka. Od tej pory zaczął się jej ostateczny powrót do zdrowia.

Peter położył ją delikatnie na siedzeniu i przykrył kocem, a następnie uruchomił samochód i ruszył w dalszą drogę; od czasu do czasu spoglądał na córkę, upewniając się, że śpi spokojnie.

Peter dwukrotnie dzwonił do Magdy Altmann z Abbots Yew pod jej prywatny numer, ale była nieuchwytna. Nie zostawiła także żadnej wiadomości dla niego. Od uwolnienia Melissy Jane upłynęło już pięć dni, a wciąż nie mógł nawiązać z nią kontaktu.

Pewnego dnia do Abbots Yew przybył, ku wielkiej satysfakcji Stevena, doktor Kingston Parker. Jego potężna, imponująca postać zdawała się całkowicie wypełniać stary, piękny dom Stride'a. Jeśli chciał, potrafił pozyskiwać sobie ludzi. Steven był nim zachwycony, szczególnie odkąd odkrył, że Parker jest nie tylko wielkim liberałem, zatroskanym o prawa człowieka, lecz także gorącym rzecznikiem systemu kapitalistycznego oraz że reprezentuje pogląd, iż Stany Zjednoczone powinny brać na siebie odpowiedzialność za losy całego świata zachodniego. Obaj ubolewali bardzo nad rezygnacją z budowy bombowca B1 i odłożeniem realizacji programu bomby neutronowej oraz restrukturyzacji amerykańskiego wywiadu. Już pierwszego popołudnia spędzili razem dużo czasu w gabinecie Stevena, badając wzajemnie swoje poglądy, by w końcu wyjść jako wielcy przyjaciele.

Pełnię sukcesu w oczach gospodarzy Kingston Parker osiągnął, kiedy dowiedział, że podobnie jak Patrycja Stride jest rozmiłowany w starej porcelanie i, co więcej, że zna się na niej. Wybitny gość okazywał ponadto tyle radości z ocalenia Melissy Jane i tyle nieudawanej troski o jej zdrowie! Sympatię dziewczynki zdobył niemal szturmem, gdy poszedł z nią do stajni obejrzyć Florence Nightingale i przy tej okazji okazał się nie byle jakim znawcą koni.

- To jest bardzo miły pan i sądzę, że również bardzo honorowy człowiek - powiedziała do Petera, kiedy wieczorem przyszedł do niej, żeby powiedzieć jej dobranoc. - I do tego taki uprzejmy i komiczny. - Ale, oczywiście, moim najbardziej ulubionym na świecie mężczyzną jesteś ty, tatusiu - dodała lojalnie.

Proces leczenia i rekonwalescencji wydawał się już zakończony i Peter mógł tylko podziwiać wielką odporność młodego organizmu i ducha.

Jak zwykle w obiedzie brało udział znakomite towarzystwo. W centrum

zainteresowania znajdował się Kingston Parker. Po posiłku wymienili z Peterem spojrzenia i pozostawili towarzystwo przy winie i koniaku, wymknąwszy się dyskretnie do ogrodu. Tu dopiero mogli porozmawiać spokojnie o nurtujących ich problemach. Wokół panowała absolutna niemal cisza, którą zakłócał tylko zgrzyt żwiru pod ich stopami. Spokój wiosennej nocy działał na nich kojąco, nastrojał do refleksji. Mówili o sprawach, które były w zupełnej dysharmonii z otoczeniem; o śmierci i przemocy, o funkcjach i nadużywaniu władzy, o jakiejś tajemniczej, groźnej dla cywilizowanych społeczeństw postaci.

- Minęło pięć dni, odkąd przybyłem do Anglii - mówił Kingston Parker, ćmiąc fajkę z pianki morskiej. - Z niemałym trudem wyrwałem się z Whitehallu, tak wiele spraw było do omówienia z gospodarzami. - Peter skądinąd wiedział, że dwukrotnie doszło do spotkania Parkera z premierem Anglii. - I niestety, nasze rozmowy dotyczyły nie tylko Atlasu. - Parker był jedną z zaufanych osób prezydenta USA. Jego wizyta została wykorzystana do wymiany poglądów z rządem brytyjskim. Jednak sprawę Atlasu omówiliśmy głęboko i szczegółowo. Wiesz dobrze, że ma on przeciwników po obu stronach Atlantyku. Usiłowali go zniszczyć, a gdy to się nie udało, starają się zredukować jego siłę i rolę polityczną. - Parker przerwał na chwilę, gdy jego fajka nagle zagulgotała. Strzepnął soki z cybucha na ścieżkę. - Przeciwnicy Atlasu to z reguły ludzie bardzo inteligentni, zaangażowani i dobrze poinformowani. Ich racje i motywy nie są pozbawione słuszności, sam z nimi trochę sympatyzuję. Powołanie bowiem do życia potężnej siły, takiej jak Atlas, w której władza skupia się w rękach pojedynczego człowieka lub też wąskiego kierownictwa, rodzi niebezpieczeństwo powstania swojego rodzaju monstrum. Frankensteina, który może się wymknąć spod kontroli.

- Wszystko zależy od człowieka postawionego na czele organizacji, doktorze. Jestem pewien, że pan jest odpowiednim człowiekiem.

- Dziękuję ci, Peterze. - Parker spojrzał na niego z uśmiechem. - Proponuję, żebyś zwracał się do mnie po prostu Kingston.

Peter skinął głową, a Parker dalej snuł wywód.

- Atlas odniósł ostatnio kilka spektakularnych sukcesów. Najpierw w Johannesburgu, a ostatnio w Irlandii, ale to niektórych przyprawia o ból głowy. Społeczeństwo jest dziś gotowe zaakceptować naszą koncepcję Atlasu i jeśli poprosimy o szersze uprawnienia, istnieje duże prawdopodobieństwo, że je otrzymamy. I wierz mi, jeśli mamy wykonać postawione przed nami zadania, potrzebujemy tych uprawnień. Sam czuję w tej chwili wewnętrzne rozdarcie...

- Tym bardziej teraz - wtrącił Peter. - Nie będziemy w stanie rozprawić się z najbardziej niebezpieczną na świecie bestią bez odpowiedniego uzbrojenia.

Kingston Parker westchnął ciężko.

- A jeśli Atlas uzyska te uprawnienia, kto da gwarancje, że nie zostaną one nadużyte, że rządy siły nie zastąpią rządów prawa?

- Rządy się zmieniają. Rządy prawa są często bezsilne wobec tych, którzy go nie szanują.

- Istnieje jeszcze inny aspekt sprawy, Peterze. Zastanawiam się nad nim już od wielu lat. Co sądzisz o rządach niesprawiedliwego prawa? Prawa ucisku i wyzysku? Prawa, które zniewala lub upośledza z powodu innego koloru skóry lub odmiennych przekonań religijnych? Jeśli parlament ustanawia rasistowskie prawa? Lub też jeśli Zgromadzenie Ogólne ONZ ogłasza syjonizm postacią imperializmu, która powinna być poza prawem? A co z sytuacją, w której garstka ludzi kontroluje światowe zasoby surowców i manipuluje nimi w sposób przynoszący uszczerbek ludzkości, jak na przykład Komitet OPEC, szach irański czy też król saudyjski? - Kingston Parker rozłożył bezradnie ręce. - Czy powinniśmy respektować takie prawa? Czy niesprawiedliwe rządy prawa zasługują na nasz szacunek?

- Równowaga - wtrącił Peter - konieczna jest równowaga między prawem i siłą.

- Tak, ale na czym polega ta równowaga? - Kingston ścisnął nagle dłonie w pięści. - Zażądałem większych uprawnień dla Atlasu, szerszych możliwości wykorzystania go, i mam nadzieję, że je uzyskam. Gdy osiągnę ten cel, będę potrzebował więcej odpowiednich ludzi, Peterze. - Kingston Parker uścisnął ramię Petera z zadziwiającą siłą. - Ludzi, którzy będą potrafili ocenić, kiedy rządy prawa są bezradne lub niesprawiedliwe, i którzy znajdą w sobie dość odwagi i wyobraźni, żeby podjąć działania w celu przywrócenia równowagi, o której przed chwilą mówiłeś.

Trzymał wciąż dłoń na ramieniu Petera. Był to naturalny gest, pozbawiony jakiegokolwiek afektacji.

- Jestem przekonany, że należysz do takich ludzi, jakich mi potrzeba. - Zdjął rękę i jednocześnie zmienił ton. - W dniu jutrzejszym zorganizowałem spotkanie z pułkownikiem Noble'em, który razem z tobą przeprowadził irlandzką operację, a następnie zbadał sprawę. Mam nadzieję, że przyjedzie z czymś na ząb. Zostało wiele do przedyskutowania. Czy będziesz w dowództwie Thoru o drugiej?

- Jak najbardziej.

- Wobec tego możemy już wrócić do towarzystwa.

- Poczekaj chwilę - zatrzymał go Peter. - Mam ci coś jeszcze do powiedzenia. Sprawa nie daje mi spokoju. Sądzę, że gdy powiem ci, o co chodzi, zmienisz zdanie o mnie i o mojej ewentualnej roli w Atlasie.

- Tak? - Parker odwrócił się i czekał spokojnie.

- Jak ci wiadomo, porywacze mojej córki nie przedstawili żadnych żądań w zamian za jej uwolnienie ani też nie usiłowali nawiązać kontaktu ze mną ani z policją.

- Tak, wiem o tym - odpowiedział Parker. - To chyba było najdziwniejsze w całej tej sprawie.

- To nie jest prawda. Była próba nawiązania kontaktu i było żądanie.

- Nie rozumiem - zmarszczył brwi Parker, przybliżając twarz do Petera i usiłując coś wyczytać z jego oczu w słabym świetle bijącym z okien domu.

- Kidnaperzy nawiązali ze mną kontakt. Napisali list, który zniszczyłem.

- Dlaczego? - Zapytał Parker.

- Zaraz ci wyjaśnię. Przekazano mi tylko jeden warunek uwolnienia córki i dwutygodniowy termin jego spełnienia. W wypadku gdybym tego nie wykonał, mieli mi przysyłać po kolei części ciała córki. Jej ręce, stopy, a na koniec głowę.

- Co za szatański pomysł - wyszeptał Parker. - Trudno wymyślić coś bardziej nieludzkiego. Co to był za warunek?

- Żądano ode mnie życia za życie. Miałem zabić ciebie w zamian za życie dziecka.

- Mnie! - Zawołał Parker zaskoczony, odrzucając do tyłu głowę w nagłym szoku. - Oni chcieli mnie zabić?

Peter nic nie odpowiedział. Stali naprzeciwko, patrząc sobie w oczy, dopóki Parker pierwszy nie odwrócił wzroku, roztargnionym ruchem ręki przyczesując włosy.

- To zupełnie zmienia sytuację, muszę to dokładnie przemyśleć. To tworzy całkowicie nowy scenariusz sprawy. Pokręcił głową. - Sięgnęli po głowę szefa Atlasu. Dlaczego? Dlatego, że optowałem za powstaniem Atlasu, a oni byli przeciwni? Nie! To nie o to chodzi. Istnieje tylko jedno logiczne wytłumaczenie. Mówiłem ci już, że podejrzewam istnienie w tym wszystkim centralnej figury, mistrza marionetek, który kontroluje wszystkie organizacje terrorystyczne i łączy je w jedną zwartą groźną całość. Ja, Peterze, od pewnego czasu ścigam tę tajemniczą postać. Od naszego ostatniego spotkania poznałem wiele nowych faktów potwierdzających moje podejrzenia. Jestem przekonany, że ta osoba naprawdę istnieje, i jej zniszczenie uważam za jedno z głównych zadań Atlasu. Zanim uda się jej, poprzez stworzony przez nią system, zastraszyć ludzkość i urosnąć w siłę zagrażającą istniejącemu porządkowi rzeczy.

Parker przerwał na chwilę, jakby dla zebrania myśli, a następnie mówił już bardziej spokojnym tonem.

- Sądzę, iż zamach na mnie niezbicie dowodzi, że ta postać istnieje i wie o moich podejrzeniach i zamiarach. Kiedy powołałem cię na agenta Atlasu, spodziewałem się, że szybko nawiążesz kontakt z przeciwnikiem, ale nie sądziłem, że w taki właśnie sposób. - Znowu przerwał, zastanawiając się nad czymś. - Niewiarygodne! - Powiedział jakby do siebie. Był wyraźnie zaskoczony. - Jedynym człowiekiem, którego nigdy nie podejrzewałem, byłeś ty, Peterze. Miałeś, jako jeden z niewielu, dostęp do mnie zawsze i o każdej porze. I ten zamiar stopniowego okaleczania twojej córki... Muszę przyznać, że nie doceniłem przebiegłości i bezwzględności przeciwnika.

- Czy słyszałeś kiedyś o Kalifie?

- A ty od kogo o nim słyszałeś? - Odpowiedział pytaniem Parker.

- List porywaczy był podpisany tym nazwiskiem, a Melissa Jane słyszała, jak porywacze o nim rozmawiali.

- Kalif. - Parker skinął głową. - Tak, zetknąłem się już z tym nazwiskiem. Po

ostatniej naszej rozmowie.

Parker zamilkł, ćmiąc intensywnie fajkę, a po chwili znów uniósł głowę.

- Powiem ci, kiedy i w jakich okolicznościach, ale dopiero jutro, na spotkaniu w Thorze. Dzisiaj skończymy na tym. I tak dostarczyłeś mi już dużo materiału do myślenia, chyba na całą noc.

Ujął Petera za ramię i poprowadził w kierunku domu. Ciepłe, żółte światło i wesoly śmiech rozchodziły się z jego okien, gdy tymczasem oni, milczący i zamknięci w sobie, szli z pochylonymi głowami ścieżką między krzakami róż. Przy furtce Kingston Parker przystanął jeszcze na chwilę, przytrzymując Petera za ramię.

- Powiedz mi, Peterze: czy uczyniłbyś to? - Zapytał cicho.

Nie odwracając się, Peter odpowiedział tym samym tonem.

- Tak, Kingstonie, uczyniłbym to.

- W jaki sposób?

- Za pomocą materiałów wybuchowych.

- To lepiej niż za pomocą trucizny - mruknął. - Ale nie tak dobrze jak kulą z pistoletu. - A następnie już nieco gniewnie: - Musimy położyć koniec tej ekspansji gwałtu, Peterze. To jest nadrzędny obowiązek.

- Czy to, co ci przed chwilą powiedziałem, nie zmienia stosunków między nami? - Zapytał Peter. - Czy wszystko pozostaje po staremu?

- Może się zdziwisz, ale to potwierdza tylko moją opinię o tobie. Jeśli trzeba, potrafisz być człowiekiem bezwzględny, a takich ludzi nam potrzeba do wykonania zadania. - Uśmiechnął się blado. - Mogę się obudzić w nocy spocony, ale to nie zmieni faktu, że łączy nas wspólny cel.

Colin Noble z cygarem w zębach i Kingston Parker z fajką zdawali się współzawodniczyć ze sobą w jak najszybszym zanieczyszczeniu powietrza w pokoju. W tej chwili było już bardzo gęste i niebieskie od dymu, a kwatera główna Thoru nie miała klimatyzacji. Peter, zaabsorbowany przedmiotem rozmowy, niczego nie zauważał.

Colin Noble omawiał właśnie szczegóły irlandzkiej operacji.

- Dom, Old Manse, został całkowicie spalony; dwudziestu irlandzkich policjantów przesiało dokładnie popioły... I nic, dosłownie nic. - Wymownie rozłożył ręce. - Następna sprawa to rzeczy znalezione w austinie i jego proveniencja. Jak ci się podoba to słówko, Peterze? Eleganckie, nieprawdaż?

Peter uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Proszę cię, mów dalej, Colinie.

- Austin został skradziony w Dublinie, przemalowany i wyposażony w bagażnik na dachu. Niczego w nim nie znaleziono, żadnych papierów w skrytce ani w bagażniku. Cały został rozebrany na części i przeszukany przez specjalistów...

- Mów o ludziach - ponaglał Parker.

- Tak, sir. O ludziach. Najpierw zabity. Nazywał się Gerald O'Shaughnessy. Znany również jako Gilly. Urodził się w Belfaście w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku mówiąc to, Colin uniósł w górę teczkę, która leżała przed nim na stole: miała dwanaście centymetrów grubości. - Czy mam czytać to wszystko? To cholernie długa historia.

- Tylko to, co się wiąże ze sprawą - polecił Parker.

- Nie wiemy, w jaki sposób został zamieszany w tę sprawę.

Colin naszkicował zwięzłe podstawowe fakty dotyczące udziału O'Shaughnessy'ego w porwaniu.

- Na zakończenie jeszcze o zawartości jego kieszeni. Miał w nich sześćset funtów szterlingów, trzydzieści osiem naboji i dokumenty na nazwisko Edward i Helena Barry. - Colin zamknął energicznie teczkę. - Nic, co mogłoby rzucić jakieś światło na sprawę. A teraz drugi mężczyzna. Nazywa się Morrison, Claude Bertram Morrison. Znany lekarz aborcjonista, nałogowy alkoholik. Został skreślony z listy lekarzy w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku.

Znów zrelacjonował szybko i dokładnie dane i fakty.

- Za obcięcie palca otrzymał trzy tysiące funtów, z tego połowę z góry. Do diabła, to wcale nie tak dużo - Colin uśmiechnął się, ale w oczach miał gniew. - Mam przyjemność panów poinformować, że za swój czyn dostanie prawdopodobnie piętnaście lat! Jest tylko jeden szczegół w jego zeznaniach, który może nas specjalnie zainteresować. O'Shaughnessy był szefem, od którego doktor otrzymywał rozkazy, a z kolei tamten odbierał rozkazy od kogoś, kogo nazywali - tu Colin zawiesił głos - Kalifem.

- Mam jedną uwagę - wtrącił Kingston Parker. - Kalif bardzo lubi posługiwać się swoim nazwiskiem. Podpisuje nim listy. Nawet wynajęci przez niego zabójcy wypowiadają je w rozmowach między sobą. Dlaczego?

- Sądzę, że jestem w stanie odpowiedzieć na to pytanie ożywił się Peter. - Zależy mi na tym, żebyśmy wiedzieli o jego istnieniu. Chce, żebyśmy mieli punkt ogniskowy dla naszego strachu i nienawiści. Gdyby był dla nas tylko bezimienną istotą bez twarzy, nie wydawałby się taki groźny.

- Myślę, że masz rację - Parker skinął głową poważnie. Posługując się nazwiskiem we wszystkich akcjach, buduje wokół siebie złowieszczy mit swego rodzaju wiarygodności. W przyszłości, jeśli Kalif powie, że zabije lub okaleczy, będziemy wiedzieli, że jest to śmiertelnie poważna groźba i że nie możemy liczyć na żaden kompromis. Uczyni właśnie to, co zapowiedział. Ten człowiek jest niewątpliwie dobrym psychologiem.

- Istnieje jeszcze jeden problem związany z irlandzką operacją. Nie było o nim żadnej wzmianki - przerwał Peter, zmarszczywszy brwi. - Chodzi o to, że dotychczas nie wiemy, kto był naszym informatorem, kto zdradził porywaczy i dlaczego to

uczynił.

Wszyscy milczeli, wobec czego Peter zwrócił się do Colina:

- Co o tym sądzisz?

- Rozmawiałem na ten temat z policją. Jest to jedna z niewyjaśnionych zagadek w tej sprawie. Policja sądzi, że O'Shaughnessy wybrał za swoją kryjówkę Irlandię ze względu na znajomość terenu i na przyjaciół, których tam miał. Zdążył już wielokrotnie wydeptać ten grunt, gdy był jednym z *provos*. To tam łatwiej było mu poruszać się, pojawiać i znikać w miarę potrzeby, a nawet załatwiać sprawy. - Colin przerwał, widząc sceptyczny wyraz twarzy Petera. - Słuchaj, chłopie, ten punkt widzenia ma swoje odbicie w faktach. O'Shaughnessy znał kobietę, która wydzierżawiła dla niego Old Manse, Kate Barry, takie nazwisko podała i tak się podpisała na dokumencie dzierżawy. Tak więc był już jeden sojusznik, a musieli być również i inni, choćby ci, dzięki którym kupił i przemaalował samochód. Niewątpliwie miałyby trudności z załatwieniem tych spraw w Edynburgu czy Londynie.

Peter przytaknął niechętnie skinieniem głowy.

- Zgadzam się z tobą, że jego kontakty w Irlandii z pewnością były mu bardzo pomocne...

- Jest jeszcze druga strona medalu - przerwał mu Colin. - O'Shaughnessy miał w Irlandii nie tylko przyjaciół, miał również wrogów, nawet wśród *provos*. Był wyjątkowym draniem z krwawą przeszłością. Można przypuszczać, że jeden z nich dostrzegł szansę załatwienia z nim swoich porachunków. Być może to ten sam człowiek, który mu sprzedał kradziony samochód. Dysponujemy nagraniem telefonicznego donosu. Zostało skrupulatnie zbadane przez ekspertów językowych. Niestety, wyniki nie są interesujące. Głos został zmieniony prawdopodobnie za pomocą chusteczki i naciskania skrzydełek nosa. Ogólne wrażenie jest takie, że należał do Irlandczyka. Wojskowi specjaliści stwierdzili, że był to telefon z zagranicy, prawdopodobnie z Irlandii, chociaż nie jest to zupełnie pewne.

Peter uniósł lekko brwi w górę, a Colin zaśmiał się cicho. Wyjął z ust cygaro i uczynił nim gest zapraszający do dyskusji.

- Okay, to wszystko, co miałem do powiedzenia - oświadczył. - Teraz słucham uważnie was.

- Chcesz, żebym uwierzył - odezwał się Peter - że to wszystko było po prostu zbiegiem okoliczności. I to, że O'Shaughnessy miał starego wroga, który go zadenuncjował na dwadzieścia cztery godziny przed upływem terminu, po którym Melissa Jane miała mieć obciętą rękę, i to, że my dotarliśmy do Laragh dokładnie w tym samym momencie, gdy O'Shaughnessy podjął próbę ucieczki. Czy chcesz, żebym w to uwierzył?

- Chyba tak - przyznał Colin.

- Przepraszam cię bardzo, Colinie, ale nie lubię zbiegów okoliczności.

- Wobec tego chętnie posłucham twojej wersji wydarzeń.

- Nie mam takiej. - Peter uśmiechnął się rozbrajająco. Chodzi tylko o to, że nie wierzę, żeby Kalif liczył na zbieg okoliczności. Sądzę także, że O'Shaughnessy od samego początku nosił na sobie piętno śmierci. Uważam, że wszystko od początku do końca zostało zaplanowane.

- Takie przekonanie to ciekawa sprawa - Colin usiłował być złośliwy - ale to, do diabła, nie pomaga w wyjaśnieniu faktów.

- Nie denerwuj się. - Peter uniósł w górę rękę na znak poddania się. - Jeśli jednak przyjmujemy, że twoja wersja jest słuszna, to wtedy...

- To co wtedy? - Gorączkował się Colin.

- Brakuje nam tylko dowodów na jej potwierdzenie.

- Okay. - Tym razem uśmiech nie zagościł na twarzy Colina, a jego szerokie usta były ponuro zaciśnięte. - Chcesz dowodów, osądź więc sam...

- Poczekaj, Colinie. - Parker powstrzymał go nakazującym ruchem ręki. - Poczekaj jeszcze chwilę, nie śpiesz się.

Colin z widocznym wysiłkiem przełknął w ostatniej chwili to, co chciał powiedzieć, a na jego usta powrócił stary, znajomy uśmiech.

- Zacznę od początku - powiedział Parker. - Peter wymienił imię, czy też nazwisko Kalifa. To samo imię poznaliśmy wcześniej z innego źródła. Obiecałem Peterowi, że powiem mu o naszym źródle, gdyż w ten sposób, moim zdaniem, uzyskamy możliwość nowego spojrzenia na całą sprawę. - Przerwał i zaczął majstrować koło swojej fajki za pomocą małego instrumentu, wyposażonego w składane ostrze, haczyk i szpikulec. Wyczyścił dokładnie lulkę i wystukał odrobinę nie do końca spalonego tytoniu do popielniczki, a następnie spojrzął w otwór fajki w podobny sposób, w jaki strzelec sprawdza lufę swojej broni.

W tym momencie Peter uświadomił sobie, że Parker używa fajki jako rekwizytu podczas swoich występów, tak jak magik, który absorbuje uwagę widowni magicznymi pałeczkami i fetyszami. Nie jest na pewno człowiekiem, którego można nie doceniać, myślał Peter po raz któryś z rzędu.

Parker spojrzął na niego i uśmiechnął się, jak przyłapany na gorącym uczynku konspirator.

- Nasze informacje o Kalifie pochodzą z zupełnie innej strony świata, ze Wschodu. Żeby być dokładnym - z Riadu, stolicy Arabii Saudyjskiej, siedziby władcy imperium naftowego, Chalida. Po zamordowaniu przez tajemniczych sprawców jednego z królewskich wnuków Chalid zwrócił się do naszej Centralnej Agencji Wywiadowczej z prośbą o pomoc. Jestem przekonany, że przypominacie sobie tę sprawę.

Peter miał dziwne uczucie *déjà vu*, gdy słuchał Kingstona Parkera relacjonującego okoliczności mordu, o którym trzy tygodnie temu rozmawiał z Magdą Altmann.

- Rozumiecie, w jak niebezpiecznej sytuacji znajdują się król i cała jego rodzina. Czy wiecie, że obecnie żyje około siedmiuset książąt saudyjskich, którzy są złączeni z królem więzami krwi i strukturą władzy i są multimilionerami? Jest rzeczą praktycznie

niemożliwą strzec jednocześnie tak wielu potencjalnych ofiar terroru. Nie ma najmniejszej potrzeby brać zakładników, narażając się na duże ryzyko, gdy wokół nas jest tak wiele osób, które opłaci się porwać, i tak wielu przestępców gotowych to uczynić, jeśli im się zapłaci. Wystarczy więc dysponować odpowiednią ilością informacji, pieniędzy i środków nacisku, a Kalif niewątpliwie je posiada.

- Jakie żądania przedstawiono Chalidowi? - Zapytał Peter.

- Wiemy na pewno, że otrzymał jakieś żądanie i że zwrócił się do CIA z prośbą o pomoc w ochronie rodziny. Żądanie wyszło od agencji lub też osoby o imieniu Kalif. Nie znamy treści żądania, jest jednak znamienne, że Chalid i szach perski uzgodnili między sobą, iż na następnej sesji OPEC nie poprą wniosku o podniesienie ceny ropy naftowej. Co więcej, będą się domagali jej obniżki o pięć procent.

- Kolejny sukces Kalifa - mruknął Peter.

- Rzeczywiście na to wygląda, nieprawdaż? - Przytaknął Parker, a następnie roześmiał się gorzko. - I znowu, podobnie jak w przypadku Afryki Południowej, ostateczny cel terrorystów wydaje się pożądanym z punktu widzenia interesów społeczeństw cywilizowanych, aczkolwiek droga do tego celu, mówiąc delikatnie, jest niekonwencjonalna.

- Bardzo delikatnie - zgodził się Peter, przypominając sobie w tej chwili wstrząsane dreszczami gorączki ciało Melissy Jane.

- Nie ma więc najmniejszej wątpliwości, że to, czego tak bardzo się obawialiśmy, jest faktem. Kalif istnieje - stwierdził Parker.

- Istnieje i rośnie w siłę - przytaknął Peter.

- Żyje, jest zdrow i prowadzi dostatnie życie w jakimś luksusowym domu, gdzieś na przedmieściu. - Colin zapalił ogarek swojego cygara i ciągnął dalej: - Do licha! Odniósł sukces w Johannesburgu, zwycięża w Riadzie, dokąd się teraz uda? Może do zachodnich Niemiec do Federacji Pracodawców albo do Wielkiej Brytanii między liderów związków zawodowych? Każda grupa społeczna, która ma wpływ na losy narodów i jednocześnie jest dość mała, może okazać się godnym celem dla niego.

- Tędy prowadzi droga do sterowania losami całego świata. Nie ma sposobu na uchronienie ludzi decydujących o tych losach przed atakami terrorystów - zauważył Peter. - Z tego, że pierwszymi obiektami ataków Kalifa była Afryka Południowa i naftowe monopole, nie należy wyciągać fałszywych wniosków, że ostateczny cel będzie służył ludzkości. Ostatecznym bowiem obiektem ataku będzie porządek demokratyczny. Nie ma wątpliwości co do tego, że Kalif uważa siebie za niemal równego Bogu. Wyznacza sobie rolę ojca - tyrana ludzkości, którego zadaniem jest uleczenie świata z chorób za pomocą radykalnych środków, a następnie troska o zachowanie jego zdrowia za pomocą przemocy i strachu.

Peter nie potrafił dłużej wysiedzieć na miejscu. Odepchnął krzesło i podszedł do okna. Stał w żołnierskiej postawie, balansując na czubkach palców nóg, z rękami założonymi do tyłu. Widok z okna był raczej nieciekawym. Wysokie ogrodzenie z drutu

kolczastego, fragment lotniska i ściana pobliskiego hangaru z pofałdowanej blachy. W bramie przechadzał się wartownik Thoru w białym hełmie MP na głowie i z białą bronią u boku. Peter patrzył niewidzącymi oczyma, a tymczasem siedzący przy stole dwaj mężczyźni wymienili między sobą znaczące spojrzenia. Colin Noble zadał cicho Parkerowi jakieś pytanie, a ten odpowiedział potakującym kiwnięciem głowy.

- W porządku, Peterze - odezwał się głośno Colin. Przed chwilą pytałeś mnie o dowody, chcę podać ci kilka.

Peter odwrócił się od okna i czekał, zawiesiwszy na nim wzrok.

- Podczas przetrzymywania Melissy Jane w Old Manse dwukrotnie dzwoniło za granicę. Obie rozmowy zamówiono w lokalnej centrali. Pierwsza odbyła się o siódmej po południu czasu miejscowego pierwszego tego miesiąca, chyba w pierwszym dniu pobytu porywaczy z ofiarą w kryjówce. Można się domyślać, że był to meldunek: „Wszystko w porządku”. Druga rozmowa miała miejsce dokładnie siedem dni później, znów o siódmej po południu, z tym samym, co poprzednio, numerem. Możemy mniemać, że był to kolejny meldunek: „Wszystko nadal w porządku”. Oba połączenia trwały niecałą minutę, tyle czasu jednak wystarczyło, żeby przekazać zaszyfrowany meldunek. - Colin przerwał wywód i spojrzał ponownie na Parkera.

- Mów dalej - polecił Parker.

- W obu przypadkach łączono się z numerem we Francji. Rambouillet czterdzieści siedem osiemdziesiąt siedem czterdzieści siedem.

Peter poczuł się nagle, jakby zadano mu cios w żołądek. Na moment przymknął oczy. Dzwonił tak często pod ten numer. Miał go cały czas w pamięci.

- Nie - pokręcił głową. - To niemożliwe.

- To prawda, Peterze - delikatnie potwierdził Parker.

Peter usiadł z powrotem na krześle. Nogi trzęsły się pod nim. W pokoju zapanowała całkowita cisza. Ani Parker, ani Colin nie śmieli spojrzeć na Petera Stride'a. Kingston Parker wykonał znaczący gest w kierunku Colina, a ten posłusznie podsunął mu poprzez stół czerwoną papierową teczkę przewiązaną czerwoną tasiemką. Parker rozwiązał tasiemkę i otworzył teczkę. Szybko przerzucał kartki, przeglądając je pobieżnie. Był niewątpliwie biegły w szybkim czytaniu i przyswajaniu sobie treści każdej stronicy jednym rzutem oka, ale w tej chwili najwyraźniej chodziło mu tylko o to, żeby Peter otrząsnął się z szoku. Znał treść tej teczki niemal na pamięć.

Peter pochylił się głęboko w krześle, patrząc tępo na wiszącą przed nim tablicę ogłoszeń z komunikatami Thoru. Z trudem usiłował opanować panikę, która go ogarnęła. Czuł się odrętwiały i spustoszony przez ogrom tej zdrady. Kiedy przymknął oczy, miał jeszcze przed sobą żywy obraz smukłego, delikatnego ciała o drobnych, dziecięcych piersiach, wyglądających spoza kurtyny jedwabistych, ciemnych włosów.

Po chwili wyprostował się na krześle, a Kingston Parker wykorzystał ten moment. Przymknąwszy teczkę, zwrócił ją ku niemu okładką. Nosila cechy najwyższego stopnia tajności. Teczka była dostępna tylko dla kierownictwa Atlasu. U dołu widniał

napis: „Altmann Magda Irene born Kutchinsky”.

Peter uprzytomnił sobie nagle, że nie miał pojęcia o jej drugim imieniu. Do diabła, oba były brzydkie, jakby wymyślone.

Parker cofnął trzymaną teczkę i zaczął spokojnie mówić:

- Podczas ostatniego spotkania mówiłem ci już o naszym szczególnym zainteresowaniu tą damą. Od tamtej pory zainteresowanie wciąż rosło w miarę zdobywania informacji. - Znow otworzył teczkę dla odświeżenia pamięci. - Colin zdołał pozyskać do współpracy agencje wywiadowcze obu naszych krajów, które z kolei zapewniły sobie dostęp do źródeł francuskich i podobno również do rosyjskich. Dzięki współpracy czterech wywiadów udało nam się złożyć w całość historię tej kobiety. Niezwykłej kobiety. - Pokręcił głową z podziwem. Niewiarygodnie niezwykłej. Nie dziwię się, że potrafi opleść siecią swoich uroków mężczyzn, których sobie wybiera. Rozumiem twoją rozpacz, Peterze. Przykro mi, jestem brutalny, ale nie mamy dość czasu, żeby taktownie manewrować wokół twoich uczuć. Wiemy, zostałeś jej kochankiem. Zwróć uwagę, że celowo dobieram słowa. Baronowa Altmann wybiera sobie kochanków w sposób przemyślany. Nie mam najmniejszych wątpliwości; jeśli już podejmie decyzję, to wykonuje swój zamiar w sposób przebiegły i dokładny.

Peter przypomniał sobie moment, gdy przyszła do niego i zaczęła od słów: „Nie jestem w tym najlepsza, Peterze, a tak bardzo chciałabym”. Te słowa zostały dobrane z przebiegłością, o której właśnie mówił Kingston Parker.

- Widzisz, Peterze, ona otrzymała wyszkolenie w dziedzinie miłości. Prawdopodobnie zaledwie kilka kobiet na całym Zachodzie potrafi tak dobrze jak ona odczytać mężczyznę, a następnie tak go zaspokoić. Nie pobierała nauk w Paryżu, Londynie ani w Nowym Jorku - Kingston Parker przerwał, patrząc na Petera. - Ty zresztą Peterze, wiesz o tym najlepiej i najwięcej miałbyś do powiedzenia na ten temat, czyż nie?

Najłatwiej jest kobiecie zdobyć mężczyznę, wzbudzając w nim wiarę w samego siebie, myślał Peter, patrząc na Kingstona Parkera. Pamiętał, jak czuł się z Magdą Altmann; jak mocarz, którego stać na wszystko. Ona potrafiła to uczynić słowem, uśmiechem, jednym dotknięciem. Na tym chyba polegała jej największa umiejętność.

Nie odpowiedział na pytanie Parkera.

- Mów dalej, Kingstonie - zachęcił. W pełni już nad sobą panował. Położył na stole prawą dłoń, rozchylając lekko palce.

- Już jako dziecko zdradzała pewne zdolności, na przykład do nauki języków, do matematyki (jej ojciec był zamiłowanym matematykiem), do szachów i gier zręcznościowych. Przyciągała uwagę, uwagę szczególną gdyż jej ojciec był członkiem partii komunistycznej. - Parker przerwał, gdyż Peter nagle uniósł głowę. - Przepraszam cię, Peterze, nie wiedzieliśmy tego jeszcze podczas ostatniego spotkania z tobą. Uzyskaliśmy te informacje od Francuzów. Zdaje się, że mają dostęp do

partyjnych dokumentów w Paryżu. Fakt ten potwierdzili Rosjanie. Chyba jeszcze jako dziecko chodziła z ojcem na partyjne zebrania i wcześniej zaczęła interesować się polityką. Przyjaciele jej ojca w większości byli członkami partii, również po jego śmierci. Aha, pozostaje jeszcze niewyjaśniona tajemnica, jak zginął. Ani Francuzi, ani Rosjanie nie podjęli tego tematu. W każdym razie po jego śmierci przyjaciele zaopiekowali się Magdą Kuczyńską. Zdaje się, że przechodziła od rodziny do rodziny - mówiąc to, Kingston Parker wyjął z koperty fotografię i podsunął ją Peterowi.

Na zdjęciu była chuda dziewczynka w stroju francuskiej uczennicy: w krótkiej sukience z kołnierzykiem, w ciemnych pończochach i słomkowym kapeluszu. Włosy miała splecione w dwa warkoczyki związane na końcach wstążkami, a na rękach trzymała małego, puszystego pieska. Stała na tle parku.

Twarz dziecka miała delikatne rysy. Jednak uwagę zwracały przede wszystkim duże, piękne i mądre, a jednocześnie pełne dziewczęcej niewinności oczy.

- Już na tym zdjęciu można dostrzec oznaki przyszłej niezwyklej urody - mruknął Kingston Parker, wyciągając rękę po fotografię. Na krótki moment palce Petera zacisnęły się na niej, jakby chciał ją zatrzymać, ale w końcu puścił.

Parker jeszcze raz rzucił na nią okiem, a następnie włożył z powrotem do koperty.

- Tak. Ona budziła coraz większe zainteresowanie. Wkrótce otrzymała list z Polski od wuja. Przysłano nieznane jej wcześniej fotografie ojca i matki, opisywano różne epizody z jej dzieciństwa i młodości ojca. Dziewczynka była tym wszystkim oczarowana. Nie wiedziała wcześniej o istnieniu wuja. Ojciec nigdy nie wspominał o swoich krewnych. Wystarczyło jeszcze kilka listów i zapewnień o wzajemnych uczuciach, żeby rozwiązać jej wątpliwości. Pewnego dnia wuj osobiście po nią przyjechał i zabrał ją do Polski. - Parker rozłożył ręce w wymownym geście. - Wszystko okazało się proste i łatwe.

- A potem nastąpiły zagubione lata - wtrącił Peter, a jego głos brzmiał jakoś obco. Chrząknął i poruszył się niespokojnie pod przeszywającym spojrzeniem Parkera.

- Już nie zagubione, Peterze. Teraz wiemy coś niecoś o tamtych latach.

- Rosjanie? - Zapytał Peter, a Parker skinął twierdząco głową. - Są dla nas bardzo życzliwi, nieprawdaż? Nigdy dotąd nie odsłaniali przed nami tak chętnie swoich tajemnic - ciągnął Peter.

- W tym wypadku mają powody - zaproponował Parker. Bardzo poważne powody, ale o tym porozmawiamy później.

- Zgoda.

- Tak więc dziewczynka wróciła z wujem do Polski, do Warszawy, gdzie nastąpiło to niezwykle połączenie z rodziną. Nie wiemy na pewno, czy to była jej prawdziwa rodzina, czy też przybrana. W każdym razie wuj wkrótce oznajmił, że jeśli Magda zda egzamin, ma wspaniałą szansę otrzymania stypendium i wyjazdu na studia do jednej z elitarnych wyższych uczelni w ZSRR. Nietrudno się domyślić, że zdała ten egzamin z wyróżnieniem, a jej nowi opiekunowie mogli pogratulować sobie takiego jak Magda

nabytku - stwierdził Parker z przekonaniem. - Uczelnia jest usytuowana na wybrzeżu Morza Czarnego, niedaleko Odessy. Nie ma określonej nazwy ani żadnej tradycji. Studenci są starannie dobierani, odsiew jest dokonywany według bardzo rygorystycznych zasad, przyjmowani są tylko najzdolniejsi. Wychowuje się ich w przekonaniu, że stanowią grupę elitarną. Ich rozwój jest ukierunkowany zgodnie ze zdolnościami. Magda poświęciła się językom obcym, matematyce, polityce i finansom. Mając siedemnaście lat, zdała z bardzo dobrym wynikiem na wyższy, bardziej wyspecjalizowany poziom odeskiej uczelni. Tutaj kształciła się przede wszystkim w zakresie specjalnych technik pamięciowych. O ile wiem, jedno z łatwiejszych ćwiczeń na tych studiach polegało na zapoznaniu się w ciągu minuty z listą obejmującą sto wyszczególnionych tematów, a następnie powtórzeniu jej z pamięci w prawidłowej kolejności po upływie dwudziestu czterech godzin. - Parker pokręcił głową z podziwem. - W tym samym czasie uczono ją także dostosowywania się do poziomu życia wyższych warstw społeczeństwa zachodniego. Ubiór, jedzenie, napoje, kosmetyki, maniery, popularna muzyka, literatura, film, teatr, polityka, prowadzenie interesów, umiejętności sekretarki, taniec towarzyski, sztuka miłości i uwodzenia mężczyzn, oto czego uczyli ją eksperci. A także latania samolotem, mechaniki i wielu innych sprawności niezbędnych agentowi najwyższej klasy - dodał Parker. - Była gwiazdą na kursie, a po jego ukończeniu pojawiła się na scenie społecznej jako kobieta, którą znasz. Zrównoważona i opanowana, piękna i wykształcona, a przede wszystkim niebezpieczna. Mając dwadzieścia lat, wiedziała i potrafiła więcej niż większość ludzi dwukrotnie od niej starszych. Stała się doskonałym agentem z jednym tylko niedociągnięciem, które jednak ujawniło się dopiero później. Była zbyt inteligentna i zbyt ambitna - tu Kingston Parker uśmiechnął się po raz pierwszy w ciągu dwudziestu minut. - Jej mistrzowie nie dostrzegli tego, niewątpliwie ta wada nie ujawniła się wcześniej. Nie była przecież jeszcze narażona na wszelkie pokusy bogactwa i nieograniczonej władzy.

Kingston Parker przerwał i pochylił się przez stół ku Peterowi.

- Żądza bogactw z natury rzeczy wypływa z niższych pokładów ludzkiej inteligencji - ciągnął. - Natomiast tylko rozwinięty i głęboki umysł potrafi ocenić potrzebę władzy. W tej chwili dostrzegł protest w wyrazie twarzy Petera. - Nie, nie, ja nie mam na myśli władzy jako możliwości sprawowania kontroli nad własnym, ograniczonym środowiskiem ani też władzy nad życiem i śmiercią tysięcy ludzi, lecz władzę prawdziwą. Taką od której zależą losy narodów, jaką kiedyś posiadali Cezar i Napoleon, a dziś posiada prezydent Stanów Zjednoczonych. Żądza takiej władzy to najwyższy wymiar żądzy, Peterze, to wspaniałe i szlachetne pragnienie.

Przez chwilę milczał, jakby kontemplując wizję wielkiej władzy, a potem zwrócił się nagle do Colina Noble'a:

- Przepraszam za małą dygresję, ale czy nie mamy trochę kawy, Colinie? Sądzę, że wszyscy napilibyśmy się chętnie.

Colin podszedł do automatu, który syczał i bulgotał w kącie pokoju. W tym czasie napięta atmosfera nieco się rozluźniła, a Peter usiłował uporządkować swoje myśli. Przede wszystkim starał się znaleźć w całej tej historii jakieś słabe punkty, ale bezskutecznie. Zamiast tego przypominał mu się smak jej ust i dotyk rąk na jego ciele. Przywołanie tamtych chwil, gdy ponagliła go we wspólnym poszukiwaniu najbardziej wymyślnych rozkoszy, wywoływało teraz głęboki ból w sercu.

Czy tego wszystkiego można było się nauczyć, zastanawiał się, a jeśli tak, to kto może być nauczycielem? Oczami wyobraźni widział pokój w budynku na wysokim wybrzeżu Morza Czarnego. Pokój, w którym to smukłe i delikatne ciało ćwiczyło się w szczególnych umiejętnościach, ucząc się sztuki miłości tak jak przyrządzania posiłków lub strzelania z pistoletu. Niezwykłym wysiłkiem woli odtrącił od siebie ten obraz. Kingston Parker mówił dalej, balansując filiżanką kawy w jednym ręku i uniesionym w górę palcem drugiej ręki, czym przypominał Peterowi starą pannę na herbatce towarzyskiej.

- Przybyła więc do Paryża, który padł do jej stóp. To był naprawdę triumf. - Parker wysypał z teczek plik kolejnych zdjęć Magdy: Magda tańcząca na balu w Pałacu Elizejskim, Magda wychodząca z rolls-royce'a przed Maximem na rue Royale, Magda na nartach, piękna, roześmiana i opanowana. Wszędzie wokół niej mężczyźni. Bogaci, dobrze odżywieni, z przylizanymi włosami.

- Już ci mówiłem, że miała osiem związków seksualnych Kingston Parker ponownie użył tego irytującego Petera określenia. - Istnieją podstawy, aby zrewidować tę liczbę. Francuzi, którzy tym sprawom poświęcają dużo uwagi, uzupełnili listę. Parker rzucił na stół kilka nowych zdjęć. - Pierre Hammond, wiceminister obrony, i Mark Vincent, konsul generalny USA...

- Rozumiem - uciał krótko Peter, choć czuł jakąś chorobliwą fascynację, oglądając twarze tych obcych mężczyzn.

- Możesz sobie wyobrazić, jak bardzo zadowoleni byli jej opiekunowie. Zanim agent mężczyzna dotrze do źródeł informacji, trzeba nieraz czekać dziesięć lat. Magda Kuczyńska swoją urodą, młodością i inteligencją utorowała sobie drogę przebojem. Mam wrażenie, że wtedy dopiero rosyjscy protektorzy zaczęli doceniać jej prawdziwą wartość. Jednocześnie zdawali sobie sprawę z tego, że młodość i uroda nie będą trwać wiecznie. - Tu Kingston Parker długimi, wąskimi dłońmi pianisty uczynił gest wyrażający lekceważenie. - Nie wiemy, czy Aaron Altmann został wybrany przez jej opiekunów, ale jest to bardzo prawdopodobne. Pomyśl tylko, jeden z najbogatszych i najpotężniejszych ludzi w zachodniej Europie. Ktoś, kto kontrolował większość europejskiego przemysłu maszynowego i największy kompleks przemysłu zbrojeniowego i elektronicznego. Wdowiec bez dzieci, zatem w razie jego śmierci, zgodnie z francuskim prawem, żona dziedziczyła po nim wszystko. Wiedzano, że cierpiał na raka i jego dni były policzone. Wiedzano także, że był syjonistą jednym z najbardziej wpływowych i zaufanych współpracowników Mossadu. To wszystko

kusiło, bardzo kusiło - mówił Kingston Parker. - Wyobraź sobie kogoś, kto jest w stanie podkopać człowieka tak potężnego, co więcej - zająć jego miejsce! To wydawało się tylko marzeniem, najbardziej nieprawdopodobnym snem. Nawet najpiękniejsza na świecie kobieta nie mogła liczyć na zdobycie takiego mężczyzny jak Aaron Altmann. Jako człowiek o niezwyklej sile ducha i odwadze, Altmann zasługuje na oddzielne studium. Niestety, zmogła go choroba. Wybacz, że znowu zrobię dygresję. Ktoś, może kierownik NKWD w Moskwie, a może ktoś w ambasadzie rosyjskiej w Paryżu albo sama Magda Kuczyńska, wybrał Aarona Altmanna na ofiarę jej wdzięków. W ciągu dwóch lat stała się dla niego kimś nieodzownym i niezastąpionym. Altmann mógł mieć każdą kobietę zgodnie ze swoim kaprysem. Jego seksualne apetyty owiane były wręcz legendarną sławą i prawdopodobnie przyczyniły się do niepłodności. Młodzieńcza nieostrożność spowodowała chorobę weneryczną z komplikacjami. Co prawda został całkowicie z niej wyleczony, ale wyrządzone organizmowi szkody okazały się nieodwracalne - dodał ze smutkiem. - Mógł się zatem z nią zabawić, a następnie rzucić, gdy mu się znudzi. Magda nie należała jednak do naiwnych dziewczątek. Najpierw zdobyła jego szacunek i podziw. Była prawdopodobnie pierwszą napotkaną przez niego kobietą, której umysł, siła ducha i zdecydowanie dorównywały jego własnym.

Kingston Parker wybrał kolejną fotografię i położył ją na stole. Zafascynowany Peter patrzył na biało-czarny wizerunek mocno zbudowanego mężczyzny o byczym karku i wysuniętej do przodu szczęce. Jak wielu mężczyzn o dużej potencji, był łysy. Gładką półkulę czaszki otaczała jedynie wąska obwódka rzadkich włosów. Zmarszczki wokół oczu i ust układały się w sposób świadczący o poczuciu humoru. Z oczu, mimo pozornej ich surowości, wyzierał uśmiech.

Typowy portret mocnego człowieka, pomyślał Peter.

- Gdy mu się w końcu oddała, przeżył wstrząs, jak porażony prądem. - Kingston Parker chyba umyślnie rozwodził się nad nieistotnymi dla sprawy szczegółami miłosnych afer Magdy. Oboje dorównywali sobie, stanowili dwie wyróżniające się indywidualności, prawdopodobnie dwie na sto milionów wyjątkowo dobrane - dodał z przekonaniem. - Ostatecznie więc pobrali się i w ten sposób NKWD uzyskało wtyczkę w samym centrum zachodniego przemysłu. Narmco, zakłady zbrojeniowe Altmanna, produkują części do najbardziej tajnych amerykańskich, brytyjskich i francuskich rakiet. Baronowa była członkiem zarządu, faktycznie zastępcą przewodniczącego Narmco. Wieczorami liderzy i decydenci świata zachodniego przesiadywali w jej pokojach i pili jej szampana. Każda rozmowa, każda interesująca wzmianka czy niedyskrecja była utrwalana w specjalnie wyszkolonej pamięci. Stopniowo ograniczała władzę barona, a on sam w coraz większym stopniu polegał na żonie. Nie wiem dokładnie, kiedy zaczęła mu pomagać w pracy dla Mossadu, ale gdy to nastąpiło, Rosjanie osiągnęli swój cel. Opanowali prawą rękę i serce barona, który całkowicie pozostawał w mocy pięknej czarodziejki. Mogli teraz liczyć na

podporządkowanie sobie większej części zachodnioeuropejskiego przemysłu ciężkiego. Byłyby to plany bardzo realne, gdyby nie ukryty dotąd defekt charakteru baronowej. Możemy sobie wyobrazić konsternację jej rosyjskich mocodawców, gdy nagle odkryli, że ich pupilka zaczęła pracować dla samej siebie. Okazała się znacznie mądrzejsza od swoich nadzorców i, co najważniejsze, poznała smak prawdziwej władzy, który zresztą przypadł jej bardzo do gustu. Prawdopodobnie doszło do gigantycznej bitwy między mistrzami a ich marionetką. Nagle ujawniła, że ma własną ambicję i chce zostać najbogatszą, najpotężniejszą kobietą od czasów carycy Katarzyny.

Kingston Parker zatrzymał się. Jako urodzony i doświadczony gawędziarz czuł instynktownie, jak należy budować napięcie audytorium. Zadzwoił łyżeczką o filiżankę.

- Zaschło mi w gardle od mówienia.

Colin i Peter z widocznym wysiłkiem ocknęli się z zasluchania. Byli zahipnotyzowani zarówno usłyszaną historią, jak i osobowością narratora. Tymczasem Parker napełnił swoją filiżankę. Wypił kilka łyków kawy.

- Rosjanom pozostał tylko jeden sposób. Groźba, że ją zdemaskują. Byłby to cios bardzo skuteczny. Mężczyzna taki jak Aaron Altmann, dowiedziawszy się o oszustwie, zachowałby się z pewnością jak rozwścieczony byk. Można było przewidzieć jego reakcję. Natychmiast rozwiódłby się z Magdą. Wprawdzie uzyskanie rozwodu we Francji nie jest łatwe, ale nie dla takiego człowieka jak baron. Bez protekcji Magda byłaby nikim. Jej wartość dla Rosjan zmalałaby do zera. Bez imperium przemysłowego Altmanna marzenia o władzy rozwiałyby się jak dym. Groźba byłaby skuteczna, gdyby chodziło o zwykłą kobietę, ale przecież Magda taka nie jest...

Parker przerwał znowu. Rzecz jasna, ta historia pochłonęła go i znajdował przyjemność w opowiadaniu.

- Dotąd ja mówiłem najwięcej - uśmiechnął się do Petera. - Chciałbym teraz dać tobie pewną szansę. Znasz Magdę trochę, wiele dowiedziałaś się o niej w ciągu ostatniej godziny. Jak sądzisz, co uczyniła w tej sytuacji?

Peter chciał już pokręcić przecząco głową, gdy nagle straszliwa myśl przyszła mu do głowy. Patrzył więc na Parkera rozszerzonymi źrenicami. Twarz mu pobiadła jak ściana.

- Sądzę, że się domyśliłeś - Parker skinął głową. - Tak, należy przypuszczać, że wówczas zaczęła się trochę niecierpliwic, baron stanowczo za długo umierał.

- Boże, przecież to straszne - jęknął Peter.

- Z naszego punktu widzenia, tak - przyznał Parker. Ale jeśli spojrzeć na sprawę z pozycji szachisty, a nie zapominaj, że jest bardzo dobrą szachistką było to doskonałe posunięcie. Zorganizowała porwanie barona. Są świadkowie, którzy słyszeli, jak nalegała, żeby jej tego dnia towarzyszył. Czuł się bardzo źle, ale potrafiła go

przekonać. Udając się na jacht, nigdy nie brał ze sobą obstawy. Przy brzegu czekał na nich szybki kuter. - Parker rozłożył ręce. - Znasz już chyba szczegóły?

- Nie - zaprzeczył Peter.

- Kuter staranował jacht, następnie wziął na pokład barona, pozostawiając w wodzie baronową. Godzinę później powiadomiono przez radio o wypadku straż przybrzeżną, która odnalazła Magdę na morzu. Była wciąż jeszcze uczepiona wraku. Kidnaperzy zatroszczyli się o to, by nie utonęła.

- Może potrzebna im była do prowadzenia pertraktacji szybko skomentował Peter.

- To możliwe. Trzeba przyznać, że rolę pogrążonej w smutku i rozpaczony żony do końca grała doskonale. Kiedy porywacze zażądali okupu, wymogła na zarządzie Altmann Industries wypłacenie sumy dwudziestu pięciu milionów dolarów. Sama udała się na spotkanie z porywaczami. - Parker przerwał znacząco.

- Przecież nie potrzebowała tych pieniędzy - wtrącił Peter.

- O, potrzebowała, i to bardzo - sprzeciwił się Parker. Baron nie był jeszcze dziecińnią i trzymał kasę mocno w garści. Magda miała wszystko, co tylko zechciała. Futra, biżuterię, służbę, suknie, samochody, jachty, kieszonkowe i około dwustu tysięcy dolarów rocznie, wypłacanych jej przez Altmann Industries jako uposażenie. Każda inna żona byłaby zadowolona ze swojego losu, ale przecież ona nie była zwykłą żoną. Niewątpliwie już wcześniej planowała realizację marzeń o potęgę, a na to potrzebowała pieniędzy, nie tysięcy, lecz milionów. Dwadzieścia pięć milionów stanowiło przyzwoitą zaliczkę, zanim mogła położyć swoje śliczne paluszki na wszystkim. Podjęła całą gotówkę w banknotach tysiącfrankowych i pojechała na porzucone lotnisko, dokąd miał przylecieć samolot po odbiór forsy. Wszystko zostało przemyślane diabelnie chytrze.

- Ale - Peter szukał możliwości zaprzeczenia - ale baron był okaleczony. Ona nie mogła...

- Śmierć jest śmiercią, a okaleczenie mogło służyć jakimś ciemnym celom. Bóg to wie jakim, gdyż mamy do czynienia ze wschodnią mentalnością, przebiegłą i okrutną. Prawdopodobnie okaleczenie miało oddalić od żony wszelkie podejrzenia.

Parker miał oczywiście rację. Ktoś, kto nie wahał się zaplanować i przeprowadzić takiej zbrodniczej akcji, z pewnością nie miał żadnych skrupułów. Nie było sensu protestować.

- Teraz przyjrzyjmy się, co osiągnęła w rezultacie popełnionej zbrodni. Uwolniła się od męża i od wszystkich narzuconych przez niego ograniczeń. Na przykład wcześniej oponowała przeciw sprzedaży broni rządowi Afryki Południowej. Baron, prawdziwy człowiek interesu, patrzył na ten kraj jak na lukratywny rynek. Za sprzedażą przemawiały także względy polityczne: życzliwy stosunek Afryki Południowej do syjonizmu. Wbrew jej stanowisku Narmco nadal dostarczało samoloty, rakiety i lekką broń Afryce Południowej aż do chwili, kiedy rezolucja ONZ nałożyła embargo na sprzedaż broni do tego kraju. Zwróć, proszę, uwagę na

nieprzychylnie Afryce Południowej stanowisko baronowej. Do tej sprawy wrócimy jeszcze później - dodał Parker. - A więc była wolna od barona. Uwolniła się także od rosyjskiej kontroli; zatrudniała całą armię ochraniających ją goryli. Dawni rosyjscy mocodawcy wahali się, czy dokonać zemsty, gdyż Magda była obecnie Wielką Damą Francji. Zdobyła pokaźny kapitał, dwadzieścia pięć milionów dolarów, z którego nie musiała się przed nikim rozliczać. Zdobyła potężną bazę dla władzy, Altmann Industries. Choć była pod pewną kontrolą zarządu, to z drugiej strony uzyskiwała dostęp do wszystkich jego służb informacyjnych. Jako głowa kolosa przemysłowego cieszyła się szacunkiem i życzliwością rządu francuskiego, skąd płynęły dodatkowe korzyści, a w szczególności ograniczony, lecz znaczący dostęp do wywiadu. Poza tym przejęła po Aaronie Altmannie kontakty z Mossadem...

Peter przypomniał sobie, że Magda często mówiła o „swoich źródłach”, nigdy ich jednak bliżej nie określając. Czy rzeczywiście mogła wykorzystywać francuski i izraelski wywiad do swoich prywatnych celów? Wydawało się to niemożliwe. Natychmiast jednak uświadomił sobie, że wszystko, co dotyczy Magdy Altmann, jest możliwe, gdyż ona nie jest zwykłą kobietą.

Parker dalej snuł swą opowieść.

- Nastąpił krótki okres konsolidacji sił, okres wchodzenia w rolę szefa przemysłowego zjednoczenia. W kierownictwie Altmann Industries przeprowadzono istotne zmiany, wszystkich oponentów Magdy Altmann zastąpiono faworytami. Był to jednocześnie etap planowania i reorganizacji, po którym została dokonana pierwsza próba wywarcia wpływu na losy społeczności międzynarodowej. Za obiekt swojego ataku wybrała kraj, który najbardziej nie przystawał do jej wizji nowego świata, jaki zamierzała stworzyć. Nie mam pojęcia, dlaczego przyjęła pseudonim Kalif.

- Możesz się mylić - odezwał się Peter, przecierając palcami przymknięte powieki.
- Nie znasz jej przecież.

- Nikt jej dobrze nie zna - mruknął Parker, znowu manipulując przy fajce. - Przepraszam, ale chyba idziemy zbyt szybko do przodu? Czy chciałbyś zadać jakieś pytanie, Peterze?

- Nie, nie mam żadnych pytań. - Peter znów otworzył oczy. - Możesz mówić dalej.

- Jedną z najważniejszych lekcji, wyniesionych przez baronową ze sprawy porwania i zamordowania Aarona Altmanna, było przekonanie, iż stosowanie przemocy i gwałtu nie jest rzeczą trudną. Mając tę lekcję w pamięci, dokonała wyboru ofiary następnego aktu przemocy. W tej chwili możemy tylko zgadywać, co by się stało, gdyby próba wywiezienia z Afryki Południowej czterdziestu ton złota i utworzenia rządu na wygnaniu powiodła się. Należy przypuszczać, że Kalif nie potrzebowałby wiele czasu, żeby zdobyć kontrolę zarówno nad rządem, jak i nad złotem. - Parker wzruszył ramionami. Właściwie nie jesteśmy w stanie powiedzieć, jakdaleko sięgały ambicje i plany Kalifa. Możemy natomiast stwierdzić, że do realizacji planów baronowa rekrutowała ludzi z niezwykle umiejętnością. - Tu

przerwał i uśmiechnął się. - Myślę, że wszyscy pamiętamy porwanie boeinga wystarczająco dobrze. Pozwólcie mi tylko przypomnieć, że plan by się powiódł, gdyby nie akcja podjęta przez Petera. Do tego momentu wszystko odbywało się zgodnie z zamierzeniem Kalifa, który może sobie pogratulować precyzji i skuteczności działania. Porywacze opierali się na dokładnych informacjach. Znali nawet nazwisko dowódcy grupy antyterrorystycznej, która została skierowana przeciwko nim. Egzekucja czwórki zakładników tak bardzo wstrząsnęła społecznością międzynarodową, że nie stać jej było na przeciwdziałanie. Ostatecznego sukcesu pozbawił Kalifa jeden właściwie człowiek. Ty, Peterze. Nic więc dziwnego, że zainteresowanie tobą wzrosło. Być może, kierując się kobiecą intuicją rozpoznała w tobie cechy, które chciałaby wykorzystać. Posiada niewątpliwie niezwykłą umiejętność dostrzegania nawet w porażce materiału, z którego zamierza zbudować fundament przyszłego zwycięstwa. - Parker poruszył się nieco w krześle i wykonał ręką ruch, który miał zbagatelizować to, co za chwilę powie. - Mam nadzieję, że nie zostanę uznany za nieskromnego, jeśli na tym etapie historii wprowadzę do akcji własną osobę. Otrzymałem sygnał, że Kalif istnieje. Po zabójstwie Aarona Altmanna dokonano dwóch innych porwań w tym samym stylu. Jednym było uprowadzenie ministrów OPEC w Wiedniu. Nie mamy pewności, czy to robota Kalifa. Przed porwaniem boeinga zostałem ostrzeżony i oczekiwałem kolejnej akcji. Bardzo mi zależało na przesłuchaniu terrorystki.

- Nie miała nic do powiedzenia - szorstko wtrącił Peter. - To był tylko pionek, podobnie jak doktor, którego schwytaliśmy w Irlandii.

Parker westchnął ciężko.

- Być może masz rację, Peterze. Ale wtedy byłem przekonany, że jedyna nić, która nas mogła zaprowadzić do Kalifa, została lekkomyślnie zerwana. Potem, gdy otrząsnąłem się z szoku, przyszło mi do głowy, że ta nić ciągle istnieje, silniejsza niż dawniej. Ty stanowiłeś tę nić. Dlatego poparłem twoją rezygnację. Gdybyś sam nie odszedł, zmusiłbym cię do tego. - Znowu uśmiechnął się. - A ja ci nawet za to nie podziękowałem.

- Proszę nie wspominać o tym - ponuro rzekł Peter. Nie przepadam za służbą.

- Niemal natychmiast po naszym rozstaniu zajęła się tobą baronowa. Najpierw zebrała wszystkie dostępne wiadomości o tobie. W jakiś sposób zdobyła nawet informacje z naszego wywiadu. To fakt. Na czwarty dzień po twoim odejściu do komputera CIA zostało zgłoszone nieautoryzowane zapotrzebowanie. Musiała być usatysfakcjonowana, gdyż bezpośrednio po tym złożyła ci ofertę za pośrednictwem konwencjonalnych kanałów. Twoja odmowa musiała jeszcze bardziej pobudzić jej zainteresowanie, gdyż wykorzystując szerokie kontakty, otrzymała zaproszenie do letniego domu sir Stevena - Parker roześmiał się głośno. - Mój biedny Peterze, bez jakiegokolwiek ostrzeżenia znalazłeś się nagle w szponach największej, najznakomitszej w dziejach czarodziejki. Wiem wystarczająco dużo o tej damie, żeby

domyślić się, iż spotkanie zainscenizowała bardzo starannie. Wiedziała, jaki typ kobiety Ciebie interesuje. Na szczęście dla niej sama odpowiadała fizycznemu opisowi Twojego ideału.

- Co takiego? - Zapytał Peter zaskoczony. Nawet on nie zdawał sobie sprawy ze swej wizji idealnej kobiety.

- Wysoka, szczupła brunetka - szybko odpowiedział Parker. - Pomyśl tylko, wszystkie Twoje kobiety były takie.

Miał oczywiście rację, uświadomił sobie Peter. Do diabła, nawet w wieku trzydziestu dziewięciu lat można się jeszcze czegoś dowiedzieć o sobie.

- Jesteś cholernym draniem, Kingstonie - odezwał się głośno. - Może ktoś Ci już kiedyś to powiedział?

- Czasem mi to mówią - roześmiał się Parker. - Ale to oczywiście nieprawda, a w porównaniu z baronową Altmann jestem Świętym Mikołajem. - Znów spoważniał. - Niewątpliwie bardzo ją interesowało, co wiemy o niej. Informacje zamierzała uzyskać za Twoim pośrednictwem. Oczywiście, Twoja wartość spadała, im dłużej byłeś poza Thorem. Mogłeś być jednak pożyteczny na dziesiątki innych sposobów. Ponadto liczyła na dobrą robotę w Narmco. Wszystkie jej oczekiwania spełniły się z nawiązką. Pokrzyżowałeś nawet próbę jej zlikwidowania.

Peter uniósł wysoko brwi, zdziwiony.

- Na drodze do Rambouillet, tamtej nocy. W tym przypadku snujemy tylko domysły, jednak uzasadnione. Prawdopodobnie Rosjanie stracili już wszelką nadzieję na jej powrót do owczarni. Posądzali ją o odgrywanie roli Kalifa. Postanowili zastosować radykalne lekarstwo i albo sami sfinansowali i zorganizowali ten napad, albo przekazali Mossadowi informację, kto zamordował Aarona Altmanna. Skłonny jestem przypuszczać, że to oni wynajęli zabójców, gdyż Mossad zwykle sam wykonuje brudną robotę. Tak czy siak, na drodze do Rambouillet przygotowano zasadzkę i ty w nią wpadłeś. Wiem, że nie lubisz zbiegów okoliczności. Jestem jednak przekonany, iż padłeś jego ofiarą.

- W porządku - mruknął Peter. - Jeśli już tyle żab połknąłem, to i ta przejdzie mi jeszcze przez gardło.

- Napad mocno zaniepokoił baronową. Nie była pewna jego autorstwa. Przypuszczam, że podejrzewała o to dowództwo Atlasu. Wkrótce zaprosiłem Cię do Ameryki. Po powrocie albo jej coś powiedziałeś, albo w jakiś inny sposób potwierdziłeś podejrzenia, co do Atlasu i Kingstona Parkera. Znów tylko zgaduję, ale czy jestem daleki od prawdy? Bądź uczciwy, Peterze, i powiedz. Czy nie tak było?

Peter patrzył na niego, usiłując zachować obojętny wyraz twarzy, podczas gdy głowa pękała mu od natłoku myśli. Tak, tak przecież właśnie było.

- Oczywiście rozumiem, że nie dostrzegałeś żadnej nielojalności w dyskusowaniu z nią o tych sprawach. Sądziłeś, iż wszyscy mieliśmy ten sam cel, ściganie Kalifa - odpowiedział mu delikatnie Parker, a Peter skinął potakująco głową. - Miałeś prawo

tak sądzić - mówił Parker ze zrozumieniem.

- O tym, że spotkałem się z tobą, wiedziała już przed moim powrotem. Nie wiem, skąd, ale wiedziała to na pewno drętwo odrzekł Peter. Czuł się jak zdrajca.

- Rozumiem. - Parker dotknął ramienia Petera. Patrzył mu w oczy z zaufaniem i aprobatą. Po chwili położył ręce na stole. - Wiedziała, kto ją ściga. Wie także wystarczająco dużo o mnie. Zdaje sobie sprawę, jak bardzo jestem dla niej niebezpieczny. Byłeś, według niej, prawdopodobnie jedynym człowiekiem, który mógł mnie usunąć. Musiałeś mieć tylko wystarczający powód. Sięgnęła więc po jedyny zdolny cię uruchomić sposób i zrobiła to znów bezbłędnie. Gdyby się jej udało, za jednym zamachem pozbyłaby się swojego prześladowcy i pozyskała zamachowca najwyższej klasy. Jeśli wykonałbyś zadanie, już na zawsze należałbyś do niej. Po każdym kolejnym zabójstwie coraz bardziej wplątywałbyś się w sieć. Byłbyś rzeczywiście bardzo wartościowym nabytkiem. Dostatecznie wartościowym, żeby stosować wobec ciebie seksualne sztuczki.

Zwrócił uwagę na zaciśnięte szczęki i na płonące oczy Petera.

- Jesteś jednak bardzo atrakcyjnym mężczyzną i kto wie, czy w kontaktach z tobą nie łączy interesu z przyjemnością? To przecież kobieta o olbrzymim apetycie seksualnym.

Peter miał ochotę uderzyć Parkera w twarz. Czuł potrzebę znalezienia ujścia dla swojej wściekłości. Był znieważony, zbrukany, wykorzystany.

- Zdawała sobie sprawę z tego, że seks nie wystarczy, by skłonić cię do popełnienia morderstwa. Porwała więc twoją córkę i natychmiast ją okaleczyła. Podobnie jak w Johannesburgu, gdzie bez wahania wykonała egzekucję na zakładnikach. Chciała, aby świat lękał się Kalifa. Jestem głęboko przekonany, że byłaby zdolna okaleczać dalej twoją córkę - ciągnął, już bez uśmiechu, Parker.

Peter znów poczuł przyływ nudności. Przypomniał sobie pływający w butelce, pomarszczony, biały kawałek ludzkiego ciała.

- Mieliśmy dużo szczęścia, że uniknęliśmy tego - oświadczył Parker. - Rosjanie wyrażają teraz chęć współpracy w sprawie Kalifa. To dla nich wspaniała okazja wyręczenia się nami w załatwieniu problemu. W efekcie przekazali nam niemal wszystkie dane o tej damie i jej życiu.

- Ale co teraz z tym zrobimy? - Zapytał Colin Noble. Mamy przecież związane ręce. Czy będziemy czekać na następną zbrodnię, licząc, że znowu dopisze nam szczęście?

- Kolejne ofiary zginą, jeśli Kalifowi nie uda się wymóc na OPEC oczekiwanej decyzji - wróżył spokojnie Parker. Redukcja ceny ropy służyłaby niewątpliwie interesom Magdy bardziej niż komukolwiek innemu na świecie. Jednocześnie służyłaby zdecydowanej większości ludzkości. W ten sposób praktyczne i polityczne interesy idą pięknie w parze.

- A jeżeli to jej się uda, czego dalej możemy od niej oczekiwać, na Boga?

- Nikt nie jest w stanie tego przewidzieć - mruknął Parker i obaj spojrzeli na Petera Stride'a.

Peter wyglądał tak, jakby nagle postarzał się o dwadzieścia lat. Bruzdy w kącikach ust pogłębiły się i tylko niebieskie oczy miały drapieżny wygląd.

- Chciałbym, żebyś uwierzył, Peterze, że opowiedziałem ci to wszystko nie po to, żeby wywrzeć na ciebie jakikolwiek nacisk. Powiedziałem ci tylko to, co powinieneś wiedzieć, jeśli masz wrócić do legowiska lwa i mimo to ocaleć. Ja ci nie mogę tego nakazać, ryzyko jest zbyt wielkie. Gdybym miał do czynienia z innym mężczyzną, taki krok nazwałbym samobójczym. Wierzę, że jesteś jedynym człowiekiem zdolnym rozprawić się z Kalifem na jej własnym gruncie. Proszę jednak, żebyś mnie źle nie zrozumiał, nie sugeruję ci zabójstwa. Co więcej, zabraniam nawet myśleć o takim rozwiązaniu sprawy. Nie mogę się zgodzić na niezależność twych działań. Uczynię wszystko, aby twoje postępowanie było zgodne z prawem. Jednego tylko chcę: żebyś wciąż był w pobliżu Kalifa i próbował ją wy badać. Rób wszystko, aby ją zdemaskować i drogą legalną wyeliminować z akcji. Chciałbym, abyś odłożył na bok osobiste uczucia i na razie zapomniał o Johannesburgu i o porwaniu córki. Pamiętaj, nie jesteśmy ani sędziami, ani też egzekutorami wyroków. - Parker mówił, a Peter patrzył na jego usta zwężonymi oczami, niewiele rozumiejąc z tego, co słyszał. Jego myśli jak dziecięca karuzela krążyły w koło, wracając wciąż do tego samego punktu.

Był tylko jeden sposób powstrzymania Kalifa. Myśl o pociągnięciu baronowej do odpowiedzialności sądowej była śmieszna. Peter usiłował sam siebie przekonać, że pragnienie zemsty nie miało żadnego wpływu na jego decyzję, ale zbyt dobrze siebie znał. Tak, zemsta wchodziła w rachubę. Peter drżał z pasji na wspomnienie wszystkiego, co przeżył z winy Kalifa. Wykonał wyrok śmierci na niemieckiej dziewczynie Ingrid i na Gillym O'Shaughnessym, Nie żałował swoich czynów. Jeśli jednak oni musieli umrzeć, to Kalif zasłużył na śmierć po tysiackroć. I tylko on jeden mógł pozbawić ją życia.

Jej głos był jasny, czysty i ciepły z tym fascynującym akcentem. Pamiętał go dobrze, lecz za każdym razem robił na nim wielkie wrażenie. Czuł, że serce zaczęło mu bić żywiej w piersi.

- Och, Peterze, tak bardzo się cieszę, że cię słyszę. Tak bardzo się o ciebie martwiłam. Czy otrzymałeś moją depeszę?

- Nie, jaką depeszę?

- Kiedy dowiedziałam się, że uwolniłeś Melissę Jane, natychmiast wysłałam do ciebie depeszę z Rzymu.

- Nie otrzymałam jej. Ale to nieważne.

- Wysłałam ją przez Narmco w Brukseli.

- Z pewnością czeka na mnie. Nie kontaktowałam się jeszcze z Narmco.

- Jak ona się czuje?

- Czuje się już dobrze. - Miał nadzieję, że napięcie w jego głosie nie będzie dostrzegalne. - Ale przeszła prawdziwe piekło.

- Wiem. Rozumiem. Byłam bezradna. Tak się starałam i dlatego nie szukałam z tobą kontaktu, *chéri*. Upływał dzień za dniem, a ja nie miałam żadnych informacji.

- Mamy to wszystko już za sobą - powiedział burkliwie Peter.

- Nie sądzę - odpowiedziała szybko. - Skąd dzwonicz?

- Z Londynu.

- Kiedy wracasz?

- Godzinę temu rozmawiałem z Brukselą. Narmco pilnie mnie potrzebuje. Wylatuję dziś po południu.

- Peterze, muszę się z tobą koniecznie zobaczyć. Byłam za długo bez ciebie. Och, mój Boże, muszę dziś wieczorem być w Wiedniu. Poczekaj, niech się chwilę zastanowię. A jeśli bym wysłała po ciebie leara? Moglibyśmy choć na krótko się spotkać. Później odleciałbyś do Brukseli z Orly, a ja learem do Wiednia.

W Paryżu, po wyjściu Petera z leara, powitał go miejscowy urzędnik, który natychmiast zaprowadził go do jednego z pomieszczeń dla VIP-ów^[2].

Gdy zobaczył w sali Magdę Altmann, która szybko podeszła do niego, jeszcze raz przekonał się, że jej obecność potrafiła rozjaśnić najciemniejsze nawet pomieszczenie.

Ubrana była bardzo efektownie w żakiet i sportową spódnicę szarego koloru. Poruszała się jak tancerka na zgrabnych i długich nogach. Peter poczuł się nagle niezręczny i nieruchawy, jakby coś mu ciążyło, przygniatało.

- Och, Peterze, kochany, co oni ci zrobili? - Zapytała z wyrazem troski w dużych, współczujących oczach. Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jego policzka.

Napięcie i przeżycia ostatnich dni wyczerpały go niemal doszczętnie. Skóra na twarzy przybrała odcień szarości, z którą kontrastowała ciemna, świeżo zapuszczona

broda. Na skroniach widoczne były srebrne pasemka, a zapadłe głęboko oczy wyrażały ogromne zmęczenie.

- Och, kochanie, kochanie - szeptała cicho, nadstawiając jednocześnie usta do pocałunku.

Peter przygotował się starannie do tego spotkania. Zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu zdradzić się żadnym gestem. Magda nie może się dowiedzieć, że ją rozszyfrował. Groziłoby mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Musi się zachowywać w sposób zupełnie naturalny. To było absolutnie konieczne. Cóż, kiedy właśnie teraz stanęła mu przed oczami blada, wyczerpana gorączką twarzyczka córki. Pochylił się, żeby pocałować Magdę.

Usta kobiety były miękkie, ciepłe i wilgotne, miały smak zgniecionych płatków róży. Czuł, jak delikatne ciało lgnęło do niego. Starał się odpowiedzieć tym samym. W pewnym momencie wysunęła się z objęć i przechyliła do tyłu, wciąż przyciskając smukłe, silne biodra do jego bioder. Pytającym spojrzeniem patrzyła badawczo w jego twarz. Nagle zauważył zmianę, która się dokonała gdzieś głęboko w jej oczach. Płomień, który jeszcze przed chwilą się w nich tlił, zgasł. Pozostało tylko zimne światło, jak piękna iskra zamknięta w środku szmaragdu.

Dostrzegła w nim coś nowego. Gorączkowo szukała potwierdzenia swojego spostrzeżenia. Zdradzał go grymas ust, jakaś ostrożność w spojrzeniu, pewna sztywność w ruchach. Wszystko, nad czym powinien doskonale panować.

- Cieszę się, że ubierasz się teraz na niebiesko - powiedziała, dotykając kłapy jego kaszmirowej marynarki. - Bardzo ci w tym do twarzy, mój drogi.

Kazał uszyć tę marynarkę z myślą o niej, to prawda. Teraz jednak poczuł pewną oschłość w jej sposobie bycia. Między nimi pojawiła się jakaś niewidzialna bariera.

- Chodź. - Odwróciła się, pociągając go za rękę.

Usiadła na kanapie, nie dotykając go. Skinieniem głowy odprawiła sekretarza, który przyłączył się do jej dwóch „szarych wilków”. Cała trójka stanęła w dostatecznej odległości, żeby nie słyszeć ich rozmowy.

- Opowiedz mi wszystko - poprosiła, wciąż przyglądając mu się uważnie. Zimne, zielone światło w jej oczach zgasło, znów była przyjazna i zatroskana.

Zgodnie ze starą zasadą należy mówić prawdę, gdy ona ci służy. Teraz służyła Peterowi, niczego więc nie krył. Powiedział także o żądaniu Kalifa, by zgładzić Parkera, i o własnej reakcji na to żądanie.

- Uczyniłbym to - powiedział szczerze, a Magda skuliła ramiona, gdyż przeniknął ją dreszcz.

- Boże wielki, ten szatan może skorumpować nawet najsilniejszego i najlepszego człowieka - westchnęła ze zrozumieniem.

Dalej Peter opowiedział o tajemniczym telefonie odebranych przez policję i o uwolnieniu Melissy Jane. Szczegółowo zrelacjonował jej, jak porywacze znęcali się nad dzieckiem, wywołując u dziewczynki wstrząs psychiczny.

- Po jej uwolnieniu musiałem z nią zostać. Uważałem, że będę jej potrzebny choć przez kilka dni - wyjaśnił.

- Miałaś rację. Cieszę się, że to zrobiłaś. - Skinęła głową i spojrzała na zegarek. - Och, zostało tak mało czasu westchnęła. - Napijmy się szampana. Mamy przecież nie byle jaką okazję. Dzięki Bogu, Melissa Jane jest żywa i wolna, z pewnością szybko wróci do zdrowia.

Peter odkorkował butelkę i nalał do kielichów musującego, bladożółtego dom perignona. Gdy wymieniali życzenia, uśmiechnął się ponad kielichami.

- Tak bardzo się cieszę, że cię widzę, Peterze - powiedziała to w sposób tak spontaniczny, że mimo woli poczuł podziw dla jej aktorstwa. Natychmiast jednak zdusił w sobie to uczucie. Przyszło mu na myśl, że mógłby ją zabić teraz i tutaj. Nie potrzebował do tego celu broni, wystarczyłyby ręce.

- Bardzo mi przykro, że nie możemy być ze sobą dłużej odpowiedział z uśmiechem.

- Och, *chéri*, czuję to samo. - Delikatnie dotknęła jego przedramienia, był to pierwszy dotyk od powitalnego uścisku. - Chciałabym, żeby było inaczej, ale mamy tak wiele spraw do załatwienia. Musimy sobie nawzajem wybaczyć.

Z pewnością słowa te miały szczególne znaczenie. W jej zielonych oczach na chwilę pojawił się ciepły płomyk i coś więcej, być może głęboki żal. Potem wypła wino i opuściła powieki, jakby kryjąc oczy przed badawczym spojrzeniem mężczyzny.

- Mam nadzieję, że nigdy nie będziemy musieli wybaczać sobie czegoś gorszego - powiedział.

Po raz pierwszy stanął wobec możliwości zabicia jej. Do tej pory zabicie człowieka stanowiło dla niego problem raczej kliniczny i akademicki, nad którym się nie zastanawiał. Tym razem jednak wyobraził sobie efekt działania kuli w pięknym, gładkim ciele. Poczul się niedobrze. Po raz pierwszy zwątpił, czy byłby w stanie zastrzelić Magdę.

- Ja również mam nadzieję, że nie. Liczę na to bardziej niż na cokolwiek innego w życiu. - Na chwilę uniosła w górę powieki, jej oczy przyłgnęły do jego twarzy, jakby błagając o coś.

Jeśli więc nie byłby w stanie użyć broni, wobec tego w jaki sposób ją zabije, zastanawiał się. Czy zniósłby chrupnięcie jej szyi pod swoimi palcami, czy potrafiłby wbić ostrze noża w płaski, twardy brzuch?

Stojący na biurku pod ścianą aparat telefoniczny zadzwonił nagle. Sekretarz podniósł słuchawkę i przyłożył do ucha.

- *Oui, oui. D'accord.* - Odłożył słuchawkę.

- Samolot jest zatankowany i gotowy do odlotu - zwrócił się do baronowej.

- Zaraz wychodzimy - odrzekła, a potem spojrzała na Petera. - Bardzo mi przykro.

- Kiedy cię znowu zobaczę? - Zapytał.

Wzruszyła nieznacznie ramionami, a w jej oczach pojawił się lekki cień.

- Trudno powiedzieć. W tej chwili nie potrafię bliżej określić. Zadzwoń do ciebie. Ale teraz muszę już iść. *Adieu*, mój drogi.

Kiedy odeszła, Peter stanął przy oknie i patrzył na płytę lotniska. Było słoneczne wiosenne popołudnie, wczesne złocenie zakwitły na trawnikach okalających pas startowy, jakby ktoś rozsypał na ziemi złote monety. Wśród kwiatów kręciło się stadko wróbli, poszukując owadów. Nie zwracały uwagi na huk silników odlatującego samolotu.

Myślał o spotkaniu z Magdą. Zastanawiał się, w którym momencie przestała być Magdą Altmann i stała się Kalifem.

Nie miał już najmniejszych wątpliwości. Musi działać. To będzie trudne, trudniejsze, niż początkowo sądził. Ani razu, uświadomił sobie, nie był sam na sam z Magdą. Zawsze dwa „szare wilki” kręciły się wokół nich.

Nagle uprzytomnił sobie, że na pożegnanie nie powiedziała mu *Au revoir*, tylko *Adieu*. Czy to było ostrzeżenie? Subtelna wzmianka o śmierci? Jeśli Kalif go podejrzewał, Peter mógł oczekiwać natychmiastowej reakcji. Czy w ten sposób mu groziła, czy też po prostu odrzuciła?

Nie mógł zrozumieć uczucia przygnębienia, które go ogarnęło na myśl, że może już więcej jej nie zobaczyć. Stał, wyglądając przez okno, i zastanawiał się nad tym, jak bardzo zmieniło się jego życie od chwili, kiedy po raz pierwszy usłyszał imię Kalifa.

Jakiś grzeczny głos za jego plecami przerwał mu rozmyślenia.

- Wzywają pasażerów do zajęcia miejsc w samolocie KLM do Brukseli, generale Stride - oznajmił urzędnik.

Peter z westchnieniem zdjął z oparcia krzesła swój płaszcz i wziął do ręki walizkę otrzymaną w darze od kobiety, którą musi zabić.

Nabiurku Peter znalazł dużą paczkę korespondencji i stos notatek o niecierpiących zwłoki sprawach. Na pewien czas trzeba było odłożyć plan zamachu na Kalifa.

Ku swojemu zaskoczeniu znajdował pewną przyjemność w działalności handlowej, w ciągłej walce o klientów. Polubił ostrą szermierkę słowną przy wymianie opinii, nieustanne zmagania na rynku i po raz pierwszy pojął fascynację takim trybem życia, którą wcześniej obserwował u brata.

Trzy dni po jego powrocie do biura irańskie siły powietrzne złożyły Narmco pierwsze zamówienie na rakiety Kestrel. Opiewało na sto dwadzieścia sztuk za sumę stu pięćdziesięciu milionów dolarów. To poprawiło samopoczucie Petera, który upewnił się co do swojej przydatności na zajmowanym stanowisku.

Jak dotąd traktował pieniądze jak coś kłopotliwego, aczkolwiek niezbędnego w życiu. Wyraźną przykrość sprawiały mu poniżające i męczące przetargi i spory z

dyrektorami banków i urzędnikami departamentu podatków. Obecnie jednak uświadomił sobie, że pieniądze mogą spełniać również inną funkcję. Znalazł się bowiem w innym świecie, świecie, w którym egzystował Kalif, gdzie pieniądź był środkiem do realizacji snów o władzy absolutnej.

Mógł wiele zrozumieć, ale nie mógł zapomnieć. Po siedmiu dniach od powrotu zmusił się do oceny sytuacji.

Magda Altmann usunęła się z jego życia. Od tamtego nieudanego spotkania na Orly nie próbowała nawiązać z nim kontaktu.

Uprzytomnił sobie, że musi jej poszukać, jeśli chce wykonać zadanie. Musi jak najszybciej dotrzeć do niej. Taką okazję miał na Orly. Zabiwszy ją wtedy, popełniłby jednak samobójstwo. Nawet gdyby udało mu się ująć z rąk strażników, czekałby go surowy proces sądowy. Zdawał sobie sprawę, że nie mógłby nawet opowiedzieć historii o Kalifie na swoją obronę. Żaden sąd by mu nie uwierzył. Potraktowano by go jak obłąkanego. Na poparcie Atlasu, jak również wywiadów brytyjskiego i amerykańskiego nie miał co liczyć. Gdyby zabił Kalifa, byłiby zadowoleni, ale pozwoliliby mu pójść na gilotynę bez mrugnięcia okiem. Mógł sobie wyobrazić oburzenie cywilizowanego świata, gdyby się okazało, że taka organizacja jak Atlas zatrudnia morderców, zabijających wybitnych obywateli sąsiedniego, zaprzyjaźnionego państwa.

Nie. Musi polegać wyłącznie na sobie. Parker dał mu to wyraźnie do zrozumienia. Peter uświadomił sobie, że wcale nie ma jeszcze ochoty umierać. Nie był bynajmniej gotów poświęcić swojego życia dla powstrzymania Kalifa. Musi znaleźć inne rozwiązanie.

W jego planach ofiarą zamachu miał być Kalif, nigdy Magda Altmann. To pozwalało mu na chłodne podejście do sprawy, ustalanie szczegółów, gdzie, kiedy i jak.

Sam skomplikował poważnie własne zadanie, reorganizując system bezpieczeństwa osobistego Magdy. To on zatroszczył się, żeby jej udział w publicznych imprezach nigdy nie był wcześniej anonsowany. Kalendarz jej aktywności społecznej stanowił tajemnicę równą tajemnicy państwowej. Jeśli została zaproszona na obiad do Pałacu Elizejskiego, o fakcie tym informowano zawsze w dniu następnym, nigdy wcześniej. Było jednak kilka imprez i uroczystości w ciągu roku, w których z reguły uczestniczyła. Razem z nią omawiał słabe punkty jej bezpieczeństwa. „Ach, Peterze, nie możesz przecież robić ze mnie więźnia - śmiała się, protestując. - Zostało mi tak mało prawdziwych przyjemności, chyba nie masz zamiaru ich mnie pozbawiać?”. Do takich imprez należał sezonowy pokaz kolekcji mody Yves St. Laurenta, którego nigdy nie opuszczała, i otwarcie sezonu wyścigów konnych, których kulminacją był wyścig o Grand Prix Paryża w Longchamps. W tym sezonie liczyła bardzo na zwycięstwo swojej ulubienicy, gniadej klaczy Ice Leopard. Nie miał wątpliwości, że Magda tam będzie.

Peter dokonał szczegółowej analizy wszystkich możliwych okazji do zamachu, a następnie wybrał te najlepsze. Na przykład posiadłość La Bénite. Miała dla niego tę zaletę, że zdążył ją już poznać. Okiem żołnierza dostrzegł odpowiednią do prowadzenia obstrzału przestrzeń, którą stanowiły obszerne, zbiegające tarasami ku jezioru trawniki, jak również dogodnie dla snajpera stanowiska w pobliskim lesie przy końcu jeziora i na małym zadrzewionym wzgórzu, dominującym nad dziedzińcem i stajniami. Jednak posiadłość była dobrze strzeżona, a poza tym trudno przewidzieć ruchy jej właścicielki. Mógłby leżeć w zasadzce cały tydzień, gdy tymczasem Magda bawiłaby w Rzymie lub Nowym Jorku. Oprócz tego odwrót z posiadłości byłby trudny. Rzadko zaludniony teren przecinają tylko dwie drogi, które mogą zostać łatwo zablokowane przez policję. Nie, La Bénite nie wchodzi w rachubę.

Ostatecznie Peter został przy wyścigach konnych w Longchamps i pokazie mody Yves St. Laurenta. Zaletą imprez było to, że obie miały charakter publiczny i na obu można było oczekiwać tłumu gapiów, co stwarzało idealne warunki dla złodziei kieszonkowych i zamachowców, rozważał z kwaśną miną Peter. Dawało także wiele możliwości ucieczki, a przede wszystkim szansę wmieszania się w tłum. Można było znaleźć również doskonałe stanowiska dla snajpera na głównej trybunie oraz w budynkach, których okna wychodziły na tereny wyścigowe w Longchamps, jak też w wielopiętrowych kamienicach przy alei Wiktora Hugo.

W tym drugim wypadku trzeba by wynająć jakieś pomieszczenie w jednej z kamienic, co wiązało się jednak z pewnym ryzykiem. Przemawia to na korzyść toru wyścigowego. Ostateczną decyzję Peter postanowił podjąć dopiero po dokładnym obejrzeniu terenu obu imprez.

Wybór tych miejsc na ewentualny zamach miał jeszcze jedną zaletę. Dawał możliwość wykonania zadania ze znacznej odległości, oszczędzając zamachowcowi męczących chwil towarzyszenia ofierze przed jej zabiciem. W decydującej chwili miałby do czynienia nie z samą Magdą-Kalifem, lecz tylko ze spłaszczonym obrazem w soczewce teleskopu, która zawsze nieco odrealnia oglądany obiekt. Odległość wyklucza bezpośrednią konfrontację zamachowca z jego ofiarą. W ten sposób nie musiałby oglądać, jak gaśnie zielone światło we wspaniałych oczach, ani słyszeć, jak cudownie wyrzeźbione usta, którym zawdzięczał tak wiele radości, wydają ostatnie tchnienie. Stanowczo odsunął myśli łagodzące jego zdecydowanie, mimo iż gniew i pragnienie zemsty nie osłabły w nim ani trochę.

Gdyby mógł dostać jeden z karabinów Thoru! Ta broń, wyposażona w długą lufę i nowy laserowy celownik, ułatwiłaby mu zadanie, nawet gdyby strzelał z odległości siedmuset metrów. Wystarczyło nacisnąć palcem wskazującym lewej ręki guzik umieszczony na górze łożyska karabinu. Ten uruchamiał laser, który wysyłał wiązkę promieni dokładnie wzdłuż trajektorii kuli, ta zaś docierała do celu w miejscu zaznaczonym małym krążkiem światła, wielkości srebrnej dziesięciocentówki. Snajper naciska cyngiel w momencie, gdy dostrzega przez teleskop, że plamka światła

znajduje się dokładnie na celu. Nawet niewprawy strzelec nie mógł chybić, w rękach zaś Petera tego rodzaju broń byłaby niezawodna. Mógł ją otrzymać od Colina Noble'a, a także, gdyby o to poprosił, mógłby ją otrzymać „z pozdrowieniami” od marynarki wojennej USA, za pośrednictwem attaché wojskowego USA w Paryżu.

Któregoś dnia Peter zauważył, że wciąż odkłada moment podjęcia akcji, wbrew wcześniej przyjętym planom.

Szesnastym dniem po powrocie Petera do Brukseli był piątek. Godziny ranne spędził na północy miasta, na terenach NATO, gdzie demonstrował wyprodukowaną przez Narmco elektroniczną tarczę przeciwko sterowanym przez radar rakietom krótkiego zasięgu i rakietom antyczołgowym. Następnie wrócił z trzema irańskimi oficerami, którzy uczestniczyli w pokazie, i zjadł z nimi doskonały obiad w Epaule de Mouton. Potem poczuł skrupuły, że stracił na obiad aż trzy godziny. Dlatego pracował dłużej niż zwykle nad kontraktami na rakiety.

Było już ciemno, kiedy opuścił tylnym wyjściem biuro, zachowując jak zwykle środki ostrożności na wypadek napaści przez najemników Kalifa. Nigdy nie wychodził o tej samej porze ani też nie wracał tą samą trasą. Na Grand Place kupił gazety i usiadł w kafejce, żeby je przejrzeć. Zaczął od angielskich. Przede wszystkim rzucił mu się w oczy wielki nagłówek na pierwszej kolumnie: „Spadek cen ropy naftowej”.

Czytając artykuł, którego dalszy ciąg znajdował się na szóstej stronie, Peter sączył w zamyśleniu whisky. Zmiał gazetę i zajął się obserwowaniem przechodniów.

A więc Kalif odniósł swój pierwszy międzynarodowy sukces. Od tej pory nie będzie już znał żadnych hamulców w dążeniu do władzy opartej na bezprawiu i przemocy.

Peter uprzytomnił sobie, że nie wolno mu dłużej zwlekać. Podjął ostateczną decyzję. W poniedziałek rano pojedzie do Londynu i poprosi o spotkanie z Colinem, żeby mu przedstawić plan. Wiedział, że może liczyć na jego pomoc. Potem uda się do Paryża, żeby dokonać rekonesansu i wyboru miejsca zamachu. Zostało jeszcze dwa tygodnie do pokazu wiosennej kolekcji mody i tylko dwa tygodnie na dokładne przygotowanie planu wykluczającego niepowodzenie.

Poczuł się nagle zmęczony i wyczerpany, tak jakby podjęcie decyzji kosztowało go resztkę sił. Był na tyle bezsilny, że nawet do krótkiego spaceru w stronę hotelu musiał się zmobilizować. Zamówił następną whisky i wypił ją wolno, zanim ruszył się z miejsca.

Narmco wynajmowała stale dwa mieszkania w hotelu Hilton dla swoich wyższych funkcjonariuszy i dla ważnych gości. Ponieważ Peter dotąd nie znalazł dla siebie prywatnego locum w mieście, zajmował jeden z tych apartamentów. Był dla niego po prostu miejscem, gdzie mógł się przespać, umyć, przechować swoje rzeczy i ubranie. Wciąż nie potrafił się wyzbyć uczucia tymczasowości.

Moje książki znów leżą spakowane w pudełkach, myślał melancholijnie.

Większość życia spędził, przenosząc się z miejsca na miejsce, posłuszny zawodowym obowiązkom. Za mieszkanie służyły mu najczęściej koszary i pokoje hotelowe, a jego książki w tym czasie nie opuszczały tekturowych pudełek. Stanowiły cały jego majątek i kiedy myślał o nich, ogarniała go wielka tęsknota za domowym ogniskiem. Natychmiast przemógł własną słabość i śmiejąc się sam z siebie, kroczył ulicą obcego miasta.

Chyba się już starzeję, myślał. Nigdy przedtem nie miał czasu na uczucie samotności, dlaczego więc teraz? Ni stąd, ni zowąd przyszła mu na myśl Magda tuląca się w jego ramionach i szepcząca: „Och, Peterze. Tak długo byłam samotna”.

Pod wpływem narzucających się wspomnień przystanął na chwilę w świetle ulicznej latarni. Jakaś jasnowłosa dziewczyna ze zmysłowo pomalowanymi ustami podeszła do niego i stanęła, żeby wymamrotać propozycję. To go natychmiast otrzeźwiło, wrócił do rzeczywistości.

- *Merci.* - Potrząsnął przecząco głową i ruszył dalej przed siebie.

Kiedy przechodził obok kiosku z książkami w westybulu hotelowym, jego uwagę zwróciła półka z kolorowymi czasopismami. Zatrzymał się i zaczął kartkować „Vogue” w poszukiwaniu jakiejś wzmianki o zbliżającym się pokazie kolekcji mody Yves St. Laurenta. W pewnym momencie na jednej ze stron rzuciła mu się w oczy twarz kobiety. Piękna twarz okalająca ogromne, lekko skośne, słowiańskie oczy. Lśniąca kaskada ciemnych włosów i utrwalony przez kamerę wdzięk ruchu kotki.

Na zdjęciu znajdowała się w grupie czterech osób. Obok niej stała żona popularnego piosenkarza z nadąsaną miną i napuchniętymi wargami. Towarzyszył jej piegowaty aktor amerykański o chłopięcej twarzy, ubrany w welwetowy strój ze złotymi łańcuchami na szyi, głośniejszy z powodu seksualnych wybryków niż ról filmowych. Nie było to towarzystwo, w którym Magda Altmann zwykle przebywała. Stojący obok niej mężczyzna, na którego ramieniu lekko się wspierała, był bardziej w jej typie. Lat około czterdziestu, ciemnowłosa, przystojny, dobrze zbudowany, z gęstymi falującymi włosami, emanujący szczególną aurą siły i zadufania, jak przystało na szefa największych zakładów przemysłu samochodowego w Niemczech.

Informacja pod zdjęciem głosiła, że zostało ono wykonane podczas otwarcia nowej, ekskluzywnej dyskoteki w Paryżu. Patrząc na Magdę u boku wysokiego, przystojnego Niemca, poczuł coś w rodzaju zazdrości, a może nienawiści. Niecierpliwym ruchem zamknął czasopismo i odłożył z powrotem na półkę.

W bezbarwnie, szablonowo urządzonym pokoju hotelowym Peter rozebrał się, wziął prysznic, a potem, stojąc nago, nalał sobie kieliszek whisky. To już trzeci tego wieczoru. Od czasu porwania Melissy Jane pił znacznie więcej niż kiedykolwiek przedtem. Dla samotnego i pogrążonego w wątpliwościach człowieka mogło to okazać się niebezpieczne. Powinien się nieco powstrzymać. Skosztował bursztynowego płynu i odwrócił się, żeby spojrzeć na swoje odbicie w lustrze wiszącym na przeciwległej ścianie.

Odkąd powrócił do Brukseli, ćwiczył codziennie w sali gimnastycznej w klubie dla oficerów NATO, będąc wciąż jego członkiem. Był chudy jak chart i dobrze umięśniony, tylko twarz miał zniszczoną przez ciągłe napięcia i troski.

Wszedł do sypialni, gdy zadzwonił telefon.

- Stride - powiedział do słuchawki, wciąż nagi, z kieliszkiem w ręce.

- Proszę nie odkładać słuchawki, generale. Łączymy zagraniczną rozmowę - otrzymał odpowiedź.

Oczekiwanie na połączenie przeciągało się w nieskończoność. Na linii długo buczało i trzaskało, słychać było dalekie głosy operatorów. Nagle usłyszał jej głos, tak słaby i tak bardzo odległy, że odbierał go jak cichy szept w obszernym i pustym holu.

- Czy to ty, Peterze?

- Magda? - Był zaskoczony tym, że ją słyszy. Jego własny głos odbijał się echem w słuchawce. Gdzieś rozległ się trzask przełącznika, charakterystyczny dla połączenia radiowo-telefonicznego.

- Muszę się z tobą koniecznie zobaczyć, Peterze. Nie potrafię tak dłużej żyć. Czy przyjedziesz do mnie?

- Skąd dzwonicz?

- Z Les Neuf Poissons.

Głos był tak słaby i niewyraźny, że poprosił o powtórzenie.

- Les Neuf Poissons, Dziewięć Ryb - powtórzyła. - Czy przyjedziesz?

- Czyżbyś płakała? - Dopytywał się, lecz odpowiedziała mu cisza, wśród której słychać było na linii tylko szum i trzaski. Zdawało mu się, że łączność została przerwana. Poczł nagle wzruszenie, a jego głos stał się chropowaty. - Czy płaczesz?

- Tak. - To krótkie wyznanie wyobraził sobie raczej, niż usłyszał, tak bardzo cicho zostało wypowiedziane.

- Dlaczego?

- Ponieważ jest mi smutno i boję się, Peterze. Ponieważ jestem tak bardzo samotna. Czy przyjedziesz, proszę cię, odpowiedz, czy przyjedziesz?

- Dobrze. W jaki sposób można do ciebie dotrzeć?

- Zadzwoń do La Pierre Bénite, do Gastona. On wszystko zorganizuje. Ale przyjedź szybko, Peterze. Jak najszybciej.

- W porządku. Postaram się jak najszybciej, ale gdzie to jest?

Czekał na odpowiedź, ale usłyszał tylko dalekie echo.

- Magda? Magda? - Krzyczał do słuchawki z desperacją.

Cisza naigrywała się z niego. Zniechęcony, nacisnął więc palcem widełki telefonu. - Les Neuf Poissons - powtórzył i podniósł ponownie do ucha słuchawkę. - Proszę mnie połączyć z numerem czterdzieści siedem osiemdziesiąt siedem czterdzieści siedem w Rambouillet we Francji - powiedział do mikrofonu. Czekał na połączenie, szybko analizował sytuację.

Stało się to, czego podświadomie oczekiwał. Zdawał sobie sprawę z

nieodwracalności tego, co nieuniknione. Kalif nie miał wyboru. Otrzymany telefon był dla Petera wezwaniem do działania. Mógł być tylko zdziwiony, że nastąpiło tak późno. Mógł się także zastanawiać, dlaczego Kalif nie chciał ryzykować zamachu w jednym z miast Europy lub Anglii. Próba była już nieudana zasadzka na drodze do Rambouillet. Stanowiła ostrzeżenie dla zamachowca, że nie docenił przeciwnika. Podobnie jak Peter, również Kalif stał przed problemem - kiedy, gdzie i jak.

Mogła wezwać go dokądkolwiek, ale jak niewiarygodnie zrezygnowała! Czekając na połączenie z Rambouillet, Peter na nowo podziwiał tę kobietę. Wydawało się, że źródło jej talentów i zdolności jest niewyczerpane. Był przekonany, że cała ta rozmowa została przez nią doskonale odegrana, że w istocie była tylko bezlitosnym i wyrachowanym zabójcą. Jednak serce w nim zadrżało, gdy usłyszał ton rozpaczy w jej głosie, doskonale przytłumiony płacz przeznaczony tylko dla niego.

- Tu rezydencja baronowej Altmann - odezwał się głos w słuchawce.

- Gaston?

- Przy aparacie.

- Tu generał Stride.

- Dobry wieczór, generale. Czekałem na telefon od pana.

Rozmawiałem już z baronową. Poleciała mi zająć się dostarczeniem pana do Les Neuf Poissons.

- Gdzie to jest, Gastonie?

- To wysepka, na której baronowa wypoczywa. Trzeba lecieć samolotem do Papeete-Faa na Tahiti, gdzie będzie na pana czekał pilot baronowej. Stamtąd jest już tylko sto mil do Les Neuf Poissons. Niestety, pas startowy jest za krótki dla leara i trzeba będzie lecieć mniejszym samolotem.

- Kiedy baronowa udała się do Les Neuf Poissons?

- Wyleciała siedem dni temu, generale - odrzekł, po czym wrócił do zwykłego rzeczowego tonu sekretarza, przekazując Peterowi szczegóły oczekującego go lotu. - Bilet będzie już na pana czekał na lotnisku. Zarezerwowałem miejsce przy oknie.

- Pomyślałeś o wszystkim. Dziękuję ci, Gastonie.

Peter odłożył słuchawkę i spostrzegł, że znużenie, które odczuwał przed powrotem do hotelu, nagle go opuściło. Poczul, że znów jest pełen życia i energii. Zastanawiał się, czy to efekt podniecenia, które ogarnia żołnierza przed każdą akcją, czy też rezultat zerwania ze stanem niepewności i niezdecydowania, z którego dotąd nie mógł się wyzwolić.

Przeszedł do łazienki i wylał resztę whisky z kieliszka do umywalki.

Samolot pokonał koszącym lotem ostatnie podejście do Tahiti-Faa od wschodniej strony, nad poszarpanymi szczytami Moorea. Peter przypomniał sobie wspaniałe widoki popękanych szczytów górskich na małej wysepce w sąsiedztwie Tahiti.

Podziwiał go na filmie muzycznym „South Pacific”, do którego zdjęcia kręcono właśnie tutaj. Widoczny w dole grzebień czarnych niezwiertzałych skał wyglądał jak ostre zęby rekina.

Sunęli w dół nad wąskim kanałem dzielącym dwie wyspy, a wybiegający głęboko w morze pas startowy przypominał ramię witające wielką srebrzystą maszynę.

Powietrze było gorące i duszne, nasycone aromatem kwiatów. Brązowe dziewczęta kołysały się rytmicznie w powitalnym tańcu. W ten sposób wyspy przyjmowały europejskich przybyszów. Gdy jednak Peter wziął do ręki swój niewielki bagaż i skierował się ku wyjściu, jeden ze stojących przy drzwiach polinezyjskich urzędników zamienił szybko kilka słów ze swoim kolegą, a następnie zastąpił Peterowi drogę.

- Dzień dobry, sir. - Miał na ustach szeroki, przyjazny uśmiech nie sięgający jednak oczu, które pozostawały poważne. - Czy byłby pan uprzejmy pójść na chwilę ze mną? Obaj krajowcy zaprowadzili Petera do dyskretnie zasłoniętego pomieszczenia. - Proszę otworzyć swój bagaż, sir. - Szybko przejrzelili zawartość jego walizki i teczki; jeden z nich użył nawet centymetra, żeby sprawdzić, czy któryś z bagaży nie posiada podwójnego dna.

- Muszę wam pogratulować sprawności w przeprowadzaniu kontroli - powiedział z uśmiechem Peter zdeprimowanym, chłodnym głosem.

- To tylko wrywkowa kontrola, sir - starszy z urzędników odwzajemnił uśmiech. - Miał pan pecha być naszym dziesięcioletnim gościem. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko obszukaniu pana?

- Chodzi o kontrolę osobistą? - Warknął Peter, jakby chcąc zaprotestować, zamiast tego jednak wzruszył ramionami i uniósł w górę obie ręce. - Proszę bardzo, szukajcie.

Był przekonany, że Magda Altmann była tutaj taką samą Wielką Damą jak we Francji i że wystarczyło jedno jej skinienie, żeby przybywający na wyspy gość został dokładnie zrewidowany. Poza tym Kalifowi z pewnością zależało na tym, żeby jego przyszła ofiara była odpowiednio przygotowana do egzekucji i by przypadkiem, przez nieuwagę, nie stała się wykonawcą wyroku.

Gdy jeden z celników sprawdzał dokładnie jego ramiona i tors od góry do pasa, drugi klęczał za nim i obszukiwał nogi od krocza do kostek.

Peter pozostawił swoją „kobrę” w depozytowym sejfie w hotelu w Brukseli, gdyż liczył się z możliwością kontroli.

- Jesteście zadowoleni? - Zapytał.

- Dziękujemy panu za współpracę, sir. Życzymy miłego pobytu na wyspie.

W głównym holu czekał na Petera osobisty pilot Magdy.

Szybko wyszedł mu naprzeciw.

- Martwiłem się już, że pan może nie przyleciał.

- Mała zwłoka w urzędzie celnym - wyjaśnił Peter.

- Powinniśmy natychmiast odlatywać, żeby uniknąć lądowania w nocy na Les Neuf Poissons, pas startowy jest trochę trudny.

Lear Magdy stał zaparkowany na płycie lotniska w pobliżu terenów serwisowych. Obok niego gotowy do odlotu samolot typu Norman Britten Trislander wyglądał niepozornie i niezgrabnie. Przypominał trochę bociana, ale była to maszyna zdolna do najbardziej zdumiewających wyczynów, zwłaszcza jeśli chodzi o start i lądowanie na krótkim pasie startowym.

Samolot był już załadowany paczkami i kartonami z zaopatrzeniem. Znajdowało się tam wszystko, poczynając od papieru toaletowego, a na szampanie kończąc.

Peter zajął miejsce po prawej stronie pilota, który po uzyskaniu zgody wieży kontroli lotów wystartował.

- Czeka nas godzina lotu - poinformował Petera. Słońce już zachodziło, gdy dotarli do celu. Przed nimi leżały Les Neuf Poissons, jak drogocenny naszyjnik szmaragdowy rzucony na aksamitną poduszkę oceanu.

Dziewięć małych wysepek pochodzenia wulkanicznego otaczało lagunę kryształowo czystej wody, czystej do tego stopnia, że każdy krzak koralowy był doskonale widoczny, jakby unosił się w powietrzu.

- Wyspy miały polinezyjską nazwę, gdy baron je kupił w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku - informował pilot pedantycznie artykułowaną francuszczyzną. - Zostały podarowane przez jednego ze starych miejscowych królów misjonarzowi, a baron je odkupił od wdowy po misjonarzu. Miał kłopoty z wymówieniem polinezyjskiej nazwy, więc ją zmienił - roześmiał się pilot. - Był człowiekiem, który chciał mieć do czynienia ze światem na swoich warunkach.

Siedem wysepek stanowiły niewielkie skrawki piasku z kilkoma palmami na każdym z nich, na dwóch natomiast, znacznie większych, wznosiły się bazaltowe wzgórza pochodzenia wulkanicznego. W promieniach zachodzącego słońca bazalt błyszczał jak skóra wielkiego jaszczura.

Gdy samolot zakołował, podchodząc do lądowania, Peter miał doskonały widok z okna na główny budynek pokryty dachem z liści palmowych. Zgodnie z miejscową tradycją zbudowany został w kształcie łuku, przypominając dziób statku. Naokoło zaś, ukryte w zielonym ogrodzie, rozsiadły się mniejsze bungalowy. Na lagunie cumowało wiele łodzi i małych statków, które skupiły się zwłaszcza wzdłuż mola, sięgającego głęboko w morze. Były wśród nich małe jachty z gołymi masztami, duży szkuner, służący prawdopodobnie do transportu większych ładunków, i kilkanaście motorówek używanych do holowania nart wodnych, połowów ryb i nurkowania. Jedna z nich sunęła środkiem laguny, ciągnąc za sobą pas śnieżnej piany, a szczupła kobieca postać na nartach wodnych uniosła w górę rękę i pomachała nią w geście powitania. Peter pomyślał, że to może być Magda. W tym samym momencie trislander przechylił się gwałtownie, z okna zniknęła laguna, a pojawiły się krwawiące w zachodzącym słońcu cumulusy.

Krótkie i wąskie pole startowe znajdowało się tuż za gajem palmowym, na niewielkim pasie równego terenu między wzgórzami a brzegiem wyspy. Było pokryte

pokruszonymi koralowcami. Aby wylądować na nim, samolot musiał najpierw przeskoczyć palisadę drzew palmowych. Peter mógł teraz stwierdzić, że pilot ani trochę nie przesadził, określając lądowanie na wyspie jako trudne. Dał silny boczny wiatr, wprawiając skrzydła samolotu w niebezpieczny ruch kołyszący. Pilot ustawił go czołem do wiatru i gdy prześliznął się nad wierzchołkami palm, zamknął dopływ paliwa. Wyprostował kierunek lotu wzdłuż pasa startowego za pomocą sterów, pochylając jednocześnie lekko skrzydło na wiatr, żeby uchronić maszynę przed zdryfowaniem, a następnie z wysokości piętnastu metrów opuścił ją gładko na ziemię. Natychmiast zablokował stery, żeby uniknąć zjechania z pasa.

- Wspaniale! - Zawołał Peter z uznaniem. W odpowiedzi pilot spojrział na niego ze zdziwieniem, tak jakby jego wyczyn nie zasługiwał na specjalną uwagę. Baronowa zatrudniała tylko i najlepszych.

Przy końcu pola startowego, między palmami, Petera oczekiwał już elektryczny wózek prowadzony przez młodą Polinezyjkę. Miała na sobie jedynie jednoczęściową, sięgającą do połowy ud szkarłatną szatę w złote wzory, owiniętą wokół ciała pod pachami. Stopy były bose, włosy przyozdobione koroną ze świeżych kwiatów.

Prowadziła wózek szybko wąską, krętą ścieżką, wiodącą przez ogród pełen egzotycznych drzew i krzewów.

Przeznaczony dla Petera bungalow usytuowany był tuż obok plaży. Z werandy roztaczał się piękny widok na rozciągający się aż po horyzont ocean. Dom, ukryty wśród drzew i zarośli, sprawiał wrażenie, iż jest jedynym na wyspie. Młoda wyspiarka wzięła go za rękę jak małe dziecko, wprowadziła do środka i tu zaznajomiła z klimatyzacją, oświetleniem i ekranem wideo, wyjaśniając wszystko swoją sepleniącą francuszczyzną i chichocząc na widok zaskoczenia Petera.

W bungalowie był dobrze zaopatrzonej barek i kuchenka, mała biblioteka z najnowszymi bestsellerami oraz gazety i czasopisma sprzed kilku zaledwie dni. Ponadto Peter znalazł pół tuzina wideokaset z najlepszymi filmami.

- Do diabła, to tutaj powinien wylądować Robinson Crusoe - roześmiał się Peter, a dziewczyna głośno zachichotała i zakręciła się na pięcie jak mała laleczka, po czym zostawiła go samego.

Po dwóch godzinach był już wykąpany, ogolony i wypoczęty. Zdążył się także przebrać w przygotowany dla niego lekki bawełniany strój i koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, a na nogi włożył sandały.

Polinezyjka znów przyszła po niego. Również i tym razem wzięła go za rękę, lecz Peter czuł, że gdyby przypadkiem odczytał ten gest jako przyzwolenie, poczułaby się głęboko dotknięta. Prowadziła go ścieżką wytyczoną przez pomysłowo ukryte w krzakach światła. Ciszę nocną wypełniał pomruk oceanu i delikatny szelest liści palmowych na wietrze.

Na koniec znaleźli się przed budynkiem z dachem przypominającym statek, który oglądał wcześniej z okien samolotu. Ze środka dobiegała cicha muzyka i śmiech

kobiet. Kiedy jednak znaleźli się już w drzwiach, śmiech urwał się nagle i oczy wszystkich zwróciły się w ich kierunku.

Peter poczuł się trochę zaskoczony widokiem tego wesołego towarzystwa, opalonych na brąz kobiet i mężczyzn w kosztownych eleganckich strojach, trzymających oszronione kielichy wypełnione lodem i owocami.

- Peter! - Zawołała Magda Altmann, odrywając się od reszty i podchodząc lekkim, tanecznym krokiem.

Miała na sobie miękką połyskującą pszenicznym złotem suknię, zapiętą wysoko pod szyją złotym łańcuszkiem, lecz całkowicie odsłaniającą ramiona i plecy aż do pasa. Widok jej ciała zapierał Peterowi dech w piersiach. Było gładkie jak płatki róży i opalone na miodowy kolor. Splot ciemnych włosów miała upięty na czubku głowy, a lekko pociągnięte cieniem oczy promieniowały tajemniczym, zielonym blaskiem.

- Peter! - Powtórzyła i ucałowała go lekko w usta; przeżył nagły wstrząs, czując zapach perfum i ciepło jej ciała. Uprzytomnił sobie, że wciąż nie jest odporny na jej obecność.

Była chłodna i opanowana jak zwykle. Nie dostrzegł ani śladu zagubienia, lęku i osamotnienia, o których słyszał, gdy wzywała go do siebie. Cofnęła się o krok i przechyliwszy nieco głowę na bok, przyglądała mu się z uśmiechem.

- Och, *chéri*, wyglądasz teraz o wiele lepiej. Byłam zmartwiona twoim wyglądem, gdy ostatnio się widzieliśmy.

Tylko wtedy, pomyślał, widziałem cienie ukryte głęboko w twoich oczach.

- A ty wyglądasz piękniej niż kiedykolwiek przedtem.

To była prawda, mógł więc to powiedzieć bez jakiegokolwiek obłudy. Przyjęła komplement z uśmiechem zadowolenia.

- Nigdy do tej pory nie powiedziałeś mi czegoś podobnego - stwierdziła z kokieterią. Kiedy indziej naturalny sposób bycia przekonałby go z pewnością, ale nie teraz. - Dziękuję za miłe słowa.

Wzięła go pod rękę i doprowadziła do wyczekującego towarzystwa. Składało się z trzech panów w asyście żon. Jednym z nich był amerykański senator. Demokrata, osobistość bardzo wpływowa, ze wspaniałą czupryną siwych włosów i oczami jak martwe ostrygi. Piękna, co najmniej o trzydzieści lat młodsza żona spoglądała na Petera niby głodny lew na gazelę. Zwrócił uwagę, iż przytrzymała jego dłoń kilka sekund dłużej, niż wypadało.

Drugim gościem był szeroki w barach i gruby Australijczyk.

Mocno opalony, oczy miał okolone siecią drobnych zmarszczek. Robił wrażenie wciąż patrzącego poprzez pył i blask słoneczny na odległe horyzonty. Należała do niego jedna czwarta światowych zasobów uranu i fermy była o powierzchnię dwakroć większej niż Wyspy Brytyjskie. Opalona na brązowo żona wyróżniała się niezwykle silnym, jak na kobietę, uściskiem dłoni.

Trzeci mężczyzna okazał się Hiszpanem, którego nazwisko rodowe było

synonimem sherry. Układny, dworski, z typowym mauretańskim zblazowaniem w oczach i rysach. Peter przeczytał gdzieś, że sherry i koniak w piwnicach tego człowieka przedstawiają wartość ponad pięciuset milionów dolarów, choć stanowią tylko niewielką część majątku jego rodziny. Żona była piękną hiszpańską, z niezwykle, kredowobiałym pasmem między czarnymi włosami.

Kiedy Peter zawarł już znajomość ze wszystkimi obecnymi gośćmi, przerwana rozmowa potoczyła się dalej. Australijczyk opowiadał o sukcesie, który odniósł tego ranka. Złowił i przyholował do brzegu olbrzymiego, czarnego, ważącego ponad czterysta kilogramów i mierzącego cztery i pół metra długości marlina. Towarzystwo było podniecone opowieścią.

Peter mało uczestniczył w dyskusji. Cały czas ukradkiem obserwował Magdę Altmann, która była tego świadoma. Wskazywało na to pewne napięcie w jej zachowaniu. Mimo to śmiała się dużo wraz z innymi, a nawet dwukrotnie spojrzała na Petera z uśmiechem.

W pewnym momencie klasnęła w ręce.

- A teraz zapraszam wszystkich na ucztę. - Wzięła pod rękę senatora i Australijczyka i poprowadziła ich w kierunku plaży. Peter musiał sobie radzić z żoną senatora, która przywarła do niego, przyciskając piersi do jego ramienia i wciąż oblizując wargi językiem.

Na plaży dwóch polinezyjskich służących czekało przy kopcu białego piasku. Na dany przez Magdę znak zaatakowali go szuflami, wydobywając grubą warstwę wodorostów i liści bananowych, z których unosiły się słupy gęstej, aromatycznej pary. Pod tą warstwą znajdowało się drewno figowe i liście palm, przykrywające różne rodzaje pieczonego mięsa, ułożonego na kolejnej warstwie wodorostów i węgla.

Goście przyjęli niespodziankę okrzykami entuzjazmu i zadowolenia, a w powietrzu rozszedł się drażniący podniebienie, przyjemny zapach pieczonych kurcząt, wieprzowiny i ryb. Zmieszał się z wonią drzewa chlebowego i bananowego oraz korzeni.

- A więc do dzieła! - Zawołała zapraszająco Magda. Nie należy tracić czasu, bo jeśli powietrze dotrze do pieczeni, będziemy mieli wielki puff! Wszystko się spali, a nam zostaną tylko węgle.

Towarzystwo hałaśliwie ucztowało i piło, rozmowy i śmiechy stawały się coraz głośniejsze i mniej kontrolowane. Peter pił niewiele i czekał spokojnie na dalszy rozwój sytuacji, starając się nie dostrzegać przymilnych gestów senatorowej.

Czekał na znak od Magdy, chciał się z nią spotkać sam na sam. Nagle zaczął się zastanawiać nad własną lekkomyślnością. Przybył tutaj zupełnie nieuzbrojony, na teren wybrany przez przeciwnika. W takiej sytuacji najlepszym sposobem obrony jest atak, być może jeszcze tej nocy, jeśli nadarzy się okazja.

Im wcześniej, tym lepiej, pomyślał, a w tym momencie Magda uśmiechnęła się do niego poprzez ustawiony pod palmowymi drzewami, obficie zastawiony stół. Gdy

odpowiedział uśmiechem, skinęła mu lekkim ruchem głowy. Korzystając z tego, że mężczyźni byli zajęci jakimś sporem, przeprosiła panie i wymknęła się dyskretnie między cienie drzew. Peter odczekał chwilę, po czym podążył za nią. Czekwała na plaży.

Dostrzegł blask jej nagich pleców w świetle księżyca i podszedł do niej. Stała w bezruchu, wpatrzona w marszczoną delikatnie przez wiatr wodę laguny.

Zbliżył się do niej z tyłu, ale nie odwróciła głowy.

- Tak się cieszę, że tu jesteś, Peterze - szepnęła.

- Tak się ucieszyłem, że mnie zaprosiłaś - odpowiedział.

Dotknął lekko jej karku, tuż za uchem. Ucho miało niemal dziecinny koniuszek, czego nie zauważył wcześniej. Włosy i pod jego palcami były miękkie jak jedwab. Mógł łatwo zlokalizować kręgosłup - to te delikatne kości, które pękają przy powieszeniu. Można było je złamać, naciskając mocno kciukiem. Śmierć nastąpiłaby równie szybko jak przy powieszeniu.

- Przepraszam cię za obecność tych gości - odezwała się. - Mam zamiar szybko uwolnić się od nich, nawet nieprzyzwoicie szybko. - Zdjęła jego dłoń ze swojego karku, a on nie oponował. Delikatnie rozpostarła jego rękę na swojej dłoni, po czym przycisnęła ją do swojego policzka. - Wyjadą już jutro, i Pierre odwiezie ich do Papeete, a wtedy będziemy mieli Les Neuf Poissons tylko dla siebie. Zostaniemy tylko we dwoje. Roześmiała się cichym, lekko zachrypniętym śmiechem. Z trzydziestoma z okładem służącymi...

Rozumiał, co to oznaczało. Jedyne świadkami tego, co nastąpi, będą tylko wierni słudzy Wielkiej Damy tych wysp.

- Teraz musimy już wracać do gości. Niestety, są bardzo ważni i nie mogę ich ignorować, ale już niedługo...

Odwróciła się i pocałowała go z zaskakującą namiętnością tak że zgmiotła jego wargi, a następnie odsunęła się od niego.

- Cokolwiek się stanie, już teraz mamy coś cennego. Siebie nawzajem. Chyba najcenniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek miałam w życiu. Nie potrafią mi tego zabrać - wyszeptła mu do ucha.

Wysunęła się z jego objęć i szybkie kroki skierowała ku światłom budynku. Szedł wolno za nią, nieco speszony i niepewny, co właściwie chciała mu powiedzieć. Po zastanowieniu się doszedł do wniosku, że chyba chodziło właśnie o to, żeby go speszyc i wyprowadzić z równowagi. Nagle bardziej poczuł, niż usłyszał za sobą jakiś ruch. Natychmiast odwrócił się, spojrzął do tyłu i mimo woli pochylił, jakby chciał uniknąć niespodziewanego ciosu.

W odległości dziesięciu kroków, cicho, niemal bezszelestnie jak dziki drapieżnik, szedł za nim jakiś mężczyzna. Właśnie wysunął się spod zasłony lian i pnączy. Tylko zwierzęcy instynkt ostrzegł Petera o jego obecności. Natychmiast stanął w obronnej pozycji, gotów jednocześnie do przyjęcia ataku i do zaatakowania.

- Dobry wieczór, generale Stride - usłyszał. Napięcie odpłynęło, wyprostował się powoli z rękami wciąż jeszcze wyciągniętymi wzdłuż tułowia, gotowymi do zadania śmiertelnego ciosu.

- Carl! - Zawołał zaskoczony. Tak więc „szare wilki” strzegły jej nawet w najbardziej intymnych momentach.

- Mam nadzieję, że pana nie zaniepokoiłem - odezwał się strażnik z trudno dostrzegalnym odcieniem drwiny w głosie.

Tylko Kalif, pomyślał Peter, potrzebowałby strażnika podczas romantycznego *rendez-vous*. Nie miał już żadnych wątpliwości.

Do jutrzejszego zachodu słońca jedno z nich musi umrzeć.

Zanim wrócił do bungalowu, przeszukał dokładnie otaczające go krzaki i zarośla. Nie zauważył nic podejrzanego. Łóżko było już przygotowane do snu, a przybory do golenia starannie ułożone. Przybrudzone ubranie zabrano do czyszczenia, a na jego miejscu znalazł inne, czyste i wyprasowane. Można było podejrzewać, że i resztę jego rzeczy przeszukano. Kalif z pewnością nie zaniedbał tak elementarnego środka ostrożności.

Zamki w drzwiach i oknach bungalowu okazały się niesprawne, prawdopodobnie od lat nieużywane, gdyż w tym rajku nie było węży, przynajmniej do niedawna. W tej sytuacji Peter ustawił krzesła i inne przedmioty przy drzwiach i oknach w taki sposób, że ewentualny intruz musiałby się o nie potknąć w ciemnościach. Następnie zmiął pościel na łóżku i ułożył poduszki tak, aby pozorowały śpiącego człowieka. Sam zaś wziął koc i położył się na kanapie. Co prawda nie liczył się z możliwością napaści przed wyjazdem gości z wyspy, gdyby jednak miało stać się inaczej, pragnął popsuć scenariusz Kalifowi.

Spał czujnie, budząc się przy każdym upadku liścia palmy na dach lub też gdy na ścianie pojawił się jakiś cień. W końcu zapadł w głęboki sen, ale sny miał niespokojne i męczące. Gdy się obudził, wróciła pamięć zniekształconej przerażeniem twarzyczki Melissy Jane i jej okrzyków bólu. Przypomnienie tamtych koszmarnych chwil rozbudziło w nim na nowo pragnienie zemsty.

Wstał o świcie i poszedł na plażę. Wypłynął na odległość półtora kilometra poza rafy. Wracając, długo musiał walczyć z leniwym prądem. Wyszedłszy z wody, czuł się rześki i odprężony. Dawno już taki nie był.

Niech się dzieje, co chce, myślał ponuro. Jestem gotów na wszystko.

Śniadanie pożegnalne dla odlatujących gości odbyło się na białym jak cukier piasku plaży, splukanym przez nocny odpływ. Pito różowy szampan Laurent Perrier i delektowano się świeżymi truskawkami z cieplarni w Auckland.

Magda włożyła krótkie zielone szorty, odsłaniające długie kształtne nogi, i stanik zakrywający jej małe, krągłe piersi. Natomiast brzuch, plecy i ramiona pozostały

nagie. Miała ciało wyrzeźbionej przez artystę sportsmenki.

Robiła wrażenie nienaturalnie podnieconej obecnością Petera, wesołość wyglądała na nieco wymuszoną, a przytłumiony śmiech był nieszczerzy. Tak jakby podjęła jakąś trudną decyzję i zamierzała stanowczo wykonać swoje postanowienie. Peter myślał cały czas o niej i o sobie jak o dwóch przygotowujących się do decydującego starcia przeciwnikach.

Po śniadaniu cała kawalkada elektrycznych wózków wyruszyła na lotnisko. Rozgrzany szampanem i rosnącą temperaturą powietrza senator usiłował pożegnać się z Magdą bardziej czule, niż to wypadało, ale zrećcznie się uchyliła, popychając go jednocześnie w stronę samolotu.

Pierre, pilot Magdy, uruchomił samolot przy samym końcu pasa startowego, trzymając go na hamulcach, dopóki nie rozgrzały się wszystkie trzy silniki. Potem ruszył, a gdy maszyna nabrała szybkości, wzniósł się niemal pionowo w górę, przeskakując nad wierzchołkami palm.

- Mało spałam tej nocy - przyznała się, całując go w usta.

- Ja również - odpowiedział Peter, a potem dorzucił cicho: - chyba z tego samego powodu.

- Zaplanowałam dla nas specjalny dzień - oznajmiła i nie chciałabym stracić ani jednej minuty.

Statek Magdy stał samotnie przy końcu mola. Jego piękny, smukły kadłub zdawał się unosić nad wodą nawet teraz, gdy był przycumowany. Pokryty świeżą farbą lśnił czystością, metalowe części błyszczały, starannie wypolerowane. Wszystko wskazywało na troskliwą rękę kapitana, który stał obok statku, promieniejąc dumą i radością, gdy Magda go pozdrowiła i uśmiechem dała wyraz swojemu zadowoleniu.

- Zbiorniki są pełne, baronowo. Butle tlenowe nabite, wędkę przygotowane. Narty wodne znajdują się na pokładzie, a szef kuchni osobiście sprawdził zawartość lodówki.

Jego twarz jednak spochmurniała, gdy dowiedział się, że Magda zamierza wyruszyć na morze bez niego.

- Nie ufasz mi - zaśmiała się.

- Oczywiście, że ufam, baronowo - nieudolnie usiłował ukryć niepokój.

Sam odwiązał cumujące liny. Gdy statek oddalał się od mola, wykrzykiwał jeszcze ostatnie rady dla Magdy.

- *Ne t'inquiete pas!* - Daremnie próbowała go uspokoić.

Stał przygnębiony na końcu mola, podczas gdy Magda uruchamiała oba silniki. Statek rozwijał powoli szybkość, niemal unosząc się nad powierzchnią i pozostawiając za sobą głęboką bruzdę w kryształowo czystej wodzie laguny. Zatoczył łagodny łuk między bojami znaczącymi trasę bezpieczną dla żeglugi i przyjął kurs na otwarty ocean.

- Dokąd płyniemy? - Zaciekawiał się Peter.

- Za rafą na głębokości stu stóp, leży japoński lotniskowiec, zatopiony przez amerykańskie samoloty w czterdziestym czwartym. Stanowi piękny widok dla nurków. Najpierw tam popłyniemy.

Co ona mogła wymyślić? - Zastanawiał się Peter. Może jedna z tlenowych butli została częściowo wypełniona dwutlenkiem węgla. Można to łatwo osiągnąć, używając węża gumowego odprowadzającego spaliny z silników. Należało napęcznieć butlę otrzymanym z nich gazem do trzydziestu atmosfer, a następnie uzupełnić czystym powietrzem pod ciśnieniem stu dziesięciu atmosfer. Wtedy ofiara szybko zapadłaby w głęboki sen, a wypuszczając ustnik, umożliwiła oczyszczenie się butli z jakichkolwiek śladów gazu. To był doskonały sposób na popełnienie mordu.

- Następnie możemy się udać na Ile des Oiseaux. Odkąd Aaron zabronił tubylcom kraść ptasie jajka, mamy na wyspie jedną z największych ptasich kolonii na południowym Pacyfiku - mówiła Magda.

Albo może za pomocą harpuna? To byłoby bardzo proste i niezawodne. Z odległości, powiedzmy, pół metra ostrze harpuna jest w stanie przebić na wylot ciało człowieka.

- Możemy także spróbować jazdy na nartach wodnych.

Gdy niczego nie podejrzewający narciarz będzie czekał na wyjęcie go z wody, cóż łatwiejszego jak uruchomić właśnie wtedy dwa potężne silniki dieslowskie? Jeśli nawet nie złamie go kadłub statku, to dwie śruby wykonujące pięćset obrotów na minutę potną go na kawałki jak bochenek chleba.

Petera zaczęła wciągać ta zabawa w przewidywanie, co się może zdarzyć. Z żalem musiał jednak stwierdzić, że nie potrafi odgadnąć zamiarów Magdy. Szybko oddalali się od wyspy, która jakby pogrążała się w wodzie. W tej chwili byli już chyba niewidoczni dla jej mieszkańców.

Tymczasem Magda wyjęła z włosów wstążkę, rozpuszczając je.

- Płynąć tak choćby na koniec świata! - Zawołała, przekrzykując szum wiatru i huk silników.

- Z tak piękną damą, zawsze! - Odkrzyknął Peter, lecz natychmiast sobie uprzytomnił, że ma przecież do czynienia z jednym z najbardziej wyrafinowanych morderców, jakich kiedykolwiek spotkał w życiu. Nie mógł dopuścić do tego, aby jego czujność została uspijona urodą i wdziękiem tej kobiety. Nie mógł pozwolić, by pierwsza zadała cios.

Spojrzał w kierunku znikającego lądu. Lada chwila nastąpi odpowiedni moment, pomyślał i spróbował przesunąć się nieco do tyłu pod pozorem rozglądania się po otoczeniu. Odwróciła się w ślad za nim wciąż uśmiechnięta.

- W czasie odpływu roi się tutaj od szczupaków. Obiecałam szefowi kuchni, że złowię mu kilka. Czy mógłbyś zejść na dół i przynieść wędki, *chéri*? Przynętę znajdziesz w przedniej sterburcie, w schowku.

- Okay - skinął głową.

- Zwolnię, kiedy znajdziemy się w przejściu między rafami. Przygotuj liny.

- *D'accord* - odparł, a następnie pod wpływem nagłego impulsu poprosił: - Ale najpierw pocałuj mnie.

Podawała mu swoje usta, a on zastanawiał się, czemu tego zapragnął. Na pewno nie dlatego, żeby się z nią w ten sposób pożegnać. Raczej chodziło mu o to, żeby choć trochę uśpić jej czujność. Gdy jednak ich usta spotkały się, gdy poczuł jej wargi wilgotne i uległe, ogarnął go przejmujący smutek. Czuł, że raczej sam zginie, niż zdobędzie się, żeby ją zabić. Opanowała go czarna rozpacz. Przytulił ją mocno do siebie, a jednocześnie położył dłoń na jej karku, szukając znanego mu miejsca. Znalazł je, nakrył kciukiem i palcem wskazującym. Mijały sekundy, a on nie wykorzystał sytuacji. Odetchnęła głęboko.

- Hej, przestań - szepnęła zachrypniętym głosem wylądujemy na rafach.

Nie potrafił tego uczynić gołymi rękami. Jeśli ma to zrobić, powinien działać szybko, bardzo szybko. Każda minuta zwłoki groziła mu śmiertelnym niebezpieczeństwem.

- Idź już - powiedziała rozkazująco, uderzając go żartobliwie dłonią w pierś. - Później będziemy mieli na to dość czasu. Nie zmarnujemy ani chwili.

Odwrócił się i zszedł na dół po stalowej drabinie do kajuty. I wtedy dopiero uprzytomnił sobie, że podczas przedłużającego się pocałunku palce jej prawej ręki pieśczośliwie obejmowały jego podbródek. Gdyby zechciała, mogła złamać mu krtań, naciskając palcami na gardło.

Kiedy już stanął na podłodze kajuty, kolejna myśl przyszła mu do głowy. Druga ręka Magdy spoczywała na jego ciele, głaszcząc go w okolicy żeber. Uderzając ręką mocno w przeponę, była w stanie rozerwać ją. Instykt samozachowawczy najwyraźniej zawiódł go. Mimo iż dzień był upalny, Petera przejął chłód na samą myśl o bliskości śmierci. Miał uczucie, jakby kawał lodu spłynął mu wzdłuż kręgosłupa. To strach. Wiedział już, że następnym razem nie zawaha się, nie może się zawahać.

Automatycznie wykonywał jej polecenie, a jednocześnie gorączkowo szukał rozwiązania. Otworzył schowek. Wnętrze wypełniał różnego rodzaju sprzęt do łowienia ryb. Były tu okrętki z brązu i nierdzewnej stali, ciężarki do wędek dostosowane do różnego rodzaju wód i dna, przynęty z plastiku, piór i jasnego metalu, haczyki różnej wielkości. W oddzielnej przegródce leżał nóż łowiecki.

Nóż miał dopasowaną do wnętrza dłoni rękojeść i siedemnastocentymetrowe ostrze z matowej stali; siedmiocentymetrowe u nasady, zwężające się jak sztylet. Był bardzo skuteczną bronią. Jak głosiła reklama, można nim było przebić na wylot drewnianą belkę. Ludzkie ciało i kości mógł krajać jak ser.

Peter ważył nóż przez chwilę w dłoni, a następnie wykonał próbne pchnięcie oraz cięcie z góry. Ostrze świsnęło w powietrzu, a gdy nieostrożnie dotknął go kciukiem, na opuszcze pojawiła się krwawa kreska.

Zdjął z nóg trampki w obawie, by gumowe podeszwy nie skrzypiały na pokładzie.

Miał na sobie tylko sportową koszulkę i spodenki. Ściskając nóż w dłoni, wszedł na trzeci od dołu szczebel drabiny i ostrożnie wyjrzał na mostek.

Magda Altmann stała przy urządzeniach nawigacyjnych, śledząc w napięciu ich działanie, podczas gdy statek wchodził w wodne koryto między rafami. Rozwiane na wietrze włosy grubymi zwojami oplatały jej ramiona i szyję. Na zwróconych do niego plecach widoczne było biegnące z góry na dół wgłębienie, pośrodku którego uwydatniały się kości kręgosłupa. Jedna z nogawek szortów podwinęła się, odsłaniając nieco półksiężyc okrągłego białego poślada. Nogi miała długie i muskularne jak u tancerki. Unosiła się na czubkach palców, żeby wyjrzeć za burtę statku.

Peter zszedł z mostka zaledwie przed chwilą, nie oczekiwała więc jeszcze jego powrotu.

Przeskakując szczeble drabiny, w mgnieniu oka niezauważony wyszedł na mostek. Odgłos kroków zagłuszał huk silników.

Wypatrywał na jej plecach miejsca dogodnego do zadania ciosu. Wybrał punkt na wysokości nerek, gdzie nie powinien natrafić na kości. Chciał uderzyć z jak największą siłą eliminując przypadek, że jakaś kość zmieni kierunek zagłębienia się noża w ciele ofiary. Zwiększył w ten sposób paraliżujący efekt ciosu.

Wreszcie wymierzył cios. W tym samym jednak momencie, w jakimś nagłym przebłysku świadomości, uprzytomnił sobie, że cały czas był przez nią obserwowany. Wypolerowana stalowa tablica rozdzielcza, przy której stała, odbijała skrzywiony obraz otoczenia, jak krzywe lustro w wesołym miasteczku.

Wypukła powierzchnia zniekształciła obraz jej twarzy do tego stopnia, że w odbiciu widać było tylko niezwykle wielkie oczy. To zdekoncentrowało go na ułamek sekundy. Nie spostrzegł, iż poruszyła się trochę, nim dosięgnął ją cios.

Poczuł piekielny, paraliżujący ból w prawym barku i ramieniu, a jednocześnie odebrał silne uderzenie w rękę poniżej łokcia. Odbity cios noża minął kilka centymetrów jej biodro, a ostrze uderzyło w stalową tablicę, pozostawiając na niej jasną, głęboką rysę. Zdrętwiałe nagle palce Petera nie były w stanie utrzymać rękojeści i nóż wypadł mu z ręki, z brzękiem odbijając się od metalowej poręczy otaczającej mostek i wpadając w otwór kabiny. Peter uprzytomnił sobie, że zadała mu cios, nie odwracając nawet głowy. Po prostu skorzystała z odbicia w stalowej tablicy, żeby precyzyjnie uderzyć do tyłu.

Naturalnym odruchem ze strony Petera byłoby chwycić się za bolące miejsce. Jednak uczynił to, co nakazywał mu instynkt. Uniósł w górę lewą rękę, osłaniając kark przed następnym ciosem, który spadł jak uderzenie kijem baseballowym. Był piorunująco szybki, jak jedno mignięcie skrzydeł kolibra, a jednocześnie niezwykle silny. Gdyby dotarł do jego karku, w który został wymierzony, z pewnością zabiłby go na miejscu. Zamiast tego sparaliżował drugie ramię. Po tym ciosie Magda odwróciła się, przeciwstawiając jego sile szybkość i zręczność.

Zdawał sobie sprawę, że jedynym ratunkiem w tej chwili jest zwanie się z nią, przyduszenie swoim ciężarem. Za wszelką cenę usiłował uczeplić się jej. Zdrętwiałymi palcami uchwycił stanik, lecz natychmiast wyrwała się, pozostawiając w jego ręku strzęp materiału. Jednocześnie uskoczyła zrzęcznie przed uderzeniem drugiej ręki.

Zauważył, że twarz miała pobladłą, a wargi rozchyliły się w grymasie niezwyklej koncentracji i wściekłości. Odslonięte zęby zdawały się być ostre jak u lamparcicy, która nagle znalazła się w pułapce.

Walczyła też jak lamparcica, atakując z bezlitosną zaciekłością nie zdradzając najmniejszego strachu, dążąc do unicestwienia przeciwnika. Długie włosy wirowały wokół Petera, a w pewnym momencie cięły go po oczach, oślepiając na chwilę i wytrącając z równowagi. Ona zaś wciąż doskakiwała do niego z dystansu i uderzała. Odslonięte po zerwaniu stanika, zakończone brunatnymi sutkami piersi tańczyły i podskakiwały przy każdym ciosie.

Ku swojemu zaskoczeniu Peter uświadomił sobie, że jest bity. Jeśli dotąd przetrwał, to tylko dzięki odbieraniu ciosów na barki i ramiona. Za każdym jednak kopnięciem, które docierało do jego uda, brzucha czy goleni, czuł, że jego siły stopniowo topnieją a reakcje stają się wolniejsze. Atakowała bez przerwy nogami i rękami, nie dając mu ani chwili wytchnienia. On nie trafił ani razu, nie tknął jej nawet. Ciągłe brakowało czucia w rękach i palcach. Brak mu było tchu, myślał o nożu, który wpadł do kajuty.

Cofnął się przed kolejnym atakiem i oparł plecami o poręcz mostka. W tym samym momencie kolejny cios wymierzony w gardło trafił w nos, łamiąc go. Do oczu napłynęły łzy, w ustach poczuł słony smak krwi. Zgiął się wpół i jednocześnie, chwyciwszy rękami za poręcz, przeskoczył ją, lądując trzy metry niżej. Przykucnąwszy, otarł łzy z oczu i wykonał kilka obrotów rękami, usiłując odzyskać w nich czucie.

Pierwsze, co zauważył po otarciu łez, to nóż leżący tuż przy luku odprowadzającym wodę.

Tymczasem Magda, która była już przygotowana na zadanie ostatecznego, śmiertelnego ciosu w odsłonięty kark Petera, wytrącona nieco z impetu jego nieoczekiwanym skokiem przez poręcz, nie traciła czasu. Bez wahania skoczyła za nim, spadając na jego plecy i przygwożdżając do ziemi uderzeniem bosych stóp.

Upadł, uderzając głową o ścianę. Na moment ogarnęła go ciemność. Ale tylko na moment. Chroniąc się przed kolejnym atakiem, nadzwyczajnym wysiłkiem przewrócił się na plecy, podciągając jednocześnie do góry kolana. Trafiła go w golenie. Zachowując przytomność umysłu, sięgnął po nóż. W tej samej chwili, gdy dotknął rękojeści, wyrzucił przed siebie nogi niby stalową sprężynę, wymierzając na ślepo rozpaczliwy cios.

Był to pierwszy cios, dotarł jednak do celu. Dosięgnął ją w momencie, gdy szykowała się do kolejnego ataku. Obie stopy Petera uderzyły Magdę w brzuch,

poniżej żeber. Gdyby trafił w miękkie ciało, z pewnością by ją wykończył.

Ocaliły ją twarde mięśnie brzucha, które złagodziły siłę uderzenia. A jednak nieoczekiwany cios obalił kobietę na wznak, pozbawiając tchu w piersiach i wywołując gwałtowny wstrząs całego ciała.

Peter natychmiast uświadomił sobie, jak wielką uzyskał szansę. Jednak całe jego ciało było tak bardzo wyczerpane i obolałe, że z największym trudem dźwignął się z podłogi, wspierając na łokciu. Widział niewyraźnie, gdyż łzy, krew i pot zalewały mu oczy. Wielkim wysiłkiem woli stanął, chowając za siebie nóż i unosząc lewe ramię jak tarczę ochronną. Zdawał sobie sprawę, że musi działać szybko, jeśli chce wygrać śmiertelny pojedynek.

Ale ona również miała broń. Po upadku zerwała się szybko i dopadła wejścia, przy którym stał bosak. Długie na dwa i pół metra, polakierowane drzewce zakończone było mosiężnym hakiem. Wywijając nim ostrzegawczo, Magda usiłowała odzyskać dech w piersiach.

Wracała do siebie szybko, szybciej niż Peter. W jej oczach odżył charakterystyczny, zimny blask. Miał świadomość, że nie może przedłużać walki, że musi teraz działać zdecydowanie.

Rzucił nożem, celując w głowę. Nie był to jednak nóż przeznaczony do rzucania. Zboczył z linii lotu, lecz zmusił ją do uniesienia w górę drzewca bosaka. O to właśnie chodziło. Wykorzystał ten moment, żeby pod wirującym drzewcem doskoczyć i uderzyć w jej uniesione ręce.

Oboje zatoczyli się na ścianę. Peterowi udało się uchwycić grube zwoje jej włosów, a następnie wplątać w nie palce.

Walczyła desperacko jak konające zwierzę, z nieprawdopodobną furią i odwagą. Lecz teraz mógł już wykorzystać przewagę swojego ciężaru i siły. Jedną ręką przycisnął ją mocno do siebie, krępując jednocześnie ręce, podczas gdy drugą odgiął jej głowę do tyłu, odsłaniając długą, gładką szyję. Następnie ścisnął jej uda między swoimi, tracąc równowagę. Oboje upadli na podłogę.

Jakimś niezwykłym wysiłkiem udało się Magdzie w ostatniej chwili wylądować na nim i Peter był zmuszony wyteńczyć wszystkie siły, żeby przetoczyć się z nią po podłodze i znaleźć się na wierzchu.

Oboje, wyczerpani, leżeli zwarci piersią przy piersi, brzuchem przy brzuchu, w jakiejś dziwacznej parodii miłosnego aktu, rozdzieleni jedynie drzewcem bosaka.

Peter okręcił długie włosy na lewej ręce, przyciskając jej głowę do podłogi. Jego oczy znalazły się w odległości zaledwie piętnastu centymetrów od jej oczu, a krew z nosa i ust sączyła się po jej twarzy.

Żadne z nich nie powiedziało dotąd ani słowa. Jedynymi dźwiękami, które z siebie wydawali, były świszczące oddechy, odgłosy uderzeń i mimowolne okrzyki bólu.

Patrzyli na siebie jak dwoje zwierząt walczących na śmierć i życie. Peter wiedział, że nie wolno mu ani trochę zwolnić uścisku ramienia i nóg, którymi ją obejmował.

Czuł nieludzkie napięcie w jej ciele, zmuszające go do maksymalnego wysiłku. Gdyby choć na moment rozluźnił uścisk, wywinęłaby mu się, a jemu nie starczyłoby sił do dalszej walki.

W pewnej chwili udało mu się przesunąć drzewce bosaka na jej odsłoniętą szyję. Nie była na to przygotowana, za późno opuściła brodę. Powoli, łokciem ręki, którą trzymał jej włosy, przesunął drzewce w poprzek gardła, a następnie zaczął przenosić na nie swój ciężar.

Zrozumiała, że to już koniec. Wciąż jeszcze walczyła. Krew napłynęła jej do twarzy, która pokryła się ciemnymi plamami, wargi drżały, oddech stał się rżęzący, a z kącików ust popłynęły strumyki spienionej śliny.

Peter poczuł, że nie zniesie widoku tej agonii. Lekko zmniejszył nacisk na przygniatające gardło drzewce. Od razu spostrzegła tę zmianę. Po raz pierwszy przemówiła. Ze spuchniętych, rozchylonych ust wydobył się chrapliwy, niewyraźny głos.

- Ostrzegali mnie.

Pomyślał, że może się przesłyszał, i jeszcze bardziej zwolnił ucisk na gardło.

- Nie mogłam w to uwierzyć. - Głos przeszedł w słabiutki szept. - Nie ty.

Całkowicie zrezygnowała z oporu. Czuł, że jej ciało się rozluźniło. Chyba pogodziła się ze śmiercią. Zimne, zielone światło zniknęło z oczu, w jego miejscu pojawił się bezbrzeżny smutek.

Peter wiedział już, że nie będzie w stanie jej zabić. Zaszedł tak daleko, jak tylko potrafił. Dalej już nie mógł. Zsunął się więc i odrzucił na bok drzewce, które uderzyło o ścianę. Odwrócony tyłem, czołgał się po podłodze, głośno szlochając. Miał świadomość, że ona wciąż jeszcze żyje i wciąż jest niebezpieczna, ale nie dbał już o to. Śmierć z jej ręki powitałby jak wyzwolenie z pułapki, w której się znalazł.

Chwycił za poręcz przy drabince i usiłował podnieść się z podłogi, oczekując jednocześnie ostatecznego, śmiertelnego uderzenia. Cios jednak nie następował. Dźwignął się na kolana, przy czym trząśnięcie było tak gwałtowne, że zęby mu szczękały. Odwrócił się do niej, lecz początkowo wszystko pływało mu przed oczami. Widział tylko zmieniające się ciemne i jasne plamy. Stopniowo jednak zaczął dostrzegać klęczącą pośrodku kajuty i wpatrzoną w niego Magdę.

Była zbryzgana i pomazana krwią, a gładką, opaloną skórę pokrywał pot. Twarz miała rozpaloną i napuchniętą, okoloną płataniną rozczochranych włosów. W poprzek szyi widoczna była szeroka krwawa pręga, pozostawiona przez drzewce bosaka. Oddech miała przyspieszony, a nagie, zuchwałymi piersi podnosiły się i opadały zgodnie z rytmem pracy płuc.

Patrzyli na siebie w milczeniu, całkowicie wyczerpani tym, co przed chwilą przeżyli. Potrząsnęła głową, jakby pragnąc zaprzeczyć temu, co się stało. Próbowana coś powiedzieć, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jej ust. Zwilżyła tylko suche wargi językiem i uniosła dłoń do gardła, jakby chciała w ten sposób zmniejszyć ból,

który je trawił.

W końcu padło tylko jedno słowo:

- Dlaczego?

Nie od razu był w stanie odpowiedzieć. Głos nie mógł się przedrzeć przez ściśnięte skurczem gardło. Myślał o tym, że nie wypełnił zadania, które sobie postawił, i że ani trochę tego nie żałował. Powoli układał odpowiedź, tak jakby usiłował wypowiedzieć się w obcym języku. Gdy zaś w końcu przemówił, zabrzmiało to jakoś nienaturalnie i obco.

- Nie mogłem tego uczynić - powiedział.

Znowu pokręciła głową, jakby nie pojmując tego, co usłyszała, i znowu powtórzyła to samo:

- Dlaczego?

Nie miał odpowiedzi.

Szeroko otwarte oczy Magdy powoli wypełniły się łzami, które spływały po policzkach i zwisały z podbródka, jak poranna rosa z liści winorośli.

Opadła bezwładnie na podłogę, a on przez dłuższą chwilę nie znajdował w sobie siły, żeby do niej podejść. Wreszcie, słaniając się na nogach, zbliżył się i opadł obok niej na kolana, a potem, przerażony myślą, że nie żyje, uniósł ją do góry w ramionach.

Westchnienie głębokiej ulgi wyrwało się z piersi Petera, gdy usłyszał świszczący oddech. A gdy jej głowa opadła mu na ramię, uświadomił sobie, iż grube łzy płyną bez przerwy spod przymkniętych powiek.

Zaczął ją kołysać jak małe dziecko. Dopiero wtedy dotarł do niego sens jej słów.

- Ostrzegali mnie - szeptała. - Nie wierzyłam im. Każdy, tylko nie ty.

Uprzytomnił sobie, że gdyby nie zaczęła mówić, zabiłby ją a ciało wrzuciłby do morza. Te na pozór bezsensowne słowa najwidoczniej dotarły do najgłębszych zakamarków jego duszy.

Poruszyła się. Powiedziała coś, co zabrzmiało jak jego imię. To przywróciło go rzeczywistości. Przypomniał sobie, że oboje są na statku płynącym ślepo między rafami. Położył ją delikatnie na podłodze, a sam wdrapał się po drabince na mostek.

Statek kierowany przez automatycznego pilota płynął prosto na otwarte morze. Umocniło go to w przekonaniu, że była przygotowana na jego atak. Doskonale zagrała zaabsorbowanie urządzeniami nawigacyjnymi, prowokując go w ten sposób do działania.

Teraz jednak to wszystko już nie miało żadnego znaczenia. Wiedział jedno. Bardzo się przeliczył. Wyłączył automatyczne sterowanie i zmniejszył szybkość, przełączając biegi, a następnie łagodnym łukiem skierował statek przeciwko pędzonym przez wiatr falom oceanu.

Peter spojrzał do tyłu. Wyspy były daleko za nimi i wyglądały w tej chwili jak gruba kreska na horyzoncie. Zsunął się z powrotem do kajuty.

Magda siedziała na podłodze. Spostrzegła go i cofnęła się nieco, jakby

przestraszona, a w jej oczach pojawił się cień.

- Wszystko w porządku - powiedział wciąż jeszcze zachrypniętym głosem. Jej obawa nieprzyjemnie go dotknęła. Nie chciał, żeby się go bała.

Wziął ją w ramiona, ale czuł, że mu nie ufa, choć jednocześnie brak jej sił, żeby mu się sprzeciwić.

- Wszystko w porządku - powtórzył niezręcznie i przeniósł ją do salonu. Czuł się obolały.

Położył ją ostrożnie na wyściełanej skórą ławie, ale gdy próbował się wyprostować, nagle otoczyła ramieniem jego szyję i przywarła do niego.

- To ja położyłam tam nóż - szepnęła matowym głosem. - To była próba.

- Pozwól, że zajrzę do apteczki. - Usiłował oderwać się.

- Nie. - Pokręciła głową i skrzywiła się z bólu, który poczuła w gardle. - Nie odchodź, Peterze. Zostań ze mną. Tak bardzo się boję. Miałam zamiar cię zabić, jeśli wziąłbyś ten nóż. Omal tego nie uczyniłam. Co z nami się dzieje, Peterze, czyżbyśmy odchodzili od zmysłów?

Rozpaczliwie przytrzymała go, upadł więc na kolana przy ławie i pochylił się nad nią.

- Tak - odpowiedział, przyciskając ją do piersi. - Tak, chyba odchodzimy od zmysłów.

- Dlaczego wziąłeś ten nóż, Peterze? Musisz mi to koniecznie powiedzieć. Proszę cię, powiedz mi prawdę, muszę ją znać.

- Z powodu Melissy Jane. Z powodu krzywdy, jaką jej wyrządziłaś.

Gwałtownie drgnęła. Próbowwała coś powiedzieć, ale z ust wydobył się tylko jęk rozpaczy. On zaś starał się dokładniej wytłumaczyć.

- Kiedy odkryłem, że jesteś Kalifem, chciałem cię zabić.

Zdawało się, że Magda pragnie coś gwałtownie wyrzucić z siebie, lecz gdy się odezwała, był to znów tylko słaby szept.

- Dlaczego wobec tego mnie nie zabiłeś?

- Ponieważ - w tej chwili znał już przyczynę swojej porażki - ponieważ ja cię kocham. I tylko to się liczy.

Westchnęła cicho i znów zamilkli na dłuższą chwilę.

- Czy wciąż jeszcze sądzisz, że jestem Kalifem? - Zapytała wreszcie.

- Nie wiem. Nie wiem nic oprócz tego, że cię kocham. Tylko to jest ważne.

- Co się z nami stało, Peterze? - Lamentowała cicho. O Boże, co się z nami stało?

- Czy ty jesteś Kalifem, Magdo?

- Ależ, Peterze, to ty chciałeś mnie zabić. Ty jesteś Kalifem!

Stosując się do wskazówek Magdy, Peter przeprowadził statek wąskim przejściem między rafami koralowymi otaczającymi Ile des Oiseaux. Chmury spłoszonego

ptactwa unosiły się nad burzą, wypełniając powietrze krzykiem i szumem skrzydeł.

Zakotwiczył statek na skraju chronionego obszaru, a następnie nawiązał kontakt radiowy z kapitanem.

- Baronowa postanowiła spędzić dzisiejszą noc na pokładzie - powiadomił go. - Proszę się nie martwić.

Kiedy wrócił do salonu, Magda miała już dość sił, aby przebrać się w jeden ze swoich strojów plażowych i owinąć gardło czystym ręcznikiem.

W apteczce umieszczonej w schowku nad drzwiami toalety Peter wyszukał pastylki przeciwbólowe oraz lek przeciw opuchliznie i potłuczeniom.

- Weź je - polecił stanowczo mimo jej protestów.

Następnie odwinął ręcznik z jej gardła i lekko posmarował je maścią.

- Teraz czuję się znacznie lepiej - szepnęła niewyraźnie.

- Spójrzmy teraz na twój brzuch. - Ułożył ją delikatnie na plecach i rozpiął strój plażowy aż do pasa. Ciemne stłuczenie rozciągało się od małych, białych piersi aż do pępka. Delikatnie wcierał w skórę maść, a gdy skończył, odetchnęła z ulgą. Wciąż jeszcze lekko skrzywiona z bólu, była już jednak w stanie chodzić i poruszać się. Zamknęła się na piętnaście minut w łazience. Peter zajął się w tym czasie własnymi obrażeniami. Gdy wyszła, była już umyta i uczesana.

Nalał burbona do dwóch dużych kryształowych kielichów i wręczył jej jeden z nich.

- Wypij, to na twoje gardło - polecił. Wypiła, krztusząc się lekko, i odstawiła kielich.

- A jak ty się czujesz? - Zatraskała się. - Czy nic ci nie dolega?

- Tylko jedno - odpowiedział. - Nie lubię, kiedy się martwisz o mnie.

Roześmiała się, lecz śmiech uwiązał jej w gardle, przytuliła się więc tylko do niego.

- Kiedy będziemy mogli ze sobą porozmawiać? - Spytał. - Mamy tyle do omówienia.

- Tak, wiem, ale jeszcze nie teraz, Peterze. Potrzymaj mnie jeszcze trochę. - Był zaskoczony tym, jak wiele przyjemności dostarczało mu trzymanie jej w objęciach. Miał wrażenie, że bijące od niej ciepło usuwa wszystkie dolegliwości ciała i duszy.

Głaskał z czułością jej włosy, podczas gdy ona tuliła twarz do jego szyi.

- Powiedziałeś, że mnie kochasz - mruknęła cicho, oczekując potwierdzenia jak wszyscy kochankowie.

- Tak, kocham cię. Zawsze cię kochałem, ale gdy dowiedziałem się, że jesteś Kalifem, pogrzebałem tę miłość. I dopiero dziś uprzytomniłem sobie, że ona wciąż we mnie żyje.

- Cieszę się. Ponieważ ja ciebie także kocham. A sądziłam, że nie jestem zdolna pokochać nikogo. Byłam już w rozpacz z tego powodu, Peterze. I wtedy ty się pojawiłeś. Potem powiedzieli mi, że chcesz mnie zabić. Nie miałam ochoty dłużej żyć. To było zbyt okrutne. Znaleźć cię, żeby natychmiast utracić. Podrzuciłam nóż.

Chciałam się przekonać, że to nieprawda!

- Nie mów tyle - nakazał. - Teraz leż tylko i słuchaj. Ja nie mam kłopotów z głosem, pozwól więc, że będę mówił pierwszy. Powiem ci wszystko o tym, co ostatnio przeżyłem, i jak dowiedziałem się, że jesteś Kalifem.

Mówił spokojnie i łagodnie, tuląc ją wciąż do siebie. Jedynymi dźwiękami, które docierały do nich, były uderzenia fał o kadłub statku i szum urządzeń klimatyzacyjnych.

- Wiesz o mnie wszystko aż do dnia, w którym została porwana Melissa Jane - zaczął, a następnie opowiedział jej szczegółowo, co się zdarzyło, aż do chwili odzyskania córki.

- Myślę, że coś musiało pęknąć we mnie w tamtych dniach. Byłem gotów na wszystko, żeby ją tylko uratować. Często budziłem się w nocy i szedłem do łazienki wymiotować na myśl, że mogę zobaczyć jej rękę w słoiku z płynem.

Opowiedział jej o planach zabicia Parkera. Poczul, jak wzdrygnęła się w pewnym momencie.

- W ten sposób można pozyskać każdego człowieka szepnęła.

- Nie mów nic - skarcił ją, po czym ciągnął dalej swoją opowieść, mówiąc o tajemniczym informatorze, dzięki któremu trafił do Old Manse w Laragh. - Kiedy zobaczyłem swoje dziecko z maltretowane, poczułem, że tracę resztki zimnej krwi i opanowania. W tamtej chwili, gdy ją trzymałem w ramionach nieprzytomną z gorączki i widziałem przerażenie w jej oczach, zabiłbym... - Przerwał i na kilka sekund zapadła cisza, dopóki Magda nie wydała z siebie okrzyku bólu. Wtedy uprzytomnił sobie, że pod wpływem wspomnień zaciska z całej siły palce na jej ramieniu. - Przepraszam - powiedział i puścił ramię, podnosząc rękę w pieśczośliwym geście do policzka Magdy. Potem oni powiedzieli mi o tobie.

- Kto? - Szepnęła.

- Dowództwo Atlasu.

- Parker?

- Tak. I Colin Noble.

- Co ci powiedzieli?

- Mówili, że twój ojciec przywiózł cię do Paryża, gdy byłaś jeszcze dzieckiem. Mówili, że byłaś inteligentną i ładną dziewczynką i w ogóle nadzwyczajną - niemal recytował z pamięci. - A kiedy twój ojciec zabito - w tym momencie Magda poruszyła się niespokojnie - zaopiekowali się tobą jego przyjaciele, członkowie partii komunistycznej. Byłaś tak bardzo piękna i zdolna, że ktoś, kto podawał się za twój stryj, przyjechał z Polski, żeby cię zabrać do Warszawy...

- Byłam przekonana, że jest rzeczywiście moim stryjem skinęła głową potakująco. - Przez dziesięć lat w to wierzyłam. Pisał do mnie często... - Przerwała z wysiłkiem. - Był dla mnie wszystkim po śmierci ojca - dodała.

- Zostałaś wytypowana do szkoły w Odessie - ciągnął Peter, a gdy leżała spokojnie

w jego ramionach, powtórzył z nieskrywanym przekąsem: - do specjalnej szkoły w Odessie.

- Wiesz również o Odessie? - Szepnęła. - Kto tam nie był, nie ma pojęcia, co to za szkoła.

- Wiem, że uczyli ciebie... - Przerwał, mając przed oczami piękną, młodą dziewczynę ćwiczącą się w sztuce miłości i uwodzenia mężczyzn. - Uczyli cię wielu rzeczy. - Chciał rzucić w twarz oskarżenie, ale nie mogło mu przejść przez gardło.

- Tak - mruknęła. - Wielu, wielu rzeczy.

- Na przykład, jak zabić gołymi rękami człowieka.

- Myślę, Peterze, że po prostu nie mogłam ciebie zabić. Bóg mi świadkiem. Inaczej nie przeżyłbyś dzisiejszego dnia. Kocham cię, choć jednocześnie cię nienawidziłam za to, że mnie zdradziłeś.

Znowu westchnęła ciężko.

- A kiedy dowiedziałam się o twoim planie zabicia mnie, odczułam mimo woli ulgę. Byłam gotowa pogodzić się z tą myślą. Nie wyobrażałam sobie życia bez miłości do ciebie.

- Stanowczo za dużo mówisz - zwrócił uwagę. - Możesz w ten sposób jeszcze bardziej nadwerężyć gardło. - Uciszając, dotknął palcami jej ust. - A w Odessie stałaś się jedną z faworytek, należałaś do elity - ciągnął.

- Gdy się weszło do środka, miało się wrażenie pobytu w świątyni, w której panuje tajemniczy nastrój - szeptała. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Zrobiłabym wszystko dla Państwa, dla Matuszki Rosji.

- Czy to wszystko jest prawdą? - Był zdziwiony, że niczemu nie próbowała zaprzeczać.

- Wszystko - potwierdziła ze smutkiem. - Nigdy już nie będę cię okłamywała, Peterze. Przysięgam.

- Potem wysłali cię z powrotem do Francji, do Paryża? - Zapytał.

Skinęła twierdząco głową.

- W swojej robocie okazałaś się nawet lepsza, niż oczekiwano. Byłaś bardzo dobra. Żaden mężczyzna nie potrafił ci się oprzeć.

Nie odpowiedziała, ale nie opuściła również oczu. Nie oznaczało to jednak wyzwania pod jego adresem, lecz po prostu zgodę na wszystko, co mówił.

- Potem byli mężczyźni. Bogaci i potężni mężczyźni. Gdy to mówił, jego głos był przepojony goryczą. Nie potrafił ukryć uczucia, które go trawiło. - Wielu, wielu mężczyzn. Nikt nie wie, jak wielu, jak bogate zbierałaś żniwo.

- Biedny Peter - szepnęła. - Takimi myślami się torturujesz?

- Pomagały mi cię nienawidzić - odpowiedział szczerze.

- Tak, rozumiem. Tylko jedno mogę na to powiedzieć. Nigdy nie kochałam żadnego mężczyzny, dopóki nie spotkałam ciebie.

Był pewien, że mówi teraz prawdę.

- Potem kazali ci uwieść Aarona Altmanna i zawładnąć jego imperium...

- Nie - szepnęła, kręcąc przecząco głową. - To ja zdecydowałam się na Aarona. Był jedynym mężczyzną, którego nie potrafiłam... - Głos jej się urwał, wypła więc łyk burbona. - On mnie fascynował. Nigdy przedtem nie spotkałam nikogo takiego jak on. Tak silnego, tak odważnego.

- W porządku - zgodził się Peter. - Być może zmęczyła cię dotychczasowa rola...

- Niełatwo jest być kurtyzaną - roześmiała się po raz pierwszy podczas rozmowy.

- Wiedziałaś, jak podejść do sprawy. Najpierw stałaś się dla niego kimś niezastąpionym. Był już chorym człowiekiem, potrzebującym wsparcia kogoś, komu mógłby zaufać. Ty mu je zapewniłaś.

Milczała, pochłonięta wspomnieniami, które mąciły głęboką zieleń oczu jakimiś wzruszeniami.

- A kiedy w końcu ci zaufał, postanowiłaś się uniezależnić od swoich dotychczasowych mocodawców.

Mówił spokojnie dalej, a tymczasem na zewnątrz statku umierał dzień w powodzi purpurowych barw i świateł.

W salonie stopniowo zapadał mrok, wśród którego Peter widział tylko jej twarz, pełną napięcia i powagi. Ze spokojem wysłuchiwała całej litanii oskarżeń o oszustwa, zdradę i inne przestępstwa. Od czasu do czasu wykonywała gest zaprzeczenia, kręciła głową lub mocniej ścisnęła palcami jego ramię. Czasem przymykała na chwilę oczy, tak jakby przeżywała szczególnie okrutne wspomnienia, a raz czy też dwukrotnie z jej ust wyrwał się cichy okrzyk.

- O Boże, Peterze! To wszystko jest prawdą!

Mówił także o tym, jak stopniowo przywłaszczała sobie władzę Aarona Altmanna, podczas gdy jego siły z dnia na dzień topniały. Jak próbowała nawet mu się sprzeciwić w niektórych sprawach.

- Na przykład w sprawie sprzedaży broni rządowi południowoafrykańskiemu - powiedział, a ona skinęła głową.

- Tak. Nie zgadzaliśmy się w tej sprawie. To była jedna z niewielu spraw, w których różniliśmy się poglądami - uśmiechnęła się łagodnie, jakby zatopiona we własnych wspomnieniach.

Snuł opowieść, jak powoli zrywała ze swoimi dotychczasowymi ideałami politycznymi i jak stopniowo jej mocodawcy uświadamiali sobie, że tracą nad nią władzę, w związku z czym podejmowali próby przywołania jej do porządku.

- Ale ty byłaś już zbyt potężna, żeby podporządkować się naciskom. Udało ci się nawet, za pośrednictwem Aarona, nawiązać kontakty z Mossadem i uzyskać ich opiekę.

- To jest wprost niewiarygodne - szepnęła. - To wszystko jest bardzo bliskie prawdy. - Peter czekał, że opowie jakieś szczegóły. Zamiast tego zachęcała go, by mówił dalej.

- Kiedy zagrozili, że cię zadenuncjują przed baronem, nie miałaś innego wyboru, jak tylko pozbyć się go. W ten sposób nie tylko zlikwidowałaś zagrożenie swojego życia, lecz również zdobyłaś kontrolę nad Altmann Industries i na okrasę dwadzieścia pięć milionów dolarów czystej gotówki. Zorganizowałaś porwanie i zabójstwo Aarona Altmanna, sama sobie wypłaciłaś okup, który następnie przekazałaś na konto w Szwajcarii.

- Wielki Boże, Peterze! - W panujących ciemnościach jej oczy wyglądały jak ogromne i bezdenne oczodoły kościotrupa.

- Czy to prawda? - Peter po raz pierwszy szukał u niej potwierdzenia.

- To jest nazbyt okropne. Mów dalej.

- Od tej pory otworzyły się przed tobą nowe możliwości. Właśnie w tym czasie zostałaś Kalifem. Porwanie boeinga prawdopodobnie było nie pierwszym wyczynem po śmierci Aarona Altmanna. Przedtem był zamach na ministrów OPEC w Wiedniu i działalność Czerwonych Brygad w Rzymie. W Johannesburgu po raz pierwszy użyłaś imienia Kalif. I wszystko szło gładko, dopóki pewien oficer nie okazał się niesubordynowany. - W tym momencie wskazał na siebie. - Wtedy potknęłaś się i dzięki temu zwróciłem na siebie twoją uwagę.

W salonie było już niemal zupełnie ciemno, więc Magda zapaliła stojącą obok niej lampkę. Obserwowała bacznie jego twarz. Peter nie przerywał.

- Mniej więcej w tym czasie dowiedziałaś się ze swoich specjalnych źródeł, być może od Mossadu lub francuskiego wywiadu, że ktoś jest na tropie Kalifa. Tym kimś okazał się Kingston Parker i jego organizacja, Atlas. Byłem odpowiednim człowiekiem, który mógł potwierdzić podejrzenia, a następnie dokonać zamachu na Parkera. Posiadałem umiejętności i przygotowanie do wykonania tego zadania. Mogłem bez trudu, bez wzbudzenia jakichkolwiek podejrzeń, dotrzeć w jego pobliże. Potrzebowałem tylko specjalnej motywacji.

- Nie - wyszeptała, niezdolna oderwać oczu od jego twarzy.

- To wszystko wiąże się w logiczną całość - powiedział.

Nie znajdowała odpowiedzi.

- Kiedy otrzymałem palec Melissy Jane, byłem gotów na wszystko.

- Czuję się niedobrze.

- Przepraszam cię.

Podał jej kieliszek, wychyliła go do dna. Potem siedziała przez chwilę w milczeniu z zamkniętymi oczami, przyciskając dłonie do posiniaczonego gardła.

- Już dobrze? - Zapytał.

- Tak. Teraz już dobrze. Mów dalej.

- Wszystko szło według planu, dopóki przypadkowy informator nie zdradził kryjówki porywaczy w Irlandii. Ale tego nikt nie mógł przewidzieć, nawet Kalif.

- Ale przecież na to nie ma dowodów! To tylko domysły! - Zaprotestowała. - Nie ma żadnego dowodu na to, że to ja jestem Kalifem.

- Jest - oświadczył spokojnie. - O'Shaughnessy, szef gangu, który porwał Melisę Jane, przeprowadził dwie rozmowy telefoniczne. Obie z numerem czterdzieści siedem osiemdziesiąt siedem czterdzieści siedem w Rambouillet.

Patrzyła na niego bez słów.

- Złożył telefoniczne meldunki swojemu zwierzchnikowi, Kalifowi - powiedział i czekał na jej reakcję. Ponieważ jednak wciąż milczała, po małej chwili zaczął mówić o swoich przygotowaniach do zamachu na nią. Wymienił wybrane przez siebie miejsca: wyścigi konne w Longchamps lub pokaz mody przy alei Wiktora Hugo. Wzdrygnęła się, jakby nagle poczuła na sobie tchnienie śmierci.

- Dokonałeś bardzo trafnego wyboru - przyznała. - Miałam zamiar tam się udać. Yves przygotowywał dla mnie specjalny pokaz w przyszłym miesiącu.

- Swoim zaproszeniem oszczędziłaś mi wielu kłopotów. Zdawałem sobie sprawę z tego, że było to zaproszenie na drugi świat. Przeczytałem w twoich oczach wyrok na mnie podczas naszego spotkania na Orly. To, że potem zaczęłaś mnie unikać, tylko umocniło mnie w podejrzeniach.

- Mów dalej.

- Kazałaś mnie przeszukać po wylądowaniu w Tahiti-Faa.

Skinęła twierdząco głową.

- Poleciałaś swoim „szarym wilkom” przeszukać mój pokój ostatniej nocy i przygotowałaś wszystko na dzisiaj. Wiedziałem, że muszę uderzyć pierwszy, i uczyniłem to.

- Tak - mruknęła - uczyniłeś to. - I znowu potarła ręką bolące gardło.

Wstał i uprzątnął puste kielichy, a następnie wrócił i usiadł obok niej. Opowiadanie wyczerpało go, wciąż bolało go całe ciało po stoczonych walce, jednocześnie rad był, że wyrzucił to wszystko z siebie. Miał uczucie, jakby przekłuł nabrzmiały wrzód, otwierając sobie drogę do powrotu do zdrowia.

Czuł, że jej wyczerpanie było jeszcze większe, że przeżyła tego dnia zbyt wiele. Nie protestowała, kiedy wziął ją na ręce, zaniósł do kajuty i położył na koi. Ze schowka pod koją wyjął poduszki i koc. Położył się obok i przytulił swoją pierś do jej pleców, uda do jej twardych, okrągłych pośladków, a głowę Magdy ułożył w zgięciu swojego ramienia. Drugim ramieniem przyciskał ją do siebie, obejmując jednocześnie jedną z jej piersi. W ten sposób przytuleni zasnęli oboje, a gdy po pewnym czasie Peter przewrócił się na drugi bok, ona uczyniła to samo, przysuwając twarz do jego karku, obejmując go w pasie ręką i przerzucając nogę przez jego biodro.

Kiedy w środku nocy ocknął się ze snu i nie odnalazł jej przy sobie, zaniepokoił się. Wśród ciemności nagle odżyły w nim wszystkie obawy i podejrzenia. Po chwili jednak doszedł do jego uszu odgłos nalewanego do kielicha płynu. Gdy powróciła do łóżka, całkiem rozebrana, otulił ją troskliwie ramionami.

Światło słoneczne wlewało się szerokim strumieniem do kajuty, gdy się w końcu obudzili.

- Mój Boże, to już południe! - Zawołała i usiadła, zdejmując męską rękę ze swoich nagich ramion. Peter spróbował wstać z koi, lecz nagle stęknął żałościwie.

- *Qu'as tu, chéri?*

- Czuję się jak połamany - jęknął. W ciągu nocy potłuczone mięśnie i naderwane ścięgna nabrzmiały i zeszywniały. Teraz przy najmniejszym ruchu odczuwał przejmujący ból.

- Znam tylko jedną kurację dla nas obojga - powiedziała. - Składa się z trzech części.

Pomogła mu podnieść się i zejść z koi. Jęczał nieco na wyrost, czym ją rozśmieszała. Śmiech miała wciąż jeszcze nieco chropowaty, ale mówiła już znacznie wyraźniej. Regeneracja sił następowała u niej bardzo szybko, jak u młodego rasowego zwierzęcia.

Skakali do morza z deski na rufie statku.

- To pomaga - przyznał Peter, czując kojące działanie morskiej wody. Płynęli nago obok siebie, najpierw wolno, potem coraz szybciej, przechodząc od stylu klasycznego do cawla.

- Lepiej teraz? - Spytała zadyszana, odgarniając z twarzy włosy oplatające głowę, jak długie kłaczki pięknej morskiej rośliny.

- O wiele lepiej.

- Płyniemy z powrotem.

Dopłynęli do statku i wdrapali się na pokład, rozpryskując naokoło wodę, śmiejąc się i żartując. Gdy jednak chciał sięgnąć po nią, pozwoliła mu tylko na przelotną pieszczotę.

- To była dopiero pierwsza część kuracji.

Krzątała się w kuchni, mając na sobie jedynie przepasany wokół bioder mały fartuszek w kwiaty. Zakrywał jej posiniaczony brzuch.

- Nigdy nie myślałem, że fartuszek może wyglądać tak prowokująco.

- Zajmij się przygotowaniem kawy - skarciła go i szturchnęła lekko biodrem.

Usmażone przez nią na złoty kolor omlety jedli na górnym pokładzie. Rzeński wiatr pędził po błękitnym niebie stado białych, pierzastych chmur.

Dopisywał im apetyt. Jasny, słoneczny ranek wprowadził ich w pogodny nastrój. Rozmawiali więc na błahe tematy, od czasu do czasu wybuchali śmiechem, podziwiali piękno dnia i urodę krajobrazu, rzucali okruchy chleba mewom. Zachowywali się jak dwoje beztroskich dzieci na pikniku.

Wreszcie usiadła mu na kolanach i zaczęła pozorować badanie pulsu.

- Stan pacjenta wyraźnie się poprawił - oznajmiła. - Jest już wystarczająco zdrów i silny, żeby mógł przystąpić do trzeciej części kuracji.

- Jakiej? - Zapytał.

- Peter, *chéri*, chociaż jesteś Anglikiem, to przecież nie jesteś aż tak bardzo niedomyślny. - I zaczęła się wiercić na jego kolanach.

Kochali się w ciepłych promieniach słońca, a morski wiatr pieścił ich nagie ciała niewidzialnymi palcami.

Zaczął się od żartów i przekomarzań, od przytłumionych śmiechów i pomruków satysfakcji. Potem wszystko nagle się zmieniło, nabrało tempa i napięcia, aż wreszcie przeszło w zmiatającą wszystko z drogi burzę uczuć. Oboje zostali uniesieni przez rwący potok w nieznane im wcześniej światy, skąd, zdawałoby się, nie ma już powrotu.

- Kocham cię! - Krzyczała, gdy dotarli do brzegu szalejącej w nich namiętności, jakby chcąc zaprzeczyć temu, co do tej pory musiała robić. - Tylko ciebie kochałam. - Był to krzyk wyrwany z głębi duszy.

Upłynęło sporo czasu, zanim zdołali powrócić z odległych miejsc do rzeczywistości. A kiedy w końcu to się stało, oboje uprzytomnili sobie, że łączy ich więź głębsza niż związek cielesny, z której czerpać będą nowe siły do życia.

Jeszcze tego samego dnia zepchnęli na wodę dużą, nadmuchiwaną łódź gumową i wyszli na brzeg wyspy. Ponton przymocowali do jednego z pni ściętych palm. Spacerowali, ostrożnie omijając gęsto rozsiane na ziemi ptasie gniazda. Co najmniej kilkanaście różnych gatunków ptaków żyło tutaj w jednej ptasiej kolonii, która zajmowała większą część wyspy o powierzchni ośmiu hektarów. Ich jaja różniły się między sobą. Były wśród nich gładkie, wielkości gęsich, oraz cętkowane i kropkowane, wielkości kurzych. Wśród piskląt jedne wydawały się groteskowo brzydkie, nieopierzone, inne zaś miłutkie jak w filmach Walta Disneya. Cała wyspa stanowiła jedno wielkie ptasie królestwo, w którym nie słyszało się żadnych innych dźwięków oprócz szumu i szelestu niezliczonej ilości skrzydeł i zgiełku różnorodnych ptasich głosów.

Magda знаła nazwy żyjących tutaj ptasich gatunków, ich specyficzne cechy i zwyczaje. Mówiła także, jakie mają szanse na przetrwanie w zmieniającym się ekosystemie oceanu.

Peter słuchał z uwagą, ale zdawał sobie sprawę, że za tym ożywieniem i potokiem wymowy kryje się próba koncentracji sił przed odpowiedzią na przedstawione jej zarzuty.

Na końcu wyspy rosło potężne, samotne drzewo takamaka, szeroko rozpościerające swoje pokryte gęstym listowiem gałęzie nad piaszczystym brzegiem. Upał i wypełniająca powietrze wilgoć stawały się nie do wytrzymania, z przyjemnością więc usiedli w cieniu drzewa. Przed nimi rozciągały się spokojne wody laguny, za którymi zarysowywała się odległa o osiem kilometrów główna wyspa. Z tej odległości nie widać było żadnych zabudowań ani łodzi i Peter miał wrażenie, że wraz z Magdą przeniósł się do biblijnego raj.

Rychło jednak słowa Magdy przywróciły go do prozaicznej rzeczywistości.

- Kto ci kazał mnie zabić, Peterze? Kto i w jakich okolicznościach wydał ten rozkaz? Muszę to wiedzieć, zanim odpowiem na wszystkie twoje zarzuty.

- Nikt - odpowiedział krótko.

- Nikt? Nie otrzymałeś żadnego listu, na wzór tego, w którym polecono ci zabić Parkera?

- Nie.

- Czy zlecił ci to sam Parker, czy też Colin Noble? Czy wyraźnie ci to nakazali, czy też tylko zasugerowali?

- Parker wręcz zabronił mi tykać cię, dopóki nie znajdziesz się w potrzebie.

- Tak więc sam podjęłeś taką decyzję? - Dopytywała się.

- Uważałem to za swój obowiązek.

- Chciałeś pomścić córkę?

Zawahał się, lecz po krótkiej chwili skinął twierdząco głową.

- Tak, chyba o to chodziło przede wszystkim. Ale nie tylko o to. Uważałem za swój obowiązek zniszczenie u samego źródła zła, które spowodowało porwanie zero siedemdziesiąt, uprowadzenie Aarona Altmanna i okaleczenie mojego dziecka.

- Kalif wie o nas. Rozumie nas lepiej, niż my sami siebie rozumiemy. Nie jestem tchórzem, Peterze, ale się lękam.

- Strach jest narzędziem jego działania - zgodził się Peter, a ona tymczasem przysunęła się do niego, jakby szukając ochrony. Objął ją ramieniem, przytulając do siebie.

- Wszystko, co wczoraj wieczorem opowiedziałeś, jest prawdą, z wyjątkiem wniosków i konkluzji, które były błędne. Śmierć ojca, lata samotności wśród obcych ludzi... Z tego okresu najlepiej pamiętam chwile, gdy obudziwszy się w nocy tłumiałam szloch, wciskając twarz w poduszkę. Potem powrót do Polski, a później szkoła w Odessie. To wszystko jest prawdą. Kiedyś opowiem ci wszystko o Odessie, jeśli cię to interesuje.

- Raczej nie - odpowiedział.

- A może, wobec tego, chcesz wiedzieć, co było po moim powrocie do Paryża?

- Tylko rzeczy najbardziej istotne.

- W porządku. Byli mężczyźni. Przecież właśnie w tym celu zostałam wybrana i przeszkolona. Tak, byli mężczyźni - nagle przerwała i ujmując jego twarz w swoje ręce, spojrzała mu głęboko w oczy. - Czy jednak to może zmienić cokolwiek między nami?

- Kocham cię - wyznał z przekonaniem.

Długo patrzyła w jego oczy, szukając w nich potwierdzenia tych słów.

- Tak, widzę, że mówisz prawdę - przyznała w końcu.

Westchnęła z ulgą, oparła głowę na jego ramieniu.

- Nigdy nie lubiłam mężczyzn, Peterze. Sądzę, że dlatego właśnie wybrałam Aarona Altmanna. Był jedynym, do którego czułam szacunek - wzruszyła lekko ramionami. - Wybrałam więc Aarona, a Moskwa wyraziła zgodę. To była bardzo subtelna, jak się wyraziłeś, robota. Najpierw musiałam zdobyć jego szacunek. Przede mną nie szanował żadnej kobiety. Dowiodłam mu, że potrafię załatwić każdą sprawę nie gorzej od mężczyzny.

Kiedy zdobyłam jego uznanie, reszta już sama przyszła. Przerwała na chwilę i lekko zachichotała. - Życie czasem płata nam złośliwe kawały. Najpierw stwierdziłam, że go lubię, a potem nauczyłam się go poważać. Robił na mnie wrażenie dużego, odpychającego samca, ale władza... Olbrzymia władza, jak jakaś niezwykła kosmiczna siła, stała się moim udziałem. Uniosła nieco głowę, żeby dotknąć ustami twarzy Petera, jakby chcąc go uspokoić. - Nie, Peterze, ja nigdy go nie kochałam. Nikogo przed tobą nie kochałam. Przed nim odczuwałam jakiś ogromny lęk. Zdominował całą moją egzystencję, był czymś więcej niż ojcem, więcej niż nauczycielem, był niemal

bóstwem. Lecz nigdy kochankiem. Nieociosany i silny. W łóżku był tylko samcem.

Przerwała i spojrzała poważnie na Petera.

- Czy ty to potrafisz zrozumieć, Peterze? Może nie jestem w stanie ci tego wytłumaczyć?

- Nie - zapewnił ją - wytłumaczyłaś to bardzo dobrze.

- Fizycznie ani trochę mnie nie pociągał. Na odwrót, odpychał mnie jego zapach i to, że był taki włochaty, porośnięty na ramionach i na plecach jak zwierz. Miał duży, sterczący i twardy jak żelazo brzuch. - Wzdrygnęła się. - Ale mnie nauczono nie zwracać na to uwagi. Trzeba tylko coś tam wyłączyć w wyobraźni. Poza tym pod wszystkimi innymi względami mnie fascynował. Pobudzał do odważnego myślenia, pomógł usunąć z głowy przegródki, które mi wbudowano w szkole. Przy nim poznałam smak władzy i pułapki, które jej towarzyszą. Oskarżałeś mnie o to, Peterze, i miałaś rację. Smak władzy i pieniędzy przypadł mi do gustu. Polubiłam je. Rzeczywiście, bardzo je polubiłam. Aaron mnie nauczył, jak z nich korzystać. Nauczył mnie cenić piękne i kosztowne rzeczy. Choć sam nie był piękny, potrafił cenić piękno. Umiał cieszyć się życiem, śmiał się często. Boże, jeszcze w tej chwili mam w uszach jego rechot i widzę, jak jego wielki włochaty brzuch trzęsie się ze śmiechu.

Pod wrażeniem wspomnienia przerwała na chwilę, a potem sama zachichotała trochę zachrypniętym śmiechem.

- Moja śliczna, mała damo komunistyczna - kpił sobie ze mnie. - Tak, Peterze, to ja zostałam oszukana. On od samego początku wiedział, kim jestem. Wiedział także o szkole w Odessie. Akceptował mnie taką, jaką byłam, i z pewnością mnie kochał na swój sposób. Jednocześnie zupełnie świadomie podważał moje przekonania ideologiczne. Dopiero wtedy dowiedziałam się, że wszystkie przygotowywane przeze mnie informacje do Moskwy były starannie przesiewane przez Aarona. On nadzorował moją działalność, tak jak ja jego nadzorowałam. Był członkiem Mossadu, wiesz o tym oczywiście. Był syjonistą, wiesz o tym także. Uświadomił mnie, że jestem Żydówką i jakie to ma dla mnie znaczenie. Dzięki niemu poznałam wszystkie błędy doktryny komunistycznej i przekonałam się do zachodniej demokracji. Następnie zwerbował mnie do Mossadu...

Znowu przerwała i porywczo pokręciła głową.

- Posądzić mnie, że mogłam sobie życzyć jego śmierci? Że mogłam nakazać jego porwanie i okaleczenie? Przecież to czysty absurd! Gdy był już bardzo słaby i coraz bardziej cierpiał, kochałam go miłością podobną do miłości macierzyńskiej. Stał się niemal całkowicie ode mnie zależny. Mówił, że tylko mój dotyk może uśmierzyć jego ból. Zwykle siedziałam przy nim całymi godzinami, masując jego włochaty brzuch. Czułam, jak to w nim rośnie niczym kalafior lub płód. Nie pozwalał wyciąć sobie tego. Chirurgów nienawidził, nazywał ich rzeźnikami. „Ci rzeźnicy z nożami i gumowymi rurkami” - mawiał...

Przerwała, a Peter zauważył, że miała oczy pełne łez. Przytulił ją mocniej i czekał, aż się uspokoi.

- Mniej więcej w tym czasie Kalif nawiązał kontakt z Aaronem. Przypominam sobie, że tego dnia był niezwykle podniecony. Nie bardzo rozumiałam, o co chodzi. Wygłaszał w mojej obecności długie diatryby przeciwko prawicowej tyranii, która niczym się nie różni od tyranii lewicowej. Nigdy nie wspomniał o Kalifie. Sądzę, że wtedy Kalif nie używał jeszcze tego pseudonimu. Lecz jestem przekonana, że Aaron powiedziałby mi o tym kontakcie, gdyby żył. Niestety, Kalif dopilnował, żeby do tego nie doszło.

Wyprostowała się, by znów spojrzeć w oczy Peterowi.

- Musisz wiedzieć, *chéri*, że wiele z tego, co ci powiedziałam, wiem dopiero od kilku tygodni. Myślałam dużo o tym wszystkim i kojarzyłam różne informacje w całość jak dziecko układankę. Tak więc Kalif nawiązał kontakt z Aaronem, żeby mu zrobić propozycję. Bardzo jasną propozycję. Chodziło o to, żeby Aaron zgodził się zostać jego współnikiem. Miał służyć Kalifowi istotnym wsparciem finansowym i przekazać mu swoją wiedzę i wpływy, w zamian za co miałby zapewniony udział w urządzaniu nowego porządku świata. Kalif się przeliczył. Był to chyba jego jedyny błąd jak do tej pory. Mylnie ocenił Aarona Altmanna, który odrzucił propozycję. Kalif popełnił jednak wielką nieostrożność, ujawniając swoją tożsamość. Sądzę, że uczynił to w nadziei przekonania Aarona. Rozumiesz, Aaron nie należał do ludzi, którzy godzili się na zabawę w chowanego, gdy była mowa o interesach. Kalif wiedział o tym dobrze i zgodził się na spotkanie w cztery oczy. Kiedy jednak stwierdził, że Aaron nie ma zamiaru przyłączać się do prowadzonej przez niego akcji morderstw i wymuszeń, nie miał wyboru. Kazał go porwać i torturować w celu wydobycia z niego ważnych informacji dotyczących, przypuszczam, Mossadu, a następnie zabić. Potem udało mu się jeszcze przekonać mnie do zapłacenia mu okupu. W ten sposób, grając jedną kartą, osiągnął dwa cele. Zmusił do milczenia, na zawsze, Aarona i zdobył dwadzieścia pięć milionów dolarów na uprawianie terroryzmu.

- Skąd wiesz to wszystko? Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś? - Zapytał Peter z goryczą.

- Nie wiedziałam jeszcze tego, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, *chéri*, wierz mi, proszę. Powiem ci, jak się o tym dowiedziałam, tylko bądź cierpliwy. Pozwól mi opowiedzieć, jak to się stało.

- Przepraszam - rzekł.

- Pierwszy raz usłyszałam imię Kalif w dniu, w którym doręczyłam okup porywaczom. Mówiłam ci już o tym?

- Tak.

- Wobec tego przejdźmy do wypadków, w których brałaś udział. Gdy odbiłeś boeinga, pomyślałam, że jesteś człowiekiem, który może mi pomóc w polowaniu na Kalifa. Zebrałam informacje o tobie. Zdobyłam nawet dane komputerowe - przerwała,

a w oczach pojawił się filuterny uśmiech. - Muszę wyznać, że zrobiła na mnie duże wrażenie lista zaliczonych przez ciebie pięknych pań.

Peter podniósł do góry obie ręce, poddając się bez walki.

- Już nigdy więcej - błagał - ani słowa na ten temat, zgoda?

- Zgoda - odpowiedziała z uśmiechem. - Jestem już głodna, a gardło znów mnie rozboleło od mówienia.

Po rozpalonym piasku wyspy wrócili do łodzi, a chwilę później byli już na pokładzie statku.

Szef kuchni należycie zadbał o zaopatrzenie lodówki. Peter zaczął posiłek od otwarcia butelki szampana Veuve Cliquot.

- Masz bardzo kosztowne upodobania - zauważył. Chyba nie będę w stanie utrzymywać cię z mojej gaży.

- Możesz się zwrócić o podwyżkę do swojego chlebodawcy - poradziła mu, przymrużywszy oko. W milczącej zgodzie nie wspominali o Kalifie aż do końca posiłku.

- Jedno musisz zrozumieć, Peterze. Pracuję dla Mossadu, ale nie ja sprawuję nad nimi nadzór, tylko oni nade mną. W tej samej sytuacji był Aaron. Oboje byliśmy wartościowymi agentami. Ja wciąż nim jestem, ale nie mam możliwości podejmowania żadnych decyzji w ich imieniu ani też nie mam dostępu do wszystkich ich tajemnic - wyjaśniała Magda. - Jedynym celem Mossadu jest bezpieczeństwo państwa Izrael, nic więcej. Byłam pewna, że Aaron złożył Mossadowi meldunek dotyczący tożsamości Kalifa i jego propozycji. Podejrzewam, że Mossad polecił mu podjęcie współpracy z Kalifem.

- Dlaczego? - Zapytał gwałtownie Peter.

- Nie jestem pewna, czy mam rację, ale widzę dwie przyczyny. Kalif musi być tak bardzo potężnym i wpływowym człowiekiem, że jego poparcie jest najwidoczniej bardzo ważne dla Mossadu. Oprócz tego wydaje mi się, że Kalif jest chyba sympatykiem Izraela lub przynajmniej za takiego go uważają. Mossad poszukuje sojuszników wszędzie, nie zważając na kwestie moralne. Sądzę, że polecili Aaronowi współpracować z Kalifem, ale...

- Ale? - Naglił Peter.

- Ale takiemu człowiekowi jak Aaron nie można było zlecić niczego, co nie godziło się z jego najgłębszymi przekonaniem. Aaron Altmann był człowiekiem wielkiego wymiaru. Sądzę, że przyczyną jego podniecenia tamtego dnia był konflikt między nałożonym na niego obowiązkiem a przekonaniem. Instynkt nakazywał mu zniszczenie Kalifa, a obowiązek...

Wzruszyła ramionami i wzięła do ręki kryształowy kielich z winem. Powoli obracała go między długimi palcami, obserwując unoszące się w jasnozłotym szampanie pęcherzyki powietrza. Kiedy odezwała się ponownie, zmieniła temat.

- Już wielokrotnie zastanawiałam się nad tym, czym się różnisz od wielu innych

mężczyzn, których znałam. Dlaczego innym mężczyznom nie pozwoliłam się dotknąć, a z tobą przychodzi mi to tak łatwo. - Spojrzała na niego badawczo, jakby wciąż szukając przyczyny. - Oczywiście, wiem o tobie bardzo dużo. Posiadasz wiele cech, które podziwiam w innych ludziach, co od razu usposabia mnie do ciebie jak najlepiej... Masz również inne cechy, których nie sposób wyliczyć w komputerowej informacji czy też utrwalić na zdjęciu. Jest w tobie coś takiego, co mnie... - Przez moment szukała bezradnie odpowiedniego słowa - co mnie niepokoi.

- To dobre określenie - roześmiał się Peter.

- A wcześniej nic nigdy mnie w mężczyznach nie niepokoiło, wiem to na pewno. Pragnienie mężczyzny tylko dlatego, że jest silny i jednocześnie subtelny, to zupełnie nowe doświadczenie. No i dlatego - w tym miejscu zachichotała - że jesteś po prostu bardzo seksowny. Wiesz o tym dobrze, że jesteś seksowny, Peterze, ale mi chodzi jeszcze o coś innego - nagle przerwała. - Nie, nie mam zamiaru schlebiać ci dłużej. Nie chcę, żeby mi kostki w nogach napuchły - powiedziała, przekładając potoczny francuski zwrot na język angielski i, tym razem nie poprawiając siebie, ciągnęła po prostu dalej. - Kalif niewątpliwie uświadomił sobie, że zwerbowałam niebezpiecznego dlań sojusznika. Tamtej nocy zorganizował na ciebie zasadzkę na drodze do Rambouillet.

- To była zasadzka na ciebie - wtrącił Peter.

- Kto, twoim zdaniem, chciał mnie zabić?

- Rosjanie. Wtedy już wiedzieli, że prowadzisz podwójną grę.

- Tak, wiedzieli - stwierdziła, unosząc do góry głowę i mrużąc oczy. - Myślałam o tym oczywiście i pamiętam o dwóch wcześniejszych zamachach na mnie, ale nie sądzę, żeby zasadzkę na drodze do Rambouillet zorganizowali Rosjanie.

- Zgoda, nie Rosjanie, więc tylko Kalif. Chodziło jednak o ciebie, nie o mnie - upierał się Peter.

- Być może, ale mój instynkt podpowiada mi co innego. To była zasadzka na ciebie.

- Może i masz rację - zastanawiał się Peter. - Przypominam sobie, że tego wieczoru byłem śledzony w Paryżu. - Tu opowiedział jej o Citroënie. - Jak sądzę, oni dobrze wiedzieli, że to ja jechałem Maserati.

- Wobec tego oboje przyjmujemy, że to była robota Kalifa - stwierdziła kategorycznie.

- ...Lub Mossadu - mruknął Peter, a jej oczy powoli rozszerzały się, w miarę jak Peter kontynuował swój wywód. Czy nie przypuszczasz, że Mossad mógł nie życzyć sobie, żeby człowiek Atlasu znalazł się w pobliżu ich wybitnego agenta? Żebyś uzyskała sojusznika w pościgu za Kalifem? A jeśli moje wejście naruszało w jakiś sposób starannie przygotowany przez nich scenariusz?

- Peterze, wypływasz na bardzo głębokie wody...

- ...W których kryje się stado rekinów.

- Zostawmy więc tymczasem w spokoju drogę do Rambouillet - zaproponowała. -
Komplikuje tok mojego myślenia o całej sprawie.

- Zgoda - odpowiedział Peter. - Wrócimy do niej, jeśli zajdzie potrzeba.

- Następnym ważnym posunięciem Kalifa było porwanie Melissy Jane -
stwierdziła, a twarz Petera przybrała kamienny wyraz. - Trudno było o trafniejszy
wybór ofiary - powiedziała. - Wymagał on jednak pewnej znajomości jej zwyczajów.
Oczywiście nie było dla nikogo tajemnicą, że masz tylko jedno dziecko, ale trzeba
było bliżej cię znać, żeby wiedzieć, jak potężnym bodźcem dla ciebie może być walka
o jego życie. - Magda zanurzyła koniuszek palca w szampanie, a następnie włożyła do
ust, zaciskając wargi i jednocześnie marszcząc lekko brwi. - Musisz zrozumieć, że
mniej więcej w tym czasie uprzytomniłam sobie fakt, że zakochałam się w tobie.
Prezent, jaki ci kupiłam, miał to potwierdzić. - W tym momencie zarumieniła się jak
dziewczynka. Nigdy przedtem nie zauważył, żeby się rumieniła; trochę go wzruszyła.

- Książka - przypomniał sobie. - Pierwsze wydanie Cornwalisa Harrisa.

- Mój pierwszy w życiu prezent miłosny. Kupiłam ją wtedy, gdy sama przed sobą
przyznałam się do uczucia. Ale nie miałam zamiaru przyznawać się do niego przed
tobą. Pod tym względem jestem zacofana i uważam, że mężczyzna powinien wyznać
miłość pierwszy.

- Uczyniłem to.

- Boże, nigdy tego nie zapomnę - oświadczyła z uczuciem i oboje pomyśleli w tej
chwili o wczorajszej konfrontacji, która szczęśliwie zakończyła się wzajemną
deklaracją miłości.

- Staram się być niekonwencjonalny - stwierdził, a ona przyjęła to ze śmiechem.

- Odniosłeś sukces, *mon amour*, och, jeszcze jaki sukces. Spoważniała. -
Pokochałam cię. Dzieliłam twoją rozpacz. Dziewczynka była bardzo miła, ujęła mnie
podczas naszego spotkania. Ponadto czułam się odpowiedzialna za to, co się z nią
stało. To ja wciągnęłam cię do walki z Kalifem i z tego właśnie powodu utraciłeś
córkę.

Pochylił głowę, przypomniawszy sobie, jak posądzał ją o zorganizowanie
porwania. Zauważyła ten gest.

- Tak, Peterze. Był to dla mnie okrutny cios. Powinieneś mi wierzyć. Uczyniłabym
wszystko, żeby tylko ci ją zwrócić. Właściwie nic nie mogłam zrobić. Wywiad
francuski nie potrafił udzielić mi żadnych informacji, a odpowiedź Mossadu była
pokrętna. Doszłam do przekonania, że Mossad, jeśli nawet nie miał z porwaniem nic
wspólnego, wie coś na ten temat. Mówiłam ci już, że Aaron przekazał im meldunek o
tożsamości Kalifa. Powinni byli coś wiedzieć, co pomogłoby w odszukaniu
dziewczynki. Ale z Paryża trudno było uzyskać jakieś konkretne wiadomości.
Postanowiłam więc osobiście udać się do Izraela. Uważałam, że jeśli przedstawiam
dla nich wartość jako agent, to powinni mi pomóc.

- Czyżbyś miała zamiar zagrozić im swoją rezygnacją? - Zapytał zaskoczony Peter.

- Chciałaś to uczynić z mojego powodu?

- Czy nie rozumiesz, Peterze, że ja cię pokochałam i że nigdy przedtem nie kochałam żadnego mężczyzny? Gotowa byłam uczynić dla ciebie wszystko!

- Wierz mi, czuję się w tej chwili upokorzony - powiedział.

Przez chwilę milczała, jakby delektując się jego wyznaniem.

- Rzuciłam wszystkie sprawy w Paryżu i poleciałam learem do Rzymu - ciągnęła. - Mam już ustalony tryb znikania. Z Rzymu zadzwoniłam do ciebie, ale przez telefon nie mogłam ci powiedzieć, dokąd się wybieram. Następnie pod pozorem załatwiania interesów poleciałam do Tel Awiwu. Moje zadanie było bardzo trudne. Musiałam czekać pięć dni na spotkanie z nadzorującym mnie pracownikiem Mossadu. To mój stary przyjaciel. Nie! Chyba jednak nie przyjaciel, choć znamy się już bardzo długo. Jest zastępcą szefa Mossadu. To, że mam nadzorcę tej rangi, świadczy najlepiej, jak wysoko cenią sobie moje usługi. Jednakże musiałam czekać aż pięć dni i zostałam bardzo chłodno przyjęta. Nie mogą mi nic pomóc, oświadczył. Nic o sprawie nie wiedzą. - Zachichotała. - Trzeba jednak widzieć, jak potrafię zadziałać, kiedy mi na czymś bardzo zależy. Wiem, jak można zamieszać w stosunkach Mossadu z jego potężnymi sojusznikami na Zachodzie: Francją, Wielką Brytanią i USA. Postraszyłam go tylko, że zorganizuję konferencję prasową w Nowym Jorku. Stał się nieco mniej chłodny, oświadczając jednocześnie, że zawsze przedkłada interesy państwa izraelskiego nad uczucia osobiste. Wtedy powiedziałam mu coś dosadnego o bezpieczeństwie państwa i przypomniałam o pewnych sprawach, z których załatwienia chętnie zrezygnuję. Stał się dla mnie jeszcze bardziej wyrozumiały. Ale wszystko to wymagało czasu, którego nam brakowało. Odchodziłam wprost od zmysłów. Przypomniałam sobie dzień, w którym odnaleziono zwłoki Aarona, i nie mogłam spać z lęku o los dziewczynki. Nie masz pojęcia, Peterze, ile czasu spędziłam, modląc się do Boga o jej ocalenie. Tak bardzo pragnęłam być razem z tobą w tych trudnych chwilach! Ile bym dała za to, żeby usłyszeć twój głos! Niestety, gdybym zadzwoniła do ciebie z Tel Awiwu, zdekonspirowałabym się. Nie wolno mi było ani zadzwonić, ani napisać listu.

Przerwała, żeby nabrać tchu.

- Miałam nadzieję, że nie uwierzysz oszczercom. Sądziłam, że będę w stanie dostarczyć ci jakichś ważnych informacji, zaprzeczając w ten sposób kłamstwom. Jednak nigdy nie przyszło mi nawet do głowy, że możesz uwierzyć, iż to ja spowodowałam porwanie twojej córki i jej torturowanie.

- Bardzo cię przepraszam - powiedział spokojnie.

- Nie, nie przepraszaj. Oboje jesteśmy tylko pionkami dla Kalifa. To nie twoja wina. Nie tylko ty zostałeś wprowadzony w błąd. W końcu zdołałam wydobyć od mojego nadzorcy z Mossadu jakieś strzępy informacji. Najpierw zaprzeczał, że słyszał cokolwiek o istnieniu Kalifa. Zaryzykowałam i okłamałam go, twierdząc, że Aaron powiedział mi o meldunku dotyczącym jego kontaktu z Kalifem. Ustąpił. Przyznał, że

wiedzą o Kalifie, ale nie wiedzą, kim jest. Poszłam za ciosem i prześladowałam go swoimi wizytami niemal codziennie. W końcu zaczął mnie straszyć deportacją. Za każdym jednak razem udawało mi się wydobyć z niego coś nowego. Wreszcie skapitulował. „Tak - oświadczył - znamy Kalifa, ale to niebezpieczny i bardzo potężny człowiek. Wkrótce może stać się jeszcze potężniejszy, może stać się najpotężniejszym człowiekiem na świecie. Poza tym jest przyjacielem Izraela, a przynajmniej uważamy go za takiego”. Gdy nadal nie ustępowałam inie dawałam mu spokoju, powiedział: „Mamy naszego agenta przy Kalifie, bardzo blisko Kalifa. Nie chcielibyśmy mu zaszkodzić. Jest bardzo cennym agentem, ale zależnym od Kalifa. Nie możemy go narażać dla uzyskania nieistotnych, z naszego punktu widzenia, informacji”. - Podał mi także pseudonim tego agenta na wypadek kontaktu między nami. Pseudonim brzmi: Kwiat Kaktusa.

- I to wszystko? - Zapytał Peter najwyraźniej zawiedziony.

- Nie, mój nadzorca podał mi jeszcze inne nazwisko. Nie tylko po to, żeby mnie uspokoić, również żeby mnie ostrzec.

Nazwisko człowieka znajdującego się bardzo blisko Kalifa.

- Jak brzmi to nazwisko? - Dopytywał się Peter.

- Chodzi o twoje nazwisko - powiedziała łagodnie. Stride.

- Ale przecież to nie ma najmniejszego sensu - zirytował się Peter. - Dlaczego miałbym porywać i okaleczać swoją córkę? I ten Kwiat Kaktusa. Z równym powodzeniem mógłby być Pieczony Kurczak.

- Teraz na mnie kolej, żeby ci powiedzieć: przepraszam.

Peter spostrzegł, że zagalopował się nieco, próbując bez żadnego namysłu zbagatelizować te okrucieństwa uzyskanych przez Magdę informacji. Wstał z miejsca i zaczął się przechadzać po pokładzie statku, wzburzony tym, co usłyszał.

- Kwiat Kaktusa - powtórzył. - Czy słyszałaś o nim wcześniej?

- Nie - pokręciła głową.

- A potem?

- Również nie.

Szukał starannie we własnej pamięci, ale bez żadnego rezultatu.

- W porządku. - Odnotował sprawę, odkładając ją tymczasem na bok. - Odtąd będziemy pamiętać o tym pseudonimie. A teraz przejdźmy do mojego nazwiska, Peter Stride. Co sądzisz o tym?

- Nic szczególnego, oprócz tego, że mnie to zaskoczyło. Może to dziwne, ale najpierw nie pomyślałam o tobie, tylko o tym, że ktoś pomylił nazwisko porywacza i jego ofiary.

- Stride? - Zapytał. - Peter Stride? Nie rozumiem.

- Melissa Jane również nosi to nazwisko.

- Masz rację, oczywiście. Nie powiedzieli ci więc, że chodzi o Petera Stride'a?

- Nie. Podali tylko nazwisko. Stride.

- Rozumiem. - Peter przystanął na chwilę w miejscu, jakby jakaś myśl przyszła mu nagle do głowy. Stał zapatrzony przed siebie w odległą linię horyzontu.

- Jednak później podali mi twoje imię i nazwisko - przerwała jego rozmyślania.

- Kiedy?

- Już po otrzymaniu przeze mnie wiadomości o ocaleniu Melissy Jane. Oczywiście, postanowiłam natychmiast powrócić do Paryża, żeby być razem z tobą. Jeszcze tego samego dnia znalazłam się w porcie lotniczym im. Ben Guriona. Czułam się szczęśliwa. Melissa Jane była bezpieczna, a ja zakochana. Przed samym odlotem policjantka z miejscowej służby bezpieczeństwa zaprowadziła mnie do swojego biura, gdzie czekał mój nadzorca. Był bardzo zatroskany, specjalnie przyjechał z Tel Awiwu, żeby mnie ostrzec. Otrzymali pilną wiadomość od Kaktusa. Oznajmił mi, że generał Peter Stride został nakłoniony przez Kalifa do dokonania na mnie zamachu przy pierwszej nadarzającej się okazji. Przyjęłam tę wiadomość ze śmiechem, ale on był śmiertelnie poważny. „Moja droga baronowo, Kwiat Kaktusa to nasz agent pierwszej klasy. Proszę przyjąć to ostrzeżenie jako bardzo poważne”. - Magda wzruszyła ramionami. - Wciąż nie wierzyłam temu, Peterze. Wydawało mi się to niemożliwe. Kochałam cię i wiedziałam, że też mnie kochasz, choć może jeszcze tego sobie nie uświadomiłeś. Przecież to było czyste szaleństwo. Ale na lotnisku miałam jeszcze czas na dokładne przemyślenie sprawy. Nadzorca z Mossadu nigdy nie wprowadził mnie w błąd. Możesz sobie wyobrazić moją rozterkę. Z jednej strony tak bardzo chciałam być z tobą a z drugiej - bałam się. Nie tego, że możesz mnie zabić, to nie wydawało mi się ważne, ale tego, że możesz okazać się Kalifem. To najbardziej mnie przerażało. Widzisz, ja nigdy przedtem nie kochałam żadnego mężczyzny.

Przez pewien czas milczała, pogrążona we wspomnieniach tamtych trudnych chwil, a następnie, jakby otrząsając się z nich, pokręciła głową. Włosy rozsypały się ciemną falą na jej ramionach.

- Gdy tylko dotarłam do Paryża, natychmiast zadzwoniłam do Abbots Yew, żeby się upewnić, że Melissa Jane i ty jesteście zdrowi i cali. Dopiero potem zaczęłam się zastanawiać nad możliwościami sprawdzenia ostrzeżenia Kaktusa. Wiedziałam, że dopóki nie będę pewna swojego bezpieczeństwa, nie wolno mi spotykać się z tobą sam na sam. Ilekroć próbowałeś nawiązać kontakt ze mną, zawsze uchylałam się, choć jednocześnie miałam uczucie, jakby umierała cząstka mojego serca.

Sięgnęła po jego rękę i przycisnęła ją do swojego policzka.

- Wciąż usiłowałam siebie przekonać, że to nieprawda ciągnęła - i wciąż marzyłam o spotkaniu z tobą. W końcu nie mogłam dłużej wytrzymać i postanowiłam spotkać cię na lotnisku Orly, żeby zakończyć stan ciągłej niepewności. Jak sobie przypominasz, miałam ze sobą moich „szarych wilków”, których uprzedziłam, że mogą być kłopoty. Oczywiście, nie kazałam im cię obserwować - szybko dodała, jakby chcąc rozproszyć podejrzenia o nielojalność. Potem przerwała i puściła jego dłoń. - Kiedy tylko pojawiłeś się w sali na lotnisku, od razu wiedziałam, że to

wszystko jest prawdą. Poczułam, że towarzyszy ci atmosfera śmierci. Był to najbardziej przerażający i wstrząsający moment w moim życiu. Wyglądałeś jak zupełnie inny człowiek, nie ten Peter Stride, którego wcześniej znałam. Miałeś twarz zmienioną przez gniew i nienawiść. Pocałowałam cię na pożegnanie, gdyż nie wiedziałam, czy spotkamy się jeszcze kiedykolwiek.

Na wspomnienie tamtej chwili jej twarz pociemniała ze smutku, jakby padł na nią jakiś cień.

- Muszę przyznać, że brałam również pod uwagę zapewnienie sobie bezpieczeństwa przez likwidację człowieka, który mi zagrażał. Byłeś przecież ramieniem Kalifa, które należało obciąć. Zabić ciebie, zanim mnie zabijesz. Przyznaję, że taka myśl przychodziła mi do głowy, nigdy jednak nie próbowałam jej urzeczywistnić. Zamiast tego rzuciłam się w wir pracy. Szukałam zapomnienia. Tym razem jednak ono nie przychodziło. Mówiłam to już wcześniej i jeszcze raz powtórzę. Kochałam po raz pierwszy w życiu. Dlatego nie mogłam sobie poradzić ze swoim uczuciem. Zastanawiając się nad naszym wzajemnym stosunkiem, przeżywałam udrękę. Zaczęłam wątpić w słuszność ostrzeżenia Kaktusa i w to, co sama dostrzegłam w twoich oczach na Orly. Niemal udało mi się przekonać samą siebie.

Roześmiała się krótko, ale w jej śmiechu słychać było gorycz rozczarowania.

- Przyleciałam tutaj - szerokim gestem ręki ogarnęła morze, niebo i wyspy - aby oddalić od siebie pokusę spotkania z tobą. Do sanktuarium, w którym mogłabym wyleczyć swoje rany i zapomnieć o tobie. Niestety, przekonałam się, że to było tylko złudzenie. Miałam tu więcej czasu na rozmyślanie, zadreślałam się najdzikszyimi spekulacjami i wręcz groteskowymi pomysłami. Doszłam do wniosku, że pozostało mi tylko jedno wyjście. Postanowiłam z niego skorzystać. Zaprosiłam cię, żebyś dał ci szansę zabicia mnie - znów się roześmiała, ale tym razem był to dobrze znany Peterowi ciepły, serdeczny śmiech. - To najbardziej szalona decyzja, jaką podjęłam kiedykolwiek w życiu, ale Bogu niech będą dzięki, że ją podjęłam.

- Oboje staliśmy już nad przepaścią - stwierdził Peter.

- Powiedz mi, Peterze: dlaczego nie zapytałeś mnie wprost, czy nie jestem Kalifem? - Spytała.

- Z tego samego powodu, dla którego ty mnie nie zapytałaś, czy zamierzam cię zabić.

- Masz rację - zgodziła się. - Oboje znaleźliśmy się w tej samej sieci zastawionej przez Kalifa. Mam do ciebie jeszcze jedno pytanie, *chéri*. Jak sądzisz, czy gdybym rzeczywiście była Kalifem, dałabym człowiekowi, który porwał Melissę Jane, swój numer telefonu w Rambouillet, żeby mógł sobie ze mną pogadać, kiedy przyjdzie mu na to ochota?

Peter spojrzał na nią zaskoczony.

- Myślałem - zaczął i nagle urwał. - Nie, nie pomyślałem o tym. W ogóle wtedy nie byłem zdolny myśleć logicznie. Oczywiście, nie uczyniłabyś tego, ale nawet

najbardziej doświadczeni przestępcy popełniają elementarne błędy.

- Nie ci, którzy zostali przeszkoleni w Odessie - przypomniała mu i od razu, jakby żałując tego, co powiedziała, pospiesznie mówiła dalej. - Tak więc wygląda ta cała historia od mojej strony. Jeśli coś opuściłam, pytaj, postaram się uzupełnić.

Jeszcze raz wspólnie dokonali szczegółowego przeglądu wszystkich faktów i wydarzeń, bacznie uważając, by czegoś nie przeoczyć. Ostatecznie jednak pozostali przy wcześniej przyjętych wnioskach i konkluzjach.

Tymczasem słońce już się chyliło ku zachodowi, odprowadzane przez ogromne cumulonibusy, unoszące się w niebo nad rozsypanymi na oceanie wyspami niby milczące potężne eksplozje nuklearne.

- Cała sprawa została bardzo misternie skonstruowana. Celem porywaczy Melissy Jane było nie tylko zmuszenie mnie do zamachu na życie Kingstona Parkera, również i ty miałaś się stać moją ofiarą, a w końcowym efekcie także i ja znalazłem się na celowniku. Gdyby wszystko odbyło się według planu Kalifa, na zawsze stałbym się zależny od niego.

- Dokąd teraz popłyniemy, Peterze? - Zapytała, taktownie pozostawiając decyzję w jego rękach.

- Do domu - zaproponował. - Chyba że masz zamiar spędzić tutaj drugą noc.

Po powrocie Peter stwierdził, że wszystkie jego rzeczy osobiste zostały dyskretnie przeniesione z przeznaczonego dla gości bungalowu do wspaniałej rezydencji gospodyni.

Jego przybory toaletowe poukładano w wielkiej lustrzanej łazience, mieszczącej się w bezpośrednim sąsiedztwie łazienki pani domu. Odzież, czysta i wyprasowana, znalazła się w specjalnym pokoju, ubieralni. Można tam było zmieścić około trzystu garniturów, trzystu koszul męskich i stu par obuwia. Jego lekki garnitur z bawełny wisiał samotnie na wieszaku, przypominając wielbłąda pośrodku Sahary, a trzewiki lśniły połyskiem, jakiego nawet ordynansowi nie udawało się nigdy z nich wydobyć. Mimo wysiłków, żeby znaleźć jakiegokolwiek ślady pozostawione przez poprzednich mieszkańców, Peter niczego nie zauważył.

Obszerny trypoziomowy salon był udekorowany trzcinowymi meblami i wspaniałymi tropikalnymi roślinami, rosnącymi w wypełnionych ziemią amforach, przypominających greckie naczynia, i w małych skalnych ogródkach pokojowych. Długie pnąca i potężne błyszczące liście harmonizowały z okiennymi zasłonami we wzory naśladowujące widok dżungli. Pracę urządzeń klimatyzacyjnych skutecznie zagłuszał szum małego wodospadu, spływającego z uformowanej na kształt skały ściany salonu. W niewielkim zbiorniku wodnym pod wodospadem pluskały rybki, w powietrzu unosił się zapach kwiatów, a wszystko nurzało się w przyciemnionym, nastrojowym świetle ukrytych lamp.

Jedna z małych, złotych dziewcząt polinezyjskich przysłała z tacą, na której stały trzy kryształowe naczynia z owocami w rumie. Ich słodki zapach drażnił powonienie. Peter najpierw poprosił o whisky, ale zmiękł, gdy dostrzegł wyraz zawodu w oczach dziewczyny.

- Sama je przygotowałam - lamentowała.

- W takim razie spróbuję - powiedział i skosztował. *Parfait!* - zawołał z udanym zachwytem, a dziewczyna zachichotała z zadowoleniem i wyszła z salonu, kręcąc tyłeczkiem pod krótką spódniczką.

Magda pojawiła się w przezroczystej, lekkiej jak pajęczyna sukni z szyfonu, która opływała jej smukłe kształty jak zielona morska mgła.

Na jej widok Peterowi zaparło dech w piersi. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek przyzwyczai się do jej niezwykłej urody.

Wzięła naczynie z jego ręki i skosztowała.

- Dobrze - stwierdziła. Kiedy jednak dziewczyna podsunęła jej tacę, odmówiła z uśmiechem.

Przeszli się razem po salonie. Magda wsparta na jego ramieniu opowiadała mu o rzadkich roślinach i rybach.

- Wybudowałam to skrzydło po śmierci Aarona - oznajmiła. Zrozumiał, że chciała uświadomić mu, iż z tym mieszkaniem nie wiążą się żadne wspomnienia. Ubawiło go trochę, że przywiązywała do tego jakieś znaczenie, lecz gdy przypomniał sobie, jak przed chwilą sam poszukiwał w tych pokojach śladów swoich poprzedników, potraktował informację poważnie.

Jedną ze ścian jadalni stanowiła wielka płyta ze szkła, za którą widać było koralowce pływające w morskich głębinach i liście wspaniałych roślin morskich poruszane przez niewidzialne prądy.

Przytuleni do siebie, usiedli naprzeciwko olbrzymiego akwarium.

- Chcę być jak najbliżej ciebie - powiedziała, gdy jedli specjalnie przygotowane smakołyki. - To są tutejsze specjały, nie dostaniesz takich nigdzie indziej na całym świecie wyjaśniła, wybierając małe głębokomorskie skorupiaki z dymiącego korzennego sosu i mleka kokosowego. Na zakończenie posiłku jedli australijskie winogrona. Ze zręcznością doświadczonego chirurga Magda usuwała lakierowanymi paznokciami pestki z jagód, a następnie wkładała wydrążone owoce do ust ukochanego.

- Psujesz mnie - powiedział ze śmiechem.

- Nigdy nie miałam lalki w dzieciństwie - wyjaśniła, uśmiechając się.

Kręte kamienne schodki prowadziły na plażę rozciągającą się piętnaście metrów poniżej jadalni. Na ostatnim stopniu zostawili obuwie i boso poszli po gładkim i wilgotnym piasku. Księżyc w pełni wyznaczał srebrzystą, biegnącą aż do samego horyzontu ścieżkę na spokojnej tafli wodnej laguny.

- Kalif powinien być przekonany, że odniósł kolejny sukces - powiedział nagle

Peter, wywołując dreszcz w Magdzie.

- Chciałabym zapomnieć o Kalifie, przynajmniej tej nocy.
- Nie możemy o nim zapominać ani na chwilę.
- Masz rację. Jak go jednak o tym przekonać?
- Musisz umrzeć. - Poczuł, jak nagle zeszywniała.
- ...A przynajmniej musi wyglądać na to, że umarłaś, zginęłaś z mojej ręki.
- Jak to sobie wyobrażasz? - Zapytała spokojnie.
- Mówiłaś, że masz ustalony tryb znikania, jeśli zachodzi potrzeba.
- Rzeczywiście.
- W jaki sposób mogłabyś zniknąć stąd?

Przez chwilę zastanawiała się.

- Mogłabym polecieć z Pierre'em do Bora-Bora. Mam tam przyjaciół. Dobrych przyjaciół. Stamtąd poleciałabym z innym paszportem do Tahiti-Faa i dalej, pod tym samym nazwiskiem, do Kalifornii lub Nowej Zelandii.

- Masz inne dokumenty? - Dopytywał się.

- Tak, oczywiście. - Była zdziwiona jego pytaniem.

- Pięknie - stwierdził. - Wobec tego zaaranżujemy wypadek. Wypadek podczas nurkowania. Atak rekina w głębokiej wodzie. Ani śladu zwłok.

- Po co to wszystko, Peterze?

- Jeśli Kalif się dowie, że nie żyjesz, zaprzestanie dalszych prób zabicia ciebie.

- Słusznie! - Zgodziła się.

- Odtąd więc oficjalnie nie żyjesz, aż do chwili, kiedy uda nam się złowić Kalifa.

Zabrzmiało to jak polecenie, ale Magda nie oponowała.

- Ponieważ zabijając ciebie, wykonałem życzenie Kalifa, powinien mnie docenić i dopuścić bliżej siebie. Może uzyskam możliwość sprawdzenia niektórych podejrzeń - snuł dalej Peter.

- Nie pozorujmy mojej śmierci w sposób zbyt przekonujący, mój drogi. Jestem oczkiem w głowie policji na Tahiti i nie chciałabym, żebyś skończył pod gilotyną w Tuarruru - przestrzegła go z uśmiechem.

Peter obudził się nieco wcześniej tego ranka. Wspierając się na łokciu, uniósł się w pościeli, żeby podziwiać urodę Magdy we śnie. Zwłaszcza jej gładka, z niemal niewidocznymi porami, aksamitna w dotyku skóra budziła jego zachwyt. Długie, czarne rzęsy zamykały dostęp do pogrążonych we śnie oczu. Nagle uniosły się w górę, odsłaniając wielkie źrenice, a Peter po raz pierwszy zauważył, że zielone tęczęwki są lekko upstrzone złotymi i fioletowymi plamkami.

Widoczne w jej oczach zaskoczenie stopniowo ustąpiło miejsca radości. Prężąc się jak budząca się pantera, wyciągnęła przed siebie ręce. Atlasowe prześcieradło zsunęło się z piersi. Nie zwracając na to uwagi, rozmyślnie odsłaniała się coraz bardziej.

- Każdy następny poranek bez ciebie będzie stracony mówiła ochryplym głosem, obejmując go ramionami i przyciskając swoje wyzywająco sterczące sutki do jego zarośniętej piersi. - Chciałabym, żeby ta chwila nie miała końca - wyszeptała z ustami przy jego ustach.

Stopniowo narastało w niej pragnienie, rozchyliła więc wargi, przyciskając je jednocześnie do jego ust, a następnie wchłonęła głęboko jego język, wydając głośny jęk pożądania. Ciało Magdy wiło się pod Peterem, ręce błędziły od szyi w dół pleców, długie, ostre paznokcie wbiły się w jego biodra. Odpowiedział nie mniej gwałtowną namiętnością biorąc ją tak brutalnie, że znowu jęknęła. Napięcie opuściło jej ciało, ogarnął ją bezwład, przymknięte powieki drżały z osłabienia.

- Jesteś taki silny - szeptała, gdy tymczasem uniósł się nad nią, czując swoją przewagę i siłę. - Peter! Peter! - Krzyczała. - Och tak, właśnie tak. Błagam cię, właśnie tak. Ogarnięci szalem, oboje dążyli wytrwale do momentu, w którym trudno odróżnić uczucie samozatrącenia od uczucia własnej boskości.

Długo leżeli obok siebie na wznak, nie dotykając się wzajemnie, splótłszy jedynie ze sobą palce rąk.

- Zniknę - wyszeptała - ale jeszcze nie teraz i jeszcze nie jutro.

Milczał, a ona mówiła dalej:

- Chcę zawrzeć z tobą układ. Daj mi jeszcze trzy dni. Tylko trzy dni takiego szczęścia jak dziś. Dla mnie to jest pierwszy raz. Nigdy przedtem nie znałam tego i może już po raz ostatni...

Próbował podnieść się, żeby oponować. Zaniechał zamiaru, gdy pogładziła pieszczotliwie jego dłoń.

- To może być ostatni raz - powtórzyła. - Chcę koniecznie mieć te trzy dni, w czasie których nie będziemy wspominać Kalifa ani też myśleć o krwi i cierpieniach. Jeśli zgodzisz się na to, uczynię wszystko, czego tylko ode mnie zażadasz. Załatwione, Peterze? Powiedz, że się zgadzasz.

- W porządku. Zgadzam się.

- Wobec tego powiedz jeszcze, że mnie kochasz. Nie sądzę, żebym słyszała te słowa od ciebie zbyt często.

Powtarzał je podczas zaczarowanych dni, a Magda przyjmowała je wciąż tak, jakby je słyszała po raz pierwszy. Powtarzał je, gdy na nartach wodnych pruli spokojne wody laguny, śmiejąc się głośno z radości i starając się przekrzyczeć huk silników holującego ich statku i szum wiatru w uszach, a stojący na mostku polinezyjski kapitan Hapiti towarzyszył im swoim szerokim uśmiechem; gdy z aparatami tlenowymi na twarzach i gumowymi płetwami na stopach przemierzali razem tajemnicze głębiny morskie, gdzie nie dociera żaden dźwięk z powierzchni, a w uszach nurka słychać tylko tajemniczy szmer, jak bicie serca oceanu, oraz gdy z uczuciem dziwnego lęku, trzymając się za ręce, zbliżali się do długiego kadłuba zatopionego lotniskowca japońskiego, porośłego lasem podmorskich roślin i

zamieszkanego przez niezliczone mnóstwo pięknych i dziwacznych stworzeń; gdy w ciszy przepływali nad stalową ścianą pochylonego pokładu lotniskowca, sięgającą, zdawać by się mogło, samych głębin oceanu i sprawiającą wrażenie, że w każdej chwili może runąć w bezdenną przepaść, dokąd już nie dociera światło dzienne; gdy zatrzymywali się, aby obejrzieć ziejące grozą rozdarte rany olbrzymiego statku i zajrzeć do jego środka, jak ciekawe dzieci zaglądają do wnętrza domu, w którym straszy; gdy błakali się nago w słońcu po pustych plażach sąsiednich wysp; gdy korzystając z odpływu łowili ryby, wydając z siebie co pewien czas podniecone okrzyki, kiedy jakaś większa sztuka chwyciła przynętę, a wyciągnięta z wody miotała się rozpaczliwie; gdy daleko od brzegu, którego zarysy znikwały od czasu do czasu za grzbietami fal, po wyłączeniu silników statku, trwali zasluchani w ogromną ciszę oceanu; gdy błądząc po długich, wijących się plażach przy świetle księżyca, szukali na niebie gwiazd i gwiazdozbiorów, które rzadko udaje się dostrzec na europejskim niebie, na przykład Oriona i Siedmiu Sióstr, i głośno wykrzykiwali przy odkryciu każdej nieznannej im konstelacji; gdy zaczynali i kończyli każdy dzień w tajemniczej, cudownej atmosferze wspólnej sypialni i wspólnego łoża, która coraz bardziej zespalała ich ze sobą w niezwykłym porozumieniu ciał i dusz.

Czwartego dnia Peter, ocknąwszy się ze snu, nie znalazł jej obok siebie. Przez chwilę przeżywał uczucie ogromnej utraty.

Wnet jednak wróciła, lecz całkowicie odmieniona. Uprzytomnił sobie, że obcięła długie krucze włosy, tak że przypominały teraz płatki czarnego kwiatu przylegające do głowy, osadzonej na długiej łabędziej szyi. Wydawało się, że jest teraz wyższa.

Zauważyła jego zaskoczenie, wyjaśniła więc rzeczowym tonem:

- Pomyślałam, że pewna zmiana wyglądu jest konieczną, jeśli mam przyjąć inną tożsamość. Odrosną znowu.

Zmianie uległ również jej nastrój. Stała się praktyczna, rzeczowa.

Podczas śniadania sekretarz położył przy talerzu grubą kopertę. Zawierała izraelski czerwony paszport dyplomatyczny.

- Będę używała nazwiska Ruth Levy - powiedziała, biorąc do ręki plik biletów lotniczych. - Postanowiłam polecieć do Jerozolimy. Mam tam dom, zarejestrowany na to nazwisko. Nikt, oprócz Mossadu, nie wie o tym. Będę przebywała w pobliżu swojego nadzorcy. W miarę możliwości wesprę cię w twoich działaniach.

Podsunęła mu wyrwaną z notesu kartkę.

- Masz tutaj numer telefonu Mossadu. Zawsze pytaj o Ruth Levy.

Zapamiętał numer, a następnie podarł świstek.

- Zmieniłam nieco plan mojego zniknięcia - powiedziała. - Popłyniemy statkiem do Bora-Bora. To tylko sto mil stąd. Uprzedzę moich przyjaciół drogą radiową, wyjdą po mnie na brzeg o zmroku.

Płynęli wąskim przejściem między rafami koralowymi, mając pogaszone wszystkie światła. Stojący przy urządzeniach nawigacyjnych, kapitan korzystał wyłącznie ze

światła księżycowego i własnej znajomości terenu.

- Zależy mi na tym, żeby Hapiti widział mnie żywą na brzegu - szepnęła cicho, pochylając się ku niemu. - Wcale nie przesadzam, gdy mówię, że mógłbyś się znaleźć w niebezpieczeństwie po moim zniknięciu. Hapiti będzie milczał - zapewniła go - i potwierdzi historię o ataku rekina, chyba że każesz mu powiedzieć prawdę.

- Pomyślałaś o wszystkim.

- Cieszę się, że ciebie znalazłam, i nie mam ochoty cię utracić - uśmiechnęła się. - Postanowiłam nawet szepnąć słówko szefowi policji na Tahiti, to mój stary przyjaciel.

Omawiała wszystkie szczegóły dokładnie i, stwierdził z satysfakcją, bezbłędnie. Przerwało jej dopiero ciche pozdrowienie, które dobiegło do nich z ciemności. Hapiti natychmiast wyłączył oba silniki. Dryfując powoli, zbliżali się do brzegu wyspy.

Słysząc było, jak czołno uderzyło o burtę statku. Magda podsunęła mu usta na pożegnanie.

- Proszę cię, bądź ostrożny - to wszystko, co mu powiedziała w ostatniej chwili. Odsunęła się od niego i zeszła do czołna. Hapiti podał jedyną walizkę i łódź odbiła natychmiast w kierunku brzegu, znikając w ciemnościach. Nie było nawet komu pomachać ręką na pożegnanie, jednak Peter przez dłuższą chwilę nie odrywał wzroku od miejsca, w którym zniknęła. Tymczasem statek ruszył w powrotną drogę.

Peter czuł pustkę w piersi, którą usiłował wypełnić wspomnieniem wesołego epizodu, odzwierciedlającego praktyczną stronę umysłu Magdy.

- Na wiadomość o twojej śmierci akcje Altmanna natychmiast pójdą w dół - stwierdził tego dnia rano, zakłopotany tą perspektywą.

- Myślałam już o tym - oświadczyła spokojnie. - Według mojej oceny wartość każdej z nich spadnie przynajmniej o sto franków w ciągu pierwszego tygodnia.

- Nie martwisz się tym?

- Ani trochę - uśmiechnęła się drwiąco. - Dziś rano wysłałam teleks do Zurychu, polecając wykupienie akcji. Liczę na zysk w granicach miliona franków, gdy znowu pójdą w górę. - W jej zielonych oczach pojawił się figlarny ognik. Należy mi się przecież jakaś rekompensata za wszystkie kłopoty, *tu ne penses pas?* Peter mimo woli uśmiechnął się na wspomnienie tej rozmowy, ale pustka w piersi pozostała.

Pierre przywiózł przedstawicieli tahitańskiej policji trislanderem na Les Neuf Poissons, po czym nastąpiły dwa dni intensywnego przesłuchiwanie. Prawie każdy członek wspólnoty chciał złożyć oświadczenie przed policją. Śledztwo w tak sensacyjnej sprawie zbulwersowało mieszkańców wysp.

Niemal we wszystkich zeznaniach wychwalano *La Baronne* i składano je przy akompaniamencie łez i szlochów. Jedynie Hapiti dostarczył informacji z pierwszej ręki, mocno ją zresztą koloryzując. Okazało się, że był w stanie nawet określić rodzaj rekina, jako *Dead White*. Angielska nazwa w ustach Polinezyjczyka początkowo

zdziwiła Petera, wnet jednak uprzytomnił sobie, że w bibliotece jest kasetą z filmem „Szczęki” i tutaj należało szukać inspiracji dla fantazji kapitana statku. Hapiti opisał także zęby rekina, które były podobno długie i ostre jak noże, a zamykając się na ciele baronowej, wydały posepny dźwięk. Peter usiłował pohamować wzloty wybujałej wyobraźni świadka, ale przesłuchujący sierżant policji był pod wrażeniem tych zeznań i zachęcał Hapitiego do dalszych aktów twórczych, przyjmowanych przez wszystkich okrzykami zdumienia.

Ostatniego wieczoru Peter uczestniczył w uroczystości pogrzebowej na cześć Magdy. Odbyła się na plaży. Był głęboko wzruszony widokiem kołyszących się w rytmie żałobnej pieśni i głośno zawodzących kobiet, które na zakończenie obrzędu rzucały wieńce i kwiaty na fale morskie.

Następnego ranka poleciał w towarzystwie policjantów do Tahiti-Faa, gdzie udał się prosto do siedziby żandarmerii. Odbył krótką i raczej kurtuazyjną rozmowę z szefem policji, która zakończyła się wzajemnym mocnym uściskiem ręki. Najwidoczniej Magda była tutaj wcześniej.

- Każdy przyjaciel baronowej jest naszym przyjacielem oświadczył na pożegnanie policjant, używając czasu terażniejszego, i odesłał Petera urzędowym samochodem na lotnisko.

Samolot wylądował w Kalifornii, przedarłszy się przez warstwę żółtego, zalegającego między morzem i górami, piekącego w oczy powietrza. Peter nie wychodził z portu lotniczego, a przerwę w locie wykorzystał na to, żeby się ogolić, umyć i zmienić koszulę. Przypadkowo wpadł mu w ręce egzemplarz „Wall Street Journal” z poprzedniego dnia. Na trzeciej stronie znalazł całą kolumnę poświęconą śmierci Magdy Altmann. Był zaskoczony rozmiarami obecności Altmann Industries na amerykańskiej scenie finansowej. Po przedstawieniu pełnej listy stanu posiadania gazeta zamieściła zwięzłą informację o życiu i karierze Aarona Altmanna i wdowy po nim. Jako przyczynę zgonu podano „atak rekina” podczas nurkowania w towarzystwie przyjaciela, generała Petera Stride'a. Odczuł ponurą satysfakcję z faktu wyszczególnienia jego nazwiska. Kalif z pewnością to przeczyta i wyciągnie odpowiednie wnioski. Peter miał teraz prawo oczekiwać, że dzielący go od Kalifa dystans poważnie się zmniejszy.

W trakcie lektury Peterowi udało się zasnąć na godzinę w wygodnym fotelu, zanim wezwano go do zajęcia miejsca w odlatującym do Londynu samolocie Pan-Amu.

Z lotniska Heathrow zadzwonił do Abbots Yew. Słuchawkę podniosła żona Stevena, Pat. Była najwyraźniej ucieszona.

- Steven jest w Hiszpanii, powinien wrócić jutro przed obiadem, jeśli tylko wszystko pójdzie po jego myśli. Chcą zbudować duże pole golfowe w San Istaban. - Steven był współwłaścicielem kompleksu turystycznych hoteli w Hiszpanii. - Musi uzyskać na to zgodę władz hiszpańskich. Ale dlaczego nie miałbyś przyjechać do Abbots Yew jeszcze dziś. Alex i Priscilla są tutaj, zrobimy małe przyjęcie. - Peter

zauważył w tym momencie w jej głosie chłodną kalkulację, mającą na celu podjęcie kolejnej próby wyswatania go.

Po przyjęciu zaproszenia i odłożeniu słuchawki zadzwonił z kolei do Cambridge, gdzie telefon przyjął mąż Cyntii, George Barrow.

Wolę bolszewickiego intelektualistę niż znerwicowaną byłą żonę, myślał, pozdrawiając serdecznie ojczyzna Melissy Jane. Cyntia była na jakimś zebraniu, a Melissa Jane na próbie teatralnej w lokalnym towarzystwie dramatycznym.

- Jak ona się czuje? - Zapytał Peter.

- Lepiej niż dobrze, Peterze. Ręka całkowicie się zagoiła. Dziewczynka ostatnio bardzo spoważniała. - W ten sposób rozmawiali ze sobą przez kilka minut, po czym temat się urwał. Te dwie kobiety stanowiły wszystko, co ich ze sobą łączyło.

- Przekaż Melissie Jane moje najserdeczniejsze pozdrowienia - prosił Peter, a następnie odłożył słuchawkę i sięgnął po egzemplarz „The Financial Times”. Szybko przeglądał szpalty w poszukiwaniu wzmianki o Magdzie Altmann. Na jednej ze stron znalazł artykuł na temat wydarzenia i jego konsekwencji. Na giełdach europejskich nastąpił spadek wartości akcji Altmann Industries o blisko sto franków, tak jak tego oczekiwała Magda. Relacjonując okoliczności śmiertelnego wypadku na oceanie, autor artykułu wymieniał również nazwisko Petera. Miał on zatem powody do zadowolenia zarówno z własnej publicity, jak i z przenikliwości, którą wykazała Magda, polecając wykupywanie akcji. Jak dotąd wszystko szło niespodziewanie gładko, choć Peter miał niejasne przeczucie wiszącego gdzieś w powietrzu niebezpieczeństwa.

W Abbots Yew Peter czuł się zawsze tak jak u siebie w domu. Pat powitała go już w progu, złożyła siostrzany pocałunek na jego policzku i wzięwszy pod rękę, wprowadziła do środka.

- Steven się bardzo ucieszy - zapewniała. - Wieczorem powinien zadzwonić. Robi to zawsze, gdy jest poza domem.

W przeznaczonym dla niego pokoju gościnnym, z oknami wychodzącymi na stajnie, Peter od razu spostrzegł leżącą na stoliku przy łóżku depeszę. Została nadana w porcie lotniczym im. Ben Guriona i zawierała tylko jedno słowo-szyfr, za pomocą którego Magda zawiadamiała go, że przybyła do Tel Awiwu bez żadnych komplikacji. Depesza wywołała w nim uczucie tęsknoty za jej obecnością. Leżąc w gorącej kąpieli, myślał o niej i wspominał drobne szczegóły wspólnych przeżyć i rozmów.

Wycierając się, patrzył na swe odbicie w zaparowanym lustrze. Był szczupły, muskularny i tak bardzo opalony, że przypominał Araba z pustyni. Obserwował grę mięśni pod opaloną skórą i z satysfakcją stwierdził, iż jak zwykle jest gotów do każdej niebezpiecznej akcji. Jednocześnie cieszył się, że Magda jest poza zasięgiem szponów Kalifa i że on, Peter, może się teraz skoncentrować na finalnej rozgrywce z groźnym wrogiem.

Zawinięty w kąpielowy ręcznik przeszedł do sypialni i wyciągnął się na łóżku w

oczekiwaniu na przygotowywany przez Pat posiłek.

Zastanawiał się, skąd wzięła się w nim pewność, że ma w ręku nić, która go zaprowadzi do Kalifa. Wątku przedtem, zamieniła się teraz w stalową. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że znalazł się na właściwej drodze.

Jeszcze raz przebiegł myślą wszystkie zmiany, które się w nim dokonały od momentu pierwszego zetknięcia się z niszczącym wpływem Kalifa. Przypomniawszy sobie egzekucję jasnowłosej dziewczyny w Johannesburgu. Zdawało mu się, że było to tak dawno. Ze zdziwieniem stwierdził, że nie upłynął jeszcze rok od tamtej chwili.

Z przerażeniem myślał o swej gotowości zabicia Kingstona Parkera i Magdy Altmann, uświadamiając sobie tę prawdę, że jakkolwiek kontakt z przemocą powoduje w człowieku rozkład wszelkich zasad i przekonań, które wcześniej uważał za święte.

Co się stanie z nim po zniszczeniu Kalifa? Czy będzie tym samym, co dawniej, człowiekiem? Czy też wybiegł już tak daleko za granice zasad rządzących społeczeństwami, że powrót jest niemożliwy? W tym momencie pomyślał o Magdzie i zrozumiał, że właśnie ona stanowi nadzieję na przyszłość.

Wszystkie wątpliwości tylko mnie osłabiają, powiedział sobie. Obecnie, gdy stanął w obliczu starcia z niebezpiecznym przeciwnikiem, nie może sobie pozwolić na rozterkę i na jakąkolwiek dekoncentrację.

Wstał z łóżka i zaczął się ubierać.

Pat miała rację, Steven ucieszył się z przyjazdu Petera. Po krótkim pobycie w Hiszpanii był również opalony, ale jednocześnie przybrał kilka funtów na wadze. Obfite jedzenie i picie stanowią istotne, choć bynajmniej nie największe pokusy dla człowieka, który ma nadmiar pieniędzy.

Peter przyglądał mu się ukradkiem podczas obiadu. Identyczny jak u niego kształt głowy, podobne szerokie czoło, arystokratyczny nos i pewne drobne różnice, nie ograniczające się tylko do grubych czarnych wąsów.

Łatwo być mądrym po szkodzie, powiedział do siebie, wypatrując na twarzy brata tych drobnych różnic. Zbyt wąsko rozstawione oczy nawet podczas najbardziej rubasznego śmiechu nie traciły chłodnego, niemal okrutnego wyrazu. Mocno zaciśnięte, zdecydowane usta człowieka, który nie znał granic ani hamulców dla swoich pragnień i ambicji. A może mi się tylko tak wydaje, zastanawiał się Peter. Tak łatwo jest zobaczyć to, czego się oczekuje.

Rozmowa przy stole toczyła się niemal wyłącznie wokół rozpoczynającego się sezonu wyścigowego, którego otwarcie odbyło się w minionym tygodniu w Doncaster. Wtrącając się od czasu do czasu, Peter jednocześnie wracał myślą do wydarzeń, które wcześniej pogrzebał w pamięci, powodowany względami braterskiej lojalności.

Kiedy Steven został wyrzucony ze szkoły w Sandhurst, Peter milczał, choć wiedział, dlaczego tak się stało. Nikt w rodzinie nie dowiedział się, o co Steven był

oskarżony. Solidarną postawę brata skwitował uściskiem dłoni i kilkoma wybąkanymi słowami.

- Dziękuję ci, Peterze. Nigdy ci tego nie zapomnę powiedział wtedy, patrząc mu prosto w oczy.

Potem Steven zrobił błyskawiczną karierę jako człowiek interesu. Zgromadzenie tak olbrzymiej fortuny w trudnych latach powojennych wydawało się rzeczą prawie niemożliwą bez podejmowania wielkiego ryzyka. Steven był niewątpliwie obdarzony szczególnym talentem.

Teraz, siedząc przy stole u brata i jedząc z apetytem pieczony udziec jagnięcy i świeże szparagi z kontynentu, Peter dokonał ostatecznie przeglądu zakazanej dotąd strefy, poddając ocenie niekwestionowaną przedtem braterską lojalność. Tak, naniezakończonym niczym, wydawałoby się, płaszczyźnie ich przyjaznych stosunków można było dostrzec naniesione przez wiatry czasu jakieś żdźbła, nie mające jednak chyba większego znaczenia. Peter spróbował przenieść swoje rozmyślenia o bracie w teraźniejszość.

Stride, powiedział nadzorca Magdy z Mossadu w Tel Awiwie. Tylko dwa nazwiska: „Kwiat Kaktusa” i „Stride”. To był fakt, a nie domysły, rozmyślał Peter.

Siedzący po przeciwnej stronie stołu Steven złowił jego spojrzenie.

- Twoje zdrowie, drogi bracie - powiedział, podnosząc kielich z czerwonym winem.

- A ja piję twoje - odrzekł Peter, jak za dawnych dni, kiedy to razem uczęszczali do szkoły w Sandhurst.

Chyba Kalif nie zdołał jeszcze zniszczyć mnie moralnie, pomyślał, spełniając toast.

Po posiłku nastąpił dalszy ciąg braterskich zabaw. Steven skinął lekko głową na brata, a ten odpowiedział mu w ten sam sposób potakująco. Stary zapasowy płaszcz wojskowy Petera wciąż jeszcze wisiał w szafie pod schodami, a pod nim stały wellingtony.

Obaj szybko się przebrali i poszli do zbrojowni. Steven zdjął z wieszaka dubeltówkę i wrzucił garść naboju do kieszeni płaszcza.

- Przekłęta lisica ma tu gdzieś w pobliżu norę z małymi i kradnie mi młode bażanty - wyjaśnił, spostrzegłszy pytające spojrzenie Petera. - Z dużą przykrością, ale muszę temu wreszcie położyć kres - powiedział i poprowadził Petera tylnym wyjściem przez sad w kierunku rzeki.

Powolne obejście granic posiadłości w pierwszym dniu każdej wizyty Petera w Abbots Yew należało już do rodzinnego rytuału i stanowiło jednocześnie okazję do podzielenia się nowinami. Szli wzdłuż rzeki obok siebie, a gdy ścieżka zwężyła się jeden za drugim, gęsiego, by w końcu skręcić w las.

Steven był wyraźnie podniecony swoją wizytą w Hiszpanii i cieszył się z zakupu kolejnej parceli nad brzegiem morza. Zamierzał zbudować pole golfowe i rozbudować hotel o dalsze pięćset pokoi.

- To dobra pora do nabywania własności. Zapamiętaj moje słowa, Peterze. Jesteśmy w przededniu prosperity.

- Sprzyja temu na pewno niżka ceny ropy naftowej przytaknął Peter.

- To jeszcze nie wszystko, bracie - Steven, który szedł właśnie przodem, odwrócił się, żeby mrugnąć porozumiewawczo do Petera. - W ciągu najbliższych sześciu miesięcy powinien nastąpić spadek o dalsze pięć procent, możesz mnie trzymać za słowo. - Dalej Steven mówił o sytuacji tych gałęzi przemysłu, które są zależne od ceny ropy naftowej. - Wierz mi, stary, jeśli masz kilka funtów leżących odłogiem, to powinieneś właśnie w te dziedziny zainwestować. - Steven ulegał przemianie, gdy mówił o wielkich pieniądzach i o władzy. W jego oczach zapalały się jakieś nieznane Peterowi błyski, a krzaczaste wąsy nadawały twarzy drapieżny wygląd.

Wyszli z lasu na otwarte pole, a Steven wciąż mówił szybko i przekonująco. Przed nimi, na grzbiecie niewysokich wzgórz, widać było ruiny rzymskiego obozu.

- Tym ludziom należy wreszcie powiedzieć, co powinni robić. Ci przekłęci rządcy z Westminsteru są w stanie doprowadzić imperium do upadku, ale my jeszcze poczuwamy się do odpowiedzialności. - Nagłym ruchem przerzucił dubeltówkę z jednego ramienia na drugie, w trakcie czego otworzył się jej zamek. - Rząd powinien odwołać się do tego - stwierdził, składając dubeltówkę.

Nagle zamilkł, jakby przestraszył się, że powiedział zbyt wiele. Peter również milczał, z trudem pokonując wzniesienie w grzęznących w błotnistej ziemi butach. Sytuacja, w jakiej się znalazł, wydawała mu się wręcz nierealistyczna - szedł po dobrze mu znanej od dzieciństwa ziemi z człowiekiem, którego znał od urodzenia. Mimo to, jak się okazało, wciąż nie do końca.

Po raz pierwszy w jego obecności Steven mówił w ten sposób.

Mimo woli przebiegł go dreszcz, co nie uszło uwagi brata.

- Zimno ci? - Zapytał.

- Dostałem chyba gęsiej skórki - wyjaśnił Peter. Steven skwitował to skinieniem głowy. Właśnie wspinali się obaj na wysoki nasyp otaczający starożytny obóz rzymski.

Zatrzymali się, oddychając ciężko, na krawędzi nasypu, w cieniu olbrzymiego czerwonego buka. Pokonanie tej wysokości kosztowało dużo wysiłku, zwłaszcza Stevena. Na jego policzkach pojawiły się niezdrowe rumieńce, na czole błyszczały krople potu.

Jeszcze raz sprawdził ładunki w dubeltówce, postawił ją na ziemi przy pniu drzewa, po czym wyprostował się i rozejrzał po okolicy.

Tymczasem Peter oparł się ramieniem o pień, wsuwając kciuki w dziurki wyłogów płaszcza. Wyglądał na rozluźnionego, choć w rzeczywistości był napięty jak sprężyna i w każdej chwili gotów do natychmiastowej akcji. Nawet dubeltówkę miał w zasięgu ręki. Zauważył, że Steven załadował ją czterema nabojami. Z odległości dziesięciu kroków można było wyprać z człowieka wnętrzości. Po zatrzaśnięciu zamka broń

zabezpieczała się automatycznie, ale kciuk prawej ręki odbezpieczał ją odruchowo w momencie uchwytu za kolbę.

Steven wyjął srebrną papierośnicę z bocznej kieszeni płaszcza i postukał w zamyśleniu papierosem o jej wieko.

- Strasznie nieprzyjemna ta historia z Magdą Altmann mruknął, nie patrząc w oczy Peterowi.

- Rzeczywiście - zgodził się Peter.

- Cieszę się, że załatwili to w sposób cywilizowany. Mogłeś mieć kłopoty.

- Chyba masz rację - ponownie zgodził się Peter.

- Co z twoją pracą w Narmco?

- Jeszcze nie wiem. Będę wiedział po powrocie do Brukseli.

- Moja oferta jest wciąż aktualna. Mogę ci pomóc w razie potrzeby. Mam do ciebie zaufanie. Bardzo byłbym rad, gdybyś się zgodził.

- To bardzo ładnie z twojej strony, Stevenie.

- Nie o to chodzi, Peterze. - Zapalił papierosa i zaciągnął się z widoczną przyjemnością.

- Mam nadzieję, że akcje Altmanna nie przysporzyły ci kłopotów. Ten spadek ich wartości narobił zamieszania - powiedział Peter po chwili milczenia.

- Żadnych. - Steven pokręcił głową. - Sprzedałem je kilka tygodni temu. Potrzebowałem pieniędzy na San Isteban.

- Miałeś szczęście - mruknął Peter. A może coś więcej niż szczęście, pomyślał. Zastanawiał się, dlaczego Steven tak szybko oznajmił mu o przeprowadzonej transakcji.

Przyglądał się bratu badawczo. Czy to możliwe? - Zapytywał sam siebie. Czy Steven mógł być zamieszany w sprawę, w której ideologia, własne korzyści i złudzenie posiadania wszechwładzy splotły się z sobą w sposób tak nierozzerwalny?

- Co z tobą stary? - Zapytał Steven, marszcząc czoło.

- Myślę, że cała koncepcja, jak i wykonanie są niewiarygodne, Stevenie. Nigdy nie podejrzewałem, że byłoby cię stać na coś takiego.

- Przepraszam cię, Peterze. Nie rozumiem. O czym właściwie mówisz?

- Kalif - powiedział łagodnie Peter.

Trafiłem, pomyślał, przyglądając się Stevenowi. To milczenie świadczące o całkowitym zaskoczeniu, ten przez moment spłoszony wzrok.

Jednak wyraz twarzy Stevena nie zmienił się. Ani jeden mięsień w niej nie drgnął, a początkowe zaskoczenie powoli jakby ustępowało zaciekawieniu.

- Obawiam się, że nie wiem, o co ci chodzi, stary.

To było doskonale zagrane, Peter musiał przyznać. Takich zdolności u Stevena nawet nie podejrzewał. A przecież niezbędne były wielkie zdolności, aby osiągnąć to, co Steven, w niespełna dwadzieścia lat. To swego rodzaju geniusz.

Był w stanie zagrać rolę Kalifa, Peter doszedł w końcu do takiego wniosku i

natychmiast ocknęła się w nim trawiąca go tak długo nienawiść.

- Popeliłeś błąd, Stevenie, zdradzając swoje nazwisko Aaronowi Altmannowi - zaczął spokojnie. - Prawdopodobnie nie wiedziałeś o tym, że on był agentem Mossadu i że twoje nazwisko natychmiast trafi do komputera izraelskiego wywiadu. Tego zapisu teraz nic nie jest w mocy zetrzeć. Jesteś już zdekonspirowany.

Oczy Stevena biegały niespokojnie, na chwilę zatrzymały się na dubeltówce. To upewniło Petera.

- Nie, Stevenie, to nie dla ciebie. - Peter potrząsnął głową. - To robota dla mnie. Jesteś gruby i bez formy, nigdy nie przechodziłeś treningu. Możesz tylko wynajmować innych, żeby zabijali. Nie powinieneś nawet dotykać broni.

Oczy Stevena wróciły do twarzy brata.

- Myślę, stary, że straciłeś zmysły.

Peter nie zwrócił na to uwagi.

- Ty przede wszystkim powinieneś wiedzieć, że jestem zdolny zabijać. Przecież to ty mnie do tego stanu doprowadziłeś.

- Co za bzdury opowiadasz - protestował Steven. - Dlaczego, u licha, miałbyś kogokolwiek zabijać?

- Stevenie, swoim uporem obrażasz nas obu. Nie ma sensu dalej się wypierać. Zastanówmy się lepiej, co mamy dalej zrobić. - Dawał Stevenowi szansę na kompromis. Zauważył w jego oczach wahanie, lekkie skrzywienie ust świadczące o wewnętrznej walce. - Chciałbym jednak, żebyś zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, które ci w tej chwili grozi - mówiąc to, wyjął z kieszeni parę starych, znoszonych skórzanych rękawic i zaczął je wkładać na ręce. Było coś przerażającego w tej prostej czynności, od której Steven nie mógł oderwać oczu.

- Co robisz? - Zapytał ochryple.

- Nie mam ochoty zostawić na broni swoich odcisków palców. Są na niej tylko twoje odciski - odpowiedział chłodno Peter.

- Chryste, tego nie uda ci się ukryć przed ludźmi, Peterze!

- Niby dlaczego, Stevenie? Niebezpiecznie jest chodzić z nabitą dubeltówką po błotnistym, niepewnym gruncie.

- Nie możesz tego zrobić tak po prostu, z zimną krwią. W głosie Stevena słychać było przerażenie.

- Dlaczego nie? Ty też przecież nie miałeś skrupułów, zabijając księcia Hassieda Abdel Hayeka.

- Jestem twoim bratem, a on był tylko przeklętym Azjatą. - Steven zakrztusił się, patrząc teraz na Petera rozszerzonymi ze strachu oczami, gdyż uprzytomnił sobie, że uczynił w ten sposób fatalne wyznanie.

Peter sięgnął po dubeltówkę, nie spuszczając z brata oczu.

- Poczekaj! - Zawołał Steven. - Poczekaj, Peterze!

- Na co?

- Pozwól mi wyjaśnić.
- W porządku, zaczynaj.
- To nie takie proste, na to trzeba czasu.
- W porządku, Stevenie. Zaczynaj od początku. Na przykład od porwania boeinga.

Mów więc: dlaczego?

- Musieliśmy to uczynić, Peterze. Nie rozumiesz tego? My, Brytyjczycy, zainwestowaliśmy w tym kraju sumę ponad czterech miliardów dolarów, Amerykanie trzy miliardy. To jest największy na świecie producent złota i uranu, chromu i wielu innych strategicznych surowców. Mój Boże, Peterze! Te sprawujące obecnie władzę niedołęgi prowadzą samobójczą politykę. Trzeba ich odsunąć i stworzyć odpowiedzialny rząd. Jeśli tego nie uczynimy, przed upływem dziesięciu lat ten kraj opanują czerwoni.

- Czy mieliście już przygotowany skład nowego rządu?

- Oczywiście - odpowiedział perswadującym tonem Steven, patrząc z obawą na dubeltówkę w rękach Petera. Wszystko zostało zaplanowane w szczegółach. Zajęło to aż dwa lata.

- W porządku - skinął głową Peter. - A teraz opowiedz mi o zamordowaniu księcia Hassieda.

- To nie było morderstwo, na litość boską. To trzeba było zrobić w interesie ludzkości. Swoim dziecięcym brakiem odpowiedzialności prowadzili do zniszczenia zachodniej cywilizacji. Pijani władzą, nie słuchali już głosu rozsądku, zachowywali się jak małe dzieci w sklepie ze słodyczami. Musieliśmy położyć temu koniec, żeby ocalić system kapitalistyczny. To oni spowodowali nieodwracalne szkody, podrywając prestiż dolara. Groźbą wycofania astronomicznych sum z banków londyńskich zagrażali pozycji funta szterlinga. Trzeba było przywołać ich do porządku. Zwróć uwagę, za jak najniższą cenę. Stopniowo doprowadzimy do redukcji ceny ropy naftowej do poziomu sprzed tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku. Uzdrowimy waluty zachodniego świata i zabezpieczymy wzrost dobrobytu dla setek milionów ludzi. To wszystko kosztem tylko jednego życia.

- W każdym razie był to tylko przekłety Azjata. Nieprawdaż? - Ironizował Peter.

- Słuchaj, Peterze. Wyraziłem się w ten sposób, ale nie o to mi chodziło. Jesteś nierozsądny.

- Usiłuję być rozsądny - zapewnił go spokojnie Peter. Teraz powiedz, co zamierzacie dalej. Chyba zaprowadzić porządek w brytyjskich związkach zawodowych. Czy nie mam racji?

- Do licha, Peterze. Po co zgadywać? Ale czy możesz wyobrazić sobie sytuację, w której płace byłyby zamrożone na okres pięciu lat bez akcji strajkowych w Anglii? Znów stalibyśmy się jedną ze światowych potęg przemysłowych. Wielka Brytania! Moglibyśmy znów nią być!

- Mówisz bardzo przekonująco, Stevenie - zapewnił Peter. - A teraz jeszcze kilka

interesujących mnie szczegółów.

- Jakich szczegółów?

- Komu było potrzebne zamordowanie Kingstona Parkera i Magdy Altmann...

Steven patrzył na niego z lekko opuszczoną szczęką i wyrazem zdumienia na twarzy.

- Nie - kręcił głową - to nie tak.

- ...I torturowanie na śmierć barona Altmanna?

- To nie ja. Tak, wiem, że to się stało. Ale ja nie miałem z tym nic wspólnego, Peterze. W każdym razie z morderstwem. O Boże, wiedziałem, że to się stanie, ale... - Głos mu się urwał, patrzył bezradnie na Petera.

- Mów o sprawie od początku, po kolei, Stevenie. Słucham uważnie.

- Nie mogę, Peterze. Nie masz pojęcia, co by się stało, co się stanie, jeśli ci powiem...

Peter odbezpieczył dubeltówkę. Szczęk mechanizmu był szczególnie głośny w ciszy, która zapadła. Steven uczynił krok naprzód, następnie cofnął się, nie spuszczając wzroku z Petera.

- Boże - szepnął. - Ty mógłbyś to zrobić.

- Powiedz mi wszystko, co wiesz o śmierci Aarona Altmanna.

- Czy mogę zapalić?

Peter skinął głową, a Steven trzęsącymi się rękami zapalił papierosa.

- Musisz najpierw zrozumieć, jak do tego doszło.

- Mów więc, jak do tego doszło - zgodził się Peter.

- Zostałem zwerbowany...

- Steven, nie kłam. To ty jesteś Kalifem.

- Nie, na Boga, nie, Peterze. Mylisz się! - Krzyczał Steven. - To jest łańcuch. Jestem tylko ogniwnem. Nie jestem Kalifem.

- Wobec tego jesteś częścią Kalifa?

- Tylko ogniwnem w łańcuchu - Steven powtórzył rozpaczliwie.

- Mów więc - zachęcał Peter, a lekki ruch dubeltówką natychmiast przyciągnął wzrok Stevena.

- To człowiek, którego znam od dawna. Razem pracowaliśmy. Człowiek bardzo bogaty i wpływowy. To nie nastąpiło od razu. Decyzję poprzedziły długie dyskusje i rozmowy. Podzielałem jego niepokój z powodu przejmowania władzy przez ludzi nieodpowiedzialnych.

- W porządku - ponuro oświadczył Peter. - Zrozumiałem twoje polityczne i ideologiczne sentymenty. Przechodź teraz do sprawy.

- Dobrze - zgodził się Steven. - Pewnego razu człowiek ten zapytał mnie, czy jestem gotów przyłączyć się do związku zachodnich politycznych i przemysłowych przywódców, którego celem jest przywrócenie władzy ludzi kompetentnych.

- Kim jest ten człowiek?

- Peterze, tego ci nie mogę powiedzieć.

- Słuchaj, Stevenie, nie masz w tej chwili wyboru - rzeki Peter i przez dłuższą chwilę obaj mierzyli się spojrzeniami.

W końcu Steven westchnął, kapitulując.

- To był - tu Steven wymienił nazwisko magnata przemysłowego, kontrolującego większość światowego zaopatrzenia w nuklearne paliwo, złoto i kamienie szlachetne.

- To ten człowiek był autorem składu nowego rządu południowoafrykańskiego, który miał zastąpić obecne władze, gdyby porwanie zero siedemdziesiąt udało się? - Zapytał Peter, a Steven potwierdził kiwnięciem głowy. - W porządku stwierdził Peter. - Mów dalej.

- On również został zwerbowany - wyjaśniał Steven. Nie mam pojęcia, przez kogo. Z kolei ja byłem zobowiązany do pozyskania nowego członka, którego nazwisko tylko mnie było znane. W ten sposób przestrzegano tajemnicy konspiracji. Każdy członek znał tylko nazwisko tego, który go zwerbował, i tego, którego sam zwerbował.

- A co z Kalifem?

- Nikt nie wie, kim on jest.

- Ale on wie o tobie?

- Tak, oczywiście.

- Musi przecież istnieć jakaś droga przekazywania informacji Kalifowi - nalegał Peter. - Na przykład, jeśli zwerbowałeś nowego członka, musiałeś mieć możliwość poinformowania o tym. Jeśli on potrzebował czegoś od ciebie, musiał z kolei być sposób powiadamiania ciebie.

- Tak.

- Jaki?

- Boże wielki, Peterze. To może mnie kosztować życie.

- Dobrze, wrócimy jeszcze do tej sprawy. A teraz powiedz mi o Aaronie Altmannie.

- To był nieszczęśliwy wypadek. Chciałem zwerbować Aarona. Wydawało mi się, że jest właśnie takim człowiekiem, jakiego potrzebujemy. Znałem go od lat. Wiedziałem, że jeśli trzeba, potrafi być twardy. Uczyniłem mu propozycję. Początkowo odniósł się do niej z chęcią robił wrażenie zainteresowanego metodami działania Kalifa. Cieszyłem się, że udało mi się pozyskać takiego człowieka. Napomknął, że ma zamiar przeznaczyć dwadzieścia pięć milionów dolarów na cele związku. Przekazałem wiadomość Kalifowi. Byłem niemal pewien sukcesu.

Urwał nagle nerwowo i upuścił niedopałek papierosa na ziemię, a następnie rozgniół go obcasem buta.

- Co się wtedy stało? - Dopytywał się Peter.

- Kalif natychmiast odpowiedział. Otrzymałem polecenie niezwłocznego zerwania wszystkich kontaktów z Altmannem. Uświadomiłem sobie, że dokonałem niewłaściwego wyboru. Przed chwilą powiedziałeś, że był członkiem Mossadu.

Wcześniej nie miałem o tym pojęcia. Kalif na pewno o tym wiedział. Zrobiłem, co mi kazano, a cztery dni później dowiedziałem się o porwaniu Aarona. Nie miałem z tym nic wspólnego, Peterze, przysięgam. Lubiłem go bardzo, nawet podziwiałem...

- Jednak został porwany i był okrutnie torturowany. Musiałeś o tym wiedzieć. Zdajesz sobie sprawę z własnej odpowiedzialności?

- Tak - odpowiedział bezbarwnie Steven. Nie podjął próby usprawiedliwiania się. Peter poczuł przyływ uznania dla brata.

- Torturowali go, żeby się przyznał, czy przekazał informacje o Kalifie do Mossadu.

- Tak. Można było tego oczekiwać. Nie wiedziałem o tym.

- O ile mi wiadomo, nic z niego nie wydusili.

- Nic. On już taki był. Musieli stracić do niego cierpliwość, żeby go zabić. To był początek mojego rozczarowania Kalifem - ponuro mruknął Steven.

Przez chwile, obaj milczeli, w końcu Peter wybuchnął:

- Mój Boże, Stevenie, czy nie widzisz, w jak nieczystą sprawę się wplątałeś? - A gdy Steven milczał, ciągnął bardziej wzburzony: - Czy nie widzisz? Czy nie zdawałeś sobie z tego sprawy od samego początku?

- Na pewno nie od początku - Steven pokręcił głową bezradnie. - Początkowo sądziłem, że to, co proponuje Kalif, stanowi doskonałe rozwiązanie wszystkich problemów świata zachodniego. Potem poczułem się, jakbym się znalazł w pędzącym pociągu, z którego nie można wysiąść.

- Rozumiem. Wobec tego zorganizowałeś na mnie zasadzkę na drodze do Rambouillet?

- Wielki Boże, nic podobnego - w głosie Stevena słychać było szczere oburzenie. - Przecież jesteś moim bratem.

- Kalif usiłował nie dopuścić do mojego zbliżenia z wdową po Aaronie, która szukała na nim zemsty.

- Przysięgam, że nie miałem o tym pojęcia. Jeśli Kalif to uczynił, prawdopodobnie wołał mnie w to nie wtajemniczać. Głos Stevena przybrał ton błagalny. - Musisz mi uwierzyć, Peterze.

Peter poczuł, że mięknie, ale nie dał tego poznać po sobie.

- Jaką jeszcze akcję wykonałeś dla Kalifa? - Zapytał niezmiennie twardym głosem.

- Żadnej.

- Do licha, Stevenie, nie próbuj wprowadzić mnie w błąd. Wiesz doskonale, co się stało z księciem Hassiedem Abdel Hayekiem! - Peter chlasnął słowami niby biczem.

- Zgadza się. Ja to zorganizowałem. Kalif mi polecił, a ja to wykonałem.

- Potem porwałeś Melissę Jane i okaleczyłeś ją...

- Boże wielki! Nigdy! - W głosie Stevena odezwał się szloch.

- ...żeby mnie skłonić do zamordowania Kingstona Parkera...

- To nieprawda, Peterze, nieprawda!

- ...A następnie do zabicia Magdy Altmann...

- Peterze, przysięgam ci, nie mam nic wspólnego z porwaniem Melissy Jane. Kocham ją jak własne dziecko. Powinieneś to chyba wiedzieć. Nie miałem pojęcia, że za tym stał Kalif.

Steven znów przybrał ton błagalny.

- Musisz mi uwierzyć, Peterze. Nigdy nie dopuściłbym do tego. To było zbyt okropne.

Peter patrzył na niego chłodnym, przenikliwym spojrzeniem.

- Gotów jestem uczynić wszystko, co mogłoby cię przekonać, że nie miałem nic wspólnego z porwaniem Melissy Jane. Wszystko, co tylko zechcesz, Peterze. Skorzystam z każdej szansy, żeby ci tego dowieść. Przysięgam.

Oburzenie i szczerłość Stevena nie budziły najmniejszych wątpliwości. Krew odpłynęła z jego twarzy, usta drżały.

Peter podał mu dubeltówkę bez jednego słowa. Zdziwiony Steven trzymał ją przez chwilę w wyciągniętych przed siebie rękach.

- Znalazłeś się w trudnej sytuacji, Stevenie - rzekł spokojnie Peter. Rozumiał, że od tej pory będzie potrzebował współpracy Stevena, jego pełnej osobistego zaangażowania pomocy, a tego nie jest w stanie osiągnąć, trzymając go na muszce celownika.

Steven pojął gest brata. Otworzył zamek dubeltówki, wyjął z niego naboje i wrzucił je do kieszeni płaszcza.

- Chodź już do domu - powiedział wciąż jeszcze zachrypniętym głosem. - Muszę się napić whisky.

Grube, drewniane polana płonęły na okazałym kominku w gabinecie Stevena. Kominek zwieńczony był pięknym rzeźbionym portalem, wydobytym z ruin szesnastowiecznego kościoła w Niemczech, zbombardowanego podczas drugiej wojny światowej, a zakupionym przez Stevena od jakiegoś hiszpańskiego przemytnika.

Naprzeciw kominka duże niskie okna z szybkami w ołowianych ramkach wychodziły na ogród róż. Wzdłuż pozostałych dwóch ścian stały sięgające sufitu półki z książkami, wśród których wyróżniała się kolekcja starych, rzadkich druków. Wszystkie oprawione w skórę z tłoczonymi złotymi napisami. Gromadzenie książek stanowiło wspólną pasję braci.

Steven stał przy kominku. W ręce trzymał kryształową szklanę wypełnioną do połowy whisky z wodą. Twarz miał wciąż bladą, od czasu do czasu wstrząsały nim dreszcze, choć w pomieszczeniu było ciepło, a okna szczelnie pozamykane.

Peter rozsiadł się wygodnie w pokrytym brokatem fotelu z epoki Ludwika XIV, z rękami w kieszeniach, krzyżując wyciągnięte przed siebie nogi. Podbródek oparł w zamyśleniu na piersi.

- Powiedz mi, Stevenie: ile wpłaciłeś na cele związku? - Przerwał milczenie Peter.

- Nie okazałem klasy Altmanna - spokojnie odrzekł Steven. - Zadeklarowałem pięć

milionów szterlingów w ciągu pięciu lat.

- Można sobie wyobrazić sieć potentatów przemysłowych i finansowych, rozciągającą się ponad narodowymi granicami oraz dysponującą olbrzymimi środkami, informacjami i wpływami.

Steven skinął potakująco głową i wypił kolejny łyk whisky.

- Nie ma żadnych podstaw, by sądzić, że w każdym kraju jest tylko jeden taki człowiek. Może ich być tuzin w Wielkiej Brytanii, drugi tuzin w zachodnich Niemczech, pięćdziesięciu w Stanach Zjednoczonych.

- To możliwe - zgodził się Steven.

- Wobec tego Kalif mógł z łatwością zorganizować porwanie Melissy Jane za pomocą innego ogniwa.

- Wierz mi, ja nie miałem z tym nic wspólnego.

Peter niecierpliwie machnął ręką i dalej zastanawiał się głośno.

- Być może Kalif to nie jest jeden tylko człowiek, lecz na przykład zespół członków założycieli.

- Nie sądzę - odparł z wahaniem Steven. - Mam wrażenie, że to jest jednak tylko jeden człowiek. Zespół nie byłby zdolny do tak szybkich i zdecydowanych akcji. - Pokręcił głową, usiłując sobie uprzytomnić, na jakiej podstawie odniósł takie właśnie wrażenie. - Pamiętaj, że o programie Kalifa wcześniej rozmawiałem tylko z jednym człowiekiem: tym, który mnie zwerbował. Mimo to możesz być pewien, że obaj omówiliśmy go wszechstronnie. Nie miałem bynajmniej zamiaru wydać pięciu milionów na coś, co by mnie nie przekonało. Nie, te wszystkie decyzje mogła podejmować tylko jedna osoba, chociaż w interesie nas wszystkich.

- Nie było jednak żadnej gwarancji, że każdy członek związku będzie informowany o każdej decyzji?

- Nie, oczywiście, że nie. To byłoby głupotą. Naruszałoby zasadę bezpieczeństwa, która jest kluczem do sukcesu.

- Mogłeś więc ufać komuś, kogo nigdy na oczy nie widziałeś, nie znając nawet jego nazwiska? Mogłeś powierzyć mu dużą sumę pieniędzy, a nawet los świata w pewnym sensie?

Steven najwyraźniej wahał się, szukając właściwych słów.

- Wokół Kalifa panuje aura, która rozciąga się na nas wszystkich. Człowiek, który mnie zwerbował - tu Steven z wyraźną niechęcią powtórzył wymienione wcześniej nazwisko - zasługuje na mój szacunek. Bardzo się liczę z jego zdaniem. On był całkowicie przekonany do tej sprawy. Jego przekonanie udzieliło się również mnie.

- A co teraz sądzisz o tym wszystkim? - Zapytał nagle Peter. - Czy jesteś wciąż pewny, że służysz dobrej sprawie?

Steven opróżnił szklanekę i wytarł nerwowym ruchem wąsy.

- Słucham cię, Stevenie - ponaglił Peter.

- Uważam, że Kalif ma rację, jeśli chodzi o cel - niechętnie odpowiedział Steven. -

Sytuacja się zmieniła, Peterze. Walczymy o przetrwanie dla naszego świata, o nową moralność.

Podszedł do stojącej na biurku srebrnej tacy i nalał sobie ponownie whisky.

- Do tej pory sytuacja wyglądała tak, jakbyśmy mieli jedną rękę związaną z tyłu, podczas gdy czerwoni, lewicowi ekstremiści i Trzeci Świat podejmowali z nami walkę, nie będąc niczym skrępowani. Kalif zdjął z nas te pęta.

- Wobec tego dlaczego zmieniłeś zdanie? - Zdziwił się Peter.

- Wcale nie jestem tego pewien. - Steven spojrzał mu w oczy. - Wciąż uważam, że podjęta przez Kalifa sprawa jest słuszna, ale...

- Ale? - Podchwycił Peter.

Steven wzruszył ramionami.

- Zamordowanie Aarona Altmanna, okaleczenie Melissy Jane - widać było, że się wahał - również inne akty przemocy, które, jak podejrzewam, inicjował, wszystko to nie służyło wspólnemu dobru, lecz miało na celu albo zapewnienie bezpieczeństwa osobistego Kalifowi, albo zaspokojenie jego nieokiełznanej żądzy władzy. - Pokręcił głową. - Przedtem wierzyłem, że Kalif jest człowiekiem szlachetnym i pełnym poświęcenia. Trudno jednak dopatrzeć się szlachetności w niektórych jego czynach. Niekiedy postępuje jak prawdziwy przestępca. Wciąż wierzę w sprawę podjętą przez Kalifa, sądzę jednak, że on sam jest nieodpowiednim jej rzecznikiem. Zdeprawowała go wielka władza, którą skupił w swoim ręku.

Peter słuchał uważnie, z lekko przechyloną na bok głową nie spuszczać z niego wzroku.

- Tak więc, Stevenie, możemy stwierdzić, że Kalif nie jest żadnym bóstwem, lecz zwykłym człowiekiem z pospolitymi ludzkimi słabościami.

- Zgadza się, niestety. - Podbiegła krwią twarz Stevena wyrażała głębokie ubolewanie. - Kalif nie jest takim, za jakiego go uważałem.

- Zgadzasz się więc ze mną, że w swojej istocie jest zły?

- Tak, zgadzam się z tym. Lecz, Boże mój, jak bardzo bym chciał, żeby to była nieprawda! - Zawołał.

Peter mógł zrozumieć taką postawę, skinął więc głową.

- Ten zwariowany świat potrzebuje nas, a my potrzebujemy silnego człowieka, który powiedziałby nam, co mamy robić ciągnął dalej Steven z goryczą. - Tak bardzo chciałem, żeby Kalif był takim człowiekiem.

- Tak więc sądzisz, że Kalif nie jest odpowiednim dla was przewodnikiem?

- Tak - odpowiedział prosto Steven. - Ale gdyby taki człowiek pojawił się wśród nas, poszedłbym za nim bez wahania.

- Oświadczyłeś, że jesteś gotów wszystko uczynić, żeby mi udowodnić, iż nie miałeś nic wspólnego z porwaniem Melissy Jane. Czy gotów jesteś pomóc mi w zniszczeniu Kalifa?

- Tak - bez najmniejszego wahania odrzekł Steven.

- Wiąże się to z dużym osobistym ryzykiem - ostrzegł Peter, ale Steven spojrzął mu spokojnie prosto w oczy.

- Wiem. Znam Kalifa lepiej niż ty.

Peter spostrzegł, że zaczyna nabierać dla Stevena respektu graniczącego z podziwem. Niewątpliwie jego brat dysponował siłą odwagą i nieprzeciętnym umysłem, a jego największą wadą było to, że miał tego wszystkiego w nadmiarze.

- Co mam uczynić, Peterze?

- Chcę, żebyś zorganizował mi spotkanie z Kalifem w cztery oczy.

- To niemożliwe - odparł Steven bez namysłu.

- Powiedziałeś, że istnieje sposób na przekazanie Kalifowi informacji?

- Tak, ale Kalif na pewno nie zgodzi się na spotkanie.

- Powiedz mi, Stevenie: jaka słabość cechuje Kalifa?

- On nie ma żadnej słabości.

- Nieprawda, ma jedną.

- Jaka?

- Ma obsesję na punkcie swego bezpieczeństwa - stwierdził Peter. - Gdy tylko czuje się zagrożony, natychmiast ucieka się do takich środków, jak uprowadzenia, tortury i morderstwa.

- To nie słabość - oponował Steven - to jest jego siła.

- Gdybyś przekazał mu wiadomość, że ktoś jest bliski ustalenia jego tożsamości, że wróg przeniknął w jego pobliże podpowiadał Peter. Steven zastanawiał się długo w milczeniu.

- Z pewnością zareagowałby bardzo mocno na taką wiadomość - przyznał Steven. - Ale nie potrzebowałby zbyt wiele czasu na to, żeby wykryć kłamstwo. To natychmiast by mnie zdyskredytowało i naraziło na śmiertelne niebezpieczeństwo.

- To nie jest kłamstwo - oznajmił ponuro Peter. - W pobliżu Kalifa znajduje się agent Mossadu. Bardzo blisko Kalifa.

- Skąd wiesz? - Zapytał ostro Steven.

- Nie mogę ci tego powiedzieć - odparł Peter. - Ale informacja jest pewna. Znam nawet pseudonim agenta. Daję ci moje słowo, że informacja jest prawdziwa.

- W takim razie - zastanawiał się Steven - Kalif może już coś podejrzewać i potraktować poważnie moje ostrzeżenie. Jednak w tym wypadku z pewnością zażąda, żeby mu przekazać imię agenta w ustalonym trybie.

- Wtedy odmówiłbyś przekazania informacji inną drogą, z wyjątkiem spotkania w cztery oczy. Możesz zaznaczyć, że informacja jest supertajna, że twoje osobiste bezpieczeństwo byłoby zagrożone. Jaką przewidujesz reakcję?

- Sądzę, że jeszcze bardziej będzie nalegał na ujawnienie mu imienia...

- A jeśli odmówisz?

- Przypuszczam, że będzie musiał zgodzić się na spotkanie. Jak zauważyłeś, osobiste bezpieczeństwo jest jego obsesją. Ale jeśli zgodzi się na spotkanie w cztery

oczy, jego tożsamość tak czy owak zostanie ujawniona.

- Dziękuję ci, Stevenie. Chyba prawidłowo przewidziałeś tok jego myślenia.

Po małej chwili wyraz twarzy Stevena nagle się zmienił. Konsternacja wykrzywiła jego usta, jakby pod wpływem bólu.

- Wielki Boże, jeśli ja wymuszę na nim to spotkanie w cztery oczy, to długo potem nie pożyję.

- Rzeczywiście - potwierdził Peter. - Jeśli Kalif nawet zgodzi się na spotkanie z tobą, to z całą pewnością natychmiast przedsięwzięmie odpowiednie kroki, żebyś nie mógł zdradzić komukolwiek jego tożsamości.

- Do diabła, Peterze, to nie wygląda zachęcająco. Sam powiedziałeś mi niedawno, że jestem gruby i bez kondycji. Mam niewielkie szanse w starciu z Kalifem.

- Kalif to także weźmie pod uwagę, jeśli się zdecyduje na spotkanie z tobą - zgodził się Peter.

- To jest samobójstwo - denerwował się Steven.

- Obiecałeś, że będziesz twardy - przypomniał Peter.

- Twardy to jedno, a głupi to co innego.

- Będziesz zupełnie bezpieczny do momentu dostarczenia informacji - zwrócił mu uwagę Peter. - A ja daję moje słowo, że nie będę żądał, abyś poszedł na umówione spotkanie.

- Tylko tyle chciałem od ciebie usłyszeć - Steven wyrzucił ręce do góry. - Kiedy powinienem zacząć?

- W jaki sposób zamierzasz nawiązać z nim kontakt?

- Mała wzmianka w rubryce „Osobiste” - oświadczył Steven, a Peter uśmiechnął się z podziwem. Gładko, skutecznie i bez pozostawiania śladów.

- Zaczynaj więc jak najszybciej - radził Peter.

- W poniedziałek rano - stwierdził Steven, przyglądając się Peterowi ze szczególną uwagą.

- O co chodzi, Stevenie?

- Właśnie zastanawiałem się. Gdyby Kalif był na przykład takim człowiekiem jak ty.

- Jak ja? - Po raz pierwszy Peter poczuł się naprawdę zaskoczony.

- Bojownik o sprawę, bezwzględny i konsekwentny w dążeniu do wytkniętej przed sobą wizji sprawiedliwości, prawa i obowiązku.

- Ja nie jestem taki - stwierdził Peter.

- Jesteś - oświadczył Steven. - Jesteś rodzajem człowieka, jakim, moim zdaniem, powinien być Kalif. Człowiekiem, jakiego potrzebujemy.

Peter nie wątpił, że jest pod stałą obserwacją. Po śmierci baronowej Altmann zainteresowanie Kalifa jego osobą musiało wzrosnąć, w związku z czym należało

działać z największą ostrożnością.

W poniedziałek rano poleciał do Brukseli i przed południem był już w głównej kwaterze Narmco. Tutaj od razu znalazł się w samym centrum zainteresowania i wewnętrznych rozgrywek. Firma straciła szefa, w związku z czym w zarządzie rozpoczęły się wzajemne podchody i intrygi. Mimo prób wciągnięcia go Peter trzymał się od nich z daleka.

We wtorek wieczorem kupił gazetę w hotelowym kiosku. Opublikowana przez Stevena prośba o nawiązanie kontaktu znajdowała się wśród drobnych ogłoszeń:

„Dzieci Izraela zwróciły się do Pana o radę: Czyż mamy dalej walczyć? *Księga Sędziów 20:23*”.

Wybrany przez Kalifa cytat doskonale odzwierciedlał jego stosunek do pozostałych członków związku. Chciał być przez nich traktowany jak istota niemal boska.

Steven wytłumaczył Peterowi, że Kalif potrzebuje czterdziestu ośmiu godzin na sformułowanie odpowiedzi. Będzie więc na nią czekał codziennie od godziny dwunastej w południe do trzynastej dwadzieścia w swoim biurze przy Leadenhall Street, nie przyjmując w tym czasie gości ani interesantów. Jego zaś bezpośredni, zastrzeżony numer telefonu ani przez chwilę nie może być zajęty.

W środę nie było żadnej próby nawiązania kontaktu, ale Steven nie liczył na to. W czwartek przechadzał się nerwowo po pokoju w oczekiwaniu na sygnał telefonu. Miał na sobie elegancki garnitur, a jego melonik i złożony parasol leżały w pogotowiu na rogu rzeźbionego francuskiego biurka, ustawionego przy oknach wychodzących na ulicę.

Steven Stride bał się. Stwierdził to uczciwie wobec siebie. Intryga nie była dla niego niczym nowym, miał z nią do czynienia przez całe życie, zawsze jednak w granicach określonych przez pewne reguły. Po raz pierwszy czuł, że wkroczył na teren dżungli, gdzie nie obowiązują żadne zasady. Wbrew swoim dotychczasowym zwyczajom poszedł tym razem „na całego”, choć Peter miał rację, że nie jest to odpowiedni dla niego teren. A teraz bał się, jak nigdy dotąd w swoim życiu. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie ma odwrotu i że musi dać sobie radę. Słyszał kiedyś, że oznaką prawdziwej odwagi jest przewyciężenie strachu i panowanie nad nim w stopniu umożliwiającym wykonanie obowiązku. Jednakże Steven nie czuł się dzielny człowiekiem.

Telefon zadzwonił jeden raz, zbyt głośno i zbyt ostro. Złowrogi dźwięk przeniknął do każdego nerwu. Steven zamarł w miejscu, poczuł się przez chwilę jak sparaliżowany.

Aparat zadzwonił ponownie. Głośny, natarczywy dźwięk zabrzmiał tym razem w jego uszach jak dzwon Sądu Ostatecznego, a wnętrzości ze strachu podeszły mu do gardła. Gdy sygnał rozległ się po raz trzeci, Steven nadludzkim wysiłkiem zmusił się do podniesienia słuchawki.

- Stride - powiedział do mikrofonu, napiętym, niemal piskliwym tonem. Do jego uszu doszedł brzęk wpadającej do automatu monety.

Głos, który usłyszał, wywarł na nim przerażające wrażenie. Był to pozbawiony ludzkich cech, a nawet jakichkolwiek cech głosu żywej istoty, elektroniczny dźwięk.

- Aldgate i Leadenhall Street - powiedział głos.

Steven powtórzył określenie miejsca spotkania, po czym łączność została przerwana. Odłożył słuchawkę na widełki, chwycił za kapelusz i parasol i ruszył do wyjścia.

Sekretarka spojrzała na niego wyczekująco z uśmiechem. Była to przystojna siwowłosa kobieta pracująca w firmie już od piętnastu lat.

- Słucham pana? - Zapytała.

- Wyskakuję na pół godzinki, May - poinformował ją. Pilnuj biura. - I wszedł do prywatnej windy, którą szybko zjechał do podziemnego garażu, gdzie trzymał swojego rolls-royce'a i gdzie stały prywatne samochody jego najbliższych współpracowników.

W windzie zsunął lekko melonik na bok głowy, przymrużył łobuzersko prawe oko i poprawił czerwony goździk w butonierce granatowego garnituru. Było rzeczą niezmiernie ważną, aby w tej chwili wyglądał i zachowywał się zupełnie normalnie. Każde odchylenie od normy nie uchodziło uwagi personelu.

W garażu nie wsiadł do swojego ciemnokasztanowego rolls-royce'a, który błyszczał w przyćmionym świetle jak drogocenny klejnot. Zamiast tego podszedł do małej furtki w wielkiej stalowej bramie. Siedzący w oszklonej kabinie obok bramy odźwierny poderwał się na nogi, rozpoznając szefa.

- Dzień dobry panu.

- Dzień dobry, Haroldzie. Nie biorę wozu. Wychodzę tylko na kilka minut.

Przekroczył próg garażu i wyszedł na ulicę, skręcając na lewo, w stronę skrzyżowania Leadenhall Street i Aldgate. Szedł szybko, ale bez widocznego pośpiechu. Kalif wymierzył odległość bardzo dokładnie, żeby uniemożliwić ewentualne wcześniejsze uprzedzenie policji o miejscu rozmowy. Steven zdawał sobie sprawę z tego, że miał tylko kilka minut na dotarcie z biura do budki telefonicznej na rogu ulicy.

Telefon w czerwonej budce zaczął dzwonić, gdy Steven był jeszcze w odległości dwudziestu kroków od niej, resztę dystansu pokonał więc biegiem.

- Stride - powiedział do słuchawki głosem trochę zadyszczanym i natychmiast usłyszał monetę wpadającą do automatu. Ten sam głos przypominający robota wyznaczył mu następny punkt kontaktowy. Tym razem była to budka telefoniczna na High Street, przy wejściu do stacji metra Aldgate. Ten mechaniczny głos przywiódł Stevenowi na myśl filmy *science fiction*. Pomyślał, że wolałby jednak usłyszeć w słuchawce normalny, ludzki głos.

Wybór oddalonych od siebie dwóch punktów kontaktowych został skalkulowany w

ten sposób, żeby udaremnić ewentualne podłączenie się do rozmowy niepowołanej osoby. W tym samym czasie, co Steven, Kalif albo jego agent biegał od jednej budki telefonicznej do drugiej w innej części miasta. W tych warunkach każda próba ustalenia tożsamości rozmówców z góry była skazana na niepowodzenie.

Zniekształczacz głosu, którym posłużył się Kalif, był bardzo prostym urządzeniem, nie większym od kieszonkowego kalkulatora. Peter mówił kiedyś Stevenowi, że można go nabyć w niektórych firmach specjalizujących się w produkcji sprzętu wywiadowczego. Kosztuje niecałe pięćdziesiąt dolarów, a zmienia ludzki głos do tego stopnia, że jego nagranie staje się zupełnie bezużyteczne, nawet dla specjalistów. Trudno też stwierdzić, czy jest to głos mężczyzny, kobiety czy dziecka.

Steven bez najmniejszego trudu dotarł do stacji. W budce stojącej tuż przy zatłoczonym wejściu do metra kończył właśnie rozmowę młody, długowłosa mężczyzna w poplamionym farbą kombinezonie. Gdy tylko opuścił budkę, natychmiast wpadł do niej Steven i zajął się przeglądaniem książki telefonicznej.

Mimo iż oczekiwał dzwonka telefonu, drgnął nerwowo, gdy go usłyszał. Po przebytej drodze i wskutek przeżywanego napięcia był teraz lekko spocony i głos miał zachrypnięty.

- Stride - powiedział do słuchawki.

Dał się słyszeć odgłos wpadającej monety i rozległ się zimny, suchy głos Kalifa:

- Tak?

- Mam do przekazania informację.

- Tak?

- Kalifowi grozi niebezpieczeństwo.

- Tak?

- Wywiad jednego z rządów ulokował w jego pobliżu swojego agenta. Wystarczająco blisko, żeby był bardzo niebezpieczny.

- Proszę wymienić źródło informacji.

- Mój brat, generał Peter Stride. - Peter polecił mu mówić prawdę, w miarę możliwości.

- Proszę podać, o jaki wywiad chodzi.

- Odmawiam. Ujawnienie informacji jest zbyt niebezpieczne. Muszę mieć pewność, że odbiera ją osobiście Kalif.

- Proszę podać nazwisko lub stanowisko agenta wroga.

- Odmawiam z tych samych powodów.

Steven spojrzął na swój złoty zegarek ręczny. Rozmowa trwała już piętnaście sekund, a wiedział, iż nigdy nie przekracza trzydziestu sekund. Kalif z reguły nie ryzykował. Postanowił więc nie czekać na następne pytania ani na instrukcje.

- Gotów jestem przekazać informację tylko osobiście Kalifowi i muszę mieć pewność, że rozmawiam z nim, a nie z jednym z agentów. Żądam osobistego spotkania z Kalifem.

- To niemożliwe - odpowiedział głos.

- Wobec tego Kalif znajdzie się w wielkim niebezpieczeństwie. - Steven wydusił z siebie groźbę.

- Powtarzam: proszę podać nazwisko i stanowisko agenta wroga.

Minęło dwadzieścia pięć sekund.

- Odmawiam ponownie. Proszę o zorganizowanie spotkania w cztery oczy w celu przekazania informacji.

Kropla potu spłynęła po policzku Stevena. Poczul, że zaczyna się dusić w tej małej, zamkniętej budce.

- Proszę czekać na następny kontakt - oznajmił głos i łączność została przerwana.

Steven wyjął białą jedwabną chusteczkę z górnej kieszeni marynarki i wytarł nią twarz z potu.

Wyprostował plecy, uniósł głowę do góry i wyszedł z budki. Po raz pierwszy w swoim życiu poczuł się dzielnym człowiekiem. Było to przyjemne uczucie, szedł więc przed siebie rażnym krokiem, wymachując jak laską zwiniętym parasolem.

Peter czekał na telefon od Stevena przez cały tydzień, mimo iż zajęty był w Narmco wieloma pilnymi sprawami, którym nadał bieg jeszcze przed odlotem na Tahiti, a które niemal jednocześnie dojrzewały do ostatecznego załatwienia. Niektóre spotkania trwały od rana do późnego wieczora. Ponadto musiał odbyć dwie krótkie, jednodniowe podróże w interesach, do Oslo i do Frankfurtu. Zawsze jednak był w zasięgu łączności telefonicznej. Nawet wtedy, gdy szedł do klubu oficerów NATO, gdzie w sali gimnastycznej doskonalił swoją sprawność i kondycję fizyczną lub też w podziemiach klubu, już po północy, ćwiczył celność i szybkość w strzelaniu.

Peter czuł się w tych dniach trochę jak zawodnik na obozie kondycyjnym, przygotowujący się do występu w sportowej imprezie.

W końcu nadszedł weekend, a wraz z nim konieczność spędzenia dwóch dni w samotności. Peter nie przyjął zaproszenia jednego z kolegów do odwiedzenia jego rodzinnego kraju ani też do Paryża na sobotnie wyścigi konne. Pozostał w hotelu, wciąż oczekując telefonu od Stevena.

W niedzielę rano obłożył się w swoim pokoju gazetami angielskimi, amerykańskimi, francuskimi i niemieckimi, w tym ostatnim języku lepiej czytał, niż mówił, a nawet niektórymi holenderskimi i włoskimi, choć co trzeciego słowa w nich nie rozumiał. Wszystkie przejrzał bardzo uważnie, poszukując jakichkolwiek śladów działalności Kalifa: kolejnych uprowadzeń, porwań samolotów czy innych aktów terroru.

Włochy znajdowały się w stanie politycznego fermentu. Z powodu wielkiego zamieszania można było tylko zgadywać, kto stoi za dokonywanymi aktami przemocy. Skrajna lewica czy też prawica. W Neapolu poniosło śmierć pięciu

członków terrorystycznej organizacji Czerwone Brygady wskutek wybuchu granatu podrzuconego do ich kryjówki, mieszczącej się w slumsowej dzielnicy miasta. Stwierdzono, że tego rodzaju granaty znajdowały się w wyposażeniu NATO. Policja nie wykryła żadnych śladów. Za tym mógł się kryć Kalif. Niewykluczone, że do związku należał również jakiś liczący się włoski biznesmen. Włoski milioner mieszkający we własnym kraju powinien się poczuć najbardziej zagrożonym na świecie, obok błękitnych wielorybów, gatunkiem, myślał z przekąsem Peter. Nie należałoby się więc zbytnio dziwić, jeśliby „związek” wezwał Kalifa do ofensywy.

Peter skończył przegląd gazet z kontynentu i z ulgą sięgnął po angielskie i amerykańskie. Dochodziło południe, do poniedziałku rano skazany był na samotność. Był niemal pewien, że Steven do tego czasu nie otrzyma odpowiedzi od Kalifa. Żeby zabić dłużyący się czas, pogрузił się w lekturze anglojęzycznych gazet.

Strajk w zakładach Leylanda trwał już piętnasty tydzień bez żadnych perspektyw na rychłe zakończenie. To również sprawa dla Kalifa, pomyślał kwaśno Peter, przypominając sobie swoją dyskusję ze Stevenem.

Jedna sprawa zwróciła szczególną uwagę Petera. Prezydent Stanów Zjednoczonych wyznaczył specjalnego negocjatora, którego zadaniem ma być znalezienie rozwiązania kwestii spornych terenów na Bliskim Wschodzie, znajdujących się pod okupacją Izraela. Został nim doktor Kingston Parker, określony jako osobisty przyjaciel prezydenta i jeden z jego najbliższych doradców oraz jako człowiek cieszący się szacunkiem wszystkich zaangażowanych w sporze stron. Był to dla Petera jeszcze jeden dowód na potwierdzenie słuszności jego przekonania o wielkich możliwościach Parkera.

Odłożył ostatnią z przeczytanych gazet i zaczął się zastanawiać, czym wypełnić resztę wolnego dnia. Obok łóżka leżały trzy książki, które powinien przeczytać, a teczka była do połowy wypełniona materiałami Narmco. Czuł jednak, że nie potrafiłby teraz skoncentrować się nad nimi. Wszystko znalazło się w cieniu oczekiwania na decydującą konfrontację z Kalifem.

Przeszedł do łazienki i wziął do rąk leżącą tam paczkę, w której przyniósł wczoraj zakupy dokonane w dziale kosmetyków Galeries Anspach. Jednym z nich była peruka wykonana z naturalnych włosów identycznego koloru z jego własnymi, ale znacznie dłuższych. Włożył ją starannie na głowę, a następnie przystrzygł i uczesał. Na koniec posrebrzył na skroniach.

Na tym zajęciu spędził większą część popołudnia, nie spiesząc się i co chwila krytycznie oceniając efekty własnej pracy. Od czasu do czasu porównywał je ze zdjęciem wykonanym przez Melissę Jane. Byli na nim stojący obok siebie obaj bracia Stride'owie; uśmiechali się pobłaźliwie do Melissy Jane. Oprócz dużego podobieństwa braci widoczne były także wyraźne różnice. Mieli tego samego koloru włosy, ale Stevena były znacznie dłuższe, sięgające aż do kołnierzyka, gdzie podwijały się trochę, na skroniach zaś już lekko posrebrzone. Twarz Stevena była pełniejsza, mocno

zaróżowiona, co mogło świadczyć o złej pracy serca albo też o dobrym apetycie. Po włożeniu peruki również twarz Petera stała się zaokrąglona. Z kolei przyprawił sobie wąsy. W domu towarowym był bogaty wybór sztucznych wąsów, jak również sztucznych rzęs i brwi. Wśród tych ostatnich jednak nie znalazł nic, co by mu dokładnie odpowiadało. W tej sytuacji istotna rola w ich dopasowaniu przypadła znów nożyczkom i posrebrzaniu.

Kiedy już wszystko znalazło się na swoim miejscu, wynik okazał się wprost zaskakujący. Oczy były niemal tego samego kształtu i koloru. Nos obaj mieli prosty i wydatny. Usta Petera były trochę większe i pozbawione twardego, nieustępliwego wyrazu, tak widocznego u Stevena, ale wąsy w znacznym stopniu tę różnicę ukrywały.

Peter stał przed lustrem i przyglądał się ostatecznemu efektowi charakteryzacji. Był mniej więcej tego samego wzrostu co Steven i miał równie szerokie ramiona. Brzuch Stevena był większy, a kark grubszy, co upodabniało go do zapaśnika. Peter zmienił nieco pozycję. Wszystko w porządku. Było rzeczą wprost niemożliwą, żeby ktoś nie znający dobrze ich obu mógł dostrzec charakteryzację. Prawdopodobnie zresztą ani Kalif, ani też nikt z jego otoczenia nie widział nigdy Petera czy Stevena na własne oczy.

Chyba z godzinę spędził przed lustrem, starając się naśladować chód Stevena, jego sposób poruszania się, maniery i przyzwyczajenia, sposób zakładania rąk pod poły marynarki, zwyczaj przyglądania wąsów jednym palcem, od środka na lewo i na prawo.

Ubranie nie stanowiło żadnego problemu. Już od czasu wspólnej nauki w Sandhurst obaj bracia ubierali się u tego samego krawca, a zwyczaje Stevena związane ze strojem były trwałe i niezmiennie. Peter wiedział dokładnie, co brat powinien na siebie założyć w każdej określonej sytuacji.

Zdjął z głowy perukę, a spod nosa wąsy i starannie je zapakował, a następnie włożył do jednej z wewnętrznych kieszeni swojej walizki. Potem wyjął z niej „kobrę”, schowaną w skórzanej pochwie. Przez chwilę trzymał ją w ręku. Podjął, aczkolwiek niechętnie, ostateczną decyzję, że nie zabierze jej z sobą. Spotkanie z Kalifem z pewnością będzie miało miejsce na terenie Anglii, gdzie zresztą został nawiązany pierwszy kontakt Stevena z Kalifem. Peter był przekonany, że następny również nastąpi w Londynie. Nie chciał narażać się na kłopoty z brytyjskimi celnikami. Gdyby przypadkiem został zatrzymany, wiadomość o tym przedostałaby się do prasy, a to mogłoby wzbudzić podejrzenia Kalifa. Jeśli broń okaże się potrzebna, bez żadnego trudu dostanie ją w dowództwie Thoru. Colin Noble na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu.

Peter zszedł na dół i oddał pistolet do przechowania w sejfie hotelowym, po czym wrócił do pokoju. Czekanie to jeden z obowiązków, do których Peter nigdy nie mógł się przyzwyczaić. Zawsze nienawidził oczekiwania.

Ostatecznie zdecydował się kontynuować lekturę dzieła Roberta Auspreya „War in

the Shadows”, poświęconego historii wojen partyzanckich na przestrzeni wieków. Lektura pochłonęła go tak bardzo, że gdy się od niej w końcu oderwał, by spojrzeć na zegarek, był mile zaskoczony, iż jest już po ósmej. Zamówił omlet i ledwo zdążył odłożyć słuchawkę, gdy telefon zadzwonił.

Pomyślał, że chodzi o jakieś dodatkowe wskazówki dla kuchni.

- Słucham, o co chodzi? - Zapytał nieco zirytowany.

- Peter?

- Steven?

- Zgodził się na spotkanie.

Peter poczuł, jak serce zabiło mu mocniej.

- Kiedy? Gdzie?

- Nie wiem. Mam być jutro na Orly. Tam otrzymam instrukcje.

Kalif ukrywający się i przestraszony. Można było się tego spodziewać. Gorączkowo szukał w pamięci miejsca na Orly, gdzie mógłby dokonać ze Stevenem zamiany. Szybko odrzucił myśl o spotkaniu w jednej z poczekalni lub łazienek.

- O której przylatujesz? - Zapytał Stevena.

- Dostałem bilet na ranny samolot. Wyląduję o jedenastej piętnaście.

- Będę tam przed tobą - oznajmił Peter.

Znał rozkład lotów Sabeny na pamięć i miał zarezerwowane miejsce w każdym jej samolocie.

- Zarezerwuję dla ciebie pokój w hotelu na lotnisku na czwartym piętrze - powiedział Stevenowi. - Będę czekał w holu. Idź prosto do recepcji i proś o klucz. Ja tymczasem sprawdzę, czy nikt cię nie śledzi. W żadnym wypadku nie wolno ci mnie poznać. Zrozumiałeś mnie, Stevenie?

- Tak.

- A więc do jutra.

Peter odłożył słuchawkę i przeszedł do łazienki. Popatrzył na swoją twarz w lustrze.

W porządku, w ten sposób nie będę potrzebował zwracać się do Thoru o dostarczenie mi broni, myślał. Kalif nie ma zamiaru spotykać się w Anglii. To jasne, że Paryż będzie tylko przystankiem na drodze do miejsca spotkania, może nawet jednym z kilku przystanków. Kalif liczy, że rozmówca przyjdzie na to spotkanie sam i nieuzbrojony. Po spotkaniu na pewno zamierza nie dopuścić, by Steven mógł komukolwiek coś powiedzieć.

Kalif rozdaje karty z talii, na przygotowanie której miał wiele czasu, a ja jestem tylko graczem, który wyciągnął dwie karty w sekwensie, myślał chłodno Peter. Ale przynajmniej oczekiwanie się skończyło, stwierdził i zaczął pakować do wodoszczelnej torby swoje przybory toaletowe.

Sir Steven Stride wkroczył do holu hotelowego dokładnie pięć minut po dwunastej. Na jego widok Peter uśmiechnął się z zadowoleniem. Steven miał na sobie niebieski dwurzędowy blezer, białą koszulę, krawat członka klubu krykietowego, szare wełniane spodnie i czarne angielskie półbuty. Był to jego zwykły, ulubiony strój i Peter pomylił się tylko co do krawata. Sam włożył krawat bordowego koloru. Pod płaszczem miał także dwurzędowy blezer i szare spodnie, na nogach czarne półbuty.

Steven obrzucił przelotnym spojrzeniem hol, przeszedł obojętnie obok siedzącego w rogu z egzemplarzem „Le Monde” w ręku Petera i podszedł do biurka recepcyjnego.

- Nazywam się Stride. Pan ma dla mnie zarezerwowany pokój. - Steven mówił wolno i głośno, aby być dobrze zrozumianym. Urzędnik recepcyjny szybko sprawdził, skinął twierdząco głową, bąknął coś w rodzaju powitania i podał Stevenowi formularz do wypełnienia oraz klucz.

- Cztery, jeden, sześć - Steven odczytał głośno numer pokoju, tak żeby brat mógł usłyszeć. Tymczasem Peter obserwował uważnie wejście. Na szczęście niewielu gości zjawiało się w środku w ciągu ostatnich kilku minut i żaden z nich raczej nie był szpiegiem Kalifa. Zresztą Orły nie zostało z pewnością przewidziane jako miejsce spotkania, nie było więc jeszcze potrzeby dokładnego śledzenia Stevena. Sytuacja ulegnie zmianie, gdy znajdzie się on na miejscu, blisko Kalifa.

Steven ruszył w kierunku windy, a za nim portier z jego małą walizką. Jednocześnie Peter podniósł się z miejsca i podszedł do grupy osób czekających na windę.

W zatłoczonej kabinie obaj bracia stali tuż obok, nie zwracając na siebie uwagi. Steven i portier wysiedli na czwartym piętrze, natomiast Peter pojechał trzy piętra wyżej, przeszedł korytarzem w tę i z powrotem i zjechał na piętro brata.

Steven pozostawił za sobą drzwi do pokoju otwarte, Peter więc mógł wśliznąć się do środka bez pukania.

- Jak się masz?

Steven był w samej koszuli. Włączył telewizor, ale na dźwięk głosu Petera ściszył go i z wyraźną ulgą powitał brata.

- Wszystko w porządku? - Zapytał Peter.

- Jak w zegarku - odpowiedział Steven. - Napijesz się? Kupiłem butelkę.

Gdy Steven udał się do łazienki po szklanki, Peter szybko obrzucił spojrzeniem pokój. Na ścianie widok na nowoczesny market, który zbudowano na miejscu starych, malowniczych hal w centrum Paryża, w oknach zasłony dopasowane do narzut na dwóch bliźniaczych łóżkach, telewizor i radioodbiornik między łóżkami. Nowoczesne, lecz bez wyrazu meble. W sumie pokój, jakich wiele w średniej klasy hotelach.

Steven wniósł szklanki i wręczył jedną z nich Peterowi.

- Zdrowie!

Peter skosztował whisky. Była za mocna, a paryska woda sodowa cuchnęła

chlorem. Odstawił szklanę.

- W jaki sposób Kalif ma zamiar przekazać ci instrukcje?

- Już je mam. - Steven podszedł do wiszącego na oparciu krzesła blezera i wyjął z kieszeni długą, białą kopertę. - To zostawiono dla mnie w informacji lotniczej.

Peter wziął kopertę i opadł na fotel. Znalazł w niej trzy świstki: bilet pierwszej klasy na samolot Air France, voucher na taksówkę i pokwitowanie rezerwacji pokoju w hotelu.

Bilet lotniczy można było nabyć w każdej agencji Air France, rezerwacji taksówki i hotelu dokonać anonimowo. Te dokumenty nie dawały żadnej podstawy do wyśledzenia czegokolwiek.

Peter przeczytał nazwę docelowego portu lotniczego. Poczuł, jakby coś obrzydliwego zaczęło pełzać po jego skórze, jakby nagle oblażło go robactwo. Odłożył bilet i sprawdził dwa pozostałe świstki. Nie było najmniejszej wątpliwości. Miał uczucie, że jest chory, poczuł nudności, drętwienie w palcach i nieprzyjemny słony smak w ustach.

Bilet był na samolot odlatujący jeszcze dziś wieczorem do portu lotniczego Ben Guriona w Izraelu, voucher na taksówkę ważny na przejazd z lotniska do Jerozolimy, a rezerwacja pokoju została dokonana w King David Hotel, w tym starożytnym i świętym miejscu.

- Co się stało, Peterze? - Zapytał Steven.

- Nic - odpowiedział, uprzytamniając sobie, że jego uczucia wyraźnie uwidaczniały się na jego twarzy. - Jerozolima. Kalif czeka na ciebie w Jerozolimie.

Znał tylko jedną osobę w Jerozolimie. Kogoś, kto trwał w jego pamięci bez przerwy od chwili rozstania tamtego wieczoru przy wyspie Bora-Bora.

Kalif był w Jerozolimie i Magda była w Jerozolimie. Te nudności w żołądku.

I ta niesłychana przebiegłość Kalifa.

Nie, powiedział sobie twardo. Już raz przeszedłem tę samą drogę. To nie może być Magda.

A jednak to możliwe, musiał przyznać już po chwili. W wypadku Kalifa jest to zupełnie możliwe. Ilekroć Kalif potrząsnął kubkiem z kośćmi do gry, tylekroć zmieniały się liczby i sumy, ale wynik był zawsze prawdopodobny.

Jedną z podstawowych prawd, którą już dawno sobie przyswoił, była ta, że zakochany człowiek jest ślepy, głuchy i nieprzytomny. On był zakochany. Zdawał sobie z tego sprawę doskonale.

W porządku. Wobec tego spróbujmy jeszcze raz wszystko przemyśleć zupełnie na trzeźwo.

- Czy źle się czujesz, Peterze? - Zapytał ponownie Steven.

Nie może się okazać słabszym od Stevena. Musi z tym skończyć.

- Lecę do Jerozolimy zamiast ciebie - oświadczył.

- Co mówisz, stary?

- Zamieniamy się miejscami.

- Niedaleko byś zajechał. - Steven stanowczo pokręcił głową. Kalif załatwiłby cię na miejscu.

Peter wziął swoją walizkę i przeszedł do łazienki. Szybko założył perukę i przykleił sobie sztuczne wąsy, a następnie zawołał Stevena.

- Wejź tutaj.

Stali obok siebie i przeglądali się w lustrze.

- Na Boga! - Zawołał Steven.

Peter zmienił nieco pozycję, upodabniając się jeszcze bardziej do brata.

- To jest niewiarygodne. Nie wiedziałem, że możesz wyglądać aż tak bardzo przystojnie - roześmiał się Steven i pokiwał głową z podziwu. Peter natychmiast powtórzył za nim jego gest w sposób niemal doskonały. - Do diabła, Peterze. Uśmiech zamarł na ustach Stevena. - Już dosyć tego. Skóra mi cierpnie na twój widok.

Peter zdjął z głowy perukę.

- A więc wszystko gra.

- Tak - zgodził się Steven. - Ale powiedz mi: skąd, u licha, wiedziałeś, że włożę na siebie blezer i szare spodnie?

- Nos specjaliści mi podpowiedzieli - odrzekł Peter. Nie przejmuj się tym. Lepiej zajmijmy się naszymi papierami.

Ułożyli dokumenty w dwóch kupkach, a następnie szybko je przejrzeni. Zdjęcia w paszportach nie wymagały wymiany.

- Będziesz musiał zgolić wąsy - zauważył Peter, a Steven z żalem przesunął po nich palcem.

- Czy to absolutnie konieczne? Będę się czuł bez nich tak, jakbym wyszedł bez spodni.

Peter wyjął z wewnętrznej kieszeni cienki złoty długopis, a z szuflady plik papieru listowego. Przez chwilę przyglądał się podpisowi Stevena w paszporcie, następnie spróbował go naśladować na kartce.

- Nie tak - powiedział, kręcąc głową. Podpis Stevena przypominał jego chód, był śmiały i pewny siebie, a „t” w nazwisku było przekreślone zamaszystym pociągnięciem pióra.

Jednak po kilkunastu próbach efekt wysiłków Petera okazał się doskonały.

- W tej peruce na głowie możesz bez wahania pójść do mojego banku i podpisywać za mnie czeki - mruzczał speszony Steven. - A potem pójść do mego domu i położyć się do łóżka z Pat.

- W tym jest jakaś myśl - stwierdził Peter, zastanawiając się nad czymś.

- Nie żartuj - bąknął Steven.

- Nie mam zamiaru żartować - oświadczył Peter, przerzucając karty kredytowe, prawo jazdy, legitymacje członkowskie różnych klubów i inne papierowe śmiecie, bez których nie może się obejść współczesny mężczyzna.

Umiejętność naśladowania podpisu Petera nie przyszła Stevenowi łatwo, ale po dwudziestu minutach starań był już w stanie zadowolić wymagania hotelowej rejestracji.

- Tutaj masz adres hotelu na lewym brzegu rzeki. Jest tam wspaniała restauracja, a obsługa bardzo tolerancyjna, jeśli przyszłoby ci do głowy zaprosić do pokoju na drinka młodą dziewczynę.

- Ani mi w głowie - Steven nie wyglądał jednak na zmartwionego taką perspektywą.

- To nie powinno potrwać dłużej niż kilka dni. Bądź spokojny. Płać za wszystko gotówką. Trzymaj się z dala od miejsc, gdzie cię znają.

Dokładnie omówili wszystkie szczegóły związane ze zmianą tożsamości. Tymczasem Steven zgolił wąsy i natarł gołe miejsce wodą kolońską.

- Myślę, że powinieneś już sobie pójść - stwierdził Peter. - Weź to - podał mu swój płaszcz. - Jeszcze zamieńmy się krawatami.

Steven stał już gotowy do wyjścia w nieco za obcisłym płaszczu, gdy Peter zwrócił się do niego:

- Czy mogę cię jeszcze o coś zapytać, Stevenie? - Właściwie to Peter nie wiedział, dlaczego pytanie, które chciał zadać w tej chwili Stevenowi, wydało mu się tak ważne.

- Oczywiście, stary, pytaj. - Steven z zadowoleniem przyjął zwłokę w pożegnaniu.

- Sandhurst. - Peter starał się ukryć zakłopotanie. Nigdy cię o to wcześniej nie zapytałem. Powiedz mi więc teraz: czy ty to zrobiłeś?

Steven spojrzał mu w oczy spokojnie, stanowczo.

- Nie, Peterze. Ja tego nie zrobiłem. Masz moje słowo.

Peter uściśnął mocno wyciągniętą rękę brata. To było może śmieszne, ale poczuł w tej chwili ulgę.

- Cieszę się, Stevenie.

- Uważaj na siebie, stary.

- Nie martw się - uspokajał Peter. - Ale jeśli stałoby się coś - Peter się zawahał - Melissa Jane...

- Bądź spokojny, zajmę się nią.

Dlaczego Anglikom z takim trudem przychodzi wymiana zdań na temat uczuć i wdzięczności?

- Czas już chyba żebym sobie poszedł - stwierdził Steven.

- Powodzenia w nowej roli - rzucił mu na pożegnanie Peter.

- Możesz na mnie liczyć. - Steven wyszedł, zamykając za sobą mocno drzwi i pozostawiając brata z myślami o Jerozolimie.

Tylko nazwa się zmieniła z „Lod” na „Ben Gurion”. Wszystko inne pozostało tu bez zmian. Jeden z największych na świecie portów lotniczych z wystarczającą liczbą

wózków bagażowych, o które pasażerowie nie muszą ze sobą walczyć.

W hali przylotów Peter od razu dostrzegł młodego izraelskiego kierowcę ze szkolną tabliczką w ręku, na której było wypisane kredą: „Sir Steven Stride”.

Kierowca miał na głowie błękitną czapkę z czarnym skórzanym daszkiem. Ta czapka była jedynym elementem jego uniformu. Poza tym nosił białą bawełnianą koszulę, a na nogach sandały. Jego angielszczyznę cechowały wyraźne amerykańskie naleciałości, a sposób bycia był przyjemny, choć niedbały. Robił wrażenie człowieka, który dziś jest kierowcą samochodu, a jutro może siedzieć za kierownicą czołgu.

- *Szalom, szalom* - powitał Petera. - Czy to jest cały pański bagaż?

- Tak.

- W porządku. Wobec tego chodźmy. - Nie odebrał od Petera wózka z bagażem, lecz mówiąc coś bez przerwy, poprowadził go do samochodu.

Był to mercedes benz 240 D, niemal zupełnie nowy, starannie wypucowany. Ktoś jednak namalował na nim po obu stronach bagażnika zezujące oczy.

Zaledwie wyjechali poza bramę portu lotniczego, gdy wewnątrz samochodu wypełnił charakterystyczny zapach Izraela. Zapach kwitnących drzew pomarańczowych, rosnących w rozciągających się po obu stronach drogi ogrodach cytrusowych.

Nie wiadomo dlaczego, zapach ten wprowadził Petera w stan niepokoju, wywołał w nim uczucie, że o czymś zapomniał, czegoś istotnego zaniedbał. Usiłował na nowo przemyśleć wszystko od początku, ale przeszkadzał mu w tym skutecznie kierowca, który bez przerwy coś komentował, w miarę jak zmierzali autostradą w kierunku Jerozolimy.

Żałował, że w hotelu na Orly zniszczył kartkę, na której wyszczególnił sobie szereg nierozwiązanych przez siebie niejasności. Teraz usiłował odtworzyć w pamięci jej treść. Chyba na trzeciej pozycji znajdowała się kwestia: „Magda powiedziała mi o istnieniu Kaktusa. Czy uczyniłaby to, gdyby była Kalifem?”. I tuż obok Peter napisał: „Jeśli Magda jest Kalifem, to Kwiat Kaktusa nie istnieje. Wymyśliła go dla siebie tylko z wiadomych powodów”.

Była to zagadka, która wciąż mu dokuczała, jak ziarnko piasku w bucie. Wciąż wracał do niej w myślach, bezskutecznie szukając miejsca, w którym nić logiki jego rozumowania została zerwana. Zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli jego obawy się potwierdzą, skutki mogą być straszne.

Kierowca nagle przestał mówić i zwrócił się do niego z zapytaniem:

- Pan nie ma nic przeciwko temu?

Peter w odpowiedzi mruknął coś nieokreślonego. Ten człowiek najwyraźniej go niecierpliwiał. Rozwiązanie nurtującego go problemu było tuż-tuż, a tamten przeszkodził w dotarciu do niego. Dlaczego zapach kwiatów drzew pomarańczowych zaniepokoił go? Zapach kwiatów? Kwiat Kaktusa? Było coś na zniszczonej w hotelu kartce, czego w tej chwili nie mógł sobie za żadną cenę przypomnieć.

„Jeśli Magda nie jest Kalifem, to... „ - Właśnie co? Nie był pewien.

- A więc pan nie ma nic przeciwko? - Dopytywał się wciąż kierowca.

- Przepraszam, o co chodzi?

- Mówiłem, że chciałbym po drodze zostawić paczkę swojej teściowej - wyjaśnił ponownie. - To od mojej żony.

- Czy nie może pan tego zrobić w powrotnej drodze?

- Ja dziś nie wracam - kierowca uśmiechnął się z wyższością przez ramię. - Moja teściowa mieszka tuż przy naszej trasie. To nie zajmie więcej niż pięć minut. Obiecałem żonie, że dziś dostarczę paczkę.

- Wobec tego w porządku - uciał Peter. Było coś w tym człowieku, co nie budziło sympatii, a na dobitkę przerwał mu tok myślenia w ważnym momencie.

- Tutaj skręcimy - wyjaśnił kierowca i wjechał między nowe bloki mieszkalne zbudowane z żółtego kamienia, stojące w równoległych do siebie szeregach. O tej porze ulice były opustoszałe, gdyż wszyscy mieszkańcy spożywali właśnie kolację w rodzinnym gronie.

Kierowca kluczył przez kilka minut wśród labiryntu jednakowo wyglądających ulic, by w końcu zatrzymać się i zaparkować przed jednym z prostokątnych, przypominających duże pudło, żółtych budynków.

- Tylko dwie minuty - obiecał, wyskakując z samochodu.

Otworzył bagażnik. Słychać było jakieś drapanie, a następnie lekkie uderzenie. W końcu trzasnęło głośno wieko i kierowca znów pojawił się w polu widzenia Petera, niosąc pod pachą niewielką, zawiniętą w brązowy papier paczkę.

Uśmiechnął się i zepchnął swoją śmieszoną czapkę na tył głowy.

- Dwie minuty - zapewnił i szybko zniknął w drzwiach budynku.

Peter pomyślał, że nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli to potrwa nawet dłużej. Spokój i cisza też mają swoją cenę.

Zamknął oczy i spróbował się skoncentrować.

„Jeśli Magda nie jest Kalifem, to... „. Jakies tykanie urządzeń chłodniczych lub zegara drażniło jego podświadomość i przeszkadzało mu. „...To... Kwiat Kaktusa istnieje”. Tak, o to mu właśnie chodziło! Kwiat Kaktusa istnieje i jeśli tak, to znajdując się blisko Kalifa, zdaje sobie sprawę, że może zostać zadenuncjowany przez Stevena Stride'a...

Peter wyprostował się nagle. Cały czas był przekonany, że Steven Stride będzie bezpieczny do momentu spotkania z Kalifem. W tej chwili dostrzegł fatalną pomyłkę.

Kwiat Kaktusa nie może dopuścić do spotkania Stevena Stride'a z Kalifem! Tak, to oczywiste. Kwiat Kaktusa jest agentem Mossadu, a Peter znajdował się w Jerozolimie, siedzibie Mossadu, przebrany za Stevena Stride'a.

Chryste! W tej chwili uprzytomnił sobie, jakie śmiertelne niebezpieczeństwo mu grozi. Kwiat Kaktusa z pewnością przedsięwziął odpowiednie środki. Jeśli Magda Altmann nie jest Kalifem, to ja leżę prosto w paszczę lwa!

Przeklęty zegar wciąż tykał, szarpiąc mu nerwy.

Jestem w mieście Kaktusa - i w samo...

Tykanie. O Boże! To tykanie nie pochodzi z tablicy rozdzielczej. Peter odwrócił do tyłu głowę. Tykanie dochodzi gdzieś z bagażnika, który kierowca przed chwilą otwierał i coś w nim ruszał. A teraz to coś tyka bez przerwy.

Peter szarpnął gwałtownie za klamkę u drzwi i jednym pchnięciem ramienia otworzył je. Wyskakując z samochodu, niemal instynktownie chwycił walizkę.

Prawdopodobnie wycięto metalową ściankę między bagażnikiem i tylnym siedzeniem, by uczynić wybuch bardziej groźnym dla pasażera. Między nim a ukrytym mechanizmem nie było nic oprócz tapicerki. Dlatego tak wyraźnie słyszał tykanie wewnątrz samochodu.

Czas płynął teraz wolniej, jak na zwolnionych kadrach filmu.

Z trudem odzyskał równowagę po wykonaniu skoku. Znalazł się na nierównej wydeptanej ziemi, służącej tutaj za chodnik. Zaczął biec.

W bagażniku był z pewnością jakiś materiał wybuchowy, najprawdopodobniej plastik, detonowany przez mechanizm zegarowy. Ile miał czasu na ucieczkę? Trzydzieści sekund? Nie, kierowca mówił o dwóch minutach. Powtórzył to dwukrotnie.

Myśli przelatywały przez umysł Petera w tempie błyskawicznym, ale nogi miał jakby spętane. Jakby biegł po piasku lub zanurzony w wodzie.

Już niewiele zostało czasu z tych dwóch minut...

Dziesięć kroków przed sobą dostrzegł niewysoki murek otaczający przydomowy kwiatnik. Gruby na dwie cegły, wewnątrz wypełniony żółtą ziemią, w której rosły nieliczne, zasuszone oleandry. Wykonał skok głową naprzód jak do wody, amortyzując ciężar upadku ramieniem i przetaczając się niezwłocznie pod zbawczą osłonę muru.

Nad sobą widział wielkie okna na parterze domu. W szybach, wyraźnie jak w lustrze, odbijał się zaparkowany mercedes.

Zakrył uszy rękami. Samochód stał w odległości nie większej niż piętnaście metrów. Peter nie odrywał oczu od szyb, ciało miał napięte, usta otwarte.

Mercedes wybuchł. Wyglądało to tak, jakby nagle otworzył się w górę, jak na zwolnionych filmach rozkwita pączek róży. Groteskowo pokręcone, czarne płyty metalu rozwarły się, a ze środka wystrzelił jasny, niemal biały ogień. To było wszystko, co Peter zobaczył, gdyż nagle szyby w oknach zniknęły, rozbite na milion okruchów przez silną falę powietrza, pozostawiając po sobie ziejące pustką, jak bezzębne usta, otwory okienne. Jednocześnie podmuch, choć osłabiony przez mur, przygniótł Petera do ziemi i pozbawił go tchu w piersiach, a huk wybuchu wypełnił czaszkę tysiącem gwiazd.

Chyba na chwilę utracił przytomność. Na nieprzytomnego posypał się deszcz szkła i gruzu. Ocknął się, gdy coś większego uderzyło go boleśnie w plecy.

Podniósł się z ziemi, usiłując jednocześnie odzyskać dech w piersiach. Zdawał sobie sprawę, że musi stąd jak najszybciej uciekać, zanim na miejsce wybuchu przybędzie policja. W śledztwie prędko wyszłoby na jaw, że nie jest Stevenem Stride'em.

Zaczął biec. Ulica była wciąż pusta, aczkolwiek słyszał już za sobą okrzyki gniewu i przerażenia. Dobiegł do narożnika i zwolnił. Szedł szybkim krokiem aż do następnej alei, gdzie nie było świateł ulicznych. Zatrzymał się na chwilę w cieniu. Obok niego przebiegło kilkanaście osób, spiesząc w kierunku miejsca wybuchu.

Peter ochłonął nieco, otrząpął z pyłu spodnie, poczekał jeszcze chwilę i spokojnie ruszył przed siebie. Na głównej ulicy stanął w niewielkiej kolejce do autobusu.

Wysiadł z autobusu przy Jaffa Road. Wszedł do kawiarni naprzeciwko przystanku i udał się do toalety. Wyszedł z wybuchu bez szwanku, ale wciąż jeszcze był błądy i trzęsły mu się ręce, gdy przyczesywał włosy.

Wrócił do sali, znalazł wolne miejsce w kącie i zamówił ciastko i kawę. Spędził przy niej pół godziny, rozmyślając nad tym, co ma czynić dalej.

Jeśli Magda nie jest Kalifem... - Zaczął zastanawiać się ponownie.

Magda Altmann nie jest Kalifem! Wiedział teraz już na pewno. Kwiat Kaktusa usiłował nie dopuścić do spotkania Stevena Stride'a z Kalifem. Magda powiedziała prawdę. Odczuł głęboką ulgę i przypływ tkliwości w sercu. W pierwszym odruchu chciał natychmiast zadzwonić pod otrzymany od niej numer Mossadu. Po chwili zreflektował się. Kwiat Kaktusa też jest agentem Mossadu. Trzeba jeszcze poczekać.

Co powinien teraz uczynić? Nie szukał długo odpowiedzi. Wiedział, po co tutaj przybył. Musi odszukać Kalifa, wykonując do końca jego instrukcję.

Wyszedł z kawiarni i przywołał taksówkę.

- Do King David Hotel - rzucił kierowcy, opadając na siedzenie.

Wiedział teraz, że musi się strzec Kaktusa. Żadnego ruchu nie wolno mu wykonać na ślepo.

Peter obrzucił spojrzeniem zarezerwowany dla niego pokój, usytuowany w tylnej części hotelu. Z okien widać było stojącą po przeciwnej stronie ulicy wysoką dzwonnice YMCA, mogącą stanowić doskonały punkt dla snajpera.

- Zamawiałem apartament, a nie jeden pokój - Peter szorstko zwrócił uwagę urzędnikowi recepcji, który mu towarzyszył.

- Bardzo pana przepraszam, sir Stride - odrzekł speszony urzędnik. - Musiała zajść jakaś pomyłka.

Kolejne spojrzenie na pokój wystarczyło Peterowi, żeby dostrzec co najmniej tuzin miejsc, w których Kwiat Kaktusa mógł ulokować materiał wybuchowy. Nie, wolałby raczej spędzić noc w jaskini pełnej jadowitych węży niż w przygotowanej dla niego przez Kaktusa kwaterze.

Peter wycofał się z pokoju na korytarz, przygwożdżając władczy spojrzeniem urzędnika. Ten, wyraźnie przestraszony, zniknął na chwilę. Kiedy powrócił po pięciu minutach, na jego twarzy malowała się ulga.

- Mamy dla pana jeden z naszych najpiękniejszych apartamentów.

Z numeru 122 był wspaniały widok na aleję wiodącą do bramy jaffańskiej w staromiejskim murze, z kościołem Ostatniej Wieczerzy w samym centrum tego pejzażu.

Przed hotelem rozpościerał się ogród, w którym zieleniły się starannie utrzymane trawniki, a smukłe palmy szeleściły liśćmi pod łagodnymi podmuchami wiatru. Wokół wypełnionego przezroczystą wodą basenu biegały roześmiane dzieci.

Z apartamentu prowadziło wyjście na duży odkryty taras. Korzystając z samotności, Peter spuścił ciężkie żaluzje na drzwi, odcinając z tej strony dostęp ewentualnemu napastnikowi. Następnie wyszedł na balkon.

Z wysokich, kamiennych blanków przylegającego do ogrodu francuskiego konsulatu zwisały trójkolorowe flagi. Peter patrzył na nie przez chwilę, a następnie skoncentrował się ponownie na sprawach swojego bezpieczeństwa.

Istniała jeszcze możliwość przedostania się na jego balkon z okna sąsiedniego pokoju. Peter wahał się, czy nie zamknąć drzwi balkonowych. Ostatecznie jednak postanowił pozostawić je otwarte. Czuł, że nie wytrzymałby długo w zamkniętym ze wszystkich stron pomieszczeniu. Zamiast tego zaciągnął na okna zasłony i zamówił przez telefon dużą whisky z wodą sodową. Musiał się napić. Miał za sobą ciężki dzień. Następnie rozebrał się, zdjął z głowy perukę, odkleił wąsy i wziął kąpiel.

Właśnie wycierał się ręcznikiem, gdy usłyszał pukanie do drzwi.

- Diabelnie szybka obsługa - mruknął niezadowolony.

Ledwo zdążył założyć na głowę perukę i zrobić krok w kierunku pokoju, gdy usłyszał zgrzyt klucza w zamku i drzwi się otworzyły. Peter zakrył twarz ręcznikiem, udając, że ją wyciera.

- Proszę wejść - burknął poprzez ręcznik i nagle zastygł w drzwiach łazienki ze ściśniętym sercem.

Ubrana była w męską koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i dużymi kieszeniami na piersiach, wojskowe bryczesy koloru khaki opinały jej wąskie biodra. Na nogach miała brezentowe buty na miękkiej podeszwie. Ten niezwykle strój nosiła z tym samym wdziękiem, co szyte u paryskiego krawca suknie.

- Sir Stevenie - odezwała się, zamykając za sobą szybko drzwi - jestem Magda Altmann, spotykaliśmy się już wcześniej. Przyszłam, żeby pana ostrzec o śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Bujne, choć krótkie włosy utworzyły ciemną aureolę wokół głowy, a jej ogromne zielone oczy wyrażały głębokie zatroskanie.

- Musi pan natychmiast opuścić ten kraj. Mam tutaj prywatny samolot na pobliskim lotnisku.

Peter uchylił nieco rącznika.

- Dlaczego pani mi to mówi? I dlaczego mam pani wierzyć? - Zapytał szorstko.

Zauważył, że twarz jej pokrył rumieniec gniewu.

- Pan pcha swój nos w sprawy, których pan nie rozumie.

- Dlaczego pani chce mnie ostrzec? - Nalegał Peter.

- Dlatego, że... - Zawahała się na chwilę, a potem ciągnęła dalej zdecydowanie: - Dlatego, że jest pan bratem Petera Stride'a. Tylko dlatego nie chcę, żeby pan zginął.

Peter odrzucił rącznik, ściągając jednocześnie z głowy perukę, którą rzucił na stojące obok krzesło.

- Peter! - Zdumienie malowało się w jej oczach, a rumieńce gniewu zniknęły z twarzy. Jeszcze raz poczuł się zaskoczony jej niezwykłą urodą.

- Przestań się już dziwić - powiedział, a ona natychmiast podbiegła i zarzuciła mu ręce na szyję.

Przytuleni do siebie, trwali w milczeniu przez dłuższą chwilę. Potem odsunęła się od niego.

- Peterze, kochanie, nie mogę zostać z tobą dłużej. W ogóle podjęłam ryzyko, przychodząc tutaj do ciebie. Hotel jest pod obserwacją i wszystkie dziewczęta z centrali telefonicznej pracują dla Mossadu. Dlatego nie mogłam zadzwonić.

- Co możesz powiedzieć w tej chwili?

- Dobrze, ale obejmij mnie znów. Nie chcę stracić ani jednej minuty z czasu, który mamy dla siebie.

Na chwilę ukryła się w łazience, gdyż wszedł kelner z zamówioną whisky. Kiedy wyszedł, usiadła na kanapie obok Petera.

- Kwiat Kaktusa poinformował centralę Mossadu, że Steven chce się spotkać z Kalifem, żeby go zadenuncjować. Tyle wiedziałam do dnia wczorajszego, reszty się domyślałam. Przede wszystkim byłam zaskoczona faktem, że w raporcie Kaktusa jest mowa o Stevenie, a nie o tobie, Peterze - mówiła, głaszcząc jego opaloną, muskularną pierś. - Taka ewentualność nigdy mi nie przyszła do głowy nawet wtedy, gdy rozmawiałam z tobą o fakcie, że meldunek nie wymieniał imienia przy nazwisku Stride.

- Mnie również nie przyszła, dopóki nie opuściłem Les Neuf Poissons.

- Przypuszczałam, że musiałeś pójść z tą sprawą do Stevena i zdradzić mu źródło informacji. Byłam na ciebie wściekła, że uczyniłeś coś takiego. Ale pomyślałam, że będąc twoim bratem...

- Właśnie dlatego to zrobiłem...

- Peterze, przecież możemy dalej rozmawiać w łóżku mruknęła. - Tak dawno już nie byłam z tobą.

Leżeli spleceni ze sobą. Jej skóra paliła go jak gorący aksamit. Mówiła z ustami tuż przy jego uchu.

- O prośbie Stevena Kaktus dowiedział się prawdopodobnie dopiero od samego

Kalifa, nie mógł więc przeszkodzić mu wcześniej...

- Czy wiesz już może, kim jest Kwiat Kaktusa?

- Nie - pokręciła przecząco głową. - Wciąż jeszcze tego nie wiem. - Wędrowała palcami w dół jego brzucha.

- Przeszkadzasz mi myśleć - zaprotestował.

- Przepraszam. - Przeniosła rękę na jego policzek. W każdym razie Kalif polecił właśnie Kaktusowi zorganizować spotkanie ze Stevenem. Nie wiedziałam nic o tych przygotowaniach aż do momentu, kiedy zobaczyłam dziś nazwisko Stevena na liście imigracyjnej. Nie szukałam specjalnie, ale gdy je zobaczyłam, od razu domyśliłam się wszystkiego. Domyśliłam się, że Kaktus zwabił go tutaj po to, żeby zlikwidować. Przez trzy godziny dowiadywałam się, gdzie Steven ma zamiar się zatrzymać w Jerozolimie.

Przytuliła twarz do jego szyi, wzdychając ze szczęścia.

- Och, Peterze, tak bardzo mi ciebie brakowało.

- Słuchaj, kochanie. Musisz mi powiedzieć wszystko. Peter uniósł delikatnie ręką jej podbródek, żeby widzieć jej twarz i patrzeć w oczy. - Czy wiedziałś o tym, że Steven miał tutaj zostać zamordowany?

- Nie, ale byłby to logiczny krok Mossadu, który poczuwa się do obowiązku chronienia swojego agenta.

- Co jeszcze?

- Nic więcej.

- Jakie przygotowania poczyniono do spotkania Kalifa ze Stevenem?

- Nic nie wiem na ten temat - stwierdziła.

- Wciąż nie masz pojęcia, kim właściwie jest Kalif?

- Żadnego.

Wsparta na łokciu przyglądała mu się zachłannie.

- Kwiat Kaktusa musiał przygotować spotkanie zgodnie z poleceniem Kalifa. Nie mógł zlekceważyć rozkazu.

Magda skinęła głową w milczeniu.

- W związku z tym mamy prawo sądzić, że Kalif jest gdzieś blisko, bardzo blisko.

- Tak - skinęła ponownie, choć niechętnie.

- Znaczy to, że powinienem nadal udawać Stevena.

- Peterze, błagam, nie rób tego. Oni cię zabiją.

- Już próbowali to zrobić - stwierdził ponuro Peter, a następnie opowiedział jej historię zniszczenia mercedesa. Delikatnie dotknęła zadrapania na jego plecach, spowodowanego odłamkiem muru spadającym w czasie wybuchu.

- Oni cię nie dopuszczą do Kalifa.

- W tej chwili nie mają wyboru - odpowiedział Peter. Kalifowi zależy na spotkaniu, gdyż boi się o swoje bezpieczeństwo.

- Będą próbowali cię zabić - próbowała go powstrzymać.

- Być może, ale gotów jestem iść o zakład, że spotkanie z Kalifem odbędzie się już niedługo. Zabraknie im czasu na zorganizowanie drugiej takiej pułapki jak w mercedesie. Poza tym już nie mogą mnie zaskoczyć. Jestem zdecydowany robić swoje.

- Och, Peterze - zaczęła, lecz on zamknął jej usta pocałunkiem, uciszając protest.

- Przypuśćmy, iż Mossad się dowie, że nie jestem Stevenem Stride'em i że nie mam zamiaru denuncjować Kaktusa. Czy to mogłoby zmienić ich stosunek do mnie?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Nie wiem - odpowiedziała.

- Gdyby wiedzieli, że jestem Peterem Stride'em podszywającym się pod Stevena - nalegał - czy nie zainteresowałoby ich to na tyle, że nie przeszkadzaliby mi w spotkaniu z Kalifem?

- Czyżbyś sugerował, żebym złożyła odpowiedni meldunek Mossadowi?

- Czy mogłabyś to zrobić?

- Wielki, słodki Boże - szepnęła - przecież w ten sposób podpisałabym na ciebie wyrok śmierci.

- Albo ocaliłabyś mi życie.

- Doprawdy, nie wiem. - Usiadła w łóżku i palcami obu rąk przygładziła włosy. W przyćmionym świetle jej gładka skóra lekko opalizowała, a małe jędrne piersi zmieniały kształt, gdy unosiła i opuszczała w dół ramiona. - Och, Peterze, ja naprawdę tego nie wiem.

- To może być nasza jedyna szansa dotarcia do Kalifa nalegał, lecz na jej twarzy wciąż malowało się niezdecydowanie. - Kalif jest przekonany, że zabiłem ciebie. Sądzi, że przekazałem mu ostrzeżenie poprzez brata. W ten sposób uspiliśmy nieco jego czujność. Taka szansa może się już nigdy nie powtórzyć.

- Tak bardzo się o ciebie boję, Peterze. Boję się. - Podciągnęła pod siebie długie nogi, przyciągając kolana do piersi, jakby w geście rozpaczliwej samoobrony.

- Zrobisz to dla mnie? - Pytał łagodnie.

- Chcesz, żebym zdradziła Mossadowi twoją tożsamość, żebym powiedziała im, że nie zamierzasz zadenuncjować Kaktusa, tylko masz jakiś inny, nieznan mi cel...

- O to właśnie chodzi - potwierdził.

Odwróciła głowę i popatrzyła na niego badawczo.

- Uczynię to w zamian za twoją obietnicę - postanowiła.

- Jaką?

- Jeśli z rozmowy z moim nadzorcą wywnioskuję, że twoje życie wciąż jest w niebezpieczeństwie, że mają zamiar nie dopuścić do twojego spotkania z Kalifem, obiecaj mi, że wtedy zrezygnujesz z tego spotkania i natychmiast udasz się na lotnisko, gdzie oczekuje cię mój leara.

- A czy będziesz ze mną uczciwa? - Zapytał. - Czy uczciwie ocenisz reakcję Mossadu? Jeśli pozostanie choćby mała szansa dotarcia do Kalifa, zgodzisz się na

wykorzystanie jej?

Skinęła twierdząco głową, lecz jemu to nie wystarczyło.

- Przysięgnij, że dotrzymasz słowa!

- Nie będę próbowała ci przeszkodzić, dopóki tylko będzie istniała szansa na sukces.

- Przysięgnij, Magdo.

- Przysięgam na moją miłość do ciebie - oświadczyła spokojnie, a on odetchnął z ulgą.

- Ze swej strony przyrzekam, że jeśli nie będzie szansy na spotkanie z Kalifem, odleczę stąd twoim learem.

Odwróciła się do niego, obejmując ramionami.

- Kochaj mnie, Peterze! Teraz! Szybko! Należy mi się to.

Ubierając się, wyjaśniała mu, w jaki sposób nawiąże z nim kontakt następnego dnia.

- Nie mogę dzwonić do ciebie, już ci mówiłam dlaczego - oznajmiła, sznurując brezentowe buty. - Przez cały czas nie wolno ci opuszczać tego pokoju. W razie niebezpieczeństwa przyślę kogoś do ciebie. To będzie ktoś, komu ufam. Powie ci po prostu: „Magda mnie przysłała”, a ty powinienes z nim pójść. Zawiezie cię do mojego samolotu.

Stała wyprostowana, zapinając na biodrach skórzany pas.

Następnie podeszła do lustra, żeby doprowadzić do porządku zwichrzone włosy.

- Jeśli nie otrzymasz ode mnie żadnego sygnału, będzie to oznaczało, że istnieje szansa dotarcia do Kalifa. - Przerwała, żeby po chwili zwrócić się do niego z zatroskanym wyrazem twarzy. - Czy jesteś uzbrojony, Peterze? - Patrzyła na niego w lustrze, poprawiając włosy.

Pokręcił głową.

- Mogę dla ciebie zdobyć jakąś broń: nóż albo pistolet?

Ponownie pokręcił głową.

- Zanim mnie dopuszczą do Kalifa, najpierw dokładnie przeszukają. Jeśli znaleźliby broń... - Nie musiał nawet kończyć swojej myśli.

- Masz rację - zgodziła się.

Odwróciła się do niego, zapinając koszulę i chowając wciąż jeszcze nabrzmiałe sutki.

- To wszystko skończy się teraz na pewno bardzo szybko. Sądzę, że do jutrzejszego wieczoru. Czuję to tutaj. - Dotknęła palcem miejsca między wzgórkami piersi, które rozpychały koszulę. - A teraz pocałuj mnie. Zbyt długo byłam sama dla naszego wspólnego bezpieczeństwa.

Mimo wielkiego zmęczenia Peter spał niewiele. W ciągu nocy budził się

kilkanaście razy, napięty i czujny. Wstał o świcie i zamówił przez telefon typowe izraelskie śniadanie, składające się z owocowej sałatki, jajek na twardo i filiżanki kawy. Następnie usiadł w fotelu i czekał.

Koło południa zaczął nabierać pewności, że Mossad postanowił nie przeszkadzać w jego spotkaniu z Kalifem. Gdyby Magda miała jakiegokolwiek wątpliwości, niechybnie posłałaby po niego. Zjadł w pokoju lekki posiłek.

Stojące w samym zenicie jaskrawe słońce powoli zaczęło spęłzać w dół, a u podnóża palm rozprzestrzeniały się chłodzące rozpaloną ziemię cienie. Znużony upałem Peter wciąż czekał cierpliwie.

Godzinę przed zachodem słońca zadzwonił telefon. Zdziwił się, lecz natychmiast podniósł słuchawkę.

- Dobry wieczór panu. Pański kierowca czeka na dole powiadomiła go recepcjonistka.

- Dziękuję. Proszę mu powiedzieć, że zaraz schodzę.

Był już ubrany i przygotowany do wyjścia. Zamknął swoją walizkę w kredensie, a następnie ruszył długim korytarzem w kierunku windy. Wciąż jeszcze nie wiedział, czy idzie na spotkanie z Kalifem, czy też udaje się na lotnisko, by uciec z Izraela.

- Pański samochód czeka przed gmachem - poinformowała go ładna dziewczyna w recepcji. - Przyjemnego wieczoru!

- Liczę na to - odpowiedział Peter. - Dziękuję pani.

Był to niewielki samochód japońskiej marki, za kierownicą siedziała starsza siwowłosa kobieta, brzydka jak Golda Meir, choć o przyjemnym wyrazie twarzy.

Peter zajął miejsce z tyłu i czekał, aż kobieta powie: „Magda mnie przysyła”. Zamiast tego usłyszał grzeczne: *szalom, szalom*. Kobieta uruchomiła silnik, włączyła światła i ruszyła w nieznaną.

Sunęli spokojnie po zewnętrznej stronie murów starego miasta w stopniowo gęstniejącym mroku. Nad murami wznosiły się eleganckie nowe budynki dzielnicy żydowskiej.

Gdy Peter był tutaj ostatnio, cały ten teren stanowił jedno wielkie rumowisko świadomie burzonych przez Arabów domów mieszkalnych.

W odbudowie tej świętej dzielnicy judaizmu znalazła swój wyraz jakby kwintesencja ducha tego niezwykłego narodu, myślał Peter.

To, co oglądał, było wdzięcznym tematem do nawiązania rozmowy. Podzielił się zatem swoimi spostrzeżeniami z milczącą dotąd kobietą. Odpowiedziała coś po hebrajsku, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że nie mówi po angielsku. Spróbował po francusku, ale rezultat był ten sam. Widocznie polecono jej trzymać język za zębami.

Noc już zapadała, gdy jechali wokół podnóża Góry Oliwnej, pozostawiwszy za sobą ostatnie zabudowania arabskich osiedli. Samochód sunął z wciąż niezmienną szybkością, zjeżdżając w pewnym momencie w płytką dolinę otoczoną niewysokimi,

pozbawionymi roślinności i niezamieszkanymi wzgórzami.

Na czystym niebie nie widać było najmniejszej chmurki ani mgiełki, gwiazdy świeciły jasno, a resztki dnia gasły za nimi na zachodzie.

Droga była bardzo dobrze oznakowana również za miastem. Jechali na wschód, w kierunku Jordanu, Morza Martwego i Jerycha. Minęło już dwadzieścia pięć minut, odkąd wyruszyli z hotelu. W światłach reflektorów Peter zauważył po prawej stronie drogi napisy w języku angielskim, arabskim i hebrajskim informujące, że wjeżdżają w dolinę Morza Martwego leżącą w depresji.

Peter ponownie podjął próbę nawiązania rozmowy z prowadzącą samochód kobietą, ale ta odpowiadała tylko monosylabami. Właściwie, pomyślał, ona i tak nie powiedziałaaby nic, co mogłoby mnie zainteresować. Auto należało do jakiegoś przedsiębiorstwa wynajmującego samochody. Na masce można było odczytać jego nazwę, adres i wysokość opłat. Z pewnością wszystko, co kobieta wiedziała, to gdzie miała dojechać. Peter zaniechał więc dalszych starań wciągnięcia jej do rozmowy, ale nadal był czujny. Nie poruszając się w sposób widoczny, wykonywał typowe dla skoczków spadochronowych ćwiczenia poprzedzające skok z samolotu, a mające na celu utrzymanie mięśni w stanie pełnej gotowości do nagłej akcji.

Dojeżdżali właśnie do skrzyżowania, kierowca, zwalniając, zasygnalizował skręt w lewo. W światłach samochodu Peter odczytał na drogowskim znaku, iż znaleźli się na drodze prowadzącej od Morza Martwego w kierunku Jerycha i dalej wzdłuż doliny Jordanu, ku leżącej na północy Galilei.

Stopniowo zza wysokich, otaczających dolinę wzgórz wyłonił się księżyc, oświetlając słabym światłem pustynną okolicę.

Kierowca ponownie zwolnił tempo jazdy, gdyż zbliżali się do Jerycha, najstarszego chyba ludzkiego osiedla na ziemi. Przed ponad sześciu tysiącami lat ludzie osiedlili się tutaj i zbudowali miasto otoczone potężnymi murami. Mury, które obalił Jozue, dmąc w swój róg barani, odkopali niedawno archeolodzy.

- Diabelski sposób - odezwał się głośno Peter. - Lepszy niż bomba atomowa.

Przed samym miastem skręcili w bok z głównej drogi. Jechali teraz wolno wąską drugorzędną drogą, między rzadko rozrzuconymi budynkami, w których mieściły się kioski z pamiątkami, małe arabskie kawiarnie i sklepiki z antykami.

Droga wspięła się do góry, posuwali się więc coraz wolniej. Na szczycie wzniesienia znowu skręcili, tym razem na zwykły trakt. Peter poczuł, że wnętrze samochodu wypełnił nagle pył wapienny.

Po przejechaniu traktem pół mili zobaczyli przed sobą na środku drogi przymocowaną do drewnianego kozła tablicę z napisem: „Strefa wojskowa. Wstęp wzbroniony”. Kierowca był zmuszony zjechać na sam skraj skalistej drogi, żeby wyminąć tablicę. Nigdzie nie było widać wartowników, którzy by egzekwowali zakaz.

Nagle Peter spostrzegł wznoszącą się przed nimi niemal prostopadle wielką czarną ścianę skalną, zasłaniającą prawie połowę gwiazdzistego nieba. Coś odżyło w jego

pamięci.

Wzmianka o wysokiej skale nad Jerychem, widocznej z daleka w dolinie Morza Martwego. Tak, przypomina sobie scenę kuszenia Chrystusa przez szatana w Piśmie Świętym. Jak to zapisał Mateusz? Peter wydobył z pamięci cały cytat:

„Znowu wziął go diabeł na bardzo wysoką górę i pokazał mu wszystkie królestwa świata oraz chwałę ich... „,

Czyżby Kalif umyślnie wybrał na spotkanie właśnie to miejsce, ze względu na związane z nim mistyczne skojarzenia i ze względu na swoje skłonności do uprawiania własnego wizerunku w ramy na wpół religijne?

„Aniołom swoim przykaże o tobie, aby cię strzegli, i na rękach nosić cię będą... „,

Czy rzeczywiście Kalif uważał siebie za pomazańca bożego, powołanego do zaprowadzenia nowego porządku na świecie? Na samą myśl o tak wielkim szaleństwie, o tak groźnej dla całej ludzkości wizji Peter poczuł obezwładniający go lęk, który spadł na niego jak sieć rzymskiego gladiatora, krępując wolę i zdecydowanie. Toczył wewnętrzną walkę, usiłując wyzwolić się z ogarniającego go przerażenia.

Samochód nagle zatrzymał się, kobieta odwróciła się do niego, zapalając wewnątrz światło. Patrzyła przez chwilę w milczeniu. Peter zastanawiał się, czy na jej twarzy nie malowało się przypadkiem współczucie.

- To tutaj - powiedziała łagodnie.

Peter wyciągnął portfel z wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Nie - pokręciła głową. - Pan nie jest mi nic winien.

- *Toda raba* - Peter podziękował swoją szczątkową hebrajszczyzną i otworzył drzwi samochodu.

Pustynne powietrze było spokojne i chłodne, czuło się specyficzny zapach rosnących obok drogi kolczastych krzewów.

- *Szalom* - pożegnała go kobieta przez uchylone okno, a następnie zawróciła. Reflektory najpierw wydobyły z ciemności mały lasek palm daktylowych, a potem skierowały się na otwartą pustynię. Nabierając powoli szybkości, samochód oddalił się w kierunku, z którego przyjechali.

Peter odwrócił się tyłem do odjeżdżającego pojazdu, przyzwyczajając stopniowo oczy do ciemności, w których jedynym źródłem światła był księżyc i świecące jasno na czystym niebie gwiazdy.

Po kilku minutach zdecydował się iść prosto w stronę gaju palmowego. Stamtąd dolatywał do niego zapach dymu unoszącego się lekkim obłokiem nad drzewami. Gdzieś w głębi rozległo się żalosne meczenie kozy, a następnie przeciągły płacz dziecka. W oazie musiało być obozowisko Beduinów. Szedł w tym kierunku i nagle znalazł się na dużej polanie. Ziemia była tu zdeptana kopytami licznych zwierząt, potknął się więc o jakąś nierówność.

Na środku polany stała kamienna studnia z prymitywnym kołowrotkiem. Obok

studni majaczył jakiś ciemny niekształtny obiekt, którego Peter początkowo nie mógł rozpoznać.

Szedł ostrożnie w kierunku studni, a serce biło mu w piersi jak oszalałe.

Była to postać ludzka w długiej, luźnej sukni, która spływała fałdami aż do samej ziemi. Gdy zatrzymała się przed Peterem w odległości pięciu kroków, spostrzegł, że na głowie ma mnisi kaptur, który zakrywał jej twarz do tego stopnia, iż zamiast niej widać było tylko czarny otwór.

- Kim pan jest? - Zapytał głosem, który zazgrzytał w jego własnych uszach. Mnich nic nie odpowiedział, ruchem ręki nakazał mu pójść za sobą po czym odwrócił się i ruszył między drzewa.

Peter poszedł za nim, przyśpieszając kroku, żeby nie stracić go z oczu. Jego lekkie, miejskie obuwie nie było przystosowane do poruszania się po piaszczystym gruncie, pokrytym gęsto odłamkami skał.

Kiedy wyszli z gaju, przed oczami Petera roztoczył się niecodzienny widok. Niby wielka kaskada spadającego gdzieś z nieba czarnego kamienia, olbrzymia skała przesłaniała im niebo i horyzont.

Mnich prowadził go szybko wąską i kamienistą dróżką. Peter stwierdził, że gdyby chciał skrócić dzielący ich dystans, musiałby pobiec za nim truchtem. Przewodnik wyglądał na krępego i tęgiego mężczyznę, jednak poruszał się zręcznie i lekko.

W końcu dotarli do skały i weszli na prowadzącą w górę krętą ścieżkę, pokrytą drobnym łupkiem i suchą ziemią. Stopniowo pochyłość stawała się coraz bardziej stroma, a pod nogami pojawił się twardy, czysty kamień. Z jednej strony Peter miał teraz głęboką, niemal prostopadłą przepaść w dolinę, z drugiej skała wychylała się, spychając go na krawędź ścieżki.

Mnich cały czas go wyprzedzał, szybki i niestrudzony, stąpając cicho po wykutych w skale stopniach. Nie było słyhać, żeby oddychał ciężko. Człowiek takiej postury i wytrzymałości musiał być bardzo silny. Nie poruszał się wcale jak sługa boży, przyzwyczajony do spędzania czasu na modlitwie. Czuło się w nim mężczyznę, który potrafiłby stanąć do walki wręcz. Jednak ten niezwykły mnich w służbie u Kalifa nie był już żadnym zaskoczeniem dla Petera.

Im wyżej się wznosili, tym wspanialsza była roztaczająca się pod nimi, widoczna w świetle księżyca panorama pustyni i gór z olbrzymią tarczą Morza Martwego pośrodku, nabijaną odblaskiem gwiazd niby srebrnymi gwoździemi.

„Wszystkie królestwa świata oraz chwałę ich... „ - myślał Peter.

Wspinali się wciąż w górę bez chwili odpoczynku.

Jak wysoko się już znajdujemy, zastanawiał się Peter, chyba około trzystu metrów, a może ponad czterysta? Oddychał wciąż głęboko i równomiernie, nie czuł się wyczerpany wspinaczką a lekki pot na czole chłodził nocny powiew.

Wyczuł w powietrzu jakiś znajomy zapach. Był zawsze bardzo wrażliwy na różne zapachy, szczególnie jednak na woń tytoniu. Ten, który teraz poczuł, coś lub kogoś

mu przypominał, nie potrafił jednak uprzytomnić sobie, co lub kogo. Myśl o tym początkowo nie dawała mu spokoju, ale rychło ją porzucił, gdy poczuł silniejsze zapachy, towarzyszące zazwyczaj obecności większej społeczności ludzkiej, dymu i rozkładających się odpadków kuchennych oraz ścieków.

Dawno temu oglądał zdjęcia starego klasztoru zbudowanego na szczycie tych imponujących skał-grot i podziemnych sal wykutych w kamieniu przez ludzi, którzy nie żyją już od tysiąca z górą lat.

Jeszcze trzydzieści metrów stromego wzniesienia pokonał Peter wraz ze swoim przewodnikiem, by na koniec znaleźć się nagle przed kamienną wieżą stanowiącą część potężnej fortyfikacji. Do wnętrza wieży prowadziły wysokie na trzy i pół metra, zamykane na żelazne zasuwę, drewniane drzwi.

Gdy tylko stanęli przed drzwiami, natychmiast otwarły się przed nimi. Weszli do wąskiego kamiennego korytarza, słabo oświetlonego przez jedyną, umieszczoną w niewielkiej niszy latarnię. Dwie stojące tuż za progiem postacie podeszły do Petera, który w pierwszym odruchu chciał przyjąć obronną postawę, szybko jednak zreflektował się i stał spokojnie z uniesionymi nieco rękami. Dwaj mężczyźni z dokładnością specjalistów przeszukali go, sprawdzając, czy nie ma broni. Obaj byli ubrani w wojskowe kombinezony, na nogach mieli brezentowe buty skoczków spadochronowych. Głowy owinęli dokładnie wełnianymi szalikami, spod których wyzierały tylko oczy. Na ramionach nosili zawieszane na pasach pistolety maszynowe. Nic nie znalazłszy, wyprostowali się, a mnich mógł dalej poprowadzić Petera poprzez labirynt wąskich korytarzy. Skądś dochodziły odgłosy zbiorowej modlitwy i mszy odprawianej według greckoortodoksyjnego obrządku.

Zarówno te odgłosy, jak i zapach płonących kadzideł z cedrowego drewna przybrały na sile, gdy mnich wprowadził Petera do wykutej w skale, słabo oświetlonej nawy kościelnej.

Siedzący w ławach z wysokimi oparciami starzy zakonnicy wyglądali jak zabalsamowane mumie. Pomarszczone, zniszczone przez nieubłagany czas twarze zarośnięte były bujnymi brodami. W panującym półmroku połyskiwały tylko ich oczy i złocenia na wiszących starych ikonach.

Peter i przebrany mnich szybko prześliznęli się między nimi, pogrążając się w nieprzeniknionych ciemnościach panujących w tylnej części kościoła. W pewnym momencie przewodnik zniknął mu z oczu, jednak już po chwili Peter spostrzegł za odsuniętą na bok ławą ukryty w skale otwór. Wszedł ostrożnie do środka. Było tu zupełnie ciemno, ale natychmiast natrafił na strome, wykute w skale stopnie. Krętymi schodami wspinał się do góry, licząc je. Było ich prawie pięćset, każdy około piętnastu centymetrów wysokości.

Nagle Peter znalazł się na brukowanym dziedzińcu, pod gwiaździstą kopułą nieba, z prostopadłą ścianą skalną z jednej strony i niskim kamiennym murem chroniącym przed upadkiem w przepaść - z drugiej. Uświadomił sobie, że miejsce to wyjątkowo

dobrze nadaje się do obrony. Jednakże było tu kilku strażników, dwu spośród nich podeszło i zaczęło go ponownie obszukiwać.

Tymczasem Peter rozglądał się wokoło. Dziedziniec leżał na skraju przepaści jak orle gniazdo, mur ochronny miał tylko półtora metra wysokości. Liczne wejścia wykute w skalnej ścianie prowadziły do pomieszczeń, prawdopodobnie służących mnichom za miejsca odosobnienia.

Po dziedzińcu kręciło się jeszcze kilku innych mężczyzn jednakowo umundurowanych. Wszyscy mieli tak samo, na wzór arabski, okręcone szalami głowy. Dwóch z nich trzymało w ręku latarki sygnalizacyjne.

Peter uprzytomnił sobie, że latarki służyły do przekazywania sygnałów samolotom. Ale przecież tu, na samym skraju przepaści, żaden samolot nie mógłby wylądować. Jedynie helikopter dokonałby tej sztuki. Tak więc z całą pewnością latarki miały służyć do pokierowania lotem helikoptera.

Na zakończenie rewizji osobistej strażnik sprawdził sprzączkę paska, pociągając za nią, żeby się upewnić, czy przypadkiem nie służy za rączkę ukrytego ostrza. W końcu zezwolił na przejście.

Przy wejściu do jednej z kamiennych cel czekał cierpliwie przewodnik. Peter, schyliwszy się nieco, gdyż otwór był niski, wszedł do środka.

W celi panował półmrok. Jedynym źródłem światła była lampa naftowa wisząca w małej niszy nad wąskim łóżkiem. Oprócz tego pod ścianą stał stół zбитy z niemalowanych desek, a na nim krucyfiks, i nic poza tym.

Wyciosany w kamieniu występ skalny służył za półkę dla kilkunastu oprawionych w skórę, lecz mocno już zniszczonych ksiąg i kilku naczyń. Ten sam występ był jednocześnie ławką, na której usiadł Peter, zaproszony przez mnicha. On sam stanął przy wejściu, ukrywając ręce głęboko w szerokich rękawach szaty zakonnej, z twarzą wciąż ukrytą w cieniu kaptura.

Zapadła całkowita, choć pełna napięcia cisza.

Nagle Peter ponownie poczuł znajomy zapach, uprzytamniając sobie jednocześnie, że pochodzi on od mnicha. Ku swojemu najwyższemu zdumieniu rozpoznał tę woń.

Odtąd wiedział już, kim był tajemniczy mężczyzna w kapturze. Owa świadomość sparaliżowała go na pewien czas. Zapach, który rozpoznał, był aromatem kosztownych holenderskich cygar. Od tej chwili nie odrywał oczu od mnicha.

W powietrzu dał się słyszeć jakiś dźwięk, jakby trzepot skrzydeł ćmy o szkło latarni. Mnich drgnął i nadstawił uszu.

Tymczasem Peter ważył w myślach swoje szanse. Mnich, pięciu uzbrojonych mężczyzn na dziedzińcu, nadlatujący helikopter...

Mnich był najbardziej niebezpieczny. Teraz, kiedy Peter już wiedział, kim jest, zdawał sobie sprawę, że to najlepiej wyszkolony i wytrenowany przeciwnik, z jakim kiedykolwiek miał do czynienia.

Pięciu mężczyzn na dziedzińcu. Peter doznał nagle olśnienia. Oni przecież się nie

liczą To było bardzo proste. Kalif nigdy by się nie zgodził, żeby ktoś, oprócz osób najbardziej zaufanych i tych, które potem muszą umrzeć, mógł go zobaczyć. Dlatego odesłał tamtych ludzi. Będą w pobliżu, ale nieprędko włączą się do akcji.

Zostali więc tylko mnich i Kalif. Był pewien, że to Kalif leci w tej chwili helikopterem na spotkanie. Dochodzący z zewnątrz hałas świadczył o tym, że maszyna jest już wprost nad nimi. Po raz pierwszy uwaga mnicha była skupiona nie na Peterze, lecz na tym, co działo się na zewnątrz.

Dał się słyszeć przenikliwy świst rotorów lądującego prostopadle na niewielkim dziedzińcu helikoptera, a przez otwarte drzwi wdzierał się do celi oślepiający blask jego świateł.

To był właśnie moment, na który Peter czekał. Gdy mnich odwrócił głowę, rzucił się na niego. Dzielili ich odległość trzech metrów. Huk lądującej maszyny zagłuszył kroki, ale jakiś instynkt ostrzegł mnicha, który w ostatniej chwili pochylił głowę, czym zmusił Petera do zmiany ciosu. Zamiast śmiertelnego ciosu w kark zadał on przeciwnikowi paraliżujący cios w prawe ramię. Mimo panującego hałasu Peter usłyszał krótki trzask pękającego obojczyka. Wtedy lewą ręką chwycił w łokciu złamane ramię i wykręcił je tak gwałtownie, że oba końce złamanej kości zgrzytnęły w zwarciu, tnąc jednocześnie ostrymi szczerbami żywe ciało. Mnich wrzasnął przeraźliwie i zwinął się wpół. Szok sparaliżował zupełnie jego potężne ciało, które bezwładnie osunęło się na Petera. Ten użył całej siły, żeby podtrzymać padającego przeciwnika, a następnie uderzył jego głową o kamienną ścianę. Po tym ciosie mnich upadł twarzą na ziemię.

Peter szybko odwrócił go, zdzierając z niego szatę zakonną, pod którą kryło się umundurowanie żołnierza Thoru i buty skoczka spadochronowego. W przymocowanej do pasa kaburze tkwił pistolet. Peter odpiął kaburę i wyjął z niej broń, odbezpieczając ją. Była nabita kulami velex.

W efekcie upadku kaptur odsłonił twarz Colina Noble'a. Jego szerokie usta, teraz lekko rozchylone, ciemne, palące oczy, w których widać było przeżyty szok, duży, złamany nos boksera to tak znajome Peterowi rysy niedawnego towarzysza broni.

Z ciętej rany na głowie przez czoło i skroń płynął strumyk krwi. Był jednak przytomny.

Peter przyłożył mu lufę brauninga do nasady nosa. Kula velex powinna roztrzaskać czaszkę. W trakcie walki Peter zgubił perukę. Po wyrazie oczu Colina spostrzegł, że ten go nagle rozpoznał.

- Peterze! Nie! - Wychrypiał rozpaczliwie. - Jestem Kwiatem Kaktusa!

Zaskoczony Peter zdjął palec z cyngla. Po krótkiej chwili rozterki zostawił Colina na kamiennej posadzce, a sam, pochyliwszy się w niskim przejściu, wyszedł z celi.

Helikopter wylądował właśnie na dziedzińcu. Był to pięcioosobowy bell jet ranger w niebieskich i złotych barwach dowództwa Thoru. Na jego boku widoczny był emblemat Thoru oraz duży napis: THOR COMMUNICATIONS.

Pilot siedział jeszcze na swoim miejscu, ale pasażer opuścił już kabinę i szedł w kierunku celi. Mimo iż był pochylony pod wciąż wirującymi śmigłami, Peter nie mógł się mylić. Pęd powietrza zwichrzył bujną grzywę szpakowatych włosów na dostojnej głowie, a światła lądowania padały na jego sylwetkę, jak reflektory na głównego aktora w szekspirowskiej tragedii. Kiedy wyszedł spod wirujących śmigieł i wyprostował się, spostrzegł Petera.

Kingston Parker, bo to był on, rozpoznał go natychmiast i zatrzymał się w miejscu jak stary, nagle osaczony lew.

- Kalif. - Zawołał Peter ostrym głosem, pozbywając się w tym momencie wszelkich wątpliwości.

Kingston Parker niewiarygodnie szybko, jak na człowieka jego postury, odwrócił się i zaczął uciekać. Stał już w drzwiach kabiny helikoptera, gdy Peter strzelił. Kula trafiła w plecy, nie był to jednak strzał śmiertelny i Peter o tym wiedział. Tymczasem helikopter zdążył już wystartować i oderwać się od kamiennej platformy dziedzińca.

Peter podbiegł do otaczającego dziedziniec muru i wskoczył na jego grzbiet. Jet ranger unosił się wprost nad nim, błyskając białym podbrzuszem jak rekin ludojad i oślepiając go światłami.

Zaczął się oddalać od skały.

Peter ujął pistolet w obie ręce i strzelał w górę, celując w mieszczący się w tylnej części maszyny zbiornik paliwa.

Widział, jak kolejne pociski przebijały metalowe podbrzusze helikoptera, który jednak wciąż się od niego oddalał. Magazynek brauninga był już niemal pusty, lecz Peter wciąż liczył oddawane strzały. Jedenaście, dwanaście, i nagle niebo nad nim rozbłysło płomieniami, a powietrzem wstrząsnął potężny wybuch.

Jet ranger przewrócił się brzuchem do góry i płonąca maszyna, wyjąc, runęła w ciemną przepaść.

Peter odwrócił się teraz w stronę dziedzińca. Od bramy biegła w jego kierunku grupa uzbrojonych ludzi. Byli to żołnierze Thoru. Doborowi ludzie, których sam wyszkolił. W brauningu miał tylko jedną ostatnią kulę. Z małą szansą na sukces usiłował dotrzeć do wejścia na schody, które w tej chwili stanowiły dla niego jedyną drogę ocalenia.

Jak linoskoczek biegł po wąskim grzbiecie muru, oddając ostatni strzał w kierunku prześladowców w nadziei powstrzymania pogoni choć na chwilę. W pewnym momencie potknął się i zaczął spadać. Jednocześnie rozległy się strzały i poczuł, że został trafiony.

Słyszał jeszcze uderzenia kul, przypominające odgłosy ciosów pięści boksera ćwiczącego z gruszką. Następnie stoczył się w bezdenną ciemność.

Sądził, że będzie spadał długo w liczącą trzysta metrów głębokości przepaść, na dnie której wciąż jeszcze płonął rozbity helikopter. Los zrządził inaczej. Spadające ciało zawisło na gałęziach kolczastych zarośli, które znalazły miejsce do życia na

wąskim skalnym występie, zaledwie trzy metry poniżej muru.

Wisiał więc nad przepaścią, tracąc powoli resztki świadomości. Zanim pogrążył się w absolutny mrok, zdążył jeszcze usłyszeć wściekły ryk Colina Noble'a skierowany do ludzi:

- Nie strzelać! Zaprzestać ognia!

W ciemnościach, które go ogarnęły, Peter miał chwilami przebłyski świadomości. Pamiętał moment, gdy na lekkich wojskowych noszach Thoru wnoszono go bezwładnego do samolotu. Przypominał sobie także wnętrze kabiny prywatnego odrzutowca Magdy Altmann. Rozpoznał ręcznie wykonane malowidła na suficie. Nad nim wisały butelki z plazmą. Krew miała piękny rubinowy kolor, przypominający czerwone wino w kryształowych kielichach. Gdy opuścił wzrok na dół, dostrzegł rurki podłączone do grubych błyszczących igieł wbitych w jego ramiona. Przede wszystkim czuł śmiertelne znużenie, zamknął więc oczy i zapadł w sen.

Kiedy ponownie je otworzył, ujrzał nad sobą sufit długiego, jasno oświetlonego korytarza. Czuł, że go wiozą, słyszał wyraźnie skrzypienie kół wózka. Ktoś obok mówił po francusku, a szczupłe, tak dobrze znane mu ręce trzymały nad nim butelkę z piękną jasną krwią. Odwrócił lekko głowę i ujrzał jak przez mgłę twarz Magdy.

- Kocham cię - powiedział, ale nie usłyszał własnego głosu i wtedy uprzytomnił sobie, że jego wargi nie poruszają się. Czuł tak ogromne zmęczenie, że znowu zamknął oczy.

- Czy jego życie jest zagrożone? - Usłyszał głos Magdy, mówiący charakterystyczną dla niej melodyjną francuszczyzną.

- Kula utkwiała w pobliżu serca, musimy ją natychmiast usunąć - padła odpowiedź.

Potem poczuł ukłucie igły, dziwny smak w ustach i nagle znów pogrążył się w ciemności.

Gdy powrócił stamtąd, pierwszym przykrym uczuciem była trudność w oddychaniu z powodu bandaży, które krępowały jego pierś.

Zaraz potem zobaczył Magdę Altmann, piękną jak zawsze. Miał wrażenie, jakby nie odstępowała od niego przez cały czas, gdy był nieprzytomny. Jej twarz jaśniała radością. Zauważyła, że wrócił do przytomności.

- Dziękuję ci - szepnęła. - Dziękuję ci, że wróciłeś do mnie, kochany.

Potem był pokój w La Pierre Bénite, z jego połączanym sufitem i widokiem na spadające tarasami ku jezioru rozległe trawniki. Drzewa nad jeziorem pyszniły się świeżą bujną zielenią liści, a powietrze było przesycone tchnieniem wiosny i obietnicą nowego życia. Magda, która spędzała przy nim większość dnia, zastawiła cały pokój kwiatami w doniczkach.

- Jak cię powitano, gdy powróciłaś do swojego gabinetu w zarządzie Altmann Industries? - Zapytał ją pewnego razu.

- Nastąpiła całkowita konsternacja, *chéri* - zachichotała wesoło. - Wcześniej podzielono już łupy.

Ósmego dnia pobytu Petera w La Pierre Bénite przybył w odwiedziny Colin Noble. Peter mógł już siedzieć w fotelu przy oknie, a przy nim czuwała wciąż Magda, troszcząc się, żeby się nie przemęczył.

Colin wyglądał jak owczarek z Przełęczycy Świętego Bernarda. Obandażowane starannie prawe ramię spoczywało na temblaku.

Dotknął go zdrową ręką.

- Gdybym wiedział, że to byłeś ty, nie sir Steven, nie spuściłbym z ciebie oczu ani na chwilę - powiedział, uśmiechając się łagodnie.

Peter zeszywniał nagle i pobladł. Magda położyła mu dłoń na ramieniu.

- Spokojnie, Peterze - szepnęła.

- Powiedz mi jedno - wychrypiał. - Czy to ty zorganizowałeś porwanie Melissy Jane?

- Daję ci słowo, że to nie ja. - Colin potrząsnął przecząco głową. - Parker posłużył się do tego innym agentem. Nie miałem o niczym pojęcia.

Peter patrzył na niego wciąż napięty.

- Dopiero po odbiciu przez nas Melissy Jane dowiedziałem się, że to była sprawka Kalifa. Gdybym wcześniej znał jego zamiary, nie dopuściłbym do tego. Kalif chyba zdawał sobie z tego sprawę i dlatego powierzył zadanie komu innemu. Colin cały czas mówił szybko, jakby ponaglany.

- Co Parker chciał przez to osiągnąć? - Głos Petera był nieco świszczący.

- Miał trzy cele. Po pierwsze, chciał cię utwierdzić w przekonaniu, że nie on jest Kalifem. Dlatego przekazał ci żądanie, abys go zabił. Oczywiście, nie dopuściłby do tego. Potem pozwolono ci odbić córkę. To sam Kalif zdradził nam nazwisko O'Shaughnessy'ego i wskazał jego kryjówkę. Następnie zostałeś nastawiony przeciwko Magdzie Altmann. - W tym momencie Colin spojrzał na nią przepaszająco. - Gdybyś ją zabił, uzależniłbyś się na zawsze od Kalifa.

- Kiedy dowiedziałeś się tego wszystkiego? - Wypytywał Peter.

- Następnego dnia po odnalezieniu Melissy Jane. Wtedy jednak nie mogłem już nic zrobić, jeśli nie chciałem się zdradzić jako Kwiat Kaktusa. Mogłem jedynie ostrzec Magdę za pośrednictwem Mossadu.

- To prawda - spokojnie potwierdziła Magda.

Powoli napięcie opuszczało Petera.

- Kiedy Kalif mianował cię swoim głównym zastępcą? - Zapytał już nieco łagodniejszym głosem.

- Wtedy, kiedy przejąłem po tobie dowództwo Thoru. On tobie nigdy nie ufał i dlatego sprzeciwiał się twojej nominacji na dowódcę Thoru, a potem chętnie skorzystał z pierwszej okazji, żeby się ciebie pozbyć. Z tego też powodu zorganizował zasadzkę na drodze do Rambouillet. Dopiero gdy ta próba zamachu na ciebie się nie

powiodła, docenił twoją wartość i przydatność.

- Czy inni dowódcy jednostek Atlasu: Tanner z Merkurego i Peterson z Diany, byli również zastępcami Kalifa?

- Cała nasza trójka. Tak!

Zapadła chwila milczenia.

- Czy jeszcze chciałbyś coś wiedzieć, Peterze? - Zapytał Colin. - Masz jeszcze do mnie jakieś pytania?

- Na razie żadnych. - Peter pokręcił głową, wyraźnie zmęczony. - Być może później.

Colin spojrzał pytająco na Magdę Altmann.

- Czy on jest już dość silny, żebym mógł mu powiedzieć o pozostałych sprawach?

Przez chwilę wahala się.

- Dobrze - postanowiła. - Proszę mówić.

- Atlas został pomyślany jako tajna broń zachodniej cywilizacji, cywilizacji zniewieściałej, coraz częściej bezsilnej wobec swoich wielu wrogów. Zadaniem Atlasu jest przede wszystkim przeciwstawienie się przemocy i terrorowi. Wspiera się na łańcuchu, który stworzyli między sobą najpotężniejsi przedstawiciele różnych narodów, na czele których stanął Kalif, jako wykonawca ich woli. Atlas jest organizacją stojącą ponad narodowymi granicami i ma za główny cel ochronę zachodniej cywilizacji. Ta organizacja wciąż jeszcze istnieje, jej struktura jest nietknięta, jedynie Kalif nie żyje. Zginął w nieszczęśliwym wypadku nad doliną Jordanu. Wraz z Kalifem odeszło z Atlasu to, co było w nim zwyrodniałe. Atlas natomiast nadal istnieje i ma do spełnienia ważną rolę, z którą ludzkość wiąże nadzieje na przyszłość.

Peter po raz pierwszy słyszał Colina Noble'a mówiącego tak gorąco i z takim przekonaniem.

- Jak ci wiadomo, Peterze, miałeś być pierwszym szefem Atlasu. Niestety, pierwotna decyzja została zmieniona, kto inny zajął to stanowisko. Okazało się, że dokonano złego wyboru, ale kto mógł to przewidzieć? Wydawało się, że Kingston Parker miał wszystkie niezbędne zalety, a o jego wadach nic nie wiedziano. Colin zaczął je wyliczać na palcach swojej zdrowej ręki.

- Po pierwsze, brakowało mu fizycznej odwagi. Miał obsesję na punkcie własnego bezpieczeństwa, w związku z czym nadużywał władzy dla zapewnienia go sobie. Po drugie, okazał się człowiekiem wielkich, przerastających go ambicji i ogromnej żądzy władzy. Atlas stał się dla niego wehikułem, który miał go wynieść na szczyble najwyższej władzy. Jego celem stała się prezydentura Stanów Zjednoczonych. Za pomocą Atlasu niszczył politycznych przeciwników. Nie wiadomo, jak potoczyłyby się wypadki, gdyby został prezydentem.

Colin opuścił rękę i zwinął ją w pięść.

- Zapadła decyzja powzięta z udziałem przedstawicieli, co najmniej kilku krajów,

żeby ci zezwolić na spotkanie z Kalifem na szczycie skały nad Jerychem.

Colin znów się uśmiechnął rozbijając jak mały chłopiec.

- Nie wiedziałem, że to o ciebie chodzi. Do momentu, gdy odwróciłem się do ciebie plecami, sądziłem, że chodzi o Stevena Stride'a.

- Proszę już kończyć - powiedziała spokojnie Magda. Jest bardzo słaby i zmęczony.

- Dobrze - zgodził się Colin. - Zaraz kończę. Wczoraj w południe podjęto tajną decyzję o twojej nominacji na stanowisko szefa Atlasu na miejsce Kingstona Parkera.

Peter poczuł, jakby nagle otworzyły się przed nim długo zamknięte drzwi. Po raz pierwszy widział przed sobą przyszłość tak jasno.

- Jesteś najodpowiedniejszym człowiekiem na to stanowisko, zarówno ze względu na twój charakter, jak i na przygotowanie - stwierdził Colin.

Mimo iż znajdował się dopiero u początku powrotu do zdrowia, Peter poczuł nagły przypływ sił i determinacji, których istnienia w tej chwili nawet u siebie nie podejrzewał. Jakby czekały na ten właśnie moment.

- Czy zgadzasz się objąć stanowisko szefa Atlasu? - Zapytał Colin. - Jaką odpowiedź mam ze sobą zabrać?

Długie palce Magdy zacisnęły się na ramieniu Petera, razem z Colinem czekała na jego decyzję. Nie trwało to długo. Peter wiedział, że nie ma wyboru, takie było przeznaczenie.

- Dobrze - oświadczył stanowczo. - Przyjmuję tę odpowiedzialność.

Odnieśli wrażenie, że przeżywają uroczysty moment. Przez dłuższą chwilę milczeli, zachowując powagę. Milczenie przerwała Magda.

- Kalif nie żyje - szepnęła. - Niech żyje Kalif!

Peter Stride obrzucił ją spojrzeniem, które ją zmroziło.

- Nigdy - powiedział - nigdy nie nazywaj mnie w ten sposób!

Zamiast obietnicy Magda złożyła pocałunek na jego ustach.

Przypisy

[←1]

Provo - skrót od *provisional* - tymczasowy. Tu: członek tymczasowego skrzydła Irlandzkiej Armii Republikańskiej.

[←2]

VIP - *very important person* (ang.) - bardzo ważna osoba.